

MARTIN AMIS

FORSA

Przełożył Krzysztof Zabłocki

CZYTELNIK Warszawa 1995

Jest to list pożegnalny. Kiedy będziecie go czytać (a takie rzeczy powinno się czytać powoli, zwracając baczną uwagę na wszelkie wskazówki i tropy), Johna Selfa nie będzie już wśród żywych. Przynajmniej na to się zapowiada. Bo tak naprawdę to z listami pożegnalnymi nigdy nic nie wiadomo, jasne? W tym naszym ziemskim rojowisku wszelkiego życia takich listów jest znacznie więcej niż samobójstw. I w pewnym sensie pisanie pożegnań przypomina pisanie wierszy: prawie każdy próbuje swych sił wcześniej czy później, z talentem czy bez. Wszyscy piszemy je w myśli. Na ogół sprawa kończy się na liście. Piszemy list pożegnalny – i kontynuujemy podróż w czasie. Unieważniamy list, nie życie. Choć czasem jest odwrotnie. No tak, bo z listami pożegnalnymi to nie da się nic przewidzieć.

Do kogo adresowany jest ten list? Do Martiny, Fieldinga, Very, Aleca, Seliny, Barry’ego... czyżby do Johna Selfa? Ach, nie. Ten list jest do Was, drodzy czytelnicy, do Was, kochani, wrażliwi.

M.A.

Londyn, wrzesień 1981

Gdy nasza taryfa zjeżdżała z Bulwaru Franklina Delano Roosevelta w rejonie ulic sto coś tam, nisko zawieszony studebaker tomahawk pełen czarnych facetów ruszył zniecka z bocznego pasa wprost na dziób gabloty. Odbiliśmy gwałtownie i nadzialiśmy się na jakąś dziurę czy purchlę: huknęło jak z dubeltówki, dach taryfy dał nura i rąbnął mnie w łeb. Tylko tego jeszcze mi brakowało, nie powiem; łeb i twarz, i plecy, i serce bolały mnie cały czas już i tak nieźle – wciąż byłem pijany, ogłupiały i wymięty po locie.

– Jezu – jęknąłem.

– Skurwysyny – zaklął taksówkarz zza popękanej plastikowej szyby. – Pieprzone skurwysyny.

Taksówkarz miał czterdziestkę, był chudy i łysawy. Włosy – czy raczej ich resztki – długie i wilgotne spływały mu po karku na ramiona. Dla pasażera miejsca taksiarze to właśnie to – wściekle karki, wściekle plerezy. Ten wściekły kark pstrzył się wybuchową mieszką piegów i znamion, iskierka szczeniackiej agresywności migotała w purpurowych płatkach uszu. Taksówkarz siedział rozwalony, a jego długie ręce opierały się bezwładnie na kierownicy.

– Wystarczyłoby stu facetów, stu facetów takich jak ja – rzucił do tyłu – by wykurzyć wszystkich czarnuchów i Portorykańczyków z tego pieprzonego miasta.

Starałem się go słuchać. Za sprawą tej świeżej choroby, którą nazwałem tinnitus, moje uszy zaczęły ostatnio słyszeć różne rzeczy, które nie były, ściśle biorąc, do słuchania. Start odrzutowca, brzęk rozbijanej szyby, kostki lodu wrzucone do szklanki. Zdarza się to zazwyczaj rankiem, ale nie tylko. Przydarzyło mi się to, na przykład, w samolocie – w każdym razie tak mi się zdawało.

– Co? – zawołałem. – Stu facetów? To niewielu.

– Poradzimy sobie. Odpowiedni trypel i poradzimy sobie.

– Trypel?

– Tak, trypel. Pięćdziesiątki szóstki. Automaty.

Odchyliłem się w tył i potarłem czoło. Dwie godziny na Imigracji, niech to cholera. Mam antytalent do kolejek. Wiemy, jak to wygląda. Ha, ha, ha, śmieję się w duchu, rozpychając się energicznie do najkrótszego ogonka. Ale ten najkrótszy ogonek ma swoje powody, żeby być najkrótszy. Wszyscy przede mną są Wenusjanami, pterodaktylami, kobietami i mężczyznami z innego układu czasowego. Wszyscy muszą zostać dokładnie przebadani i zapakowani w foliowe worki dla truposzów przez ponurego stu pięćdziesięciokilogramowca siedzącego w oświetlonym, szklanym boksie.

– Interesy czy dla przyjemności? – zapytał mnie w końcu osobnik.

– Mam nadzieję, że tylko interesy – odpowiedziałem całkiem szczerze.

Z interesami na ogół nie mam kłopotów. Dopiero przyjemności wpędzają mnie w rozmaite kosztowne tarapaty... Potem pół godziny na cle i drugie tyle, zanim zdobyłem tę taksówkę – jak zwykle z maniakiem syczącym i buzującym nad kierownicą. Sam prowadziłem w Nowym Jorku. Wystarczy pięć przecznic tego barbarzyństwa, by łkać z obrzydzenia. A cóż się dzieje z jeleniami, których wynajmują, żeby prowadzili przez cały dzień za pieniądze? Spróbuj, bracie. Więc się pytam:

– Dlaczego chciałby pan to zrobić?

– Hę?

– Powystrzelać wszystkich czarnuchów i Portorykańczyków?

– Ludzie uważają, wie pan, że jak prowadzi się żółtą taksówkę – uniósł omdlałą rękę opartą ukośnie na kierownicy – to trzeba być niezłym skurwielem.

Westchnąłem i pochyliłem się.

– Wiesz co? Rzeczywiście jesteś skurwielem. Zanim się napatoczyłeś, myślałem, że „skurwiel” to tylko bluzg. Jesteś pierwszym prawdziwym skurwielem, jakiego spotkałem.

Zatrzymaliśmy się. Powoli usiadł wyżej i obrócił się. Twarz miał o wiele bardziej niesympatyczną, a jednocześnie przystojniejszą, w sumie bardziej przydatną w życiu, niż oczekiwałem – pociągającą i dziewczęcą, z bystrym spojrzeniem i wąskimi wargami – jak gdyby inna, prawdziwa twarz skrywała się pod tą maską z ludzkiej skóry.

– Dobra. Wynocha z samochodu. Mówię, won z tej pierdolonej gabloty!

– Słyszę, słyszę – powiedziałem, pociągając leżącą na siedzeniu walizkę.

– Dwadzieścia dwa dolary – rzucił. – Według licznika.

– Nic ci nie zapłacę, skurwielu.

Nie zmieniając kąta spojrzenia, sięgnął pod deskę rozdzielczą i nacisnął jakiś guzik. Usłyszałem szcęk blokady wszystkich czterech drzwiczek – odgłos naoliwionego zamka.

– Posłuchaj, ty gruby kutasie – zaczął. – To jest skrzyżowanie Dziewięćdziesiątej Dziewiątej Ulicy i Drugiej Alei. Forsa. Dawaj forszę.

– Pogroził, że zawiezie mnie dwadzieścia przecznic dalej, w głąb Harlemu, i wywali na ulicę, wprost na ulicę. Zanim wykosi się wszystkich czarnuchów, zostaną po mnie tylko kłaki i zęby.

W tylnej kieszeni spodni miałem jeszcze trochę banknotów z ostatniej podróży. Podałem mu dwudziestkę przez dziurę w zasmarowanej szybie. Zwolnił blokadę i wyostałem się na zewnątrz. Nie było nic do dodania.

Stoję więc tutaj z walizką, w zacinającym, manhattańskim deszczu. Za mną dziesiątki warsztatów tkackich i cały ten przemysł gorseciarski Bulwaru Roosevelta... Musi dochodzić już ósma, ale płaczący oddech dnia wciąż zdmuchuje poranne światło, wątle i stearynowe – złane deszczem, nasączone wilgocią. Naprzeciw, po drugiej stronie zaśmieconej ulicy, trójka czarnych dzieciaków chroni się pod okapem drzwi nieczynnego sklepu alkoholowego. Jestem duży i ważny, jestem dużą matką, ale dzieciaki wyglądają na zbyt przybite, żeby podejść i mnie wybadać. Wyzwijająco łykam haust z bezcłowej piersiówki.

O Boże, nie podoba mi się ten film. A przecież dopiero się zaczyna.

Rozglądałem się za taksówką, jednak żadna taksówka nie nadjeżdżała. Było to na Pierwszej Alei, nie na Drugiej, a Pierwsza to przecież uptown, rejon mieszkalny. Wszystkie taryfy jadą w przeciwnym kierunku, szaleją na Drugiej i Lexington. Jestem w Nowym Jorku od pół minuty i już zaczynam świrować, odbywam długi spacer Dziewięćdziesiątą Dziewiątą Ulicą.

Rozumiecie, nie zdobyłbym się na to miesiąc temu. Wtedy jeszcze nie. Wtedy wszystkiego unikałem. Teraz po prostu czekam. I wszystko mi się zdarza. Wszystko musi iść swoją drogą i zdarzyć się. Rozglądaj się i czekaj... Inflacja, mówią, oczyszcza to miasto do cna. Szmal zakasuje rękawy i zanieczyszcza to miasto po brzegi. Ale wszystko wciąż się tu jeszcze zdarza. Wsiadasz z samolotu, bierzesz głęboki oddech – i gdy przyjdiesz do siebie, jesteś w gaciach gdzieś na południowym krańcu SoHo albo leżysz na łóżku z wyciągiem w jakimś śródmiejskim szpitalu, z karteczką identyfikacyjną i srebrzystą tacką na piersi, a jakiś facet w bieli mówi: „Dzień dobry, panu. Jak pan się dziś czuje? To będzie piętnaście tysięcy dolarów...” Wszystko wciąż się tutaj zdarza i coś chyba czeka, żeby zdarzyć się mnie. Mogę to wyczuć. Od niedawna moje życie ma posmak ścinającego krew w żyłach dowcipu. Od niedawna moje życie przybrało formę. To coś czeka. Ja też czekam. Już wkrótce to coś przestanie czekać – lada chwila. Tylko patrzeć, a zdarzy się coś strasznego. I to jest właśnie straszne.

Lęk chodzi jak paw po naszej planecie. Ważniak jest gruby i ma się dobrze. Rzucił na nas urok. Tak jest, bracie. Siostro, nie oszukuj się... Ale któregoś dnia stanę mu naprzeciw. Podejdę blisko i spojrzę prosto w oczy. Ktoś musi to zrobić. Podejdę blisko i powiem: „Posłuchaj, sterczący kutasie. Przebrałeś miarkę. Rozpychałeś się dostatecznie długo. Masz przed sobą kogoś, kto nie będzie już tego znosić. Skończyło się. Won”. Podobno każdy brutal jest w głębi duszy tchórzem. Lęk jest brutalem, ale coś mi mówi, że lęk tak łatwo nie pęka. Podejrzewam, że tak naprawdę lęk jest cholernie odważny. Lęk wyprowadzi mnie w trymiga za drzwi i pchnie pomiędzy skrzynie i puste

kartony na opustoszałej uliczce, pokaże mi, kto tu rządzi... Może stracę przy tym ząb albo dwa, a może nawet złamię mi rękę albo wytłucze oko! Lęk potrafi wpaść w szal, widziałem to, i siać wokół zniszczenie całkiem bez powodu. Potrzebowałbym pewnie pomocników, jakiejś pały, jakiejś spluwy. Gdy zastanowić się serio, to myślę, że niech już sobie ten lęk będzie. Gdy trzeba walczyć, jestem odważny – albo świrmięty, albo obojętny, albo po prostu niesprawiedliwy. Ale lęk naprawdę napędza mi strachu. Jest zbyt dobry w walce, a ja tak czy owak zanadto się boję.

Poszedłem przecnicę dalej w kierunku zachodnim, a potem skręciłem na południe. Na Dziewięćdziesiątej Szóstej uprowadziłem czekającą na światłach taksówkę – otworzyłem szarpnięciem drzwi i rzuciłem na siedzenie walizkę. Taksówkarz odwrócił się: skrzyżowaliśmy nienawistne spojrzenia.

– Hotel „Ashbery” – powiedziałem po raz drugi. – Na Czterdziestej Piątej.

Zawiózł mnie tam. Dałem mu dwa dolary, które byłem winien, i jeszcze parę banknotów. Pieniądze zgrabnie przeszły z rąk do rąk.

– Dziękuję, przyjacielu – powiedział.

– Bardzo proszę. To ja ci dziękuję.

Siedzę na łóżku w pokoju hotelowym. Pokój jest pierwsza klasa, po prostu pierwsza klasa. Absolutnie nic do zarzucenia. Doskonała wartość, jak na swoją cenę.

Ból przesywający twarz rozszczepił się na dwie połówki, ale odczuwam go właściwie tak samo. Na szczęście pojawiła się wyraźna opuchlizna, w górnej części strony zachodniej. Cholerny ropień, czy coś takiego, a może zagrywka jakiegoś nerwu albo sztuczka dziąseł. Jezu, pewnie będę musiał tym się zająć. Dentystę, którego wybiorę, czeka niespodzianka. Te moje krokodyle zęby, te angielskie zęby, tylko tyle, zdaje się, są warte, co ząbki pierwszego lepszego amerykańskiego trupa. Na dodatek będzie to kosztować. Trzeba, jak wiecie, jak już mówiłem, nieźle tutaj wybulić na tego typu rzeczy. Trzeba sobie z góry powiedzieć, że możliwości są szerokie i głębokie. Wszyscy ci ludzie na ulicy – te tłumy statystów czy aktorów od trzeciorzędnych ról – doją cholerną forszę, żeby utrzymać się w ruchu. Karetki w tym mieście mają taksometry, liczniki zegarowe: z takim to właśnie miejscem mam do czynienia. Czuję, że ból wziął się teraz do dzieła w okolicy łuków brwiowych. Witam, witam, bardzo mi miło.

Piję bezcłową whisky z kubka do zębów i nasłuchuję, czy znów nie odezwie się coś w moich uszach. Najgorsze są ranki. A dzisiejszy był najgorszy ze wszystkich. Słuchałem komputerowych fug, japońskich koncertów jazzowych, boogie-woogie. Co też knuje moja mózgowica. Chciałbym mieć jakieś pojęcie, co dla mnie planuje. Mam

ochotę od razu zadzwonić do Seliny i podzielić się z nią tymi mądrościami, powiedzieć Selinie, co o niej myślę. U nich jest pierwsza w nocy. Tutaj też jest pierwsza w nocy, w każdym razie w mojej łepetynie. Ale kiedy jestem w takim stanie, Selina jest dla mnie zbyt groźnym przeciwnikiem. Teraz muszę poradzić sobie z kolejnym wieczorem. Jeden już był, w Anglii i w samolocie. Nie potrzeba mi kolejnych wieczorów.

Alec Llewellyn zalega mi z forszą. Selina Street też zalega mi z forszą. I Barry Self zalega z forszą. Widzę, że na dworze szybko zapada noc. A niech to – tylko spokojnie. Światła nie wyglądają wcale stabilnie, tam, w górze, przede mną, na tym podziabany niebie.

Odświeżony tym krótkim zaćmieniem, wstałem i wyszedłem z pokoju. Lustro spoglądało obojętnie, gdy w pożyczonym od niego blasku, w łazience bez okna, kończyłem tę serię przemyśleń. Umyłem zęby, przyczesalem skalp, obciąłem paznokcie, przepłukałem gardło, przemyłem oczy, wziąłem prysznic, ogoliłem się, zmieniłem ubranie – i wciąż wyglądałem jak gównio. Jezu, znowu przytyłem. Mówię wam, gdy jestem w wannie albo w kiblu, czuję do siebie wstręt. Siedzę zgarbiony na tym tronie w kształcie chomąta wołu i czuję się jak kolanko rury, jak buzujący kocioł jakiegoś starego trampa. Co jest powodem? Chyba nie tylko te litry wody i podłe żarcie z barów szybkiej obsługi. Nie, musiało mi to być przeznaczone od dawna. Ale ojciec nie jest gruby. Matka także nie była. Więc co jest grane? Czy załatwi to szmal? Potrzebuję generalnego remontu, muszę wszystko wymienić, naprawić: muszę wyczyścić swoją powłokę na glanc. Przydałaby się nowa karoseria. Zrobię wszystko, będę to wszystko miał, gdy tylko wpadnie mi forsa.

Selina, moja Selina, moja Selina Street... Dzisiaj zdradził mi ktoś jedną z jej paskudnych tajemnic. Nie chcę mówić o tym już teraz. Teraz chcę wyjść, golnąć jeszcze trochę i o wiele bardziej się zmęczyć.

Drzwi na sprężynowych zawiasach rozchyliły się i chwiejnym krokiem wszedłem do hallu. Blask i tekowe drewno. Portierzy w liberiach stali nieruchomo jak wartownicy przy grobie. Rzuciłem klucz na kontuar i z powagą skinąłem głową. Byłem nawalony na tyle, że nie potrafiłem powiedzieć, czy oni potrafią powiedzieć, że jestem nawalony. Czy mieliby mi to za złe? Na pewno byłem zbyt nawalony, żeby się tym przejmować. Ruszyłem do drzwi powłócząc niepewnie nogami.

– Pan Self?

– We własnej osobie – odpowiedziałem. – Słucham.

– Proszę pana! Po południu był do pana telefon. Caduta Massi?... Czy to ta Caduta Massi?

– Ta sama. Czy zostawiła jakąś wiadomość?

– Nie, proszę pana, żadnej.

– Dobrze. Dziękuję.

– Mhm.

Więc szedłem na południe zakręcającym lekko Broadwayem. Co to za gówno, to „mhm”? Mijałem mięsożerne duchy o oddechu cuchnącym tunelami metra. Słyszałem nierówne, przerywane wycie syren, okrzyki i gwizdy młodzieży szalejącej na rowerach, motorynkach, deskorolkach, pogo, gokartach; dolatywały wrzaski windsurferów. Samochody i taksówki pędziły na złamanie karku, smagając się sygnalami. Czułem w powietrzu całe to zadowolenie, całą tę demokrację, całą tę wolność. Ci ludzie chcą koniecznie być sobą, żeby nie wiem co, i nic ich nie krępuje. Z grupki wystających na chodniku leserów, oblesiów, kibiców, wypchnięto wielgachnego blond wrzaskuna, który stanąwszy przy krawężniku wymachiwał łapami wydzierając się na samochody. Włosy miał żółciaśne, taki omlet, skalp z omletu. Wygrażając pięściorami bełkotał coś niewyraźnie o zdradzie, oszustwie, wywaleniu z mieszkania i z pracy.

– To moja forsa i muszę ją mieć! – mamrotał. – Chcę mojej forsy, natychmiast!

Miasto pełne jest takich facetów, takich faciów i lalek, którzy gardlują, wrzeszczą i leją słowy, że niby na okrągło prześladowuje ich pech. Czytałem w jakimś piśmie, że to świry z miejskiego wariatkowa. Wypuścili ich dziesięć lat temu, gdy zabrakło forsy... Jest taki niezły dowcip, dowcip z szerokiego świata, a wymyśliła go forsa. Arab w zagrodzie owiec zasuwa rozporek, patrzy zadowolony na trzódkę i mówi: „Ej, Basim. Podnieśmy teraz cenę ropy”. Dziesięć lat później duży biały człowiek wymachuje rękami na Broadwayu, i to na oczach wszystkich.

Zajrzałem do topless-baru na Czerdziejstiej Ósmej. Zagładcie kiedy do takich miejsc? Zawsze spodziewam się, że będzie to gniazdo mafii, pilnowane przez półnogie służki. Nic z tych rzeczy. Po prostu parę ciż w majtasek, fikających na podwyższeniu za barem: siedzisz i popijasz, a one prezentują swoje wdzięki. Sącyłem wciąż nowe kolejki whisky, po trzy i pół dolca szklaneczka, i płukałem górny, zachodni kwartał mojej japy. Przykładałem też zimną szklankę do rwącego z bólu policzka. To pomaga, tak się przynajmniej zdaje. Koi.

Trzy dziewczuszki tyrały na podium na tle luster rozstawionych wzdłuż jego długości, dbając o równy odstęp. Dziewczę, które dla mnie oraz dla jakiegoś ryżego hermafrodyty

dwa stołki dalej tańcowało z gołymi cycuszkami, było niewysokie, nieśmiałe i miało szczenięcy wygląd. Przyjrzyjmy się bliżej. W sztucznym oświetleniu jej ciało zdawało się blade i niknące boleśnie w oczach, jakby zżerane przez wysypki czy alergię. Miała duże, smutne, fałdujące się cyce oraz okap tkanki tłuszczowej nad wysoką talią szortów, granatowych, przymarszczonych i błyszczących jak spodenki gimnastyczne. Poniżej piersi widoczne były delikatne blizny, jeszcze bielsze od reszty ciała. Ślady po nacięciach już w wieku lat dwudziestu, dziewiętnastu: coś było nie tak. Od jej postaci biło zmęczenie i już na bardzo wczesnym etapie tkwił jakiś błąd. I dobrze o tym wiesz, dziewczyno. Na twarz młodej trzpiotki próbowała nałożyć obiegowy, szyderczy uśmiech zadowolenia i samowystarczalności, ale czał się w nim niepokój – właśnie niepokój ciała, nie wstyd. Jeśli interesuje was moja przemyślana opinia, to powiem wam, że w tym miejscu nie było przyszłości dla takiego kurczaka. Ale była przecież moją dziewczyną, w każdym razie na te pół godziny. Jej dwie rywalki znacznie bardziej przypadły mi do gustu, lecz gdy tylko spojrzałem w ich stronę, twarz chwycił znajomy mi skurcz. Powiniennem myśleć o mojej dziewczynie, myśleć o jej uczuciach. Jestem z tobą, mała, nie martw się. Wszystko będzie dobrze, odpowiadasz mi. Uśmiechała się do mnie raz po raz. W jej uśmiechu widziałem bezradność, niepewność. Tak, było w nim tyle zawstyżenia.

– Jeszcze jednego scotcha? – zaskrzeczała ochryplym głosem szefowa za barem, starsza matrona z polakierowanymi włosami. Miała krótką, opinającą ciało spódniczkę w kolorze chyba karmelkowym, w każdym razie w jakimś paskudnym brązie. Kojarzyła się z pasem ortopedycznym i przepukliną.

– Tak. – Zapaliłem kolejnego papierosa.

O ile wyraźnie tego nie podkreślę, to wiedzcie, że bezustannie zapalałem kolejnego papierosa.

Przez chwilę przykładałem do policzka zimną szklanekę. Mruczałem coś do siebie i przeklinałem. Gdy znów spojrzałem w górę, mojej dziewczynki już nie było. Zamiast niej wyginała się na podwyższeniu dwumetraśna Meksykanica z ustami od ucha do ucha, rozpalonymi oleistymi cyckami i smugą czarnych włosów na podbrzuszu, które niczym resztki strzelniczego prochu wkradały się do oślepiająco białego futerału jej szortów. O, to jest właśnie to, to pieprzone to, myślałem. Jak uczy mnie doświadczenie, o dziewczynie można powiedzieć prawie wszystko na podstawie tego, ile czasu, uwagi i pieniędzy poświęca swoim spodniom. Weźmy, na przykład, Selinę. A szorty tej Meksykanicy mówiły, że zna się naprawdę na rzeczy, gdy znajdzie się w wyrku. Tańczyła jak marzenie, pulsowała niczym nocny wytrysk, z instynktowną namiętnością.

Szczerzyła zęby w uśmiechu, który docierał wszędzie, a zarazem nic nie znaczył. Twarz, ciało i ruch osiągnęły mistrzowską sprawność: były spektaklem, sztuką, pornografią.

– Zafundujesz Dawn drinka?

Spojrzałem w kierunku starszej damy za barem, która niedbałym gestem wskazała na stołek tuż obok mnie. Istotnie, przycupnęła tam Dawn – Dawn, moja dziewczyna, opatulona w wełniany szlafroczek.

– Zgoda, ale co Dawn pije?

– Szampana! – Przed moim nosem postawiono zamaszycie niską szklaneczkę wypełnioną czymś, co przypominało glukozę z lodem – Sześć dolarów!

– Sześć dolarów... – Na wilgotnym blacie rozprostowałem następną dwudziestodolarówkę.

– Przepraszam – powiedziała Dawn z bolesnym wyrazem twarzy. Mówiła przeciągając samogłoski, z akcentem mieszkanki Nowego Jorku pochodzącej z prowincji. – Nie lubię tego robić. Głupio się czuję w takiej sytuacji.

– Nie przejmuj się.

– Jak ci na imię?

– John.

– Gdzie pracujesz, John?

Aha, rozumiem – rozmowa. Niezła transakcja. Nagie ciało seksownie wije się tuż pod moim nosem, a ja bulę niezłe pieniądze, żeby rozmawiać z Dawn zawiniętą w szlafroczek.

– Robię w pornografii – mówię. – Siedzę w tym po uszy.

– Ciekawe.

– Jeszcze jednego scotcha? – Ta stara torba, ta belfrzyca w przeciwreumatycznej koszulce, wisiała już nam nad głową z moją resztą.

– Czemu nie – zgodziłem się.

– Czy podać drinka także Dawn?

– Jezus. Pewnie, nie ma sprawy.

– ...Jesteś Anglikiem, John? – zapytała moja dziewczyna z głębokim zrozumieniem w głosie, jakby ten fakt miał wszystko tłumaczyć.

– Prawdę mówiąc, Dawn, jestem w połowie Amerykaninem, a w połowie jeszcze śpię. Dopiero co wysiadłem z samolotu.

– Podobnie jak ja. To znaczy z autobusu. Wczoraj. Właśnie wysiadłam z autobusu.

– Skąd przyjechałaś, Dawn?

– Z New Jersey.

– Nie żartujesz? Z jakich regionów New Jersey? Bo wiesz, wychowywałem się...

– Podać jeszcze scotcha?

Czułem, że wymiękam. Odwróciłem się powoli. I mówię:

– Ile trzeba zapłacić, by zostawiła mnie pani na dziesięć minut w spokoju? No, słucham?

Powiedziałem jeszcze dużo więcej, ale ta starsza dama się nie dała. Miała doświadczenie. Zmierzyłem ją wzrokiem. A moja twarz potrafi dać radę niejednemu, szeroka i zszarzała, nosząca ślady niespokojnych lat dojrzewania, ślady podłego żarcia i lichej forsy; twarz spalonego węża, nosząca ślady popełnionych grzechów. Przez chwilę matrona również mierzyła mnie wzrokiem, tak point blank, nagim wzrokiem, a jej spojrzenie było znacznie twardsze od mojego, och, znacznie twardsze. Oparła się małymi piąstkami na ladzie baru, pochyliła się do mnie i zawołała:

– Leroy!

Muzyka jakby się zadławiła. Różne krostowate profile zwróciły się w moją stronę. Śniada tancerka wspierając ręce na biodrach, z rozluźnionymi piersiami, w nagłej ciszy sprawiając wrażenie starszej, patrzyła na mnie ze zwierzającą pogardą.

– Rozglądam się za czymś. – To Dawn. – I naprawdę interesuje mnie pornografia.

– Wcale nie – uciałem. A pornografia wcale nie interesuje się tobą. – W porządku. Leroy! Leroy, spoko, nie ma sprawy. Już mnie nie ma. Kładę pieniądze. Dawn, dbaj o siebie.

Zsunąłem się ze stołka i straciłem na moment równowagę. Stołek zachybotał się wokół podstawy jak moneta. Pomachałem do wpatrujących się we mnie kobiet – a zapuszczajcie sobie żurawia! – i ruszyłem na ukos do drzwi.

Na zewnątrz oferowano wszystko. Masaż, prysznice z asystą, *live-showy* – czyli otwarte non stop, roziskrzony centrum porno. Mieli nawet „tę prawdziwą rzecz” w postaci prostytutek. Ale nie zamierzałem kupować czegokolwiek, nie tego wieczoru. Udało mi się dojść do hotelu bez przygód. Nic się nie wydarzyło. Nic się nigdy nie wydarza, dopiero się wydarzy. Drzwi obrotowe wepchnęły mnie do hallu, gdzie recepcjonista harcował w swoim boksie.

– Halo, halo! – zawołał. – Kiedy pana nie było, telefonował pan Lorne Guyland.

Z gracją podał mi klucz.

– Czy to ten prawdziwy Lorne Guyland, proszę pana?

– No, nie posunąlbym się aż tak daleko – odpowiedziałem, a może tylko tak sobie pomyślałem. Winda wessała mnie ku przestworzom. Wciąż piekielnie bolała mnie

twarz. W pokoju złapałem butelkę i zwałem się na łóżko. Czekając na nadejście prześladowających mnie odgłosów, rozmyślałem o podróży w przestrzeni i w czasie, myślałem także o Selinie... Tak, mogę wyłożyć wam teraz więcej. Może nawet poczuje się lepiej, gdy wam o wszystkim opowiem, gdy wszystko z siebie wyrzucę.

Dzisiaj wczesnym rankiem – dzisiaj? Jezu, wydaje się, że to było w dzieciństwie – Alec Llewellyn zawiózł mnie na lotnisko Heathrow moim zrywnym *fiasco*. Pożyczył auto na czas mojej nieobecności, ten kiciarz, kłamca. Przed lotem przyćmiłem się wodą i prochami. Boję się latania. A także lądowania. Nie mówiliśmy za wiele. Jest mi winien forszę... Stanęliśmy w długiej kolejce oczekujących. Miałem małą nadzieję, że będzie już komplet. Niestety. Tykający komputer wyciął sztuczkę i wypisał mi miejsce.

– Ale proszę się pospieszyć – powiedziała dziewczyna. Alec pognął ze mną do odprawy paszportowej. Potargał mi kudły i wepchnął za bramkę.

– Hej, John! – zawołał zza barierki. – Hej, ćpunie! – Obok niego starszy mężczyzna machał do jakiejś nieokreślonej osoby.

– Czego?

– Podejdź bliżej.

Ponaglał mnie gestem. Podbiegłem zadyszany.

– No?

– Selina. Pieprzy się z innym, ile wlezie, na okrągło.

– Ty kiciarzu. – Zdaje się, że chciałem niemrawo strzelić go w ryło. To stała zagrywki Aleca.

– Myślałem, że powinieneś wiedzieć – rzucił urażony. Uśmiechnął się. – Jak zawsze od tyłu, z nóżką zadartą, ona na górze. Jak zawsze ze wszystkim i wszystkie pozycje.

– Ach tak? Kto? Ty kłamco! Dlaczego? Kto, kto, kto?

Nie chciał zdradzić. Powiedział tylko, że trwa to już od dawna i że dobrze znam tego kogoś...

– Ty... – syknąłem, odwróciłem się i uciekłem...

Tak to wyglądało. Nie czuję się teraz lepiej. Wcale nie czuję się lepiej. Przewalam się z boku na bok i próbuję zasnąć. Londyn właśnie się budzi. Budzi się również Selina. Przytłumiony szum, gwizd czy syk gdzieś w głębi głowy rodzi się znowu, powoli modulując swe brzmienie, szukając właściwego tonu.

Jezu, po przebudzeniu czuję się czasem jak rozjechany kot.

Znacie może stoicki aspekt ostrego chlania, grzania na umór? Czujesz się jak stoik dźgany ostrym narzędziem. Jak ociężały stoicki umrzyk.

O rany, nie ma lekko. To wcale nie jest łatwe. Chryste, nie chciałem zrobić sobie krzywdy. Chciałem tylko trochę zaszaleć.

Przypadłość, która u mnie zagościła, o nazwie tinnitus – pewniejsze to, a nade wszystko tańsze, niż zamawianie budzenia przez telefon – wyrwała mnie ze snu punktualnie o dziewiątej. W brzęczeniu tinnitusa czuło się mocne poirytowanie, jak gdyby próbował mnie obudzić już od wielu godzin. Mój spierzchnięty na wiór język z trudem powędrował w górę policzka, żeby wymacać opuchliznę w górnym, zachodnim rejonie. Prócz większej wrażliwości, prawie nic się nie zmieniło. Gardło dało mi znać, że mam również kaca z przepalenia. Pierwszy papieros zapaliły smugę prochu wiodącą do olstra, do całego arsenału w mojej klatce piersiowej. Poklepałem się po kieszeniach i mimo wszystko wyciągnąłem papierocha.

Dziesięć minut później wylokłem się z klopa na czterech łapach, pobladły, odbywający pokutę krokodyl, pełen skruchy, że ubiegłej nocy wlałem w siebie te mętne, zwarzone szczyny. Rozciągnąłem się znów na wyrze, rozluźniając krawat i rozpinając koszulę, gdy zadzwonił telefon.

– John? Mówi Lorne Guyland.

– Lorne! – mówię. Matko, co za chrypa. – Jak się masz?

– Nieźle – odpowiedział. – Nieźle, John. A ty?

– Ja? Ekstra, ekstra.

– To dobrze, John. John?

– Lorne?

– Parę rzeczy mnie martwi, John.

– Powiedz, o co chodzi, Lorne.

– Nie jestem starym zgredem, John.

– Wiem o tym, Lorne.

– Jestem w świetnej formie. Jak nigdy dotąd.

– Cieszę się, Lorne.

– Dlatego nie podoba mi się, jak mówisz, że jestem starym ramolem, John.

– Wcale tego nie mówię, John.

– No dobrze. Sugerujesz, John, to i owo, więc na jedno wychodzi. Tak uważam. Sugerujesz również, że nie jestem zbyt aktywny seksualnie i że nie potrafię zadowolić moich kobiet. To po prostu nieprawda, John.

– Wiem, że nieprawda, Lorne.

– No to po co to sugerować? John, myślę, że powinniśmy się spotkać i pomówić o tych sprawach. Nie znoszę gadania przez telefon.

– Oczywiście. Kiedy?

– Jestem bardzo zajęтым człowiekiem, John.

– Szanuję to, Lorne.

– Nie możesz ode mnie oczekiwać, że rzucę wszystko tylko po to, żeby się z tobą spotkać, John.

– Ma się rozumieć, Lorne.

– Żyję na pełnych obrotach, John. Na pełnych obrotach. Aktywnie. Nadaktywnie, John. Już o szóstej rano ćwiczę w klubie odnowy. Gdy tylko skończę mój program, rzucam się na matę z instruktorem judo. Po południu ćwiczę na siłowni. Kiedy jestem w letnim domu, to z kolei uprawiam golf, tenis, narty wodne, nurkowanie z tlenem, squash i polo. Słuchaj, John, czasem po prostu wyskakuję na plażę i biegam jak szczeniak. Dziewczyny, te laseczki, które tam trzymam, słuchaj, gdy nie wrócę w porę, opieprzają mnie jak jakiegoś dzieciaka. A potem ja pieprzę je pół nocy. Na przykład wczoraj...

Ciągnęło się to, w ten sposób, przysięgam na Boga, bite półtorej godziny. Po pewnym czasie zamilkłem. Bez skutku. Więc w końcu siedziałem ze słuchawką i żeby przeczekać, paliłem fajki i cierpiałem.

Kiedy skończył, pociągnąłem scotcha, otarłem łyzy papierową chusteczką i zadzwoniłem na dół. Zamówiłem kawę. Znaczy, wiecie, trzeba sobie czasem dogodzić.

– Kawę jaką? – usłyszałem podejrzliwe pytanie.

Odpowiedziałem, że z mleczkiem i z cukrem.

– Czy dzbanki są duże?

– Na dwie filiżanki.

– Cztery dzbanki, proszę.

– Już się robi.

Wyciągnąłem się znów na łóżku trzymając postrzępiony, rozsypujący się kalendarzyk z adresami. W reklamowym notatniku reklamowym długopisem zrobiłem listę miejsc, w których mógłbym liczyć na odnalezienie wędrującej jak Cyganka Seliny. Selina, ona potrafi się wymknąć! Myślałem sobie, tak dla ciekawości, ile te wszystkie telefony będą mnie kosztować.

Rozebrałem się i puściłem wodę do wanny. Wtedy przylazł wymuskany czarny lokajczyk z moją tacą. Wyszedłem z łazienki, podpisałem rachunek i wsunąłem szczeniakowi dolca. Nieźle się prezentował, ten dzieciak: w jego ruchach i uśmiechu przebijało młodzieńcze zaaferowanie. Z dziecięcą niewinnością zmarszczył brwi i poniuchał powietrze.

Wystarczyło, by na mnie spojrzeć – na popielniczkę, butelkę, cztery dzbanki kawy,

moją twarz i mój bebecch podany jak głąz na białym ręczniku – wystarczyło, żeby tylko spojrział, a mógł być całkiem pewien, że tankuję jak smok.

W stromym tunelu wentylacyjnym pod moim pokojem uwiązany jest pies. Ma talent do szczekania, szczeka zachwycająco pięknie. Przysłuchiwałem mu się z przyjemnością, gdy Lorne zalewał mnie potokiem słów. Półgodzinne seanse szczekania rozbrzmiewają wzdłuż ścian kanionu budzącym grozę ostrzeżeniem. Psisko potrzebuje tej piekielnej furii. Cięży na nim wielka odpowiedzialność – szczeka tak, jakby pilnował bram piekieł. Jego płuca nie mają dna, jego szal piekielnego psa jest porażający. Potrzebuje tych płuc – po co? By nikogo nie wypuszczać, by nikogo nie wpuszczać.

Tymczasem winien wam jestem trochę prawdy o Selinie – i to szybko. Ta napalona dziwka – dlaczego pozwałam jej tak ze mną tańczyć?

Jak wiele dziewcząt (tak przypuszczam), a zwłaszcza tych z gatunku drobniutkich, giętkich, apetycznych, narowistych i wystrzałowych w łóżku, Selina żyje w ciągłym lęku przed napaścią, napastowaniem i gwałtem. Świat wytarmościł ją już nieraz w przeszłości i przekonana jest, że grozi jej to znowu. Leżąc obok mnie w pościeli albo – podczas długich i pełnych napięcia wspólnych podróży – wtulając się w fotel mojego *fiasco* albo też siedząc po drugiej stronie stołu, gdzieś na obrzeżach sali, podczas jakiejś oficjalnej kolacji, Selina nieraz już zabawiała mnie opowieściami o poniżeniach i napastowaniu zaznanych w dzieciństwie i w czasie lat dojrzewania: mówiła o zbrodniach z cuchnącym oddechem czatujących z cukierkami na skwerku, o lubieżnych groźbach zapoconych, parkowych kutafonów w przegniłej szopie na narzędzia, o ociężałych przygłupach na jakiejś odludnej ścieżce, czy wreszcie o narcystycznych fotografiach i rozbuchanych rekwizytorach z chroniczną erekcją, którzy przygrzewali jej w pracy; do tego doszli teraz ryczący punkowie, troglodcy z piłkarskich stadionów i przystankowe lumpy wylegające tłumnie na ulice, by niemal ustawicznie szczypać ją w tyłek, macać jej cycki i, ogólnie, wyłuszczać bez ogródek, jakie mają wobec niej zamiary... Jakże męcząca musi być świadomość, że połowa mieszkańców planety, z każdej pary jeden, może z tobą zrobić, co im się żywnie podoba.

Oznacza to szczególnie ciężkie życie dla dziewczyny takiej jak Selina, której wygląd po wielu godzinach przed lustrem jest kompromisem – pół na pół – między wymuskaną, afektowaną młodzieńczością a wyzywającym, wulgarnym blichtrzem. Ma gust rodem z High Street, dzielnicowej ulicy handlowej, obiecuje burdelowe zagrywki

i bieliznę renomowanych firm. Idę za nią pasażem, kiedy, powiedzmy, razem robimy zakupy, a ona pędzi przodem, w postrzępionych, dżinsowych szortach i spranym T-shircie, a może plisowanej spódniczce, kończącej się tam, gdzie zaczynają się jej śniade uda, a może jak kondom opina ją przezroczysty płaszcz nieprzemakalny albo przykrótki szkolny mundurek... Mężczyźni mrużą oczy i patrzą, mrużą oczy i patrzą. Gną się i kula, robią półobroty tułowiem. Przymykają ślipia i łapią się za jaja. A czasem, gdy zobaczą, jak zakradam się od tyłu i obejmuję ramieniem jej szczupłą, umięśnioną talię, spojrzą tylko na mnie, jak gdyby chcieli powiedzieć: „Zrób coś z tym, dobra? Zrób coś z tym! Nie pozwól jej tak łązić, kiedy wygląda w ten sposób. No, rusz się, to twoja odpowiedzialność, twoja broszka”.

Rozmawiałem już z Seliną o jej wyglądzie.

Zwróciłem jej uwagę na intymną więź pomiędzy gwałtem a letnią garderobą. Śmieje się z tego. Rumieni się, wydaje się zadowolona. Wciąż muszę stawać w obronie jej czci – w pubie, na imprezach i przyjęciach. Obłapują ją, obmacują, podszczypują tyłek, czynią propozycje – a ja człapię na ratunek, podnosząc ze znużeniem pokiereszowane pięściory. Tłumaczę jej, że to wszystko dlatego, że łązi dookoła wyglądając jak ze świerszczyka z golasami. To też ją rozbawia. Nie mogę tego zrozumieć. Czasem myślę sobie, że Selina stanęłaby jak słup soli wprost przed nadjeżdżającym tirem-kontenerowcem, jeśliby tylko kierowca nie oderwał wzroku od jej cyczków.

Oprócz gwałtu Selina boi się także myszy, pajaków, psów, muchomorów, raka, mastektomii, wyszczerbionych kubków i filizanek, opowieści o duchach, wizji, tajemnych znaków i oznak, wróżbitów, przepowiedni astrologicznych, głębokiej wody, ognia i pożaru, powodzi, pleśniawek, nędzy, błyskawic, dzieci z próbówki, rdzy, szpitali, prowadzenia samochodu, pływania, latania i starzenia się. Podobnie jak jej tłusty, bladej kochanek nie czyta nigdy książek. Nie ma już pracy: i nie ma forsy. Ma dwadzieścia dziewięć albo trzydzieści jeden lat, a nawet możliwe, że trzydzieści trzy. Bardzo się ze wszystkim zapóźniła – i dobrze o tym wie. Będzie musiała zrobić jakiś ruch, i to w miarę szybko.

Niekoniecznie wierzę Alecowi, ale nigdy nie będę wierzyć Selinie, to pewne. Wedle mojego rozeznania, z dziewczyną sprawa ma się tak: nigdy nic nie wiadomo. Nigdy. Nawet jeśli przyłapiesz ją, że tak powiem, in flagranti – w środku lotu, przerzuconą saltem przez podglówek fotela głową w dół i, powiedzmy, szorującą swe białe ząbki kutasem twego najlepszego przyjaciela – nigdy nic nie wiadomo. Z oburzeniem wszystkiemu zaprzeczy. Z najświętszym przekonaniem. Trzyma kutasa jak mikrofon przed twoim nosem i wmawia ci, że masz przywidzenia.

Wiemy byłem Selinie Street przez ponad rok – Bóg mi świadkiem. Tak, byłem. Próbuję nie być – ale z mizernym skutkiem. Nie potrafię znaleźć nikogo, z kim mógłbym ją zdradzić. Dziewuchy nie chcą tego, co mam im do zaferowania. Potrzeba im uczuciowego zaangażowania, szczerości, sympatii i zaufania i wielu jeszcze innych rzeczy, których zdaje mi się naprawdę brakować. Już dawno wyrosły z okresu, kiedy poszłyby do łóżka z kimkolwiek, ot tak, dla hecy. Również Selina minęła ten etap dawno temu. Kiedyś szła chętnie, to fakt, słyszę z tego. Ale teraz ma na głowie troskę o swoją przyszłość. Musi się zabezpieczyć, musi pomyśleć o forsie. Ach, Selino, daj spokój. Powiedz, że to wszystko nieprawda.

Nieźle natyrałem się dziś rano nad telefoniczną konsolką – i nieźle trzeba będzie zabulić. Ogłuszony kofeiną, byłem po prostu przegrzany robotem, tykającą, podłączoną pod wysokie napięcie siatką splecioną z różnicy czasu, jet-lagu i kaca. Telefon był starożytny: na tarczę. Palce miałem tak obolałe i pogryzione, że każdy guzik od koszuli zdawał się z rozgrzanej cyny... Po pewnym czasie, gdzieś w połowie tej sesji, kręciłem tarczą małym palcem lewej ręki.

– Numer pokoju, proszę – brzęczała jednostajnym, ucukrzonym głosem telefonistka, raz po raz, raz po raz. – To znowu ja – mówiłem bez końca. – Pokój sto jeden. To ja.

Próbowałem wpięrować – i jeszcze wielokrotnie – własny domowy numer. Selina ma do mnie komplet kluczy. Wpada i wypada, wciąż gdzieś ją nosi... Gdy dzwoniłem do jej mieszkania, odbierała to Mandy, to Debby, jej tajemnicze współlokatorki. Dzwoniłem do jej dawnej pracy. Dzwoniłem do szkółki, gdzie chodzi na lekcje tańca. Zadzwoiłem nawet do jej ginekologa. Nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Równolegle przeczesywałem powietrzne korytarze w poszukiwaniu Aleca Llewellyna. Rozmawiałem z jego żoną. Rozmawiałem z trzema z jego przyjaciółek. Rozmawiałem z jego kuratorem sądowym. Nie miałem szczęścia. Chłopie, ładne to dla mnie pocieszenie, tutaj, pięć tysięcy kilometrów od domu.

Znowu zaszczekał pies. Moja twarz, pomiędzy grubymi, czerwonymi uszami, poczuła się mała i zagubiona. Na chwilę osunąłem się bezradnie i z natężeniem wpatrywałem się w telefon. Wytrzymał kilka sekund i zadzwonił. Było dla mnie oczywiste, że to musi być ona, i szybko rzuciłem się ku mojej dziewczynie.

– Tak?

– John Self? Tu Caduta Massi.

– Nareszcie – powiedziałem. – Caduta, co za zaszczyt.

– John, jak miło cię słyszeć. Ale zanim się zobaczymy, chcę parę spraw wyjaśnić.

– Na przykład?

– Na przykład, ile, twoim zdaniem, powinnam mieć dzieci?

– No... sądzę, że tylko to jedno.

– Nie, John.

– Więcej?

– Dużo więcej.

– To znaczy, ile?

– Myślę, że dużo, John.

– No dobrze. Pewnie. Czemu nie. Więc ile? Jeszcze dwoje, troje?

– Zobaczymy – posiedziała Caduta Massi. – Cieszę się, że przychyłasz się do mojego zdania, John. Dziękuję ci.

– Nie ma za co.

– Aha, jeszcze jedno. Myślę, że powinnam mieć niańkę, siwowłosą panią w czarnej sukni. Ale to nie takie ważne.

– Ma się rozumieć.

– I jeszcze jedno. Nie uważasz, że powinnam zmienić imię?

– Na jakie, Caduta?

– Jeszcze nie wiem. Lecz na nieco odpowiedniejsze.

– Jak sobie życzysz, Caduta. Posłuchaj: zobaczymy się.

Po tej rozmowie zamówiłem cały wózek koktajli i kanapek. Ten sam czarny chłopak wparował z gracją do pokoju. W napiętych palcach trzymał srebrną tackę. Nie miałem drobnych, więc wsunąłem mu piątkę. Spojrzał na trunki, potem na mnie.

– Proszę się poczęstować – powiedziałem, podsuwając mu szklanę.

Pokręcił głową, starając się powstrzymać uśmiech, odwracając ruchliwą twarz.

– O co chodzi? – zapytałem chłodno, pijąc sam. – Trochę za wcześnie?

– Miał pan wczoraj imprezę? – zapytał. Nie potrafił unieruchomić swej twarzy na dłużej niż parę chwil.

– Jak się nazywałeś?

– Felix.

– Nie, Felixie – wyjaśniłem. – Bawiłem się sam.

– ...Ma pan imprezę teraz?

– Tak. Ale też tylko sam. A niech to. Mam takie problemy, że nawet byś nie uwierzył. Mam inny zegar niż ty, Felix. Dla mnie to już prawie wieczór.

Podniósł okrągły podbródek i pokiwał sztywno głową..

– Wystarczy spojrzeć na ciebie, człowieku – powiedział – żeby zobaczyć, że nigdy

się nie zatrzymasz.

Tego dnia nie próbowałem już więcej niczego. Wypiłem trunki i wsunąłem żarcie. Ogoliłem się. Zwaliłem konia, mając przed oczami ostatnią noc z Seliną. No, powiedzmy, próbowałem. Nie pamiętałem wiele, a poza tym wszyscy ci faceci wpięprzali się, jeden po drugim... A więc z obolałym zębem przepulsowaliśmy parę godzin przed telewizornią – siedziałem oszołomiony, mruczając coś sobie jak przeterminowany duch, ledwo zipiący po nocnym straszaniu – wlepiając ślipia w sport, opery mydlane, santabarbarę i dynastie, reklamy, wiadomości – cały ten inny świat. Najlepszy był *show-variétés*, prowadzony przez prezentera-emeryta, który miał już z górki, gdy byłem jeszcze dzieciakiem. Zadziwiające, tylko pomyśleć, że tacy faceci wciąż jeszcze się pałętają, wciąż jeszcze zipią, nie mówiąc już o ich szmalu. To już stara gwardia, teraz już takich nie produkują. Zaraz, zaraz, nie mędz, spójrzmy dokładnie: właśnie teraz, w naszym 1981 roku, dopiero teraz potrafią takich wypitrasić. Przedtem nie byli w stanie: nie posiadali odpowiedniej technologii. Jezu Chryste, jak tego starego pryka posklejali i pozszywali w kosmiczno-kosmetycznych laboratoriach – dzieło sztuki, istny cud! Blask mostków i koronek – jubilerska robota! – pasuje jak ulał do falbankowego gorsu. Iskrzące szkła kontaktowe płoną tygryσιο-zielonym ogniem. Sprawdźcie też opaleniznę tego mamuta, najlepsza olejna farba. Wygląda wspaniale, sam cymes. Fryzurka a la Latino paruje witaminkami. Małe, fałszywe uszka są ostre i mięsiste, mniam-mniam. Kiedy wpłynie mi cała kasa, którą mam zrobić, i skoczę do Kalifornii na obowiązkowy, ciężko zapracowany, zasłużony remont, jaki sobie obiecałem, wymienię tylko imię właściciela tych starych, zielonych oczu, i kładąc się na stół wyjaśnię tamtejszym medykom: „To. Właśnie tego chcę. Zróbcie mi coś takiego”... Ale teraz ten antyczny android wyciąga jak z cylindra coraz to starsze zabytki, a wszystkie rzeźkie, odszykowane, ołśniewające chromem, prawdziwy wodewil wysmokingowanych, odremontowanych kutasów o ksywkach takich jak Pan Muzyka i Rozrywka we Własnej Osobie. Chwileczkę. Przecież wiem, że jeden z nich nie żyje już od paru dziesiątek lat. Gdy o tym pomyśleć, cały show ma mdlący posmak sztuczności, spreparowanej relacji z ceremonii pogrzebowej – w poświęceniu cmentarnej poczekalni lśni sztywny trup. Przełączałem kanały i siedziałem przed ekranem pocierając twarz. Oglądałem teraz wulkaniczny krajobraz złomowiska samochodów, postrzępione góry żelastwa prasowane przy akompaniamencie tinnitusa, nowoczesną nekropolię zużytych amerykańskich bogów. Telefonowałem, ale nikt nie podnosił słuchawki.

Czas mijał, aż nadeszła pora wyjścia. Wlaziłem w moje obszerne, workowate ubranie i odgarnąłem włosy z twarzy. Odebrałem tego popołudnia jeszcze jeden telefon. Był

dziwny, bardzo osobliwy. Opowiem o tym później. Jakiś nawalony świr. Nic ważnego.

Gdzie jest Selina Street? Gdzie się podziewa? Wie, gdzie ja jestem. Mój numer wisi w kuchni na ścianie. Co teraz robi? Co robi, żeby skombinować trochę forsy? Kara – tylko tak można to nazwać. Odbywam tu właśnie karę.

Proszę tylko o jedno. Jestem wyrozumiały. Jestem dojrzały. I nie proszę o wiele. Chcę wrócić do Londynu i odnaleźć Selinę – i chcę być sam z moją Seliną – a niech tam, nawet nie muszę być z nią sam, chcę tylko być przy niej blisko, na tyle blisko, żeby czuć zapach jej skóry, żeby ujrzeć nakrapianą piegami siateczkę okalającą jej zielonkawę oczy, ujrzeć rzeźbę jej przebiegłych ust. Tylko przez chwilę, przez parę cennych sekund. Tylko przez chwilę, żebym zdążył jej dobrze przyłożyć. Ładnie i zdrowo, raz a dobrze. Nie proszę o więcej.

No i muszę teraz wyjść na miasto, by spotkać się z Fieldingiem Goodneyem w hotelu „Carraway” – z Fieldingiem, moim bankierem, kontaktmenem i kumplem. On jest powodem, dla którego tutaj jestem. A ja jestem powodem, że on jest tutaj. Zakosimy razem dużo forsy. Zrobić górę forsy – to wcale nie takie trudne, wierzcie mi. Za dużo w tym szumu i przesadyzmu. Zrobić kupę forsy, to tyle, co splunąć, to betka. A teraz uważajcie.

Szerokimi schodami wyszedłem na ulicę. W górze promieniała oceaniczna jasność: na płaskim, błękitnym niebie widniały chmurki naszkicowane zachwycająco zręczną i pewną ręką. To się nazywa talent. Lubię widok nieba i często się zastanawiam, co bym bez niego robił, gdzieżbym się podziewał. Wiem: byłbym w Anglii, gdzie nieba nie mamy. Jakiś fizjologiczny fuks – wynik rozgrywki pomiędzy używką-trucizną a chemizmem ciała w nafaszerowanym dymem pokoju – sprawił, że poczułem się świetnie, naprawdę dobrze. Manhattan stroił swe napięte struny w kwietniowym ozonie, prężąc się na lipcowy ukrop i ogniste bicze sierpnia. Przespacerujemy się, pomyślałem sobie, i ruszyłem przez miasto.

Z męskiej Madison Avenue (opiętej jak kamizelka do gry w snookera) skręciłem w lewo i skierowałem się na północ, ku swobodzie i nieskończonym zasobom powietrza. Samochody i taksówki ciskały w siebie nawzajem głośne przekleństwa, szukając guza, gotowe do bójki. I te ulice z ich ekscentrycznym personelem. Oto uliczni artyści. Na rogu Pięćdziesiątej Czwartej wielki, czarny typas wił się i wykrzywił za szkłem i stalą telefonicznej budki. Przechodził tam ciężkie terminy, to przynajmniej było widoczne. Walił raz po raz błądą, mięsistą dłońią w rozpalony metal zewnętrznej ścianki budki. Krzyczał – ale co, tego już nie wiem. Założę się, że chodziło o forszę. Zawsze

chodzi o forszę. Czasem o narkotyki, kobiety. Pod ulicą w podziemnych tunelach wytapetowanych kablami czy w abstrakcyjnych korytarzach powietrznych nieba – ileż to przemocy buzuje w Nowym Jorku? I jak się gwałt i przemoc w tym mieście rozkładają, wyrównują? Wygląda na to, że kiepsko. Każda linia łącząca dwoje kochanków napina się i płącze pomiędzy stu innymi, wymieniającymi jedynie świństwa i groźby... Potrafiłem uderzyć kobietę. Wiem, wiem: to nieładnie, to już niemodne. I, co zabawne, całkiem na swój sposób trudne. A wy – czy robiliście to kiedykolwiek? Dziewczęta i panie – czy kiedykolwiek dostałyście po buzi? Uderzyć kobietę nie jest łatwo. To poważny krok, zwłaszcza po raz pierwszy. A potem wszystko staje się łatwiejsze. Po pewnym czasie bicie kobiet jest proste jak toczenie gładkiego pnia. Ale chyba już starczy. Chyba lepiej z tym skończyć, któregoś dnia, kiedyś... Tymczasem, akurat gdy mijałem budkę, czarnuch wepchnął z trzaskiem słuchawkę w obudowę aparatu i wychylił się w moją stronę. Ale opadła mu głowa i trzepnął raz jeszcze metalową ściankę, choć tym razem słabiej. Nade mną żarzył się czas, pulsowały języki ognia.

Gdy trochę po szóstej dotarłem do hotelu „Carraway”, Fielding Goodney czekał już w sali „Dimmesdale”. Wyprostowany pośród krzywizn i łuków krzesel i foteli, stał w czeluściach tej szklanej groty odwrócony tyłem, z dwoma omdlałymi palcami wzniesionymi ku górze, w geście ostrzeżenia czy żądania. W matowym lustrze jego twarz pobladła, nabrała jakby stalowej barwy. Barman o niskim czole, z miną pełną odpowiedzialności, odbierał polecenia.

– Tylko lekko schłodzić – słyszałem głos Fieldinga. – Nie chcę żadnego lodu w szklance, zgoda? Po prostu ciut go przepłucz.

Odwrócił się i natychmiast uderzyło mnie jego zdrowie, jego cera – wypielęgnowana kalifornijska cera w kolorze masła orzechowego.

– Cześć, Slick! – zawołał i wyciągnął do mnie rękę. – Kiedy się zameldowałeś?

– Żebym to wiedział. Wczoraj.

Spojrzał na mnie z dezaprobatą.

– Latasz turystyczną?

– Czekam na rezerwę.

– Bul więcej forsy, Slick. Lataj pierwszą klasą albo concordem. Turystyczna zabija. To fałszywa oszczędność. Nat? Nalej no mojemu przyjacielowi Króla Deszczu. Lód tylko przepłucz. Spoko. Slick, wyglądasz prima. Mam rację, Nat?

– Tak jest, panie Goodney.

Fielding oparł się o luksusowy fornir, z satysfakcją rozkładając swoją wagę na dwa łokcie i długą, jankeską nogę. Spojrzał na mnie peszącym wzrokiem, nazbyt szczerymi,

chabrowymi oczami, które stały się modne po pierwszej fali amerykańskich gwiazd w technicolorze. Jego gęste, nie ścieniowane włosy odrzucone były do góry z wysokiego, śmiesznego czoła. Uśmiechał się... Jako Anglik muszę powiedzieć, że jednym z plusów Nowego Jorku jest to, iż będziesz się tu zawsze czuł, jakbyś był inteligentniejszy i lepiej wykształcony, a w twoich żyłach płynęła błękitna krew – to znaczy, przechodząc Czterdziestą Drugą Ulicą albo przez Union Square czy nawet przez Szóstą Aleję – w południe, gdy kłębi się tam od urzędników o twarzach jak pudełko na drugie śniadanie, śpieszących się urzędników z rozbieganymi oczami – poczujesz się jakby bardziej wyrafinowany. Otóż Fielding nie dostarcza mi takich odczuć. Za grosz.

– Ile masz lat? – zapytałem go.

– W styczniu skończę dwadzieścia sześć.

– Jezu Chryste.

– Niech to cię nie deprymuje, John. Masz swojego drinka.

Nat, mrużąc brwi, jak na rozkaz podsunął mi szklanę. Napój wydawał się ciężki niczym rtęć.

– Co to za ciecz?

– To powiew letniego nieba, Slick... Wciąż jeszcze oklapły, co? – Położył ciepłą, opaloną dłoń na moim ramieniu. – Usiądźmy, dobrze? Nat: nie zamykaj źródelka.

Poszedłem za nim do stolika, uspokojony tym ludzkim gestem. Fielding poprawił mankiety koszuli i zapytał:

– Jakie nowe przemyślenia o małżonce?

– Waśnie rozmawiałem z Cadutą Massi.

– Bez żartów? Osobiście do ciebie dzwoniła?

Wzruszyłem ramionami:

– Dziś po południu.

– Musiała ją przypilić. To boskie. I co mówiła?

– Że chce mieć furę dzieci.

– Co takiego?!

– W filmie. Chce kupę dzieci.

– Wszystko pasuje – orzekł Fielding. – Mówią, że się skrobała. Ma gdzieś pod trzydziestkę. Pobożna katoliczka, ale i niezła sztuka. Rozumiesz... żadnych więcej aborcji.

– Słuchaj. Sam nie wiem. Jest chyba trochę za stara, prawda?

– Widziałeś *Dziwną siostrę*?

– Tak... Koszmar.

– Owszem. Film do bani, ale Caduta boska.

– No właśnie. Wyglądała jak przechodzona gwiazda. Nie tego nam trzeba. Chcę jedną z tych...

– Chciałem jednej z tych aktoreczek nowej generacji. Wyglądają jak przeciętna, niedopieczona gospodyni domowa. Krytycy wypisywali w kółko, jakie te aktorki są seksowne i prawdziwe. Dla mnie nie były seksowne, ale przynajmniej prawdziwe. Tak podpowiadał mi instynkt, a tylko on mi już pozostał. – Kogo więc jeszcze mamy? Co powiesz na Happy Johnson?

– Nic z tego. Odesłano ją do świrowni.

– Co się stało?

– Głęboka depresja, chyba katatonia. Dziewczyna jest naprawdę do niczego, Slick.

– No dobra, a Sunny Ward?

– To samo: do kasacji. Tłusta maciora. Sto dziesięć kilo żywej wagi.

– Au!... Okej, Day Lightbowne.

– Zapomnij. Dopiero co przesła dwuletnią psychoanalizę. A zaraz potem zgwałcił ją na randce weekendowy terapeuta.

– Zgwałcił na randce, tak? Co to za numer? Bananem, te rzeczy?

– Zgwałcił na randce. Na randce, rozumiesz? Pamiętasz? To ciekawe rozróżnienie. Przy zwykłym gwałcie nie ma mowy o pożądaniu. Chodzi o demonstrację siły, samopotwierdzenie, przemoc. Ci nieudacznicy są na ogół impotentami. A w gwałcie na randce mamy czynnik pożądania. – Umilkł na chwilę, potem ciągnął dalej: – Tak czy owak, naszą Day Lightbowne wyrzucił na strzępy jej psychiczny doradca, no i wypadła z obiegu. Mówię ci, Slick: Caduta! Będzie doskonała. Przemyśl to jeszcze. Rozmawiałeś już z Łomem?

– Owszem.

– Lorne przechodzi bardzo trudny okres.

– Chyba, kurna, żartujesz.

– Rwie mu się kariera, a jeszcze wybulił osiemdziesiąt kafli na piękne ząbki. Kiepsko z nim.

– Kiepsko? To jak się miewa, kiedy jest na topie? Dwie godziny brzęczał mi w słuchawkę. Słuchaj, Fielding, on upiecze mnie żywcem. Nie poradzę z nim sobie.

– Spoko, Slick, zachowaj zimną krew! Posłuchaj! Lorne Guyland odda wszystko za rolę w tym filmie. – Widziałeś *Zgodę cyborga*?

– Nie.

– Pookie trafia na ślad? Dynamitowego palanta?

– Wiesz dobrze, że nie.

– On teraz weźmie wszystko. Kosmiczna opera, film drogi, rimejki westernów, śmiecie dla telewizorni. Agent przytroczy go do konia i pogna przed siebie. To pierwsza prawdziwa rola, która mu się trafia od czterech, pięciu lat. Świruje za nią.

– No to po kiego nam na nim zależy?

– Zaufaj mi, Slick. Guyland nadaje towarowi markę. Bo prawda jest taka, Slick, że żaden film z Łomem Guylandem nie przyniósł jeszcze strat. Lorne jest kasowy i w telewizji, i w kablu, i na wideo. Podnosi sprzedaż o jakieś pięćdziesiąt procent, to znaczy zbijamy forszę na Tajwanie i w Gwadelupie. Mam kupę starych pierdzieli, którzy trzymają z pół bańki w materacu. Nie wybułą szmalu na jakiegoś Christophera Meadowbrooka, Spunka Davisa czy na jakąś Butch Beausoleil. Nigdy o nich nie słyszeli. Ale wybułą na Guylanda. Lorne to nasz człowiek, Slick. Staw czoło prawdzie.

– To świr, szajbus. Jak sobie z nim poradzę?

– W ten sposób: powtarzaj mu, że zrobisz wszystko, czego zapragnie, a gdy przyjdzie pora, nie kiwniesz nawet palcem. Jeśli zacznie świrować, kręcisz scenę, a potem gubisz ujęcie. Montaż należy do ciebie. Masz moje słowo.

Cóż, zdawało się, że to ma sens. Więc mówię:

– A jak z mamoną?

– Forsa – zamyślił się Fielding. – Forsa jest boska. Uprawiasz jakieś sporty, Slick?

– Sporty? Pewnie.

– Na przykład?

– No wiesz... Trochę pływam. Trochę gram w tenisa.

– Serio?

Kazał podać rachunek. Sięgnąłem do kieszeni spodni po wymięte banknoty. Fielding lewą ręką stanowczo chwycił mnie za przegub. Wstając, zobaczyłem, że wyciągnął pięćdziesiątkę – jedną z wielu złączonych lśniącem spinaczem.

Na Fieldinga czekał samochód – sześciodrzwiowy autocrat, długi na pół ulicy, z szoferem w pumpach i czarnym gorylem. Zabrał mnie do starego, gangsterskiego steakhouse'u na Wzgórzach. Było cudownie. Rozmawialiśmy o forsie. Przy jego kworum inwestorów cała impreza wyglądała w pyłę. Ołać to wszystko, pomyślałem, w najgorszym razie jego tatunio weźmie rachunek na siebie. Tatko Fieldinga nazywa się Beryl Goodney i należy do niego pół Wirginii. A mamuśka chyba też ma na imię Beryl i zawiaduje drugą połową. Fielding milczy jak grób o własnym szmalu, ale chciałbym kiedyś spotkać bardziej kłującego po ślepiach chciwusa: ma całą kupę dobra,

a chce jeszcze więcej, dużo więcej... „Podchodząc do sprawy generalnie, Slick, co ty właściwie wiesz o pieniądzach?” Odpowiedziałem: bardzo niewiele. „Posłuchaj więc” – zaczął.

I już nie można go było zatrzymać, jego głos furczał teraz pełnym uniesienia koneserstwem, śmigły paralele i precedensy, włoski system bankowy, płynność finansowa, wiarygodność, preferencje, hiperinflacja, syndromy, bessy i hossy. Wielki Krach dwudziestego dziewiątego roku, amerykańskie korporacje, powaga i dostojeństwo bankowej architektury. La Salle i Wall Street, samobójcze skoki z okna... A ja zastanawiałem się, czy Alec zobaczył ten martwy kwiatek w słoiku po dzemie tuż przy łóżku Seliny albo usłyszał, jak siusia nucąc sobie w zacisznej łazience – opuszczone, czarne spodnie pętają jej łydki jak drut. Z dziewczynami i najlepszymi przyjaciółkami rzecz sprowadza się do jednego. Zawsze próbuję wyobrazić sobie także przyjaciółki moich przyjaciółek. Na pewno myślę wtedy o Debby i Mandy, no i o tej Helle z butiku, z którą Selina się często widuje. Może dlatego rozmyśla się o przyjaciółkach swojej dziewczyny, bo mają z nią wiele wspólnego. Bardzo są do niej podobne, z pewną drobną różnicą: nie łączysz z nimi na okrągło do łóżka. W wyrku dadzą ci to, czego nie da ci nigdy własne dziewczę: odmianę od własnego dziewczęcia. A tego nie da ci nawet Selina. Czy Alec ją różnie? No, jakie jest wasze zdanie? Czy oddaje mu te wszystkie milutkie przysługi? Możliwe, prawda? A oto moja teoria: Nie sądzę. Nie sądzę, żeby Selina pieprzyła się z Alekiem Llewellynem. Dlaczego? Bo on nie ma grosza przy duszy. Ja mam. Noj powiedzcie, dlaczego Selina wytrwała ze mną tak długo? Jak myślicie – dla mojego brzucha, wyliniiałych kудłów, osobowości? Chyba nie robiła tego dla zdrowia, co...? Powiem wam, te rozważania naprawdę podniosły mnie na duchu. Wiecie, jak to jest, gdy przyciśnie bieda. Kiedy zakoszę całą forszę, którą przecież zakoszę, moje akcje u Seliny jeszcze wzrosną. Wtedy będę mógł dać jej kopniaka w tyłek i znaleźć sobie kogoś lepszego.

Fielding podpisał czek. Ja podpisałem kilka kontraktów, kierując ku sobie coraz więcej szmalu.

Wysadził mnie na Broadwayu. Jest jedenasta. Co może robić samotny, dorosły samiec nocą na Manhattanie? Chyba tylko szukać guza albo pornografii.

Jeśli chodzi o mnie, to spędziłem na Czterdziestej Drugiej Ulicy cztery godziny poświęcone samodoskonaleniu, dzieląc czas pomiędzy salon gier kosmicznych a sąsiedni gogo-bar w suterenie, z tańczącymi gırlaskami. W salonie gier proletariackie duchy nowojorskich nocy, owi czciciele mroków, których przerażone twarze odbijają

się w ekranach automatów, sterczą nad konsolami w zgarbionych, zastygłych pozach. Wyglądają jak człekokształtne mutanty kretów i nietoperzy, doczepione do całego galimatiasu wajch, anten i przycisków, do wibrującego furkotu i jazgotu krępych, przysadzistych robotów nowej generacji, które pobawią się z tobą, jeśli im za to zapłacisz. A nawet będą mówić – też za opłatą. Launch Mission, Circuit Completed, Firstorm, Flashpoint, Timewarp, Crackup, Blackout! Znajdujące się w tym pomieszczeniu istoty – dzieciaki, włóczędzy, samotnicy – to duchy kopalnianych szybów nowej ery. Ich dziadkowie pracowali na pewno pod ziemią. Wiem, że było tak z moimi. Zaś w gogo-barze mężczyźni i kobiety przeciwstawieni zostali sobie na wieczność, oddzieleni murem napojów, napełnioną trucizną fosą wzdłuż której przechadzają się świrnięte stare matrony i warczący wykidajłowie.

O wół do dwunastej, czy coś koło tego, stara barmanka powiedziała:

– Widzisz? Mówi do ciebie. Cheryl mówi do ciebie. Chcesz postawić jej drinka?

Zapłaciłem dziesiątaka i nie odezwałem się ani słowem. Stara barmanka w brązowym kondomie wyglądała na siostrę wczorajszej matrony. To właśnie moje życie: wszystko wciąż się powtarza. To prawda, że cipeczki na podium dostarczały niezgorszej rozrywki. Tańczyły z gołymi tyłkami. W pierwszej chwili pomyślałem, że muszą im za to bulić więcej forsy. Ale gdy zobaczyłem, w jakim stanie jest cały ten lokal i w jakim stanie są te smętne dupeczki, zrozumiałem, że muszą dostawać mniej, dużo mniej.

Dwie godziny później łąziłem w kółko po Times Square, szukając okazji, żeby spuścić trochę forsy. I proszę. Podchodzi młoda bardzo kurewka. Wsiedliśmy do taksówki i pojechaliśmy na zachód, w kierunku centrum, mijając Chelsea. Spojrzałem na nią tylko raz czy dwa w tej szarpiącej gablocie. Miała śniadą cerę, wargi w kolorze krwi, a włosy zbyt potargane, by mogły błyszczeć. Pocieszałem się w myśli, że oprócz flakonika „Je Rêve”, kartonu „Executive Lights” oraz paru siniaków, przywiozę w podarku Selinie ponurego wenerycznego psuja: Opryszczkę I, Opryszczkę II, Opryszczkę Filmową Gwiazdę. Przypominam sobie nędzny hall jakiegoś prosperującego domu noclegowego. Zapłaciłem za pokój od frontu. Zaprowadziła mnie na górę. Wspomniała o czterdziestu dolarach i suma ta została przeze mnie zaakceptowana. Zaczęła się rozbierać – ja także. Nagle zatrzymałem się.

– Przecież jesteś w ciąży... – pamiętam, że wypowiedziałem te słowa z dziecinnym, szczeń rym zdziwieniem.

– Nic nie szkodzi – zapewniła.

Wpatrywałem się w jej silny, lśniący brzuch. Oczekiwałem, że będzie tak miękki, a wyglądał na umięśniony, mocny i twardy.

– Właśnie, że szkodzi. – Kazałem jej ubrać się i usiąść na łóżku. Trzymałem ją za rękę i przysłuchiwałem się sobie samemu nadającemu przez półtorej godziny jakieś smuty. Cały czas potakiwała. Dałem jej przecież forszę. Więc nawet trochę słuchała: nie była to ciężka praca, chyba nie. Pod koniec przyszło mi do głowy, że mógłbym próbować ją wrobić w obtarganie mi druta. Zgodziłaby się chętnie, nie ma obawy. Była do mnie podobna, całkiem taka jak ja. Wiedziała, że nie powinna czegoś robić, wiedziała, że powinna się zatrzymać. Ale nie – brnęła dalej i dalej. A ja – nie mogłem nawet obwinać forsy. Cóż to za stan – że widzisz różnicę pomiędzy dobrem a złem, a mimo to wybierasz zło – albo po prostu przymykasz na nie oczy, starasz się je wybielić?

Ale nic nie nastąpiło. Wcisnąłem jej jeszcze dychę na żółtą taryfę. I odeszła – w poszukiwaniu następnych mężczyzn, następnych pieniędzy. Wróciłem do hotelu i tak jak stałem, rzuciłem się na wyro, kimnąłem w głęboki sen, drugą już noc z rzędu w tym mieście, gdzie wszystko, począwszy od zamków i kontaktów, działa na odwrót, i gdzie syreny puszczają ci bluzgi, wrzeszczą: „hej ty tam!”, „siup!” i au-au-au...

Moja głowa jest całym miastem i rozmaite bóle zamieszkały w tej czy też innej dzielnicy twarzy.

W górnych, zachodnich rejonach ból dźwięków i przyzębia założył mieszkaniową kooperatywę.

Po drugiej stronie parku, we wschodnim, modnym sektorze siedemdziesiątek, newralgia wynajęła elegancki, dwuetażowy apartament. W sercu miasta, w downtownie, na południu, pulsują domy towarowe podbródka całymi piętrami dumpingowego śmiecia. Mózgownica, gdzieś w rejonie setek, to już Harlem, płonący letnim żarem. Gotuje się i pęcznieje. Któregoś dnia weźmie i wybuchnie.

Z pamięcią są hecne historie, prawda? Co nie? Nie zgadzacie się? Ja również. Pamięć nie wydawała mi się nigdy czymś zabawnym, a w miarę, jak się starzeję, jej sztuczki stają się dla mnie coraz bardziej męczące. A może pamięć wcale się nie zmienia, lecz wraz z upływem dni mniej ma do roboty. Nie, pamięć mam w dobrej formie, tak mi się zdaje. Tyle tylko, że moje życie staje się coraz mniej godne spamiętania. Przypominasz sobie, gdzie zostawiłeś klucze? A niby dlaczego miałbyś pamiętać o takich pierdołach? Albo gdy, leżysz sobie w wannie w ospałe popołudnie – możesz sobie przypomnieć, czy umyłeś już palce u nóg? Weźmy, na przykład, szczanie – jakież to nudne, gdy odlewasz się po raz któryś tam tysięczny z rzędu! Nie potrafię spamiętać połowy rzeczy, które robię. Ale tak bardzo mi na tym nie zależy.

Na przykład teraz, spacerując w południe, mam silne odczucie, że rozmawiałem

w nocy z Seliną. To do niej podobne, żeby nawiedzać mnie podczas nocnych godzin, kiedy jestem słaby i zestrachany. Selina wie dobrze coś, o czym każdy powinien już teraz wiedzieć. Wie, że ludzi łatwo jest wystraszyć, łatwo nawiedzać i napastować. Łatwo człowieka przerazić. Mnie także, a jestem odważniejszy od wielu. A w każdym razie bardziej pijany. Zeszłego wieczoru wdałem się w awanturę. Powiedzmy sobie szczerze: cacy ze mnie chłopiec, gdy sobie słodko śpię. Zaczęło się to w barze, a skończyło na ulicy. Sam zacząłem rozróbę. I skończyłem ją, na szczęście, w porę. Typas był znacznie silniejszy, niż zdawało się w pierwszej chwili... Nie, nie, Selina nie dzwoniła, do mordobicia nie doszło. Przecież bym zapamiętał. W kiepskiej mam formie serducho i cały czas to czuję, ale to nowy rodzaj bólu, ściska mnie w pompie jak drań. Nie przypuszczałem, że Selina ma takie zdolności nasyłania na mnie bólu. To poczucie bezradności, gdy jestem z dala od domu. Słyszałem powiedzenie, że odległość roztkliwia serce. I myślę, że to prawda. Z pewnością brakuje mi aktywności seksualnej. Próbuję przypomnieć sobie ostatnie słowa, jakie do niej skierowałem, a może były to jej słowa do mnie – w noc przed odjazdem. Nie były chyba aż tak ciekawe ani też warte zapamiętania. A kiedy obudziłem się następnego dnia, żeby przygotować się do podróży, już jej nie było.

Kwadrans po dwunastej wparował znów Felix, przynosząc na tacy trzymanej na wysokości ramienia parę koktajli. Nie ma dwóch zdań, że piję też za dużo kawy.

– Dzięki, przyjacielu – wsunąłem mu dychę.

O zaraz, póki pamiętam – nie powiedziałem wam jeszcze ani słowa o tym moim tajemniczym rozmówcy, prawda? A może już coś mówiłem? No właśnie, zgadza się, zdałem dokładną relację. Zgadza się. Jakiś nawalony świr. Nic ważnego... Zaraz, zaraz, a jednak przekłamałem. Nic wam o tym nie mówiłem. Bo przecież bym pamiętał.

Wczoraj po południu. Robiłem to samo, co teraz. To jedno z moich ulubionych zajęć – można by nawet powiedzieć, że hobby. Leżałem więc na łóżku, popijając koktajle i gapiąc się w ekran, a wszystko odbywało się jednocześnie... Telewizja kretylizuje mnie – czuję to wyraźnie. Niedługo będę taki sam jak ci telewizyjni artyści. Wicie, o kogo mi chodzi. Dziewuszki podświadomie modelujące się na prezenterki dziecięcych programów, rozbrzmiewające fałszywą melodią i radością, Melodią i Radością. Faceci, których sposób bycia jest zapačkany sztuczną pozą lektorów wiadomości, zaciekami po mydlanej operze nędznego filmu. Albo będę jak te skretynizowane cieniasy, co to trajlują w autobusie czy na ulicy, jak gdyby telekuku było rzeczywistością, co to wydzwanają po telewizyjnych redakcjach z kretyńskimi pytaniami i jeszcze dziwaczniejszymi zdaniami... Jeśli wypadają ci kudły, mozesz sobie sprawić perukę. Jeśli zgubisz

gdzieś własny śmiech, możesz sobie sprawić sztuczny. Jeśli wsiąknie ci gdzieś mózgowica, też fundniesz sobie protezę.

Zadzwonił telefon.

– Tak?

Była cisza – nie, nie tyle cisza, co jakiś spierzchnięty, wysuszony gwizd, posepny i odległy, podobny do dźwięku, jaki zamieszkał w mojej głowie. A może był to dźwięk zrodzony w Atlantyku, z całej jego masy i przestrzeni.

– Halo? Selina? Powiedz coś, na rany Jezusa. Kto płaci za tę rozmowę?

– Forsa – powiedział męski głos. – Zawsze forsa, tylko forsa.

– Alec? Kto mówi?

– To nie Selina, stary. Nie jestem Seliną. Czekałem.

– No cóż, nie jestem kimś specjalnym. Tylko facetem, któremu popierdoliłeś życie. Oto, kim jestem.

– Kim jesteś? Wcale ciebie nie znam.

– No proszę. Ten człowiek mówi, że mnie nie zna. A ilu to facetom spieprzyłeś ostatnio życie? Może powinienś prowadzić kartotekę.

Skąd dzwonił? Może hotelowa telefonistka będzie coś wiedzieć. Czy spierdoliłem komuś ostatnio życie? Nic sobie nie przypominam...

– Posłuchaj – powiedziałem zdecydowanie – komu to wszystko potrzebne? Odkładałem słuchawkę.

– POCZEKAJ! – zawołał, i pomyślałem natychmiast z ulgą: musi być psychiczny. Więc nie ma właściwie problemu. Nie moja wina. Wszystko w porządku, wszystko gra.

– No dobra, mów, co ci leży na sercu.

– Witaj w Nowym. Jorku – zaczął. – Lot numer 666, pokój 101. Dziękuję ci, że wybrałeś linie Trans-American. Nie zadzieraj z taksiarzami, nie szarp się z pi jusami. Nie łaż na Dziewięćdziesiątą Dziewiątą Ulicę. Nie szlajaj się po topless-barach. Chcesz postawić drinka tej dziewczuszce Dawn? Trzymaj się z daleka od tych porno-shopów, do których lecą ci ślipia. Bo zgłupiejesz. Zalej się w trzy dupy na nasze spotkanie.

I oddaj mi moją pieprzoną kapuchę.

– ...Hej, zaraz, poczekaj! Kim jesteś?

Odpowiedziała głucha cisza. Odłożyłem słuchawkę i podniosłem ją znowu.

– To połączenie miejscowe, proszę pana – powiedziała telefonistka. – Czy wszystko w porządku?

– Tak – odpowiedziałem. – Dziękuję, wszystko w porządku, wszystko gra.

Kuma, pomyślałem, a to nowa heca. Połączenie miejscowe, nie ma obawy. Bardzo

miejscowe.

O drugiej czterdzieści znów byłem na Broadwayu, kierowałem się na północ. Jak kiepsko się teraz czuję? – powiedzcie... Otóż mylicie się. Bardzo wzruszyła mnie wasza sympatia i troska (potrzebuję tego dużo, dużo więcej: potrzebuję sympatii i współczucia, choć sam nie bardzo potrafię zachować się sympatycznie). Otóż mylicie się, bracia. Otóż rąbnęłyście się, siostry. Że nie czułem się tego ranka na topie – to fakt. Ale z drugiej strony półtoragodzinna wizyta w „Pepper’s Burger World” wkrótce wszystko wyprostowała. Cztery hamburgery, trzy porcje frytek, placek American Way, a do tego kartonik piw. Trochę się zapchałem i chce mi się może trochę spać, ale poza tym jestem teraz gotów na wszystko.

Kiedy bekając sunąłem w górę Broadwayu, zastanawiałem się, w jaki też sposób zdołano to miasto sklecić. Jakiś gościu musiał mieć szeroki gest wyobraźni – nie ma dwóch zdań. Zaczynając już od Wall Street i pchając swój nochal wciąż w górę, w ruiny starej Strony Zachodniej, Broadway wije się jak wąż poprzez wyspę, jedyny łuk w tym świecie kątów prostych. W jakiś przedziwny sposób Broadway potrafi być zawsze choć trochę bardziej obsrany niż wszystkie te strefy, przez które się przebija. Spójrzmy na East Village: Broadway ma więcej góvien. A spójrzmy na uptown, na Columbus: nie, Broadway góvien ma więcej. W surowym Nowym Jorku Broadway to pyton, zrzuca skórę. Niekiedy sam czuję się trochę w ten sposób. Każdy głupiec podryguje tutaj w rytm Manhattanu.

A jak to było z tą grą w tenisa z Fieldingiem Goodneyem? Czy pamiętacie, jak się na to kretyńskie spotkanie umawiałem? Przypomnijcie mi. Dziś rano, gdy szlochałem sobie przy pierwszym, porannym papierosie, zadzwonił Fielding, mówiąc:

– Okey, Slick. Załatwiłem kort. Jedziemy.

Więc oczywiście siedziałem cicho i, niby od niechcienia, zanotowałem podany adres. Tak się nawet składa, że mam tutaj z sobą parę starych adidasów i jakiś wyblakły T-shirt. Fielding dostarczy spodenki. A już sam tenis, pomyślałem sobie – no tak, mogę grać w to licho. Nie dalej jak cztery, pięć letnich sezonów wstecz mogliście mnie przecież ujrzeć, jak wyglupiam się gdzieś na kortach. Od tamtej pory nie grałem, ale obejrzałem masę tenisa w telewizji.

Niosąc łachy w reklamówce z bezcłowego sklepu na lotnisku, szedłem skręcającym łagodnie Broadwayem, mijając zakola i placyki przy rogu Central Parku, posuwając się dalej na West Side z pustymi, nie zabudowanymi terenami, ze złomowiskami pełnymi samochodów o rozdziawionych gębach. Ponumerowane ulice wlokły się

jedna po drugiej. Nastawiałem się, że zobaczę jakiś kompleks sportowy czy pakownię, albo zacieniony, zazieleniony skwer, jakie zaskakują cię niespodziewanie na ulicach Londynu. I znów przerznięś sprawę, pomyślałem, podchodząc do budynku, który Fielding opisał przez telefon. Był to drapacz chmur, jego lustrzana fasada niczym rolka filmu rozwijała się w błękitną przestrzeń. Tak czy owak wszedłem do środka i zapytałem kogoś z tutejszych.

– Piętnaste – powiedział.

Co znów knuje teraz Fielding? Jechałem windą, która mknęła poprzez martwe piętra oznaczone iksami. Na korytarzu minąłem znajomą twarz: był to Chip Foumaki, śniady profesjonalista, który zwykle wymiękał – rzucając raketami – w półfinałach wielkich turniejów. Kilka chwil później minąłem Nicka Karebenkiana, deblowego partnera Chipa.

Zabzyczał dzwonek u drzwi i wszedłem w krzyczącą zielenią poczekalnię jakby rodem z tropików. Na syntetycznej trawie dywanu stał Fielding Goodney popijając z wysmukłego pucharu sok ze świeżych pomarańczy. Odwieczna opalenizna podkreślała mleczny puch na młodzieńczych kończynach, ostre kanty dziewiczo świeżych szortów i koszulki, uderzającą biel masywnych, naszpikowanych bajerami adidasów.

– Sie masz, Slick – powitał mnie i odwrócił się do szklanej ściany. Stałem obok. Jak z mostku kapitańskiego spoglądaliśmy na kort. Była telewizja: dwóch zawodowych finalistów walczyło do upadłego, wyciskając z siebie ostatnie poty. Po przeciwnej stronie kortu wznosiła się druga szklana ściana. Za zaciemnioną szybą siedziało dwudziestu, trzydziestu może widzów. Hala miała wysokość trzech co najmniej pięter. Sto dolicz? Za godzinę? Dwieście? Trzysta?

– Kim są ci ludzie? – zapytałem.

– Po prostu przychodzą i patrzą. Widzisz tego szczeniaka? Mieścina Johannesburg, w sercu Teksasu. Jedenasty w komputerowym rankingu. Sprawdza go teraz urząd podatkowy. Bierze forszę gwarancyjną za udział w pomniejszych finałach. Bierze łapówki. Pewnie, że to nielegalne, ale praktycznie cała górna trzydziestka zarabia potrójnie. Za parę lat z tego gówna zrobi się burza. Powinni to zalegalizować, i to szybko. Jestem kapitalistą, Slick. Dobrym kapitalistą. Liczy się popyt i podaż. Więc po cóż z tym walczyć? Masz tam spodenki.

Wskazał na drzwi.

– Och, panie Goodney – zaśpiewała damulka w białej bluzce. – Skończy pan szybko, prawda? Na czwartą umówiona jest Sissy Skolimowsky, wie pan, jaka ona jest.

Ja też wiedziałem, jaka jest Sissy Skolimowsky. Była mistrzynią świata.

Więc przebrałem się za drzwi. Straganowy T-shirt o jadowej czerwieni, w sam raz dla hippisa, ohydne szorty Fieldinga (nie były to żadne spodenki tenisowe, a niech je!, lecz obcisłe bermudy, w golfową kratkę), czarne skarpetki i te moje wytarte, popękane adidas... Jak już chyba mówiłem, Nowy Jork zwykle daje mi urlop od tego ośmiogodzinnego uczucia wstydu (od dziewiątej do piątej) doznawanego dzień w dzień przed pracowitą, odsztafirowaną częścią społeczeństwa. Ale miałem teraz nie najlepsze przecucia – szczeniackie, bardzo intensywne. Na palcach zakradłem się do klopa. Buty uciskały mnie jak cholera: moje stopy wciąż jeszcze nosiły ślady jet-lagu, jakiejś odrzutowej opuchlizny. Otworzyłem rozporek i zrobiłem swoje. W porównaniu z tymi pływającymi w muszli kulkami przeciwmolowymi, zabarwionymi od witaminy B na czerwono, moje siki zdawały się cholernie blade. Odwróciłem się. Było i lustro. Daj sobie spokój.

I tak nie pozwolą ci pograć.

A jednak. Damula spojrzała na mnie zdziwiona – na mój kałdun jak wywrócona waza, na rozgniecione jaja pod obcisłymi, kraciastymi bermudami – ale podała mi rakieta i otworzyła przede mną drzwi. Po schodkach zszedłem na kort. Fielding popędził już napalony na drugi koniec kortu, dzierżąc w jednej łapie metalową rakieta wielką jak brama stodoły, a w drugiej z tuzin żółtych tenisowych piłek.

– Chcesz trochę postrzelać? – zawołał i pierwsza piłka puła prosto na mnie niczym kometa.

Dawno powinienem był zdać sobie sprawę, że Anglicy mówiąc, że grają w tenisa, nie mają na myśli tego samego, co Amerykanie, kiedy mówią, że grają w tenisa. Amerykanie mają na myśli to, że umieją grać w tenisa. Nawet w swym najlepszym okresie byłem po prostu odbijaczem z parkowych kortów, który nie boi się żadnej pogody. Pewien spryt w operowaniu nogami umożliwił mi niekiedy zmyłkowe ścięcia i pokonanie bardziej utalentowanych graczy. Ale w sumie jestem na korcie do chrzanu. Natomiast Fielding był dobry. Był kurewsko dobry. No tak, weźmy jednak pod uwagę te wszystkie różnice w kondycji zdrowotnej, muskulaturze, koordynacji. Więc Fielding, opalony, podrasowany, z uśmiechem, w którym utopiono worki złota wyłowione przez ortodontów i techników dentystycznych, hodowany na krwistych stekach i mleczku dosładzanym żelazem i związkami cynku, dwudziestopięcioletni Fielding wpływający całym ciałem w forhendy i bekhendy, podkręcający piłki płynnym obrotem elastycznego przegubu. I ja, rzucający się nieskładnie po drugiej stronie kortu, z determinacją i

gracją tonącego – ponad sto kilogramów chuligańskich genów, wchłanych procentów, nikotyny, związków smolnych, syntetycznego żarcia z fast foodów, o całą dychę starszy, napędzany podłym, ciężkostrawnym paliwem, o dymiącym, dławiącym się silniku, cóż mogłem więcej zaoferować prócz siły uderzeniowej zwalistego ciała, prócz niepewnego bekhendowego ścięcia. Spojrzałem na szklaną ścianę wznoszącą się nad głową Fieldinga. Średniej rangi kadra menedżerska Manhattanu o twarzach płaskich jak karty kredytowe przypatrywała się nam beznamiętnie.

– Okej – powiedział Fielding. – Serwujesz?

– Zaczynij ty.

Patrzyłem, jak Fielding pochylił się, poklepał piłeczkę, a potem wyprostował się, żeby nacelować strzał. Mój serw jest ledwie konwulsją, która rodzi niekiedy podniebny aut. Lecz Fielding był precyzyjny w przyjmowanej postawie i ściśle odmierzał każdy ruch – z tym odcieniem surowości właściwej każdemu tenisistcie z iskrą Bożą. Więc cóż takiego właściwe jest każdemu tenisistcie, każdemu graczowi w jakąkolwiek piłkę? Czyżby lepiej rozumieli naturę krągłości? No dobrze, świat to okrągła kula! Wiedzą tyle, co my.

W ogóle nie widziałem jego serwu. Piłka przeszła obok mnie powietrze, przez moment poczuła się zagubiona, by trzepnąć zamasyście jak bat w zielony brezent za moimi plecami. Na tle sztucznej zieleni kortu zdawała się pozostawiać żółty ogon komety.

– To ładne! – zawołałem, rzucając się nieskładnie do przodu w czarnych skarpetkach i kraciastych bermudach. Tym razem udało mi się sparować Fieldingowski serw: trzepnąłem piłką w siatkę ze świstem, który wywołuje jęk – był to plask muskularnej dłoni uderzającej w napięty brzuch. Cofnąłem się parę kroków, podczas gdy Fielding wyjmował z wdziękiem drugą piłkę z kieszeni szytych na miarę szortów. Obracałem w dłoni rakiętę, lekko nią wymachując... Ale kolejny serw był również milutki. Fielding zwlekał, aż wreszcie piłka poleciała nisko nad siatką, wystrzelona silnym bekhendem, rąbiąc w brezent daleko i szatańsko. Odbiła się tak wysoko, że ledwie zdołałem się zdobyć na zadziwiony półsmecz. Fielding podszedł relaksowo do siatki – rzecz jasna, rzecz jasna – i ściał piłkę ostro i precyzyjnie. Znów wykończył mnie – trzydzieścilove – z tym, że w samej końcówce spróbowałem znokautować jego długi, niski serw. Stawiłem mu twardo czoło i posłałem dopracowanego loba, tak że Fielding musiał się cofnąć daleko, aby go złapać. Ten lob okazał się właściwie moim ostatnim strzałem. Potem była już kłapa, coś w rodzaju żalostnej błazenady, jakiegoś zwariowanego rajdu: Fielding stał na środku linii autowej, a ja ciskałem się po całym korcie. Strzelaj wyżej,

powtarzałem sobie w kółko, lecz wymieniliśmy jeszcze dobrych kilka ścięć, zanim zdecydował się umieścić piłkę poza moim zasięgiem.

Przeszliśmy na przeciwległe pola. Unikałem jego wzroku. Miałem nadzieję, że nie usłyszy mojego chrapliwego oddechu, moich prób złapania tchu. I liczyłem, że nie poczuje – i nie zobaczy – tych wyziewów po wszelkim świństwie, jakim karmię ciało i duszę, a które teraz otulają moją twarz niczym lepki pot. Zajmując pozycję, spojrzałem w górę na naszych kibiców w ich wysokim akwarium. Uśmiechali się życzliwie.

Mój otwierający serw skończył mamie w siatce, dziesięć centymetrów nad ziemią. Drugi był naprawdę śliczniutki, lecz Fielding ukatrupił go z uśmiechem na ustach, cofając się wpierrw, zanim włożył w uderzenie całą masę ciała. Nie próbowałem nawet gonić ścięcia. Trzeci serw był podobny. Love-trzydzieści: zaserwowałem ze ślepą furią, a Fielding wyciągnął rękę i złapał piłkę w woleju. Schował ją do kieszeni i podszedł parę kroków do przodu – tylko parę kroków. Ciskałem się po korcie jak kot z pęcherzem i z wściekłą rozpaczą trzepnąłem kolejnego serwa, jakby to był mój pierwszy. Wypalił! Fielding nie zdziwił się tak bardzo jak ja, ale piłkę uchwycił rakieta – ledwie, ledwie – i był tak obraźliwie blisko, że jego oddanie było niczym więcej jak ściętym półwolejem. Żółta piłeczka plasnęła zachęcająco na środku mojego pola.

Uderzyłem ją dość nisko, mocno i głęboko, podając Fieldingowi na bekhend – i ostrożnie przybliżyłem się do siatki. Duży błąd. Fielding wybrał właśnie ten moment, żeby wypuścić zabójczy, podkrecony topspin. Piłka przeleciała z wraskiem nad siatką, wyminęła zręcznie mój cios, nabrała jeszcze większego rozpędu – i rąbnęła mnie prosto w japę. Zachwiałem się, zatoczyłem do tyłu, i wraz z rakieta rymśnąłem z łoskotem na kort. Przez parę zszokowanych sekund leżałem jak złachany pies, złachany stary pies, który prosi, aby ktoś zechciał połaskotać jego stare brzuch. Lecz jakże to wszystko wygląda? Wstałem. Podrapałem się w nos.

– W porządku, Slick?

– Ta... Okej, żyję – mruknąłem. Schyliłem się po rakieta, wyprostowałem. Zza wielkiej szklanej ściany obserwowały nas stworzenia morza. Ze swojego basenu. Ostre, nieprzyjemne twarze. Właśnie, skońcicie no już szybko z tym waszym dumnym wlepianiem gał.

I tak to wyglądało. Zdobyłem jednak około sześciu punktów – błędy Fieldinga, muśnięcie siatki, uderzenia ramą, tego rodzaju fuksy. Cały czas chciałem powiedzieć: „Posłuchaj, Fielding, wiem, że bulisz za to sporo forsy, i w ogóle. Ale czy nie pogniewasz się, jeśli przestanę? Bo wiesz, mam takie wrażenie, że chyba UMRE, jeśli zaraz nie przestanę grać”. Nie mogłem już złapać oddechu. Już po pięciu minutach co chwila

miałem usta pełne pawia. Była to najdłuższa godzina w moim życiu, a przeżyłem już niejedną długą godzinę.

Po pierwszym secie mieliśmy sześc-love. Tak samo było po drugim. Mieliśmy dziewięć-love w trzecim, gdy Fielding zapytał:

– Chcesz grać, czy tylko poodbijać?

– ...Poodbijajmy sobie.

Wreszcie zabzyczał dzwonek i pojawiła się Sissy Skolimowsky wraz z trenerem. Okazało się, że Fielding zna tę przysadzystą dziewczynę o białej karnacji.

– Cześć – rzuciła.

– Czołem, Siss – odpowiedział Fielding. – Możemy popatrzeć?

Była już na korcie i zaczęła pracować.

– Możecie patrzeć – powiedziała – ale nie słuchać... Cholera!

Wycofywałem się, ślaniając na nogach. Dziesięć minut później, gdy Fielding wbiegał truchtem po schodach, wciąż jeszcze siedziałem zgarbiony w dyrektorskim fotelu w poczekalni, oddychając z astmatycznym świstem, z półotwartymi ustami. Fielding ścisnął mi ramię.

– Strasznie mi przykro, ja...

– W porządku, Slick – powiedział. – Musisz jeszcze spuścić parę kafli na bekhend i z tysiąc docłów na serw. No i koniec z fajkami, mniej procentów, lepsze żarcie. Powinieneś zainwestować w te drogie kluby odnowy i salony masażu z wszystkimi bajerami. Powinieneś poddać się całej serii długotrwałych, bolesnych i kosztownych operacji. Powinieneś...

– Słuchaj, zamknij się, kurewska mać, błagam. Nie mam teraz nastroju.

– Pamiętaj o swoim pogrzebie, Slick. Chciałbym, żebyś jeszcze trochę się na tym świecie pokręcił. Gdy ja splajtuję, ty będziesz bogaty. Chcę, żebyś skorzystał z życia.

Ani się obejrzałem, a już Fielding popruł do „Carrawaya”: teraz jogging. Wstałem i poszedłem do przebieralni obok. Wpatrywałem się w nakrapiane płytki. Usiadłem: przyszło mi na myśl, że gdybym zdołał wysiedzieć przez następne pół godziny całkiem nieruchomo, to może nie przydarzy mi się nic strasznego. Wystarczy, zdawało mi się, jeden grymas, jedno mrugnięcie okiem, a cała ta szatnia byłaby świadkiem nie lada atrakcji... Wtem wparowało sześciu potężnych facetów – wyglądało na to, że z kortów do squasha gdzieś w pobliżu. Te lśniące, wierzgające ogiery wypełniły sobą całe pomieszczenie, wydzierając się, przeklinając i pierdząc, gdy zrzucały łachy, żeby wejść pod prysznic. W ogóle nie widziałem ich twarzy. Gdy tylko unosiłem głowę, to znaczy uchylałem przyłbicy mojej psychicznej zbroi, cały kadr zajmował jakiś

łokieć albo zarośnięty kręconą szczecina tyłek. Otwieram oczy, a tu parę centymetrów od mojego nosa huśta się ogromny, bezwstydy kutas z połyskującą główką niczym w powtórce kiepskiego pornusa. Następnie stoczyli dziesięciminutową walkę na ręczniki. Dziewczątka w eleganckim fartuszku wysunęło nawet zza drzwi głowę i na wrzeszczało coś do nich przez gęstą parę... To było już ponad moje siły. Niemalże z płaczem zebrałem ubranie i wepchnąłem wszystko do torby z bezcłowego sklepu na lotnisku. Znalazłem się na Sześćdziesiątej Szóstej Ulicy w przesiąkniętej potem koszulce, bermudach do kolan, czarnych skarpetkach i śmierzących adidasach. Gdy pomyśleć o tym spokojnie, to wyglądałem chyba dokładnie tak samo jak wszyscy dookoła. Moje ciało krzychało o ciemność i ciszę, ale siła rażenia słońca nastawiona była na fuli, a ja stałem na Broadwayu, wodząc wzrokiem za potokami żółtych taksówek, przywołując którąś z nich.

Jest tylko jeden sposób, żeby nauczyć się skutecznie walczyć: trzeba to robić.

Powodem, dla którego większość ludzi nie potrafi dobrze walczyć, jest ten, że walczą tak rzadko, a w dzisiejszych czasach wysokiej specjalizacji nikt nawet nie oczekuje, że będzie w czymś dobry, jeśli nie włoży w to, co robi, dostatecznego wysiłku, jeżeli nie poświęci temu odpowiedniej ilości czasu. Przy całej tej przemocy wokół musisz trzymać palec na cynglu, mieć opanowaną rutynę. Gdy byłem dzieciakiem – w Trenton, New Jersey, a później na uliczkach Pimlico – przyswoiłem sobie jedną po drugiej zasady takiego postępowania. Czy potraficie, na przykład, bóść? To znaczy dać komuś w mordę własną facjatą – to bardzo intymny sposób walki, z ogromną mocą wywoływania oburzenia i zdziwienia? Zacząłem walić z byka, gdy miałem dziesięć lat. Po pewnym czasie, kiedy pobodłem już paru gostków (próbujesz uderzyć ich tą strefą głowy, gdzie zaczynają się włosy, uderzyć ich w nos, usta, kość policzkową – nie ma to wielkiego znaczenia), pomyślałem: „Dobra, potrafię już bóść”. I od tamtej pory była to pewna możliwość. Podobnie rzecz miała się z waleniem kolanem w jaja, kopaniem w łydki i kostki, wbijaniem rozczapierzonych palców w oczy; były to wszystko nowe sposoby wyrażania frustracji, wściekłości i lęku, sposoby załatwiania zatargów po mojej myśli. Wymaga to jednak pracy, bez tego się nie obejdzie. Przyswajasz to sobie wszystko w ciągu lat, metodą prób i błędów. Nie wystarczy oglądać telewizji. Potrzebna jest prawdziwa amunicja. Tak więc, na przykład, jeśli kiedykolwiek zadarłbyś ze mną, jeśli wywiązała by jakaś szarpanina i próbowałbyś strzelić mnie z byka, uderzyć mnie w głowę swoją własną głową, to prawdopodobnie nie byłbyś w tym zbyt dobry. Nic by to nie bolało. Nie wyrządziłoby żadnej szkody. Najwyżej wprawiłoby mnie w

szał. I wtedy rąbnąłbym cię w łepetynę swoim łbem, i to szczególnie mocno, tak iż zadałbym ci sporo bólu i wyrządził pewnie trochę szkody.

A poza tym pobódnąłbym was dużo wcześniej, niż w ogóle przyszłoby wam do głowy, żeby zrobić to samo ze mną. Jest tylko jedna reguła bójek na ulicach i w barach: jak najwięcej przemocy, i to natychmiast. Nie ociągaj się, nie czekaj, aż bitwa przybierze na sile. Wal z punktu, ile wlezie. Lej ich wszystkim, co masz pod ręką – butelką po mleku, kluczem francuskim, pięścią zaciskającą klucze lub monety. Już pierwszy cios musi być decydujący. Jeśli przeciwnik wytrzyma, a ty upadniesz, zaliczasz wszystko, co może ci dać. Najgorsza, najbardziej skrajna przemoc – natychmiast. Skrajność to jedyny element zaskoczenia. Wal wszystkim, co masz pod ręką. Żadnych ceregieli.

No cóż, naprawdę spuchłem tam na korcie, to mogę wam powiedzieć. Całe siedemdziesiąt dwie godziny przeleżałem nieżywy w hotelowym wyrku. Tinnitus był w akcji prawie non stop, a ból zęba przybierał coraz to bardziej skomplikowaną postać: utrzymywał mnie w przytomności, kopał i kłuł, przesywał jazgotliwą męką, głośną, chaotyczną, bez umiaru, zaplatającą się w supły, skręcającą się, wijącą jak rzeczne prądy. Spieprzyłem sobie plecy, i tyłek także, na tym cholernym korcie – i mam paskudny siniak na udzie, od tego, jak upadłem i przejechałem na dupie jak na sankach przez połowę kortu wtedy, gdy Fielding mnie zmylił. I wreszcie, zdaje mi się, przydarzyło się coś fatalnego z żołądkiem, może z powodu tych śmiecioburgerów z cuchnącego ścierwa. A może to po prostu bardzo pogmatwany, wyrafinowany kac, sam już nie wiem. Calutki pierwszy dzień byłem turbiną na pełnych obrotach, człowiekiem-poduszkowcem zawieszonym nad sraczem. No, no, niezły miałem odlot... Pokojówka zapuszczała żurawia, ale tak naprawdę to dokładnie nie zajrzała, a w pokoju dawały już o sobie nieźle znać ślady upływającego czasu.

Felix, czarnoskóry lokajczyk, okazał się dobrym przyjacielem. Biegał na posyłki do apteki i sklepu z alkoholem. Swoją żywością, niedbałą intensywnością sposobu bycia, podkreślał totalną klęskę tego nieszczęsnego popołudnia. Stał się pewniejszy siebie. Naskoczył na mnie nawet któregoś ranka, gdy zobaczył, jak o dziesiątej trzydzieści wlepiał ślepią w dumy telewizyjny quiz, i sprawiał wrażenie, jak gdyby nie było wcale takie pewne, że dostarczy mi znów paliwa. Wtedy to ja na niego wsiałem.

– Pies ci mordę lizał, Felix – burknąłem. – Zadzwoń do recepcji.

Więc znów był na moje usługi, wypełniał polecenia nerwowo, odwracając oczy. Wzruszał mnie. Nie skąpiłem mu za to forsy – szczeniak dostał już raz dwudziestkę. Dostawałby o wiele więcej, gdybym cały czas mógł być nasączony. W moim

półprzytomnym stanie nie zniósłbym jego dezaprobaty, więc w miarę możliwości starałem się łagodzić sytuację.

Miałem gorączkę. I miałem dodatkową gorączkę z powodu Seliny. Gdy dryfowałem w tej rozmytej strefie, która nie jest ani snem, ani przebudzeniem, kiedy to wszystkie myśli i słowa unicastwiają się nawzajem, a mimo to umysł wciąż pracuje, pracuje, rozsypuje problemy, Selina zjawiała się nagle pośród kłębow różowego dymu układających się w pytańniki. Widziałem jej gibkie ciało, gnące się, wirujące, wibrujące w konwulsjach, jej twarz z aprobującym uśmiechem i porozumiewawczym spojrzeniem w oczach pełnych samozadowolenia, jej demoniczną bieliznę przywodzącą na myśl pajęczynę z jedwabiu, jej kanciaste ramiona, ogniste włosy. Prężącą się istotę robiącą to, co ta istota potrafi robić najlepiej – ekscytujący dowód, oczekający pornografią, że nie ma tu mowy o jakiegokolwiek miłosnej ekstazie, że w ogóle nie chodzi o miłość czy choćby bliską więź; był to krzyczący dowód, że wszystko robi dla forsy. Obudziłem się w środku nocy coś do siebie mamrocząc – tak, słyszałem, jak to mówię, rozsypuję zagadkę, przedzieram się poprzez mroki snu – i wyszeptalem: Kocham to, Kocham ją... Kocham jej deprawację.

Telefon działał w jedną tylko stronę, zdawał się narzędziem tortur. Dzwoniła Caduta. Dzwonił Lorne Guyland. Dzwoniła trójka świrów nazywających się Christopher Meadowbrook, Nub Forkner i Herrick Shnexasnyder – właśnie, ich także miałem na linii. Ten szajbus, ten autentyczny szajbus, ten narąbany podglądacz zameldował się także już po raz trzeci czy czwarty. Przyczepił się do mnie, nie ma dwóch zdań. Robi mi się gorąco, gdy w słuchawce zalega przez chwilę cisza, zanim tamten rozpocznie swój występ. Głos ma obrzydliwy, zgorzkniały, jakiś nędzny – po prostu wstrętny, nikkzemny. Słysząc w nim nienawiść do siebie samego, a także wstyd i cierpienie. Coś bredzi. I wrzeszczy. Jego wyraziste i szczegółowo opisane groźby odbieram jako wielką ulgę. Potrafię radzić sobie z groźbami.

– Jak mam do ciebie mówić? – zapytałem go kiedyś.

– Niech będzie Frank – odpowiedział i śmiał się długo, lecz nie był to śmiech radosny.

Znał się na tenisie i długo gdał o moim poniżeniu. Można być pewnym, że obserwował mnie podczas gry z galerii za szklaną ścianą – idąc w ślad za mną na kort.

– Czarne skarpetki – mówił. – Rety, człowieku, ale żeś trupio wyglądał.

Jego wiodąca śpiewka? Jego śpiewka była taka, że zrujnowałem mu życie. Wykiwałem go, wpuściłem w maliny i to niejednym razem. W żaden sposób nie mógłbym

już tego naprawić. Chyba że własnym bankructwem. Nie dyskutowałem z nim. W ogóle niewiele mówiłem. Miałem tylko nadzieję, że wreszcie zadzwoni, jak będę porządnie ścięty – wtedy nieźle mu dam do wiwatu. Czasem zdawał się ważniakiem, czasem gadał jak szaraczek, takie zupełne nic. Często wydawało mi się, że jest naćpany. Gdyby przyszło do decydującego starcia, to kto wie? Zatankowawszy parę koniaków, potrafiłbym pewnie załatwić go moim ograniczonym, lecz za to jadowym repertuarem ulicznych bluzgów. Tyle że z takimi popaprańcami trudno cokolwiek przewidzieć. Kiedyś dowalił mi jakiś świr i jego cios w niczym nie przypominał tego, co już znałem – miał w sobie inną jakość, przepełniała go okrutna, ohydna, bezgraniczna prostolinijność... Wewnętrzne silniki wariatów podrasowane są na fuli; gdy szaleństwo owładnie nimi w pełni, to kto wie, podniosą może nawet i autobus.

Fielding też dzwonił wiele razy. Był miły i troskliwy, miał sobie za złe, że tak mnie złać na korcie. Wiedziałem, że to moja wina, i powiedziałem mu o tym. Nie bawił się ze mną. Toczył swą naturalną, codzienną grę. Jezu, nie zmienił nawet rytmu.

– Słuchaj – mówię – ci faceci wokół kortu. Na galerii za szybą. Kim oni byli?

– Trudno powiedzieć, Slick. Zdaje się, że przyszli po prostu z ulicy. Może znajomi graczy, nie wiem. Dlaczego pytasz?

– Jeden z nich dzwonił do mnie – odparłem wymijająco.

– Kto taki? Poszukiwacz talentów?

– Właśnie – odpowiedziałem i wyciągnąłem rękę po scotcha.

A Fielding zaofiarował się, że przyśle osobistego lekarza, by mnie przebałał, lecz uważałem, że nie ma potrzeby zwracać panu doktorowi głowy.

Ktoś jeszcze zadzwonił. Ktoś jeszcze odszukał mnie tu, w Nowym Jorku. Jakiś ludzki głos dotarł do mnie poprzez gorączkę, poprzez cały ten bełkot.

W moich oczach telefon przemienił się już teraz w istotę histeryczną i złośliwą, w bezmyślny byt wydający z siebie brzuchomówcze groźby bądź pochlebstwa. Masz robić to a to, myśleć tak a tak, udawać to czy tamto. I wtedy dotarł do mnie ludzki głos.

Leżałem rozwalony na łóżku, wielki, męski, w klasycznych, sfatygowanych nieco gaciach z rozporkiem na kształt litery „Y”. Ale był ze mnie samiec! Wylegiwałem się więc, pocąc się i przeklinając, usiłując zasnąć. Właśnie wtedy telefon odezwał się, wykręcił swój numer. Jednym z największych moich żali do Seliny było to, że za sprawą jej zniknięcia musiałem odbierać ten piekielny telefon, kiedy tylko zadzwonił. Mógł to być także Fielding, przypuszczałem, kierujący w moją stronę jeszcze więcej szmału.

- Halo? – usłyszałem wszystkowiedzący ton.
- John?
- ...Selina! Mam cię, ty dziwko! A teraz mów mi zaraz, gdzie...
- Masz pecha. To Martina. Martina Twain.

Poczułem – poczułem jednocześnie parę rzeczy. Po pierwsze, ukłucie wstydlivego nieprzygotowania. Uśmiechnąłem się i poczułem, jak rozluźniają się mięśnie twarzy, jak moja twarz oswabadza się z dotychczasowego wyrazu. Przez chwilę czułem mój ropień, lekko laskotany przez dziwną fałdę wewnętrznej strony policzka. Czułem, jak wycisza się statyczny, zakorzeniony na trwałe ból głowy – i czułem, że do tego wszystkiego nie dorastam i nie dorosnę pewnie nigdy.

Roześmiała się z mojego milczenia. Jej śmiech uczynić miał ze mnie hulakę, lekkoducha, choć nie w sposób złośliwy, pomyślałem. Siedziałem już wyprostowany, pałac, popijając i tak ogólnie zbierając się do kupy. Bo muszę wam od razu powiedzieć, że Martina Twain to według wszelkich standardów prawdziwy szefowski kociak – nawet według twoich niehomologowanych wag i odważników, według twych podejrzanych wartości i obyczajów, nieznaną człowieczku, nie znany mi mieszkańcu naszej planety. Rety, człowieku, co to za klasa, zabójcze wykształcenie, a oprócz tego cudowna zamiana *ex machina*, przekształcająca wysoką i delikatną dziewczynę w istotę piersiastą i dupiastą. W jej żywych ustach pracuje pełen życia język i aparatura ta rodzi specyficzny akcent o bardzo wyrazistej jakości. Amerykański, lecz o brytyjskim podglebiu. Dla Martiny zawsze byłem stworzeniem z innej parafii – całkiem beznadziejnym – od czasów szkoły filmowej.

- Martina... jak się miewasz? Skąd wiedziałaś, że tutaj jestem?
- Mąż mi powiedział.
- Ach, tak – przytaknąłem ze smutkiem.
- Jest w Londynie. Właśnie przed chwilą dzwonił. No więc, co tutaj porabiasz?
- Ostatnio często tu przylatuję. Uruchamiam wreszcie produkcję filmu.
- Wiem, mówił mi Ossie. Robię dziś małą kolację. Chciałbyś zajrzeć?
- Tak? A kto będzie?
- Obawiam się, że głównie pisarze.
- Pisarze? – powtórzyłem. Mieszkam obok pisarza w Londynie. Dziwnie na mnie patrzy, gdy mijam go na ulicy. Przyprawia mnie, pieprzony, o dreszcze.
- Zgadza się. Pisarze. Na przykład recenzentka z „Tribeca Times”. Na przykład powieściopisarz z Nigerii, Fenton Akimbo. I jeszcze Stanwyck Mills, ten krytyk.
- Dziś nie da rady. Muszę zaliczyć to kretyńskie przyjęcie... no wiesz, będzie tam

Butch Beausoleil i Spunk Davis.

Zrobiłem chyba na niej wrażenie, a w każdym razie na ciszy, która się rozległa.

– No tak, przypuszczałam, że będziesz pewnie zajęty.

– Chwileczkę. Co powiesz na śniadanie? Mam wszystko zaplanowane na styk, ale śniadanie dałoby się chyba zaaranżować.

Umówiliśmy się na spotkanie następnego ranka, w „Bartleby”, po zachodniej stronie Central Parku. O dziewiątej. I natychmiast uruchomiłem moją cudowną kurację anty grypową. Pakujesz się do łóżka, opatulasz się ciepłutko i tankujesz butelkę scotcha. W zasadzie, zgodnie z recepturą, ma to być pół butelki, ale chciałem być całkowicie pewny. Poleciłem w recepcji, żeby nikogo nie łączyli, na kłamce wywiesiłem: „Nie przeszkadzać” – i zasnąłem jak niemowlę jeszcze przed dziesiątą.

Mój podróżny budzik wskazywał ósmą piętnaście. Wyskoczyłem z łóżka w nastroju radośnie bojowym, czując się naprawdę tip top, jeśli nie brać pod uwagę pocenia się, drgawek, dreszczy, wyraźnego zamroczenia – i odczucia trudnego do opisania i jeszcze trudniejszego do zniesienia, że przegapiłem mój przystanek na kosmicznym promie, że wczoraj powinienem był wysiąść na sąsiedniej planecie. Poprzez tylną szybę promu przyglądałem się ostrożnie wstającemu świtowi... Dostarczono mi kawę, gdy leżałem w wannie, paląc papierosa, opierając jedną nogę na zimnej krawędzi. Zaciąłem się przy goleniu, a potem miałem poważne pierepałki z kudłami. Chciałem już zakończyć toaletę, ale szare kosmyki dygały z zawstydzeniem nad krzaczastymi zygzakami brwi. Więc namoczyłem szczotkę i wszystkie te siwule przylizałem. W pokoju wypilem kawę chciwymi, zdyszczanymi łykami. Ósma czterdzieści. Najlepsze odzienie na tę okazję: długa, rozszerzana u dołu marynarka, zwężające się spodnie, czarne, masywne, burdelowe buciory na miękkich podszewkach. Nie nalałem sobie drinka, lecz zamknąwszy drzwi ćwicyłem sposób, w jaki przywitam się z Martiną i śmiejąc się zamówię szampana.

Podążyłem na wschód, a następnie na północ. Jezu, ale ten dzień miał zabawne światło – bladawy ranek, posiniały z wściekłości, kipiący żółcią – jak gdyby wciąż pozostawały w jego płucach grudki jakiegoś eko-błota. No, nie ociągaj się, odkaszluj, wypluj to wszystko. Sklepy wciąż jeszcze spały... Gdzie jest cały ten szum i gwar, gdzie są ci wszyscy autorzy zgiełku? Ledwie niemrawy ruch z wąskimi, świdrującymi oczkami. Czując się nagle znacznie bardziej nieswojo, zatrzymałem starego robotnika w niebieskim kombinezonie i w ochronnym kasku.

– Co się dzieje, przyjacielu? – zapytałem, zataczając się, i chyba nawet złapałem

go za ramię. – Gdzie się wszyscy podziali? Czy to jakieś oficjalne święto? Jezu, jak dzisiaj ciemno i ponuro! Czy to jakieś ukartowane za plecami zaćmienie, czy inny jakiś szwindel?

– Którą masz godzinę? Jest teraz dziewiąta.

– Zgadza się, też mam dziewiątą.

– Dziewiąta wieczór, synku. O tej porze zawsze robi się tutaj ciemno. Wszyscy poszli do domków.

Nie, tego było już dla mnie za wiele, nie wiem dlaczego. Zaczęłam płakać, ale i to nie przyszło mi łatwo, potrzeba było sporo pracy, ostrej i męczącej pracy pompy mojej klatki piersiowej. Z nadzwyczajną cierpliwością stary człowiek trwał na swym posterunku, oparł dłonie na moich ramionach i mówił:

– Trzymaj się swego, mały. Nie jest chyba z tobą tak źle. Wyjdiesz na pewno na swoje. Nie ma dwóch zdań. Posłuchaj, będzie jeszcze jutro.

Ten człowiek miał rację. Gdy obudziłem się trzeciego ranka, prześcieradła były wreszcie suche. Ostrożnie otworzyłem oczy i usiadłem na łóżku. Tak, licho już mnie opuściło, przeniosło się w inne miejsce, krząta się teraz gdzie indziej. I pomyślałem: do domu, zmykaj do domu.

Wysunąłem się z wyra i zadzwoniłem po obsługę. Ponad minutę uprawiałem jogging w miejscu. Tak właśnie powinno wyglądać rzeńskie przebudzenie! Czy to wyobraźnia, czy też naprawdę straciłem trochę wagi? Umyłem skalp. Znalazłem samotną buteleczkę mocnego lekarstwa i pociągnąłem łyk. Doprowadziłem się do porządku. Zadzwoniłem do biura podróży.

Popijając pierwszy litr kawy, zapaliłem jak pochodnię papierocha. Fajki i gorączka nie idą jednak w parze. Wyrzucam sobie braki w samodyscyplinie, ale gdy chodzi o palenie, zdejmijcie przede mną kapelusze. Podczas mych niedomagań, jak zdałem sobie sprawę, pilnowałem liczby fajek czystą siłą woli. Pałac drugi karton odnotowałem chwilowy spadek, ale z powodzeniem udało mi się tę bessę nadrobić.

Dotknąłem palców nóg. Nalałem sobie więcej kawy i otworzyłem piątę już opakowanie z lepącym się „pół na pół”: mieszankę jasnego piwa z porterem. Ziewnąłem z satysfakcją. A teraz, zapytałem siebie, co powiesz na małe trzepanko?

Wyłuskałem z walizki parę błyszczących świerszczyków i powróciłem na łóżko, by wypróbować ich działanie. Więc zaraz, popatrzmy... Cały ten pomysł był jednak poważnym błędem. Frajdy było niewiele, a za to niewiarygodny ból szyi. Poza tym pornografia to jednak – wiadomo – nałóg. O tak, tak. Sam jestem nałogowcem, potrzeba

mi trzech pisemek tygodniowo, a na dodatek co najmniej jeden filmik, żebym mógł jako tako funkcjonować. To dlatego potrzeba mi tyle forsy. No i te cipki na utrzymaniu... Stojąc w łazience przed lustrem, pocierając z rezygnacją kark i wytrzymując spojrzenie mojej zmarnowanej twarzy, przywoływałem inne jeszcze wydarzenia, które miały miejsce podczas tych kilku nowojorskich nocy, upalnych, bełkotliwych, naznaczonych gorączką. Ktoś zakradł się pod drzwi, drzwi pokoju 101 na końcu długiego korytarza, i raz czy dwa albo może nawet wielokrotnie szarpał gwałtownie klamkę, ale nie dlatego, żeby chciał wejść, lecz z wściekłości i dla ostrzeżenia. Czy zdarzyło się to rzeczywiście, czy też był to jakiś kolejny sen? Poznają coraz to nowe rodzaje snów, sny smutku, sny pijackie, sny nudy – w których ja albo ktoś inny powtarzamy coś w nieskończoność – i sny, które porównać można tylko do mąk poszukiwania, doznawanych przez poetów, gdy oczekują na obleczenie się myśli w słowa. Mówię to tylko na wycucie. Nie wiem przecież zupełnie, jak pisze się wiersz. Nie wiem zresztą wcale, jak taki wiersz się czyta... A propos mnie i czytania (nie mam pojęcia, po co w ogóle o tym mówię – czyżbyście tak dużo czytali?): nie mogę wiele czytać, bo męczą mi się oczy. Nie mogę założyć cyngli, bo boli mnie wtedy nos. Nie mogę nosić kontaktów, bo drażnią moje oczne nerwy. No i sami widzicie – wszystko sprowadza się do wyboru pomiędzy bólem a zaprzestaniem czytania. Postanowiłem więc nie czytać. Nie czytać – tak lokuję forszę, żeby nie musieć czytać.

Zadzwoiłem do Fieldinga, do „*Carrawaya*”.

- Trzeba podnieść na duchu Lorne’a – powiedział.
- Dobra, sam podnoś go przez chwilę. Uciekam do domu.
- Slick, już teraz?!
- Wróć. Muszę parę spraw wyprostować.
- O co chodzi? Kobiety czy forsa?
- Jedno i drugie.
- Wciąż to samo. Kiedy masz samolot?
- O dziesiątej.
- Znaczy, wyjeżdżasz na lotnisko za kwadrans dziewiąta?
- Nie. Muszę tam być za kwadrans dziewiąta. Lecę Airtrakiem.
- Airtrakiem? A co ci podadzą w Airtraku, Slick? Trawkę i sałatki? Będzie peep-show na pokładzie?
- Lecę Airtrakiem.
- Posłuchaj... Chcę, żebyś przed wylotem poznał Butch Beausoleil. Możesz być w klubie przed siódmą? „Berkeley”, Czterdziesta Czwarta Zachodnia. Zostaw bagaż przy

wejściu i wal prosto przed siebie.

Owszem, Martina telefonowała także. Przyjęła moje przeprosiny. Z początku wszystkie tak robią. Ale w zasadzie była bardzo sympatyczna. Spotykamy się na chybcika o szóstej – w „Gustawie”, na Piątej Alei. Nawiązałem z dziewczyną kontakt, powiedziałem, że byłem chory, samotny i rozpieprzony.

No proszę, jaki to się zrobił wypełniony dzionek. W południe sterczałem w kolejce do kasy na Szóstej Alei, tłocząc się z drwalami i studenciakami po taniutki, wążiutkie miejsce w szerokiej i rozklekotanej latającej trumnie. Bo to linie lotnicze dla ludu: a my byliśmy tym właśnie ludem. Tak opuścili ceny, że teraz już nawet kłoszardzi latają Airtrakiem. Panienska w mundurku, z włosami koloru pomidora i ustami od ucha do ucha zniknęła na kilka przyprawiających mnie o dygot minut, żeby prześwietlić moją dokumentację, aż wreszcie pojawiła się, zaaferowana, i widać było, że moja wiarygodność kredytowa wyraźnie odświeżyła jej wilgotne usta i zęby. Więc teraz mogłem już zapytać:

– Jaki dają film?

Wystukała pytanie na klawiaturze czerwonymi paznokciami.

– Dziś będzie *Pookie trafia na ślad*.

– Poważnie? Kto tam gra?

Wyrozumiały komputer wiedział i to.

– Cash Jones i Lorne Guyland.

– Proszę powiedzieć: kogo pani woli?

– Nie mam pojęcia. Obaj to wszarze.

Zajrzałem do szemranego, lecz z pewnością nie girlaskowego baru na Pięćdziesiątej. Przez chwilę studiowałem bilet. Na sąsiednim stołku jakiś dygocący dyrektor firmy wysączył pośpiesznie trzy ciemne koktajle i pomknął z westchnieniem wywołującym ciarki... Poprzestałem na białym winie: musiałem zachować formę. To mój pierwszy napitek – od ilu? – od dwóch już prawie dni. Po całym tym płaczkliwym zamieszaniu, po tej okropnej przygodzie, kiedy czułem się na spowitej nocą ulicy jak jednolatek, nie potrafiłem niczego w siebie włąć. Próbowałem. Wszystko miało smak trucizny, cykuty. Wymigałem się więc naparsteczkiem Serafimu. Nie wiem, co bym zrobił bez tego starszawego ty pasa w roboczym kombinezonie. Naprawdę myślę, że mogłem umrzeć bez jego ludzkiego wsparcia... Przeżuując w zamyśleniu precle, uraziłem nieopatrznie mój chytry ząb. Wiedza przychodzi w bólach, i wtedy dotarło do mnie ponad wszelką wątpliwość, że Selina trzyma jeszcze inne atuty w garści. Ma się

rozumieć, że tak to wygląda. Jest sprytna. Jest osobką praktyczną. Więc ma jakiegoś właściciela firmy budowlanej, jakiegoś znarkotyzowanego, bogatego szczeniaka, jakiegoś pękającego w szwach nadziańca. Może w ogóle im jeszcze nie daje, trzyma ich tylko na wodzy, pokaże skrawek koronkowej bielizny, poasystuje im czasem przy kąpieli – i może nawet wytrzepie konia, o to nie ma obawy. Tak przecież zaczęła urabiać mnie – kiedy wciąż jeszcze wodziła się z tym słodkawym, podtatusiałym menedżerkiem jak z kiepskiej reklamy, no i miała jeszcze w odwodzie dwudziestoletniego estymatora terenów pod nieruchomości. Selina dobrze wie, jak sobie z takimi pacjentami poradzić, jak trzymać ich na dystans, tak żeby krążyli nad jej lotniskiem czekając na sygnał – o, Selina to fachmanka, to wprawna kontrolerka ruchu. Aż pewnego dnia dostajesz od niej wszystko... Gdzie się teraz podziewa? W Londynie zapada zmrok o szóstej. Ubiera się na wieczór, no i ma zmartwienie. Tak, ma zmartwienie. Wieczór jest jeszcze młody, lecz Selina Street młoda nie jest, niestety, już nie. Wiecie co? Muszę się z nią ożenić, ożenić się z Seliną Street. Jeżeli tego nie zrobię, nie zrobi pewnie tego za mnie nikt inny, i zrujnuję kolejne życie.

Wypiłem wino i zapłaciłem rachunek – zadziwiająco wysoki. Lecz z drugiej strony wydaje się, że wypiłem z sześć kieliszków – wielkich jak wazy – tego przyjaznego, kalifornijskiego kordiału. Wracalem do hotelu przeciskając się przez tłumy (proszę, proszę, znów nadchodzą) manhattańskich szaraczków, statystów, dublerów, aktorów czwartorzędnych ról, suflerów, halabardników, tych wszystkich anonimowych Ziemiątek. Cała obsada masowo wyległa na ulice. Rozjarzone, rozwścieklone taryfy przeklinały i prychały obrażone – a potem dojrzałem hasła: ANGOLE PRECZ Z BELFASTU, KOCHAM IRA oraz KTO ZABIŁ BOBBY SANDSA? Bobby Sandsa, bojownika IRA, który zagłodził się na śmierć. Strajki głodowe muszą być szczególnie przerażające dla tych wieprzowatych faciów o karkach jak urodzinowy tort.

– Mówicie do mnie? – zawołałem do jednego z nich. – Dajcie sobie z tym spokój. Ludzie, co wy o tym wiecie.

Potem przypomniałem sobie, że w mieście bawi księżę Walii. To pewnie on był adresatem. O, niektóre transparenty właśnie to potwierdzają. Trzymaj się mocno, księżę, myślałem sobie. Nie zwracaj uwagi na tych patentowanych opierdalaczy. Jesteś w porządku, jak mi się zdaje – i dasz sobie radę.

Wróciwszy do hotelu ubiłem interes z człowiekiem z recepcji. W zamian za dziesięć dolców i tyleż samo minut pogawędki na temat Lorne'a Guylanda i Caduty Massi przedłużył mi pobyt w pokoju do szóstej bez potrzeby bulenia za kolejny dzień. O, to

wielki fan Caduty; nie żałował też czasu dla starego Lorne'a.

– Jest na szczycie od trzydziestu pięciu lat – tłumaczył. – I za to go szanuję.

Nie obdarzany uczuciem pokój cierpiał w cichości ducha, gdy pakowałem swe rzeczy. Pamiętając o spotkaniu z Martiną i zdeterminowany, żeby nie zmarnować pracy dwóch ostatnich dni, miałem pod ręką litrową butelkę chablis, żeby tankować lekkie paliwo przez resztę dnia. Ale pokój pełen był scotcha, ginu i brandy, a ja nie lubię marnotrawstwa. Rety, cała rodzina Afrykańców mogłaby urznąć się na miesiąc tym, co tutaj zostawiam. Nie chciałem wypróbować Selmy. Chciałem tylko sprawić jej miłą niespodziankę.

Z początku wszystko szło ładnie i składnie, ale po chwili moje pakowanie przemieniło się w chaos. Pod kanapką znalazłem nie napoczętą jeszcze półlitrowkę rumu – schował ją tam zapewne Felix – i nią także się zająłem. Przyciąłem sobie paskudnie palec zamkiem od walizki – i zacząłem po niej skakać jak na trampolinie. Wreszcie opadłem na łóżko, zapadając w kilkuminutową chyba drzemkę. Przebudził mnie telefon. Pociągnąłem delikatnie haust rumu i nie spiesząc się, zapaliłem papierosa.

– Chryste, to znowu ty.

– Ty jebańcu – mówił głos. – Zmykasz do domu. Żeby tam zrujnować kolejne życie. Co takiego się stało? Zgubiłeś jeden dzień? Widziałem, jak wydzierałeś się na ulicy. Jesteś skończony. Już po wszystkim.

To dopiero gratka. Świetnie wpasował się w mój nastrój. W takim przypadku należy sięgnąć po odpowiedni język. Zawsze mam go na podorędziu. Zwłaszcza gdy trochę wypiję. Schwyciłem słuchawkę za gardło, pochyliłem się do przodu i zacząłem:

– Posłuchaj, ty wyspany napletku, teraz twoja kolej. Wybierz się lepiej do poradni, dobra? Skorzystaj z darmowego programu dla świrów, z pomocy dla cuchnących ropą syfilityków, z kursów reedukacyjnych dla kloszardów. Jesteś chorym, rozkładającym się gównem. To nie twoja wina. To wina twojej chemicznej struktury. To z powodu twego braku forsy. Ale się nie martw. Dadzą ci jakieś darmowe, końskie pigułki i na trochę poczujesz się lepiej.

– Mów jeszcze – ucieszył się. – Podobają mi się twój tekst. Wielka z ciebie szycha... Kiedyś się spotkamy.

– Mam nadzieję. A kiedy z tobą skończę, moje ty słoneczko, ostaną się po tobie tylko ząbki i kłaki.

– Spotkamy się...

– Tak, spotkamy się pewnego dnia. I kiedy ten dzień nadejdzie, rozszarpie cię, skurwielu, na śmierć.

Trzasnąłem słuchawką i usiadłem zdyszany na łóżku. Odczuwałem potrzebę splunięcia. Jezu, jak ja nie cierpię tych telefonicznych gróźb, tych nieobliczalnych świrów. Spojrzałem na zegarek... Jezu. Musiałem spać co najmniej godzinę – choć sen to zbyt wiele powiedziane. Sen to zbyt egzaltowane słowo na to, co udaje mi się obecnie zdobyć. To najwyżej zaciemnienie, stary. Przystawiłem butelkę z rumem do ust, do góry dnem, zakończyłem pakowanie w tym skwaśniałym, wibrującym powietrzu, zebrałem dokumenty do kupy i zadzwoniłem po boya.

Okazało się w końcu, że mam jeszcze sporo czasu, by pożegnać się z Nowym Jorkiem. Po pierwsze, dałem Felixowi pięćdziesiątkę. Wydawał się dziwnie podniecony czy zatroskany i z jakiegoś powodu próbował nakłonić mnie, bym położył się do łóżka. Mam jednak nadzieję, że mój napiwek sprawił mu przyjemność. Uwielbiam rozdawać forszę. Gdybyście byli tu, teraz, obok mnie, pewnie wsunąłbym wam parę banknotów, dwadzieścia, trzydzieści, może nawet więcej. No, ile byście chcieli? A ile macie? I co byście mi dali w zamian? Czy objęlibyście mnie ramieniem i powiedzieli, że tak, właśnie takich facetów lubicie? Zapłaciłbym. Zapłaciłbym za to niezłe pieniądze.

Zostawiłem torbę w hallu i ruszyłem wprost do Pałacu Wielkiego Hamburgera, gdzie wrąbałem siedem fastfurterów. Były tak wspaniałe, że podczas żarcia miałem w oczach łzy. Następnie kupiłem szluga z marihuaną, jakiś afrodyzjak, fiolkę kokainy i ździebełko opium – wszystko od tłuściachnego bambo na Times Square – i wciągnąłem cały ten zapas w kłocie gogo-baru nie opodal. To już było głupie całkiem zagranie, bo, jak mówią, czarnuchy dodają do swego towaru cholernie mocny farsz, czyli diabelski pył. Zaraz, zaraz, ale gdzie tu ekonomika? Ten ich farsz jest właśnie słaby, tak że w rezultacie kupujesz tylko skręta, termometr za dziesięć centów, podrabianą aspirynę i wysuszone psie gówno. Tak czy owak, jak mówię, wszystko to wciągnąłem i poczułem w sobie falę uderzeniową energii, wyraźną narkotyczną euforię – tak mi się zdawało, gdy wyskoczyłem ze sracza jak podniecony byk.

Ponaglany przez trąbiące bezczelnie samochody (i gnieźdzące się w nich prostytutki), przeszedłem na drugą stronę ulicy i dotarłem do królestwa porno na rogu Broadwayu i Czerdziestej Trzeciej. Jak ten przybytek opisać? Te kabiny, w których co chwila wrzuca się dwadzieścia pięć centów, to tak naprawdę kabiny w publicznej toalecie: wchodzisz, wrzucasz do szpary monetę, siadasz i robisz swoje. Ścianki pokryte graffiti nabazgranymi czarnym markerem: napisy i rysunczki. Kurwa taka a taka ma pizdę od ucha do ucha. Jakieś pieprzące się świny dokazują w potokach gówna. Juanita del Pablo lubi, żeby rznąć ją w dupę. Kto to wszystko wypisuje? Na pewno ktoś bardzo z

płcią przeciwną oswojony. A tymczasem czarna obsługa przechadza się za drzwiami kabin pobrzękując monetami... Więc wpierv w kabinie 4A spróbowałem numerek S/M. No tak, powalili cipkę na plecy, złożyli w harmonijkę, a w zagięcie nóg w kolanach wsunęli kij baseballowy. I dali jej elektryczne kopy. Było to bardzo realistyczne. A czy prawdziwe? Widziałeś skręcony biały przewód, skaczące iskry, a dziewczuszka niezaprzeczalnie rzucała się i wrzeszczała. Wymiękłem, zanim jeszcze zaaplikowali jej lewatywę – wymieniono ten punkt w ponurym programie tortur przyczepionym do drzwi. Gdyby dziewczątko było bardziej wyjściowe, trochę bardziej w moim typie, może bym wytrzymał dłużej. W następnej kabinie obejrzałem dwudziestopięciocentowy odcinek filmu osadzonego w pejzażu leśnym: romantyzm oglądanego fragmentu sprowadzał się do ukazania rozkwitającego uczucia pomiędzy dziewczyną a osłem. Proszę, jak się uśmiecha, sposobiąc się do oddania całej siebie temu jucznemu zwierzęciu. Aj, aj! Osioł również nie wydawał się zbyt zachwycony. „Mam nadzieję, maleńka, że chociaż otrzymujesz za to niezłe pieniądze” – mruzczałem wychodząc z kabiny. Bo nie była wcale najgorsza... I wreszcie poświęciłem aż dwadzieścia osiem odcinków tego płatnego czasu na numerek względnie zwyczajny, pokazujący, jak kowboj z opadającą szczęką zgarnia dokładnie wszystko – od cipki do dupki i na okrętkę – wykorzystując bogatą we wszelkie talenty Juanitę del Pablo. Przed samym szczytowaniem samca para rozdzieliła się z nerwowym pośpiechem; dziewczynka uklękła przed swoim panem. I jedno było tu pewne: kowboj musiał być spędzić co najmniej sześć miesięcy na jogurtowej farmie, odżywiając się wyłącznie lodami i śmietankowym mlekiem, z rygorystycznie przestrzeganą klauzulą o zakazie trzepania konia. Kiedy wreszcie skończył, Juanita wyglądała jak najbardziej poszkodowana ofiara w filmowym pojedynku na ciastka z kremem – i chyba rzeczywiście była ofiarą. Kamera niespiesznie i z dumą filmowała ją, jak ociera oczy, wypluwa i odkasłuje... Trudno naprawdę powiedzieć, kto był największą ofiarą całej tej transakcji – ona, on, oni czy ja.

A teraz, rozchybotany i z czkawką, wspinałem się po ukoronowanych portalem schodach klubu Fieldinga, zatrzymawszy się jeszcze przedtem na drinka czy dwa. Pewnie sądzicie, że byłem w stanie całkiem już ostatecznym, no bo ten rum, towarek i tak dalej. Ale to nie ja, to nie ten adres, drodzy państwo. Wicie już chyba, z kim macie tu do czynienia? Niektórzy pacjenci zasypiają po ostrym chlaniu, ale nie my, nie ten zawodnik. Kiedy my sobie wypijemy, to chcemy wychodzić, iść w miasto i robić różne rzeczy... Tylko niczego nie rób – oto zasada, której staram się trzymać, kiedy mam w czubie. Jednak robię coś bez przerwy. Uchlałem się. „Tylko niczego nie robić” – to naprawdę dobra zasada. Gdyby nikt niczego nie robił, świat byłby o wiele lepszy – a dla

mnie bezpieczniejszy... A więc, jak mówię, byłem w pełnej gotowości, gdy obrotowe drzwi wrzuciły mnie do hallu – żebym miał przyjemność spotkać się z Fieldingiem Goodneyem oraz z Butch Beausoleil, prawdziwą Butch Beausoleil.

Przy stoliku siedział siwowłosy robot. Odbyliśmy krótką pogawędkę, gdy prześwietlał mnie przez interkom. Opowiedziałem mu dowcip. Zaraz, jak to leci? Jest taki facet i psuje mu się samochód, a on – nie, nie, chwileczkę. Było to o farmerze, który zamyka żonę w – nie, zaraz, zacznijmy od początku... A zresztą, tak czy owak, uśmieliśmy się z tego dowcipu niezgorzej i gdy skończyłem, czy też przerwałem, powiedziano mi, gdzie mam iść. Wtedy trochę się pogubiłem. Zaszedłem do pokoju, gdzie spory tłumek gości w wieczorowych strojach siedział przy kwadratowych stolikach grając w karty lub w tryktraka. Wycofałem się szybko, przewracając lampę ustawioną przy drzwiach. Ta lampa w żadnym wypadku nie powinna tam być, z tą swoją wystającą podstawą. Później przez chwilę szukałem po omacku wyjścia z czegoś w rodzaju szafy, ale w końcu jakoś sobie poradziłem. Zeskakując następnie po stopniach schodów, poślizgnąłem się i upadłem ciężko na plecy. Zabawne, lecz zbyt mnie to nie bolało i odpędziłem przerażonego portiera, który próbował pomóc mi wstać. Wymieniłem parę ostrych zdań z tym starym pierdzielem urzędującym przy wejściu za swoim biurkiem. Upewnił się, że dotrę wreszcie na właściwe miejsce, osobiście eskortując mnie do drzwi sali o nazwie „Pluto Room”, gdzie zapytał, pochylając się w ukłonie:

- Wszystko już teraz w porządku, proszę szanownego pana?
- Fantastycznie – odpowiedziałem. – Macie tutaj, szefie.
- Nie, dziękuję bardzo, proszę pana.
- Nie ma sprawy. Piąta to tyle, co nic.
- Nie zezwala się tu na przyjmowanie napiwków.
- Bez przesadyzmu, jeden raz ci nie zaszkodzi. Nikt nas nie widzi... no, przełam się... No dobra, to się odpięrdol!

Sprawa była więc zakończona. Wkuśtykałem do „Pluto Roomu” obluźowując krawat i wyciągając z ulgą szyję. Rety, ale było tu ciemno i gorąco. Pochylone plecy kobiet i zgięte w atencji plecy ich mężczyzn ciągnęły się wzdłuż baru. Zaplątałem się trochę między nogami stołków i wyrznąłem twarzyczką w jakąś kolumnę, lecz nie dałem za wygraną i posuwałem się naprzód, dopóki nie odszukałem mojego przyjaciela Fieldinga siedzącego na samym końcu. Odziany w biały smoking szeptał coś w świetlisty nimb roztaczany przez zachwycająco elegancką dziewczynę. Miała na sobie jedwabną sukienkę z opuszczonym stanem o barwie jadowitej szarości – falowała niczym telewizyjny obraz. Jej wściekle rozjaśnione włosy opadały gęstymi lokami

na pulsujący delikatnie dekolt, połyskujący warstwą kremu. Nie dając Fieldingowi szansy, by mógł mnie zatrzymać, podpłynąłem prosto do dziewczyny i ucałowałem ją delikatnie w szyję.

– Cześć, Butch – powiedziałem. – Jak się miewasz?

– O, cześć. John Self. Co za zaszczyt – powitała mnie Butch Beausoleil.

– Jak tam leci, stary? – rzucił Fielding. – Hej, Slick, jesteś naprawdę rozpalony.

Żebym nie zapomniał... mam dla ciebie prezent.

Wręczył mi kopertę. Zawierała bilet lotniczy. Nowy Jork-Londyn, pierwsza klasa.

– Lot jest o dziewiątej – powiedział. – Ale zdążysz na samolot, nie ma obawy, gwarantuję.

A teraz, John, chyba dobrze by ci zrobiło coś mocniejszego.

Dzieciaki piły szampana i wkrótce zawołałem o następną butelkę. Trochę mi się narozlewało i już wrzeszczałem o jeszcze jedną. Butch była rozpromieniona – pękała ze śmiechu i znać było, że ma doświadczenie: szkoda, że nie widzieliście, jak pomagała mi osuszać serwetką oblaną suknię albo zręcznie i wesoło wydobywała kostki lodu, które wrzucałem jej za dekolt. Rany, ależ ta rozgrzana lisica emanowała fluidami i jak fajnie współgrała z całą pornografią, jakiej pełno miałem jeszcze w głowie. Upał, forsa, seks i gorączka – to, właśnie to, to właśnie Nowy Jork, to naprawdę pierwsza klasa, to jest naprawdę top. Byłem więc tam, w „Pluto Roomie„,J najszczęśliwszym pod słońcem, zalanym w trzy dupy zakapiorem. I znów pojawiła się następna butelka, w nosie zaczęło mi musować i pojawił się jakiś inny pokój, i wszystko zmieszało się i pomieszało, ktoś złapał mnie za ramię i obrócił, nagle poczułem, że mam mokro, ujrzałem twarz Fieldinga, coś chciała mi ta twarz powiedzieć...

Żółta taryfa przepychała się na chama zaczopowanymi ulicami Nowego Jorku – okratowana suka konwojująca do domku waszego wściekłego psa. Napięte ramię taksjarza przeszwindlowało nas na żółtych światłach przez skrzyżowanie i już pruliśmy do przodu. Wpatrywałem się w to ramię o skórze pofałdowanej i podziurawionej wystrzeliwującymi w górę czarnymi włoskami. Przyglądałem się przesuwającym się za oknem nie znanym mi połaciom miasta, metrom kwadratowym, akrom, hektarom. Wreszcie moje oczy zaczęły być smagane przez fosforyzujące znaki i białe światła, zapowiadające płaski i rozjarzony krajobraz lotniska.

– Czym lecimy? – zapytał kierowca, a ja mu odpowiedziałem.

Skłamałem. O ile mogłem się zorientować – patrząc na zegarek czy na czerwone, wąskie paski nalepione na kopertę biletu – oba samoloty, którymi mogłem się zabrać,

zdążyły już odlecieć. Ale na lotnisku – w tym pawilonie na światową wystawę albo raczej ptaszarni – czekał na mnie worek niespodzianek. Lot o dziewiątej był opóźniony dzięki ostrzeżeniu o bombie na pokładzie – jakie to bywa przydatne! Właśnie zaczęli ładować na nowo bagaż, samolot miał się wzbić o jedenastej. Podeszedłem do kontuaru dla pierwszej klasy. Pierwsza klasa – tam potraktują cię należycie.

– Ile bagażu, proszę pana? – zaświergotał kurczaczek.

– Tylko ten – powiedziałem, obracając się w tanecznym dygu. – Och, ty ciupciana głuptasko.

– Tak, proszę pana?

– Nie, nie mam bagażu. Tylko ja sam – i uśmiechnąłem się jak upiór...

Zadzwoiłem do Felixa w „Ashbery”. Przechowa moje śmiecie – nie ma co się szczytać – przecież wróć... Pod ostrym dentyścycznym oświetleniem ruszyłem na poszukiwanie baru: zrodziła mi się oto myśl, że warto by chyba uczcić szczęśliwe wybawienie ze szponów Nowego Jorku. Przemierzyłem lotnisko wzdłuż i wszerz.

– Dziesiąta godzina i już zamknięte?! – usłyszałem swój własny wrzask. – Przecież to lotniskoz Johna Kennedyego, pieprzone JFK, szefie!

Moje palce wczepiły się w dwie kłapy z granatowej serży. Pacjent otworzył swą bezcłową budę i sprzedał mi pół litra. W sali odlotów zwałem się na fotel i pociągałem z ukontentowaniem. Zaczęto już wpuszczać na pokład pasażerów: pierwsza klasa pierwsza. Wstałem i wszedłem do rękawa.

I wchodziłem głębiej i głębiej w rękaw nocy – by mknąć poprzez noc, podczas gdy noc pędziła z przeciwka, omiatając zamasyście Ziemię. Sączyłem szampana rozpostarty w szerokim, czerwonym fotelu-tronie, osamotniony w samym sercu samolotu, gustownie odseparowany od kaszłającej, chrapiącej, jazgoczącej, szlochającej, rodzącej dziatki populacji klasy biznesowej, ekonomicznej czy turystycznej. Boże, jak ja nie cierpię życia. Poprosiłem kartę dań. No cóż, muszę przestać być młodym. Dlaczego? Zabija to mnie. Bycie młodym kurewsko mnie wykańcza. Zeżarłem kolację i obejrzałem film – mogłem wybierać, więc zdecydowałem się na Pookie – film był koszmarny, a stary Lorne wyglądał jak nieświeże gówno. Co się tam właściwie wydarzyło – z Fieldingiem i z Butch? Ach, zapomnij o tym, trzymaj się od tego z dala. Nie zaprzątaj sobie nimi głowy. Koniecznie muszę dorosnąć. Najwyższy czas.

– No, wał, John, mów szczerze, co teraz czujesz? Jesteś jednym z czołowych dyrektorów finansowych kraju, masz tylko trzydzieści pięć lat, robisz swą pierwszą fabułę, pracujesz z takimi ludźmi jak Lorne Guyland i Butch Beausoleil. No, powiedz

no, John, co teraz czujesz?

Tak po prawdzie nie odczuwałem niczego. Czulem po prostu, że znów jestem w Londynie, rzucony prosto z nieba w jakąś nijaką pogodę jak na śmietnik. Nie czulem niczego, popijałem spokojnie piwo, uśmiechałem się do mikrofonu i wreszcie powiedziałem:

– Wiesz, fantastycznie, Bill, to oczywiste. Zrobić pierwszy film nigdy nie jest łatwo, ale całe to przedsięwzięcie widzę w jasnych barwach. Wszystko wygląda bardzo pomyślnie.

– Zawsze w ciebie wierzyłem. Musi to być cholernie fajne uczucie.

– Przyszłość z pewnością wygląda obiecująco. Bill jest londyńskim korespondentem tygodnika „The Box Office”, cenionego przez branżowców Hollywoodu – stąd jego pełen zachwytu ton. Sam Bill nie był chyba zbyt radosny tego ranka – a okazywanie radości z moich sukcesów wyglądało na ciężką harówkę. Ale za to mu w końcu płacą.

– Uchyl rąbka tajemnicy. Sam przygotujesz scenariusz?

– Ja? Żarty się ciebie trzymają. Pomysł rzeczywiście jest mój, lecz będziemy korzystać z usług wybitnej amerykańskiej pisarki. Doris Arthur – Bill skinął z uznaniem głową – pomoże nam rozwinąć scenariusz. Początkowo akcja filmu była osadzona w Londynie. Teraz mamy Nowy Jork, więc potrzeba nam autora z amerykańską odmianą angielskiego.

– John, jak widzisz perspektywę współpracy z gwiazdorem takim jak Lorne Guyland? Odczuwasz treść?

Bez wątplenia w podtekście kryła się ironia, lecz odpowiedziałem jak gdyby nigdy nic:

– Jestem ogromnie stremowany, naprawdę pod wrażeniem. Liczę, że Lorne pomoże mi pokonać tę przeszkodę... Lorne, ze swoim wieloletnim doświadczeniem i... Zaraz, zaraz, może lepiej tam tego nie dawać. Spróbujmy inaczej. Tak, Lorne to prawdziwy profesjonalista, jeszcze ze starej szkoły. Moment, tego raczej też nie. Po prostu dajcie, że to prawdziwy profesjonalista. To wystarczy, okej?

– A co powiesz na temat Butch Beausoleil?

– Wielkość Butch Beausoleil polega na tym, że nie jest to taka sobie głupiutka blondyneczka.

Wygląda na milion dolarów, ale to także bardzo inteligentna i wrażliwa młoda dama. Myślę, że naprawdę ma przyszłość w naszej branży.

– I ostatnie pytanie. Pieniądze.

– No cóż, jak mówiłem, Fielding Goodney to finansowy geniusz. To jego pierwszy

film fabularny, lecz ma już bardzo duże doświadczenie, to znaczy w sprawach finansów. Zamierzam pominąć wielkie studia aż do etapu dystrybucji. Mamy nasze kworum średnich inwestorów. Część funduszy nadejdzie z Kalifornii, część z Niemiec, a także z Japonii. Jak widać, jest to nowa filozofia funduszy.

- Zgadza się. A jaki jest budżet? Sześć?
- Dwanaście.
- Chryste. Ale dla niektórych to w sam raz, prawda?
- Aha.

Nareszcie Bill odpieprzył się, dzięki Bogu, a ja wróciłem do baru, trzymając pusty kufel. Jedenasta trzydzieści, niedzielny poranek, pub „Szekspir”. Pod zawieszonym ukośnie lustrem, na tle półek z bateriami trunków, Gruby Vince i Gruby Paul, dwie generacje utalentowanych złotych rączek i wykidajłów, ustawiali kartony z piwem, pochylając się w pozie małpy. Gruby Paul wyprostował się, spojrzałem w jego bezbarwną, wysuszoną twarz.

- To, co zawsze?
- Hej, słuchaj no, Paul, podaj nam scotcha jak trzeba.
- Dużego?
- Nie, starczy podwójny.

Gruby Paul postawił drinki na kontuarze. Oparł się na łokciach i nachylił. Pokiwał w zamyśleniu głową.

– Mamy dziś w programie nową striptizerkę – zaproponował. – Veronica. Jezu, piękna.

- Będę w pobliżu.
- Czekaj, ta Selina... uczysz ją moresu, co?
- Nie pytaj mnie, stary.

Usłyszeliśmy brzęk łańcuchów. Odwróciliśmy się: niewielki cień wyczekiwał cierpliwie za zamkniętymi szklanymi drzwiami.

- Odpierdol się, zmiataj stąd – zawołał Gruby Paul na swój młodzieńczy sposób.
- Nie, wszystko w porządku – powiedziałem – to na pewno mój scenarzysta.

Pięć dni pobytu w Londynie i wciąż nie namierzyłem Seliny.

Dwadzieścia cztery godziny temu spuściłem Alecowi Llewellynowi manto jego życia. Lecz ślad znów się urwał. Alec, ten cholerny oszust. Zabunkrował się w wieżowcu z mieszkaniami służbowymi w pobliżu Marble Arch – kosztownej noclegowni dla samotników i przelotnych ptaków z kadry menedżerskiej średniego szczebla; miejsce

to sprawiało wrażenie szpitala bądź laboratorium: pięćdziesiąt pomieszczeń o płynnym standardzie, pozwalających na dyskretną obserwację. Alec uważa się za wielkiego nurka – nurkującego w odmęty życia. Przestępstwo, długi, towar – to jego głęboka woda. Sposób, w jaki jego zwinne palce chwytają paczkę papierosów i reklamową tekturkę z zapalnikami, pasuje jak ulał do rysów jego twarzy, pociągłej i nerwowej, przywodzącej na myśl dziadka do orzechów. O tak, bywa nerwowy. Jest o wiele słabszy niż rok temu. Wtedy wszystko mu się udawało. Teraz nie jest już taki pewien.

– Gdzie jest Selina?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Alec. – Leży gdzieś pewnie na jakiejś stercie fiutów. Kręci dupą w jakiejś odlotowej pracowni na ostatnim piętrze. Wybieraj wedle gustu.

– Z kim się pieprzy?

– Skąd ja mogę wiedzieć?

– Powiedziałeś, że to ktoś, kogo znam. Więc kto to jest? No, kto?

– Nieważne, kto. Pomyśl tylko, człowieku. Nie mieści mi się w głowie, że muszę tu z tobą siedzieć i wkładać ci to wszystko do mózgowicy. To poszukiwaczka złota z trzydziecią na karku, zgoda? Inaczej mówiąc, łózkowa artystka z kurczącymi się aktywami. Nie może przestać kopać, będzie kopać do chwili, gdy natrafi na coś twardego. Nie ma innego wyjścia. Czemu się z nią nie ożenisz? A może spróbujesz innego typu dziewczyny: piegi i pełna matura, kobieta pracująca, rozwódka z dwójką dzieci, tłusta pielęgniara...

– Ale z ciebie parszywy kiciarz. Wisi ci wszystko, o czym mówisz. Jak się z tym czujesz, kłamiąc w żywe oczy, wstawiając kit?

– Nie najgorzej. A jak się czuje ktoś, kto jest skończonym durniem? No, gdzie myślisz, że się podziewa? Na letnim kursie dokszałcającym? Na urlopie w Krainie Jezior? Spaceruje szlakami poetów?

Rozejrzałem się po pokoju, zerknąłem na rozkopaną pościel, na tandetną, wybebeszoną walizkę, na sfatygowaną szczotkę do włosów. Cienki Alec – trzydziestosześcioletek, ojciec dwojga dzieci, ze swoim wykształceniem, ze swymi możliwościami – co porabia w tym wynajętym gołębniku? Sącyliśmy pernoda, czyli paranoika, z litrowej butelki opatrzonej nalepką z Heathrow.

– Wiesz – warknąłem – to, co powiedziałeś na lotnisku, skopało mój cały pobyt. Dziękuję. Naprawdę dałeś mi się we znaki.

– Powiedziałem ci to na wszelki wypadek.

– Co?

– Chce całą twoją forszę.

To już naprawdę mi dopiekło.

– Co z tego – rzuciłem się. – Kurwa mać, co to ma wspólnego z tobą?!

– ...Bo ja chcę twojej forsy. Całej! – Roześmiał się, ale w tym śmiechu był grymas bólu. – Posłuchaj, John, teraz już poważnie. Przykro mi o to prosić.

– A mnie przykro słyszeć. Ile?

Wymienił sumę – sumę, która mnie zatkała.

Powiedziałem:

– Przecież już i tak jesteś mi winien. Na co potrzebujesz teraz? Interes narkotykowy? A może hazard?

– Alimenty! Upomina się o nią prawo. Mieliliśmy małą scysję, a tu przypieprza mi się z za rogu suka pełna gliniarzy, żeby wziąć jej stronę.

– Chwileczkę. Powiedziałeś, że wciąż ją pieprzysz.

– Owszem. Mówiąc między nami, nigdy nie było lepiej.

– Nie łapię.

– Wygląda to tak. Te świnię rozpowiadają, że winien jej jestem całą kupę forsy. Gdybym tego szmalu nie miał, nie byłoby sprawy. Ale on siedzi sobie w banku. Teraz potrzebuję tej forsy, żeby zakończyć transakcję. Zadają się z tak wrednymi typami, że jeśli się nie wywiążę, to naprawdę będę kwiczał. Wiem nawet dokładnie, co ze mną zrobią.

– Co, mianowicie? – zapytałem z zainteresowaniem.

– Żadnych ciosów w tył głowy. Innymi słowy, w robocie będzie buźka. A z drugiej strony te świnię też nie żartują. Albo beknę w piątek, albo wyekspedują mnie do więzienia Brixton.

– Chryste Panie.

– No to daj mi forszę. Rety, człowieku... zrób to! Zrób! Ile dostajesz za film? Osiemdziesiąt? Stówkę?

– Na razie nic.

– Więc zrób to. Ja zrobiłbym to dla ciebie.

– Tak, łatwo powiedzieć.

– Zwróć za dziesięć dni. Przysięgam. Zaraz nadejdzie czek, będę miał forszę. To tylko chwilowa pożyczka.

– Dobrze znam te wszystkie chwilowe historie.

No i znałem. Zawsze było tak samo. Forsa, której Alec się spodziewał – już i tak od dawna była moją forszą. Cała forsa Aleca ma na banknotach mój znak firmowy,

naznaczona jest mną, mną. Ale będzie wyglądać, że to jego forsa. I wcale nie będzie się kwapił, żeby dmuchnąć ją w moją stronę. Pieniądz jest piekielnie zmienny. Naprawdę trzeba mu to przyznać.

Podzieliłem się cząstką refleksji z Alekiem. Ale nie słuchał. Ja zresztą też. Otworzyły się wewnętrzne drzwi i smukła dziewczyna w lejących się białych spodniach wślizgnęła się na palcach do pokoju. No proszę, oto osóbką, która z pewnością zna się na spodniach, potrafi je zrozumieć. Odcień jej skóry był egzotyczny – niemalże do śmieszności. Skąd pochodziła? Z Borneo, z Madagaskaru – a może z Wenus? Szukając torebki zasłoniła dłonią twarz. Nie miało dla niej znaczenia, że pokazuje piersi o barwie mahoniu. Wyglądało na to, że sporo osób już doceniło ich klasę.

Za jej plecami, za uchylonymi drzwiami maleńki pokoik bez okien żarzył się jak drucik w żarówce. Bywałem w takich łazienkach, były to baterie łazienek – jak gdyby jedno pomieszczenie nie wystarczało, aby człowieka prześwietlić. Czujesz się w takich przybytkach jak szczur, jakby to był kibel dla szczurów, obserwowany przez naukowców przeprowadzających szczerze doświadczenia.

– Nie mogę się pozbierać – rzuciła.

– Napij się pernoda, koteczku – powiedział Alec. – John, to Eileen.

– Właśnie umyłam zęby.

Odwróciła się i pobiegła z powrotem do łazienki, poruszając się teraz już bardziej naturalnie. Wraz z Alekiem patrzyliśmy w milczeniu na jej opływowe ramiona i wypieszczony zadek.

– Gdzież te dupeczki zaliczają opalanko? – zapytałem. – Na jakiejś bezludnej wyspie?

– To wszystko sprawka cudownego kremu „She-Gloss” – powiedział, wpatrując się w zamknięte drzwi łazienki. – Nie uwierzyłybyś, ale tyłek ma biały jak jej majtki. Eileen za nic na świecie nie chciałaby, żeby ktoś pomyślał, że opala się na golasa. Byłoby to dla niej wulgarne. Zabawne, co?

– Ma podniecające majtaski – zareagowałem przytomnie. – A teraz posłuchaj. – Poklepałem ostrzegawczo butelkę. – Może mam już wszystkiego dość, ciebie i tych problemów z forszą. Skąd mogę mieć pewność, że nie kłamiesz? Chciałbym tylko wiedzieć, co się z tym dzieje, z całą tą forszą, którą ciągle ci daję. – Dwa bilety lotnicze leżały na łóżku zwinięte w rulonik. Sięgnąłem po nie. Paryż, pierwsza klasa. – Więc jakim typem jest Eileen? Gruba pielęgniarza?

– Kobieta pracująca. Kobieta robiąca karierę. Za wszystko płaci sama. Jej też jestem winny. – Wzdrygnął się i z zaafowaniem wyginał dłonie. – Muszę koniecznie wydestać

się z tego gówna. A kim ty jesteś? Pieprzonym niebieskim ptaszkiem, polatującym na skrzydłach swego fartu. Masz to wszystko gdzieś. Po prostu zamknij mordę i daj mi tę pierdoloną forszę.

Tego właśnie chciałem. Właśnie tego mi brakowało, bym mógł zobaczyć, usłyszeć i poczuć, jak salutuje mi jego lęk. Mijamy się oto, ja idę w górę, a on w dół. Może za to mu płaciłem.

– No dobrze – powiedziałem – zobaczymy, co da się zrobić.

Rozległ się ostry dzwonek, po którym nastąpiły trzy ponure uderzenia w wejściowe drzwi. Alec natychmiast się poderwał, wycofując się w kierunku łazienki, przybierając dobrze wyćwiczoną pozę skradającego się kota, czyniąc dłonią ruch, jakby chciał siebie zetrzeć z powierzchni. Skinął do mnie gwałtownie i zniknął.

Trzymając w rękę szklankę i papierosa otworzyłem drzwi z klucza i rozwarłem je na oścież. Zwalisty mężczyzna o potarganych włosach wspierał się całym ciężarem na jednej nodze, jakby był bardzo wyczerpany, i przecierał oczy pięściami. Uśmiech miał wredny, zmęczony, ale nie całkiem jeszcze wyprany z rozbawienia. Tak, był to kawał chłopca, ważył chyba tyle, co ja. Jego wyswiechtany, wypełniony cielskiem garnitur odbijał dzienne światło napływające z końca korytarza.

– Słucham?

– Pan Llewellyn? – zapytał, prostując kark.

Nie oczekiwał, że ujrzy kogoś takiego jak ja.

Nie wyglądam na wychudzonego, posepnego dandysa, nie mam w oczach desperackiego sprytu straceńca balansującego nad przepaścią. Nie oczekiwał mnie, to znaczy kogoś swego pokroju.

– Z kim mam przyjemność?

– Czy tak się może szczęśliwie składa, że pan Llewellyn jest w domu? Czy udało mi się go zastać? Pan pozwoli, że zajrzę?

– Nigdzie nie zajrzesz.

– Właściwie chodzi o głupstwo. O taką małą głupotkę. Bo twój kumpel jest głupi, bardzo głupi. A my, my jesteśmy poważni. Kiedy ludzie zachowują się głupio, zaczynamy się denerwować. – Zrobił krok do przodu. – Teraz wyjaśnijmy sobie co nieco.

– Dobra – zgodziłem się i sam postąpiłem o krok. – Znam twój fach. Kupujesz czeki bez pokrycia za połowę ceny, a potem idziesz dać wycisk. – Ale on nie zaliczał się do włamywaczy ani do takich, co to nożem chlastają ci buzię. Należał do szarzy najemników odzysku szmalu, był jakimś tam furazerem, a w dodatku wolnym strzelcem.

Nie wyduszał pieniędzy biciem. Nie, żadne bicie, po prostu wynudzał je z ciebie. Tak, nudził dla pieniędzy. – Nie za bardzo jesteś legalny – rzuciłem. – Taki z ciebie kowboj. No, spływamy, spływamy.

Zwalisty mężczyzna opuścił głowę i odwrócił się. Przez chwilę widziałem oczami duszy, jak siedzi w zaparkowanym culpricie (a może to był 666), poczerwieniały i zdyszany, rozmyślając, jak uratować ten dzień. Lecz nic z tego. Splunął na dywan i spojrzał na mnie z nienawistnym grymasem:

– Możesz powiedzieć swemu złodziejskiemu kumpłowi, że jeszcze się policzymy. Z tobą zresztą też.

– Oj, wy napędzacie cykora – mruknąłem. Facet nie miał żadnej przyszłości w tym fachu. Po prostu nie sposób się było go bać.

– Niedługo – warknął i odszedł korytarzem pobrzękując kluczykami.

Podbudowany zwycięstwem, wróciłem niespiesznie w głąb mieszkania.

– Już go nie ma! – zawołałem, uchylając drzwi od łazienki.

...No tak, pornografia. Eileen siedziała na umywalce. Była naga. Nie, miała na sobie białe majtki. Nie, była naga: ta mleczna rysa to po prostu ślad po bikini. Ta dziewczyna (pomyślałem nagle) dopiero wysiła się, aby pokazać, że jest żywą istotą – lecz w takim razie, ileż wysiłku wkładają w swą pracę tancerze, żeby udawać marionetki? Zarzuciła Alecowi nogi na ramiona, majtała nimi w ostrym, białym, prostackim świetle. Odwrócił się do mnie z pełną niepokoju i napięcia miną. Dziewczyna również. Oczy miała matowe, doszukać się można w nich było ledwie śladu zaangażowania, powściągliwego i wbrew sobie, jak gdyby patrzyła w lustro bez wielkich nadziei, że spodoba jej się to, co w nim zobaczy. Jej usta zdawały się jeszcze bardziej dziwne. Aha, to tam wepchnięto majteczki! Biała koronka wydostawała się zwojami z ust niczym pomięty bukiet.

Zostawiłem na łóżku czek. Idąc korytarzem w kierunku schodów, usłyszałem odgłos niezwykle czysty i rytmiczny, jęk fałszywego bólu zadawanego za przyzwoleniem, a może odgłos, jaki wydaje dziecko, które właśnie ma kichnąć; usłyszałem coś, co mówiło mi, że źródłem tych dźwięków jest Eileen, której wysunął się knebel.

Tymczasem zgarbiony Gruby Paul dłuższą chwilę mocował się z dużymi czarnymi zasuwami. A do „Szekspira” wkroczyła Doris Arthur, zastanawiając się, gdzie to skierować swój pełen wdzięczności uśmiech. Lecz Gruby Paul niczym dozorca piekieł, niczym piekielny wykidajło nie uniósł nawet głowy. Fielding Goodney określił Doris jako „geniusza feminizmu”. Z początku myślałem, że to tylko hecna ksywa, sugerująca łózkowe talenty, ale teraz nie byłem już taki pewien. Pociągałem ze szklaneczki i

pozwoiliem jej odszukać mnie w tym oślepiającym mroku. No bo Doris, jakkolwiek by było, to przecieź beneficjentka uniwersyteckiej, jak to się mówi, edukacji, i to w samym Harvardzie, po tamtej stronie oceanu. Więc z pewnością sobie poradzi, nie ma obawy. Z zasady nie znoszę tych absolwentów uniwersytetów. Nie znoszę wszelkich absolwentów, magisterków, bakałarzy i doktorów, typków z dyplomami, małą maturą, zaliczoną podstawówką, laureatów testów na inteligencję, prymusów stenotypii i stenografii, kursów kroju i szycia... A wy nie znosicie mnie, prawda? Tak, tak, dobrze wiem. Gdyż jestem przecieź z nowego gatunku, należą do tych, co mają szmal, ale nie potrafią, nie mogą go spożytkować na nic innego prócz zła i brzydoty. A na to ja odpowiem: nie dopuszczacie nas do swojego grona, tak naprawdę nigdy nas nie zaakceptowaliście. Może wydaje się wam inaczej, ale tak nie jest. Daliście nam tylko troche szmalu.

I kazaliście nam zmiatać... Jeśli zaś chodzi o feminizm, to cóż, moje stanowisko w tej sprawie jest stanowiskiem twardego i niewzruszonego bossa całego tego złodziejskiego świata – gdy ktoś zaczyna mu podskakiwać tak, iż może się przez to zwarzyć ten nasz oszalały kram, woła miłe panie na dywanik i spokojnie im klaruje: „No dobra, więc prosiliście mnie o radę. Powiedzcie, co was trzymało? Myśleliśmy, że wam odpowiada robienie właśnie tego i owego, tego, co dotąd robiłyście. Przecieź siedziałyście cicho sza parę milionów latek... ile tego będzie dokładnie, trudno nawet zliczyć. I teraz nam to mówicie. Ale jestem człowiekiem rozsądnym. Posłuchajcie: w niedalekiej przyszłości ma się oto nadarzyć pewna niezła koncesyjka na jedną z naszych prowincjonalnych operacji. Jeżeli wszystko się uda, a wy, miłe panie, wycierać będziecie starannie noski, to kto wie, kto wie, może nawet coś się uda zrobić...”

– John Self?

Stała tuż obok, sztywna, świdrując mnie wzrokiem. Żeby nie wiem jak przebojowa była dziewczyna, żeby nie wiem jaki z niej był kozak, to nigdy nie zatraci tego wyrazu subtelnego oczekiwania. Taką przynajmniej mam nadzieję. Moja Doris włożyła przepastne dreluchy i połataną kurtkę lotniczą – jednym słowem ochronny ubiór przeciwgwaltowy. Jako dodatek przydałaby się jeszcze maczuga. Ale i tak wszystko na nic. Bo taka kobieta na pewno jest warta gwałtu. Tak sobie pomyślałem. Gdybyś miał dobrego adwokata, wlepiliby ci nie więcej niż dwójkę. A w naszych czasach parę lat pierdla to wcale nie jest najgorsze wyjście. W pierdлу mają ping-ponga, telewizorki, pojedyncze cele.

– Proszę usiąść, Doris – mówię zimno. – Pozwolisz, że postawię ci piwo. Gruby Paul!

- Nie, dziękuję, tylko szklankę wody.
- Woda źródłana czy wystarczy kranówka?
- Kranówka będzie w sam raz.

Podniosłem swój ciężki korpus i w workowatym bezkształtnym garniturze powlokłem się do baru. Odwróciłem się. Doris badała otoczenie okiem antropologa... Kilka miesięcy temu Fielding podesłał mi egzemplarz pierwszej książki tego kurczaczka. Cienki tomik opowiadań. Zdaje się, że młoda Doris nie najgorzej ustawiła się w Stanach. Podkreślone fragmenty tekstu na wycinkach załączonych przez biuro Fieldinga z Los Angeles mówiły ciepło o jej oryginalności i nietypowej erotycznej sile... Książka nosiła tytuł Styl ironiczny i wyniosły, z pewnością z jakiegoś powodu. Z jakiegoś innego powodu zatytułowała tak jedno z opowiadań. Późną nocą przedzierałem się przez parę z owych nowelek w poszukiwaniu owej nietypowej i erotycznej siły, ziewając i mrużąc ze zmęczenia oczy. Przeczytałem opowiadanko tytułowe „Styl ironiczny i wyniosły”. Była to historia trampa, który mówił wyłącznie cytatami z Szekspira. Żebrał, włóczył się, szperał po śmietnikach, ten stary popapraniec, a mimo to cały czas nadawał Szekspirem. Nie ma co, niezły był z niego ananasik, skarany wrzód na dupie. Tak czy owak, nawet ja się zorientowałem, że owe proste dialogi są całkiem hecne, pisane z jajem. Nie dziwota, że dziewczynka zgarnęła niezłą kasę. Fielding twierdził, że to żydowska księżniczka. Rzeczywiście, był z niej mały cud, raj dla oka, północnoafrykańska królowa pszczoł o satanicznej karnacji, gorących czarnych oczach, rozpalonych, namiętnych ustach... Człowieku! Więc nie dziwota, że taka szprycha chciała przygasić swoją urodę kiepskiachnym strojem. Bo cóż można poradzić na tak zabójczy wygląd? Wymyka się spod kontroli. Ten wygląd dotarł do mnie w pełnej krasie, przebił przez migocące opary opatulającego mnie kaca. Po kolei opadło wszystkie siedem zasłon.

Podobnie jak Bill z tygodnika „The Box Office”, Doris wyjęła notes i spojrzała na mnie zachęcająco.

– Pierwotny zamysł – szepnęła – chcesz mi coś o tym powiedzieć? To znaczy, gdzie się ów zamysł zrodził?

– Że co?

– Pytałam, gdzie się zrodził?

Wzruszyłem ramionami.

– Tutaj – wyjaśniłem.

Powiedliśmy wzrokiem po tej na wpół przebudowanej piwnicy – spojrzeliśmy na różane drewno, na plusz krzesel i foteli przesiąknięty alkoholowym odorem, na aksamit ocieślałych kotar na tle matowych szyb, na ciężką chamską płytę bilardowego stołu, na

jednorękich bandytów i wreszcie na Grubego Paula o bladoniebieskich oczach. Jego nalana twarz pasowała jak ulał do pubu, kiedy z rozdziawioną gębą kontemlował wskazówki zegara, leniwym tykaniem zbliżające się do dwunastej.

– Tutaj. Urodziłem się na pięterku. Mój stary jest właścicielem lokalu.

– Nie żartuj.

To dziecinne powiedzonko jakoś dziwnie spływało z pełnych, soczystych warg, lśniących i apetycznych jak dojrzałe oliwki. A zęby miała jak perły, perły w ostrzydze, specialite de la maison. Wciągnąłem głośno powietrze i mówię:

– Wygląda to tak: jest Ojciec i Matka, i Syn, i Panienska. Panienką dzielą się pospołu Ojciec i Syn. Należała najpierw do Ojca, ale zaraz napatoczył się Syn. Syn wie o Ojcu, lecz Ojciec nie wie o Synu. Okej? Nadążasz? Rozumiesz, Ojciec ją...

– Rozumiem.

– ...różną od lat, a teraz Syn w tajemnicy różnie ją także. O, właśnie, a Panienska ma powiązania ze światkiem kryminalnym. Robiła striptiz w klubie gangsterów. A zresztą; więc pewnego dnia, w restauracji... gdyż wszyscy pracują w restauracji albo w jakimś pubie, albo w barze, choć może to jest i klub. To jeszcze nie ustalone. Panienska też tam pracuje. Więc tak czy owak, pewnego dnia w restauracji, gdzie wszyscy pracują... choć może to jest pub czy bar, albo klub... jak co dzień dostarczają pieczywo z piekarni. Ojciec i Syn otwierają worek mąki. Ale to nie jest mąka – to heroina. Tymczasem Ojciec też miał powiązania z gangsterskim światem i chce po prostu wszystko oddać z powrotem. Lecz Syn jednak...

Nieraz już odstawiałem tę gadkę – dostarczcie mi paliwa, a będę nawijał z aksamitną płynnością, i to bez najmniejszego wysiłku. Zatem mój umysł mógł swobodnie wędrować, tak jak czyni to zawsze, gdy nie obciąża go stres lub przyjemność. Te wędrowki nie są przyjemne. Myśli zaczynają tańczyć. Co to właściwie jest? Taniec niepokoju i błagań, daremnego czuwania. Musiałem chyba zapaść na jakąś nową odmianę choroby wściekłych krów, która sprawia, że cały czas się zastanawiam, czy naprawdę istnieję. Życie zdaje ci się sztuczką, grą, udawaniem, żartem. Czuję się, tak, czuję się martwy. Jest pewien facet. On mieszka w pobliżu. Ten pieprzony gość przyprawia mnie o gęsią skórkę. Też jest pisarzem... Nie potrafię już sypiać sam – to pewnik. Potrzebuję ludzkiego ciepła. Jak tak dalej pójdzie, chyba po prostu będę musiał je kupić. Budzę się o świcie – i nie, wszystko normalnie. A kiedy budzę się w środku nocy, w godzinach, które w ogóle nie istnieją... to lepiej nie pytajcie, najlepiej o nic nie pytajcie.

Doris nie odrywając ode mnie diabelskich oczu wysuwała się ze swojej lotniczej

kurtki i przyłożyła chusteczkę do rozpalonego czoła. Mankiety białej koszuli połyskiwały jedwabiem. Nie spuszczać z Doris wzroku mamrotałem swoje. O ile mogłem się zorientować, z przodu była płaska jak deska. A jednak jej szczupłość niesamowicie pobudzała i podniecała, zwłaszcza gdy się spojrzało na jej muskularną szyję. Szyja Seliny jest pełniejsza, bardziej ruchliwa, bardziej ognista, podobnie jak jej cycki. Jak to jest z tymi cyckami? Tak naprawdę wcale się ich nie potrzebuje. Doris są psu na budę...

Drzwi pubu otworzyły się i zostały otwarte.

I wchodzą, jeden po drugim: już coraz mniej stałych bywalców, już coraz mniej tych nie zalatujących forszą facetów, którzy przyłożą w połowie dnia w przepoconych garniturkach i z jakimś brukowcem pod pachą. Teraz nadchodzą młodzi – w artystycznych ciuchach z butików, mieniąc się barwami zwierzęcego zdrowia – wnosząc szum i smak wielkiego miasta, w pełnej glorii szmatek, cycków i forsy.

– Ostatecznie – ciągnąłem – dochodzi do starcia pomiędzy Ojcem a Synem. O właśnie, i...

– Powiedz – przerwała mi Doris. – Czym kieruje się postać grana przez Butch Beausoleil?

– Co?

– Co nią kieruje?

– Proszę?

– Dlaczego sypia z nimi dwoma? Ojciec daje jej forszę. W porządku. Ale dlaczego Syn? To dla niej za duże ryzyko. A Syn jest taki kluchowaty.

– Nie wiem. Może kipią mu jaja.

– Słucham?

– Może fachowo różnie.

– To żadna motywacja. Tego nie da się przekonywająco zagrać. Cała siła Panienki polega na tym, że nie jest tylko głupiutką blondyneczką. Ale dlaczego tak właśnie się zachowuje? Poważna kobieta rujnuje swe życie dla seksu? Nie sądzę, że publika to kupi. Myślę, że powinniśmy ją przekonać.

Obok nas przetoczył się Gruby Paul.

– Teraz leci Veronica – rzucił i rozchylonymi dłońmi zamarkował wielkie cyce: wzniesione i napęczniałe. Doris spojrzała na niego słodko.

A ja na to:

– No, kurczaczki i inne pisarki. Idziemy.

Chwyciłem ją za zimną, kościstą dłoń. Przedarliśmy się przez zawilgotniały kurz ciężkiej, aksamitnej story i wkroczyliśmy w gęściejszy jeszcze szum i gwar, w

gęściejszy jeszcze dym, w gęściejsze opary alkoholu. Dwudziestu hałaśliwych facetów przyglądało się postawnej samicy pracującej na małym podwyższeniu. Była ciemna jak tarantula, muskularna i ciężkawa i widać było, że zna swój fach – twarz jak u zawodowca nie wyrażała niczego. Przez kilka minut tańczyła powoli, a potem spoczęła w pozycji półleżącej na stojącym obok krześle. Jedną dłoń zagłębiła w przepaścisty parów pomiędzy piersiami, a drugą wpięrowo gładziła iskrzące cekinami majteczki, by za chwilę wsunąć ją do wewnątrz, wciąż pracując i pracując. Pochyliłem się, żeby szepnąć parę słów w delikatne uszko Doris:

– Widzisz wszystko, czy może chcesz mi usiąść na głowie? Powiedz mi tylko: co nią kieruje? A tą całą resztą? Posłuchaj. Na zewnątrz czeka *fiasco*. Podjedźmy na obiad do twojego hotelu. A potem zabiorę cię na górę i udzielę naprawdę długiej lekcji motywacji.

Przyjrzała mi się badawczo. Skinęła głową, uśmiechnęła się i wyszła za kotarę, ponaglona siarczystym klapsem wymierzonym w jej twardą jak skała pupę. Ruszyłem za nią, mrużąc do siebie pod nosem, nie zdejmując wzroku z podium, na którym dokazywała samica. Czy to nie cudowne, prawda, że one wszystkie są takie same, niechaj im Bozia pobłogosławi? Po prostu potrzeba pewnej masy ciała – pewnej masy ciała i trochę nerwu, to wszystko.

Z kurtką przerzuconą przez ramię Doris pośpiesznie zbierała swoje rzeczy. Jezu, mała, myślałem. Ale z ciebie szybciocha, co? Może w ogóle darujemy sobie obiad i od razu rzucimy się w pościel. A tu nagle, patrzę, że po jej policzkach niczym strużki potu spływają łzy.

– Dziękuję – powiedziała, kiedy podszedłem bliżej. – To jedna z najgorszych chwil, jakie przeżyłam od lat.

– No nie płacz, kotku, wiesz przecież, że to lubisz.

Wzięła się jednak w garść. Mówiła z wysiłkiem, ale potrafiła wydusić z siebie wszystko:

– Ty gnojku – warknęła – nawet nie przypuszczałam, że spotkam jeszcze dupka, który nawija podobne smuty. Myślisz, że kobieta taka jak ja poleci na frajera takiego jak ty? Wbrew sobie? Ani mi w głowie iść z kimś takim do łóżka. Nie chcę, żeby faceci tacy jak ty w ogóle istnieli.

Obróciła się na pięcie i odeszła. Rzuciłem się, chcąc ją zatrzymać. Nie udało mi się. Rozciągnąłem się jak długi na stole. Manewr ten, w wyniku którego utknąłem w stercie poprzewracanych kufli do piwa i potłuczonych szklanek po whisky, coś mi uświadomił. Poczulem, że mój kac zaczyna wreszcie mijać. I w istocie, kac zniknął już bez śladu

na dnie kolejnej tony wody. Gramoląc się z gruzowiska i strzepując z ubrania wilgotne kawałki szkła, zobaczyłem twarz mojego ojca, który przypatrywał mi się przez szparę w czerwonych storach. Spojrzałem na niego zażenowany. Ale on łypnął tylko z wyrazem rezygnacji i wycofał się w krainę cieni wraz ze swoją szklaneczką.

Dziesięć minut później wciąż jeszcze koilem czoło, przykładając je do lśniących i lodowatych marmurowych płyt szekspirowskiej szczalni. Mrużąc piekące oczy, uniosłem powoli głowę i bełkotliwie przeczytałem namazane na ciemnozielonych kafelkach graffiti: CZARNUCHY DO GAZU, SEKS TO GÓWNO, PIEPRZ WIEPRZA.

– Kimżesz, u licha, jest ten WIEPRZ? – mamrotałem do siebie. – Tak czy owak, możecie go śmiało wyjechać.

Po sjeście poczułem się trochę lepiej i dzielnie wygramoliłem się z tylnego siedzenia samochodu na przednie, poświęcając tylko chwilę na wypłatanie rozdartej nogawki z dzwigni ręcznego hamulca. I odwoziłem siebie do domu fioletowym *fiasco* – z Pimlico na Portobello. Musicie wiedzieć jak to jest doprowadzić się do takiego stanu. Na szczęście rzadko ogląda się babki w takiej smutnej postaci i bardzo mnie to cieszy. No nie, czasem jednak natknę się na jakąś zmaltretowaną blondyneczkę w pubie spod ciemnej gwiazdy... Lecz co się stało tamtej nocy w nowojorskim klubie „Berkeley”? Co się właściwie stało? Bo coś się stało na pewno. Rozsuplałem już pomniejszą tajemnicę. Wiem, w jaki sposób udało mi się załapać na lot do Londynu. Otóż Fielding przedzwonił na lotnisko Kennedy’ego i powiadomił linię Trans-American, że na pokład mojego samolotu podłożono bombę.

– To był drobiazg, Slick – powiedział potem przez telefon. – Zawsze to robię, gdy mogę się spóźnić. Biorą wtedy spóźnialskich na spytki, przeprowadzają śledztwo, ale pierwszej klasy to nie dotyczy. Nie oplaca im się...

Lecz w tym wszystkim tkwi jeszcze jedna tajemnica, tajemnica, która nie daje mi spokoju.

Dzisiaj, w to niedzielne popołudnie, przechodzę z kuchni do sypialni. Otwieram żaluzjowe białe drzwi ściennej szafy i wyjmuję ubranie, które miałem na sobie ostatniego wieczoru w Nowym Jorku. Biorę spodnie i rozkładam je płasko na łóżku. Po stronie wewnętrznych szwów, w okolicach krocza jest duża, rozchlapaną plama, ciemny brąz na jasnopłowym tle, na każdej z nogawek przechodzący w stożkowate strużki. Sztywna plama delikatnie kruszy się pod dotykiem. Co to takiego? Bo przecież nie woda z kranu. Nie, to raczej szampan, mocz. Zresztą myślę, że znam prawdę. Pamięć o tym wydarzeniu gdzieś się kołacze, ma wyraźną postać – ale jest wstrętna w

dotyku. Aj! Niech lepiej mnie nie dotyka! Trzymajcie ją z dala... Więc znowu chowam ubranie, wrzucam z powrotem do pierdła wraz z jego współnikami w zbrodni, zamykam bezpiecznie na noc tak, żebym nie mógł go dotknąć.

Terażniejszości też się coś dostaje. Nie sądzicie? Pełne ruchu, migocące kolorami i luksusem, moje życie wydaje się atrakcyjne – w każdym razie w teorii – lecz myślę, że wszyscy zgodzimy się, iż mam jednak jakiś problem. Może nie? Więc powiedzcie, w czym rzecz. Bracie, siostró, postąpcie, jak należy, i uchylcie rąbka tajemnicy. Powiecie mi, że to wóda... Wóda to nie pożywna ryba, tutaj możemy być zgodni, ale ta wóda nie jest przecież żadną nowinką. Nowinki są nieco inne. Czuję się osaczony, ogłupiony, oszukany, zrobiony w bambuko, wydymany, potraktowany jak szmata. Słyszę dziwne głosy i mówię nieznanym językiem. Nachodzą mnie myśli, których w ogóle nie potrafię rozebrać. Czuję się po prostu zgwałcony... Chyba to przedwczoraj otworzyłem porannego brukowca, aby się przekonać, że podczas mojej krótkiej nieobecności Anglię nawiedziły wszelkie możliwe bunty, rozruchy i niepokoje, społeczne wrzenie w rozpalonych do białości slumsach. Tym, co doprowadziło wszystkich do takiego szału, było, jak się dowiadywałem, bezrobocie. Wiem, jak się czujecie, mówiłem do siebie. Wiem, jak się czujecie. Sam w ciągu całego dziec, że moje *fiasco* to piękna maszyna, coupe w dobrym starym stylu, z mnóstwem mocy i werwy, plus całą kupą bajerów. Tak, *fiasco* to moja radość i duma. Chcąc być dobrym kumplem, na czas moich wyjazdów do Nowego Jorku użyczam tej rakiety Alecowi Llewellynowi. I co zastaję po powrocie? Sterty mandatów i ptasiego gówna, przedziurawioną zapasową oponę, niepokojące stuki i zgrzyty; a na dodatek wszystkie diody na desce rozdzielczej migoczą z posępną irytacją. Cóż no ten typas wyprawiał z moim wspaniałym, niezrównanym *fiasco*? Wydaje się, że musiał w nim mieszkać, ba, chyba jeszcze je podnajmował. Niektórzy ludzie po prostu nie mają klasy. Żebyście zobaczyli, jak chłopcy w warsztacie wybałuszają gały z podziwu i zazdrości, gdy zajeżdża tam moje *fiasco* – albo zostaje tam przypchane czy przyholowane, a pewnego razu (nie uwierzycie!) przywieziono je helikopterem na ten ich zasłany tandetnym śmieciem parking przy bocznej uliczce. To moje *fiasco* ma cholerny temperament, jak rasowy koń wyścigowy, jak z boskiego nadania poeta czy kucharz. To nie jest jakaś tam stara chabeta, jakiś tam mistral czy alibi. Kupiłem tę zabawkę dopiero rok temu – i wybuliłem majątek. Niektórzy – chyba należy do nich Alec – uważają, że *fiasco* jest trochę ostentacyjne i w złym guście, że to trochę nuworyszostwo. Lecz co oni mogą wiedzieć.

Złorzecząc i przeklinając, czołgaliśmy się – samochód i kierowca – zapchaną

autami ulicą. Po prostu nie ma tu gdzie zaparkować. Nie ma już gdzie parkować nawet w niedzielne popołudnie. Możesz tylko parkować na drugiego; inni zaś mogą parkować na trzeciego przy twoim samochodzie. Bo wehikuły wciąż podwajają liczbę, podczas gdy domy się rozdwarzają. Rozdzielają się na dwie, cztery, a nawet i szesnaście części. Gdy tylko jakiś właściciel czy przedsiębiorca budowlany natknie się na jakikolwiek pokój przyzwoitych rozmiarów, natychmiast przemienia go w labirynt albo chińską łamigłówkę. Wyrafinowane grille (o niezliczonych guzikach) umieszczone w ekscentrycznych kuchennych wnękach wyglądają jak deska rozdzielcza staroświeckiego statku kosmicznego. Pokoje rozszczepiają się, mnożą przez pączkowanie. I domy też się rozszczepiają – parkują obok siebie potrójnie. Ludzie również się mnożą, rozdwarzają, rozszczepiają. Bo gdy mnożą się kłopoty, rozszczepiamy nasze finansowe straty, rozcieńczamy je. Nic dziwnego, że objamamy się wszyscy o ściany, że odbijamy się od ścian jak piłki.

...Zazwyczaj myślę o moim zachodniolondyńskim mieszkaniu jako o czymś w rodzaju garsoniery playboya. Lecz nie ma to żadnego wpływu na owo lokum, które tak czy owak będzie zawsze tylko kawalerskim mieszkaniem za trzy grosze, legowiskiem, norą, przybudówką – po prostu śmierdzącą skarpetą. No bo też cuchnie kawalerem, kawalerstwem: nawet ja to czuję. (Nie można pozwolić, żeby kawalerstwo zadomowiło się w twoim życiu, żeby weszło ci w kości. Wiedz, że po pewnym czasie, tak, tak, rzeczywiście łupie cię w kościach). Niczym rozpalony, pulsujący małolat, moje biedne mieszkanko skomle o kobietę. Tak jak i ja. Jest podupadłe na duchu, podobnie jak ja. (Jej nocna koszula, jej kremy nawilżające, a zwłaszcza skarb skarbów – szuflada pełna majtek – zniknęły, już ich nie ma). Moja jaskinia ma kremowe, puszyste wykładziny, pluszową łososiową kanapkę z kolumnienkami i owalne łożo z narzutą z czarnej satyny. Tyle że to wszystko nie moje. Podobnie jak jedwabna tkanina, którą obite są ściany. Wszystko wynajmuję. Wynajmuję wodę, ogrzewanie i prąd. Wynajmuję każdą torebeczkę herbaty. Mieszkam tu od dziesięciu lat i nic nie należy do mnie. Moje mieszkanko jest małe, lecz kosztuje mnie kupę forsy.

Stojąc przy oknie w kuchni, w tym moim bocianim gnieździe owianym wichrami, spoglądam na grupki chuchrowatych i sflaczałych joggerów czadujących na południe w kierunku Parku. Widok równie tragiczny jak w Nowym Jorku. Niektórzy z tych zasapanych grubasów, tych niespełnionych i niedocenionych artystów, sprawiają wrażenie, jak gdyby biegli pod górę, pokonywali ostre wzniesienia. To my, to moje pokolenie wymyśliło całe to szaleństwo. Przedtem wszyscy byli chyba zadowoleni, że czują się jak chodząca śmierć. A teraz już nie, teraz wszyscy chcą czuć się na topie, i to

non stop, na okrągło. To lata sześćdziesiąte wbiły nam do głowy przekonanie, że starość jest czymś obrzydliwym. Choć jestem produktem lat sześćdziesiątych – karnym, posępnym, nie zadającym pytań – to w tej konkretnej sprawie prawdziwe uczucia sympatii cofają się do owych dni dawno minionych, kiedy to nikomu nie przeszkadzało czuć się na okrągło jak śmierć. Wyglądam przez trupioblade, rakotwórcze, nasyczone nikotyną okna mojej cuchnącej kawalerskiej nory i wpatruję się w te trzęsące się stare galarety w kolorowych ciuchach małolatów. Spieprzajcie lepiej do domów! Zmiatajcie do swoich domów, rzućcie się na wyro i naźryjcie się czipsów i tłuczonych kartofli. Wczoraj trzy razy waliłem konia. Nie było to łatwe w żadnym z trzech przypadków. Czasami naprawdę trzeba się przyłożyć i nieźle naharować, bo przecież to poważny wysiłek. To kwestia wytrwałości i silnej woli. Ktoś, kto ma czelność mi wmawiać, że rękodzieło nie jest fizycznym wysiłkiem, po prostu nie wie, o czym mówi. Podczas trzeciego razu omal nie padłem na zawał. Oddaję się jeszcze innym ćwiczeniom. Chodzę po schodach. Gramolę się do taksówek i gabinetów w restauracjach. Wyruszam taksówką do takich lokali jak pub „Butcher’s Arms” czy knajpka „London Apprentice”. Dużo kaszlę. Często zdarza mi się puścić pawia, co niestety wysącza ze mnie wszystkie siły. Kicham, odcedzam się i strzepuję z jelit. Włazę do wyra i złażę z niego – często kilka razy dziennie. Cóż, w Nowym Jorku widzieliście mnie w szczytowej formie, gdy poddałem się karbom dyscypliny, gdy wykazałem się zdecydowaniem i dynamizmem. Tutaj zaś widzę, że jakbym zaczynał się staczać. Nie mam tu nic do roboty i nikogo, by cokolwiek z nim robić. Sam z siebie nigdy nic nie robię. Tak chciałbym znaleźć jakąś dupkę, żeby zdradzić z nią Selinę. Zdawało mi się, że mała Doris była cholernie napalona. Kobiety! I ta wódeńka! Kiedy chlasz na okrągło, masz utrudnione relacje z panienkami. Fielding zaskoczył mnie totalnie, po prostu ściał mnie z nóg, kiedy powiedział mi przedwczoraj przez telefon, jak to namąciłem w łebku tej ślicznotce Butch Beausoleil. No tak, poznaliście mnie od najlepszej strony, gdy byłem uprzejmy, szarmancki i atrakcyjny w tym całym ich Nowym Jorku. Ach, kurde, brakuje mi tu, w Londynie, nowojorskiego ducha i szarmu! Tam, w Nowym Jorku, możesz się uchlać na amen, natrzepać pół litra spermy, mieć gały czerwone jak królik, a i tak będą cię tam szanować, boś przecie Europejczyk, więc mądry, utalentowany, wyrafinowany. Przyznaję, nie uchroniłem się od błędów, jak każdy z nas, kto tam jedzie i próbuje wybadać wszystko na miejscu. Jak wtedy, gdy o drugiej nad ranem wydzieriałem się w prawie już pustej restauracji, żeby podali mi jeszcze drinka. Albo jak w barach intonowałem pieśni, albo jak padałem na parkiecie dyskotek lub dywanach nocnych klubów, i to tak na okrągło, non stop. Któregoś ranka podczas jednego z wcześniejszych

pobytów uczestniczyłem w roboczym śniadaniu z Fieldingiem i trzema biznesmenami-sponsorami. Mieliśmy ich wysondować; było to w konferencyjnym apartamencie wymoszczonego pluszem i aksamitami hotelu w pobliżu Sutton Place.

Gdzieś w połowie tej nasiadówki poczułem, że z gardła gwałtownie wyskoczył mi korek powstrzymujący zbierającego się pawia. Ledwie udało mi się dopaść przyległego do apartamentu sraczyka, który był nader obszerny i miał doskonałą akustykę: wydawałem odgłosy przypominające wybuch napęczniałego gazami hipopotama. Przedarły się one przez zamknięte drzwi w pełnym efekcie kwadrofonicznym (wiem o tym od Fieldinga). Gdy wróciłem, natknąłem się na nieco dziwne spojrzenia, lecz je przetrzymałem i w sumie nic się strasznego nie stało. Na miejscu tych sponsorów miałbym z tego spektaklu nie lada frajdę. Gdybym widział, że jakiś palant kasuje się z własnej woli – pojmujecie, kasuje się na własne życzenie – znakomicie poprawiłoby mi się samopoczucie. Nie niszczą go żadne tam siły natury czy jakieś zewnętrzne nieszczęście, bo to by mnie tylko przeraziło. Ale tam, w Stanach, ludzie są bardziej purytańscy i stąd to spojrzenie niebywałej wprost troski tamtego ranka, gdy zasiadałem na powrót nad szklanką soku, jajecznicą i kawą bulgoczącą w masywnym srebrnym dzbanku i starałem się dalej prowadzić rozmowę. Tyle że zacząłem wydawać z siebie dziwny, niesamowity dźwięk – usłyszałem ten dźwięk przedwczoraj, starając się wycisnąć z plastikowego pomidora ostatnie krople ketchupu. No i dobrze, nie ma się czym szczypać. W każdym razie wprowadziłem siebie w stan rozpadającej się od kaszlu, ociekającej łzami galarety. Musiano pomóc mi zejść na dół i załadować się do Fieldingowego autocrata. A jednak twarda ze mnie sztuka. Nie lubię oglądać kobiet doprowadzonych do bożego dnia nie mam tak wiele do roboty. Siedzę więc tutaj, bezbronne stworzenie, a moja mózgowica aż kipi od bólu uszu i bulgocącego niepokoju. Dlaczego? Powiedźcie. Dzielnice finansjery skwierczą od monetarnego chaosu – tymczasem ja mam pieniądze, i to mnóstwo, i zarobię jeszcze dużo, dużo więcej. Więc czego mi brakuje? O cóż, do cholery, może tu jeszcze chodzić?

Pobudzony przypadkowym impulsem (przypadkowe impulsy: to właśnie mną dziś kieruje, to jedyna motywacja, jaka mi się ostała), poszedłem do sąsiedniego pokoju i przebiegłem wzrokiem po moim księgozbiorniku: *Poradnik podatnika*, *Wyspa skarbów*, *Lichwiarze* Harolda Robbinsa, *Tymon Ateńczyk* Szekspira, *Konsorcjum*, *Nasz wspólny przyjaciel* Dickensa, *Jak kupować?*, *Silas Mamer* George Eliot, *Jak odnieść sukces?*, *Opowieść sprzedawcy odpustów* Chaucera, *Wyznania szeryfa*, *Diament wielki jak Ritz*, *Ametystowy spadek* – i to byłoby właściwie wszystko. (Większość poważniejszych

książek to pozostałość po poprzedniczkach Seliny; tylko Lichwiarzy, o ile pamiętam, kupiłem sam). Przez chwilę wpatrywałem się w moją wieżę stereo, godną ery kosmicznej. Już przed laty wyrosłem z rocka, lecz nie udało mi się dorosnąć do żadnego innego rodzaju muzyki. Czekałem, niuchałem, lecz nic nie nastąpiło. Telewizja śniadaniowa to, jak na razie, dopiero marzenie, nieśmiały szept. Na to też trochę poczekam – być może. A może nie. Oglądanie telewizji to jedno z moich głównych zainteresowań, jedna z moich podstawowych umiejętności. Filmy wideo są kolejną nabytą umiejętnością, to znaczy ich oglądanie: preferuję satanizm, rzezie, soft porno. Cóż, zdają sobie sprawę, kiedy przymuszę się, by o tym pomyśleć, że wszystkie moje hobby i zainteresowania mają posmak pornografii. Właśnie, element samotnego zaspokojenia jest tu wyraźnie zaznaczony. Fast food, sex show, gry kosmiczne, jednoręcy bandyci, wideo-pornusy, świerszczyki, woda, puby, mordobicie, telewizornia, rękodzieło. Mam pewien domysł dotyczący trzepania konia, a w każdym razie wyczerpującej częstotliwości tego aktu. Potrzebuję ludzkiego uczucia. A ponieważ nie mam nikogo w pobliżu, dostarczam sobie uczucia sam. Rękodzieło jest przynajmniej za darmo, to taki grzecznościowy załącznik, bez doczeponego rachunku.

Na niskim stoliku o blacie z kwarcowego szkła, stojącym przy sofie w kolorze kartoflanych obierków, leży rozrzucona sterta nie rozpieczętowanej poczty. Od jak dawna już w moim życiu poczta ogranicza się do jednej tylko działki? Kiedy spojrzę na ten bezładny stos, kiedy wreszcie porozrywam koperty i z wściekłością przedzierać się będę przez te wszystkie oferty-pułapki, przez te bezczelne żądania i uniżoną żebraną, będę miał ochotę powtórzyć na nowo pytanie:

– Słuchajcie, czy nie możemy zmienić tematu? Tylko ten jeden raz, po tylu latach? Czy nie ma już innych tematów, o których moglibyśmy mówić...?

Kiedy to po raz ostatni otrzymałem list miłosny? A kiedy sam taki list napisałem?

Było już wpół do siódmej. Czas na skrucę. Zadzwoiłem do hotelu do Doris Arthur i przeproszałem bez końca... Ileż to takich przeprosin można w sobie pomieścić? Potrzebny mi będzie jeszcze spory ich zapas, gdy powrócę do Nowego Jorku – i będę przeproszać Martine... Z Doris poszło nawet gładko. Zawsze tak jest – z początku. Poza tym dostaje przecież sto kafli, żeby nie straciła zainteresowania. Następnie odnalazłem długopis, papier, koperty, arkusz znaczków. Wygiąłem w tę i wewtę książeczkę czekową. Pracując, szepotałem do siebie i swoich pieniędzy.

Na kopercie ostatniego listu adres wypisany był atramentem, a ja określony byłem jako Mr John Self Esquire, Wielce Szanowny W. Pan John Self. Gdy tamtego okropnego ranka powróciłem z Nowego Jorku i po raz pierwszy przerzucałem tę stertę

w dominującym kolorze khaki (w londyńskie południe siedziałem w opustoszałym mieszkaniu ze szklaneczką w ręku: gin z tonikiem o szóstej rano; no tak, list, który wezmę teraz do ręki, musi postawić mnie na nogi i podnieść na duchu) w poszukiwaniu przyjaznej, pomocnej dłoni, wpadł mi w oko ten nieporadny jakby charakter pisma i byłem pewien, że będzie to taktowne przypomnienie się od kęgarza-cudotwórcy, guru-psychoterapeuty przyjmującego pacjentów na dywanie, a może specjalisty od serduszka, z których usług koniecznie muszę skorzystać... Zatrudniają imigranckie dupeczki, żeby ręcznie adresowały koperty: dodaje to ich listom ludzkiego ciepła. Ale ten list wydał mi się nagle szczególnie ludzki i osobisty. Z bijącym mocno sercem wyszarpałem list z gardła koperty. Cytuję:

John kochanie

Zabierz mnie z powrotem. Nie mogę uwieżyć że naprawdę myślisz o mnie te okropne rzeczy które mi mówiłeś. Jak możesz myśleć o mnie tak strasznie. Przyśl po mnie proszę, bardzo proszę nie wiem co ze sobom zrobię jak ciebie nie będzie żeby opiekować się mną kocham ciebie mocno Twoja Selina

PS Jestem bez grosza pszy duszy

Wściekle podniecony, buzując płonąym pożądaniem, nalałem sobie drinka i zacząłem szukać śladów. Na stemplu był Stratford-upon-Avon. Data sprzed dziesięciu dni. Natomiast u góry firmowego arkusza widniało: „The Cymbeline, Hotel-Casino” oraz siedmiocyfrowy numer telefoniczny w układzie dwie cyfry i pięć. O co chodziło z tym całym „zabierz mnie”? Jakież okropieństwa miałem o niej mówić? Nie po raz pierwszy cofnąłem się do tego wieczoru przed odlotem do Nowego Jorku. Co się wtedy stało? Zabrałem Selinę na kolację do drogiego lokalu. Pokłóciliśmy się strasznie na temat forsy. A potem w domu odbyliśmy długotrwałą i wyczerpujący seans pożegnalnego kochania: Selina była dzielna, wytrzymała i pobłażliwa, a ja, jak zwykle, wybujałe zmysłowy i seksowny. Gdy było po wszystkim, zażyłem parę nocnych czepeczków, czyli szklaneczek, i gotowałem się do snu. Innymi słowy, całkiem zwyczajny wieczór. Być może trochę jej nabluźgałem, lecz to przecież normalka. Gdy następnego dnia obudziłem się koło południa, Seliny już nie było. Również i do tego nie przywiązywałem większej wagi. Wypiłem kawę po irlandzku, spakowałem rzeczy i na ścianie w kuchni zostawiłem nowojorski numer telefonu.

W słuchawce odezwał się męski głos; zgodził się – równy gość – wypełnić moje życzenie.

– Wiedziałaś, że to ty – mówiła z nerwowym, ochrypłym z napięcia, niskim, niesamowitym głosem.

– Wracaj. Wracaj tutaj – powiedziałem w ten sam sposób. – Chcę ciebie. Teraz.

– Człowieku! Jak mogłam tak żyć!

– Weź taksówkę.

– Taksówkę!

– Zrób to.

– Dobrze.

– A więc szybko.

– Zgoda.

Chodziłem po mieszkaniu. Znowu wziąłem jej list. Oczy paliły mnie i swędziały. Wicie co? Pierwszy raz zobaczyłem jej pismo – jej niechlujny, niewyrobiony podpis, jej nagryzmołone ucałowania. Jak to możliwe? Wiem, że nie jesteśmy parą zbyt elokwentną w piśmie, lecz tak czy owak było to niesłychane. Rany boskie, dwa lata z pewnymi przerwami bez jednej nawet karteczki? Jezu Chryste! Rzuciłem pieprzony list. Uniosłem wzrok. Ale czy ona kiedykolwiek widziała moje pismo? Tak, owszem, na czekach, rachunkach, odcinkach kredytowych.

Wyskoczyłem do musującego towarem i barwami pasażu handlowego. Moja misja? Kupić szampana. Tak, Selina lubi, żeby jej dobrze podlać. Nie można uprawiać pornografii na pół gwizdka. A pornografia zawiązała konkordat z forszą, więc trzeba opłacić wszystkie należne składki... „Cymbeline”, prawda? Sam kiedyś spędziłem nieco czasu w tym przytulisku – z tą czy inną poprzedniczką Seliny, jakąś modelką czy fryzjerką, jakąś Cindy, Lindy, Judy czy Trudy. To wszystko idzie w koszta twojej firmy, to taki bezgotówkowy pałac ginu i hazardu, cholerycznie drogi, pełen Amerykańców i tych klonowców z Kanady, graczy na wyścigach, kurew, żigolaków i wszelkich weekendowych świntuchów. Mogę go śmiało polecić. Byłem raz w Stratfordzie, gdy kręciliśmy telewizyjną reklamówkę jakiejś nowego rodzaju błyskawicznej szynkowo-jajecznej zapiekanki, rolady czy literackiej postaci o nazwie Hamlette. Było tam trochę teatralnych efektów i kręciliśmy to wszystko na scenie. Był więc aktor, cały na czarno, z czaszką i kulą, którego poddziobywał ten wściekły kurczak, co to przez aktora wpadł w tarapaty. A wtedy wielgachna młoda cipka, w ognistym staniczku i majtaskach wtarabania się dostojnie na scenę, dzierząc ponętnie tacę, na której dymi – no co? – tak, na tacy dwa talerze, a na każdym apetycznie dymiący Hamlette. Mruga do smutnego

aktora – i wszystko znów cacy pomiędzy aktorem i kurczaczkiem, sam miód i cymes. Na wszystkich moich telewizyjnych reklamówkach głównym akcentem jest taka wielka szprota w majtasach i staniku, od której pęka d rozporek. To jakby mój znak firmowy. Nikt przecież nie mówi, że moje klipy są zbyt subtelne. Lecz szybkie dania sprzedają się szybko.

Umknąłem z wilgotnawego białego światła w kryształowy boks „Nektaru i ambrozji”. Jezu, ale tu mają wódy, i w dodatku sporo z tego to czysta esencja, beczki nigeryjskiego sherry, kwarty porto z Alaski. Mają nawet na składzie jakiś podejrzany płyn, który nazywa się po prostu „Alkohol”, sprzedawany w plastikowych pojemnikach bez żadnej firmowej nalepki. Ależ dno! „Nektar i ambrozja” wystartował chyba w odpowiedzi na zapotrzebowanie czcigodnych dam z plastikowymi torbami, kloszardów i kulawych pijacków, jakich nie brakuje w okolicy. I ujrzałem parę takich wypierdzianych gębulek pośród drucianych stelazy. Gdy zabawiłem trochę w sektorze wódek i whisky, jakiś stary łeb, zapowiadany kielkami oddechu o woni zbutwiałego drewna, wychynął zza butelek niczym zięjąca ogniem salamandra. No i masz! Rozwlekłym, rozleniwionym głosem uderzał w tony błagania i samousprawiedliwienia, pokazując świeżą ranę na czerwonym, spuchniętym policzku. Nie, stary, nie ze mną, tutaj nie będziesz żebrać, nie mam ochoty się z nikim zadawać. Dałbym mu zresztą funciaka, żeby się tylko odczepił, lecz, jakżeby inaczej, jeden z tych trzech alfonsów strzegących sklepowej kasy przyczłapał ziewając przeciągle i opuścił swą ciężką łapę na ramię biednego obdartusa, kierując go z powrotem na ulicę, gdzie było jego miejsce. Spierdalaj, stary dziadu. Dlaczego? Bo tak każe pieniądź. Wynik mojego polowania to, jak zwykle, markowi Francuzi. Przy kasie zlustrowali moją kartę Vantage, zaglądając do małego zeszytu, gdzie mieli numery fałszywych kart kredytowych i namiary niewypłacalnych dłużników... Następnie zameldowałem się tuż obok – kantorek nazywa się „Chequepoint” albo „Chequeup”, a może nawet „Chequeout” – gdzie słodka dupka w klatce realizuje ci czeki okrągłą dobę, ale zatrzymuje chyba połowę twojej forsy jako drobną opłatę za tę cudowną usługę. A naprawdę to chyba więcej niż połowę – tak się w każdym razie wydaje. Ceny wciąż idą w górę. Któregoś dnia zajdę tutaj, wypiszę czek na pięćdziesiąt funciaków, wsunę go grzecznie pod szybę, poczekam spokojnie chwilkę i wreszcie uprzejmie zapytam: no jak tam, co słyhać z moimi pieniżkami? A słodka dupka w klatce z kuloodpornego szkła łypnie na mnie surowo i wycedzi konkretnie:

– Co to? Nie umie pan czytać? Przecież ta suma pokrywa opłaty.

Wróciłem do domu dłuższą drogą, żeby zabić czas oczekiwania na Seline – moją sklepową Seline, moją Seline Street, a może raczej High Street, Seline z Głównej Ulicy.

Biedaczka, znów rzucono ją na wyprzedaż. Jak mi się to podoba. Jak mi się to wszystko podoba. Podobnie jak Selina, również i ta dzielnica wypływa na szersze wody. Do niedawna była tu, po drugiej stronie ulicy, włoska restauracja trzeciej już generacji: miała lniane obrusy i dupiastą, surową, ubraną w czern kelnerkę. Teraz króluje „Burger King”. Jest już i „Pałac Burgera”, „Chatka Burgera”, a także „Szałas Burgera”. Szybkie jedzenie równa się szybkiej forsie. Wiem o tym – sam przecież pomagałem. Być może w portfelu klientów jest jeszcze miejsce dla kilku następnych przybytków. Co drugie okno wystawowe należy do butików z ciuchami, z punktowym światłem reflektorków. Ileż to butików z punktowym światłem potrzeba na jednej ulicy? Trzydzieści, może czterdzieści? Dawniej była tu księgarnia, książki podzielono na działy i ustawiono w kolejności alfabetycznej, lecz teraz to wszystko zniknęło. Firma nie spełniała koniecznych warunków: nie miała siły przebicia. Teraz mamy tu butik z punktowym światłem i trzy opalone kurczaczki, twarde jak stal, prowadzą interes rozdając jadowite uśmiechy. Był tu także sklep muzyczny (flety, gitary, nuty). Przemienił się w hipermarket z pamiątkami. I był tu salon aukcyjny: mamy teraz klub wideo. Koszernie delikatesy – teraz salon masażu. Pojmujecie, o co mi chodzi? Teraz stanęło na moim, to moje idzie w górę w tym naszym świecie. Cieszy mnie to. Nie powiem, żeby mnie martwiło. Żal mi tylko włoskiej restauracji – byłem tam stałym gościem, a i Selinie się podobało – lecz cała reszta nie była mi zbyt przydatna i cieszę się, że już jej nie ma.

Wyskakując z tego demograficzno-rozwojowego promu kosmicznego, przenieśliśmy się w spokojniejszą kratkę przykurzonych, zaniedbanych placyków i szemranych hoteli. Niektóre z tych rezydencjonalnych działek również awansują na drabinie prestiżu: dom i obejście zostają uszlachetnione, ich buźkę nawilża się, obkłada marmurem. Szefowie od reklamy, finansiści, młodzi żonkosie o zaostrzonych rysach i nerwowych twarzach, wprowadzają się na wyścigi i oznaczają swój teren, wytyczają granice. Ba, teraz zadekuje się nawet w okolicy ta czy inna drugorzędna gwiazda mediów. Albo napotkasz starego aktora, śpiewającego gorzkie arie w jakimś pubie przy bocznej uliczce. Jedna taka, która czyta poranne wiadomości, jadąc do telewizji łąduje swą dzieciarnię do rozklekotanego i poobijanego boomeranga. Zdetronizowana królowa, prowadząca do niedawna program gadających głów, oraz wylany na zbity pysk alkoholiczny majordomus quizów codziennie jedzą w ponurym milczeniu obiad w tutejszym „Kebab House”. Zaraz, no i mieszka tutaj taki pisarz. Pokazał mi go kiedyś jeden facet w pubie; od tamtego czasu widuję go, jak obija się w „Family Fun”, rodzinnym jakoby salonie gier kosmicznych, albo przytarabania się do landretki Whirlomatu, by samoobsługowo wyprać swe szmatki przydygowane w niebieskiej torbie. Nie wydaje się, żeby pisarzom

płacili zbyt wiele, coś na to nie wygląda... Zatrzymuje się i zaczyna mi się przypatrywać. Twarz ma ściągniętą i nieufną – i zdradzającą przebiegłość; jego chytry, antypatyczny uśmiech skrywa obmierzły grymas dwuznacznej zmywy. Budzi we mnie dreszcze.

– Spróbuj no mnie tylko jeszcze raz rozpoznać! – zawołałem kiedyś do niego, gdy stał po drugiej stronie ulicy, i pokazałem mu znak zwycięstwa i groźącą pięść. Wytrzymał i to i wpatrywał się nadal. Mówią, że ten pisarzy na nazywa się M a r t i n A m i s. Nigdy o nim nie słyszałem. A może wy coś jego czytaliście?

...Ze skurczem bólu spojrzałem w górę: wciąż nie było pogody. Czasem, gdy niebo jest szare jak teraz – nieskazitelnie szare, stanowiąc w istocie zaprzeczenie samego pojęcia koloru – a pochylone miliony unoszą głowy, trudno jest odróżnić powietrze od zanieczyszczeń w naszych ludzkich oczach, jak gdyby opadające i wspinające się esy-floresy i zawijasy pyłów były częścią samej materii i żywiołów, częścią deszczu, nasion, łez, mgły czy kurzu. Być może w takich chwilach niebo jest niczym więcej, jak tylko sumą wszelkich zanieczyszczeń, które żyją w naszych ludzkich oczach.

Azatem wszystko gotowe. Jestem już z powrotem w mojej garsonierze. Prześcieradła zostały zmienione, skarpetki pozbierane, świerszczyki pochowane. Ja sam domyłem się i wypachniłem. Wkrótce usłyszę dzwonek i zjawi się tu Selina ze swymi kocimi oczami, torbą z noclegowym ekwipunkiem, palącym gardłem, bielizną, która niejedno widziała, przegubami naznaczonymi bliznami, zapachami buduaru i, co całkiem możliwe, zapachem innych mężczyzn. Pod szlachetnym patronatem pornografii wydaje się jednak, że wszystko jest w porządku, że wszystko jest okej. Lecz chyba starczy na tyle. Powinienem poczekać, aż poznam was nieco lepiej, zanim wyjawię, na co pozwalam sobie z Seliną, kiedy znajdziemy się w wyrku. Ale i tak pewnie wszystko wam opowiem. Bo kto by się tam przejmował! Na pewno nie ja. Czy jest niewierna? Czy lezie do łóżka dla forsy? Nie, nie Selina, nie moja Selina. Po prostu kręci pornusy, kiedy wybywam z Londynu, i wyświetla je później na prywatnych pokazach w tej mojej starej, lubieżnej łepetynie. Dziś właśnie będzie pełny seans. Nie powiem, żebym za bardzo się przejmował i niepokoił teraz, gdy pornografia jedzie już do mnie taksówką.

Podczas gdy szampan schładzał się w mojej maleńkiej, lecz mimo to bardzo pojemnej lodówce, otworzyłem buteleczkę piwa i zażyłem dziesięć kapsułek witaminy E. Tak, jestem witaminomanem, tak jak uzależniony jestem od penicyliny i, rzecz jasna, od środków przeciwbólowych. Tabletki przeciwbólowe – no tak, to gównie jest naprawdę niezłe... Ogłuszony, jęczący, niespokojny i bezradny, chodziłem w tę i wewtę po mieszkaniu. Przez moment stałem nieruchomo. Usiadłem. Pilotem włączyłem

telewizor. Z ostrzegawczym trzaskiem na wynajęty ekran wypłynął książę Walii. Cześć, książę, mruknąłem do siebie. Kiedy to, stary, wróciłeś? Ten facio zamierza się chajtnąć za miesiąc albo dwa. Wynalazł sobie słodkiego kociaczka o imieniu Diana. Nie wygląda na osobkę, która narobi mu kłopotów – w każdym razie nie tyle, ile moja Selina... W kolejnych ujęciach książę grał sobie w polo, wspinał się na wielgachną górę, pilotował odrzutowce, dowodził wojennym okrętem. A potem zasiadł jak gdyby nigdy nic przed kominkiem i uciął sobie spokojną pogawędkę z szanowną mamusią, Panią Kurą. I dalej, *en face* do kamery, Książę Pan odpowiadał na wszelkie zapytania dotyczące dzieciństwa i młodości. Jest, jak powiedział, niezmiernie wdzięczny, że nauczono go samodyscypliny we wczesnym etapie życia. Samodyscyplina, nawijał, jest dla niego czymś absolutnie niezbędnym w jakiegokolwiek postaci cywilizowanej egzystencji... Chłopie, a jak ja bym chciał, żeby zawczasu ktoś mnie nauczył samodyscypliny – kiedy byłem jeszcze młody, to znaczy wtedy, kiedy można się czegoś nauczyć, nie przemęczając się specjalnie. Mogli mnie przecież nauczyć dumy, godności, a także troszeczkę francuskiego – skoro już by się za te sprawy zabrali. Nawet nie musiałbym kiwnąć palcem. Ale nikt nigdy nie próbował mnie tego wszystkiego uczyć. Usilnie próbowałem się tego sam nauczyć. I teraz też siadam i próbuję tej pieprzonej samodyscypliny. Nie może mi to jednak wystarczyć (samodyscyplina to stara nudziara, nie ma z nią za wiele frajdy), więc sprawa kończy się zwykle tym, że wychodzę, aby się trochę zabawić.

Nagle odezwał się bzyzcący dzwonek; skoczyłem na równe nogi, a ręce w kieszeniach liczyły pieniądze.

– Ktoś cię ostatnio przerznął?

Wieczór osiągnął w końcu swą obiecaną, przeznaczoną mu fazę. Właśnie wróciliśmy z kolacji u „Kreutzer”. Była to tradycja, konwencja. „Kreutzer” od dawna już dostarcza kosztownej oprawy naszym spotkaniom, naszej grze wstępnej, naszym kłamstwom. Zamówiliśmy krwiste mięso i dużo krwistego wina. Były koniaki i ciężkie, sycące desery. I było trochę świntuszenia. Selina jest w doskonałym nastroju, a jeśli chodzi o mnie, to jestem bulgocącym, buzującym gazami czarnoksiężnikiem kalorycznych szaleństw.

– Tak – odpowiedziała po chwili, wolno sącząc szampana.

– Kto taki? Ktoś, kogo znam?

– ...Tak.

– No to lepiej mów szybko.

– Byłam u siebie w pokoju. Klęczałam na ławeczce przy parapecie, patrząc na łąkę.

Jest tam teraz pięknie. I wtedy ten wielki czarny samochód zajechał przed hotel. Sam chrom i złoto. Szyba opadła w dół; ukazała się dłoń z dwunastoma pierścieniami i zaprosiła mnie do środka.

– Co miałaś na sobie? – Teraz ubrana była w coś w rodzaju czarnego trykotu spiętego między udami, pończochy o połysku chromu oraz złociste pantofle.

– Byłam w białej sukieneczce, która pozostała mi jeszcze z dzieciństwa. Sięga tylko dotąd. Nie włożyłam jeszcze majteczek, bo właśnie wyszłam z kąpieli.

– I co zrobiłaś? – Przeszła przez pokój i uklękła obok mnie na łóżku. Obiema rękami odgarnęła włosy, ukazując szyję, przyjmującą coraz to inną postać.

– Przeszłam przez pokój i na paluszkach zbiegłam po schodach. Wskoczyłam do wielkiego czarnego auta.

– A co on zrobił? – Ułożyłem ją na plecach. Czarny trykot miał czterdzieści czarnych guzików, zamocowanych w pętelkach o kształcie oka, utworzonych ze sznureczków skręconych z nitek jedwabiu. Teraz trzydzieści dziewięć zapiętych guziczków. Za chwilę trzydzieści osiem.

– Uniósł mnie i posadził na sobie. To tak jak gdybym usiadła na okrętowym kabestanie albo na żeliwnym hydrancie. Położył mi ręce na ramionach i zaczął naciskać. Pomyślałam: nie wejdzie we mnie nigdy, nigdy nie wsunę się na niego. Ale był tak silny, a te jego dłonie były wprost niewiarygodne, ciężkie, jakby odlane ze złota. Bolało, lecz byłam w środku mokra i ten ból był jakiś płynny i słodki. Pomyślałam: jestem kutasem, jestem po prostu kutasem.

Później, gdy jej bezwładne ciało rozłożyło się obok mnie na satynie, wypaliłem cygaro, skończyłem szampana i oddałem się marzeniom o przyjemnym życiu. Bo w jakimś sensie naprawdę uważam, że należy mi się takie przyjemne życie.

Tylko jak je osiągnąć?

W głębi duszy jestem facetem całkiem szczęśliwym. Szczęście, jak powiadają, to ulga w cierpieniu, więc przypuszczam, że jestem facetem całkiem szczęśliwym. Ulga w cierpieniu zdarza mi się dosyć często. Ale ból i cierpienie również. Dlatego doznaję także tyle tej ulgi, o której mówią, i tyle tego całego szczęścia.

– Wiesz, czego bym pragnął? – spytał Roger Frift. – Chciałbym, żebyś wieczory przed naszymi spotkaniami spędzał bardziej relaksowo.

– O co ci chodzi?

Powinienem tu dodać, że Roger jest drobnym dwudziestosześcioletkiem i jednocześnie nadaktywnym pedałem.

– Masz język cały taki... no wiesz, to sprawa dobrego wychowania. Jest to dla mnie bardzo nieprzyjemne.

– Nie musi to być dla ciebie przyjemne. Rób, co masz robić. Jezu, przecież liczysz sobie niewąsko.

– Wyciągnij się więc wygodnie. I rozluźnij się... Boże!

Nie bylibyście zbyt rozluźnieni, gdybyście leżeli na elektrycznym krześle Rogera. To mój higienista, kustosz moich dziąseł. Cztery razy w roku swoimi zakrzywionymi szczypcami i rozmaitymi pincetami, szpikulcami i ostrzami dobiera mi się, chrobocząc i zgrzytając, do samego ośrodka mózgu, rozrywając mi tę mózgownicę na drobne kawałki. Nazywamy to dogłębnym usuwaniem zgorzeliny, czyli kamienia... Kurwa mać, skąd się u mnie bierze ten pieprzony kamień nazębny? Dlaczego ten pierdolnięty kamień nie poszuka sobie kogoś innego? Mojego tatusia nie lubi niepokoić. O ile wiem, nie zawracał też głowy mojej świętej pamięci mamusi. Mamusia umarła, kiedy byłem jeszcze małym dzieckiem. Kiedy o tym pomyślę, choć nie zdarza mi się to zbyt często, ona też była jeszcze bardzo młoda... Ten ząb po mojej górnej zachodniej stronie, ten, który sprawiał mi tyle bólu, uspokoił się parę dni temu, przynosząc mi tyle szczęścia, och, ile szczęścia. Ale wczoraj znów zaczął mnie pobolewać. Tak naprawdę, to nie uciszył się nigdy: czułem, jak mrczy, prycha, pręży się i gotuje do skoku pod przykrywą ust, wyczekując właściwej chwili. Liczę, że Roger potrafi temu zaradzić, że przyniesie mi ulgę i znów przywróci szczęście. Selina jest trochę jak ten ząb, ma podobne do niego talenty. Sprawia mi ból. I przynosi ulgę. Czy jestem więc szczęśliwy? Nie jestem taki pewien. Na pewno poczułem ulgę, teraz, kiedy wróciła. Gdy jest razem ze mną, to przynajmniej nie jest z nikim innym. Wygląda na to, że zdemaskowałem ją i skazałem na wygnanie tamtej nocy przed odlotem do Nowego Jorku. Nie mogę sobie tego przypomnieć. Zdaje się, że nazwałem ją kurwą, na wyzywałem jej od starych toreb na spermę, próbujących łowić złoto, i wykopałem won. Wypchnąłem ją w ciemność nocy bez grosza przy duszy. Przekonujące, co? A może nie? Nie potrafię sobie przypomnieć. Nie rozmawiamy o tym wiele. Teraz rozmawiamy o forsie. Chciałaby mieć ze mną wspólne konto bankowe. Co o tym sądzicie?

– No, no – mruknął Roger, którego oddech, prawdę mówiąc, również nie jest zbyt podniecający.

Do tego czasu miałem już w ustach całe trio gulgoczących bajerów.

– Au! – starałem się wymówić najlepiej jak potrafię: – Delikatniej!

– Czujesz tu jakąś wrażliwość?

– To znaczy ból? Ból? Tak, cholerny. Dlatego tu jestem.

– Wszystko w normie. O, zaraz, zdaje się, że mamy tutaj pewną mobilność.

Wymawiał słowo „mobilność w ten sposób, że brzmiało jak coś bardzo fajnego, wydawało się, że dobrze byłoby coś takiego mieć, sugerowało mobilność społeczną, mobilność w górę na społecznej skali.

– To znaczy rusza się? – zagulgotałem.

– Przydałoby się zbadać jego witalność. – Roger sięgnął po wiertło. – A teraz? Czy coś czujesz?

– To znaczy co?

– Ucisk?

– Na ząb? Nie.

– Uczucie niewygody?... Witalność jest w zaniku – mruknął.

I wtedy wyplułem te wszystkie śmiecie i bajery, które nawtykał mi do gęby, i gwałtownie uniosłem się w fotelu.

– O czym ty właściwie gadasz? Mów jasno, dobra? Rusza się, jest martwy i za chwilę wypadnie. Tak? Czy nie?

– Nie wykonuję ekstrakcji – powiedział z afektowaną wyniosłością. – Będziesz musiał się z tym zwrócić do pani McGilchrist.

– To może oczyścisz wreszcie te pieprzone zęby?

Znów wpakował mi do ust swoje wężyki i kleszcze. Nucił coś sobie podczas pracy. Instrumenty wykonywały swe dziobiące zadanie, swe bolesne końcowe szlify. Stał zatrzymała się przez chwilę na niepokojącym mnie miejscu, na tym straconym już odcinku w górnej zachodniej stronie.

– Mm – zamruczał z uznaniem, gdy zakończył pracę. Z wdziękiem wyłuskał lśniące gadzety z mojej paszczy. – Dziąsło musiało być podrażnione przez nietypowy kształt korzenia – zamyślił się. – Przepłucz.

– Podrażnione? – sączyłem musujący płyn i wydalałem go w taktownie różowej postaci. – Co też znów wymyśliłeś?

– Kształt korzenia jest bardzo niezwykły.

– I biedne dziąsło nie może sobie z tym poradzić? Zostało rozdrażnione, bardzo to przeżywa?

– Ząb wciąż jeszcze żyje – rzucił lodowato.

Zabrałem płaszcz z gorącej poczekalni, ukwieconej niczym ciepłarnia – siedziało tam dwoje ludzi, zupełnie stopionych z tłem i całkiem samowystarczalnych jak wszelkie poczekalniane zjawy. Uregulowałem należność rudej panience czającej się ze swoją robotką na drutach w małym boksie bez okien: piętnaście funtów gotówką

plus wideokaseta. Żadnego rachunku. Tak, to robota na czarno, szara strefa. To tak jak z Seliną: utrzymuje się z szarej strefy. Nie prowadzimy żadnych ksiąg: nie ma niczego, żadnych listów, żadnych karteczek. Nie mamy nawet dżentelmeńskiej umowy. Nie wymieniamy nawet uścisku dłoni. Ale przecież się rozumiemy.

– Selina – powiedziałem dwa dni po jej powrocie – Alec opowiadał mi coś zabawnego w drodze na lotnisko.

Zdejmując płaszcz, Selina jakby się zawahała.

– Co? Nawet nie dostanę całuska?

– Powiedział, że się z kimś cały czas pieprzysz, na okrągło. – Sącyłem drinka i zapaliłem kolejnego papierosa.

– Jest angielskim arystokratą – powiedziała z przejęciem. – Podwoił na Wall Street rodzinną fortunę. Przesyła po mnie sekretarza w takim...

– Robisz to na serio. Na poważnie. Naprawdę. Mówił, że znalazłś sobie kogoś na boku. I że go znam.

– Och, ty głuptasie. Nie słuchaj go. Wiesz przecież, że kiedyś się do mnie dobierał.

– Tak? A to skurwysyn.

– Całował mi cycki. Potem wziął mi rękę i p łożył na swoim kutasie. Następnie...

– Jezu. I gdzie wtedy byliście? W łóżku?

– Nie, tutaj, w kuchni. Wpadł, kiedy ciebie nie było.

Zregenerowałem zawartość szklaneczki i powiedziałem spokojnie:

– Wszyscy dobierają się do ciebie, Selino. Dobierają się do ciebie kelnerzy. Dobierają się do ciebie nawet przechodnie na ulicy.

Przymknęła oczy i roześmiała się. Szybko otrzeźwiała i zauważyła:

– Podobno jest twoim przyjacielem.

– Wszyscy moi przyjaciele próbują się do ciebie dobierać?

– Nie masz żadnych przyjaciół.

– Dobierał się do ciebie Terry. Dobierał się Keith. Dobierał się mój papa – no, to już rodzina.

– Nie słuchaj go. Po prostu nie słuchaj. Nie wiesz, jak Alec jest o ciebie zazdrosny? Próbuje zniszczyć nasze uczucie.

To określenie uderzyło mnie jako coś całkiem nowego, i to pod każdym względem. Zdejmując nakrętkę z kolejnej butelki whisky, nagle pomyślałem: Czegoś tu jeszcze brakuje. Tylko czego? Ale powiedziałem tylko:

– Naprawdę tak uważasz?

– Nie widzisz, że rozlewasz! Rozluźnij się, do jasnej cholery. Jest dopiero szósta.

Posłuchaj. Wziąłeś już te wszystkie formularze bankowe? Jak długo już tutaj chlasz?

– Jakie formularze?

– Wiesz, jakie. Przecież muszę mieć trochę niezależności.

– Tak, oczywiście.

– Mam dwadzieścia osiem lat.

– Dwadzieścia osiem? Na tyle nie wyglądasz.

– Dziękuję, jaki kochany. Nie wydaje mi się, żebym była zbyt wymagająca. Rozumiesz chyba, że Gregory daje Debby stałą kwotę. Dlaczego tak się boisz? Nie jesteś skąpy w drobiazgach, to trzeba ci przyznać. Ale gdy tylko przyjdzie co do czego...

– Tak, tak, oczywiście.

Problem tkwi w tym, cały kłopot polega na tym, że Selina jest dla mnie za sprytna. Próbowalem zmienić temat. W moich doświadczeniach z Seliną jedyny sposób, żeby zmienić temat, to po prostu zalać się w sztok. Jak można zmienić temat, kiedy temat jest tylko jeden? No tak – jest jeszcze inna opcja – lanie. To rzeczywiście pomaga. Ta sztuczka działa przez chwilę. Lecz oczywiście nie jest to żadna opcja. Nie rozważałem jej dłużej niż parę chwil. Bo bardzo serio traktuję ten program samodoskonalenia, jaki sobie wyznaczyłem – bardzo serio. Samodyscyplina. Bardziej ucywilizowana egzystencja.

Więc wyskoczyłem z łóżka, kazałem jej się zamknąć i urznąłem się na amen.

Macając językiem ząb i wyciągając szyję w poszukiwaniu taksówki, przechadzam się wzdłuż całego pasa dentystycznego, pośród stiuków pokrytych kamieniem nazębnym ulic, pośród placyków pełnych ubytków, pośród biegnących wzdłuż domów żeliwnych sztachet i balustrad, pośród portali zdobionych płaskorzeźbami, pośród zdzierających skórę klinik, pośród Arabów zamoczonych prochami i chwiejących się na nogach pijaków na suszu, wysztafirowanych w niedzielne garnitury, ze swymi kobietami w futrach i sztywnych fryzurach wedle harlemskiego sznytu i odszykowanymi dzieciakami o obolałych bądź radosnych twarzyczkach – tak, przecinam upstrzoną autobusami, slumsowatą Oxford Street i idę w kierunku Soho, krainy stłoczonego seksu, żarcia i filmu porno, idę dalej zwięzającymi się uliczkami, aż docieram do szklanego rezerwatu firmy Carburton, Linex i Self.

Dla mnie Carburton, Linex i Self jest teraz po prostu jeszcze jednym rodzajem poczekalni. Ale co to za miejsce! Powinniście tylko zobaczyć, jakie to sterty forsy sobie wypłacamy, jak niewiele wykonujemy roboty, lecz za to jak wiele jest pośród nas rozmaitych beztalenci i przygłupów. Powinniście tylko zobaczyć nasze wydatki na

koszt firmy, te lotnicze bilety, które się wszędzie walają, no i te dziewczynki. C.L.&S była prawdziwym przełomem w branży, kiedy założyliśmy firmę pięć latek temu. I jest nią nadal. Niejedna już paczka koleśków próbowała iść w nasze ślady. Nikomu się nie udało. C.L.&S to agencja reklamowa, produkująca własne telewizyjne klipy. Brzmi to całkiem prosto. Więc może sami spróbujecie. Byłem w tym wszystkim kluczową postacią, z moimi kontrowersyjnymi reklamówkami papierochów, syntetycznego żarcia, napitków i świerszczyków. Pamiętacie to poruszenie owego gorącego lata 1976? Moje nihilistyczne filmiki przyciągały nagrody i sądowe pozwy. Reklamówki świerszczyków nigdy w końcu nie pokazano, jedynie w sądzie. Dzięki publicity i całej związanej z tym wrzawie mogliśmy dokonać przełomu zostawiając w tyle peleton; w ogóle nie oglądaliśmy się za siebie. Nasz mózg finansowy, Nigel Trotts, zadekowany w suterenie z seksownym kurczaczkiem, kserografem i korcem rozpuszczalnej neski, to jedyny tutaj facet, który pracuje pełną parą. Ale Nigel to księgowy-artysta, wykonuje swoją pracę z miłością.

– Wymyślił nam przelot za friko na Antyle Holenderskie – usłyszę, gdy siądę za biurkiem.

– To piękne – wy szepczę w odpowiedzi, no bo co można odpowiedzieć.

Wydaje się, że wszyscy zgarniamy furi szmalu. Człowieku, kto by powiedział, że można tutaj zarobić! Tu nawet nasze kurczaczki z personelu pomocniczego żyją sobie jak królowe. Samochód jest za friko. To znaczy na koszt firmy. Koszta wskakują na hipotekę. Procenty idą w koszta. I teraz ciekawa sprawa: jak długo to może potrwać? Dla mnie takie pytanie niesie z sobą mnóstwo niepokoju – procenty nie idą tu w koszta, niepokój wzrasta o procent składany. Nie, nie, to wszystko nie może być legalne. Legalnie nie można traktować pieniędzy w taki sposób. Lecz nas to nie dotyczy. Ale jesteśmy zachłanni! I bezwstydni! Kiedyś przyłapałem Terry'ego Linexa, tego grubaśnego świra, jak wyjmował z kasy kupę gotówki na prywatny weekend w Dieppe. Wciągnął w koszta wycięcie macicy żony – i ortodontę córeczki. Salon piękności ich pudelka też zmywa szamponem podatki: to przecież wydatki na ochronę. Fifi robi jako pies obronny! Oceniamy, że w fiskalnym roku osiemdziesiątym Keith Carburton na same tylko lunchy upłynął siedemnaście patoli, service i VAT non compūs. Powinniście tylko zobaczyć te wolno stojące domy w mieście, te ich luksusowe chatki jak pieścidełka na wzgórzach Cotswold. I te ich autka – tomahawki, farraga, bumerangi. Ja też zresztą podskubywałem firmę i nasz kochany rząd przez okrągłe pięć latek, lecz co mi z tego pozostało? Wynajęta garsoniera, zdezelowane *fiasco*, umykająca wciąż Selina. Więc co zrobiłem z całą tą forszą? Przesrałem ją, całą ją przesrałem. Lecz tak się jakoś dzieje, że

nadal mam szmału jak lodu.

– Powiedziałem żonie – mówi Terry Linex, parkując połowę swej ciężkiej dupy na moim biurku – że dobrze, mogę jej fundnąć każdy bajerancki sprzęt domowy, jaki sobie zażyczy. Urządźaj sobie tę wymarzoną kuchnię przyszłości, tylko żebyś nie leciała do mnie z płaczem, jak coś ci się porypie. Rozumiemy się? Więc wracam do domu w piątek wieczorem. Wchodzę do kuchni: „Jezu, co to – wołam – jakiś horror?!” Bo stoi tam zmywarka do naczyń, super-duper-automatic, prosto z salonu, i tonie w jakimś kurewskim czarnym gównie, wylewającym się z niej na podłogę. „Łap, kurde, za telefon! – wydziera się baba. – Zrób coś!” I co zrobiłem?

– Co zrobiłeś?

– Pozwałem ich. Dzwonię do Curtisa i Curtisa, zastaję w domu ich szefa, Bensona. Minęło dziesięć minut, wchodzę do kuchni – a tam Pakistaniec leży w tym błocie i wylizuje jęzorem odpływ. Nie wybuliłem grosza, wszystko bezboleśnie. To cudowna metoda, ciągle ją stosuję. Zamawiam samochód z szoferem na cały wieczór, czterysta funciaków. Więc co zrobiłem?

– Pozwałeś ich.

– Pozwałem ich. Masz pierdoloną rację. „Jak życzy pan sobie zapłacić? – pytają mnie. – Gotówką, czekiem czy kartą kredytową?” A na to ja: „Ja nic nie płacę. To wy płaciecie. Wytaczam wam, kurde, sprawę, przyjaciele”. Wszystkim opadają szczęki. I płacę w końcu trzydzieści sześć funciaków, a nie czterysta. W zeszłym tygodniu pozwałem inspektora podatkowego.

– To ładnie – przyznałem.

– Co, może nie?

Pewnie, pewnie, mówię, i wracam do przygnębiającego chaosu mojego biurka. Moim zadaniem jest wykańczanie spraw, porządkowanie ich, wyprowadzanie na prostą. Szuflady mojego antycznego biureczka zatwardzone są podfałszowanym papierzystkiem jak jelita starca – oto źródło moich pieniędzy... Wszyscy w biurze czują, że szykuje się dla mnie coś lepszego, ciekawszego. Czasem myślę sobie, że byłoby lepiej, gdyby po prostu mnie o to zapytali. Ale nie, oni i tak wiedzą, przewracają oczami, pogwizdują i zachęcająco zacierają ręce. Był przecież mój wywiad w filmowym „Box Office”, moja sylwetka w ekonomicznym „Turnover”, mój profil w rynkowym „Market Forces”. Moja trzydziestopięciminutowa krótkometrażówka Dean Street zdobyła zeszłoroczne wyróżnienie krytyków akredytowanych na festiwalu w Sienie. Więc jestem człowiekiem nagłówków, latam wysoko. Udało się już innym. Takim jak Peter Sennet. Takim jak Freddie Giles i Ronnie Templeton. No i Jack Conn – tak, jemu też się udało. Wszyscy

mieszkają teraz w Kalifornii. Wykruszyli się ze zwyczajnego świata. Mają wszyscy nowe domy, nowe żony, nowe cery, nowe fryzury. W swych ośmiocyndrowych hienach i przysadzistych kabrioletach acapulco suną nadmorskimi szosami, czadując do klinik Medycznej Doliny na codzienne śniadanko z hormonów, plazmy, tkanek. Dwa, trzy razy w miesiącu szybują w niebiosach na długi weekend na Thousand Islands, w ten świat zapomniany przez czas, zatopiony w morzu rozkoszy. Każdy wyobraża sobie, że to czeka i mnie, szybko i niechybnie. Ja sam nie bardzo to jakoś widzę. Mam wyraźne odczucie, że moje życie jest w stanie równowagi nietrwałej. Tylko nie oglądać się wstecz, bo inaczej się nie pozbięram. Mówię wam, boję się, kurewsko się boję. „Dajcie mi moją pierdoloną forszę, dobra?” – tak właśnie chciałabym się wydzierać. Bo jak ci się raz nie uda, nie f będą ciebie chcieli z powrotem... Sam byłem w Cal – tej boskiej Kalifornii – w Los Angeles, gdzieś w styczniu. Zrobiłem parę zręcznych interesików i wyglądało, że wszystko wypali. Tyle, że sprawy osobisto-rozrywkowe wyglądały już nieco gorzej i wpadłem w niejaki, poważne całkiem, tarapaty. Kiedyś wam o tym opowiem. Bo to naprawdę ładne... Gdy wracałem do Nowego Jorku, spotkałem w samolocie Fieldinga. Obaj lecieliśmy pierwszą klasą.

– No, gdzie byś się wybrał, John? „Breadline”? „Francio z Asyżu”? A może „Mahatma”?

Terry Linex i chłopaki chcieli mnie zabrać na obiad. Wszedł właśnie Keith Carburton, zacierając dłonie. Trochę się tego nawisu ostatnio nabierało. To chyba jakiś nowy sposób przechodzenia na emeryturę. Mnie to się nawet podoba. Po spędzonym tu ranku potrzebuję paliwa, zupełnie kończy mi się napęd. Idę, oczywiście, że idę – tak jak pójdę, gdy nastąpi właściwa pora, gdy nadejdzie wielka przerwa. Mam nadzieję, że mnie nie przerwie ta przyszła duża przerwa... Wyłuskujemy się z taksówek w naszych obszernych kaszmirowych paltach o watowanych ramionach. Panienska w garniturku a la lesba i łososiowym krawacie z lejącego się jedwabiu (myślę, że mógłbym z nią pójść do łóżka, gdyby naszła mnie ochota, ale może to tylko taki jej profesjonalny styl, żeby to coś sugerować) prowadzi nas czule do stolika. Lecz to nie ten stolik! Zanim Terry Linex zdąży pozwać restaurację, Keith Carburton bierze dziewczuszkę na stronę. Słyszę, jak coś jej nawija: ile to szmału roztrwonimy w tym lokalu. Panienska zdaje się być pod wrażeniem. Ja zresztą też. Wkrótce trafia się nam inny stolik (jakiś stary zgredzio wycofuje się, biedaczyna, z serwetką niczym żabot, pod brodą), i to lepszy stolik, trzeba wyraźnie powiedzieć, okrągły, bliżej drzwi, a na nim butelka gratisowego szampana.

– Bardzo nam przykro, proszę pana – sączyła wciąż panienska, a Keith potakiwał zbolalym ruchem głowy.

– No teraz, kuma, jakoś to wygląda – mrucał do siebie Terry.

– W porządku – rzekł dobitnie Keith. – W porządku.

Pijemy szampana. Wołamy o następną butelkę. Dziewczęta, jedna po drugiej, kończą w sraczyku albo damskiej szatni, po czym znów kieruje się je do lepszego stolika. Mitzi, asystentka Keitha. Mała Bella, telefonistka. Oraz drapieżna Trudi, nasz wszechstronny wamp i strateg od public relations. (Jeśli chodzi o zatrudnianie dziewcząt, obowiązuje u nas polityka „liczy się tylko wygląd”). Będą musiały głośno się śmiać i z atencją nas wysłuchiwać. Same też mogą trochę pogaworzyć, lecz tylko pod warunkiem, że to my będziemy bohaterami ich opowieści. Przygaszone światło June, naszego pośmiewiska, przypominającej ni to pierś, ni to żagiel, wypełnia jej wypukłościami całą salę. Przez chwilę wydaje się, jakbyśmy wszyscy byli strasznie naświetleni. Wyglądamy jak potwory. Na moment cała restauracja staje się słojem sztucznych szczęk, zamarynowanych w kleju peruk i tupetów. Ale prawdziwa zabawa dopiero się zaczyna. Terry rzuca we mnie kawałkami chleba, a Nigel łązi na czworakach po dywanie, odstawiając swój psi numerek i wachając pończochy Trudi. Zauważam, że para w średnim wieku przy sąsiednim stoliku trochę się najeżyła i nie odrywa wzroku od talerza. Gdy jeszcze bardziej zbliżają się do siebie w niemej zgrozie, sikam na Terry’ego z rozbełtanej butelki szampana i razem z Keithem odśpiewuję kilka refrenów z „We Are the Champions”. Nie, dalsza część posiłku nie będzie dla tych dwojga biedactw ani trochę zabawna. Wyobrażam sobie, że dawniej było bardzo fajnie w miejscach takich jak te dla ludzi takich jak oni – dopóki ludzie tacy jak my nie zaczęli tu także przychodzić. My tu już pozostaniemy. Tylko spróbujcie nas wyrzucić... A oto nadchodzą jadłospisy, rozdawane jak egzaminacyjne tematy, i wszyscy zastanawiamy się głęboko i na krótką chwilę milkniemy, marszcząc czoło i brwi, mrużąc coś do siebie wpatrzeni w cudaczną czcionkę.

Godzina czwarta. W ostrym, jadowym, nieruchomym świetle, omalże łamiącym kręgosłup, Linex i Self kiwają się przed pisuarami w podziemnym sraczu. Słyszałem powolny chrobot metrowego suwaka Terry’ego, a potem mechaniczne świdrowanie jego strumienia szczyny, atakującej porcelanę w kolorze kości słoniowej. I oto proszę, przemija kolejny dzionek, jak tyle, tyle innych; przemija, po prostu przeszcpany.

– Uuuf! – rzuca przez zęby Terry, z grymasem ulgi.

– Jak tam twój fiut?

Łypnął w dół.

– Nadal zielony – odparł piskliwym, bezcielesnym głosem grubasa.

– Wciąż ta pamiątka z Bali? Co to było? Trypelek?

– Trypelek? – zapytał. – Trypelek? Nie, szefie. Złapałem ich kurewską dżumę.

Jego przekrwiona twarz nagle spoważniała.

– John, pierdolileś ostatnio czyjąś żonę? Przejechałeś może czyjeś dziatki?

– Co proszę? – bąknąłem, wyciągając rękę, żeby oprzeć się o zimną ścianę.

– To znaczy... czy ktoś chce ci wyrządzić jakąś krzywdę?

– Wygląda na to, że tak. – Przeniosłem wagę ciała na drugą nogę. – W niektóre dni wydaje się, że każdy tylko pragnie zrobić mi jakąś krzywdę.

– Prawdziwą krzywdę? – uściślił. – Coś bardziej poważnego?

– Nie. A o co ci chodzi?

– Przedwczoraj wieczór byłem w „Szczurze” – ciągnął Terry Linex. – Nam wydaje się, że pijemy. Tam dopiero są świroholicy. Urządzają konkursy chłania na umór. Siedziałem z tą bandą kutasów, a jeden z nich mówi: „Ty. Masz współnika w interesie, niejakiego Johna Selfa, dobrze gadam?” Ja mu na to: „No i co z tego?” A on: „Coś tam na nim wisi. Nie za bardzo wiem co. Lecz coś tam na nim wisi”. No tak, dużo międli się głupot w tym pieprzonym „Szczurze”, to wiadomo. Ale zwykle coś w tym jest... Chcesz, żebym się wywiedział?

Spojrzałem w rozognioną twarz Terry’ego – na jego wypomadowane prostacko włosy, na nadgryzione ucho, na rozdęte nozdrza. Zęby miał rozmieszczone pod tak dziwnymi kątami, że przypominały odłamki tłuczonego szkła na murze w bocznej uliczce. Terry to jeden z naszych nowych książąt, to improwizator o wściekłym geniuszu. Obecnie stara się o zatrudnienie niepełnosprawnego szofera: odpowiednia nalepka umieszczona na szybie umożliwi Linexowi swobodne parkowanie gdziekolwiek mu się zamarzy.

– Tak, zrób to.

– Z przyjemnością – zgodził się. – Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Rozumiesz, co mam na myśli.

Więc teraz, gdy wracam do domu poprzez to pomięte popołudnie, kierując się to w prawo, to w lewo, pośród braci i siostr na tym ziemskim padole, spotykając spojrzenia innych i zarazem je omijając, miło jest właściwie wiedzieć, że to wszystko stało się już oficjalne.

– Szach – powiedziałem.

Salina spojrzała na mnie z oburzeniem. Jej wzrok ostry jak lancet skierował się znów na planszę. Westchnęła i wykonała bezsensowny ruch lauffrem poruszającym się

po czarnych polach.

– Szach – powtórzyłem.

– I co z tego?

– To znaczy, że twój król jest zagrożony. Mogę zabrać ci króla.

– A weź go sobie. Więcej z nim kłopotu niż jest wart.

– Nie rozumiesz. Cały...

– Idę się wykapać. Nie cierpię szachów. Gdzie dziś pójdziemy? Żadna chińska czy indyjska knajpa. Albo grecka. Dziś „Kreutzer”.

– Jak sobie życzysz. – Ustawiłem na nowo ciężkie figury.

– Masz okropne włosy. Daj, to ci obetnę.

– Wiem.

Zaliczyłem dwudziestofuntowe przemodelowanie peruki tego właśnie popołudnia. Młody pedałek pobuszował trochę w moich loczkach, a następnie wyjął wargi i zapytał:

– Ile właściwie masz lat?

Takie samo pytanie zadał mi Roger Frift. To serce, wszystko przez to serce. Wysiada mi serducho, moja pikawa robi już bokami. Mój zegar zaczyna nawalać.

Wszedłem do sypialni i pogrzebałem przez chwilę w szufladzie z majtkami Seliny, zamierzając cisnąć w nią ich garścią, kiedy wyłoni się z łazienki. A to bonus, no proszę, nowiutka para. No i ta... Obmacując w celach poznawczych jakiś stary gorset, wyczułem w zakładce podszewki coś twardego. Co to takiego? Fiszbin? Nie: to zwitek wymiętoszonych dziesiątków – dwieście funtów! Szuflada z majtkami Seliny to bardzo głupie miejsce na lokowanie zaskórniaków, bo przecież zawsze tam buszuję, o czym Selina dobrze chyba wie.

Wyszła z łazienki przewiązana wokół talii ręcznikiem do rąk. Pokazałem pieniądze. Ledwie zamrugała powiekami, gdy spostrzegła banknoty niedbale rozrzucone po jej stronie wyrka.

– Skąd to masz?

– Wygrałam!

– Jak?

– W ruletkę!

– I po co ta gadka, że jesteś bez grosza?

– Miałam ostatnią piątkę! Postawiłam na numer, idąc już do drzwi.

– Płacą tylko trzydzieści do jednego. Skąd masz jeszcze pięćdziesiątkę?

– To napiwek!

– Mówisz, że tam pracujesz, tak?

– Tak.

– Jako co?

– Jako krupier!

Spojrzałem na nią z wściekłością i zawahałem się. Selina pracowała jako krupier już przedtem. To prawda. Kasyno „Cymbeline” najmuje małe, zgrabne króliczki do pilnowania stolików. To też prawda. Przystrajają je jak lalki w minispódniczki i prześwitujące bluzeczki. Dupeczki wyglądają, jak gdyby wpadły, ot tak sobie, na papieroska, ale mają tęgie biznesowe główki na karku i zabrania im się nawiązywania kontaktów z graczami – co sam ustaliłem pewnej nocy, gdy Selina była już w łóżku.

– Słuchaj, skąd mogę wiedzieć, że nie ulokowano cię tam w pokoju na górze z jakimś typem?

– Zadzwoń. Do Tony’ego Devonshire.

– Kim jest ów Tony Devonshire?

– Szefem!

– No tak, dobrze...

– Więc dzwoń! Dzwoń, słyszysz?

– Dobra, dobra.

– I przy okazji, prosiłam cię już chyba, żebyś zniósł na dół torbę ze śmieciami. Zrób to, łaskawie, teraz. Dlaczego nie możemy zjeść jutro obiadu na mieście, a potem iść do twojego banku i wszystkiego załatwić? Ta forsa i tak pójdzie w całości na mieszkanie, a poza tym winna jeszcze jestem sześćdziesiątkę ginekologowi. Byłoby znacznie rozsądniej, gdybym się tutaj wprowadziła. Posłuchaj, taplasz się w szmalu. Spójrz na nie. Zbiegły się. Ledwie mogę je wsunąć. Uuups. A zresztą. I tak gryzą się z pasem, co?

Usiadłem na wymiętoszonych banknotach.

– A niech tam – mruknąłem. – Chodź tutaj.

Fiasco należy się porządny przegląd. Selina Street chce wspólnego konta bankowego. Alec Llewellyn winien mi jest forszę. Barry Self też mi jest coś winien. Muszę mknąć z powrotem do Ameryki, i to szybko, żeby zarobić jeszcze dużo, dużo więcej.

Zjadłem lunch w towarzystwie Doris Arthur. Była bardzo miła i nie miała mi wcale za złe, że się do niej dobieierałem. W istocie tak była z tego powodu miła, że zacząłem się do niej dobieierać. Tym razem nie sprawiła tego wóda, tylko kobieta. Po posiłku w jej pokoju hotelowym omawialiśmy zarys scenariusza. W zasadzie mam w głowie sześć mocnych scen, które potrafię nakręcić: zadaniem Doris jest przejście od jednej do drugiej tak gładko jak to tylko możliwe.

– Wiesz co? – powiedziała, wysuwając się spode mnie i z irytacją zdejmując moje dłonie ze swoich ud. – Dodałeś mi sporo otuchy przed naszą walką. Myślałam, że już wygrywamy, lecz, jak widać, czeka nas długa droga. – Dzięki Selinie ta druga próba nie była aż tak fatalna jak pierwsza. Ale też nie było najlepiej, i to dzięki Selinie. Selina, ona... Aha, i napilem się co nieco z Kevinem Skuse, specem od światła, i z Desem Blackadderem, rekwizytorem. Fielding mówi, że powinienem zatrudnić tych facetów natychmiast, żeby na jesieni można było kręcić. A przecież nie ma niczego do roboty. Wydają mi się nieźle wygłodniali, i myślę, że mogą jeszcze z miesiąc poczekać.

Czy ja też mogę? Gdzie się podziała pogoda, no, gdzie? Bo proszę, przychodzi kwiecień, i co mamy? Kwietne zadymki, nagle snopy słońca i żwawe, podziurawione chmury. Nadchodzi maj ze swoim zimnym światłem, a niebo wciąż wije się w konwulsjach z powodu zmiany. A potem czerwiec, lato, deszczyk cienki i kwaśny jak bryza spod kół na autostradzie, i w ogóle nie ma już nieba, po prostu nie ma nieba. Latem Londyn zamienia się w starucha o cuchnącym oddechu. Jeżeli dobrze posłuchasz, wyłowisz szloch znużenia wzrastający w jego płucach. Niepiękny Londyn. Nawet sama nazwa przyprawia o stres.

Czasami, gdy idę ulicą, muszę walczyć z pogodą. Wkurwiają mnie ci bogowie pogody. Po prostu dają im w papę. Kopię ich, walę pięściami, puszczam im bluzgi. Ludzie wokół, przechodnie, przypatrują mi się i niekiedy się śmieją, ale wcale mi to nie przeszkadza. Wydając głuche okrzyki wykonuję skoki karateki, wyrzucam przed siebie to rękę, to nogę, zadaję ciosy przedramieniem, celując w niebo. Nieźle się przy tym wydzieram. Ludzie myślą, że jestem szalony, lecz wcale się nie przejmuję. Nie, na to się nie zgodzę. Oto ktoś, kto nie godzi się, żeby pogoda leżała bezwładnie na macie.

Od pewnego czasu Selina Street molestuje mnie, żebym otworzył wspólne konto bankowe. Nie ma własnego konta i ma na coś takiego ochotę. W ogóle nie ma pieniędzy i na nie też miałyby chętkę. Dawniej miała konto: pękało mi serce, gdy oglądałem przysyłane jej wykazy, które budziły w niej taką grozę, chciałem płakać, gdy odczytywałem te nędzne, budzące litość sumki, z którymi miała do czynienia – dwa funty czterdzieści trzy pensy, jeden funt siedemdziesiąt jeden pensów, tak, i nawet pięć funtów. Ale konto jej zabrali. Nigdy niczego na nim nie miała. Twierdzi, że wspólne konto bankowe jest niezbędne dla jej poczucia godności i zachowania dla siebie szacunku. Ja się z tym poglądem nie zgadzam, uważam, że jej godność i autoszacunek świetnie mogą prosperować i w obecnym układzie, z jego systemem nagród i bodźców. Z tego, co widzę, dziewczuszki bez pieniędzy mają dwa sposoby na polepszenie swej sytuacji i samopoczucia: albo co chwila się kłóć, albo po prostu cały czas się na ciebie

boczą, aż wreszcie się poddasz. (Nie mogą w każdym razie odejść: nie mają forsy). Selina nie jest typem sekutnicy, może dlatego, że ja jestem damskim bokserem – a w każdym razie byłem (nie wie, że się poprawiłem, i mam nadzieję, że nigdy się nie dowie). I nie starcza jej cierpliwości, żeby się na mnie boczyć. Bo przecież musiałyby to być przedsięwzięcie długoterminowe. Więc Selina wynalazła trzecią drogę... Przez tydzień nie robiła makijażu, nosiła wałkujące się rajstopy i różowoszare majtki z gruzelkowej bawełny, a do łóżka szła nie zmywając z twarzy dziennego kremu, w lokówkach i wyjątkowo odstręczającej nocnej koszuli. Nie dowiedziałem się w końcu, czy seks skreślony został z jadłospisu. Nie miałem ochoty pytać.

Przedwczoraj zgodziłem się jednak otworzyć to wspólne konto. Wypełniłem odpowiednie formularze pod baczным nadzorem lodowatej, oschłej Seliny. Tamtego ranka weszła do łóżka w czarnych pończochach i ozdobionym kitkami i wypustkami pasie; miała jeszcze na sobie jedwabne boferko, satynowe klapki, muślinowe rękawiczki, ozdobny paseczek, a na szyi krótki złoty łańcuszek. Zachowałem się jak prawdziwa Świnia, muszę to niestety przyznać. Gdy minęło półtorej godziny powiedziała, z nogą wciąż przerzuconą przez oparcie łóżka:

– Zrób to, gdziekolwiek, cokolwiek. – Sprawy niewątpliwie uległy poprawie, z tą całą, unoszącą się w powietrzu godnością, z tym całym szacunkiem do własnej osoby.

Ubiegłej nocy, była chyba za dwadzieścia jedenasta, siedziałem w „Blind Pig”. Ta „Ślepa Świnia” to Ameryka jutra. Zamyśliłem się, czułem, jak coraz głębiej zatapiam się w myślach, wątpliwościach, filozoficznych rojeniach – chyba po prostu byłem pijany. Selina poszła odwiedzić Hellę, przyjaciółkę w pobliskim butik. Miałem dla Seliny prezent: nowiutką książeczkę czekową. Zamierzałem podsunąć ją Selinie pod oczy i patrzeć, jak promienieje. Ona też miała dla mnie podarek: jakieś nowej generacji gumki, wybór z utrzymanego przez Hellę pod ładą zestawu bielizny i akcesoriów na specjalne okazje. Siedziałem więc sobie spokojnie, nie poruszając się, nie oddychając nawet, niczym trzymany w terrarium jaszczur – maskotka pubu – któremu mógłbym się z przyjemnością przyglądać, gdyby nie ten pieprzony facio, ten pisarzyna Martin Amis, który zasłaniał mi widok. Miał przed sobą kieliszek wina; na stoliku leżały papierosy i jakaś książka. Dzieło wyglądało na poważne. On zresztą też – w pewnym sensie. Dość niski, drobny, nabity, z długawymi kudłami... Jedne i drugie drzwi pubu otwarte były na oścież – żeby wpuścić gorącą noc. U progu lata to właśnie normalka – ciepławe, lepkie dni i duszne, gorące noce. Czysty ukrop. Czysty obłąd, czyste szaleństwo.

Do świata nastawiony byłem, jak wspominałem, przyjaźnie, więc ziewałem sobie,

sączyłem drinka i nagle cicho szepnąłem:

– Sprzedałeś już pierwszy milion?

Popatrzył na mnie z błyskiem obłądu w oczach; uderzyła mnie niesamowita szczerść i ostrość jego spojrzenia. Właściwie to nie mam mu za złe, że siedzi w tym pubie jak obłąkaniec. Pełno tu rozmaitych pedryli, świrów i Marsjan. I tych pieprzniętych cudzoziemców. Wiem, że nie mówią po angielsku – w porządku, ale czy w ogóle mówią jakimś ludzkim językiem? Bo ja słyszę jedynie stereofoniczne dostrajanie, trzaski w eterze, bezładną interferencję. Ultradźwięki rzucające w wodę, świergot nietoperzy, salonowy dialog pterodaktyli, pomruki ryb słodkowodnych.

– Słucham? – zapytał.

– Sprzedałeś już pierwszy milion?

Rozluźnił się. Jego zabłąkany jakby uśmiech nie chciał się do czegoś przyznać.

– Bądźmy poważni – mruknął.

– Więc ile sprzedajesz?

– No, przyzwoite nakłady.

Odbiło mi się. Wzdrygnąłem się. Odbiło mi się po raz drugi.

– Kurde – warknąłem. – Przepraszam. – Ziewnąłem i rozejrzałem się po pubie.

Martin Amis powrócił do swojej książki.

– Hej – powiedziałem. – Czy każdego dnia... To znaczy, czy robisz to codziennie, gdy piszesz? To znaczy, piszesz od tej do tej godziny, tyle a tyle stron?

– Nie.

– Kurna, ile bym dał, żeby przestać tak kurewsko czkać – syknąłem. Amis zaczął czytać.

Hej – przerwałem mu znowu. – Kiedy...to znaczy, tak po prostu zmyślasz, czy raczej wiesz, tak jakby, co ma dalej nastąpić?

– Ani jedno, ani drugie.

– Autobiografia, rozumiem – skwitowałem.

– Nie czytałem żadnej z twoich książek. Bo wiesz, właściwie to nie mam za wiele czasu na lekturę.

– Niesłychane – rzucił na odczepne. Znowu pogrążył się w lekturze.

– Hej – nie dawałem za wygraną. – Twój tato też jest pisarzem, prawda? Pewnie ci sporo ułatwił.

– To oczywiste. To tak, jakbyś przejął rodzinny pub.

– Serio?

– Zamykamy! – zawołał człowiek za barem.

– Zamykamy. Zamykamy.

– Masz ochotę na jeszcze jednego? – zapytałem Amisa. – Postawię ci scotch.

– Niczego mi nie trzeba.

– No tak, nieźle się urznąłem. Zaraz wraca moja dziewczyna. Jest teraz na jednej ze swoich roboczych kolacji. Bo ma, no wiesz, taki butik. Chce, to znaczy, stara się namówić ludzi, żeby trochę poinwestowali.

Nie odpowiedział. Ziewnąłem i przeciągnąłem się. Odbiło mi się. Gramoląc się na nogi, potraściłem stolik rzepką kolana. Szklaneczka zachybotowała się i zakręciła wokół podstawy jak moneta, lecz w porę ją złapał. Dużo się nie rozlało.

– Kurwa – rzuciłem. – No to co, na razie, Martin. Jeszcze się spotkamy.

– Na pewno.

– ...Co to ma znaczyć? – Nie podobał mi się jego wyniosły ton ani jego opalenizna, ani ta książka. Ani sposób, w jaki przyglądał mi się na ulicy.

– Znaczyć? – powtórzył. – A co, według ciebie, ma znaczyć?

– Nazywasz mnie chujem?! – powiedziałem głośno.

– Co?

– Nazwałeś mnie chujem!

– Coś ci się pomyliło.

– Tak? To znaczy, że kłamię! Nazywasz mnie teraz kłamcą!

– Zaraz. Spokojnie, przyjacielu. Chryste. Wszystko okej. Jesteś wspaniały. Jesteś geniuszem. Spoko. Na razie, siemanko.

– Tak...

– Uważaj na siebie.

– Dobra, dobra... W porządku, Martin, nie ma sprawy – mruknąłem i chwiejnym krokiem wyszedłem przez otwarte drzwi.

Jedenasta: godzina wrzenia. Policjanci w krótkich rękawkach (wszyscy jesteśmy teraz tacy nieformalni, tacy na luzie, przestępczość to małe piwo), stojąc w sześciuosobowych grupkach wokół białych furgonetek, tych ambulansów z eleganckim, czerwonym pasem, którymi przewozi się forszę, czekali w przecznicach głównej ulicy. Widać, że chłopaki, ci spece od rozrób i palowania, szykują się na nocny spektakl. Zdaje się, że zeszłej soboty była w tym rejonie rewolucja na cztery fajerki. Wpieprzałem samotnie kolację siedząc przy samym oknie w „Altanie Burgera” i niczego nie zauważyłem. Jeżeli mnie zapytacie, to powiem wam, że zamieszki i rozróby są tutaj każdej nocy. Zawsze były i zawsze będą. O jedenastej wieczór Londyn zamienia się w burzę, szaleństwo,

popijawę u wujka, wesołe rżniętko... No i oto znowu nadchodzą... A proszę, chodźcie tu wszyscy, chodźcie. Dokazujcie, dokazujcie. Już po mnie, już po was – tak, to gaz. Proszę, proszę, bawcie się dobrze. Rozedrzyjcie wszystko na strzępy.

– W porządku, Selina – tłumaczyłem, kiedy moja własna rozróżba się zakończyła. – Posłuchaj mnie teraz, posłuchaj uważnie. Kiedy mnie nie ma, ty, młoda panienko, masz się zachowywać. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Koniec z tym całym gównem! Jesteś na moim utrzymaniu i lepiej rób, co ci każę, ty cienka cipko. Nikt nie wyjebie kogoś takiego jak ja! Tyle ci tylko powiem! Johnowi Selfowi NIKT jeszcze nie zerznął dupy! Słyszysz mnie dobrze? NIKT!

– Patrzcie go, patrzcie. Nie słyszę ani słowa z tego, co mówisz. Weź swoją wielką gębę z mojej poduszki.

– Niech ktoś spróbuje tylko zrobić mnie w konia, zaraz pożałuje. Zaraz przekona się, że kosztowało go to trochę więcej niż...

– Co? Zabierz tę twoją... o właśnie, tak. W porządku. Więc mówiłeś...

Przewróciłem się z pomrukiem na drugi bok. Selina zapytała ostrym tonem:

– Widziałeś w Nowym Jorku Martinę Twain?

– Tak jakby. Zamierzałem, ale wiesz... napięty harmonogram.

– Myślisz, że to taka koteczka, co, z tymi jej dyplomami i dupą jak u kobyły?

– No tak, ale...

– Za tłusty kąsek. Zapomnij o tym, stary. Jest już zamężna na amen. Jest tylko jeden sposób, żeby zatrzymać dziewczynę, na której ci zależy: ożenić się z nią.

– Pewnie, pewnie.

Wygramoliłem się z łóżka i polazłem do drugiego pokoju na nocną szklaneczkę. Godzinę czy dwie później usłyszałem, jak mi się wydaje, głos Seliny, jakieś pomruki czy jęki. Zwlokłem się z kanapki i wsunąłem się cicho do sypialni. Leżała na ciepłym łóżku naga, bez tych wszystkich bajerów i fetyszy. Mówię wam, butik Helli naprawdę miał dzisiaj supertowar... Przysunąłem się bliżej. Selina spała, i to smacznie, niewinnie, spokojnie, beztrąsko, niczego nie knując. Wciąż było w niej coś z dziecka – w jej nieruchomych, zamkniętych powiekach, w błąkającym się zarysie uśmiechu – tak, dziecko wciąż było w niej obecne. Podróżuje przez czas – lecz dokąd? W tym momencie Selina poruszyła się – była w jej ruchach jakaś ślimacza wilgotność, kruchość, delikatność – jak gdyby poszukiwała poziomu jeszcze bardziej doskonałego, podobnie jak woda zawsze dąży do najdoskonalszej płaskości.

Selina Street nie ma grosza przy duszy, jest goła jak święty turecki. Wyobraźcie sobie

tylko! Ile j to już razy nie stać jej było na głupi bilet autobusowy, na najzwyklejszego szczura z herbatą! Więc kradła. Zastawiała w lombardzie ciuchy. Pierdoliła się dla forsy. Bo brak forsy sprawia fizyczny ból, kłuje jak użądlenie osy. Dobrze, bardzo dobrze zrobiłem, że trochę jej dałem. Zawsze mówiła, że mężczyźni wykorzystują pieniądze, żeby dominować nad kobietami. I zawsze się z tym zgadzałem. To dlatego nigdy nie chciałem dać jej ani grosza. Lecz z drugiej strony dobrze, bardzo dobrze i słusznie, że jednak trochę jej daję. No masz. Weź parę funtów... Zakradłem się do okna sypialni i wsunąłem rękę pomiędzy czarne zasłony. Ta wiosna jest chyba najchłodniejsza w całym stuleciu. A teraz bździ czerwcowy deszczyk – podmuchy wiatru chlastają w grube, wypukłe szyby. Zimno tam jak cholera. Kiedy jest zimno... Dobrze wtedy wiedzieć, że ma się trochę forsy.

Stałem przy barze z gazetą „The Morning Line”, spoglądając na tytuły: CZAROWNICA KŁAMIE – MÓWI DOKTOR SEX, TO TYLKO SZCZENIĘCA MIŁOŚĆ, RED KEITH ZEZNAJE: POPIERAŁEM IRA, GWIAZDKA TV O SWOJEJ TAJEMNICZEJ MIŁOŚCI – SZCZEGÓŁY W ŚRODKU NUMERU. Czy w ten sposób da się zinterpretować świat? Tymczasem w Polsce szykuje się niezła zadyma. „Solidarność” pokazuje Moskwie znaki „V” i drażni rosyjskiego niedźwiedzia, ile wlezie. A Rosja spierze Polaków na kwaśne jabłko, jestem tego pewien, jeżeli sprawy wyglądać będą w ten sposób. Ja bym tak zrobił. Bo wystarczy podać palec... Nadal toczą się dyskusje na temat ślubnej wyprawy lady Di. Sam nie mam zdecydowanych poglądów na ten temat, ale nie miałbym nic przeciw, żeby znów pokazali to słynne zdjęcie, to, na którym trzyma na ręku dzieciaka, i możesz zobaczyć wszystko, co ma pod przezroczystą sukienką. Barmaneczka, która zatłukła na śmierć butelką od piwa swojego chłopaka (właściciela lokalu, gdzie wynajmowała pokój), dostała osiemnaście miesięcy w zawieszeniu. Jakim cudem? Bo powołała się na PMS – stan wzmózonej pobudliwości przedmenstruacyjnej. Zawsze uważałem, że PMS jest dostatecznym już ryzykiem dla mężczyzny – więc żeby bawić się jeszcze w całe to mazgajstwo?! Kolejna babcia padła ofiarą zbiorowego gwałtu w swoim mieszkanku – napastnikami byli czarni chłopcy i skinheadzi. Co to znów za nowa babciomania? Ta miała już osiemdziesiąt dwa lata. Chryste Panie! Być zgwałconym w tym wieku – no nie, to już naprawdę przegięcie i chyba średnia frajda. A tu kolejny artykuł o takim młodym kurczaczku, co to umiera jako nastolatka, bo, jak twierdzi „Line”, ta małolata ma uczulenie na nasz dwudziesty wiek. Biedna szczeniara... Wiesz, ja też mam problemy, moja droga siostruniu, tyle że trochę inne niż twoje. Otóż ja nie mam alergii na wiek dwudziesty. Wiek dwudziesty

jest moim narkotykiem.

Terminal Trzeci był w stanie terminalnego chaosu – powietrze, jak i światło, brzemienne były w sprawy ostateczne: panika była na skalę planety, nad forsą odbywał się, tak, Sąd Ostateczny. Uciekamy z Ziemi w poszukiwaniu nowego świata, dopóki wciąż jeszcze jest nadzieja, dopóki wciąż jeszcze są jakieś szanse. Stałem w kolejce do odprawy pasażerów, wjechałem na górę po schodach, zajrzałem do baru, zostałem wymacany, prześwietlony, sprawdzony, znowu wskoczyłem do baru, pobuszowałem w bezcłowych sklepach, podjechałem ruchomym chodnikiem, położyłem w tę i wewtę po poczekalni, aż wreszcie weszliśmy na statek, dwójkami, reprezentując wszystkie typy, żeby dokonać ucieczki... Gdy znaleźliśmy się w podróźnej tubie (nowym rodzaju poczekalni), usiedliśmy rzędami, niczym na widowni, żeby wy badać oferowany nam kompleksowy zestaw terapii poprzez sztukę: mieliśmy więc cichą muzykę usuwającą (lub przyprawiającą o) ból zębów, oraz zdobiący brezentową zasłonę kinowego miniekranu widok rybackiego portu pędzła orzeźwiająco nieutalentowanego artysty. Następnie była kolej na rzucający wyzwanie śmierci akt odstawiony przez stewardesy, te panienki o wystudiowanej nieśmiałości ze swoją kukłą, której zakładały tlenowy aparat.

Ten taniec zagłady spotkał się jednak z pomrukiem niezadowolenia ze strony widowni. Odkotwiczeni od Londynu gotowaliśmy się wspólnie w sosie własnym, drżeliśmy i mknęliśmy przed siebie. Dalej, och dalej! – tak sobie myślałem, gdy wzbijaliśmy się w przestworza z zadziwiającą łatwością.

Patrzyłem w dół na ładne wzorki tworzone przez ulice, które same nic o tym nie wiedzą. Leciałem klasą ekonomiczną, ale głupi samolot, przechylając się teraz to na jedną, to na drugą stronę, żłopał paliwo w tempie piętnastu litrów na kilometr. Nawet moje *fiasco* jest już bardziej ekonomiczne... Leciałem ekonomiczną, ale też potrzebowałem paliwa. Z papierosem i zapalniczką w pełnej gotowości czekałem, aż wygaśnie napis NO SMOKING. Wyciągając szyję, uważnie śledziłem zbliżający się w pogrzebowym tempie wózek z napojami. Jak zgłodniały wilk wrąbałem w ekstracugach obiadek; wyjednałem swym wdziękiem jeszcze jedną porcję od rozpływającej się w uśmiechach stewardesy. Uwielbiam samolotowe życie i, co więcej, podejrzewam, że kryje się w tym katering grubsza forsą. Kiedyś podrzuciłem Terry'emu Linexowi pomysł otwarcia restauracji serwującej takie lotnicze papu. Rzecz jasna, potrzeba by do tego odpowiednich lotniczych foteli, tacek, pojemniczków z majonezem i podobnych gadżetobajerów. Można by postarać się także o półmrok, wideo, rzędy dla niepalących, papierowe torby. Linexowi podobało się moje rozumowanie, ale powiedział, że

nie udałooby się nam utrzymać odpowiedniej przepustowości hazardystów, którzy zagładałiby tu z kasyna Seliny; zresztą innych gości także. To nie to, co fast food; to żarcie nigdy nie byłoby wystarczająco szybkie, żeby zarabiać naprawdę szybki szmal...

Założywszy wyrafinowane słuchawki oglądałem wyświetlany w czasie lotu film. Był to zupełny szajs, nie mogło być inaczej. Tak, film był trzepoczącym się, skrzelkowym, rozgulgotanym indorem. Mam cichą nadzieję, że mój będzie o niebo lepszy: w każdym razie na pewno chciałbym, żeby przyniósł więcej forsy. (Sprzedaż liniom lotniczym w ciągu trzech zaledwie miesięcy od chwili rozpoczęcia dystrybucji? To rzeczywiście totalna kłapa – i tragedia dla jego twórców). Bo wiecie, tym, na czym zależy mi nade wszystko – nazwijmy to marzeniem mojego życia – jest zrobienie naprawdę dużego szmalu. Chętnie zainwestowałbym swe siły – i nawet środki – w jakiś biznesik alchemiczny, gdyby coś takiego istniało i przynosiło niezły grosik... Więc mknęliśmy przez powietrze i czas. Pozostały do zabicia jeszcze cztery godziny. Picie i palenie nie pochłaniają, niestety, całkowicie i niepodzielnie uwagi. To jedyna wada, jaką mógłbym przypisać tym wzniosłym zajęciom. Wydaje się, że niektórych ludzi po prostu nie sposób zadowolić. Na przykład Selina: nie wystarcza już jej elegancka książeczka czekowa, którą ode mnie otrzymała, chciałaby teraz kartę kredytową Vantage. No tak, i jeszcze dzidziusia. Dzidziusia. Rozejrzałem się po zapełnionej w jednej czwartej kabinie. Wszyscy albo spali, albo czytali. Czytanie w takiej sytuacji to całkiem pożyteczne zajęcie. Siedząca przede mną dziewczyna o potarganych kudełkach czytała jakiegoś pornusa: tekst był po francusku, lecz nawet ja mogłem się zorientować, że artykuł, który przerzucała, dotyczył technik *fellatio* – no wiecie, wszystko o robieniu loda. Rzucone obok na sąsiednie siedzenie futro było nieprawdopodobnie obszerne, niczym rozłożystoskrzydły samolot. Leciwała do swojego mężczyzny, a może od niego uciekała do jakiegoś innego samca. Zaaferowana młoda pannica w okularach po mojej lewej stronie czytała, dla kontrastu, tłustą knię o tytule Rousseau i jego filozofia. To dało mi ładny początek. Zakosiłem kolejną garść miniaturki i przez resztę lotu wykladałem sąsiadce własną filozofię. Była to ciężka przeprawa, ale czas dał się jakoś ukatrupić...

– Sporo się najeździłem – powiedział Fielding Goodney – po świecie pornografii. Zawsze staraj się, Slick, podczepić pod jakiś interes dla nałogowców: nigdy wtedy nie stracisz. Bo nałogowcy nigdy nie wygrają. Prochy, wóda, hazard, jakiegokolwiek wideo – to głębokie pokłady szmalu. W dzisiejszych czasach odpowiedzialny biznesmen zawsze trzyma rękę na pulsie nałogu i uzależnienia. Co jeszcze? Wszystkie przedsięwzięcia

nastawiają się na materiał domowy o niskiej energii, na typ zmęczonego nieudacznika. Ludzi już teraz nie stać, żeby popruć taryfą na jakieś szaleństwo do miasta. Dzisiaj wszyscy stali się nałogowymi domatorami. Stąd to całe eldorado z interesikami z szybkim i gównianym żarciem. Połknij plastik i chemię, byle szybciej, i wracaj do swojej nory. Albo zabierz ze sobą to swoje żarcie-śmiecie, te swoje puste kalorie. I zmiataj. Zadekuj się w swoich czterech ścianach. Razem z pornografią...

– ...Tak? – ni to potwierdziłem, ni to zapytałem.

Sączyłem purpurowy napój. Zapaliłem następnego papierosa. Siedzieliśmy we włoskiej restauracji, daleko na południe od SoHo – było to gdzieś w Tribece. Zdaniem Fieldinga była to knajpa gangsterów, a ja całkowicie się z nim zgadzałem: mieliśmy tu czerwone brokaty, przyciemnione światło i ciszę jak w kościele. Jestem standardowym, nie odstającym od tła żyjątkiem naszej planety, ale Goodney, w białym garniturze, z opalenizną i opadającymi na czoło blond włosami, wyróżniał się niczym różowy słoń wśród tych ziejących grzechem mistrzów ceremonii pogrzebowej, łypiących spode łba i skradających się to w prawo, to w lewo na tle tkanin ściennych w kolorze świeżej krwi. Ci faceci zdają się poruszać nie używając nóg. I właśnie wtedy jakiś łotrzyk w średnim wieku, wysuszony na wiór – typowa twarz pierwszego baletmistrza, pedała zamrozonego forszą i matczynym seksem – przepychał obok naszego stolika jakiegoś rozjarzonego rudzielca; obok naszego dobrego stolika, najlepszego w lokalu, stolika, do którego zawsze ceremonialnie prowadzono Fieldinga.

Fielding podniósł głowę. Zawahał się.

– Antonio Pisello – powiedział – czyli Tony Cazzo ze Staten Island. Pięć lat temu postrzelono go w serce. Wiesz, co go uratowało? – zapytał i dziabnął się sam w żebra długim, wyciągniętym kciukiem. – Karty kredytowe, umocowane gumką jak talia kart. Kiedyś był z niego niezły ancymon, lecz teraz się ustatkował, działa bardziej legalnie.

– A ta panienska?

– To Willa Glueck. Elegancka dama. Ekskluzywna klimaksiara, za noc liczy sobie patola. Już tylko na pół etatu. Przez dziesięć lat wycierała się po ulicach – no wiesz, obciąganko i trzepanko po dolarze od druta. A potem pięćlatka na topie, rozumiesz, sam szczyt, światowe życie. Nikt nie wie, jak udał się jej ten numer. Bo to po prostu niemożliwe. Spójrz na nią tylko, na jej oczy i usta – sam cymes. Nikt by nie poznał. Nic tu w ogóle nie pojmuję. A wiesz, że mnie wkurwia, kiedy w ogóle przestają kumać.

Tak, trzeba przyznać, że nasz biedny Fielding Goodney jest tragicznie nie doinformowany. Uśmiechnął się z niewinną skruchą, lecz zaraz przywołał się do porządku i z wyrazem zdecydowania skinął na czujnego kelnera odwróconym znakiem

„V”. Sunęły ku nam dwa czerwone Wędrowniczki. Zamówiliśmy je. Fielding trzymał oprawione w purpurę menu (jedwab, złocenia i kutasiki nasuwały mi na myśl Seline wraz z jej sekretami), trzymał je w szczupłych, opalonych dłoniach, kontrastujących z bladobłękitnymi mankietami spiętymi naprężonym złotym łańcuszkiem spinek. Podczas kolacji Fielding uświadamiał mnie o lukratywnych, ubocznych dochodach z pornografii, o całym tym pandemonium Czterdziestej Drugiej Ulicy, o sieci Boylesku na Siódmej Alei z ich cudacznymi akcesoriami, tymi wszystkimi łańcuchami i gumowymi kurczakami, i mówił też o kalifornijskim rejonie Malibu, gdzie ekipa filmowa miota się o zmierzchu na nadmorskim planie, żeby wycisnąć ostatnie poty z plażowych przystojniaków i pańienek kotłujących się na podłodze motelu, nawijał o miękkich mackach miękkiej pornografii rozlewającej się po sieci kablowej całego świata, o cenzurze usuwającej z kadru męskie członki, o tych oszalamiających inklinacjach i zboczeniach Niemców i Japońców, o nastawieniu się na perwersje w pocztowej dystrybucji, o kryminalnych filmowych przedsięwzięciach typu „ostatnie tchnienie”, zrodzonych w Mexico City, lecz zanikających już w Nowym Jorku.

Zapytałem:

– Te filmy naprawdę istnieją?

– Oczywiście. Ale nie ma ich wiele. Niebawem przestanie się je oglądać i kręcić.

Fielding, jak zauważyłem, kroił cielęcinę w przyjęty ogólnie sposób, tylko potem brał widelec w prawą rękę i działał to mięcho, jak gdyby trzymał widły.

– Posłuchaj, Slick, bądźmy realistami. Jeżeli był w tym jakiś szmal, trzeba to wypróbować... Te dziewczyny były włóczęgami.

– Widziałeś coś z tego?

– Czy zdajesz sobie sprawę, o co mnie pytasz? Pytasz mnie, czy nie jestem współnikiem post factum zbrodni pierwszego stopnia. To nie moja działka, Slick. To była zorganizowana zbrodnia, zorganizowana idealnie, zbrodnia idealna. Czysta sprawa. Filmy „ostatniego tchnienia” – one są dopiero dowodem.

Jego sposób mówienia zmienił się, przygasła siła i energia, wyparowało zapamiętanie, choć nie na długo. Uderzył w ton sarkazmu i zażyłości:

– Czujesz dreszczyk? Oto dowód, jak pornografia potrafi deprawować. – Uspokoił się trochę. – To zbyt gorący kartofel, Slick. Nikt nie chciałby tego brać. Problemy z dystrybucją.

Przeszliśmy następnie do dyskusji nad naszym problemem dystrybucji; zdaniem mojego przyjaciela Fieldinga nie było tu żadnego problemu, nic takiego w ogóle nie istniało. Będziemy po prostu wypożyczać gotowy już produkt: w ten sposób, mówił

Fielding, zachowamy artystyczną niezależność, zarabiając przy tym dużo, dużo więcej pieniędzy. Myślałem, że tylko naprawdę grube ryby mogłyby wykręcić taki numer, lecz chłopak wypracował sobie wszystko na cacy. Kontakty miał niesamowite, i to nie tylko w świecie filmu. Podczas gdy mówił, a ja wlewałem w siebie długi ciąg kieliszków grappy i filiżanek kawy, poczułem nagle chwyt i trącanie nosem prawdziwej, grubej forsy. Forsy – tego mojego goryla.

– Wiesz, Slick – ciągnął Fielding – czasami biznes wydaje mi się wielkim tępym psiskiem, które skomli, żeby się z nim pobawić. Chcesz wiedzieć, na jaką stawiam teraz działkę po linii nałogów i uzależnienia? Chciałbyś zarobić milion? Czy mam cię wtajemniczyć?

– Zrób to – mruknąłem.

– Pieszczoszki – powiedział Fielding Goodney. – To znaczy przytulanie się, tulenie. Para leży sobie w łóżku, generując ciepło i poczucie bezpieczeństwa. I teraz: jak Zrobić na tym interes? Jak to urynkować? Podręcznik przytulania? A może wideo? Nocne koszule? Czy studio przytulania, z kwalifikowaną hostessą-instruktorką? Pomyśl o tym, Slick. Miliony dolarów kryją się w takim niewinnym przytulanku.

Fielding zapłacił niezbyt imponujący rachunek i zostawił na tacce dwudziestkę. Wynajęty autocrat czekał już na ulicy. W pewnym momencie Fielding spojrzał na mnie – twarz oświetlały mu światła manhattańskiego midtownu – i powiedział:

– Wiesz, Slick, wprowadziłem cię trochę w błąd. Te filmy „ostatniego tchnienia” to jednak mord drugiego stopnia, nie pierwszego. W Nowym Jorku pierwszy stopień jest tylko dla gliniarzy, klawiszów i podobnego gówna. Wybacz tę moją nieścisłość.

Wyskoczyłem w rejonie Times Square. Słyszałem, jak Fielding podawał kierowcy adres na zniewieścialej Park Avenue.

Szedłem niezbyt pewnie w upale pornograficznej nocy. Według wskazań zegara mojego ciała i współrzędnych czasoprzestrzennych musiała być szósta rano; w każdym razie godzina ta parowała alkoholem. Daleką drogę odbyłem tego dnia, tak w czasie, jak i w przestrzeni. Jezu, miałem ochotę z sobą skończyć. W pobliżu hotelu „Ashbery”, pośród ciemnych zaułków i stromych dachów, drobny, zwinnie maniak wspina się i skacze po dachach. Odczuwa potrzebę zrzucania dachówek, cegieł i kamieni na głowy przechodniów powracających z teatrów i restauracji. Miał już pięć takich dachowych seansów. I zarazem pięć celnych trafień. Jedno skończyło się fatalnie. Zbrodnia drugiego stopnia. Policjanci z noktowizorami mogą sobie leżeć na czatach, lecz nie wydaje się, żeby mogli go złapać, tego dachowego psychopatę, mistrza parapetów, okapów i podniebnych włazów, małego artystę nieskończoności. Więc odstaw swe susy

i wspinaczki pośród żelastwa przeciwpożarowych schodów, blach rynien i aluminium telewizyjnych anten, a pod tym światem najeżonym metalem trzeszczy styropian nocnego Broadwayu, i nie ma w tym żadnej forszy. Żadnej forszy dla tego smętnego świra – gdziekolwiek, kiedykolwiek.

Widzieliście już mnie w Nowym Jorku przedtem i wiecie, jak daję tam sobie radę. Zastanawiam się, na czym rzecz polega: to coś, co ma jakiś związek z kipiącą energią i naelektryzowaniem tego miejsca, z całym tym zamieszaniem, przepychankami, wrzaskiem i wrzawą – to właśnie daje mi kopa, wprawia mnie w stan wibracji. Jestem w Nowym Jorku inną całkiem parą kaloszy, zebrany do kupy, gotowy do działania. Tak jest i dziś rano, zabrałem się do roboty natychmiast, pomimo jet-lagu i tego kaca, który swobodnie ścigały z nóg mężczyznę mniejszego kalibru – kaca gorszego jeszcze, jak myślę, od tego, jaki dopadł mnie w Kalifornii. Ten kac kalifornijski ma już teraz siedem dokładnie miesięcy i wciąż nie widać oznak, że się z niego wyleczę. Nie opuści mnie pewnie i na łożu śmierci... Opowiadałem wam chyba o moich rozrywkach w Los Angeles co, może nie? Było nie najgorzej, prawda? Ten wielki czarny typas z kijem baseballowym, pamiętacie? Chryste Panie, czego to nie zaryzykujemy, żeby się trochę pośmiać. Czasem tak sobie myślę, że trwałość mojego kalifornijskiego kaca ma coś wspólnego z niemożnością uwierzenia, że wciąż jeszcze żyję.

Leżąc zatem w łóżku, z telefonem, notesem z adresami, popielniczką i filizanką kawy, elegancko rozstawionymi na wzdórku mojego kałduna, zająłem się pierwszym punktem dzisiejszego programu: Cadutą Massi... Jak i każdy, jak bez wątplenia i wy, mnóstwo razy widziałem Cadutę na dużym ekranie: w dramatach kostiumowych, musicalach, włoskich komediach erotycznych, meksykańskich westernach. Oglądałem Cadutę, jak kuli się albo pyszni, jak wydyma pogardliwie wargi i szyderczo się uśmiecha. Gdy byłem dzieciakiem, trzepałem konia wpatrzony w jej zdjęcie – podobnie jak każdy chłopak. Im więcej o niej myślę, tym większą mam ochotę spuścić się na jej konto – teraz. W młodości była roslą, muskularną dziewczyną i zjawiskową pięknoscią; w jej oczach i ustach zachęcająco czaił się promyk wiejskiej naiwności. A z biegiem lat czas okazał się dla Caduty łaskawy. Bo z biegiem lat dla niemal wszystkich innych czas był nadzwyczaj okrutny. Ten czas był złośliwy, pełen nienawiści i jadu. Dał wszystkim porządnego kopa. Tymczasem Caduta, mając już jakąś czterdziechę z hakiem, wciąż jeszcze może grywać atrakcyjne romantyczne heroiny, gdy ma odpowiednio starszego (albo biseksualnego) partnera... Jak wiecie, nie tak od razu brałem pod uwagę Cadutę. Wolałbym kogoś mniej wspaniałego, lecz za to pogodniejszego i przy zdrowych

zmysłach – taką Sunny Ward czy choćby Day Lightbowne. Trudno powiedzieć dlaczego. Tyle że Fielding argumentował, iż Caduta jest w tym układzie niezbędna, a w takich przypadkach należy iść za wskazaniem forsytów. Caduta, małżonka szmyrgniętego Lorne’a Guylanda, rywalka cycatej Butch Beausoleil, matka chciwego kradzieja i narkomana Christophera Meadowbrooka – albo Spunka Davisa czy Nuba Forknera – oto czeredka, z jaką ostatecznie startujemy. Postać miała być nie narzucająca się, a jednak na swój cichy sposób kluczowa. Miała być smutna. Chciałem więc kogoś bardziej realistycznego... Widzicie, cała myśl, cały napęd tej mojej koncepcji, mojego zamierzenia, to coś osobistego, związanego z moim życiem. Coś autobiograficznego. Tak, to wszystko miało wiele wspólnego z tym moim biednym, starym życiem.

Zadzwoiłem do „Cyceron”, gdzie Fielding zainstalował Cadutę wraz z jej anturazem. Telefon odebrał mężczyzna. Caduta poprosiła mnie, żebym przyszedł o drugiej pod pewien adres w Little Italy, Małej Italii. Następnie zadzwoniłem do mojej londyńskiej garsoniery. Zajęte. Zajęte... Według Fieldinga, Cadutę trzeba było podnieść na duchu. I zamierzałem to zrobić, z wielką nawet przyjemnością. Mam tylko nadzieję, że starczy mi na to siły. Wczoraj, gdy ze wzruszeniem trafiłem do mojego starego hotelu, marzyłem tylko, żeby kochany mój Felix znów odstawił ze mną to murzyńskie strzelanie się w grabę. Dlaczego? – właśnie, dlaczego? Bo chodzi tu o dotyk, o dotyk. Jesteśmy po prostu zwykłymi ludzkimi istotami na tym ziemskim padole i przydałoby się nam trochę więcej pochwał i pocieszenia, niż udaje się nam wyżebrać. Pocieszenie, ludzkie pocieszenie – tego naprawdę zawsze brakuje – nie sądzicie? Bądźmy wreszcie uczciwi, bracie. No, bądźżesz szczerą, siostruniu, moja szanowna pani sąsiadko. Kiedy to po raz ostatni jakiś ziemski brat pozwolił ci położyć głowę na swoim sercu, pogłaskał twój policzek i mówił rzeczy mające na celu sprawienie ci choć na chwilę głębokiej ulgi i radości? Nie zdarza się to zbyt często, oj nie. Wszyscy chcielibyśmy, żeby miało to miejsce o wiele, wiele częściej. A może zawrzemy umowę? Chłopie (zakładam, że myślisz podobnie), te numerki z główką na sercu – Jezu, przydałaby mi się dawka takiego pocieszenia, oj tak.

Ziewnąłem, przeciągnąłem się, i omal nie rozlałem kawy. Starając się ustabilizować filiżankę, zdestabilizowałem popielniczkę. Próbując uspokoić popielniczkę, rozlałem kawę i zaplątałem rękę w sznur aparatu – gdy w heroicznej konwulsji wyskoczyłem z łóżka jak z procy, pociągnąłem za sobą aparat, który z impetem pocisku balistycznego rąbnął mnie w kostkę... Po jakimś kwadransie, gdy apogeum bólu już przeminęło, przedarłem się wreszcie przez ten pieprzony notatnik. Pocieszałem się, że nie będzie w nim numeru telefonu Martiny. Jedno zabałaganione spotkanie... Błagałem, żeby tego

właśnie mi oszczędzono: tej jednej rozmowy, tych jednych przeprosin. I proszę bardzo: Theresa – salon, TV – naprawa, Trans-American, Trexacarna i – tak, Martina Twain. Zaraz, zaraz chwileczkę. To nie moje pismo. To pismo – Seliny! Ale z niej kurwa! Czy chodziło jej, by znaleźć pretekst do obwiniania mnie, do czynienia wyrzutów?

O nie! Zdecydowanie zamknąłem notatnik. I mimo wszystko zadzwoniłem.

Nadal dryfowałem w manhattańskim bezruchu. DAJ PIERWSZEŃSTWO – wzywają znaki drogowe, ale ty nie słuchaj! Nikomu nie ustępuj, nie daj się – oto naczelna zasada. Walcz o swoje, idź naprzód, bądź twardy – a to wszystko jest kwestią woli. Środek dnia zastał mnie z drugą szklaneczką scotcha w rękę, pakistańską koszulką wokół bioder i półnągą seks-hostessą ujeżdżającą moje uda. Byłem na „Wyspach Szczęśliwych”, na Trzeciej Alei. Czytałem o tym przybytku w pisemku o tytule „Gówno”... Było mi tutaj dobrze: w tym okrągłym pokoju bez okien, urządzonym wedle wyobrażenia, jakie na temat rajy mógł mieć jakiś błędny alfons – egzotyczne pnącza na plastikowych podpórkach, bambusowe pręty pod sufitem, przyćmione światło lampionów i ptasi świergot z taśmy. Czułem się tutaj tak dobrze, że zacząłem nawet nucić ulubioną melodyjkę Grubego Vince’a. Co to było takiego? – „Usiadźmy w ciszy w altanie”! Wiecie, jest taki typ samca, który przyjdzie do gniazdka takiego jak to tylko po to, żeby zerznąć babę. Lecz samodoskonalenie, w ogóle praca nad sobą, to nie takie trudne zadanie, jak niektórym może się wydawać. Weźcie mnie jako przykład. Ja przychodzę tu, żeby się brandzlować, grzać tę moją gruchę, przychodzę na takie intymne *jack-off-party*.

– No więc, jak sobie radzisz? – pytałem. – Używasz suszarki po wytarciu ręcznikiem?

Rozmawiałem z dupeczką o jej włosach i kłopotcie, jaki jej sprawiały. Sama ściągała na siebie ten kłopot, wierście mi. Jej faliste, rozbiegane loki, spłaszczone pod własnym ciężarem, migocące jak plamy oleju albo ślady krwi na masce samochodu, spływały czarnymi kaskadami w dół jej pleców. Gdy wstała i odwróciła się, żeby nalać mi kolejnego drinka, krzaczasty tren jej włosów niemalże zakrywał dwie pięści jej nabitej dupki. Człowieku, ile bym dał, żeby mieć takie bujne amerykańskie kudły zamiast moich nędznych piórek, tej starej ścierki do naczyń, pod którą upływa mi życie... Na samym początku dziewczę zapewniło mnie biznesowo-serdecznym tonem, że „mogę się zabawiać z kimkolwiek, kto wpadnie mi w oko” (uwaga ta, prócz półgramowego bikini, jakie miała na sobie, była jedyną jej wskazówką, że nie jest to salon piękności czy pokój seminaryjny na uniwerku, lecz po prostu burdel. Nie dałem po sobie poznać, że o tym wiem). Zastanawiałem się wtedy i zastanawiam się teraz, czy ktokolwiek brał

ją samą pod uwagę. Siedziała mi na kolanach, to prawda, i w dodatku była przyjazna, chodziło jej tylko o to, żebym lepiej mógł przyjrzeć się jej włosom. Może była tylko zwykłą barmaneczką, a może kasjerką, a może profesjonalną siadaczką na kolanach... i może już trochę za bardzo się do niej zbliżyłem. U mojego boku spoczywała wodoodporna plastikowa torba, zawierająca portfel: forszę i dokumenty. Musiałem najpierw wziąć gorący prysznic, chłostający jak bicz wodny; w przyległej do pokoju łazience asystowało mi radośnie dwóch grubych Murzynów w pstrokatych hawajskich koszulach i strzępiastych słomkowych kapeluszach. Wreszcie czyściutki usiadłem na tych „Wyspach Szczęśliwych”. Moja choroba, którą nazwałem tinnitus, rozbudzona podróżą i zmianą miejsca, w desperacji wgryzła mi się głęboko w najdalsze zakamarki głowy. Uszy naśladowały pracę odrzutowych silników z towarzyszącym im gwizdem, skomleniem i wygłodniałym trzaskiem buchającego pod podłogą ognia. Przytknąłem świeżo napełnioną szklankę do czoła, jak gdyby chcąc ukoić mój biedny, pulsujący mózg – plastikowe szkło, plastikowy lód, samolotowy napój. No proszę. I to nazywam życiem w luksusie, życiem na topie.

– Dwukrotne mycie – perorowałem – może być dużym błędem. Rozmiękcza cebulki, a komponenty myjące wysychają i utwardzają je.

– Naprawdę? – zapytała dziewczyna. – To fakt?

– Niestety – potwierdziłem. Włosy to jedna z rzeczy, na których cokolwiek się znam. Mogę nie wiedzieć za wiele o anatomii, ale w tej materii jestem ekspertem. To dzięki fryzjerekom, charakteryzatorom i panienkom od kostiumów, z którymi od lat się zadaję, plus moje własne kosztowne psychodramy. Więc kiwnąłem głową i sącyłem mojego drinka. Rozejrzałem się. A gdzie są inne kandydatki? Tak czy owak przyjąłem, że ten mój egzemplarz w białym bikini czerpał wielką frajdę z naszych przekomarzanek i mojej wiedzy o kudłach. Gaworzenie ze mną sprawia zapewne znacznie więcej uciechy niż pójście ze mną do łóżka za pieniądze – choć, trzeba to przyznać, jest chyba też mniej opłacalne. Byłem całkiem zadowolony ze sposobu, w jaki sprawy się potoczyły. Byłem zadowolony, że tak tu sobie siedzę z mocnym, orzeźwiającym napitkiem, zadowolony, że nie rzucono mnie na zimną, piwniczną podłogę, żebym zagrał główną romantyczną rolę w filmie „ostatniego tchnienia”. Nie, trzeba przyznać, było tu naprawdę bardzo kulturalnie.

Pochyliła głowę, wpatrując się w zadziór na nadłamanym paznokciu. Na de czarnych włosów jej małe okrągłe ramionka wydały się jeszcze bledsze, jeszcze bardziej bezbronne – no ale zaraz, zaraz, „Wyspy Szczęśliwe” to przecież nie miejsce na lokalne kontrasty. Ta dziewczyna, chuda nastolatka z fałdkami w kształcie litery „W”

w zagłębieniu zamkniętych pach, odpowiadałaby mi nawet na betonie. Będąc wszak istotą, jaką jestem – a nie kimkolwiek innym (jak na razie) – oczekiwałem pełnych burdelowych przywilejów, tego starego samczego układu: ja bulę i mogę sobie za to poprzebierać jak w ulęgawkach.

– Gdzie twoje koleżanki? – spytałem.

Wzruszyła ramionami i zlustrowała naszą pustą altanę.

– A gdzie twoi koledzy? – odwzajemniła się. Potem nachyliła się i zapytała ze smutną powagą: – Hej, a jak masz na imię?

– Martin – odpowiedziałem bez wahania. – Wiesz... nie znoszę swojego imienia. Bo to tak: masz nagle dzieciaka, to znaczy takie niemowlę, małego chłopaczka, i co wtedy możesz z nim zrobić? Nazywasz go John. Więc jestem John Self. Jan We Własnej Osobie. Lecz któż nim nie jest? A jak mam mówić do ciebie?

– Nazywają mnie Moby. Masz żonę?

– Nie. Nie należę chyba do tych, którzy się żenią.

– Czym się zajmujesz, Martin?

– Jestem pisarzem, Moby.

– A to naprawdę ciekawe – powiedziała surowo. – Jesteś pisarzem. A co w takim razie pisujesz?

– Hm... Fikcję. Tego rodzaju rzeczy.

– John grzmi w głównym nurcie? – chyba coś takiego usłyszałem.

– Przepraszam, nie załapałem.

– Chodzi mi o to, czy piszesz powieści i opowiadania głównego nurtu, czy cenią cię krytycy, czy może zajmujesz się science fiction, thrillerami albo czymś w tym guście?

– Jakiego głównego nurtu?

Uśmiechnęła się taksująco i dodała:

– Tak, to dobre pytanie... A ja zarabiam na college dawaniem dupy? Literatura angielska w Nowojorskim Uniwersytecie „Wysp Szczęśliwych”? Mówisz, że piszesz powieści? Tym się niby zajmujesz? Zaraz, to jak się nazywasz?

W tym momencie miałem już wielką ochotę zapytać Moby, co też to ona robiła i ile to kosztowało – lecz właśnie poczułem błogi podmuch świeżej obecności wielkoudziatej, dupiastej kobiety. Odwróciłem się. Wielka młoda dziewczyna w seksownych szortach i staniku wparowała kołysząc udami wprost z krainy cieni tylnego korytarza. Zbudowano ją według prototypu Seliny, choć z kilkoma wulgarnymi powiększeniami: nacisk położono tu na wypukłość, wybujałość. Pomyślałem sobie: chcę! Chcę ją, dla siebie! Usiadła z westchnieniem na czarnym plastikowym grzybie – barowym stołku. Parę

chwil później zadowolony z siebie, choć wyczerpany mężczyzna w nienagannym garniturze biznesmena mijał nasz pokój bardzo niepewnym krokiem.

– Uważaj na siebie, Ognista – wymamrotał z pijacką galanterią.

– Pan także, proszę pana – odpowiedziała Ognista zwięzłym, rzeczowym tonem profesjonalnej hostessy. – Chciałabym panu podziękować, że pan do nas wpadł. Polecamy swe usługi na przyszłość.

– O tak, tak.

Klient Ognistej potoczył się dalej. Jego sflaczała, przygasła twarz sprawiała wrażenie, jak gdyby miała odpaść pod grawitacyjnym ciężarem rozwiązłości. Było jasne, że nie zadowolili się samą obecnością Ognistej. Nie. Uraczył swe zmysły wszelkim rodzajem podarków i poczęstunków wyczarowanych jej obecnością.

– Hej, Ognista – powiedziała Moby. – Ten tu Martin jest pisarzem z Anglii.

– Tak? – zareagowała Ognista.

– Tak – potwierdziłem. I wstałem, w mojej zszarzałej skórze, ze sterczącym kałdunem, przepasany kwiecistą firanką, z piórkami w kolorze mglistego londyńskiego nieba – pod tym sklepieniem z prętów bambusa, bam-amfy, bu-trawki...

– Podnieciłeś się? – zapytano mnie dziesięć minut później.

– I tak, i nie.

– Bez zgrywu. Musisz być podniecony, że hej.

To prawda, leżałem teraz nagi w zamkniętej niby chatce, w blasku świec, sam na sam z przedsiębiorczą Ognistą – jej pulchna prawa dłoń czyniła masujące ruchy na lekko owłosionym zboczu wewnętrznej strony moich ud... Przez chwilę, gdy siedziałem jeszcze pod tamtym bambusowym sufitem, zastanawiałem się, czy będzie to na pewno właściwy wybór. Być może mała Moby poczuje się urażona tym, że preferuję jej wielce utalentowaną koleżankę – być może sobie pójdzie, wybuchnie płaczem, popełni samobójstwo. Lecz okazuje się, że na „Wyspach Szczęśliwych” problem uzalania się nad sobą po prostu nie istnieje. Bo wiecie, tak naprawdę to podejrzewam, że nie jestem skrojony na miarę burdelów. Nic nie mogę poradzić, że angażuję się emocjonalnie na swoją ludzką miarę, choć w nader nieznacznym stopniu, choć staram się z tą moją cechą walczyć. Zupełnie nie mogę się oderwać od tego uczuciowego balastu... Gdy zabierała mnie Ognista, wymieniliśmy z Moby czułe słówka pożegnania. Jak cień sunąłem za Ognistą zwiężającym się korytarzem; wszystkie jego płaszczyzny pokrywała wykładzina dywanowa, jakby to były cztery podłogi. Ognista zaparkowała mnie wreszcie w maleńkim pokoiku-wnęce, pulsującym wonnościami. Stojąc przy drzwiach z piąstkami

wspartymi na biodrach, poleciała mi spocząć na wysokiej jak w gabinecie lekarskim, dosuniętej do ściany leżance. Tak, takie właśnie nasuwało mi się porównanie: że jest to grubo zaległa, złowieszcza i pełna grozy wizyta u doktora od kutasów.

– Czemu nie ułożysz się wygodniej? – zapytała z udawanym oburzeniem.

Kamie podciągnąłem się na ciężkich, puszystych poduchach.

– Nie, nie... zdejmij sarong! Wrócę za chwilę!

Więc leżałem na golasa w nawilżonej duchocie pokoiku-skrzynki, czekając na powrót Ognistej i zaczynając szczerze żałować, że nie poprzestałem na wdziękach Moby.

– Na twoim miejscu – zagaiła znów Ognista – byłabym bardzo podniecona.

– No, na pewno, na pewno.

– Szalałabym.

– Czeka mnie dużo frajdy, jestem tego pewien.

– I to jakiej.

– Tak, powinna to być frajda.

– Na twoim miejscu szalałabym wprost z podniecenia.

Najeżyłem się i mówię:

– A co właściwie miałyby cię tak podniecać? Wydeła z niedowierzaniem wargi.

– To znaczy, wiesz, jesteś dziewczyną na medal, i tak w ogóle – zacząłem – tylko, że...

Nie ja. Boże! Wasza nowa księżna!

– Och, ona...

I przez dłuższą chwilę rozmawialiśmy bardzo poważnie o przyszłej księżnej Walii. Bo przyszła księżna Walii jest, jak widać, absolutnym przebojem wśród panienek z Trzeciej Alei. Ognista nie mogła wyjść z podziwu dla jej fryzury, ubiorów i szyku. Sporo uwagi poświęciła też księciu Karolowi. Lubiała księcia Andrzeja. I księcia Edwarda. Książę Edynburga był też, jej zdaniem, całkiem, całkiem. Po tej coraz to bardziej dziwacznej połowie godziny klasnąłem w dłonie i powiedziałem, może trochę zbyt gwałtownie:

– W porządku. No więc co sprzedajesz?

Co tylko sobie zażyczysz – powiedziała nie zmieniając tempa głosu. – A jaki zamierzasz mi dać napiwek?

– Okej, zastanówmy się. Co masz w repertuarze?

– Zwyczajnie, po francusku, angielsku, grecku lub turecku. Albo pół na pół.

– ...Co to jest pół na pół?

Zwyczajna z francuską.

– A po angielsku?

– Chłosta.

A turecka? Nie, nie, już nie mów. Zaraz, wezmę lepiej, no, daj mi po prostu... właśnie, wystarczy mi po prostu trzepanko.

– Walenie konia? – Ognista zeszywniała.

– W porządku. Jak sobie życzysz. Więc jaki dostanę napiwek?

Choć byłem całkiem nagi, przyrodzenie zakrywała mi plastikowa torebeczka o wyglądzie kondomu, w której trzymałem forszę. Zdążyłem już beknąć czterdzieści dolciaków przy wejściu. A ile teraz będzie za rękodzieło? No, jak myślicie? Zgrzytając zębami rzuciłem:

– Pięćdziesiątka wystarczy?

– Posłuchaj – warknęła Ognista. – Może lepiej od razu się ubierzesz i podrałujesz na Siódmą Aleję albo na Czterdziątą Drugą Ulicę. Chcesz wydać pięćdziesiąt dolarów, to może tam rozwiążą twój problem. Pięćdziesiąt dolarów? – dodała z obrzydzeniem. – Nikt nie daje mi pięćdziesięciu dolarów.

– Chwileczkę, zaraz... spokojnie – starałem się załagodzić sprawę. Przyznam, że ton mojej partnerki rozkoszy troszeczkę mną wstrząsnął. Przez moment sprawiała wrażenie twardej i walecznej odzyskiwacza pożyczek, wyszarpującego naprawdę paskudną sumkę.

– Jestem tu po raz pierwszy, przepraszam. To może ty coś zaproponujesz?

A na to Ognista:

– Jeżeli byś mi dał tę pięćdziesiątkę gotówką, a potem siedemdziesiąt pięć płatne kartą kredytową plus superata, to znaczy piętnaście procent, bo inaczej nie pokryje nam to czynszu, albo może wolisz naszą formułę czekowo-gotówkową, czyli pełna płatność czekiem bez tych piętnastu procent, lecz z dziesięciodolarowym dodatkiem gotówką, co wychodzi na mniej więcej to samo. Nie robi to nam różnicy.

– ...Sto siedemdziesiąt pięć dolców?! Za głupie trzepanko?

– Posłuchaj, to jest Trzecia Aleja, nie Siódma. Więc czemu nie założysz gaci i...

– No dobrze, dobrze...

No tak, spoko, dopracowali to wszystko tip top: widać za tym tęgie główkowanie jakiegoś lebskiego samca – więcej w tym jednak pomysłu niż w tych gównianych norach z połamanymi bambubusami, ptasim świergoleniem i burdelowymi lampionami. Niezły numer, leżysz z wywalonymi jajami i prowadzisz negocjacje z seksualno-finansowym inspektorem. Rzecz nie polega na tym, że chcą cię tutaj zeszmacić; nie, to za mało, chcą, żebyś się poczuł tak całkowicie wrednie, że bardziej już chyba nie

można... Ognista rzeško opuściła pokój. Ale za chwilę była z powrotem. Trzymała nader okazały prześwietlacz kart kredytowych – z ruchomą ramką. Co trzeba będzie wpasować w tę złowieszczą maszynę – kartę imigracyjną czy mojego mądrą? A teraz, szanowny panie, chciałabym tylko sprawdzić wiarygodność pańskiego szanownego penisa... Było jeszcze dalsze bilansowanie budżetu na okoliczność Ognistej bielizny. Góra opadła natychmiast. Natomiast majteczki, twierdziła, nie wchodziły w zakres umowy.

– Już ty na pewno potrafisz podniecić faceta – powiedziałem z rezygnacją, dorzucając do puli dwudziestkę: wszystko ze mnie wyparowało.

Powiedziawszy bardzo oględnie, moja forma; gdy dotarłem wreszcie do Caduty, była bardzo niewyraźna. Wysączyłem parę szklaneczek, wrąbałem co nieco szybkiego żarcia i wskoczyłem w taryfę. Starczyło mi czasu tylko na szybkie żarcie. Fast food też dostanie kiedyś ode mnie kopa, już tylko patrzeć. Od szybkiego jedzonka szybko już dać sobie luz... Sesja z Ognistą nie przyniosła mi nic dobrego. Choć zabalowałem na „Wyspach Szczęśliwych” dobrze ponad godzinę, samo rękodzielo jako takie było tylko kwestią chwili – góra czterdzieści pięć sekund – tak mi się w każdym razie wydaje. Wysilałem ostro mózgownicę, żeby przypomnieć sobie gorsze trzy czwarte minuty i bardziej mizerną frajdę.

– Musiałeś być naprawdę napalony – powiedziała cicho Ognista, wyluskując z pudełka papierowe chusteczki. I tak, i nie. Mówiąc między nami, był to przypadek koniobicia, kiedy od flaczka przechodzi się wprost do orgazmu, przeskakując sympatyczny przeciw etap twardego kłoca. Podejrzewam, że Ognista musiała uruchomić jakąś tajemną sztukę gruczołów, że tak szybko się z tym uporała. I znów chciała powrócić do swoich usypiających zachwyty nad królewską rodziną, ale po prostu olałem ją i czmychnąłem z tego kiepskiego przybytku, ile sił w nogach. Bo cały problem w tym, że to wszystko jest takie – takie niesatysfakcjonujące. Własne, regularne trzepanka też nie dają satysfakcji, lecz przynajmniej nie buli się pięciu dolców za sekundę. Koszta uzysku są w tym wypadku raczej niewielkie. Mówcie, co chcecie, o chałupniczym rękodzielu, ale na pewno nie kosztuje was osiemdziesięciu pięciu funtali.

Podróż taksówką na downtown okazała się czystą udręką, rozpaczliwym wysiłkiem, ostrym stanem zaczopowania i dygocącego kuś ty ku. Gdy po raz pierwszy przybyłem do Nowego Jorku, nawet korek uliczny wydawał mi się tu ciekawy. A teraz co najwyżej mogę się z czymś takim pogodzić. Bardzo bym się cieszył, gdybym potrafił poradzić sobie w metrze. Rozgryźć ten ich subway... Próbowałem. Ale żeby nie wiem jak

się starał, to zawsze kończy się na tym, że gramolę się z jakiegoś wjazdu na Bulwarze Duke'a Ellingtona, podpierając głową żelazną przykrywkę cylindrycznego pojemnika na śmieci. Nie poradzisz sobie na ulicach Nowego Jorku, koniec i kropka... Spojrzałem na zegarek. Siedziałem pocąc się i przeklinając na lepącym się skaju taryfy. Zaczyna się już tutaj nagrzewać, tak, palą aż miło w wielkich piecach miasta, żeby jak co roku zakipsiały te obłądne upały sierpnia. Pośród licznych zakazów i poleceń przyklejonych do szyby z pleksioglasu oddzielającej mnie od kierowcy, jedno dziękowało mi za to, że zechciałem powstrzymać się od palenia. Czegoś takiego nie znoszę. Bo chyba to trochę przedwcześnie, nie uważacie? Przecież w ogóle się jeszcze nie powstrzymywałem. No i skończyło się na tym, że takiego powstrzymania się nie było. Zapaliłem papierosa i co chwila sięgałem po następnego. Kędziorkowaty Meksykaniec przy kierownicy coś tam zaczął krzyczeć i rzucał się przy kółku jak ukąszony, lecz ja spokojnie powstrzymywałem się od powstrzymywania, a on uspokoił się wreszcie i nic strasznego się nie stało.

Wieść gminna niesie, że Little Italy to jedna z najczystszych i najbezpieczniejszych enklaw Manhattanu. Niech tylko jakiś ćpunek czy inny pijaczek z Bowery pokuśtyka nieśmiało ulicą, a już z pięciu ponurych byczków, wymachujących kijami do baseballa i trzonkami od siekier, wytacza się z najbliższej trattorii. No tak, w Małej Italii czuję się właściwie jak w Village. Awaryjne żelazne zetki, czyli schody na wypadek pożaru, wyglądały tak, jak gdyby korzystano z nich dwa razy w tygodniu – tak były przysmolone. W owych zaczipowanych wąwozach za Boga nie dałoby się zmyć tych wszystkich ciężarówkowych beknieć i bździn z rur wydechowych bulgocących w oparach oleju, kwasów i wszelkich silnikowych płynów. Cóż nasza olśniewająca Caduta porabia w takim rynsztoku? Ma przecież swój apartament w „Cyceronie”, za który buli Fielding Goodney, i tamże fryzjera, goryla i siedemdziesięcioletniego boyfrienda... Latałem w tę i wewtę wzdłuż ulicy, aż trafiłem na wysmarowane drzwi.

– A teraz, panie Self, „Janie, nasz film!” – powitała mnie Caduta Massi. – Jak zorientowałam się ze szkicu scenariusza, heroina pochodzi z... Bradfordu. Nie wydaje mi się to zbyt ekscytujące.

– To, co widziałas, Caduto, to była wersja angielska. Ale teraz, gdy przierzuciliśmy się do Nowego Jorku, możemy...

– Wolałabym Florencję. Albo Weronę.

– Oczywiście. Pewnie. Wybieraj.

– A jaki jest tytuł filmu?

– Dobra forsa – odpowiedziałem. – Tak naprawdę, to jeszcze nie wiadomo. Dobra forsa podoba się Fieldingowi. Moim zdaniem Zła forsa brzmi lepiej. Więc Fielding

sugeruje, żeby dać Dobrą na Stany, a Złą na Europę, ale znów ja nie mogę dopatrzeć się w tym większego sensu.

– Świetnie – zgodziła się Caduta. – Powiedz mi, John. Ta Theresa. Ile może mieć lat?

– No... jakieś trzydzieści? – (To znaczy trzydzieści dziewięć. Z niepokojem patrzyłem na Cadutę).

– Proszę mi wybaczyć, lecz z tego, co wiem, ma dwudziestoletniego syna.

– To prawda. Przypuszczam, że jest trochę starsza.

– Ja mam czterdzieści jeden – dodała Caduta.

– Nie uwierzyłbym – zblagowałem. – To w takim razie świetnie.

– Więc może mi powiesz, dlaczego kobieta w tym wieku miałaby zdejmować sukienkę i bezustannie dopraszać się o seks?

Siedziałem z filiżaneczką kawy na kolanach, wciąż na wpół uduszony tym, co brałem za neapolitańskie domowe ciepło. Roilo się tu od dzieciaków – niemowląt w becikach, całego tłumu szczyli, srajdków i glutów, lub kolebiących się podrostków. Było ze trzech co najmniej tatuśków w podkoszulkach i roboczych drelichach; siedzieli obok w kuchni, pochyleni nad butelkami anonimowego wina i dymiącą pastą polaną sosem o barwie tryskającej z aorty krwi. Przy otwartych drzwiach siedziała nawet para śmietnikowych kobiecín z reklamowymi torbami, odzianych w czerń, milczących na swych twardych krzesłach. Nie mogłem za to dostrzec jakichkolwiek mamuś. Pomijając ów fakt, cała ta czeredka sprawiała wrażenie, jak gdyby właśnie przybyła z Ellis Island... Caduta pełniła tu wyraźnię rolę królowej pszczół. Klaskała co chwila w dłonie i wyrzucała z siebie potoki nie znoszącej sprzeciwu włoszczyzny. Niczym zatrudniony w domu towarowym Mikołaj, międlila na kolanach dzieciaki: a one, zaliczywszy swą turę, kolejno się wymieniały. Raz po raz wtarabaniał się chwiejnym krokiem jakiś tatko: przemawiał do Caduty z wielką rewerencją, lecz i z dozą dworskiej galanterii. Śmietnikowe babcie-kloszardki, z przydziałowym zębem na łebka, mruczały coś do siebie, kiwały głowami i czyniły znaki krzyża. Caduta i na mnie kierowała swój strumień włoskiego, co, rzecz jasna, wcale nie ułatwiała sprawy.

Odkaszlnąłem i powiedziałem:

– Caduto, przepraszam bardzo, lecz nie do końca rozumiem.

– Pan Guyland. Mówi, że ma tu być kilka wyrazistych scen miłosnych.

– Z tobą?

Uniosła podbródek i skinęła.

– Caduto, to wszystko brednie. W zarysie scenariusza nie ma przecież żadnych scen

miłosnych.

– Lorne Guyland powiedział, że pan Goodney obiecał mu aż trzy długie miłosne akty, z pełną nagością.

– Chryste Panie, a ileż to Guyland ma lat? Po jakie lichy chce paradować goły?

– To obrzydliwiec i świntuch. Panie Self, John, proszę posłuchać. Potrzebuję twojego zapewnienia, że to się nie wydarzy.

– Masz to jak w banku, Caduto. – Rozejrzałem się po pokoju. Kloszardki uśmiechały się zachęcająco. – Posłuchaj, Caduto. Nie ma żadnych scen erotycznych z tobą i Łomem. Będzie pewnie scenka albo dwie, kiedy leżycie w łóżku, taka scenka poranna, lecz oboje jesteście przykryci, okej?

– Będę z tobą szczerą, John – powiedziała Caduta Massi. Przegoniła z kolan dzieciaki. – Jak mówiłam, skończyłam czterdzieści trzy lata. Nie mam już cycków jak dawniej. Brzuszek mam jeszcze płaski, tyłek też całkiem do rzeczy, ale cycki? – Machnęła z rezygnacją ręką. – To już nie to, co kiedyś. I cellulitis drugiego stopnia po zewnętrznej stronie ud. Skórka pomarańczy. Co na to powiesz?

A cóż mogłem powiedzieć? Caduta miała na sobie dwuczęściowy kostiumik z szarego zamszu. Podrzucając lekko biodrami uniosła spódniczkę. Zobaczyłem ciemne zakończenie pończoch, jej delikatną skórę, majteczki za bilion lirów. Ujęła całą garść przerośniętej tkanki swych ud i mocno ją ścisnęła, tak iż skóra się zmarszczyła.

– Widzisz? – zapytała i zaczęła rozpinąć bluzkę.

Raz jeszcze rozejrzałem się wokół. Jeden z tatuśków wysunął zza framugi głowę. Głowa uśmiechnęła się, po czym wycofała. Kloszardki wpatrywały się nadal, lecz teraz wiało już od nich mrozem. Jeden z dzieciaków uderzał mnie łapą po udach, jak gdyby chciał, żebym skierował uwagę na kobietę na welwetowym tronie.

Przykuwając mój wzrok, Caduta rozchyliła falbanki bluzki. Oswobodziła zapinkę nad centralnym punktem wąwozu ciężkawego biustonosza.

– Chodź, John – szepnęła.

Wstałem, przybliżyłem się, uklękłem. Przycisnęła mi twarz do serca. Odczuwałem burzliwe poruszenia gdzieś głęboko w jej zwalistej doczesności.

– Nie miałeś nigdy matki, John, no, przyznaj się.

Mój głos był przytłumiony; to, co odpowiedziałem, brzmiało:

– Tak. Nigdy jej nie miałem.

Według ostatnich ustaleń mam w głowie aż cztery odrębne głosy. Więc przede wszystkim słyszałem szwargot szmalu, co graficznie można by przedstawić w formie

tego śmiecia, jaki można znaleźć na klawiszach maszyny do pisania – £% ¼@=&\$! – sum, różnic, procentów, składanych lęków i chciwości. Następuje po tym głos pornografii. Brzmi często jak raperska wyliczanka zamroczonego disc-jockeya: gdy się porusza, z pewnością mnie rusza, nic mnie tak nie wyzwała, jak dobry utrwalacz – więc liź loda, liź i cipkę otwórz tyż... I tak dalej. (Jednym z pomniejszych głosów tego pornograficznego oratorium mojej lepetyny jest głos opętanego czarnego trampa czy niedorozwiniętego przygłupa, który błąka się po obrzeżach Times Square, tu, w Nowym Jorku. Niezrozumiały, lecz obrzydliwie lubieżny, ten bełkotliwy monolog leci mniej więcej tak: msze cie słać serszne dupcie dasz ci serszne słodkom dupcie cip dupcie cip. Sporo takiego właśnie rzepolenia słyszę w mojej nieszczęsnej głowie). Trzeci, to z kolei głos starzenia się i zużywania, głos podróży poprzez czas i pędzących na złamanie karku dni, coraz to bardziej słabnący głos urażonej dumy, posępnej nudy i daremnych utyskiwań i protestów...

Natomiast głos czwarty to prawdziwy gbur i nachał. Nie chcę żadnego z tych głosów, lecz ten to już się wepchał na chama. Wtarabanił się jako ostatni. Ale coś wspólnego z porzucaniem pracy i koniecznością myślenia o sprawach, o których nigdy jeszcze nie myślałem. Ma nieprzyjemny posmak paranoi, barwę wściekłości i rozmamłania: werbalizuje się w paroksyzmie jasności, w pijackim bełkocie przetransponowanym w trzeźwość. A w telewizorni wciąż lecą na okrągło te historyczne reklamy czy pierdolone smuty dzienników... Tak, wszystkie moje głosy pochodzą definitywnie z zewnątrz. Ach, gdybym to mógł wypłukać je ze łba jak w kiblu. To tak jak z wampirami; wpiersz je zaprosić, ale gdy tylko dasz im trochę miejsca w swojej mózgownicy, poczują się jak u siebie w domu i nie zdradzają najmniejszej ochoty, żeby sobie wreszcie pójść. Nie wpuszczajcie ich za Boga, tych wpraszałskich chamów. Nie wpuszczajcie ich w życie, żeby nie wiem co.

No a co tam z Cadutą?

Uważajcie, jeśli myślicie, że zachowywała się dziwnie, to wpiersz powinniście byli zobaczyć mnie. Miałem nieprawdopodobny atak płaczu. W ślad za mną poszła Caduta. I dwa dzieciaki.

I jedna śmietnikowa babcia. A po chwili nadciągnęli tatusie. I wszyscy promienili i płakali, taki to był wzruszający widok, takie bogactwo ludzkiego uczucia. Była to lipa i gówno – widziałem wszystko jasno. Czysty kicz. Lecz czegoż innego możecie się po mnie spodziewać? Zdarzają mi się teraz chwile, kiedy odczuwam takie pragnienie ciepła, że byle przepis użycia tabletek od bólu głowy lub głupiej witaminy („Przy

pierwszych oznakach przeziębienia niezwłocznie...”) może sprawić, że ściska mnie w gardle i staram się być dzielny. Na pewno doceniłem urok twarzy Caduty, przytulonej do mojej piersi. Obwąchiwałem tę głowę, przebierałem palcami we włosach. Trwało to z dziesięć minut – zaliczyłem niemało całusów i kilka dobrych kuksańców. Nie było w tym żadnego seksu. Nigdy nie ośmieliłbym się dobierać do Caduty – nie, do Caduty nigdy – a gdyby komukolwiek z was przyszedł ten pomysł do głowy, spuściłbym mu niezłe manto. Wciąż huczał we mnie natłok wrażeń, obezwładniało mnie uczucie – choć dotarłem już do hotelu. Pożegnalne słowa Caduty – wypowiedziała je jak matka czy narzeczona, wysyłająca ukochanego na wojnę; gonіły odjeżdżającą taksówkę – brzmiały rozdzierająco:

– Broń mnie, John, broń! Bądź moim obrońcą!

Wiedziałem, co to znaczy. Chwyciłem za telefon i zadzwoniłem do Lorne’a Guylanda, wprost kipiąc z oburzenia.

– Słuchaj no, Lorne – zacząłem, gdy tylko jakaś szara myszka połączyła mnie z wielkim człowiekiem – miałem właśnie spotkanie z Cadutą Massi. Te sceny, o których jej napomykałeś... ona wcale nie chce się rozbiierać i chce ci powiedzieć, chce ci tylko...

– CO TO MA ZNACZYĆ, ŻE NIE CHCE SIĘ ROZBIERAC! JEST TYLKO PIEPRZONĄ TELEWIZYJNĄ AKTORECZKĄ! SAM ZEDRĘ JEJ PIEPRZONE CIUCHY!

Trzymałem słuchawkę na wyciągnięcie ręki i tylko się w nią wpatrywałem. Tym, co zaimponowało mi najbardziej, była natychmiastowość, z jaką Lorne wpadł w szal. Natychmiastowość do entej potęgi: uruchomiła szal, zanim jeszcze Lorne usłyszał wiadomość. Sam zawsze byłem artystą krótkich spieć – lecz nawet ja potrzebuję nieco dłuższego czasu. Upłynie kilka sekund, nim rozpoznam IMPULS. Lecz dla niektórych, co oczywiste, każdy impuls jest właśnie tym impulsem. Dla niektórych pierwsza kropla będzie zawsze tą kroplą, która przepelni czarę.

– Lorne, Lorne – wołałem – znieś to z pogodą ducha. Posłuchaj, nie ma przecież w scenariuszu żadnych scen rozbiieranych, w każdym razie nie z Cadutą. Z Butch Beausoleil proszę bardzo, ile tylko chcecie. Ale z Cadutą... ona...

– Jaki scenariusz? Nikt nie pokazywał mi żadnego pierdolonego scenariusza!

– Doris Arthur wciąż nad nim pracuje, Lorne. Lecz myślę, że mogę powiedzieć, że nie będzie rozbiieranych scen z tobą i Cadutą. Półrozbiierane... być może. Ale nie do rosołu. I to jest ostateczne.

Podczas gdy Lorne mówił, odprężyłem się szklaneczką bezcłowej. Jego szal już się wypalił. Zaczął nad sobą panować. Był teraz po prostu niewiarygodnie wściekły.

Nawijał:

– Ostateczne? Ostateczne! Chłopie, widać, że z ciebie nowicjusz. A teraz uważnie posłuchaj, ty klocek gówna. Tu mówi Lorne Guyland, chłopiasiu. Tak, dobrze słyszysz, to ja. Ja! I muszę w tej roli być facetem z jajami. A wy... wy nie potrzebujecie mnie. Czemu nie weźmiecie jakiegoś starego pierdziela, takiego Casha Jonesa? – Lorne zaśmiał się szyderczo. – Nie wiem, po co to mówię. Uwielbiam Casha. Jesteśmy z Cashem starą wiarą, to jeden z moich najstarszych, najbliższych druhów. To mój drogi przyjaciel, John. Bliski i drogi. – Na chwilę przerwał. – Tak, ale jak bierzesz do filmu Lorne’a Guylanda, to musisz dać mu pograć, musi mieć rolę z jajem, musi rozwinąć skrzydła, musi mieć coś dużego – człowieka, dajże mu zagrać! Widziałeś mnie przecież w Pookie, John. Więc cieszę się, że zadzwoniłeś – ciągnął ni w pięć, ni w dziewięć – bo chcę ci powiedzieć o świeżym pomysłe, jaki mi przyszedł do głowy. Jak wiesz, nie jestem pisarzem. Pisałem oczywiście różne scenki, kawałki, i tak naprawdę... to znaczy... bo rzecz polega na tym. Ten młody typek, okej? Nie mam pojęcia, jakiego obsadziliście tu pieprzonego fagasa, i mam to w ogóle głęboko, ale jest taka scena, kiedy staczamy walkę, nie?

– Tak, on jest twoim synem, zgadza się.

– A w szkicu scenariusza, John, napisane jest, że on zwycięża.

– Zgadza się.

– A wiesz, nie wydaje mi się to dramaturgicznie przekonujące, John.

– Dlaczego?

– Bo sugeruje widowni, że jest silniejszy ode mnie.

– Zgadza się. To logiczne. On przecież ma dwadzieścia lat, a ty – ty jesteś dojrzałym mężczyzną.

– A ja widziałem tego gówniarza, z którym robiliście próby. Przecież to punk! Rozszarpałbym pierdolonego gnoja na drobne kawałki, i to spokojnie, gołymi rękami!

– Lecz ludzie nie wiedzą, że łatwo byś sobie poradził. Dla nich on musi wygrać, bo jest czterdzieści lat młodszy. Tak, Lorne.

– Rozumiem. Uważasz, że skoro nie jestem młody jak on, on musi być silniejszy ode mnie! Brednie! Gówno prawda!

– Ja tak nie uważam, Lorne. Ale wszyscy inni...

– Okej, w porządku. Jestem rozsądnym człowiekiem, John. Więc zrobmy tak, jak chcesz. A przy okazji, cała ta scena ma być bez ciuchów, jesteśmy wszyscy bez ciuchów, i to już ostateczne. Z tego nie ustąpię, John. Nie wyrzucę pomysłu w błoto. I teraz. Różną Cadutę, tak? To znaczy różną ją na serio. Ta kobieta... Nie. Zaraz. Poczekaj.

To Butch. Właśnie zerżnąłem Cadutę, a teraz rżnę Butch, zgoda? To znaczy rżnę ją naprawdę. Dziewczyna zalewa się łzami, nie panuje nad sobą. Jest w stanie hysterii, John. I wtedy wchodzi ten młody aktorek – też na golasa – i ma być to decydujące starcie. A ja wyskakuję z łóżka, jak mnie Bozia stworzyła, i rozszarpuję pierdolonego szczyła na strzępy. Prawie że już typasa ukatrupiłem, kiedy Butch, też z gołą dupcią, zaczyna się wydzierać: „Lorne! Lorne, koteczku! Złotko, co ty wyprawiasz! Mój ty najdroższy, błagam cię, przestań, przestań!” Wtedy zdaję sobie sprawę, że... to znaczy, to zwierzę, które się we mnie zagnieździło... bo wiesz, John, żyjemy w strasznym świecie, to jest naprawdę szaleńczy i straszny... świat, John. Więc Butch i Caduta wreszcie mnie wyprowadzają. Mam łzy w oczach na myśl o tym, co zrobiłem temu biednemu dzieciakowi. A tymczasem ten punkowy gnój zakrada się od tyłu i dzielią mnie po głowie lewarkiem. John? No i co ty na to?

– Lorne? Wiesz, zobaczymy...

– Nie, nie! Nie zobaczymy. To ty zobaczysz! Tak, zobaczysz!

I trzask słuchawki.

Odłożyłem słuchawkę i spojrzałem na swoje kolana. Miałem na nich teczkę z przezroczystego plastiku, zawierającą dossier Guylanda przeznaczone dla prasy – na pierwszym arkuszu nagryzmoliłem jego numer telefonu. Rzucając na tę stronicę okiem zobaczyłem, że Lorne, przez te lata w filmie lub na scenie, zdołał już wcielić się w postaci takie, jak Dżyngis Chan, Al Capone, Marco Polo, Huckleberry Finn, Karol Wielki, Paul Revere, Erazm z Rotterdamu, Wyatt Earp, Wolter, Sky Masterson, Einstein, Jack Kennedy, Rembrandt, Babe Ruth, Oliver Cromwell, Amerigo Vespucci, Zorro, Darwin, Sitting Bull, Freud, Napoleon, Spiderman, Makbet, Melville, Machiavelli, Michał Anioł, Matuzalem, Mozart, Merlin, Marks, Mars, Mojżesz i Jezus Chrystus. To prawda, że nie miałem dokładnych danych o każdym z wymienionych tu pacjentów, ale można śmiało przypuszczać, że wszyscy to grube ryby. Więc może nie ma co się tak dziwić, że Lorne miał prawo nabyć o swojej osobie nieco wygórowane mniemanie.

Jezu, co za długi dzień. Chryste! I co za dzień. Wiecie, którą już mamy godzinę? (To znaczy moją godzinę). No? Czwartą po południu. I wiesz, gdybyś tu teraz była, siostruniu, matuniu, córuniu, kochanuniu (siostrzeniczko, cioteczko, babuniu), to może byśmy sobie tak łacinie usiedli i pogadali i przytulili się do siebie czule – nie, nie, żadnego świntuszenia. Sama tylko czułość. A może pozwoliłabyś mi zagłębić moją wielgachną facjatę w ten twój niebiański obszar pomiędzy łopatkami. Wierz mi, nic więcej nie mam na myśli. Bo wiem, że jesteś istotą czystą. Niewinną i nieskalaną. Nie pijesz, nie palisz,

nie walisz się tu i tam – i nie na okrągło, mogę się założyć. Prawda, że się nie mylę? To dlatego tak ciebie kocham... A tymczasem, jak sobie wykoncypowałem, miałem sześć realnych możliwości. Mogłem z miejsca walnąć w kimono, zażywszy parę Serafimów i splukując je kapką scotcha. Albo mogłem powrócić na „Wyspy Szczęśliwe” i zobaczyć, co też porabia moja mała Moby. Mogłem zadzwonić do Doris Arthur. Mogłem zajrzeć na live show za rogiem, na tej kurewskiej Siódmej Alei. Mogłem wyjść i uchlać się na amen. I mogłem zostać i uchlać się na amen.

W końcu zostałem. Zalałem się w beton. Kłopot polega na tym, że wpiery wykorzystalem wszystkie pozostałe opcje. Czasami mam wrażenie, że życie mija obok, i to bynajmniej nie tak sobie powoli, lecz w zawijasach dymu, puszczając iskry spod kół i grmiąc zachryplę czy to siłą, czy grozą. Życie mija, ale to ja muszę się namachać. Nie jestem stacją, nie jestem przystankiem: jestem pociągami. Tak, to ja jestem pociągami.

– Uświadom mnie o jej cyckach, Slick. Powiedz mi o nich wszystko, i to w najniewiarygodniejszych szczegółach.

– Nie da rady. Zejdźmy z tematu, stary. To bardzo osobista sprawa pomiędzy mną a Cadutą. Niczego nie powiem. Mam usta zalakowane.

– Wiesz, ma podobne gniazdko w Rzymie, a także w Paryżu, taki Chrystusowy złóbek, gdzie raz do roku jedzie pokrólować. To dla tych rodzin słodki interes. Jedyna ich troska to schować na czas jej pobytu mamusie i tak ustawić psychicznie dzieciaki, żeby brały Cadutę za rodzaj matczynego superłona. No to powiedz mi co nieco o jej cycuszkach, Slick. Założę się, że ma większe niż, powiedzmy, Doris Arthur?

Kto nie ma? – pomyślałem z czułością. Szliśmy dalej. Była to Amsterdam Avenue, mijaliśmy powoli przecznice. Oto Osiemdziesiąta Siódma. I Osiemdziesiąta Ósma. Starając się nie narzucać, nasz autocrat trzymał stałą odległość jednej przecznicy. Szliśmy na północ. Górna Zachodnia Strona nie była mi dotąd znana, lecz mimo to coś mi przypominała. Przypominała mi, że przez ostatnie dwa tygodnie mój ruchomy ząbek był podejrzenie spokojny... Podczas naszego obiadku, mięsożernego aż do obłędu, jaki spożyliśmy w argentyńskiej knajpce na Osiemdziesiątej Drugiej Ulicy, mój przyjaciel Fielding dodał mi wiele otuchy w sprawie Lorne'a i Caduty. Wszelkie konflikty, tłumaczył, znikną jak ręką odjął w chwili, w której dostaniemy scenariusz. Gwiazdki filmowe miały zwyczaj obsrywać ci gice w ten brzydki sposób aż do chwili, gdy pojawi się skrypt. Wtedy zapominają o kwestiach obsady czy charakteryzacji, i kierują swoje obsesje ku takim sprawom jak długość roli, czas przed kamerą czy ilość zbliżeń. Doris Arthur była z powrotem w Stanach, nie odrywała się od maszyny w

wynajętym domku na Long Island. Z czułością wyobrażałem sobie Doris pośród jej pracowitych pedałów i leniwych lesb, odzianą w czapę z szopa i robocze drelichy, jak uruchamia wodną pompę albo naprawia dach – z półtuzinem gwoździ i paroma fajkami z korzenia wrzośca w jej słodkich jak syrop ustach. Od pierwszej wersji scenariusza, według zapewnień Fieldinga, dzieliły nas zaledwie trzy tygodnie.

– Gdzie my właściwie idziemy? Po diabła tyle drałować?

– Mamy słoneczne popołudnie, John. Więc trochę sobie zwiedzamy. Powiedz. Jak ci się spodobała Doris? Fizycznie, rzecz jasna – dodał, mrużąc przy tym oczy z tak lukrowatym roztkliwieniem, że zwoleńłem kroku i zapytałem:

– Byłeś tam, co? Przyznaj się, chłopie. No, to jaka jest?

– Posłuchaj. Ty mi opowiesz o cyckach Caduty, a ja opowiem ci wszystko, co można powiedzieć na temat Doris w betach. Umowa stoi?

– Wiesz, że są duże i nisko zawieszona, to pewne, lecz przede wszystkim są jak puchowe poduchy i bardzo ciężkie. Podpierają je żebra, to jasne, lecz te cyce dranie spuszczały się jeszcze niżej. Niemniej jednak są jędrne, nabite i...

– Dobra, mam już pewien obraz, Slick. Nie przydadzą się na wiele. Myślałem, że może je poprawiła. Widzę, jak ostro główkujesz: bo na cóż nam ta starsza matula wsparta na rusztowaniu. Potrzeba nam autentyku. Tylko że gwiazdy nigdy nie będą prawdziwe. Rzeczywistość, autentyk, to nie ich domena, John. Sam się o tym przekonasz.

– W porządku. A teraz Doris. Słucham.

– Obawiam się, że wyprowadziłem cię w pole. Wiem o Doris wszystko, ale w sumie nie daje to nic. Bo Doris to lesba, Slick.

Aż się zatrzymałem i strzeliłem palcami.

– To w tym cała rzecz. Jezu, wiedziałem, że coś musi być. To suka...

– Podejrzewałeś?

– Oczywiście. A ty nie?

– Nie. Ja od razu wiedziałem. Z opowiadań.

– Jakich opowiadań? Powiedz mi chociaż o tym.

– Z jej opowiadań, John. Styl ironiczny i wyniosły, pamiętasz?

– Ach, to.

Nagle dotarło do mnie, gdzie my właściwie jesteśmy, a ulica pociemniała pomimo słońca, orzeźwiającego jak pomarańcza powietrza i niewinnego, przykrywającego wszystko błękitu. Trzy przecznice wcześniej mieliśmy u wejścia baldachy i portierów-strażników w liberii; roztaczały się perspektywy eleganckich kamienic z piaskowca. Teraz uliczki były już prawie że bez samochodów i w ogóle bez ładu i

składu. Żonglowaliśmy pośród walającej się po chodniku pianki z rozbebeszonych materaców czy pokiereszowanych walizek ciśniętych z rozdziawioną gębą w rynsztok; dostrzegaliśmy ciemne, samotne profile za oknami i porzewiałą siatką – była to kraina biedy, zimnej wody, własnych nóg. Było to nagłe, niespodziewane rozszczepienie, czuło się całkowity brak porozumienia, jakiegokolwiek kontaktu – oprócz tej nienawiści do forsy, tej wściekłości, która rodzi się na styku bogactwa i nędzy, dwóch stron ostrego noża... Zauważyłem tę nędzę, a ona zauważyła mnie. I także wyczułem – niepotrzebnie, bezsensownie, z domieszką perwersji – że razem z Fieldingiem wyglądamy chyba cholernie pedasko, on w swoich adidasach, lejącym się, jaskrawoczerwonym poliestrowym dresie, i ja, w biznesowym ubranku typu ostry samiec, cieniutkich jedwabnych skarpetkach i dumnie zaokrąglonych mokasynach. Nawet zatwardziali manhattańscy pedryle (jak sobie wyobrażałem) spoglądali na nas z troską ze swoich gniazdek, mansard i garsonier: że my jesteśmy występnii, to sam Bóg już dobrze wie, ale ci dwaj cudaczni facie? Przewelują całą dzielnicę.

– Hej, bracia czarnuchy!

Dziewięćdziesiąta Ósma Ulica. Odwróciłem głowę. Dwóch czarnych typasów z wielkim brytanem na smyczy.

– Wypluń, gancio, te gówniane smuty. Wiesz, myślę, że mój piesek zaraz dziabnie w dupską tych białych palantów.

– Fielding szepnąłem spięty. – Myślisz, że to ma być dowcip? Spieprzajmy do samochodu. Tu jest kurewska harcownia.

– Spokojnie przed siebie, Slick, nie opuszczaj głowy. Udawaj, że nic się nie dzieje.

Pomylił się. Fielding się pomylił. Bo coś się jednak działo, to pewne. Gdy tak jak ja poznałeś już niejedną awanturkę, masz zmysły wyostrzone na tyle, że poznasz taki gipsik, którego nie można po prostu ominąć, z którego nie możesz się tak łatwo zmyć. Wiesz, kiedy nie sposób nie dać satysfakcji. Niecałą przecznicę dalej te drobne odpryski kolorów niższych kast zaczęły się zlepiać w całkiem już pokaźną grupkę o wyglądzie bokserskiej rękawicy. Przed oczami miałem jaskrawe T-shirty, bicepsy, parodniowy zarost. Ci ludzie nie mieli nam niczego do powiedzenia, prócz tego, że jesteśmy biali i mamy forszę. I może mówili jeszcze: nie będziecie zwiedzać sobie jak turyści slumsów, nie tu, w Nowym Jorku. Nie będzie tu turystyki slumsów, bo to zakłada, że te slumsy nie są prawdziwe. A są prawdziwe, aż nadto. I to nam ci ludzie pokażą. Kierowałem się instynktem bądź nawykiem, wyszukiwałem słabości w okrażającym nas łańcuchu. Unikaj lewej strony. Pozostań na chodniku – patrz, tam jest tylko ten słabowity chłopak. Rzuć się w ten słaby punkt z zaciśniętymi pięściami i leć jak wariat na to

zielone wzgórze przed tobą. Łypnąłem w obie strony. Fielding uniósł prawą rękę, był to znak dla szofera w autocracie, ale spojrzenie i równy krok wskazywały na pewność siebie. Samochód ruszył ku nam żwawo, lecz zaraz spuścił z tonu i niuchał jak pies na tropie. Fielding zwolnił kroku. Uczynił zawyły gest, jak gdyby się tłumaczył, jak gdyby się całkowicie odsłaniał. I nic się nie stało. Zrobiono nam drogę i przeszliśmy bez problemu.

– Kolumbia, Slick, albo Chicago, Los Angeles, wszędzie w Ameryce ośrodki zaawansowanej nauki otoczone są najgorszymi, największymi, najtragiczniejszymi i najbardziej zapuszczonymi slumsami w cywilizowanym świecie. Wydaje się to bardzo amerykańskie. A co to oznacza? Jaką wyraża treść? O, popatrz, John, mamy tu naprawdę wspaniały widok Harlemu.

Lecz oto Kolumbia. Zlustrowałem jej pejzaż.

Te dumne budyneczki z kolumnami, z wysoko podniesioną głową: ta męska, dumnie wyprężona pierś, te nawarstwione słoje kulturalnej spuścizny. Miejsce to nie miało mi do powiedzenia nic, czego bym jeszcze nie wiedział. Z ręką Fieldinga na ramieniu zbliżyłem się do stromego parapetu. Oparliśmy się na balustradzie i spojrzeliśmy w dół poprzez bezładną płataninę wykrzywionych we wszystkie strony drzew, którym poprzetrącano karki, gdy podjęły ostateczną próbę, żeby wspiąć się na wysokie urwisko. Poniżej roztaczały się kilometry kwadratowe Harlemu numer dwa – tej innej, ukrytej części młodego Manhattanu.

– Co się właściwie stało? – spytałem, zapalając następnego papierosa, nie spuściwszy jeszcze paliwa walki, wciąż czując usilną pracę pobudzonych gruczołów.

– To ten samochód, tylko to.

– Czy nasz goryl miał ich na muszce? Nie zauważyłem.

– No nie. Miał splot w pogotowiu, to na pewno. Tylko co z tego? Samochód był dobry na minutkę lub dwie. Wystarczyło.

Chyba zrozumiałem. Autocrat, szofer, goryl: to ukazało przepaść, magiczny dystans. A jaki gest uczynił tak naprawdę Fielding? Jedną dłoń położył na sercu, a drugą wskazał uprzejmie na samochód, jak gdyby mówiąc:

– Oto właśnie forsa. Czy państwo się już poznali? – Następnie złożył dłonie w geście modlitwy, a wzrok skierował do góry – był to dowód szczerości jego uczuć. A tłumek zaczął się cofać w ten pośpieszny, bezładny, nabożnie niezborny sposób, podobnie jak przystaje uliczny ruch, żeby przepuścić karetkę lub królewską kawalkadę. Zapytałem:

– I po co to wszystko?

– Bo trzeba co nieco zwiedzić. Poznać lokalny koloryt. Samochód jest twój, Slick. Ja wracam do domciu biegiem.

Podążałem za nim wzrokiem, jak biegł z głową uniesioną do góry przez jakieś pierwsze dwadzieścia metrów, żeby ułatwić pobór tlenu, a następnie nisko ją pochylił, odmierzając tempo. Odwróciłem się i spojrzałem na opadające w dół, zwężające się ostrza ulic i przysadziste budowle, i raz jeden napięcie w moich uszach odnalazło właściwą nutę, właściwą melodię. W rytm cichej muzyczki przecucia moje oczy taksowały Harlem, jak gdyby tam, pośród fabrycznych kominów i płomieni gniewu, czyhało na mnie nieszczęście, szczególnie rodzaj nieszczęścia, czekając na moment narodzin, gdy zbudzi się wolność lub siła.

Jest tylko jedno Ziemskie Żyjątko, które naprawdę obchodzi mój los. Ta jedna ludzka istota sumiennie idzie mym śladem, nie traci mnie z pola widzenia, co chwila do mnie wydzwaniana. Wyłącznie ona, nikt inny. Selina jest zawsze nieosiągalna. A reszta – to tylko szmal. Waluta to jedyna sprawa, jaka może nas łączyć. Banknoty dolarowe czy funtowe – to wszystko listy pożegnalne, listy samobójców. Forsa – to przecież list pożegnalny. No a ten facet także mówi o forsie, lecz zainteresowania ma bardziej osobiste. Jego zainteresowania są bardzo osobiste.

– Nie myślisz o nich wcale – tak ci na przykład powie. – W ogóle o nich nie myślisz. Idziesz oglądać sobie slumsy, ale nie myślisz nigdy o innych.

– O jakich innych? – pytam. – O was, biedocie?

– Posłuchaj. Kradłem jedzenie z głodu, żeby po prostu przeżyć. Można to robić przez tydzień. Po miesiącu zaczynasz odpowiednio wyglądać. Wyglądasz jak taki facet, który musi kraść, żeby przeżyć. I to już koniec. Po wszystkim. Już nie uda ci się dalej kraść żarcia. Dlaczego? Bo w chwili, w której wejdiesz do sklepu, zorientują się, że nie masz grosza. I nawet nie pamiętasz, że kiedykolwiek go miałeś. Pomyśl!

– Brzmi to niewesoło. Jeszcze jeden dowód, że być takim biedakiem to wyjątkowe cymbalstwo. Słuchaj, wszystko już dobrze znam. To dla mnie nic nowego. Całe życie słyszę takie teksty.

– I jesteś biedakiem. Wciąż jesteś biedakiem.

– Mylisz się. Mam całe worki szmalu i zakoszę jeszcze dużo więcej. Za to ty, ty sprawiasz wrażenie, jakbyś przedł trochę cienko.

Frank telefoniarz okazuje się być nie tylko ekspertem finansowym czy nawet ekspertem od finansowej bryndzy. Nawija też niemało w temacie cipeczek. Ot, na przykład:

– Bierzesz taką babkę i używasz, ile wlezie. A potem wyrzucasz na śmietnik jak nie dojedzoną sałatkę.

– I znów pomyłka. Próbowałem takich numerów nie raz – ale żadna się na to nie godzi.

– Kobiety to dla ciebie tylko pornografia.

– Słuchaj no, stary, mam teraz coś w rodzaju randki. Kupa bogatych i pięknych ludzi właśnie na mnie czeka – w samym sercu miasta.

– Pewnego dnia się spotkamy.

– Naprawdę się na to cieszę... Okej, Frank, to do zobaczenia w niedalekiej przyszłości.

Przybyłem na Ulicę Bankową dokładnie o ósmej, w ostatnich blaskach dziennego światła. Niebo nad głową wciąż jeszcze iskrzyło poświatą zachodzącego słońca, ale tam, w górze, różowość i błękit przykrywała cienka gaza zieleni; wieczorna miejska chandra przybierała odcień owocu avocado... Wbiłem się w najlepsze ubranie – ciemnoszare w cieniutkie kredowe prążki. W dodatku szpanowałem szerokim srebrzystym krawatem, zawiązanym w piersiasty węzeł a la księżę Windsoru. Jesteśmy w West Village, gdzie ulice mają nazwy.

Ulica Bankowa przypomina zdrowy kęs sentymentalnego Londynu: czarne żeliwne sztachety i bladawe kwiecie opasują wstydlivy piaskowiec, a w powietrzu nocy czuje się ostrożny powiew listków i gałązek. Idąc ulicą przypatrywałem się czarnemu chłopakowi, elastycznemu jak guma, w wieku mojego Felixa (a może trochę starszego), jak sunął miękkimi ruchami wraz ze swoją ładniutką przyjaciółką. Tak od niechcenia wyciągnął rękę i zerwał kwiat z gałęzi drzewa w jednym z frontowych ogrodów. Podał różowe kwiecie swej kotce, lecz ta zakręciła nim na łożycie przed rozjaśnioną na moment twarzą, po czym upuściła go na ziemię.

– Hej – zawołał chłopak – hej, nie podobała ci się moja sztuczka? Taka fajowa sztuczka z tym kwiatkiem! Po co go wyrzuciłaś? Dziwka!

Poszedł szybko przed siebie: sprężyna jego ciała straciła już swą elastyczność, ramiona posepnie zeszywniały. Dziewczyna została w tyle; przykucnęła, żeby pozbierać resztki zniszczonego kwiecia, z zagłębień sukienki wyłuskiwała martwe płatki.

Musiałem ukatrupić jeszcze pół godziny, tak w każdym razie obliczyłem. Skręcając kilkakrotnie w prawo, znalazłem się w dolnych partiach ósmej Alei – dzielnicy średnio ubogiej, takie odniosłem wrażenie. „Szpital Bucika”, restauracja „Od Kuby do Azji” (szybkie obiady), klub „Agonii i Ekstazy”, „Postrzeganie Pozazmysłowe” –

odczytywanie i doradztwo, „U Mike’a – Świat Roweru”, a także monopol, trawka i panienki. Czy uchwyty chodnikowych kratki rzeczywiście mają wyglądać jak podbicia ogromnych stóp? Młodzi ludzie grający w szachy na dachach zaparkowanych aut. Wyblakły tatuaż na bladym starym ramieniu. I znów tu nadchodzą, młodzi i starzy, zdrowie i choroba zmieszane jak amerykańskie apogea bogactwa i nędzy, piękna i kalekiej deformacji, jak manhattańskie skrajności upałów i mrozów. Niektórzy z tych ludzi po prostu się rozpadają. Nie powiem, przydałoby im się ciut doinwestowania, troszeczkę uczłowieczenia. Lecz uwielbiam tę skondensowaną różnorodność.

Tak, bo naprawdę mnie rusza. Po takiej dawce Londyn wydaje się wodnisty i rozrzedzony... Więc zbijam sobie bąki w żółtawym świetle zamkniętych banków, zaryglowanej miejskiej biurokracji i kiepskich, szemranych interesów – na dziś już fajrant, proszę przyjść jutro. Dlaczegoż to banki nie mogą być tak różnorodne i poddane ciągłej improwizacji jak każde inne amerykańskie przedsięwzięcie? Dlaczego nie możemy mieć Świata Banku i Ekstazy? Trudno mi znaleźć odpowiedź, ale czuję się teraz pewniej. Cały dzień nie miałem w ustach kropelki. Nie piłem niczego do lunchu, mimo tej horrendalnej „Niespodzianki z Falklandów” (potrójna porcja rozmaitych mięsów z rusztu, obłożonych stekami), którą nieopatrznie zamówiłem. Dziś wieczór chcę być w szczytowej formie. Wziąłem prysznic i tak dalej, i nie wyglądam chyba najgorzej. Ta wyprawa z Fieldingiem, to safari na górnym Manhattanie – naprawdę mi pomogło. Potrzebowałem czegoś takiego, bo muszę być twardy i silny. Myślicie, że coś mi się we łbie pokićkało, lecz powiem wam tyle, że coś się naprawdę dzieje. Jesteście na bieżąco? Mam okropne uczucie, odkąd poprzednim razem znalazłem się w Nowym Jorku, uczucie – jak by to powiedzieć – uczucie jakichś tajemnych zamiarów. Staram siebie przekonać, że to tylko dawne uwarunkowania, że biedny chłopiec odczuwa lęk przed sukcesem. Nie chodzi tu o film. Z filmem jest wszystko w porządku. I wszystko w swoim czasie nastąpi. Lecz coś innego nie jest w porządku, coś znacznie poważniejszego. Poważniejszego od tego, co wyprawia ze mną Frank telefoniarz. Poważniejszego niż to, co robię sobie samemu... Odwracając się od wystawowej szyby – dlaczego musi być zawsze w ten sposób? – stanąłem naprzeciw dwumetrowej chyba baby, o rudych włosach, w cudacznym kapeluszu z kutasikami i woalką, opadającą falbankami na podbródek. Jej narzucająca się obecność była nieprzypadkowa, wyzywająca: miałem wrażenie, że czuję na szyi falowanie jej oddechu.

– Tak? – zapytałem.

Lecz ona tylko stała w miejscu, przypatrując mi się przez swoją maskę... Zaraz, gdzie to już widziałem tę rąbniętą sukę? No i patrzcie, znów się nawinęła. Gdzieś...

gdzieś już ją widziałem.

Wracalem przez pedalską dzielnicę wokół Christopher Street. Musnałem też krainę lesbijek – dwie wielgachne cipule odpędziły mnie od ich spowitego w purpurę sanktuarium. A potem trafiłem w miejsce, gdzie nad wejściem migotał wielki nagłówek: „Bar Samotnych Serc”, i nikt nie próbował mnie stamtąd przepędzić... Otóż czytałem o tych wylęgarniach trypla w pisemkach takich jak „Męty” czy „Miazmat” – oba z nich przybierały ton besserwiskersko-apodyktyczny. Fama głosi, że rok czy dwa lata temu lokaliki te pękały w szwach od stewardes, modelek i ambitnych kobiet pracujących: wystarczyło pięć minut, parę słabiutkich piw, i już znajdowałeś się w hotelowym pokoju albo służbowym mieszkanku, a cizia wyprawiała harce. Nic z tych rzeczy! – autorytatywnie stwierdzają „Męty”.

Może było tak przez chwilę, twierdzą „Męty”, lecz już po kilku tygodniach nadciągnęły tabuny prowincjonalnych wypierdków i cała zabawa się skończyła. Eleganckie cipki zniknęły. „Miazmat” wysłał nawet ekipę kontaktowych samców-reporterów na służbowe polowanko, ale żadnemu nie udało się czegokolwiek ustrzelić... No cóż, miejsce wyglądało całkiem nie najgorzej, a jedynym minusem był brak jakichkolwiek dziewczetek. Musiały biedaczki pouciekać do lesbijskich barów i gejowskich dyskotek. Więc przyłączyłem się do zasiadających przy barze milczących samotników i zabrałem się do pracy nad koktajlem Sidecar. Ósma dwadzieścia: wciąż jeszcze bez objawów. Twoje zdrowie, Martina, powtarzałem w duchu, a na cynkowym blacie rozprostowałem dwudziestkę.

Czy pamiętacie Martinę, Martinę Twain? No nie, nie powiecie mi, żeście już zapomnieli. Coś kiepskawo z pamięcią, koleś. Siostrunia – nawaliła pamięć komputerka? Musicie ją przecież pamiętać. Bo ja pamiętam na pewno, nie ma obawy. Jesteśmy kumplami od wieków. Tyle że z Martiną... z Martiną sprawa jest taka, że nie potrafię znaleźć odpowiedniego głosu i tonu, żeby ją przywołać. Głosy szmalu, wódy i pornografii (całej tej materii poza kontrolą) zdają się w ogóle na nic. Gdy o niej myślę, wszystko zaczyna się we mnie w cichości burzyć – czuję się podobnie, gdy jestem w Zurychu, Frankfurtzie czy Paryżu, a ichni tubylcy nie kumają mojej gadki. Język harcu je mi w gębie poszukując dźwigni czy matryc, których po prostu tam nie ma. Wtedy zaczynam krzyczeć... Pomyślcie o tych ludziach, z którymi od lat przestaję – o tych fryzjerach, modelach, aktorach, producentach, wygrzewaczach tyłków, niuchaczach właściwych wiatrów, uginaczach kolan, odczytywaczach niemych wskazówek, rozdzielaczach ról, posadek i waluty – ach, i to wszystko pedały, mało

wśród nich heteryków. No i te lesby, żonglujące seksem, czasem i szmałem. Kto tu w ogóle jest normalny, wyprostowany? Bo ja nie, to na pewno. Cały jestem pogięty, oszukany, szczypany i szarpany, i w dodatku wepchnięty w ten mój arcyśmieszny kształt. Życie każdego to tylko gra w szachy, którą trafił szlag przy jakimś siódmym już ruchu, i teraz ta zabawa w fuksy staje się spowolnionym, pełnym zahamowań, pomyłek i niejasności snem sprzecznych dążeń i zamiarów, każdy ruch jest wymuszony i bolesny, a wszystkie pionki i figury poprzybijane do szachownicy, powykrzywiane, w ogóle na przemiał... Ale co pewien czas udaje nam się dojrzeć jakąś postać, która wydaje się iść tropem prawdziwym i właściwym; stanowi wówczas przykład naprawdę straszny. I jest bogaczem, zazwyczaj.

Bo taki na przykład Ossie, angielski mąż Martiny: jest już w tej chwili urządzony na całe życie, lecz on przecież haruje w pieniążkach, robi w czystej walucie. Jego robota nie ma nic, ale to nic wspólnego z czymkolwiek oprócz pieniędzy, z czymkolwiek prócz samej ich treści. Żadnego opieprzania się z akcjami, udziałami, towarem, rozwojem firmy, przyszłością. Tylko i wyłącznie forsa. Siedząc w swoich widmowo-upiornych wieżowcach na Szóstej Alei i Cheapside, jasnowłosy Ossie kupuje i sprzedaje forszę używając jako środka forsy. Dysponując tylko telefonem kupuje forszę za forszę, sprzedaje forszę za forszę. Wykorzystując szczeliny i pęknięcia walut, poluje na obrzeżach, zbiera tłuste połowy z przyływów i odpływów, z codziennych wahnień i niuansów. Za swoje starania nagradzany jest właśnie forszą. Całą górą forsy. Naprawdę piękną forszą; piękną jak on sam.

Z Sidecarów przerzuciłem się na owe stare, dobre koktajle Old Fashioned, na których nie sposób się zawieść. I tak przychodzę za wcześnie na wszelkie prośzone kolacje. Ociągam się, ociągam, lecz nigdy wystarczająco. No, panie barmanie, to jeszcze jedna kolejka. Uczując tak sobie wesoło wyczułem nagle leciutki odgłos, delikatny zapach, świadczące o kobiecej obecności. Odwróciłem się i zobaczyłem, że przy barze dołączyła do mnie dziewczyna. Podekscytowanym głosem zamówiła białe wino. Dla urozmaicenia zamówiłem Manhattan. Nowy Jork obfituje w takie zapierające dech panienki, o tryskającej zdrowiem cerze, zębach jak świeże mleko i tych kragłych cycuszkach, które otrzymują jako należną im oczywistość. Musi w tym być jakiś kruczek. (No i jest. Niemal wszystkie są świrięte. Warto o tym pamiętać). Ta cipka, która teraz zasiadła tuż obok, wygląda jak sama Kleopatra. Nie wiem, skąd to się bierze, ale od razu rozpoznałem w niej arcyłatwą dupulkę, wyrkową artystkę, idolkę naostrzonych ołówków; i tak dalej, i tak dalej... Zawsze je rozpoznam. Spojrzałem na zegarek: ósma trzydzieści – nie, dziewiąta trzydzieści. Hej tam! Czas już się ruszać.

– Postawić ci drinka? – zapytałem.

Twarz jej odprężyla się. Dziewczyna drgnęła, kręcąc przecząco głową.

– Białe wino? – zapytałem.

– Nie, dziękuję.

– Co to za numer z tym „nie, dziękuję”? Czy nie potrafisz czytać? To przecież bar samotnych serc!

– Wypraszam sobie! – powiedziała z wściekłością. – Szefie! Proszę pana! Ten człowiek mnie molestuje.

– I, do cholery, mam rację. – Poklepałem ją po ramieniu. – A czego oczekujesz, mała? To po co tu właściwie przychodzisz? Skosztować kalifornijskiego chablis? Pogapić się na plastikowe kacuszki nad barem?

– No, no, ty. Zamknij się albo zmiataj.

To barman.

– Co to właściwie ma znaczyć? Czy jestem tu jedynym facetem, który potrafi czytać? Widać przecież na zewnątrz: „Bar Samotnych Serc”, wywieszony jest taki neon. Ja jestem właśnie samotny. I ona jest samotna. Więc o co ten cały raban?

– On jest pijany.

Powiedział to jeden z samotnych.

– Zaraz, kto to powiedział?

Zesłizgnąłem się zrećcznie ze stołka. Ten wyczyn wymagał wszak następnego kroku, to znaczy podniesienia się z podłogi.

– Wyżłopał tylko dziesięć koktajli; Jezu, to jeszcze trzeźwiak!

– Bierzcie go... Trzeba... To skurwiel...

Poczułem dłonie chwytające mnie za ramiona, kolano wbijające mi się w plecy i silne szarpnięcie za kudły. No cóż, czas pędził szparko naprzód, i pomyślałem, że sam powinienem się ruszyć.

Piętnaście, a może dwadzieścia minut później stałem wpatrując się w windę w postaci metalowej klatki: prężąca pierś żelazna kratka, harmonijkowe drzwi. Obróciłem się i żwawo ruszyłem do końca korytarza. Zadzwoiłem. Byłem urzęnięty, to prawda, lecz nabierałem właśnie drugiego oddechu. To właśnie typowe dla picia: niektórzy z nas potrafią sobie poradzić, innych ścina to z nóg. Wlećcie we mnie kilka jeszcze szklaneczek, a będę świeżutki jak wiosenny deszcz. Poprawiłem krawat i przyczesalem do tyłu piórka. Zadzwoiłem raz jeszcze – długi, donośny dzwonek. Ktoś zbiegał na dół po drewnianych schodach. Drzwi wessały się do środka.

Przedemną stał Ossie, w kamizelce i białej koszuli. W głębi dojrzałem Martinę, w fartuszkach, z talerzami w rękach.

– Witajcie, dobry człowieku! – zarechotałem zjadliwie. – Namachaliśmy się schodząc na dół...

Ossie zrobił krok do przodu.

– Jest późno – powiedział. Zaciekawiona twarz Martiny wyjrzała zza jego pleców. A Ossie dodał: – Wracaj do domu, John. Po prostu wracaj.

I szybko zatrzasnął drzwi. Co go ugryzło? Ciekawe. Bo z niektórymi... No dobra, zgoda, trochę się może spóźniłem, tylko że... Spojrzałem na zegarek. Była pierwsza piętnaście. I wtedy coś mi się przypomniało. Nie tylko się spóźniłem – również nie wiedziałem, kiedy wyjść.

Zgadza się. Bo przecież byłem na tej kolacji.

I coś mi mówiło, że nie zachowałem się chyba najlepiej.

Dziś są moje urodziny. Mam już trzydzieści pięć lat. Według ostatniej dobrej książki, którą czytałem, oznacza to, że jestem w połowie mojej podróży przez czas, mojej podróży w czasie. Wcale się tego nie czuje – nie czuje się, że minęło pół drogi. Prestiżowe tablice rejestracyjne mojego *fiasco* mają numer UPS 5. Mam umysłowość dzieciaka, ale jestem już starym udziałowcem w tej naszej firmie „Kudły, Kałdun & Kły”. Czuję się, jakbym dopiero wyruszył w drogę. A z drugiej strony czuję, jakbym już właśnie miał kończyć, jakbym był już u końca drogi. Tak to się oto czuje.

Nadszedł ranek, a ja wstałem... Nie brzmi to nazbyt ciekawie ani nie zdaje się trudne; czyżby? Założę się, że robicie się, że robicie to cały czas. Posłuchajcie jednak – bo mam tutaj pewne problemy. O, na przykład: leżę sobie twarzą do ziemi pod jakimś drzewkiem, krzaczkiem czy innymi cholernymi zaroślami na rozmokniętym skrawku ziemi pełnym pokrzyw, zgniecionych pudełek po papierosach, zużytych kondomów i pustych puszek po piwie. Jest to całkiem właściwe miejsce do powtórnych narodzin, bo tak się właśnie czuję. Narodziny sprawiają oczywiście ból: dlatego tak wrzeszczysz i płaczesz. Następnie muszę się dokładnie wymacać, żeby sprawdzić, czy wciąż mam portfel, kończyny, facjatę, małego, no i własną istotę. A potem biegnę płacząc, w porannej mżawce, betonowym wybiegiem, aż moja groza zelżeje i rozpoznam miasto i siebie w tych matowych, przytłumionych snem ulicach. Muszę znaleźć taksówkę i wrzeszcząc wrócić do siebie. Facet nie chce mnie zabrać, dopóki nie pokażę mu forsy. I nie mam

mu tego za złe. Śnią mi się – a komuż potrzebne są sny przy tego rodzaju nocnych przygodach?

– śnią mi się tortury, śmiech, obcęgi szarpiące delikatny rdzeń kręgowy.

W łazience rozebrałem się powoli przed lustrem. Najpierw przyjrzałem się buźce: nad lewym okiem miałem szarą opuchliznę, a moje kudełki były lekko przysmolone – po tej samej zresztą stronie. Bijatyka? Nie sądzę. Bo gdyby tak było, musiałbym przecież zwyciężyć. Ciało było całe na miejscu, dygotało i pojękiwało w tym oświetleniu w sam raz dla projektantów; nie brakowało niczego. Odwróciłem się – i straciłem oddech. Boże... Jezu! Moje plecy, moje wielkie białe plecy upstrzone były trzydziestoma czy czterdziestoma nabrzmiałymi, czerwonymi pęcherzo-dołkami, rozmieszczonymi regularnie, jak gdybym spał na desce fakira. Chwytając obiema dłońmi zapasową oponę sadła, mogłem przyjrzeć się uważnie jednej z tych bezkrwawych ran na moich fałdach tłuszczu. Było to zagłębienie, czerwona dziura: mogłem wsunąć w nią drżący najmniejszy palec na głębokość połowy paznokcia. Cofnąłem się. Nie dostrzegłem żadnych innych szkód. Mój nabrzmiały papierzyskiem portfel był całkiem nie naruszony: karty kredytowe, osiemdziesiąt parę dolarów, trzydzieści parę funtów. Kac miał się świetnie. Mój kac wyszedł z opresji w formie znakomitej.

No tak. A zatem spędziłem noc, a przynajmniej jej część, na jakimś skrawku ziemi w krainie alfabetu – gdzieś przy Alei B, w sercu Wschodniej Strony. Spędziwszy uroczy i pożyteczny wieczór z przyjaciółmi na Ulicy Bankowej, skoczyłem jeszcze – tak to wygląda – na szklaneczkę czy dwie. Fatalny pomysł! Bardzo fatalny! Ktoś, na pewnym etapie, podziabiał mnie jakimś narzędziem, jakimś szpikulcem albo tępym nożem. Koszulę miałem podziurawioną, lecz nie marynarkę – moją ulubioną, najlepszą marynarkę. Była ósma trzydzieści. Przemyłem twarz wodą; miałem uczucie, jakby rozgrzane palce łaskotały mnie w plecy. Przez dziesięć minut rytmicznie, precyzyjnie haftowałem, jak gdybym w środku miał tłok parowy, którego konwulsji nie miałem sił powstrzymać. Następnie, chyba dwukrotnie dłużej siedziałem w drgawkach pod prysznicem, odkręciwszy jego srebrzysty ryj na absolutny fułi, ale i tak niewiele mógł zadziałać, żeby zmyć moją gnijącą rdzę. Muszę być bardzo nieszczęśliwy. Tylko to tłumaczyć może moje zachowanie. Człowieku, muszę być naprawdę w depresji. Muszę być o krok, o pieprzony krok od samobójstwa. I może mi powiesz, dlaczego.

Spójrzcie na moje życie. Wiem dobrze, co myślicie. Myślicie: ma przecież tak cudownie! Absolutnie bombowo! Myślicie: niektórzy to mają fart! No cóż, wygląda to zapewne całkiem nie najgorzej, te bilety samolotowe i restauracje, te taksówki, gwiazdy filmowe, Selina, *fiasco*, forsa. Lecz moje życie to także moja własna, prywatna

kultura – i to właśnie wam pokazuję, w to właśnie was wprowadzam: w moją prywatną cywilizację.

I chcę, chcę naprawdę, żebyście się jej przyjrzeni.

I ocenili jej stan. Nie żyje się w niej przyjemnie.

I dlatego chcę wyrwać się z jej szponów – wyrwać się z tego świata forsy – tylko gdzie? Gdzie? Chcę przedostać się do świata myśli, myśli i fascynacji. Lecz właśnie, jak się tam dostać? Powiedzcie mi – proszę. Samemu nie dam sobie rady. Po prostu nie znam drogi.

Niewiele się działo przez następnych kilka dni, lecz wcale mi to nie przeszkadzało. Nic się nie wydarzyło. Powiedzmy; tak to sobie lekko mówię, a tymczasem moje obolałe plecki – i ja – troszeczkę narozrabialiśmy.

Wraz z moimi obolałymi pleckami ułożyłem oto list do Martiny. Tak, tak – list. Wyszedłem nawet i kupiłem słownik na Szóstej Alei – żeby dopomógł mi w tym przedsięwzięciu. Czy znacie te bóle, te bolesne kace, gdy nie wiadomo, jak pisze się „jestem” czy „jesteś”, nie mówiąc już o „przepraszam” czy „znów”? No więc spłodziłem ten list i zakleiłem kopertę, nakleiłem znaczek i wrzuciłem list do skrzynki: te czynności zajęły mi całutki dzień, ale sprawę w końcu ruszyłem. Przeprosiłem za moje zachowanie (bo wiecie, jak to jest: parę szklaneczek, trochę śmiechu, o już wykraczasz za linię), i zapytałem, czy mógłbym zaprosić ją kiedyś na obiad. Bo w końcu, jak podkreśliłem, lunch jest, jak dotąd, jedyną formą spotkania, jakiej jeszcze nie próbowaliśmy. Drinki, śniadania, kolacje – ale nie lunch. Pisałem, że „całkowicie zrozumiem”, jeśli by chciała uniknąć ewentualnych strat i zakończyć nasze relacje. Sam nie przyjąłbym od siebie zaproszenia na obiad, pisałem, i było to całkiem serio. Jezu, a wy dalibyście się zaprosić?

Razem z obolałymi pleckami piliśmy koktajle z Butch Beausoleil. Nie wspominaliśmy rozróby w „Berkeley”, dzięki Bogu. Butch wyglądała prześlizgnie – tygiel młodości i zdrowia – i była jeszcze, na tym etapie, nad wyraz łagodna. Nie było to pozbawione sensu. Dostaje siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolców. Jedynym jej wymaganiem jest to, że nie będzie wykonywać żadnych prac domowych. To znaczy w filmie. Nie będzie zamiatać podłogi. Nie wypłucze nawet filiżanki po kawie. Ruch wyzwolenia cipulek. A kogo chciałabyś za partnera? Takie zadałem jej pytanie. Christophera Meadowbrooka, Spunka Davisa czy może Nuba Forknera? Odpowiedziała, że zależałoby jej na partnerze o śniadej karnacji. Cała historia z Butch polega na tym, że nie jest ona taką ot, sobie głupią blondyneczką, co sama zresztą podkreśliła. Zgodziłem się z nią w pełni. Może

na taką wyglądać. Może się tak nawet zachowywać i w taki sposób mówić – niekiedy. Ale głupiutką blondyneczką nie jest. To ważne, gdy chodzi o Butch.

Razem z obolałymi plecami odbyłem już kilka spotkań ze sponsorami Fieldinga. Zjedliśmy kolację w „La Cage d’Or” wraz ze Stewardem Cowriem, Bobem Cambistem i Ricardem Fiskiem.

I odwiedziliśmy nocne kluby – „U Kruda” i „Salon 39” – tym razem z Tabem Penmanem, Billem Levym i Greshamem Tannerem. To dość niezborna paczka, ci finansiści, hotelowi baroni z Miami, właściciele rancz w Nebrasce, królowie ropy z Marylandu. Jedyny temat ich rozmów to gwiazdy filmowe i szmal. Rozprawiają o forsie w tym rekinowatym amerykańskim stylu, jak gdyby forsą była miarą wszystkiego, i to miarą jedyną. Bardzo luzujące towarzyszo. Rachunki płaci Fielding. Wypisuje czek. I czek także otrzymuje. Pod koniec każdego spotkania sponsorzy Fieldinga rzucają takimi oto tekstami: „Dobrze, masz już mój udział” albo „Chcę partycypować”, „Więc sprawa już załatwiona” albo „Dobrze, róbmy to razem”. A Fielding już teraz planuje, żeby jedną czy dwie z pomniejszych płotek wyłączyć po prostu z udziału.

No tak, więc udało się nam, razem z obolałymi plecami, ucapić naszą małą Selinę któregoś późnego wieczora. W mojej londyńskiej kwaterze była właśnie siódma rano. Głos miała cieniutki i chłodny – w sposób, jaki lubię. I już po chwili swoim gruchaniem i przekleństwami potrafiła mnie uspokoić. Bo muszę wam powiedzieć, że owe gorące linie, te długodystansowe ostre numerki, to jeszcze jeden z naszych pożałowania godnych zwyczajów... Zauważyłem, że tę konkretną perwersję, podobnie jak wszystkie inne, zapoczątkowano w przedsiębiorczym Nowym Jorku. Kolumny pisemek takich jak „Męty” pełne są drobnych ogłoszeń tych zdalnie sterowanych panienek, które wysiadują całe dni przy telefonie zarabiając pieniążki, podobnie jak Ossie Twain. Dzwonisz do takiej, podajesz jej numer swej kredytowej karty, a ona nawija ci świństwa tak długo, na ile cię stać. Są pewnie tańsze od Seliny, gdy się tak dobrze zastanowić, bo bez jej hotelowej taksy. A poza tym są tutaj – a Selina jest tam, nie da się tego ukryć... I chciałem już kończyć rozmowę, gdy tymczasem Selina zaczęła opowiadać, a głos zdradzał szczerze, niepokojąco szczerze pobudzenie, o jej nowym forsiastym facecie, tym transatlantyckim finansiście, jak to zabierał ją do drogich hoteli, ubierał w drogie ciuchy i dmuchał na podłódze jak psa. Historia była dość standardowa, ale ton budził politowanie. Daj sobie z tym luz – tak powiedziałem. Jej cienki głosik świergotał jednak dalej. Mówiła, że gdy jej tu nie ma – czyli tam, w londyńskim gniazdku – jest wtedy tam, czyli z nim, robiąc te właśnie rzeczy.

– Dosyć – warknąłem.

– A więc się ze mną ożeń – zakończyła Selina, lecz jej ton nie był wcale przyjazny.

Fielding rozparł się wygodnie w muszlowatym fotelu limuzyny, prężąc się jak kot. Poprawił mankiety koszuli i powiedział zdecydowanym tonem:

– Musimy postawić na Spunka[1].

– Chyba tak się naprawdę nie nazywa?

– Ależ tak – uśmiechnął się Fielding i zaczął mi opowiadać o dwóch aktorach z Południa, którzy nazywali się Sod MacGonagall i Fart Klæber. Pedek i Wypierdek. Roześmiał się swoim bogatym śmiechem o barwie miliona dolarów, lecz jednocześnie powściągliwym jak każdy uroczy śmiech. Uwielbiam słyszeć to brzmienie. Zrobiłbym niemal wszystko, żeby je tylko pobudzić.

– A może – dodał Fielding – może na terenie brytyjskim będziemy go nazywać Miazmat.

– Tak, trzeba przyznać, że to niemały problem.

– Rozmawiałem z jego agentem. Mówił, że w niedługim czasie Spunk zrobi coś ze swoim imieniem. Kłopot jest jednak w tym, że to imię otrzymał na chrzcie i w ogóle nie znosi tej całej gwiazdorskiej hecy. To twardy chłopak z Bronxu, lecz o byle co podnosi wrzawę. Napijesz się?

– Nie, dziękuję.

– A to dlaczego? Przecież już piąta.

– Dziękuję, nie.

I miałem swoje powody. Co chcecie usłyszeć najpierw, dobre czy złe wieści? Dobrą wiadomością jest to, że rano dzwoniła Martina i spotykamy się jutro na lunchu. A złą? Otóż ta dobra przyniosła mi taką ulgę, że natychmiast pobiegłem w podnieceniu do baru i wysączyłem baterię podwójnych. „Tak? – zapytacie. – No i co? – nic w tym nowego”. Zgoda, ale zła strona tej złej wiadomości polega niestety na tym, że ów alkohol naprawdę nie wyszedł mi na dobre. Nie upił mnie, choć, z pełną ufnością tego się właśnie po nim spodziewałem. Lecz za to mnie skacował.

O tak! Z niedowierzaniem zamawiałem kolejne i kolejne drinki z fatalistyczną determinacją, że uda mi się uniknąć podobnego zakończenia. Dlatego wypilem tak wiele. Tym więcej w tym wszystkim ironii, że obudziłem się dziś rano w cholernie szczytowej formie, i to po naprawdę pracowitym i długotrwałym wieczorze przy telewizji i whisky. A może ten przypadek był nowym elementem jet-lagu, mojego odrzutowo-czasoprzestrzennego zamroczenia albo w ogóle ostatecznym już buntem mojej cielesnej

[1] Spunk to w amerykańskim slangu nasienie, a także odwaga (przyp. tłum.).

torby? Człowieku, powinienem czym prędzej pomknąć do Kalifornii, dopóki spece od przeszczepów wciąż jeszcze mają na co przeszczepiać swoje transplanty. A może lepiej skoczę tam od razu, żeby dofasowali mi choć coś na tymczasem. Mój mózg też dźwiga swój krzyż. Tak, ta moja mózgowica ma swoją cząstkę cierpień. Nafaszerowała się grzechem i występkiem, a myśli gdzieś pozniwały, lecą na łeb, na szyję, wirują bez ładu i składu. Muszę wyplenić cały ten chłam z mojego mózgowo-cielesnego systemu. A i to za mało! Wykarczować z mojego systemu cały mój system! Oto, co muszę zrobić.

– Skoncentruj się, Slick – mówił Fielding.

– To naprawdę półprzełomowa sprawa. Zależy od tego całe przedsięwzięcie. Gdy chodzi o forszę, Meadowbrook to bezpieczny wybór. Nub Forkner poradziłby sobie dobrze z Butch. Natomiast Davis to duże ryzyko, ale i szansa na dużą wygraną; i to mnie właśnie przyciąga. Zdaj się na instynkt, Slick. Ja stawiam na Spunka.

– Lepiej postaw mi scotcha.

Rozważanie kandydatury Spunka wymagałoby – niestety – pewnej introspekcji, gdyż pierwowzorem tej postaci jestem ja sam. Doug, czyli Syn, to chciwy głupek, nałogowiec, zdrajca. Wyglądało teraz, że o stawkę walczyć będą Christopher Meadowbrook i Spunk Davis, z Nubem Forknerem jako potencjalnym rezerwowym. O Meadowbrookowi wiedziałem wszystko; świetnie pracuje w zespole, lecz żaden z niego gwiazdor. Widzieliście go zresztą. To ten facet z piegowatą jankeską gębulą i szczyptą komediowego pieprzu w swym rozlazłym, obwisłym korpusie. Gra zwykle starszych braci, rumieniących się półgłówków, narwanych, lecz poczciwych kumpli czy zadowolonych z siebie studentów z Ivy League. Jako Doug byłby Meadowbrook obsadzony w całkiem przeciwnym sobie emploi, lecz ów kontrastowy efekt mógł nieść podwójne znaczenia; i to mnie pociągało. Ten drugi typ, ów Spunk Davis, znany mi był ze słyszenia, lecz nie widziałem go w akcji. To chłopak z Broadwayu, z jednym filmem na koncie – i to w stadium montażu; tymczasem *Prehistorię* już wychwalano. Mieliśmy zobaczyć jej roboczą wersję. Według Fieldinga Spunk był bardzo na fali.

Przybyliśmy pod pewien adres na dwuznaczej Park Avenue. Nasz witacz, przypominający prezydenckiego goryla, poprowadził nas poprzez hallsalon do saloniku, gdzie ogląda się filmy – salki z sześcioma fotelami i lustrzanymi szybami w oknach. Aura luksusowych przesłuchań i korporacyjnej propagandy. Obecny był agent Davisa, niejaki Herrick Schnexnayder, w kraciastej flanelowej koszuli, skórzanym krawaciku o barwie wyschniętej szynki i najbardziej chyba fantazyjnej fryzurze, jaką widziałem w ciągu dziesięciu lat kariery w świecie filmu. Jeden żółtawy kosmyk wywodzący się z karku zaczesany do przodu, drugi miał początek w obfitych baczkach – ale po

lewej stronie. Bania agenta przypominała karmelkowe lody ze śmietanką i z dodatkiem orientalnych owoców – nawet ich podwójną porcję. Mogę przysiąc, że gdyby w ucho wetknął łyżkę, a na czubku fryzurki umieścił kandyzowaną wiśnię, nie wpłynęłoby to ujemnie na jego wygląd. Piłem nielimitowany szampan (wchłaniany bez ceregieli w koralowiec języka), wysłuchując przypochlebnych Herrickowych smutów. W dzisiejszych czasach agenci wyglądają jak podpory korporacji – lecz Herrick bardziej pasował na cyrkowego kłowna. W pewnej chwili Fielding napomknął o pieniądzach. Agent uśmiechnął się niczym szafujący śmiercią lekarz i powiedział:

– Teraz, po *Prehistorii*, myślę, że interesuje nas piątka.

Innymi słowy gaża Spunka wynosiłaby pół melona. Fielding tylko skinął głową i zapytał:

– A jak wyglądałaby dyspozycyjność? Dyspozycyjność wyglądałaby nieźle, a to z tego po części powodu, że po *Prehistorii* mało kogo stać było na zaangażowanie Spunka Davisa.

Prehistoria rozpoczęła się powolną kontemplacją skalnych malowideł: mężczyzna, kobieta, walka, kopulacja, tygrys – i statek kosmiczny. Następne ujęcie: grupka (czyli szczerp) małpoludów, jeszcze sprzed epoki ognia, łącząca to tu, to tam; i był też Spunk, ostrzący grot dzidy. Łeb miał kwadratowy, ditto usta, a buziuchną ponurą i żyłastą. Następnego ranka – a w każdym razie wkrótce – Spunka wniesiono na pokład płaskiego kosmicznego statku. Stało się to za sprawą zgrai złośliwych, stożkowatych kosmitów o buczących głosach. Spunk odbył z nimi podróż w czasie. Przybysze przenieśli go na teren Greenwich Village roku pańskiego 1980. Był letni wieczór i Spunk w skąpym przyodziewku ze skóry i kamuflującej farbie na twarzy wcale się nie odróżniał od otoczenia. Pogapiwszy się trochę i obficie pochrząkawszy, wykazał się znacznym refleksem i ocalił pijaną dziewczynę napastowaną przed wejściem do „Bani Samotnych Serc”. Dziewczyna zabiera Spunka do swojego wystrzałowego apartamentu. Znów mamy chrumkanie. Dziewczynie zdaje się, że to jakiś Litwin lub Albańczyk albo ktoś im podobny – wiadomo przecież, że na ulicach Nowego Jorku nie brak takich poronionych Ziemijskich Żyjątek. Spunk wychyla parę szklaneczek zaferowanej mu wody ognistej, potem zostaje zaprowadzony do wyrka, gdzie rewanżuje się panience pieprzeniem jej życia. Gdy nadchodzi świt, cipka już dawno wymiękła, a Spunk wciąż jeszcze szaleje w koi – widać jest wyposzczony... Następuje cudowna scena, kiedy Spunk gramoli się z łóżka, żeby zapoznać się ze współlokatorkami dziewczyny. Współlokatorki przyzwyczajone są do obszarpanych partnerów koleżanki, lecz Spunk (miażdżący zębami orzechy, pałaszujący jajka w skorupkach i surowe parówki) to coś całkiem

nowego. Poprzez różne subtelne transformacje (aż sapałem z uznania) film przekształca się w łagodną, parodystyczną opowieść o miłości, w której dziewczyna cywilizuje Spunka – uczy go ubierać się, jeść, mówić – a Spunk decywilizuje dziewczynę: uczy ją, jak porzucić alkohol i przypadkowych partnerów, jak wyzbyć się autodestrukcyjnego stylu życia i pogoni za forszą (przez chwilę wiodą żywot ludzi pierwotnych, po tym jak Spunk przeżywa nerwowe załamanie spowodowane cywilizacyjnym tempem; nawet ja, mimo całej egzaltacji, dostrzegłem tu zbyt wiele sentymentalizmu). Przez cały ten czas Spunk obnosił minę milczącego i nie skarżącego się na nic zadziwienia; arcykomiczny, lecz zarazem powściągliwy i pełen godności, był po prostu bombowy, genialny. Szczególnie dobry okazał się pod koniec, kiedy kosmici (obserwujący całe to doświadczenie i wspomagający go w trudnych chwilach) powtórnie przenoszą go w prehistorię. Spunk wiedział, co ma się zdarzyć, przeczuwał to, i próbował to przekazać dziewczynie swymi żałośnie ubogimi środkami gestów i języka. Widzimy Spunka, jak stoi samotnie na nagiej skale, wydany na podmuch wichrów. Marszczy brwi, napina mięśnie twarzy – i wpatruje się w bezkresną pustkę. Natomiast dziewczuszka siedzi sobie samotnie, mamrocząc coś i dygocąc ze strachu, paląc ostatniego papierosa i bawiąc się nieświadomie zapalniczką. A potem już tylko lista płac. Szalenie się wzruszyłem. Wzruszyłem? Ależ doznałem nerwowego załamania. Gdy biegłem do klopa, z oczu sikały mi łzy. Nie ma najmniejszych wątpliwości: Davis będzie wielkim, wielkim nazwiskiem.

Już w autocracie obróciłem się do Fieldinga i spytałem ochryple:

– Czy on potrafi mówić? To znaczy mówić wyraźnie?

– Spunk? Oczywiście. Grał przecież Ryszarda II nie dalej jak zeszłej jesieni. Na off-Broadway. Niepokoi się trochę swoim akcentem, ale dykcja? Znakomita! No dobra, Slick. Co ty na to?

– Trzeba postawić na Spunka.

Pojechaliśmy prosto do wyłożonego boazerią lokalu w rejonie restauracji pomiędzy Piątą a Szóstą Aleją na sondażowy rekonesans z Christopherem Meadowbrookiem. Po *Prehistorii* spotkanie okazało się przygnębiające. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby się zorientować, że ten aktorzyzna na nic nam się nie przyda. Krzesła w tym przybytku, o pionowych oparciach, przypominające mi wyprostowany, trójkątny tors Seliny, wyglądały, jakby zaprojektowano je specjalnie po to, żeby sprawić obolałym plecóm gości prawdziwą radochę. Pod koniec spotkania wierciłem się tak, jak Christopher Meadowbrook, a on wiercił się co niemiara. Nie ulegało wątpliwości, że gościu był w fatalnej formie. Nie wyglądał jak typ pozytywny. Ani jak czarny charakter. Wyglądał

po prostu na mięczaka, na bezpańską, beznadziejną ofiarę losu. Widziałem już kiedyś takie błagalne rozbieganie oczu i ust w twarzy obszarpanego pedałka zarobkującego na Bulwarze Zachodzącego Słońca, pomiatanego, poszturchiwanego, a który wciąż kuśtykał tam znów po jeszcze. Po drinkach, wzajemnej prezentacji i popłatanej paplaninie, jakbyśmy wszyscy trzej byli bogami, małpoludami albo astronautami, Fielding zrobił rzecz najgorszą z możliwych. Otóż pojechał na lekką kolację, którą miał zjeść w „Cyceronie” w towarzystwie Butch i Caduty. Przysięgał później, że uprzedzał mnie o tym poprzedniego wieczoru. Nie wątpię, wcale nie wątpię. Spojrzałem na niego bezradnie, a on przysięgał, że wróci przed dziesiątą.

Gdy tylko zostaliśmy sami, Meadowbrook wziął mnie za rękę, nachylił się i wybąkał:

– Ja muszę mieć tę rolę, proszę pana. Błagam, pan musi dać mi ją zagrać.

Po czym zalał się łzami. Akurat tego mi było potrzeba... Forsa, oczywiście. Człowiek desperacko potrzebował siedemdziesięciu pięciu kafli. To długi za kokainę, przyznał, choć zgubny ten nałóg porzucił już ponoć przed laty. Droga przyjaciółka (bardzo, bardzo droga) po prostu go porzuciła. Matka czeka na operację. On sam potrzebuje operacji. I tak to się ciągnęło. W teorii, przypuszczam, przeżywałem już gorsze chwile, lecz znowu nie tak wiele i nie aż tak bardzo gorsze. Jezusie, czy jestem aż taki kiepski? Czy kiedykolwiek wykazuję aż tak skoncentrowaną i długotrwałą słabość? Wysączył cztery koktajle. Wywołał bezsensowną sprzeczkę z kierownikiem sali. Kelner odwzajemnił się, podając mu do ręki talerz z wrzącą zupą. Meadowbrook wylał sobie na spodnie całą tę ognistą maź wydając przy tym tak nieludzki okrzyk, że restauracyjny kocur (zaspany, tłusty z lenistwa pers) skoczył jak kamikadze przez szklany parawan, rozpryskując kolorowe odłamki. Potem Meadowbrook poszedł do sracza na całe dwadzieścia minut, a gdy wrócił, tykał jak licznik Geigera. Nagle zauważyłem, że ma tylko jedno nozdrze. Nałóg zazwyczaj daje ci szczutka w nos w ten sposób, żeby wszyscy widzieli. W mojej londyńskiej dzielnicy jest taki jeden, który pracuje w pobliskim pubie: on ma nochala niczym truskawka po wylewie. Unikam go. Chodzę do innego pubu, gdzie, jak na razie, barman ma nos w porządku... Tymczasem Meadowbrook zaczął mi nawijać Szekspirem. Być albo nie być. Jutro i jutro i jutro. Nigdy nigdy nigdy nigdy nigdy. W rozpacz, pomimo zygów i zagów; pomimo jet-lagu, pomimo alkohologulaszu w żołądku i głowie, zdrowo tankowałem szkocką. Tymczasem powrócił Fielding. Meadowbrook wyjął kartę kredytową i dzierżąc ją wysoko niczym ramię semafora narobił szumu, że to on reguluje rachunek.

– I nie doliczać mi tej zupy! – zastrzegął. Kartę odniesiono na srebrnej tacce.

Przedartą na czworo.

– Chyba tu skonam – jęknął Meadowbrook.

– Karta nie ma pokrycia – uśmiechnął się drwiąco kelner.

– Jezu, chodźmy stąd.

To ja powiedziałem. Podniosłem się.

Wstał też Fielding.

– Nic z tego, Chris – zawołał, wyłuskując dwie pięćdziesiątki ze złotego spinacza.

Jest takie uczucie – gdy siedzisz w nowojorskiej taksówce, przedzierając się przez jary i pułapki, wyraziste poczucie (niechybne!) znikomości ludzkich spraw i trosk – właśnie w Nowym Jorku, gdzie bezustannie odczuwasz rangę i wagę tych firm w drapaczach chmur. Kontrola, cel, znaczenie – tam, w górze, jest wszystko. Na dole tego nie ma. Bóg ujął to miasto kolumn palcami prawej dłoni i mocno podciągnął w górę. A ludzie na dole poczuli się poniżeni. Jestem teraz w taksówce, gdzieś zdążam i kieruję różnymi sprawami za pomocą forsy. Mam więcej do powiedzenia od tych mijanych za szybą ludzi, tych nomadów, tych ludzików przyływu i odpływu. Oni się nie liczą. Nie mają nic do powiedzenia. Dwudziesta Trzecia Ulica i jej spuszczone z łańcucha psy.

Wiem już na pewno, że Selina Street nie pieprzy się z Alekiem Llewellynem, a w każdym razie nie teraz. Im więcej o tym myślę, tym bardziej przekonuję sam siebie, że niesprawiedliwie osądzałem Seline. A tymczasem jest mi wierna – ta moja Selina. Zachowuje się, jakby było odwrotnie – jak ktoś niewierny do skrajności. Lecz postępuje w ten sposób, bo wie, że to lubię. (Dlaczego to lubię? To przecież jasne, że lubię. A więc dlaczego nie lubię?) Selina zachowuje się tak tylko po to, żeby mi sprawić przyjemność. Gdyby naprawdę była niewierna, z pewnością by się tak nie zachowywała, co? Zachowywałaby się jak ktoś, kto nie jest niewierny, i nikt nie mógłby jej nic złego zarzucić. Jakież to pocieszające!

A zatem same dobre wieści.

– Tak? – zapytałam od niechcienia, oczekując Lorne’a, Meadowbrooka lub Franka telefoniarza.

– John? Tu Ella Llewellyn. Dzwonię, bo myślę, że jest coś, o czym powinienś wiedzieć. Ale to raczej złe wieści.

Zaraz, zaraz, Ella, nie ma potrzeby uderzać ze mną w takie tony. Pierdoliłem cię kiedyś – pamiętasz? Na schodach! – gdy Alec zniknął w kuchni.

– Cześć, Ella. W porządku, wal śmiało – rzuciłem sztywniejac, i nastawiłem się na najgorsze.

– Alec jest w więzieniu. W Brixton, do wyjaśnienia. Mógł się tego spodziewać. Chciał, żebym ci powiedziała.

Złe wieści? Złe? Nie, to raczej wieści wspaniałe – na swój sposób. Zanim przebiegła twarz Seliny zdążyła ukazać się na ekranie moich myśli, poczułem skurcz niewinnej, jasnookiej radości, że mój najlepszy, najstarszy kumpel znalazł się w niezłych tarapatach. Jak to miło, gdy jeden z równych ci pozycją znajomków ląduje nagle w dołku. Znacnie to uczucie? Rozkosz, prawdziwa rozkosz. Nie wstyďte się – o ile tylko zdołacie. Bo Alec nie może uciec, nie może zniknąć, rozpląnąć się, przenieść żywcem w niebiosa. Nie może wspiąć się wraz z nimi w górę – no, z tymi z drapaczy chmur. Musi pozostać tu, na dole, wraz ze mną. Na dole, i jeszcze niżej, o wiele, wiele niżej.

To obecne spotkanie zajęło poczesne miejsce na mojej liście strachu. Z jakiego powodu? W jaki to sposób cichy obiadek z piękną, inteligentną dziewczyną w restauracji, gdzie podaje się alkohol, może być źródłem lęku? Zapytajmy na górze Synaj. (Innych z nią spotkań też się obawiałem, czy nie? Oj tak, tak). Ale w końcu koily mi nerwy. Tylko wtedy, gdy coś koi ci nerwy, zdajesz sobie sprawę, jak bardzo potrzebowałeś ukojenia.

Wariowałem. Umierałem. To właśnie robiłem – umierałem.

Zanim porozmawialiśmy o tej kolacji-zjawie, poruszyliśmy temat estetyki. A raczej poruszyła go Martina. Estetyka to zagadnienie, które, jak dotąd, poruszałem jedynie z moją dentystką-kosmetyczką, panią McGilchrist („w tym zębie estetyka będzie trochę kosztować”) lub z jakimś zagubionym, naiwnym kamerzystą, który mógł mieć własne poglądy na temat estetyki ujęć – co wyrażał stosownym żargonem. Natomiast Martina poruszała sprawy estetyki w sposób mniej profesjonalny. Mówiła więc o percepcji, przedstawianiu i prawdzie. Mówiła o delikatnej sytuacji postaci poddanych obserwacji bez ich wiedzy – i o różnicy pomiędzy portretem a ujęciem nieupozowanym. Analogicznym rozróżnieniem w literaturze byłyby postaci świadomego i nieświadomego narratora – ten drugi jest istotą smutną, ba, tragiczną: wtłoczoną w daną rolę wbrew swojej woli. Dlaczego doznajemy opiekuńczych uczuć, gdy patrzymy na bliską nam osobę, która nie wie, że jest obserwowana? Dlaczego kłuje nas serce na widok pary butów, których już nikt nie włoży? Albo na widok ukochanej osoby we śnie? A może to dlatego, że ciało martwe – bądź śpiące – wyraża cały ten patos nieobecności, całą bezradność obserwowanego – który nie wie... Aktorom płaci się właśnie za to, za to udawanie, iż nie wiedzą, że się na nich patrzy; lecz oczywiście bez cichej zmywy z widzami daleko by nie zaszli. I są także aktorzy, którym nie płaci nikt (tak sobie pomyślałem): na nich na pewno trzeba zwracać baczną uwagę.

Siedziałem nerwowo na krawędzi krzesła. Mogłem nadążyć za tokiem jej myśli

tylko przez chwilę, dopóki uczucie wysiłku po części wynagrodzonego – lub też świadomość, że samego siebie obserwuję – nie dały o sobie znać. I wtedy pierzchały myśli. Byłem napięty. Jak bardzo? Może nie aż tak bardzo napięty... Jedliśmy lunch w rustykalnym domku pokrytym szmerglem – w okolicach Ulicy Bankowej w West Village – z wyszynkiem, to jasne, ale i z aurą zdrowej żywności, starannego dobierania składników, otoczką makrobiotyki i długowieczności. Kelnerzy obu płci niczym kapłani obsługiwali drewniane nische. Oto sunie Jaś. A oto Małgosia. W białych fartuchach przypominali lekarzy i pielęgniarki. Przynoszone dania aplikowali jak lekarstwo czy eliksir. Ich żarcie należało do najzdrowszego w dzielnicy – nie żadne tam gówno, jakie serwowano w uptown. Suszyło mnie zdrowo, lecz poprzestałem na zmienianych co chwila karafkach białego wina. Martina zadowolona się dzbankiem herbaty. Filiżankę trzymała w obu dłoniach, tak jak czynią to często dziewczyny – ogrzewając ciepłym napojem palce. Jedząc, pochylała przy każdym kęsie głowę. Patrzyła mi prosto w oczy. Jej były okrągłe, ciemne, przejrzyste.

– Pijacy też może są podobni – powiedziałem. – To znaczy nie wiedzą, że się na nich patrzy. W ogóle nie wiedzą niczego. I ja nic nie wiem.

– Nie są wtedy sobą – odparła – co pomniejsza ich patos.

– Zgoda, z pewnością. Lepiej mi powiedz... wszystko o tamtej nocy. Niepewność mnie zabija.

– Naprawdę nie pamiętasz? Czy udajesz?

Zastanowiłem się i odpowiedziałem:

– Nie mógłbym znieść przypominania sobie tego, co się stało. Może gdybym się postarał. Właśnie to byłoby nie do zniesienia, ten wysiłek, żeby sobie przypomnieć... Więc kto, na przykład, tam był?

– Ci sami, co zeszyłem razem. Moi jedyni przyjaciele. Znajomi Ossiego są wszyscy tacy... Więc babka z „Tribeca Times”. Fenton Akimbo, ten nigeryjski pisarz. I Stanwyck Mills od Blake’a i Szekspira. Ossie chciał zapytać go o tych dwóch panów z Werony.

– Tak? – Chryste, co za paczka. – Proszę, powiedz więcej.

Powiedziała. Nie było wcale tak strasznie. Ulżyło mi. Między nami mówiąc, zrobiło to nawet na mnie wrażenie. Wygląda na to, że przywiało mnie tam gdzieś za kwadrans dziesiątą. Miałem trzy butelki szampana i wszystkie upuściłem na ziemię w katastroficznym żonglerskim akcie. Podłoga kuchenna, według Martiny, przypominała wannę z biczami wodnymi, takie typowe jacuzzi. Kipiąc witalnością przyłączyłem się do przerwanej kolacji. I przez dwadzieścia pięć minut opowiadałem dowcip.

– Jezu. Kawał? Bardzo świński?

– Nie mogę sobie przypomnieć. Ty pewnie też nie dasz rady. Chyba coś o żonie farmera... Aha, i o wędrownym sprzedawcy.

– Jezu! A potem?

Potem zasnąłem. Nie wymiękłem tak po prostu przy stole, o nie. Wstałem, ziewnąłem, przeciągnąłem się i rymsnąłem na najbliższą kanapę. Chrapałem, jęczałem i sapałem prawie trzy godziny; obudziłem się odświeżony i pełen sił, żeby wyjść; było trochę po pierwszej. Wszyscy już zresztą poszli. Podążyłem ich śladem. A potem wróciłem. I po raz drugi wyszedłem.

– Co powiedziałem Fentonowi Akimbo? Czy coś mu powiedziałem?

– To znaczy?

– To znaczy, czy wyzwalałem go, na przykład, od czarnych skurwieli?

– Ależ skąd! Opowiedziałeś tylko swój dowcip, i to właściwie tyle.

– Bomba.

– Powiedziałeś coś jednak do mnie. Gdy po raz pierwszy wychodziłeś.

– Co takiego?

Uśmiechnęła się cierpko, wściekle – za grosz w niej dorosłości. To był uśmiech podlotka. Miała dobry kontakt z ową dziewczynką, która wciąż w niej pomieszkiwała. Dziewczynka była zawsze pod ręką.

– Co? – powtórzyłem.

– Powiedziałeś, że mnie kochasz.

I roześmiała się z całego serca tym szokującym śmiechem, który sprawia, że odwracają się głowy, i okrywa jej twarz rumieńcem; a obnażone bezwstydnie usta aż prosiły, żeby zasłonić je dłonią.

– A co ty powiedziałaś?

– Powiedziałam... niech się zastanowię. Powiedziałam: „Nie bądź idiotą”.

– No cóż, może to i prawda – odparłem ośmielony. – In vino... no wiesz, jak sobie wypijesz, to prawda wypływa na wierzch, no i tak dalej.

– Nie bądź idiotą – powiedziała Martina.

No i co, wydaje się całkiem rozsądna – prawda? – pośród wszystkich tych ludzi, z którymi współpracuję. Lecz ona zawsze miała szmal – nie było nigdy tak, żeby go nie miała. Forsa jest niedbale obecna w kroju i tkaninie jej ubrań, w jej skórzanych dodatkach, w jej olśniewających włosach, w wyrazie jej ust. Długie nogi napodróżowały się, i to nie tylko w czasie. Zgrabny jęczyczek parluje po francusku, włosku i niemiecku. Pełne oczekiwania oczy widziały już wiele i mają nadzieję zobaczyć jeszcze dużo więcej. Nawet gdy była dziewczyną, jej partnerzy dobierani byli starannie, stanowili elitę;

przerastali o głowę ten zwyczajowy tłumek przypadkowych, zdyszanych najemników. Jej uśmiech jest mądry, rozbawiony, wskazuje na pobudzenie ducha i myśli, a zarazem pełen niewinności, bo forsa czyni cię niewinnym, gdy masz ją cały czas. Jak inaczej mógłbyś się utrzymać na tej naszej planecie przez trzydzieści lat, nie tracąc przy tym wolności? Ale Martina nie jest kobietą z wielkiego świata. Jest istotą skądinąd.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Skąd zawsze wiesz, kiedy jestem w Nowym Jorku i kiedy wracam do Anglii?

Wzruszyła ramionami.

– Ossie mi mówi.

– A skąd on wie?

– Cały czas oscyluje pomiędzy Ameryką a Londynem. Zna ludzi, których ty znasz.

– Na to wygląda.

– Jak się ma... ta twoja dziewczyna?

– Selina.

– Właśnie. Jak to wygląda? Jesteś z nią. Jesteście razem.

Pomyślałem chwilę. I odpowiedziałem, a może to jeden z moich głosów za mnie odpowiedział:

– Nie wiem. To znaczy... można być z kimś i wciąż być samotnym.

– ...Jest piękna.

– To prawda. Jak miewa się Ossie?

Milczała.

– Jest piękny – zaryzykowałem.

I znów nic nie odpowiedziała. Zamiast tego zapytała, dlaczego tyle piję, więc wyjaśniłem:

– Jestem alkoholikiem.

– Nie, nie jesteś, jesteś tylko zachłannym dzieciakiem, który nie ma nic lepszego do roboty. Nie jesteś tym zmęczony?

– Tak, jestem. Jestem tym zmęczony od lat... Dwadzieścia minut później staliśmy na gąbczastym chodniku. Przed nami, po drugiej stronie ulicy, rząd sklepowych wystaw lśnił jak celuloidowy film. Oto Manhattan i jego drobne troski: tajlandzka pralnia, szpital damskich torebek, niemieckie delikatesy („U Leonarda”: „Domowe kanapki” – „Mikrofalom Stop!” – „Przepraszamy. Zamknięte”), kwaciarnia z lasem badyli, sklep z orientalnym chłamed („Wszystkie karty kredytowe mile widziane”), lesbijska księgarenka. Wraz z Martiną odstawialiśmy pełen wahania taniec rozstających się ludzi, taniec z ograniczoną liczbą kroków. Wciąż się na mnie patrzyła, lecz jej ramiona zaczęły

już się odwracać... Gdy jesteś mały, a to, przed czym uciekasz, jest duże (mieliście takie sny?), to jedyne miejsce, gdzie można się ukryć, jest tam, gdzie to, co duże, nie może się pomieścić. Musisz wtedy w tym ciasnym miejscu pozostać albo schować się jeszcze głębiej. Lecz ciasne miejsca mnie męczą. Mam już, kurwa mać, dość takich ciasnych miejsc. Dość już mam tego, by ktoś mnie obserwował, a ja nic o tym nie wiem. Mam już dość tej mojej ciągłej nieuwagi.

– No dobra, słuchaj – rzuciłem z desperacją.

– Pomóż! Daj mi jakąś lekturę. Powiedz, co mam czytać. Poleć mi jakąś książkę.

– Wskazałem na witrynę księgami po drugiej stronie ulicy. Zasłonięta była kotarą. – Przydałoby się coś kształcącego.

Założyła ręce. Widać było, że myśli, że jest zadowolona.

– Zgoda? – powtórzyłem.

Przeszliśmy na drugą stronę wyboistej ulicy. Martina kazała mi poczekać przed wejściem.

Na de kotary wystawiono liczne egzemplarze jednej tylko książki, ostatniego ciężkiego pocisku lesbiofeministek, na którego widok kurczą się jaja: Nie naszym kosztem! – głosił dobitnie tytuł. Autorką zaś była niejaka Karen Krankwinki. Rzuciłem okiem na skserowane zapowiedzi i recenzje, rozmieszczone wokół książek. Otóż ta zamężna niewiasta z trójką dzieci, rzeczona pani Karen, przyjęła za swoje credo pogląd, że każdy akt miłosny jest gwałtem, nawet jeśli obu uczestniczącym w tym zdarzeniu stronom niekoniecznie tak się wydaje. Jej odważna, promienna twarz powielona była na lśniących obwolutach. No cóż, Karen, nie odważyłbym się ciebie zgwałcić nawet trzymetrowym palem, nie mówiąc już o ochocie. Lecz pewnie wszystkie cipki wyglądają podobnie, gdy zgwałci się je parę tysięcy razy.

Wróciła Martina. Kupiła egzemplarz w twardej okładce. Nawet jeśli był używany, to i tak, moim zdaniem, przedstawiał sobą wartość jakichś pięciu dolców.

– Jakie koszty?

– Żadne. To prezent.

– Kiedy się mogę do ciebie odezwać?

– Kiedy przeczytasz tę książkę.

Odwróciła się na pięcie i odeszła.

„Pan Jones, właściciel dworskiego folwarku, pozamykał na noc kurniki, ale był zbyt pijany, żeby pamiętać o zasunięciu folholstrów”. [2] Przeciągnąłem się i przetarłem

[2] Wszystkie cytaty z *Folwarku zwierzęcego* George'a Orwella w tłumaczeniu Krzysztofa Zabłockiego (przyp. red.).

oczy. Czy cała książeczka ma zamiar tak wyglądać? To znaczy, czy chodzi tu o jakiś satyryczny podtekst? No cóż, w porządku, potrafię docenić dowcip. Położyłem sobie dłonie na karku i zadumałem się. A co to, kurde, za „folholstry”?... Widzicie? Ach, ten książkowy, kontemplacyjny żywot. Ach, ta Martina, wyleczyła mnie nawet z tinnitusa. Już od trzech godzin w uszach ani piśnięcia. Zasadnicza sprawa z czytaniem i tym wszystkim polega na... to znaczy, trzeba być po prostu w odpowiedniej formie. Spokój. Nie może nic nad tobą wisieć. Musisz bez przeszkód słyszeć własne myśli. Gdy wracałem z lunchu (piechotą) – tak, już wtedy było mi trochę źlej. Trochę więcej rozumiałem z tej historii o obserwatorach i obserwowanych. Książka od Martiny... zapłaciliśmy za lunch po połowie, a więc to prezent, prawdziwy prezent, a niech to! Kiedy ostatnio dostałem prezent od dziewczyny? Zaraz do niej zadzwonię i podziękuję. Cóż może być prostszego.

Delikatnie sięgnąłem po aparat. Zawahałem się chwilę trzymając palce na wyłączniku. Fatalnie!

I cała bomba eksplodowała mi prosto w twarz.

– No, no, stary. Nie rób sobie nadziei. Nie dla psa kielbasa. Zapomnij. Ona i ty? Ty? Ona? A jaką to ci dała książkę? Rękodzieło dla początkujących? Roześmiał się i rechotał bez końca. Śmiech jego brzmiał strasznie – choć trudno by ten straszny odgłos określić. Chwyciłem mocniej słuchawkę – i cicho go dopingowałem.

– Napraw sobie śmiech, stary. Albo go napraw raz jeszcze. Każdy ci powie, że brzmi fałszywie. Hej, hej, staruszkule, a może byś zostawił mnie wreszcie w spokoju. Co ty na to?

– I stracił całe to przedstawienie? Żartujesz chyba. Wyjaśnij mi coś. Mówiłeś jej o niedzielnej nocy? O tym, jak twarde miałeś posłanie?

– Co takiego?

– Niedzielną noc. Pamiętasz? Ta noc, która po prostu po tobie się przeszła.

– Ach, tak – syknąłem – to była twoja sprawka.

Ta myśl już wcześniej świła mi w głowie, ale liczyłem, że napad był przypadkiem. W moim stanie zawsze liczy się na przypadki, na beład i przypadkowość. Nie chcesz, żeby cokolwiek przyjmowało na twojej skórze jakiś konkretny kształt.

– Tylko się przyglądałem.

– To ty mnie pokłułeś... Ty sadystyczny skurwielu!

– Nie! Mówię, że nie! Szpileczkami, na szpileczkach! To dzieło kobietki.

Przerwano połączenie, ale głowa, och, moja głowa, ta dopiero ożyła. Drzwi mojej lepetyny rozwarły się nagle na oścież, a słoczzone tam dźwięki wyleciały trzepocząc

skrzydłami. Przez długą, paskudną chwilę czułem jej wstrętny, dygocący ciężar na moich plecach – łapała równowagę, a głos... Co mówiła? Och nie, nie! Zapomnijmy, wykreślmy z pamięci na zawsze. Dzwoniłem w parę miejsc. Rezerwacja. Dom. Ale nikt nie odbierał. I Martina – żeby się pożegnać. Telefony te nie sprawiły mi zbytniej przykrości. Tylko Fielding wysuwał wobec mnie żądania. Tylko Fielding miał mi jeszcze do zadania pokutę.

– Spunk – powiedziałem – to dla mnie zaszczyt.

Spojrzałem z ukosa na Fieldinga Goodneya, który wzruszył ramionami.

– *Prehistoria* jest cudowna – ciągnąłem wątek. – Byłeś naprawdę wspaniały. Serio. Byłeś absolutnie bombowy, Spunk.

Czułem, jak Fielding trąca mnie w półmroku łokciem.

– Słowa mnie zawodzą. Mówię ci, Spunk, naprawdę twoja interpretacja zrobiła na mnie wrażenie. I chcemy ciebie. Chcemy, żebyś grał w naszej Dobrej forsie. Za dobrą forszę. Spunk, po to tu dzisiaj jesteśmy, żeby ci powiedzieć... Kurwa mać, Fielding – szepnąłem – weźmy Meadowbrooka albo Nuba Forknera, kogokolwiek. Po diabła nam taki cyrk.

– Dziękuję. Dziękuję bardzo. Usiądźcie panowie, proszę – powiedział Spunk.

– Byliśmy na czterdziestym piętrze gmachu przy UN Plaża. Przepuszczono nas z Fieldingiem przez bzyzącą bramkę; zostaliśmy zlustrowani, prześwietleni i obmacani ciężkimi łapami dwóch strażników w blezerach o barwie śliwki.

– Davis, Spunk – powtórzył z zastanowieniem strażnik, warując pośród roślin w donicach, pulpików interkomu i monitorów systemu ochrony. – Podane jest inne nazwisko.

Przepuścił nas jednak; wznosiliśmy się windą, wsysani w górę szybu niczym wymiociny, przy odgłosie syków i siorbów.

– Jestem panią Davis – przedstawiła się drobna staruszka, otwierając nam drzwi. Nie była zresztą tak stara, lecz jej pomarszczona twarz miała utkane pracowicie bruzdy, z zagęszczeniami pajęczyn wokół oczu i ust. Warstwy i warstwy bruzd. Podobny efekt uzyskać można, gdy spojrzy się w gęsty szpaler drzew podczas londyńskiej zimy, gdy nagie gałązki przecinają się i przecinają w nieskończoność, aż pozostają tylko pyłki światła, filigranowe, świetliste trójkąci. Zdrowo napracowano się nad tą spracowaną twarzą. Jednak w oku był błysk.

– Och, cześć – rzuciłem.

– Pani Davis – powiedział Fielding z powagą.

Ucałował jej dłoń i przyłożył do swojej piersi. Ta kurtuazja, odstawiona z przesadną serdecznością, zdawała mi się całkiem nie na miejscu, lecz pani Davis wyglądała na zadowoloną; unosząc głowę wpatrywała się dłuższą chwilę w Fieldinga, zanim powiedziała:

– Czy jest pan ocalony?

Podczas gdy Fielding zajmował się tą kwestią („Ależ tak, droga pani” – zdążył zacząć), obróciłem się w kierunku kuchni czy salonu, dość banalnie umeblowanego, lecz o sympatycznych, żywych barwach ścian i pokryć. Siedział tam ciemnowłosy mężczyzna o niskim czole i obfitych kształtach, z muskularnym niegdyś korpusem wbitym w jodełkową dwurzędówkę. Spunk senior, jak można przypuszczać. Zerknął na telewizor na szafce krytej perkalem (skaczący koszykarze), zerknął na zegarek (ruch głowy stoicko omdlały), zerknął wreszcie na mnie. Wymieniliśmy pobieżne, gburowate spojrzenia. Rozpoznaliśmy swą rzeczywistą wartość. Wydawszy językiem i zębami zwięzły młaśnięciozgrzyt, odwrócił się w znudzeniu, irytacji czy niesmaku. Wystarczyło raz mu się przyjrzeć i nawet ja musiałem przyznać – ach, te panie, nasze biedne panie... Zawsze je to spotyka. Nie miałem najmniejszej chęci na to spotkanko, przyznając, przepełniony lękiem, popołudniową whisky i tęsknotą za londyńskim domem. Dłoń pani Davis spoczęła już na moim ramieniu, a jej twarz błagająco pytała:

– Czy pan jest ocalony?

– Przepraszam?

– Tak, tak, też jest ocalony, kochana – włączył się Fielding, a ja dodałem:

– Tak. Ja także.

– Bardzo mnie to cieszy. Spunk jest w drugim końcu hallu.

Poprowadziła nas przez ciąg pokoi o ciemnych ścianach; za oknami połyskujące fale East River płonęły przedwiecznym ogniem. Minęliśmy stół bilardowy, kanapę i fotele obleczone polietylenową folią, rozmaite dewocyjne posążki i błyskotki, z bladym, dewocyjnym podświetleniem. Te światelka to już naprawdę przegięcie. Weszliśmy do jadalni mrocznej jak kinowa sala, ze lśniącą postacią przy końcu długiego stołu. Pani Davis też weszła w sferę jasności. Była godzina piąta.

– Przed dwoma laty – ciągnął aktor – przesłuchiwałeś mnie. – Roześmiał się z obrzydzeniem: – Do telewizyjnej reklamy.

– Tak? – zapytałem. – Naprawdę nie pamiętam.

Jego głos – musiał nad tym pracować jakiś specjalny mięsień czy zawór. Rozpoznawałem tę jakość. W jego wieku mówiłem tak samo, walcząc z cockneyowskim zanikiem głosek, z tchawicową artykulacją. Moja tchawica interesowała się jedną tylko

sylabą, wymawianą, jakbym miał się udławić. Nasz młody Spunk też starał się okiełznać swoje szczeniackie końcówki, to nieokrzesianie umykających samogłosek. Teraz mam już wymowę bez zarzutu. Lecz walczyć musiałem z tą skazą dobre dziesięć lat.

– Okazało się, że jestem niewystarczająco dobry. Do tej waszej reklamówki.

– Chyba żartujesz – obruszyłem się. – Pamiętasz może ten filmik?

– Nie, nie pamiętam. Zgaś go!

Chodziło mu o papierosa.

– Gdzie?

– Zgaś!

– Jezu – westchnąłem i spojrzałem błagalnie na Fieldinga.

Był to chyba tylko udratyzowany kac, pomyślałem. Zbliżając się odważnie w tym fiołkoworóżowym świetle, dostrzegałem Davisa już wyraźniej, te jego zwały muskułów pod T-shirtem. Trzymał głowę pod dziwacznym kątem, jak gdyby patrzył w górę znad kierownicy kolarskiego roweru. Uśmiechał się.

– W porządku – powiedział. – Pał sobie. Odkąd rozeszła się fama o *Prehistorii*, przejrzałem całe stopy scenariuszy. Filmy drogi, dobry chłopak z prowincji, polowanko na panienkę, łyzy i happyend. – Pokręcił głową. – Mimo wszystko jestem zainteresowany. Interesuje mnie wasza Dobra forsza. Lecz musimy sobie to i owo wyjaśnić. Jak widzicie postać Douga?

– Ogólnie rzecz biorąc jest sympatyczny.

– To degenerat.

– Ma problemy, których nawet nie podejrzewa.

– Słuchajcie. Nie będę palił ani pił, i nie będę uprawiał seksu.

– W filmie?

– W filmie.

Więc to tak, pomyślałem. Pomyślałem jeszcze przez chwilę i podniosłem palec:

– A czy będziesz miał kaca?

– Oczywiście – zapewnił. – Jestem przecież aktorem.

– Chwileczkę. W *Prehistorii* był przecież seks.

– Tam chodziło o człowieka pierwotnego, Self. Martwi mnie jeszcze coś innego.

Bójka. Wyjaśnij coś, dobrze? Dlaczego miałbym walczyć ze starym człowiekiem?

Zauważyłem, że Fielding także wpatruje się we mnie pytająco. Zaraz będzie po wszystkim. Jak wszystko, i ta groteskowa scenka niedługo się skończy.

– To jakby punkt kulminacyjny – odparłem. – Ty i Lorne walczyście o dziewczynę. No i forsza. To...

– Dobra, dobra, okej. Ale nie mogę się bić ze starym człowiekiem. Nie w taki sposób. Nie na pięści.

– A gdybyś przegrał? Co wtedy? Albo gdybyś zdzielił go po łbie lewarkiem?

Spojrzał na mnie z politowaniem – szerokie usta osadzone nad wydatną brodą. – Coś takiego nigdy nie mogłoby się wydarzyć – warknął. – Pokonałbym go inaczej. Są jeszcze inne sposoby... hipnoza, siła sugestii. To zresztą da się ustalić. Herrick powiada, że próbna wersja scenariusza będzie gotowa już za dwa tygodnie. Wtedy przyjdziecie do mnie i znowu porozmawiamy. Matka odprowadzi was do drzwi.

Idąc w kierunku drzwi zatrzymałem się nagle, obróciłem, jak gdyby kierował mną scenariusz tego konkretnego kaca, i podszedłem z powrotem do stołu: stanąłem z rękami w kieszeniach parę kroków od krzesła Davisa. Podniósł głowę. Tak, nawet głębię miał muskularną, jak gdyby pakował uszami.

– Kiedyś się jeszcze spotkamy.

Hm?

– Pokój 101.

– Przepraszam?

– A zresztą, zapomnij. Wiesz, naprawdę podobał mi się twój film. Czegóż mnie nauczył. No to do zobaczenia, Spunk.

Staliśmy w gorącym, piaszczystym odbycie ulicy, wpatrując się w ścianę śmierci Pierwszej Alei. U wylotu tunelu droga wspina się ostro w górę, do nieba. Strumień pojazdów dudnił z łaskotem na łukowatym podjeździe, całe tabuny sunęły w miasto z czeluści podziemnej arterii. Fielding odesłał autocrata i zbijaliśmy tak sobie bąki, rozmyślając i gaworząc: producent w wystrzałowym, gołębioszarym garniturze i reżyser w nijakiej czerni i niepokojącej go cielesnej powłoce. Gdy tylko tam dotarliśmy, bolce w plecach zaczęły mnie łaskotać, nienawistnie wgrzyzać się w ciało. No cóż, przydałoby się może dopuścić jakiegoś medyka – rany mogą być zainfekowane. A może wypłoszyłbym zarazki penicyliną z moich osobistych zapasów. Ile w Kalifornii liczą za nowe plecy? Noc w samolocie – z plecami przyklepionymi do obić z poliestru – powiedziałyby mi całą prawdę. Wiedzieliby, co robić. A więc do domu. Wracajmy do domu.

– Czyli – zacząłem – kolejny świrek. Tego nam potrzeba. I o co ma chodzić z tym całym „ocaleniem”? „Ocalony”, co to właściwie ma znaczyć?

– Narodzić się na nowo. Fundamentalizm, Slick, ta najbardziej wulgarna i proletariacka ze wszystkich amerykańskich wiar. Nikodem, Ewangelia wg Św. Jana,

rozdział trzeci: „Zaprawdę, powiadam ci: jeśli się kto nie narodzi na nowo, nie ujrzy Królestwa Bożego”.

– Że co?

– To Biblia, Slick. Nigdy nie czytałeś?

– Owszem, czytałem, czytałem.

– Spunk jest bardzo wierzący. Ten szczeniak to święty, wiesz o tym? Pomaga w szpitalach, pracuje wśród biedaków Bronxu. Wszystkie pieniążki, których tatko nie przepuści na konie czy kobiety, Spunk oddaje na cele charytatywne.

– No to się zgadza. Kolejny świr.

– Takiego nam właśnie potrzeba. Właśnie takiego. Jest w nim właściwa mieszanina. Będzie dla nas w sam raz. Ten dzieciak jeszcze urośnie, nie martw się, będzie z niego mocz. Spunk jest na fali, Slick. I słuchaj – Fielding zaśmiał się krótko – myślisz, że ma zezwolenie na taką górę mięśni? Wiem, co cię martwi, lecz spokojna głowa. Da się nim posterować. Doris uwzględni jego wyskoki w scenariuszu, a gdy tylko Spunk ujrzy napisaną rolę, zaraz się uspokoi. A wraz z nim wszyscy inni. Poza tym ciebie lubi. Tak jak i wszyscy. Słuchaj, naprawdę szkoda, że musisz wracać, John. Coś przecież drgnęło.

Do diabła, budżet i scenariusz równie dobrze uzgadniać mogę z Londynu. Gdyby Doris Arthur zdążyła przed terminem, mogliby mi go przesłać w ciągu jednej doby. A tymczasem Fielding obiecał, że wynajmie jakieś gniazdko czy studio, żeby zebrać aktorów do epizodów – do ról kelnerów, tancerzy, gangsterów.

– Będziemy z tym mieli niezły ubaw – zapewnił. – Przyszłość rysuje się w jasnych barwach, Slick.

Uścisnęliśmy się – serdeczny, męski uścisk z muśnięciem policzków – rzecz jasna bez całusów. Człowieku, potrzebowałem takiej czułości. Autocrat zacumował przy chodniku. Na jego dachu musiałem podparafować kilka kontraktów (jak zwykle: raz jako „strona umowy”, raz jako „Self”). Fielding pomachał mi jeszcze na pożegnanie i zniknął za przyciemnioną szybą.

Szedłem środkiem miasta pod czerwonym spojrzeniem słońca. Gdy dotarłem do „Ashbery”, w recepcji poinformowano mnie, że rachunek „uregulował już pan Goodney”, który, co więcej, zarezerwował mi pokój 101 aż do odwołania. Był to więc rodzaj ustępstwa. Wiedziałem, że „Ashbery” bardzo się Fieldingowi nie podoba; wciąż mnie namawiał, żebym zajął apartament – albo całe piętro – w hotelu takim jak „Bartleby” czy „Gustaw” przy Central Park South. Lecz „Ashbery” o wiele bardziej mi odpowiadał. Poza tym już się tu zadowoliłem.

A zatem się pakuję i szykuję do drogi. Gdy wsuwałem książkę Martiny pomiędzy

fałdy najlepszego garnituru, do drzwi zapukał Felix. Wniósł białą paczkę wielkości małej trumny, fantazyjnie przewiązaną jadownicę różową wstążeczką. Selina ma komplet bielizny dokładnie w tym samym kolorze. Selina. Mam wobec niej wielkie zamiary. Więc cóż, kolejny prezent?

– Przesyłka – zawołał Felix, prostując się jak struna. Nawet stojąc na baczność, Felix zdawał się biec.

– To dla ciebie, Felix. Prawdziwy z ciebie przyjaciel.

Wziął banknot, lecz na jego twarzy odmalowało się zdziwienie.

– To duży nominał, szefie. Upił się pan? – zapytał grzecznie i uśmiechnął się.

Niewiele jest lepszych rzeczy od powściągliwego, czarnego uśmiechu; uśmiechu jakby wbrew sobie. Wart jest te sto dolarów. A nawet więcej. Wypukłe powieki Felix miał tak nieskończenie ciemne, że jego spojrzenie krzyczało głośniej, a uśmiech był jeszcze bardziej ulotny. To zawsze nadawać mu będzie wyraz beczelności, nawet gdy przestanie być czarnym szczeniakiem i zacznie być czarnym mężczyzną. Miałem chyba kiedyś taki sam uśmiech, choć już dawno musiałem go zgubić. Nauczyciele wpadali w szal; i syczeli, żebym zmazał go z twarzy. Lecz skoro nie miałem pojęcia o jego istnieniu, to jakże się mogłem go pozbyć?

– Nic takiego – uspokoiłem go. – Tak naprawdę to nie jest moja forsa. Kup prezent swojej dziewczynie. Albo mamie.

– Niech pan się też niczym nie przejmuję. Białe pudło leżało na łóżku obok czarnej walizki. Pociągnąłem za wstążkę, uniosłem pokrywkę i usłyszałem swój własny okrzyk (czy jęk) wściekłości, obrzydzenia i chyba też wstydu. Zacząłem rozdzierać to wszystko na strzępy, na drobne kawałki – pudełko i jego zawartość. Gołymi rękami. A potem stanąłem na środku pokoju: Jezu, nie daj się, wytrzymaj. Lecz zbyt wiele łez nabierało już się w kanalikach, a chwila była tak podła jak nigdy dotąd. I ruszyły wezbranym potokiem. Powiem wam, jaki to był prezent, i myślę, że zrozumiecie. Nie było w środku jakiegokolwiek karteczki, nic, tylko nadmuchana gumowa lala, biała jak surowa cielęcina, o wilgotnawym wyglądzie, z debilnym uśmiechem.

Wiecie, mówiono mi, że nie lubię kobiet. Otóż ja je lubię. Uważam, że dupeczki są boskie. I słyszałem nieraz, że mężczyźni nie lubią kobiet. Koniec kropka. Tak? Niesłychane. Więc kto je zatem lubi? Bo kobiety też nie lubią siebie nawzajem.

Czasami życie wydaje mi się starym, dobrym znajomym. Często ma w oczach – to nasze życie – pewne dobrze znajome spojrzenie. Życie to wendeta, konspiracja, gniewne uczucia, pobudzona duma, wiara w siebie samego i wiara w sprawiedliwość

– przyplwów i odpływów.

A oto sekret, nikomu nie znany: Bóg jest kobietą. Rozejrzyjcie się tylko. To jasne, że Ona jest Bogiem.

Nad wejściem do baru na obrotowej tablicy umieszczono podobiznę Szekspira. To ten sam portret, który pamiętam jeszcze z lat szkolnych, gdy katowano mnie Tymonem Ateńczykiem i Kupcem weneckim. Czy nie mają lepszej buźki? Czy naprawdę ten cały Szekspir tak właśnie wyglądał? Można by oczekiwać, że do tej pory spece od reklamy wynajdą coś bardziej atrakcyjnego. Ta górna warga, trochę jak dziób, lecz przy tym miękka i mięsista jak dupa, szczeka ciężka i nabrzmiała jak u byle matola, i małe, wpadnięte oczka przypominające górski staw. A czuprynka? Prawda, że coś pięknego? William Szekspir zawsze był dla mnie źródłem ogromnej pociechy. Po wpędzającej w depresję kontemplacji lustra czy nieprzyjemnym słowie od przyjaciółki – lub czymś spojrzaniu na ulicy, niedowierzającym, zaszokowanym – mówię sobie po prostu: „I bardzo dobrze. A taki Szekspir... ten to wyglądał jak gówno”.

– Słuchaj no, Gruby Vince – rzuciłem – a co dziś jadłeś na śniadanie?

– Ja? Raczyłem dziś skonsumować marynowane śledzie.

– A na lunch?

– Flaczki.

– Cóż zatem raczysz spożyć na kolację?

– Móżdżek.

– Vince, Vince, chory z ciebie człowiek.

Gruby Vince to dyplomowany fizol, ustawiacz skrzynek z piwem i wykidajłowy strzelec w naszym kochanym „Szekspirze”. Obrabia to miejsce już ze trzydzieści lat, dzień w dzień. Ja zresztą także, przynajmniej w myśli. Narodziłem się przecież tu, na piętorku. Więc sączył to swoje piwo. Gruby Vince także przypomina gówno, podobne jak jego syn, Gruby Paul... Mam sporo ciepłych uczuć dla Grubego Vince’a, po części dlatego, że i jemu dolega pikawa. Serducho atakuje go co pewien czas, tak jak pewnego dnia i mnie zaatakuje. Gruby Vince też chyba jest mi życzliwy, tak mi się wydaje. Co parę miesięcy odciąga mnie na stronę i, chuchając słodkawym oddechem pijusa, zapytuje, jak to się miewam. Nikt inny tego nie robi. Tylko on. Czasem pyta o moją matkę. Bo Vince, tak jak mój tatuś, też jest już wdowcem. Żonka umarła mu ze zgrzyoty, że była niby z niskiej klasy. Po prostu nie dorastała. Moja mamuska też doświadczyła tajemniczego zmierzchu. Gdy wracałem ze szkoły, włożyłem do niej do łóżka. I czułem, jak się sypie, rozpada na kawałki. Tęsknota za Ameryką. Za dużo

Barry'ego Selfa. Gruby Vince jest również popularnym i zgodliwym wiceszefem sali bilardowej w pobliżu dworca Victoria. Ma tam małą kuchenkę, gdzie gotuje swe pieprzone zarcie. Gruby Paul obja się tymczasem po sali, kluczy tu i tam, no i ciągnie swoje sprawki. Podgrzewa papu. Przy służbowym stoliku przysiadł na poduszce i wbijając sobie kij w podbródek mierzy w twardą bilę... Wkrótce po śmierci mojej mamusi Gruby Vince stoczył z moim tatkiem przesławną walkę koło męskiego strażnika w korytarzu. Kochany „Szekspir” dopiero wtedy raczkował.

– U nas dopiero masz prawdziwe żarło, synu – gaworzy Gruby Vince. – Ale skąd możesz wiedzieć, skąd możesz je znać... całe życie szlajasz się po pierdolonych pubach. Wszamasz paczuszkę czipsów i myślisz, że jesteś w niebie.

– Znasz przecież Loyonela – mruknął Gruby Paul.

– Mowa – potwierdził Vince.

No tak, Gruby Vince to z pewnością nie arystokracja krwi, ale też z drugiej strony mówi z jakąś szlachetną powściągliwością. Gruby Paul już nie – Gruby Paul, z masywnym cielskiem, z niewzruszoną kamienną twarzą, z wysuszoną barową fryzurką i okrutnymi, jasnymi brwiami, nadającymi oczom błysk zawodowego szpicla, który widział już w życiu wszystko – który zwęszył każdą krecią norę, każdą zajęczką pułapkę. Gruby Paul, trzeba powiedzieć, nie przejmuje się za bardzo swoim akcentem. Nie owija niczego w bawełnę. Każda jego sylaba ma błysk i ostrość groźby. Tego tonu nie da się podrobić, nikt się z Grubym Paulem nie zmierzy. Oto i on.

– Widziałem go na ulicy w niedzielę – rzecze Gruby Paul. – I mówię: „Korwa! Właśnie wpięprzyłś curry?” A on na to: „Gdzie. Wrombałem kori we piontek”. Więc ja: „A cożeś szamał dzisiaj?” Na to on: „Szy peperoni i dwie chińskie supy”. Jak na razie, jest tylko na antybojotkach na syfa pod pachą i na nosie. Następnego dnia widzę go znowu – tam, w motorowym kłobie. Wiesz, tatko... mają tam taką maszynę, co to sprzedaje szipsy. Szipsy.

Najwyraźniej Gruby Paul wciąż jeszcze nie mógł się otrząsnąć po owym spotkaniu.

– Więc to taki wielki sbiomik gówiennego mazi, co chwileńke taki dupek przyłazi i wlewa więcej paliwa w lejek. Szterdzieści penów za tackę.

I Loyonel tam jest, oczywista, opiera się na maszynie i szre, aż do wyrzygu. Te szipsy. Mówię wam, ten popierdoleniec jest obsydliwy. Nie doje się opisać. Jusz szre szwortą tackie, odwraca się do mnie i mófi że nie może sroszumieć dlaczego ma te pierdalone kłopoty ze swojom skórą!

– Niech się cieszy, że żyje – zauważył Gruby Vince – jedząc wszystko to, co je.

– Widzieliście jego kałdun?

– Jego ojciec zmarł, gdy miał, nieboszczyk, pięćdziesiąt jeden latek. Pięć lat był na diecie, robił się grubszy i grubszy. Aż tu kiedyś wykryto, że rąbie dietę plus normalne żarcie. Lepiej nie myśleć, co potrafił wrzucić w swoją paszczę. Gdy Eva wróciła, schowała mu sztuczne zębałe, ale on wszystko rozciąpał, rozchlapał, i tak czy owak pożarł. Bo miał trochę własnej forsy.

– Forsa – zauważył w zamyśleniu Paul – nie forta jes słomanego szylinga, no nie, bez pierdolonego szarcia.

Mówi się, że Francuzi żyją, żeby jeść. Anglicy, natomiast, jedzą, żeby zemrzeć. Podszedłem z moją pintą do baru i zakosiłem torebkę chrupek – smak krewetek i rolmopsów – plus paczuszkę przegryzek z wieprzowiną; o tak, „Pork Scrunchies”. Odwróciłem się, zagryzałem i gapiłem się na ludzi. Nie ma najmniejszych wątpliwości, nie jestem bynajmniej tragiczny, gdy tak się objam, tu, w moim „Szekspirze”. Gdy mnie zestawisz z Fieldingiem i jego filmowymi gwiazdkami, to może nie stoję aż tak wysoko; ale tutaj jestem rarytasem. Te kobiety-robotki, kobiety robotniczej klasy, tworzą jakby trybunał owiec. To niełatwe i męczące należeć do tej klasy. Harówa, pot i lzy. A pub też nie pomaga. Obróciłem się znowu i oparłem na kontuarze baru, wyłożonego drewnianymi listwami; powyżej, po obu stronach, niczym nazwy ulic, niczym heraldyczne tarcze, wisiały tablice z logo producentów piwa, i wszędzie tłoczyły się firmowe popielnice wielkie jak wazy, albo grube, futrzane podstawki, wyglądające na mokre, nawet gdy są zupełnie suche. Na kwadratowym drewnianym filarze zawieszono wypisany ręcznie jadłospis pubowego żarła, z obsesyjną żonglerką grillów, saute i garnirów, z pretensjonalnymi zawijasami i podkreśleniami; „kawa” i „herbata”, rzecz jasna, w egzotycznych cudzysłowach. Przez chwilę wpatrywałem się w zegarową tarczę staroświeckiej skarbonki na dobroczynne składki. Pozwól Przyjaciołom Szpitala Św. Marcina Przepowiedzieć Ci Przyszłość. Wrzucasz więc monetę, czarodziejska różdżka się obraca i otrzymujesz jedną z krótkich, zdawkowych przepowiedni. Oto, co było do wyboru: Trzymaj Się Lagra – Nie Złapie Cię Podagra, Wielka Wygrana Na Wyścigach, Wielki Dzionek Męski Potomek... A więc nic takiego straszego. Bo ja tak boję się wszelkich oznak i przepowiedni. Gdyby Przyjaciele Szpitala Św. Marcina zamierzali mi przepowiedzieć utratę moich skromnych piórek, albo, powiedzmy, ciężką posuchę lepetyny, to mogliby martwić się o swój szpital sami. Wpuściłem w szparkę dziesięć pensów: moneta spadła z pełnym zadowolenia stuknięciem. Poruszyła się różdżka: Pieniądz W Drodze. Wrzuciłem następną monetę: Wystrzegaj Się Złej Rady. W porządku, umowa stoi. Uniosłem wzrok do góry. Obraz w chybotliwym lustrze prosto z komory strachów zadrżał i rozsypał się: rozchyliły się szklane drzwi, zajrzał

mój papa i skinął zachęcająco, jak gdyby zza linii autu. Instynktownie zrobiłem unik.

– Cześć, tato – rzuciłem.

Był w czarnej skórzanej kurtce i białej jedwabnej apaszcze. Wciąż ma niezłą plerezę, ten mój stary, srebrzystą i bujną. Chętnie bym tak wyglądał w jego wieku. Gdyby się zastanowił, chętnie bym tak wyglądał i teraz, a nawet, czemu nie, pięć, ba!, dziesięć latek temu. To ten cholerny zegar, ta pieprzona pikawa. Mam serducho na szmelc.

– Nie nazywaj mnie tak – skrzywił się z niesmakiem. – Jesteśmy kumplami. Mów do mnie Barry. A teraz – położył mi na ramieniu rękę i poprowadził mnie do sali obok – chciałbym zapoznać cię z Vron.

– Vron?

Czyżby zadawał się z robotami? – pomyślałem. Zatrzymał mnie, szarpnąwszy lekko za włosy.

– Tak, Vron – mruknął. – A teraz się zachowuj.

Nawet w mojej wymowie Vron brzmiało nienajlepiej. Mój tatko ma pewne kłopoty z wymową głoski „er”; popieprzono mu coś z podniebieniem, a może to jakaś sztuczka krtani. Jego „Vron” wyszło nieporównanie gorzej.

Sąsiednia sala przeżyła długą drogę od czasów, gdy byłem chłopcem. Nadziana była teraz forszą. Żeberkowaty, krostowaty gazowy piecyk, udający palenisko kominka – w owym mizernym cieple ubierałem się do szkoły – zastąpiono teraz czarnym koszykiem jaj udających węgiel. Babciny stoliczek, przy którym jadłem poranne grzanki z marmoladą, zastąpiła teraz wystrzałowa komoda-barek inkrustowana plastikiem, wokół niej ustawiono trzy wysokie stołki; na lśniącym blacie rysował się manhattański horyzont butelek, syfonów i koktajlowych mikserów. Vron półleżała na krytej białym welwetem sofie, o luksusowym, teatralnym wyglądzie. A Vron – nie sofa – była bladą brunetką, taką w sam raz, mniej więcej w moim wieku. Gdzieś już ją widziałem.

– Miło mi panią poznać.

– Wiele o tobie słyszałam, John – odparła Vron.

– Vron jest dziś bardzo szczęśliwa – zachrypiał tatko. – Prawda, koteczko?

Przytaknęła.

– Dziś jest szczególny dzień dla mojej kochanej Vron. Pokaż mu, laleczko.

Vron uniosła się, obciążając fałdy kaftana. Sięgnęła pod stół do kawy i wydostała pornograficzne pismo o tytule „Debonair”... Otóż znam się na pismach pornograficznych: „Debonair” należy do tych tańszych, kierowanych choćby do fizola, któremu potrzeba akurat podniety do opukania swej rury; w takim piśmie zobaczysz na przykład lubieżną gospodynię domową, dorabiającą zaskórniaki, albo ogromniastą

Szwedzicę o krostowatym tyłku, wyłuskującą się z taniej bielizny rozprowadzanej w popularnej sieci sklepów.

– Siadaj, John – zaprosiła, wyglądając miejsce obok białą dłonią.

Śliniąc koniuszki palców, Vron kartkowała pismo. Z głębokim westchnieniem – z jakimś gulgotem satysfakcji – odnalazła lśniąca rozkładówkę. Rozpostarła ją na moich kolanach gestem delikatnej pieśczoły. Ojciec usiadł także. Poczułem ich ręce na moich ramionach, a ich zaróżowione, pełne oczekiwania, ludzkie twarze były bardzo blisko mojej.

Rozpostarłem pisemko przed oczami. Ze strony po prawej stronie wpatrywała się we mnie twarzyczka Vron. Na odsłoniętym dekolcie widniał napis: „VRON” – znów ten cudzysłów ze swoją egzotyczną, niemożliwą do spełnienia obietnicą.

– No, dalej, John – usłyszałem, jak szepcze. Odwróciłem stronę. I znów była Vron, z tymi wszystkimi wstążkami i taśmami, w jedwabnych więzach, robiąc to wszystko, za co takim cipeczkom płacą. Odwróciłem następną stronę.

– Nie tak szybko, John – znów usłyszałem szept.

Więc Vron na krzeselku ze stali, z ciężką kulą piersi w każdej ze swoich dłoni. Oto Vron naprężona w hak, z uniesionymi w górę nogami, leży na puszystym białym dywaniku. Vron przeciągająca się na lamparcej skórze. Vron kucająca nad leżącym na podłodze lustrem. Odwróciłem stronę.

– Tutaj, patrz – szepnęła.

Ostatnie ujęcie narozkładówce ukazywało Vrona na kolanach, unosząc przyozdobiony podwiązkami tyłek w kierunku kamery: długimi palcami o karmazynowych paznokciach rozsuwała pośladki, ukazując podniecającą, pełną rozmaitości szczelinę. Teraz ją rozpoznałem: to przecież Veronica, utalentowana striptizerka – stąd, z „Szekspira”!

Zaczęła cicho płakać. Tatko spojrział na mnie męskim wzrokiem. W jego oczach jednak też czaiły się łzy – tak mi się w każdym razie zdawało.

– Jestem... jestem taka dumna – załkała Vron.

Tato westchnął głęboko i podniósł się. Klepnął otwartą dłonią koktajlową konsolę. Powiedział z protekcjonalnym znanstwem:

Różowy szampan. Nie co dzień zdarza się taka okazja. No, no, Vron, weźmy się w garść. No, kto tu jest głuptaskiem? John patrzy na ciebie, koteczku. – Pomasaował z zadowoleniem nos. – Proszę, John.

– Vron? Barry? – uniosłem kieliszek. – Wasze zdrowie.

Wracałem do domu *fiasco*, które, poza niesprawnym systemem chłodzenia,

nawalającymi hamulcami i szwankującym wspomaganie kierownicy, a nadto tendencją do gwałtownego ściągnięcia w prawo, zdaje się obecnie być pojazdem, na którym można polegać. Generalnie, częściej udaje się go uruchomić niż nie. Nie wydaje mi się, żeby podczas moich pobytów w Stanach Selina przewietrzała go zbyt często, a z drugiej strony Alecowi też jest teraz psu na budę, gdy biedak siedzi pod kluczem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę... Jazda z Pimlico na Portobello zajęła mi z górą półtorej godziny i minęła już dobrze północ, gdy przycumowałem samochód na podwójnych żółtych liniach, pod moim domem. Dlaczego droga zajęła mi tyle czasu? Otóż o dwunastej w nocy był korek jak w godzinach szczytu. Miało to coś wspólnego z tym pieprzonym królewskim ślubem. Prawie godzinę tkwiłem w zablokowanym tunelu pod Westway, przeklinając jak pijany szewc. Fiasco zaczęło się przegrzewać. Ja zresztą też. Samochody napchane były cudzoziemcami i rechoczącymi ubzdryngoleńcami. Przelyk tunelu napuchł dymem petów, spalinami i śmierdzącym wyziewem z gąb. Lecz udało nam się wreszcie – mojemu *fiasco* i mnie – wślizgnąć na ciemnoniebieską mapę gwiazdozbiorów. Połączmy te wszystkie kropeczki... Londyn cierpi na jet-lag. Londyn cierpi także na kulturowy szok. Robi wszystko na opak i to zawsze o niewłaściwej porze. Gdy wszedłem z drinkiem do sypialni, Selina siedziała na łóżku.

– Co słychać?

– Czytam książkę.

– Co czytasz? – Na podkurczonych udach opierała pisemko „Sugar”. Obok niej leżał telewizyjno-radiowy tygodnik.

– Jak się miewa Barry?

– On? W porządku.

– Poznałeś jego nową wywłokę? Mówi, że zamierza się z nią chajtnąć. Znow się do mnie dobierał kilka dni temu.

– Nie mów. Jak to się stało?

– Wsunął mi łeb pod spódnicę.

– Co?

– Myślałam, że żartuje, dopóki nie próbował ściągnąć mi majtek zębami.

– Jezu.

– Doktorze!

– Co takiego? Że co?

– Doktorze? Zdaje mi się, że zraniłam wewnętrzną stronę uda. Czy mógłby pan doktor rzucić na to okiem? Pewien nafciarz zaoferował mi pięćdziesiąt petrodolarów za przedmuchiwanie w windzie.

– I co zrobiłaś?

– Zażądałam siedemdziesięciu pięciu. Lecz wtedy chciał iść na całość i był chyba ciut za gwałtowny z tym moim wewnętrznym udem. Więc może pan doktor będzie łaskaw spojrzeć?

Powiedziałem jej, żeby dała spokój z takimi idiotycznymi tekstami i zaczęła gadać do rzeczy – o tym nafciarzu i jego petrodolcach i o tym, co kazał jej robić... W momencie orgazmu wydała z siebie odgłos, jakiego dotąd jeszcze nie słyszałem, rytmiczny jęk czy to opuszczenia, czy błagania, smutku i zagubienia. Już kiedyś to zresztą słyszałem, lecz nie w wydaniu Seliny.

– Hej – powiedziałem (choć żartem, jak myślę) – chyba nie udajesz?!

Spojrzała ze zdumieniem i złością.

– Żebyś wiedział, że udaję – rzuciła szybko.

Zastanawiające, że jedyny sposób, w jaki potrafię skłonić Selinę, żeby chciała iść ze mną do łóżka, to powiedzieć jej, że nie mam na nią ochoty. Działa bez pudła. Wprawia ją we właściwy nastrój. Tyle że kiedy nie chcę iść z nią do łóżka (a czasem tak się zdarza), to po prostu nie chcę. Kiedy tak się dzieje? Kiedy nie chcę iść z nią do łóżka? Wtedy, gdy ona ma na to chętkę. Lubię iść z nią do łóżka, gdy pójdzie ze mną do łóżka jest ostatnią rzeczą, na którą miałyby ochotę. Lecz prawie zawsze się na to godzi, gdy odpowiednio na nią na wrzeszczę albo jej pogrozę, albo dam jej troszeczkę forsy.

Dobrze to działa. To naprawdę świetny system. Jesteśmy razem z Seliną jak płonący dom. Bo z Seliną jest taka sprawa, że ona rozumie. Zna nasz wiek dwudziesty. Naszwędała się dosyć po miastach... Gdy idziemy razem do łóżka, czasem rozmowa kieruje się na... Gdy się pompujemy, często gadamy o forsie. I to mi się podoba. Lubię takie świńskie rozmowy.

Nie zmrzyłem oka. Nie ma szans. Nie mogłem zasnąć, lecz Selina – i owszem. W tym jest dobra także, ma talent do spania, z tą swoją dziecinną buzią.

Przeszedłem do pokoju obok. Miałem na sobie przykrótki szlafrok. Nalałem drinka. Rozejrzałem się dookoła, wypatrując śladów, wskazówek. Gdy wróciłem z lotniska – wczoraj, a może przed tygodniem – mieszkanie było trochę w nieładzie, jakby ktoś wprowadził się w pośpiechu, jak gdyby wysiłki sprzątającej pani zostały nagle zniweczone, a mieszkanko po drodze poczochrane. Na stole stały kwiaty, ale w koszu na brudną bieliznę nie było ani pary majtek. W lodówce było świeże mleko, lecz

herbata w dzbanuszkach już pleśniała – a przecież Selina lubi herbatę. Jest smakoszką herbaty i często nosi z sobą paczkę w torebce... Czekala na mnie. Mogłem to poznać po jakości jej przestrachu, po jej przeszarżowanym aktorstwie.

- Gdzie byłeś? – pytałem.
- Tutaj! – upierała się, gorliwie kiwając głową.
- Skąd wiedziałas, że wracam?
- Nie wiedziałam! – przeczyła.

Nie mówiłem przecież nikomu, nawet Elli Llewellyn, nikomu. A zresztą, pal to szczęście, pomyślałem, i starałem się wepchnąć ją pod kołdrę. Odczuwałem silne pragnienie, żeby ją znowu objąć we władanie. Pozwala się trochę poobracać, z tym lipnym postękiwaniem, o którym wie, jak mnie bierze, i które daje konkretną zapowiedź jej zawadiackich, rozgrzewających talentów – zanim powie stop, wyślizgnie z łóżka, poprawi na sobie odzienie, przyczesze włosy, zmieni buciki, przypudruje nos, wysunie z ust swojego fiuta i zacznie domagać się obiadu.

Idziemy do „Kreutzer”. Jem i piję, jak gdyby jutro nie miało nastąpić. Nie mamy sobie wiele do powiedzenia. Osoba, którą ciągnie się za włosy po schodach, nie zadaje przecież kłopotliwych pytań. Więc nie zamierzam jej denerwować, nie ma obawy. Zbyt mało boję się trzęsienia ziemi, nuklearnej wojny, najazdu istot pozaziemskich czy Sądnego Dnia, który nadejdzie, zanim doczekam się nagrody. Wszystko, czego możecie spodziewać się po Johnie Selfie, to trochę gładkiej gadki, łatwych pochlebstw i płaczących próśb o następne kolejki. Po przyprawiających o ból zębów likierach gnam ostro do domu i porzucam *fiasco* na środku ulicy. Jestem teraz skrzypiącym czarodziejem żarła i wody, miłosnych nektarów i seksualnych zakłęb. Selina z opuszczoną nisko głową wchodzi do sypialni. Czaruję ją rozmlaskanym, wilgotnym chrząknięciem i zaczynam rozsypywać pasek.

...Uniosłem stertę kopert ze stolika do kawy i wziąłem tę od spodu: kopertę z comiesięcznym stanem konta, w znajomym matowym brązie i z lakową pieczęcią przypominającą zakrzepłą krew. To już nie moje konto – oczywiście! Teraz to już konto wspólne. To w połowie konto Seliny – żeby podratować jej poczucie godności i szacunku do własnej osoby – pamiętacie? Tępym kciukiem zламаłem pieczęć. Wykaz miał – przysięgam – bite trzy strony. Pośród zwykłych, lakonicznych pozycji po stronie debetu – biuro podróży „US Approach”, sklep alkoholowy „Liquor Locker”, dentystka dr Martha Gilchrist, Miejskie Gazownie, restauracja „Kreutzer”, restauracja „Mahatma”, linie Trans American i znów „Liquor Locker” – kłębił się cały tłumek nowych przyjaciół Seliny wywodzących się z dni dawno już minionych. Jezus, cóż to

za towarzyscho! Można by pomyśleć, że gdy dupeczka ma do upłynnienia choć kapkę floty, przenosi się do Troi czy Kartaginy! Bo czegoś tu nie mamy: „Chez Zeus”, „U Goliata”, „Amaryllis”, „Afrodyta”, „Romeo & Julia”, „Romulus & Remus”, „Heloiza & Abelard”... Dotąd zawsze przypuszczałem, że Selina wydaje całą kasę na masaże, przemodelowanie piórek czy seksowne majtasy – lecz było tak tylko wtedy, gdy była bez grosza przy duszy. Tym, co mówiło wszystko, była samotna pozycja w rubryce kredytów; dwa tysiące funtów ściągnięte z terminowego rachunku. Ale chyba nie mogę narzekać. Bo taka była umowa. Nasza dżentelmeńska umowa. Bo na tym polega cały kłopot z godnością i szacunkiem (do siebie samego): kosztuje to wszystko kupę pierdolonej forsy.

A teraz jestem jednym z bezrobotnych. Cóż więc porabiamy przez cały boży dzień? Przesiadujemy na balkonach i werandach, chodzimy bez celu po brudnych chodnikach. Chodniki przypominają przetarte dywany po jakiejś szaleńczej imprezie, gdy wszystko uwalane jest wyrzyganym papu i porozlewanymi drinkami. Ubiegłej nocy bogowie pogody topili wszystkie smutki, a następnie puścili pawia z wysokości dwudziestu tysięcy metrów ponad ziemią. Wysiadujemy ogłupiali po parkach, pośród kwiatów z niższych kast. O żesz ty (myślimy), ale to życie jest powolne. Dorastałem w latach sześćdziesiątych, gdy były jeszcze szanse, kiedy wszystko na nas czekało. A teraz małowaty wyciekają ze szkół – i co na nich czeka? Nic, bo wszystko chuj. Młodzi (widać to po ich twarzach), te smutasy o sterczących piórkach przypominających grzbiety stegozaurów, te puste twarzyczki przystrojone jak papużki nierozłączki – oni znaleźli jednak właściwą odpowiedź na wszystko dookoła. Odpowiedzią jest brak odpowiedzi. Odpowiedź brzmi: nie. Nicość i nic, to znaczy wszystko chuj. Kolejka po zasiłek dla bezrobotnych zaczyna się już na placu zabaw. Ten ich plac zabaw to zakazane londyńskie ulice, te ich zabawy to uliczne rozróby. A życie – życie zgarniają pod siebie inni. I nie chcą z niego nic użyczyć. Zaś forsa jest tak blisko, że możesz jej niemal dotknąć – lecz jest po drugiej stronie. Możesz przyłożyć twarz do szyby. Za moich czasów, gdy naszła cię ochota, mogłeś się po prostu wyłączyć. Odłączyć się, wycofać, odpaść. Lecz teraz już nie. Postarała się o to forsa. Po prostu nie ma gdzie iść. Nie można się przed forszą ukryć. Nie ma gdzie. Więc to dlatego, gdy noc jest szczególnie gorąca, dzieciaki chwytają za łomy i rozbijają co tylko się da.

Tymczasem tabuny prymitywnych istot rozbijają się tu i tam z workami forsy, w swoich torpedach czy bumerangach, lub przesiadują – nadziani forszą – w jakiejś „Mahatmie” czy innym „Asyżu”; albo też łążą z pełnym portfelem po sklepach, pubach,

ulicach. Są wszystkich kształtów i barw – niewinni, nieświadomi beneficjenci tego globalnego dowcipu, który trzepie kasę. Sami nie robią nic: bo haruje na nich waluta. Zeszłego roku puby pełne były niewiarygodnie rozrzutnych Irlandczyków: nie mieli już w kieszeniach grosza, lecz mieli za to EUROFORSE, a więc coś znacznie cenniejszego. To dopiero nabywcza siła! Sterty szmalu leżą na Bliskim Wschodzie, a nowe oddziały łupieżców przybywają z kosmosu, żeby łupić nasz biedny Zachód. Za każdym razem, gdy na światowych giełdach funtalowi zerzną zbiorowo dupę, arabskie panienki sprawią sobie wszystkie po nowym futerku. Lecz są też biali forsiarze, Anglicy, a jakże, nasi krajanie. To muszą być, nie ma rady, bandyci – prawdziwi kryminaliści, z brzęczącymi trzosami złota, z wstrętną, gównianą mową (te ich pierdoły, te brednie!), i okrutnymi, podpalanymi gębami. Jestem właśnie jednym z nich. Jestem jednym z nich, biały, a co najmniej szary jak niebo, z wyliniałą, wycieraną po pubach plerezą, z odrętwiałą ręką na bocznym oparciu drzwiczek mojego *fiasco*, z ponurą, niezycziwą miną, gdy stoję na światłach, umysłowo ociężały od wszelkich moich nałogów – a jednak trzęsący forszą. Tak, mam forszę, lecz nad nią nie panuję: Fielding wciąż podrzuca mi jej coraz więcej. Forsa, jak myślę, wymyka się spod kontroli. Nawet ci, którzy ją mają, nie potrafią nad nią zapanować. Psioczmy wszyscy na życie – non stop; lecz rzadko kiedy słyszy się złe słowo o forsie. Forsa to gówno, zgoda; lecz cóż za piękne gówno...

Odkąd zrezygnowałem z pracy i zacząłem czekać na realizację mojego filmu, również poczułem się jak zbędna przerwa pomiędzy całkiem różnymi sprawami. Więc jakże możecie oczekiwać, iż ktoś taki jak ja poradzi sobie z biegiem dnia? Zupełnie nie mam pojęcia, co z takim fantem zrobić. Doradźcie mi, proszę, powiedzcie. Forsa nie powie mi nic. Więc leżę bezmyślnie w kołyszce, aż doczekam – czego? Jakim cudem taki stan może się sam zakończyć? Podnieś się zaraz na nogi, won z wyra, won z chałupy – i rób coś, od razu, teraz! Zaraz! A tymczasem dryfuję, zwlekam, mażę się, opieprzam... Oto wstałem, nareszcie, do połowy ubrany, i działam już w kuchni uzbrojony w filtry do kawy i papierochy. Nałogi niekiedy się przydają: przynajmniej zwlec się musisz z betów, żeby je zaspokoić. Wyglądam przez okno – na ulicę, na to niebo w kolorze zmoczonego cukru – i wszystko mnie przytłacza, ogłupia, ogłusza. Same okna – jako takie – mają troszeczkę więcej sensu. Są w nich podwójne szyby – z podwójną warstwą brudu. Okno wygląda jak przednia szyba mojego ukochanego *fiasco* – po tysięczkilometrowej podróży, zapaskudzona poczerniałą krwią owadów sprzed jakiś dziewięciuset kilometrów, nakrapiana sadzą, lepiąca się od paluchów jakichś cuchnących, zafajdanych zjaw. Nawet śmierć ma swoje graficzne wzory, nawet śmierć poszukuje formy... Gdy porzuciłem pracę, czułem się jak po zaliczonym semestrze,

jak w sobotni, weekendowy poranek; czułem się wspaniale, wspaniale i nielegalnie. A jednak każdy koniec powinien być jednocześnie początkiem, tyle że w tym przypadku doprawdy nie wiem czego. W głowie mam całkowitą pustkę, odczuwam nicność, czuję, że wszystko szajs. Selina jest rannym ptaszkiem. Jej instynkt Głównej Ulicy (dostrzegalny w ostrości rysów, a nawet w ostrości zębów) winduje ją w świat forsy i pieniężno-towarowej wymiany. Interesuje ją butik prowadzony przez tę użyteczną i pomocną przyjaciółkę o niemieckim imieniu Helle; ów butik w sercu Chelsea, o nazwie „Koniec świata”. Selina bardzo chce, żebym co nieco w ów „Koniec świata” zainwestował. Wcale nie mam na to ochoty; wiem jednak, że to zrobię. I wiem, że gdy to zrobię, to swego szmalu nie odzyskam już nigdy.

Więc gram na zwłokę i ustawiam pasjansę. Książka od Martiny leży zamknięta na moim nocnym stoliku: jeszcze się w nią nie wgryzłem i wciąż jeszcze nie wiem, co to są owe „folholstry”. Spoglądam w telewizorek, spoglądam na wideo. Kiedyś miałem całkiem porządną kolekcję filmów, ale teraz nie potrafię już strawić niczego, co trwa choć trochę dłużej. Obejrzałem wszystkie ostrzejsze pornusy, a teraz, gdy Selina jest blisko, nie potrzeba mi już wcale pornografii. Napęlam we łbie szpule wieczornym wytryskiem przypadkowego telewizornego śmiecia. Krótkie filmiki o zwierzętach, seriale komediowe. Piłka nożna, snooker, kręgle i rzutki. Rzutki! A niech to! Jezusie... niedługo sam będę wyglądał jak te grube, pierdzące brutale z kufelasem piwiska i pęczkiem strzałek w grabie. I z obwisłymi ramionami, z oczami utkwionymi w upstrzony gównami chodnik leżę w kierunku jakiegoś całonocnego klubu, gdzie siadam sobie w kąciku z ciężkim dwupintowym kuflem, poczytuję bluzgającą bulwarówkę i grzeję się przy kominku.

Rosja da na pewno Polsce popalić. Gdybym to ja był Rosją, właśnie to przede wszystkim bym zrobił, przynajmniej dla zachowania pozorów – bo czy można pozwolić, żeby w świat poszła fama, że Rosja daje sobie grać na nosie? Wydaje się nadto, że księżę Karol pohasał sobie trochę z jedną z siostrzyczek Diany, i to już dawno, dawno temu, zanim wskazał Dianę jako prawdziwą wybrankę rodziny. Kolejny zahukany sędzina, co to bierze od swojej pani w dupę, wlepił jakiejś rozłożystej dziewczoi półfuntalową grzywnę – ukatrupiła mleczarza, lecz cierpiała w owym czasie na PMS-pobudliwość przedmiesiączkową! Natomiast Sojusz Atlantycki jest naprawdę w oplakanyim stanie. Tak mi donosi gazeta. A czego to oczekiwać? Oni mają aktora, my za to mamy damulkę. Liverpool, Birmingham, Manchester – nowe zamieszki i gwałty. Kolorowe dzielnice tych miast płoną albo gniją. Cicho, dzieci, sza, bo pani premier czeka właśnie na okres. A oto kobieta, która oddaje obcemu swe pięcioletnie dziecko: w pubie za dwa portery.

Żyje w separacji z mężem (ślub mają tylko cywilny), który w dodatku jest bez pracy.

Rozwiązuję łatwą krzyżówkę. Bawię się w gry kosmiczne, gram na owocowych maszynach. Czuję się jak robot, grający z innym robotem – o stawkę. Jesteśmy obaj jednorękami bandytami. Przytrzymaj, pchnij, obróć, kopnij, szarpnij, podwojona stawka, wygrałeś, przegrałeś. Maszyny robią wszystko za ciebie – Prizefinder, Holdamatic, Autonudge. Ssane wyszukują ci nagrody, szarpią się, kopią, przytrzymują. Chce mi się rzygać, gdy „wygrywam” bądź „przegrywam”. Lecz nawet gdyby szparkę miały tuż obok, w ścianie, to i tak wrzuciłbym w nią parę monet. A potem idę gdzieś dalej, rąbię szybkie żarło-śmiecie i zapijam plastikowym winkiem. Junk food – to jest właśnie to! Zaglądam do kantorka zakładów i nie ruszając tyłka z wysokiego stołka tracę furę szmalu. Wstępuję do kilku kiosków i przeglądam dupiaste cipki. Wracam wreszcie do siebie, rzucam się na wyrko, i zaczyna się wszystko od nowa. Któż mi pomoże odnaleźć w tym wszystkim sens? Czas zawiesił mnie oto na haku, posadził na rozżarzonych węglach. Dawniej napędzała mnie energia. A dziś już na sam dźwięk tego słowa ciemnieje mi w oczach z wyczerpania. Nie mogę nic dalej ruszyć, dopóki Doris Arthur nie sprokuruje swego scenariusza. Jeśli zaś chodzi o te, powiedzmy, no, finanse, to ten mój pierwszy asystent, Micky Obbs, wyczekuje na połówce dniówki aż do początku Pierwszego Dnia Ujęć, razem z Desem Blackadderem i Kevinem Skuse. I, kuma, może sobie na to pozwolić.

Weźmy dzień wczorajszy.

O jedenastej czterdzieści pięć zaszedłem do pubu „Jack the Ripper”: ów „Kuba Rozpruwacz” to najbardziej szemrany i najmniej lokalny z moich licznych lokalnych barów. Spelunka nie była wcale aż tak zatłoczona: dziewczuszka za barem co chwila znikwała i nie chciała odpowiedzieć na moje spojrzenie. Powitano dwóch lub trzech nowo przybyłych, wysłuchano ich, wypełniono polecenia, podano drinki i wydano resztę – nie zwracając najmniejszej uwagi na mojego wzniesionego w górę piątała lub na moje skrzekliwe „przepraszam”. Zaraz, zaraz, nie przywykłem do podobnie podłego traktowania.

– No więc?! – zawołałem donośnie. – No jak tam, jakie mam szanse, jeśli poczekam tu jeszcze z miesiąc?

Ludzie odwrócili się, ale barmanka nie zareagowała. Podeszła do kasy, a ta zatrzęsa się i zabręczała – jak na rozkaz. Obróciła się ze sztuczną afektacją – barmanka z bożej łaski i machnęła mi resztą przed nosem, przed samą gębą, która zaczęła się gotować. Co zresztą panienka dostrzegła.

– Nie będziemy pana obsługiwać – oświadczyła. Skrzywiła się. Spojrzała mi w oczy. Jej twarz – jej mały kosmos – wyrażała trzeźwą poprawność. Ludzie wzdłuż baru unieśli z zainteresowaniem głowy.

Sprawa miała się tak, że już w chwili, gdy tu wchodziłem, chciało mi się bardzo pić. A było to pięć minut temu.

– Że co?! Że co takiego? – wydarłem się. – Dlaczego? Kto? Kto tak powiedział?

– Po wczorajszej nocy.

– Jakiej wczorajszej nocy? W ogóle mnie tu nie było.

– Nawet pan nie pamięta, tak był pan pijany. Jerome! – zawołała. – Jerome!

Jerome, zgrabny pedałek cały w dzinsie, z kolczykiem i tlenionym włosom, nadszedł zalotnym krokiem ze swego królestwa grillów, zapiekanki i gazopędnych fasolek.

– Tak?

I to był wkład Jerome’a. Dziewuszka zajęła się już czym innym. Lecz zawołała jeszcze przez ramię:

– Powiedz mi! To właśnie był on, zeszłej nocy.

– Co to za pierdoły z tą zeszłą nocą?! – gardłowałem. – Przecież wam mówię, że mnie tu wczoraj nie było.

– Momencik – zaśpiewał Jerome. – Flora, to musiało być przedwczoraj.

– W niedzielę wieczór.

– A dzisiaj co mamy?

– Poniedziałek – rzuciła Flora. – To był wczorajszy wieczór.

– Więc w końcu jak? – wściekłem się naprawdę. – Pracujecie w tym pierdolonym pubie i nie pamiętacie sami.

– Rozwalił maszynę – tłumaczyła Flora Jerome’owi, który załamywał z rozpaczony rękę. – Potem miał woty do pana Beveridge’a. I zaczął się przypieprzać do mnie.

Opuściłem głowę. Wciągnąłem oddech. Zebrało mi się na płacz. Suszyło mnie. I to jak! Chciałem im powiedzieć, że mam cholerne kłopoty z oczami, piórkami i serduszkami, i że przyjaźnię się z Łomem Guylandem i Butch Beausoleil. Pełna wdzięku bateria pustych kufli po piwie stała przede mną na kontuarze. Obiema dłońmi przesunąłem je na bok. Upłynęło trochę czasu, zanim spadły, a wówczas byłem już w drodze do drzwi.

– Nie chcę cię tu widzieć! – słyszałem wrzaski Flory, gdy sunąłem w kierunku powietrza.

W pobliżu były jeszcze dwa puby. „Butcher’s Arms” i „Jezus Chrystus”. Irytujące było to, że również i tam miałem wilczy bilet. Więc zameldowałem się w „Jaskini

Pizzy”. Siedziałem w mrocznej jamie nad beczką czerwonego wina, a Wielka Płonąca Pizza syczała sobie na platerowym talerzu. Nie miałem dla biedaczki głowy. Niedziela wieczór... boli mnie samo wspomnienie. A może to była sobota? Zniszczyłem kolejną karafkę i przeszedłem na drugą stronę ulicy w poszukiwaniu ludzkiego żarcia. Przy pomocy tyraliery lagerów zaliczyłem trzy dietoburgery, dwa sexburgery, Amerykańską Drogę i podwójną porcję szarlotki na gorąco. Ale, ale, zaczekajcie minutkę... Nie myślicie, że o czymś mogłem zapomnieć?

Po obiedzie wróciłem na poprzednią stronę ulicy, wszedłem do mojego superkiosku, i zająłem stałe miejsce przy owej ścianie płaczu w dziale pornografii. Jak w każdej bibliotece, materiał uporządkowany jest w ten sposób, żeby ułatwić poszukiwanie specjalistcie: a zatem mamy pisma z cipeczkami cycastymi, pisma z cipkami w jedwabiach, koronkach i podwiązkach, czy pisma z cipkami podnieconymi na cztery fajerki. Można by pomyśleć, że klientom powinno wystarczyć już z pół tuzina takich miesięczników, lecz nie, żądają więcej. Pornografia ma swój zapach, wydziela szczególną woń. Myślę, że bierze się to ze specjalnego gatunku papieru faworyzowanego przez baronów tej prasy. Ten zapach ma jakąś suchość i cierpkość; jest to zapach wosku – i bólu głowy... Spojrzałem raz jeszcze na „Debonair” – na Vron, moją przyszłą macochę. Ta moja macoszka ma niezłą mleczarnię, o to nie ma obawy. Nie przyniosłaby ujmy nawet specjalistycznemu świerszczykowi z supercycami. Odłożyłem „Debonair” i wziąłem do ręki „Laleczki”. Wiercie mi na słowo, mało jest ostrzejszych pisemek; w każdym razie nie w Anglii – i nie legalnie. Więc oto stałem tak sobie apatyczny, odrętwiały, mruczałem coś pod nosem i od niechcienia kartkowałem pisemka – głowa opuszczona, wtulone ramiona – gdy nagle klasnęły głośno dłonie i rozpostartą przed moimi oczami środkową rozkładówkę gwałtownie wyrwano mi z rąk.

Uniosłem wzrok w przestרחu, osłupieniu, przerażeniu. Kształtne ładne dziewczątko w gustownej apasce, z dwoma znaczkami w klapie welwetowej kurtki, o wibrującej twarzyczce i postawie, nieugięte, egzaltowane... Inni przeglądacze też zamarli w bezruchu. Ktoś obok mnie odsunął się na bok, znikając z pola widzenia.

– I cóż ty dobrego robisz? – warknęła. Usteczka drobnomieszczanki, głos i ząbki twarde i nieskazitelnie czyste.

Zacząłem się jakby cofać, a może wahać. Uniosłem nawet lekko ramię – w odruchu samoobrony.

– I nie wstyd ci tak?

– Ależ owszem... – bąknąłem.

– No spójrz. Spójrz no tylko.

Skierowaliśmy oboje wzrok na upadłe piśmiędo. Spoczywało na wpół otwarte na niższej półce, gdzie starannie ułożono żurnale o oczko przyzwoitsze. Jedna ze stron zagięła się przy spadaniu, przez co eksponująca swe wdzięki dziewczyna taktownie nie patrzyła nam w oczy. Bezkształtny, sflaczały fallus, pokryty brodawkami, zwiisał kilka centymetrów od jej zachłannego uśmiechu.

- To naprawdę obrzydliwe.
- Tak, na pewno.
- Więc jak możesz coś takiego oglądać?
- Nie mam pojęcia.

Wówczas to ona jakby drgnęła i zawahała się. Nie wydaje mi się, by do tej chwili naprawdę mnie słuchała. Ją też musiało to trochę kosztować, napominanie mężczyzny o moim wyglądzie, o tak potężnych barach i takiej ciężkiej głowie pochylonej w napięciu nad tym nędznym spektaklem jej zagubionych, zwichrowanych sióstr. Tak, nawet przy jej mocnej, okrągłej twarzy, tych zębach bez najmniejszej skazy i tej jej niewzruszonej prawości, musiało ją to coś kosztować. Odstawiała już ten numer nie raz, ale chyba nie tak znów często. Wreszcie jej spojrzenie nadało mojej postaci jakiś rys indywidualności, a jej pytania stały się po prostu pytaniami. Podniosła do góry osłonięty rękawiczką palec.

– Więc dlaczego? Dlaczego? Bez takich jak ty w ogóle by nie istniały. Przyjrzyj no się dokładnie.

Spojrzeliliśmy raz jeszcze. Cipeczka na rozkładówce wywichnięta była prawie że na odwrotną stronę.

- Czy coś ci to mówi?
- Nie wiem. Chodzi tu chyba o forszę.

Odwróciła się i odeszła stukając obcasami (ze sklepu wyparował wszelki ruch, zamarło w nim wszelkie życie), szła przez długą salę, szarpnęła mocno za uchwyt wielkich szklanych drzwi i potrząsając lśniąco włosami wypadła w bezładną wrzawę ulicy.

Rozległ się nerwowy śmiech, gwar uwolnionej rozmowy. Rozbawiona ulga zamajaczyła na buźkach dwóch kamiennych żółtków urzędujących za kontuarem. Odłożyłem „Laleczki” na właściwe miejsce i wyzywająco przejrzałem jeszcze „Plaything International” i „Brzęczyka”. Po wyjściu z superkiosku przeszedłem na drugą stronę ulicy i wdrapałem się na stołek strzelnicy. Straciłem dwudziestkę. Poczulem się okropnie: chory, pobity, poniżony. Jezusieńku ty mój najśłodszy, czemu to mnie musiałeś sobie upodobać? Czemuż to nie wybrałeś sobie kogoś, kto miałby

nico więcej do stracenia?

Powróciłem do swojej norki. Siąpił drobny deszczyk. I to niebo. W mroku kuchennych oparów, gdy oczy światła ukazują jedynie ocieniowane powieki i warstwy lepkiego kurzu, powietrze wisiało nad głową, piętrzyło się za plecami, niczym poobijany zlew pełen brudnych, zatęchłych naczyń. Oto Londyn, przechodzony, zużyty, Londyn o podbitych oczach, Londyn, co smrodzi i pierdzi; ten Londyn dożywa swych dni pod nasączoną gąbką niebios. W ozdobnym portalu secesyjnego domu towarowego, stary człowiek w zapiętym pod szyję palcie i błyszczących brązowych butach przemawiał na głos do deszczu. Otaczała go grupka starych ludzi o twarzach bez wyrazu; dwie młodsze kobiety odziane w nieokreślone niebieskie uniformy, o twarzach wybielonych z nadmiaru uczciwości i szczerości, dawały przemowie starca muzyczny podkład na kobzie, wybijały jej rytm na bębenku.

– Nigdy nie jest za późno – mówił starszek, tak jakoś nieśmiało, nie narzucająco (był tylko skromnym ciciem Pana Boga) – żeby odmienić swe życie.

Wąskimi wargami i oczkami dawał odpór przechadzającej się ironii popołudniowych tłumów, młodzieży, obojętnym afroazjatyckim turystom w powłóczyстых szatach. Nie ma potrzeby – mówił – żebyście się tak wstydzili.

Ledwie go zresztą było słycać w tym harmidrze i bębnieniu, w tym deszczu i mgle.

Przyjacielu – nie masz jednak racji. Jakże zawstydzone jest niebo. Drzewa na placach i skwerach zwieszają głowy, a markizy starannie skrywają wilgotne, poczerwieniałe twarze sklepowych witryn. Gazety wieczorne, sprzedawane na ulicy z druczianych pojemników-klatek, zwijają się wprost ze wstydu. Zegar nad wejściem, gdzie gardłuje starzec, bije się ze wstydu w piersi. Ditto bębenek. Też jest ogromnie zawstydzony.

– Chryste Panie, jak się doprowadziłeś do takiego dna?

– O właśnie, ty suko, o właśnie!

– Właśnie co?

– Nigdy cię, kurwa mać, nie ma, kiedy dzwonię ze Stanów!

– Uważasz, że dziewczyna nie może iść do własnego mieszkanka, kiedy ma na to ochotę?

– Tam cię także nie było!

– Czy dziewczyna nie ma prawa wyłączyć telefonu?

– Ty nędzna aktoreczko, po prostu cię nie było!

– A więc zamierzasz jeszcze udawać, że nie wiesz, dlaczego sprawy tak się mają?

– Oszukujesz mnie, suko!

– Dlaczego się denerwujesz? Próbuje coś ci powiedzieć, nie rozumiesz?

Selina rozpięła płaszcz. Skrzyżowała na piersi ramiona i stała niezłomna i najeżona, gromadząc w sobie siłę zebraną w butikach ulicy.

– Jezu, ale z ciebie aparat. Rany boskie, pakuj się szybko do łóżka i prześpij trochę przed kolacją. A gdzie w ogóle idziemy?

– Nic mi nie jest – powiedziałem, a może zaskomlałem – czuję się całkiem okej, daj mi tylko łyk herbaty czy coś mokrego...

Selina odwróciła kota ogonem, a niech ją! Chciałbym tylko wiedzieć, jak jej się to udaje. Wzdychając, położyłem się z kubkiem na kanapce. Selina zajęła pozycję przy okrągłym szklanym stoliku: wieczorna gazeta, filiżanka z herbatą, jedyny, zasłużony bardzo papieros. Przerzucała szybko strony, zawahała się, nachmurzyła, odchrząknęła, przymrużyła oczy i pochyliła się do przodu w zimnym skupieniu. Wiedziałem, o czym czyta. Czytała o kalifornijskim procesie dotyczącym palimonii. Śledziła go od początku. Ja zresztą też. Palimonia to nie za dobre wieści dla nas, chłopaków. O ile dobrze rozumiem, są takie przepisy, które mówią, że gdy kobieta parzy herbatę przynajmniej raz w tygodniu dla tego samego gacha, to dostaje połowę jego szmału. Każdego wieczoru Selina wyszukuje prędiutko stronę poświęconą tejże palimonii – i zamiera w ciszy. Mam tylko skromną nadzieję, że nie będzie chciała wyegzekwować żadnej palimonii ode mnie.

– Choć jeden raz spójrzmy na sprawę realnie – zasyczała po chwili. – Masz zbyt ciężkawy dowcip, żeby zdać sobie sprawę, że jestem twoją ostatnią szansą. Nie, tylko nie te. Piją mnie jak cholera. Zresztą, kto by z tobą wytrzymał?

– Nie, i te nie! Te miałaś na sobie wczoraj!

– Spójrz tylko na siebie. A te powinno się wyprać. To znaczy, żadna już teraz z ciebie partia. Co, a może ci się zdaje? Masz już trzydziestkę piątkę. Zachowuj się odpowiednio do swojego wieku.

– Tak. Te są w sam raz. I z tymi. Załóż je także.

– Jeżeli czekasz na lepszą okazję, czekaj sobie dalej. Rozumiem – a tymczasem nadymasz się, ile wlezie. Kto by cię zresztą chciał? Martina Twain?

– Poczekaj. Zdejmij te i załóż tamte.

– Podarowała ci tę książkę, co?

– Jaką książkę? – zapytałem, ponownie pod wrażeniem jędzowatego radaru Seliny.

– Ten biblioteczny wolumen na twojej nocnej szafce. Którego pierwszą stronę usiłujesz sforsować co wieczór.

– To dobra książka. Naprawdę dobra. To taki rodzaj prezentu.

– Prezent, a niech to. Jakież to wyobrażenia ludzie miewają na swój temat. Po prostu nie wytrzymam, nie mogę. – A po chwili dodała: – Spójrz w oczy faktom. Dorośnij, Boże, dorośnij! Zgoda, wystarczysz mi ty. A ty zdecyduj się na mnie. Będę się tobą opiekować. A ty zatroszczysz się o mnie. Daj mi dzieci. Ożeń się ze mną. Zdecyduj się na coś. Daj mi poczucie, że mam w życiu jakieś oparcie. Przynajmniej pozwól mi się tu na dobre wprowadzić.

– W porządku. Zgoda, niech tak będzie – powiedziałem. – Możesz się tu na dobre wprowadzić.

Więc następnego ranka, gdy wrony na skwerku wciąż jeszcze krakały wygłodniałe, wynająłem furgonetkę w garażowarsztacie w pobliskim zaułku i pomknęliśmy z górki na pazurki w kierunku Earl's Courtu, żeby zabrać ciuchy Seliny. Jej współlokatorki, Mandy i Debby, trzepotały się z fantazją po mieszkanku na wpeł ubrane, częstując mnie kawą, z rewerencją należną forsiarzowi i wierzytelowi, finansście, który pokrywa długi. Rozsiadłem się na kanapie w ich saloniku na poddaszu o kształcie piramidy, z głęboko wciętymi oknami. Poprzez owe lukaray można było zlustrować pogodę, która sprawiała wrażenie, jak gdyby podcięto jej skrzydła, z tym migotliwym, rdzewiejącym słońcem, to jaśniejącym, to nagle przygasającym jak zawilgotniała pochodnia. Selina przyodziła się w fartuszek, a włosy schowała pod baseballową czapkę; były od niej kobiecy spryt i zaradność. Natomiast Mandy i Debby zabawiały mnie kolejno na dole. Mandy i Debby też wyglądają, jakby wycięto je z rozbieraných świerszczyków. Wyglądają właściwie jak Selina. Współczesne łózkowe artystki to nie żadne rozmarzone Kreolki, co to przewalają się całymi dniami po buduarach, wpieprzając czekoladki, oblizując wargi i zachęcająco pomrukując, z tymi ich kocimi wąsikami upstrzonymi resztkami ptysowego kremu czy zaschniętego nasienia. Nie, to szczone biznesowe główki na biznesowych ramionkach, bystre i lisio przebiegłe, a w dodatku żadne z nich młódki, lecz twarde, ogorzałe, przetarte przez życie sztuki. Selina co chwila, raz po raz, to zakochuje się w swych przyjaciółkach, to się odkochuje, podobnie jak w przypadku Helli. Powiedziała mi kiedyś, głosem pełnym nienawiści i pogardy, że Mandy i Debby pracowały swego czasu jako hostessy, a układ miał być następujący: klient płaci agencji piętnastkę za randkę, z czego cipka otrzymuje dwójkę. Tak jest: dwa fimtale. Skandal, prawda? A więc jasne, że panienki dorabiają sobie trochę na boku. Tymczasem nic się nie działo w tej ruderowatej kamienicy bez windy: jeżeli coś się dzudo, to tylko w zmieniających się ciągle pokojach interkontynentalnych hoteli, w prywatnych apartamentach szemranych klubików i prosperujących melin

lub w pstrokatołśniących garsonierach Arabów. Mandy i Debby pasowały w sam raz do tej roli, wyglądały dostatecznie twardo na takie zadania. Zwłaszcza Debby, która tak intensywnie wpatrywała mi się prosto w oczy, a nadto tak natarczywie dotykała dłonią moich kolan i tak ochoczo odsłaniała swe wdzięki pod szlafrocikiem, że miałem chęć poprosić ją o numer telefonu. Lecz zdałem sobie, rzecz jasna, sprawę, że byłby to krok całkowicie bezpodstawny i zbyteczny, czysty *acte gratuit*. Bo przecież jej numer telefonu już dawno posiadałem.

Wypisałem więc czek na trzysta dwadzieścia funtów, żeby pokryć ostatnie wydatki – Mandy nazywała to „pieniążkami na pożegnalne pa pa” – i załadowałem doczesne ruchomości Seliny do rzeczonyj furgonetki. Posiadała żałośnie mało, naprawdę. Zmieściłoby się to wszystko w moim *fiasco*, spokojnie, gdyby *fiasco* było tylko na chodzie. Ale *fiasco* nie było na chodzie. Trzy plastikowe torby pełne ubrań, dzbanek do herbaty, dwie ramki na fotografie, mydelniczka, składane krzesło, żelazko, lusterko i lampka.

– No i proszę, panienko! – zawołałem, gdy wniosłem na górę ostatnią partię dobytku.

– Dziękuję, kochanie – powiedziała Selina. Stała na środku mojego wynajętego *living-roomu*.

– Teraz to jest mój dom. Cudownie.

Selina posiadała trzy paperbacki, które dodała do moich zbiorów. Były to: Atlas Londynu od A do Z, Z prawem na co dzień i Podręcznik miłości małżeńskiej. No proszę, wraz z prezentem Martyny mój księgozbiór zdecydowanie się powiększył.

– Nie mów tylko nikomu – szepnął Alec Llewellyn – ale jest tu naprawdę całkiem fajnie. Nie śmiej się! Zobaczą nas i pomyślą, że nie podchodzę do tego serio.

– Masz własną celę?

Usiadł wygodniej.

– Nie, cela w zamierzeniach była jednoosobowa, lecz teraz siedzi w niej ze mną jeszcze dwóch facetów. Ciasno w tym kryminale jak cholera. To wszystko włamywacze, oszuści i tak dalej. Mamy własny mały czajniczek. Jest tutaj tak relaksowo, że trudno mi uwierzyć. Pierwszego ranka obudziłem się w świetnej formie, jak nowo narodzony, przeciągnąłem się i pomyślałem: „Wypiję filiżankę herbaty i pójdę na spacer!” I wtedy do mnie dotarło!

– Rzeczywiście!

– Właśnie. Ale ogromnie mi teraz ulżyło. Biorąc pod uwagę mój akcent, byłem pewien, że rozszarpia mnie tutaj na kawałki albo przecwelują na wylot w ciągu pięciu

minut. Nic z tych rzeczy. To jedyne miejsce w Anglii, gdzie wciąż jeszcze obowiązuje system klasowy.

Zapaliłem papierocha i czekałem.

– Myślę, że zawdzięczam to klarowności mojego głosu. Wszyscy inni, w tym gliniarze i klawisze, mówią tak, jakby dopiero się tego nauczyli.

Nie potrafiają zrozumieć, dlaczego tutaj jestem. Czują przede mną jakiś paranoiczny lęk. Boją się mnie klawisze. Boi się mnie wicenaczelnik więzienia. Nawet sam naczelnik zachodzi niekiedy do celi, żeby mnie przyjaźnie obwąchać.

– A jakie dają żarcie?

– Żarcie jest paskudne. Na okrągło soja. Napełnia cię to, zgoda, ale i jakoś dziwnie wyczerpuje. Myślałem też zawsze, że w pierdłu wrzucają do kawy jakieś pastylki z bromem. Lecz nie ma takiej potrzeby. Niczego ci do kawy nie wrzucają. Nawet samej kawy. Butch Beausoleil mogłaby tu pomieszkiwać na golasa i nikt nie zwróciłby na nią najmniejszej uwagi. Mogliby nawet przeprowadzić eksperyment i poprzyklejać jej podobizny na ścianach cel. Cały dzień masz wrażenie, jakbyś zwałił właśnie konia – dziesięć razy z rzędu. To właśnie to żarło i powietrze, no i, oczywiście, zamknięcie.

Siedzieliśmy w gotyckiej kantynie. Gdy podniosłeś głowę, czułeś się jak w szkole. Tam w górze, w rejonach okien jak w powozowni, czuło się wolność, swobodę i tolerancję, całkiem niezależne od wrzawy i ciepła tego ludzkiego harmidru na dole. Na dole więźniowie siedzieli po jednej stronie całego szeregu stołów o żółtawych blatach, a ich małuczcy goście – kobiety, dzieci, starcy – tłoczyli się na kuchennych krzesłach po drugiej. Żadnych przegród czy metalowych siatek. Można nawet było trzymać się za ręce. Można się było całować. Starsze więzienne ptaszki tworzyły oddział chytrych, węszących ryjów. Niektórzy zaś wyglądali, jakby ulepiono ich dopiero w połowie. Siedzieli swobodnie na ławach, a ich gesty były pełne rezygnacji, wymowne. Ich kobiety siedziały w napięciu, pochylone na krzesłach w pozie zapytania czy rady. Dzieciaki po prostu wpatrywały się albo wierciły niespokojnie, też bardzo napięte – niewątpliwie zachowywały się najlepiej, jak tylko potrafiły.

– Przyniosłem ci karton fajek – powiedziałem – i tuzin półlitrówek wina.

– Wielkie dzięki. Czy...

– Zatkano mnie, gdy powiedzieli, co mogę d przynieść. Pół butelki wina dziennie, no, może to nie wystarczy, ale na pewno już coś. Zostawiłem wszystko u klawisza.

– Przyniosłeś coś do poczytania?

– To znaczy?

– O żesz ty, kurwa! Przynieś mi coś jutro, dobra? Na mur. No bo jak ci się zdaje, co

mogę tu mieć do roboty? Jezu Chryste! Wszystko, co tu mają, to kupka jakiś westernów i thrillerów, z połową stron wydartych albo lepiących się od herbaty i smarków. Od kilku ostatnich dni mam do czytania tylko tę pieprzoną Biblię. Byłoby to może i do zniesienia, gdyby wszyscy nie brali mnie za dewota-czubka. Przynieś mi jakieś książki.

– Nawet nie wiem, co właściwie lubisz.

– Jezusie, cokolwiek. Wypiszę ci listę. Powieści, historia, reportaże, podróże – naprawdę mi to rybka. Nawet poezja – cokolwiek.

– Poezja? Tutaj?

– Podejmę to ryzyko.

Alec miał na sobie granatowy drelichowy kombinezon – wyglądał jak francuski robotnik albo jakiś nowofalowy narcyz na pokazie pedalskich filmów... Dopiero gdy ujrzałem go w tych więziennych ciuchach, zrozumiałem, jak nisko upadł. Lecz nie aż tak bardzo nisko, nie ściągajcie go czasem za nisko, myślałem. I tak się wam wywinie – dołem. Wszyscy, którzy się tu znajdują, w jakiś sposób zgrzeszyli, to znaczy zgrzeszyli przeciwko forsie. A teraz forsą żąda od nich pokuty.

– Zaraz, coś sobie przypomniałem – mówię.

– Nie masz czasem w kieszeni tych sześciu patoli?

Alec podrapał się w głowę. Poruszał koniuszkiem nosa.

– Wiesz, strasznie mi przykro.

– A co się stało?

– Część dałem Eileen, a resztę chciałem podwoić ruletką. Zgadza się, przetrząnąłem sprawę. Lecz tak czy owak, byłoby za mało. Szkoda, że nie widziałeś mnie w sądzie. Po prostu się topiłem. Kiedy ten stary zgred w peruce odczytywał wyrok... nie, nie, myślałem, to dotyczy kogoś innego. Co, mnie? Na razie to areszt tymczasowy. Lecz gdy dziewiątego pójdzie nie tak, to będę kwiczał.

– Mogę w czymś pomóc? – zapytałem pośpiesznie.

– Nie. Nie trzeba. Potrzebowałbym takiej kaucji, że nie śmiałbym ciebie prosić. Co powiedziała Ella?

– Nic specjalnego. Bardzo jej nienawidzisz?

– Och, zrozum. Gdy ludzie się szarpią i tak czy owak wieszają na sobie psy, nie cierpią się na amen, to musi być całkiem przyjemne dla takiej dupeczki, że w jej imieniu walczy prawo. Sędzia, pięciuset gliniarzy i nasze stare pudło Brixton. Zamiast rzucić w ciebie popielniczką, rzuca w ciebie mamrem.

– Jezu, ja bym...

– To nie była jej wina. To wszystko prawne przechytrki w związku z bachorami.

Dowcip polega na tym – ciągnął Alec, wykręcając dziwacznie szyję – że Andrew nawet nie jest mój.

– Skąd możesz wiedzieć?

Przyjrzyj mu się tylko. Spójrz na jego włosy. I przyjrzyj się Mandolinie. To zupełnie inny gatunek.

– Jesteś pewien?

– Tamtego miesiąca, kiedy zaszła w ciążę, byliśmy w stanie wojny i w ogóle z nią nie spałem. Wmawiała mi, że ją zerznąłem po pijaku. Lecz jeśli byłem zbyt urzęnięty, żeby to spamiętać, to byłbym też zbyt urzęnięty, żeby ją rznąć. A resztą. Ella przy lała tu do mnie dzień po tym, jak mnie wsadzili, i lała słowy jak oszalała. Chciała wszystko odkręcić.

– Poważnie?

– A jak się miewa Selina?

– Bosko. Jest mi wierna jak dzionek długi.

– Nie rób z siebie jelenia.

Wymieniłem nazwy jego szkół. Zwłaszcza szkół prywatnych. I nazwę college’u w Cambridge.

– A teraz Brixton – mówię. – Co dalej?

Następny kryminał: Pentonville.

Wyjął kolejnego papierosa z podsunętej mu paczki.

– No cóż, to przecież uniwersytet życia. Codziennie uczysz się czegoś nowego. Na przykład słyszysz, że wyznaczono na ciebie cenę. Taki kontrakt, przyjacielu.

– Ach, to – rzuciłem chłodno. – No tak, słyszałem.

– Powiedział mi o tym jeden z pomniejszych bandytów. Kontrakcik też pomniejszy. Tylko jakieś pięćdziesiąt funtali.

– I kto go wzięł?

– Tego już ten typas nie wiedział, a może nie chciał powiedzieć. Ale pamiętał kwotę.

– Pięćdziesiąt funciaków. Tyle jestem wart – mruknąłem, czując się jakoś dziwnie zraniony czy zlekceważony. – A jaka ma być kara? Przycięcie ucha? Czy może przypalenie na chińską modłę?

– Jeden cios w twarz tępym narzędziem. Dobra. Zrobię teraz listę. I przynieś mi te pieprzone książki.

Papierek dyskretnie przeszedł z rąk do rąk. Podobnie jak dziesięciofuntowy banknot. Głupotą byłoby, żeby miał więcej. W tym miejscu nie za wiele można było kupić, pieniądź jednak ma swoją moc, nawet tutaj... Wkrótce Aleca zabrano: umundurowany

strażnik po prostu skinął na niego przez uchylone drzwi. Alec Llewellyn skinął z kolei do mnie z powagą, gdy odchodził w niebieskim kombinezonie. Alec, ten nasz elegant. Wyszedłem tą samą drogą, jaką wszedłem. Przestępcy obejmowali teraz swoje kobiety, dodając im otuchy; wiele z nich wyplakiwało w ciszy swą dzienną miarkę łez. Dzieciaki uciszyły się, przestały się wiercić, oczekując nowych wrażeń. Mijałem więzienne biura, przebieralnie z wąskimi szafkami i długimi ławami, przepelnione kosze na śmieci i żeberka staroświeckich kaloryferów. Tymczasem zbierały się grupki następnych stęsknionych rodzin; a z cel spędzano następną falę włamywaczy, oszustów i świrów. Klawisze w mundurowych koszulach – zdjąwszy kurtkomarynarki – krążyli wokoło z papierami, dokumentami, formularzami, pogodni i zapracowani. Jeden z wartowników przy bramie popchnął mi I nawet *fiasco*. Pędząc na łeb na szyję (obrotomierz f całkiem oszalał) wpadłem wprost do miasteczka. Minąłem je. Dopiero gdy dotarłem do mętnego nieba Tamizy, ośmieliłem się przystanąć, żeby dojść do ładu z moją grozą, moim lękiem.

Wygramoliłem się z auta. Wszedłem na Battersea Bridge – doszedłem do połowy mostu. Za moimi plecami w górę strzelały ostre cztery kominy elektrowni, wyznaczniki nie ukończonego budynku o nieprawdopodobnym ogromie i przerażającej kubaturze. Poniżej Tamiza zarzucała lassem pętle, pulsując niczym ludzki umysł, wysyłając sygnały, pozbywając się kolejnych welonów, jak gdyby jej powierzchnię tworzyły rozmaite warstwy wody, wykazując dobitnie, iż rzeka to żyjący organizm. Rzeki także umierają. Trzymałem się poręczy, dopóki nie opuściły mnie mdłości, dopóki się ze mnie nie wylały i poprzez żelazne pręty balustrady nie wypłynęły w przestrzeń.

Bo widzicie, wywodzę się z klasy kryminalistów. Tak to już jest. To wszystko tkwi we mnie, to wszystko mam we krwi. A jak mnie to dopadnie! Ktoś taki jak ja nie potrafi ustalić właściwego dystansu pomiędzy własną osobą a więzieniem. Potrafię tylko przelewać forszę. Mam wszystko we krwi, we krwi. Gdy polecę do Kalifornii na ostateczny, generalny remont, to może pójde na całego i każę również przepompować sobie krew.

Kalifornia, kraina moich marzeń, obiekt moich tęsknot.

Widzieliście mnie w Nowym Jorku i wiecie, jak się tam zachowuję, ale w LA, człowieku, w Los Angeles, to dopiero jestem ostry zawodnik – tam dopiero jest szus blus, orka na całego, smarowanko i przepychanko, prawdziwy nowy ład, prawdziwy interes. Zeszłego grudnia przez cały okrągły tydzień moją półgodzinną krótkometrażówkę Dean Street wyświetlano w Panteonie Niebiańskich Sztuk. Wszędzie, czy to w restauracjach typu metal i szkło, lśniących, że aż zgrzyta w zębach, czy to na zasyfionych,

zagrzybionych basenach, czy to w zajebistych klubach odnowy (w wirujących jacuzzi) – wszędzie, gdzie tylko się dało, dokonywałem transakcji. Biznes sunął naprzód jak po naoliwionych szynach i wszystko j zdawało się możliwe. Lecz właśnie w okręgu frajdy, w tej dolinie wszelkiej rozkoszy, okazało się, że mam też problemy.

W LA niczego nie zdziałasz, jeżeli nie prowadzisz samochodu. Natomiast ja niczego nie zdziałam, jeżeli przedtem się nie napiję. A ta kombinacja, picie-prowadzenie, nie jest tam niestety możliwa. Bo starczy, że połóżniesz pasy, strząśniesz na trotuar popiół czy choćby podłubiesz w nosie, a już masz autopsję w Alcatraz i nikt cię o nic nie pyta. Drobne rozluźnienie dyscypliny, jakiegokolwiek odstępstwo od reguły, i już słyszysz obłędne sygnały, błyskają policyjne koguty, i te pieprzone gliny z helikoptera celują ci prosto w kudły.

Więc co może wtedy zrobić ten wasz biedny chłopaczek? Wychodzisz oto z hotelu, przewspaniałego „Vraimontu”. Dachy downtownu nad gotującą się wodą sprawiają wrażenie, jakby pokrywały je zielonkawę gluty Boga. Idziesz w prawo, idziesz w lewo, ciskasz się jak wodny szczur na brzegu rzeki. Ta restauracja nie podaje mięsa, tamta jest tylko dla pedałów. Wykapać możesz swojego szympansa, wytatuować sobie kutasa – punkt czynny całą dobę – ale zjeść obiadek? A gdy zobaczysz, po drugiej stronie ulicy, migocący napis: MIĘCHO – NAPITKI – ŻADNYCH BAJERÓW – czy coś w tym rodzaju – daj sobie spokój. Jedyny sposób, żeby znaleźć się po drugiej stronie ulicy, to się tam po prostu urodzić. Te wszystkie świecące napisy przy przejściach dla pieszych – zapalające się, gdy naciśniesz guzik – mówią ci tylko jedno: CZEKAJ, CZEKAJ, CZEKAJ. Wszystkie. Przez cały czas.

To właśnie komunikat non stop, to właśnie treść tego miasta: NIE PRZECHODŹ, CZEKAJ, POZOSTAŃ W DOMU, NIE IDŹ PIECHOTĄ. JEDŹ SAMOCHODEM. NIE PRZECHODŹ, NIE IDŹ, BIEGNIJ!!! Próbowałem tutejszych taksówek. Na darmo! Daruj sobie ten trud! Wszyscy tutejsi taksiarze to mieszkańcy Saturna, którzy nie bardzo wiedzą, czy obowiązuje tu ruch prawoczy też może lewostronny. Pierwszą rzeczą, którą trzeba by tu zrobić, to nauczyć tych łebków prowadzić.

Uchlałem się, wykręciłem numer firmy „Wynajmij Rzęcha” i – tak! – wynająłem rzęchowatego bumeranga na cztery „ekonomiczne” dni. Rozbijałem się jak terrorysta z buteleczką pomiędzy udami. Bel-Air, Malibu, Wenecja. Ale zeszłego wieczoru popełniłem poważny błąd i wpadłem w tarapaty, o których wam już mówiłem. Mknąłem Sunset Boulevard: pod wpływem impulsu przystanąłem po lewej stronie, gdzieś w okolicach Scheldta, gdzie te słodkie czarne kurczaczki paradują w obcisłych pastelowych szorcikach... Tak czy owak sprawa ma się tak, że leżę na przednim

siedzeniu bumeranga (rozłożonym, rzecz jasna!), spodnie majątają mi się wokół kolan i wykręcam dwudziestodolcowy numererek z taką ekspresową Zuluską o imieniu Agnes. Cena naprawdę przystępna, naprawdę konkurencyjna. Cóż to za wspaniały kraj! Co za siła twojego pieniądza! A przy obecnym kursie to tylko dziewięć firm tali! Lecz z naszym obciążaniem mamy też pewne kłopoty. „To właśnie dlatego nazywa się to erekcją – musiałem jej chyba tłumaczyć. – To wcale nie takie proste. Trzeba się nieźle natyrać, żeby postawić namiot”. Tymczasem Agnes traci już cierpliwość, denerwuje się, że nie dostanie zapłaty, ja wystawiłem przez okno nogi na całą długość – a tu nagle potężny grzmot łapą w dach bumeranga.

Jezu, myślę, to niechybnie uderza prawo. Policja seksualna. Ichniejsza obyczajówka.

Wyciągnąłem szyję. Wspaniała, ścinająca z nóg damoza-pani domu w eleganckim szlafrocisku wpatrywała się przez otwarte okno, jej twarz między moimi butami.

– No, szparko, przyjacielu – rzuciła całkiem przyjaźnie. – Stoicie na moim podjeździe!

Natychmiast, jak wściekła ostryga, Agnes wypluła mojego fiuta i rozdarła się na tę zniechędzoną chyba damozę – a jej bluzgi nawet mnie zatkały, nawet mnie zniesmaczyły. Wyliczała tej biednej kobiecie, co też jej konkretnie robi – i co też robi jej psom i dzieciakom; wymieniała przy tym szczegółowo najskrytsze zakamarki jej cuda, takie anatomiczne detale, takie fizjologiczne zjawiska, o których ja – w każdym razie ja – w ogóle nie słyszałem.

– Więc dobrze, zawołałam policję – warknęła w końcu dama i ruszyła w kierunku domu...

Jak oszalały zacząłem się gramolić, lecz z tą nieszczęsną Agnes wciąż na moim łonie, z tą butelką whisky – iw ogóle z tym wszystkim – nie było to takie proste, i nie mogłem podciągnąć się w górę. A tu nagle otworzyły się drzwiczki, błysnęły reflektory, i wielki czarny alfons, co najmniej ze dwa metry, stanął mi nad łbem i tocząc pianę dzierzył złowrogo mahoniowy kij do baseballa.

Jeszcze nigdy nie czułem się bardziej nagi. Nie – tak jeszcze nigdy. Bo było coś w tym kiju, może jakość jego powierzchni, jak gdyby powleczonej żywicą, że miałem wrażenie jakiejś dziwnej, niesympatycznej przejrzystości, przypominającej mi, dlaczego to uciekłem od Scheldta, od tych słodkich czarnych kurczaczków i tanich jak barszcz obciążanek. „Wszystko to jest bardzo poważne, gwałtowne, kryminalne i złośliwe. Nie można uprawiać bezkarnie turystyki w slumsach, bo slumsy potrafią się odgryźć”. Podczas gdy Agnes wytranżała się poprzez drugie drzwiczki, wielgachny alfons uniósł do góry swój młot. Zacisnąłem mocno powieki. Żadnej, żadnej litości.

Usłyszałem tylko chrząknięcie, świst powietrza, mrozący krew w żyłach trzask – i zaraz potem jakoś dziwnie precyzyjnym, płynnym ruchem wyprostowałem się w fotelu, mruczając cały czas „forsa”... Wyjąłem z kieszeni portfel, wyjąłem pięć dwudziestek, wachlując nimi przed spoconą czarną twarzą, zatrzasnąłem drzwiczki, zrobiłem znak fuckyou, po czym dostojnie wyjechałem z niegościnnego Rosalind Court. Na ogonie bumeranga posłyszałem po chwili syreny. Z piskiem opon i podwójnymi śladami na asfalcie wypadłem na Sun set Boulevard, przeskoczyłem trzy czerwone światła, aż wreszcie zakończyłem ten szaleńczy lot lądowaniem na parkingu pod moim hotelem „Vraimont”. Nie było to lądowanie łagodne. Rzuciłem się w kierunku windy. Nie od razu mi się udało. Podniosłem się, podciągnąłem spodnie, pętające się gdzieś wokół kostek, i spróbowałem znowu. Szczęście, szczęście, szczęście, masz kurewskie szczęście, powtarzałem w kółko, gdy obmywałem krew w moim pokoju sześćset sześćdziesiąt sześć. Nie zauważyli na szczęście rozpieprzonych świateł ani też paskudnego wgięcia, gdy oddawałem następnego dnia bumeranga firmie „Wynajmij Rzęcha”. Pochyliłem się w lejącym się garniturze i podpisałem, co trzeba – a moje pogryzione paznokcie dygotały na poobijanym bagażniku. Za plecami, w świetle ostrych reflektorów, Sunset Boulevard spływał z godnością ze wzgórze. Godzinę później zapinałem pas bezpieczeństwa w LAX-ie. Pierwsza klasa: Panteon Sztuk Niebiańskich – ich zwykły poczęstunek. Wznosząc toasty na cześć Johna Selfa gotowymi już koktajlami, sam stałem się miesadłem, koktajlem wesołości i lęku. Właśnie czytałem w „Donosach Dnia” o fali pobić i zabójstw na Rosalind Court, gdzie dopiero co miałem przyjemność: przedwczoraj wieczorem na pobliskim parkingu porzucono japońskiego komputerowca i szwabskiego dentystę z buźkami zrobionymi na pulpę. Myślę, że byłem w szoku, w stanie odreagowywania. „Masz fart, cholerny fart” – mruczałem pod nosem bez ustanku, spoglądając w dół na te skaliste Góry Skaliste, a może Góry Dymniste, a może Góry Sznurowe: poprzez pokrywą z chmur, śniegu i węglowej kredki. Na sąsiednim tronie spoczywał elegancki młody mężczyzna – letnie biznesowe ubranko, typowa kalifornijska opalenizna i gęsta, sprężysta czupryna: ani chybi to aktor. Łypnął tylko na mnie i pociągał dalej szampana. Uniósł w górę szklanek.

– Na szczęście – powiedział. – I żeby sypnęło forsa.

No cóż, długo nie trzeba mnie było namawiać, i zaraz wylałem z siebie wszystkie moje sny i koszmary. Okazuje się, że ów pacjent pielgrzymował na grudniowy festiwal. Zobaczył był Dean Street i nawet mu się to spodobało. Uświadomiłem go o Złej forsie – też krótki sprint, żadne tam mecyje. Rozmawialiśmy, robiliśmy plany, wymienialiśmy numery. Bo tak jest na ogół w samolocie: powoduje tę wylewność alkohol, powietrze

jak w puszcze, nerwowo opowiadane opowieści, pornografia – i tak w ogóle podróż.

– Skontaktuję się z tobą – powiedział, gdy rozstawaliśmy się na lotnisku Kennedy’ego. Pewnie, pewnie, myślałem, kupując bilet do Londynu. Trzy dni później zadzwonił do mnie, do mojej garsoniery.

– Mamy Lorne’a Guylanda. Mamy już Butch Beausoleil. Mamy osiem milionów dolców. I wciąż wspinamy się w górę. Wsadzaj dupę w samolot, Slick, i zabierajmy się do Złej Forsy.

Widzę siebie teraz dokładnie. Jestem w dziale projektów, tam, w Silicone Valley. Słońce świeci ostro, lecz ani pyłka kurzu. Poruszam się pewnie pośród techników, specjalistów od rzucania pomysłów, konsultantów od twórczych idei, inżynierów światła i dźwięku. Ktoś pokazuje mi szkic moich uszu i nozdrzy w ich nowej, ulepszonej wersji. Pochylam się nad deską kreślarską, żeby zatwierdzić próbną wersję. Dzielni chłopcy sprawdzają wszystko dwukrotnie, korygują moje dokładne wskazówki. Mam wstępne spotkanie ze specami od regeneracji kudłów. Idziemy dalej – teraz to strefa genetyki, programiści DNA, bank plazmy. Od czasu do czasu mówię rzeczy takie, jak: „Wygląda niezgorzej, Phil” albo „A jaką dasz gwarancję, Steve?” czy wreszcie: „W porządku, Dan, ale czy to zniesie obciążenie?” Koniec końców sięgam po portfel i wtedy zapada cisza.

– W porządku, chłopcy, chcę, żebyście mnie dobrze zrozumieli. Płacę najwyższe stawki, lecz oczekuję najlepszych wyników. Nie interesują mnie żadne koszty. Ma to być błękit, ma to być odcień królewski, ma to być najlepsza krew, jaką można kupić za pieniądze. Więc ruszajcie się, Chryste Panie, i róbcie dokładnie to, czego żądam.

Bo wiecie, wraz z Seliną Street tekstura mojego życia zmieniła się diametralnie, przybyło mu więcej ciepła. Choć nie bez wysiłku i jęków, niekochane, niedopieczzone mieszkanie powoli zaczyna reagować na obecność kobiety. Ociężałe, niewprawnymi ruchami, wyprostowuje się i ogarnia, przybiera wygląd szarmancki, staje się życzliwe, przyjazne. Tylko z rzadka obleśny uśmiech cynizmu przedziera się poprzez maskę. Staje się eleganckie i wygodne. Nagle są czyste ręczniki. Głupota nie ma tu wstępu. Tak, zapach tej norki bez wątpienia się poprawił. Składam za to dzięki, wielkie dzięki bezcłowym perfumom Seliny, jej kąpielowym esencjom, zapachowi jej świeżo wypranych desusów, kosztownej miękkości jej cery, jej wilgotnej, oleistej aksamitności. Jest w wannie na okrągło, nawet teraz, ta słodkowodna Selina. Zaraz usłyszę, jak pindrzy się w sypialni, przyodziewa swe okrągłości w jedwabie i koronki. Wybieramy się do drogiej restauracji, do bardzo drogiej restauracji, czyli w takie miejsce, żeby Selinka

mogła się wreszcie wystroić... Mieszkanko czuje się lepiej, lepiej prowadzone. Ale to wcale nie znaczy, że Selina to wielka *hausfrau* czy miłośniczka tańców z odkurzaczem. Sprzątaczką przychodzi teraz codziennie, a nie jak dawniej raz na tydzień. Bo Selina jest skuteczna, praktyczna. Zna się na ekonomice kosztów.

A z takim kurczaczkiem na posesji nie możesz już po prostu prowadzić dotychczasowego trybu życia. Po prostu nie możesz. Wiem dobrze: próbowałem. Te neurasteniczne, skacowane trzepanka na rozbabranym wyrze – nie, to już nie przejdzie. A wysmarkanie nosa w zużyty filtr od kawy nie będzie na to szans. Podobnie ze szczaniem do zlewu – kobieta tego nie zniesie. Żadna kobieta godna swojego imienia na coś takiego na pewno by nie pozwoliła. Kobiety mają te swoje zabawne sposoby. Bez kobiety życie jest smętnym pubem, barem dinozaurów gdzieś za piętnaście trzecia...

Czy zauważyliście może, łebki, że nasze czarne, niebieskie czy czerwone gacie są czyste Bóg wie, jak długo, natomiast białe – co się u licha dzieje z tymi gaciami białymi? Starczą najwyżej na godzinę. Co to, kurde, za numery, czy to jakieś gacie ze sklepu żartów – a może te slipasy jeszcze eksplodują? Pieprzone majty z niespodzianką! No właśnie, lecz gdy Selina jest tutaj, moje życie upływa pośród gaci białych. Bo tak naprawdę, białe są chyba lepsze, nawet jeśli nieustannie musisz je zmieniać...

Poszedłem do pokoju, gdzie muskała się moja Selina. Zaniósłem jej minidrinka. W sam raz dla dziecka.

– Mm – wyraziła uznanie.

Stała przed wysokim lustrem w swej pełnej burdelowej wyprawce. No proszę, jaki talent. Co za niezmierny szyk, co za wycucie artystki. Odwróciła się. Jej seksualne rejony nie są zbyt pełne czy obfite. Są po prostu niewiarygodnie wyraziste. Zadek, cipka, brzuszek, cycki – po prostu niewiarygodnie wyraziste. Wyglądała w tych swoich bajerach tak cholernie pornograficznie, że chciałem, by zdjęła je znowu – a może, lepiej, żeby zrzucała je po trochu, po kolei.

– Podejść no do mnie – mówię.

– Nie – odpowiedziała.

– Dlaczego?

– Ty dobrze już wiesz dlaczego.

– ... Widziałem dziś Terry Linexa. Przesyła ci całusy. Dobre wieści na temat tych moich transakcji. Mówi, że sprawa zdąża ku okrągłutkim sześciu cyfrom. Spotkamy się w połowie drogi.

– Co? Pięćdziesiąt kafli?

– Spokojnie.

– Więc tym bardziej wszystko się składa. Bo Terry Linex się do mnie dobiegał.

– Co takiego? Kiedy?

– Myślałam, że tylko się wygłupia. Lecz moje rzęsy zaplątały mu się w suwak. I wtedy...

– Chryste! Dostyc, przestań! Podejdz trochę bliżej.

Dalej sobie nuciła.

– Dlaczego nie podchodzisz?

– Ty dobrze już wiesz dlaczego.

I zaszeleściła czarną sukienką.

Właściwie to nie byłem pewien. Handryczyliśmy się ostatnio o forse, ale może to sprawa mojej twarzy. Nie była nigdy moją mocną stroną, ta kochana gębula, a teraz jeszcze jest opuchnięta, zwłaszcza na górze, tu, po lewej stronie. A ząb znów zaczął płonąć. Zabrałem tę biedną buziulkę do pani doktor McGilchrist. Ugasiła ząb z irytacją. Każdy kurczaczek o zapędach feministycznych powinien obowiązkowo zobaczyć doktor Marthę McGilchrist. Jezu, ale z niej olbrzym. Czuję się przy niej jak zwiewna gwiazdka baletu. Martha McGilchrist – ale z niej kawał chłopa. Powiedziała na pożegnanie, że jeśli mój ząbek raz jeszcze zechce zapłonąć (co niechybnie nastąpi), to nie uda się go już ocalić za nic – ani za forse, ani za nockę w łóżku, ząb poczekać więc musi na Kalifornię, wraz z całą resztą.

Wydarłem się przez chwilę na Selinę, a potem powróciłem na sofę i do mojego drinka. Telewizor był wciąż włączony. Włączony jest na okrągło. Tego popołudnia, kiedy mijałem skwer, zobaczyłem dwa szczepione z sobą psy, zadek z zadkiem. Właściciele stali tuż obok, czekając. Pieski czekały także: wyglądały na zakłopotane, było im naprawdę głupio, lecz zachowały stoicyzm. To wszystko dawno już przerobiły, a w każdym razie ich geny. To ryzykowne próbować je rozdzielić... Oglądałem w telewizji filmik przyrodniczy pokazujący dwugłowe węże. Dwugłowe węże są rzadkie i nie żyją zbyt długo. Wciąż kłócą się (te ich głowy) o żarcie, czy w którą to stronę popełznąć. Próbują się (te głowy) pozabijać albo zeżreć siebie nawzajem. Wkrótce jedna z głów zaczyna dominować nad drugą. Mniejsza leżć musi z tą większą i nie ma nic do gadania. Ten układ jest dobry przez chwilę. Bo wkrótce szybko zdychają.

Jeśli jest jedna rzecz, której całkowicie jestem pewien, to jest to przekonanie, że muszę ożenić się z Seliną. Jestem tego pewien absolutnie – tak mi się w każdym razie zdaje. Tak, pora już, żeby znaleźć swą przystań, pora już, aby wreszcie dorosnąć. Więc jestem tego całkiem pewien. I nie mamy właściwie wyboru: bo właśnie ten brak przystani, no i ten brak dorosłości, zaczynają mnie po trosze zabijać. Muszę już wreszcie

z tym zerwać, muszę już przestać być szczylem – póki nie będzie za późno.

Ożenić się z Seliną, ustatkować się, założyć dom i rodzinę. Żeby się poczuć bezpiecznie. Jezu – i to mnie dopiero przeraża. Ustatkować się – brzmi to zbyt ryzykownie, to otchłań nieznaney przygody. I może jeszcze dzieciaki! No nie, do tego potrzeba już jaj! Zostać więc mężem i ojcem: trudno bardziej popieprzyć sobie życie. Lecz prędzej czy później każdy się w taki układzik wpasuje. Założę się, że i wy także – jeżeli nie stało się to już faktem. W jakimś sensie, myślę, chyba mi to jednak odpowiada.

Czegoś w tym wszystkim brakuje. A, widzę, że dostrzeżliście sami. Nie jesteście ślepi. Ale brakuje we mnie, nie w niej, po prostu brakuje. I będzie tak już zawsze. Z Seliną świetnie do siebie pasujemy. Powiedziałbym, że jak ulał. I muszę się z nią ożenić. Jeżeli nie, niechybnie umrę. Jeżeli nie ożenię się z Seliną, nie zrobi tego nikt; złamię kolejne życie. Jeżeli się z nią nie ożenię, wytoczy mi na pewno proces, wyszarpie ostatniego pensa, doprowadzi do upadku i nędzy.

Dziś dokonałem zerwania z ustaloną tradycją i zwyczajem, i spożyłem lanczyk w restauracji „New Bom”. Restauracja „Jak Nowo Narodzony” to mała, podniecająca grotka o plastikowej boazerii i blatach z formiki, na poły tanie bistro, na poły lokalna knajpka dla nie śmierdzących groszem meneli; z rzadka zaglądają tu przypadkowi goście, sprzątaczkę z okolicznych biur, nawrócone babcie-klozardki, zamiatacze londyńskich ulic. Przychodzą tu, jednym słowem, wszyscy – od panów śmieciarzy po menedżerów średniej rangi. W menu dominują frytki, ale lokal jest z wyszynkiem. Jakże inaczej mógłbym to miejsce zaszczycać? Dzisiaj, na przykład, zamówiłem pieczeń w gęstym sosie, a nadto dwa kliniki i karafkę czerwonego wina – co dla mnie, gnijącego weterana „Pałacu Pizzy” i „Szałas Burgera”, „Jaskini Jarosza” czy „Chatki Puchatka” – jest ledwie odpowiednikiem garści brązowego ryżu i szklaneczki musującej witaminki C. (W okolicy jest parę takich przybytków zdrowego, ekologicznego jedzenia, prowadzonych przez podstarzałych hippisów czy smętnawych Duńczyków. Ale nie wezmę tego ich świństwa do ust. Po prostu nie wezmę). Siedzę więc oto, jak nowo narodzony, czekając na żarcie, a tu nagle przez rozwarte drzwi wparowuje Martin Amis – no wiecie, ten pisarzyk, z którym gaworzyłem kilka dni temu w pubie. Lokal jest już całkiem pełen, a on stoi i zastanawia się, lecz wreszcie dostrzega puste miejsce przy moim stoliku. Nie wydaje się, żeby mnie zauważył.

Usiadł naprzeciw i rozłożył przed sobą książkę. Ten chłopak zrzuca sobie wzrok... Mnie zaś pękała głowa od natłoku myśli, a na dodatek przyplątał się zdesperowany kac; a nie miałem nastroju na komplikacje. Zeszłego wieczoru doszłusowały nowe.

Koktajl: siedemnaście funtali. Kolacja: sześćdziesiąt osiem. A Selina: dwa i pół patola. Tak, słyszeliście dobrze, dwa i pół tych wielgachnych kafi. Rękodzieło na „Wyspach Szczęśliwych” – mówię wam, Ognista dawała to wszystko za darmo. Tracę po prostu kontrolę, rozpadam się na kawałki. Rok temu taka sesja dwugodzinnego kwestowania przy świecach przyniosłaby Selinie najwyżej kuksańca w ucho (zabrałbym się do tego elegancko, bądźcie spokojni, nie w żadnej restauracji czy innym publicznym miejscu, ale w poczciwym *fiasco* albo w kochanym mieszkanku). Rozsypuję się, pękam, puchnę. Wręczyłem jej czek w sypialni. Wsunęła go za czarny stanik. I trochę sobie użyłem. Godzinę później odezwał się telefon. „Nie odbieraj” – szepnęła Selina. Ale ta przerwa właśnie mi odpowiadała – w tym samym stopniu, w jakim zirytowała Selinę. Rozdzieliliśmy się (przypominało to rozsypywanie splątanych sznurowadeł) i wygramoliłem się z trudem z łóżka, żeby odebrać telefon. Był to Fielding Goodney z najnowszymi doniesieniami: Doris Arthur ukończyła wreszcie scenariusz „jak marzenie”, Caduta Massi i Butch Beausoleil podpisały ostatecznie kontrakty, Spunk chciał się dostać, Lorne chciał się wyłączyć – Guyland zwyczajnie świruje, i to już się nie zmienia. Forsa sypała się z nieba szybciej niż Fielding ją łapał. Odświeżony, radosny jak poranek, pomknąłem do drugiego pokoju. Gdy wróciłem z butelką brandy, Selina przeklinać musiała ten moment, w którym kochana mamusia ją powiła. Bo dwa i pół patola to przecież kupa szmalu. Taki Fielding kosił melony. Jeśli naprawdę wszystko się powiedzie, to będę mógł rżnąć Selinę codziennie, przez całą resztę życia.

Winko wreszcie przybyło. Tak czy owak musiałem jeszcze wpięprzyć obiadek, pochyliłem się więc do przodu i mówię:

– Przeznaczenie.

Spojrzał na mnie z błyskiem paniki w oczach – lecz uspokoił się zaraz i uśmiechnął. Poznał mnie. Ludzie na ogół mnie poznają. Nie odczuwam takiego problemu, problemu, żeby ktoś mnie nie poznał. To jeden ze skutków ubocznych wyglądu takiego jak mój.

– Cześć – powiedział. – Nie możemy się tak ciągle spotykać.

– A cóż ty porabiasz w takiej spelunie? Czemu to nie jesz obiadu ze swoim, powiedzmy, wydawcą, czy kimś równie ważnym?

– Spokojnie. Obiady z wydawcą trafiają się raz na dwa lata. A co ty robisz?

– Siedzę w filmach – mówię. – Aż potąd.

– A to dlaczego nie jesz obiadu, powiedzmy, z Łomem Guylandem? Teraz rozumiesz, co mam na myśli? Takie obiady nie trafiają się przecież codziennie.

– Dlaczego wymieniałeś właśnie Guylanda?

Być może mnie rozpoznał – albo wreszcie docenił. Jestem w końcu znany w

pewnych artystycznych kręgach.

– Bez żadnego powodu – odpowiedział Amis.

– John Self – wyciągnąłem dłoń, a on ją uściśnął.

– Martin Amis.

– Szach!

– Posłuchaj – zapytał – czy to... czy to ty jesteś tym facetem, co to robił te wszystkie reklamy, to znaczy te, które zaraz wycofano?

– To ja.

– Rozumiem – skinął głową. – Uważam, że były cholernie śmieszne. Wszyscy byliśmy zgodni.

– Dziękuję, Martin.

Nadeszła kelnerka z kopiastym, dymiącym talerzem. Przyjęła zamówienie Martina. I znów mnie zaskoczył standardowym śniadaniem prostaka: jajka, bekon i frytki. No tak, nie wydaje się, żeby pisarze za dobrze zarabiali.

– Tosa? – zapytała dziewczyna, przedstawicielka włoskiego kontyngentu, choć jej kolorki zostały już mocno przyćmione kuchennym mikroklimatem.

– Dziękuję, żadnych tostów.

– Drin? – kontynuowała.

– Poproszę herbatę – odpowiedział Martin.

Wskazałem litrówkę musującego czerwienca:

– A może kropelkę tego?

– Nie, dziękuję bardzo, do obiadu staram się nie pić.

– Ja również. Ale nie zawsze mi się udaje.

– Gdy napiję się do obiadu, przez resztę dnia czuję się jak gównno.

– Ja również. Lecz czuję się jak gównno i przez cały obiad, gdy tego nie zrobię.

– Cóż, wszystko sprowadza się do wyboru, prawda? – stwierdził Amis. – Tak samo jest na przykład wieczorem. Czy chcesz spędzić szampańską noc, czy czuć się dobrze rano? Czuć się dobrze za młodu albo czuć się dobrze na starość? Wybrać możesz tylko jedno, nie ma dwóch możliwości naraz.

– Czy to nie tragiczne?

Przyjrzał mi się z pewną troską. Ze smutkiem podążyłem za jego wzrokiem i zobaczyłem to samo, co on: śnieżnobiałe policzki i czerwone powieki, wąska szparka ust – niczym na monety, zabarwione tanią zębami; no i te smętne piórka, wysuszone piórka pijaka.

– Wciąż jednak stawiasz na wieczór...

– Na to chyba wygląda.

– A rano czujesz się jak gówno. – Z rozbawieniem spojrzął na moje wino. – A po południu też czujesz się jak gówno.

– Bo jestem człowiekiem-sową... – rzuciłem niepewnie.

Nadeszło i jego żarcie – widać, że się tu nie opieprzają – sięgnął po sól. Zaczynając jeść, powiedział cicho:

– Byłem parę dni temu w naszym superkiosku, gdy miałeś starcie z bojowniczką kobiecej czci.

– Tak? – poczułem, jak odpływa mi krew.

– Wydaje się, że poradziłeś sobie w końcu nie najgorzej. Parszywa sprawa.

– Tak, było to kurewsko stresujące.

– Oczywiście – przyznał, rąbiąc rześko jedzonko – lecz mogłeś przecież argumentować, że mężczyzna też jest wykorzystywany.

– Jaki mężczyzna?

– Był przecież na zdjęciu facet, no nie?

– Nie. Dziewczyna miała samego tylko kutasa przy buzi.

– A twoim zdaniem ten kutas do kogo należał, geniuszu?

– Zgoda, ale dziewczyny nie uważają, że to wykorzystywanie. Ich zdaniem wszyscy faceci lubią to robić tak czy owak.

– Chyba jednak się mylą, prawda? – zauważył łagodnie. – Ja nie miałbym na to ochoty. Ty chyba także. Mężczyźni też robią to dla szmalu, tak samo jak kobiety.

– Niektórzy muszą to lubić. Gdy byłem młodszy, zawsze myślałem, że to zapłata za frajdę. Niektóre dziewczuszki też w tym całkiem gustują, nie zapominaj.

– Tak sądzisz?

– A pewnie – mówię. – Znam nawet jedną, co pozowała dla „Debonair”. Na samo wspomnienie szlocha z dumy.

– Dumy...? No tak, to nawet pasuje.

– Nie rozumiem?

– Dla prostaków to dzieło sztuki – mruknął wycierając usta. – Dobra, muszę już lecieć.

– Chwileczkę – mówię – daj żołądkowi trochę luzu. Tak gnać to naprawdę niezdrowo. Może się jeszcze napijesz?

Pokręcił przecząco głową. Przed odejściem podał mi dłoń. Uścisnąłem ją.

– Miło z tobą pogadać, Martin.

– Do zobaczenia, John.

John. Ale imię, co? Oznacza sracz, numerek, interes. Odsunąłem talerz i rozparłem się ze szklaneczką wina. Zapaliłem papierosa. Zamyśliłem się. Sztuka prostaków... Tak... Kiedy Vron łała ślozy wzruszenia pokazując przyszlęmu pasierbowi zdjęcia, zdjęcia, na których onanizuje się goła, dla pieniążków, wytłumaczyła mi – rozwlekła i zachryplym głosem, z gorącymi łzami zbierającymi się na krawędzi rzęs – że zawsze była przecież istotą twórczą. „Zawsze byłam twórcza, John!” – powtarzała w kółko, jak gdybym bezbożnie starał się imputować, że była twórcza tylko czasami albo dopiero ostatnio. Vron stanowczo twierdziła, że była dobra z rysunków jeszcze w szkole i że nauczyciel często ją wychwalał. I jak wspaniale ceruje, no i polot w projektowaniu wnętrza.

– Zawsze wiedziałam, że kiedyś pokażą mnie w książce – mówiła w podnieceniu, raz jeszcze sięgając po pismo – a teraz marzenie się spełniło.

Rozpostarła ponownie rozkładówkę, wygładzając ją wygodnie na kolanach: tak, to była na pewno Vron, Vron na czterech łapkach, Vron pod kątem od tyłu, w pończoszkach, szpileczkach i majteczkach koloru wina, zsuniętych do połowy jej krostowatych ud.

– Piękne – wzdychał za ramieniem mój tatko.

– Bo widzisz, John – mówiła – jeżeli tylko masz ten twórczy...

– Talent – dodał tatko.

– Ten twórczy talent – ciągnęła Vron – to myślę, że powinieneś coś z siebie dać. Tak, John. John, spójrz tylko.

Odwróciła stronę. Oto Vron w półleżącej pozie na białym, puszystym jak angora dywanie, z jedną nogą zagiętą pod łokciem, z jedną dłonią wsuwającą się w cipkę, z wyrazem zgorzonego zachwytu na odwróconej profilu twarzy.

– Widzisz, jak wiele potrafię dać z siebie, John? To właśnie mówił mi Rod, ten fotograf. Cały czas mówił: „Daj z siebie, Vron, daj!”

Wyszedłem pół godziny później. Vron i Barry znów przelewali łzy, płacząc z wdzięcznością i ulgą, przytulając się do siebie.

A teraz posłuchajcie. Opowiem o tym tylko raz.

Trzy lata temu, kiedy zarabiać zacząłem prawdziwe pieniądze w odróżnieniu od tych wszystkich innych groszy, mój tatko wpadł w ciężkie tarapaty przy kartach i na wyścigach, i... Możecie sobie wyobrazić, co też ten cykor wymyślił? Wystawił mi rachunek za wszystkie koszty, które poniósł na moje wychowanie. Pomyślcie tylko, ta pierdoła obciążyla mnie kosztami! Rachunek nie był zresztą aż tak wysoki, gdyż siedem lat spędziłem u siostry mej mamusi w Stanach. Mam jeszcze gdzieś ten „dokument”... Sześć pełnych arkuszy A-4, wystukanych na maszynie kciukiem. Za trzydzieści par

obuwia (circa)... za cztery karawanigi do Nailsea... Za moją część benzyny... Obciążył mnie za wszystko, za kieszonkowe, za lody, za modelowanie piórek, za wszystko. Do rachunku dołączony był aneks, gdzie tłumaczył urzędniczym stylem, że jest to oczywiście jedynie luźny szacunek, i że nie oczekuje, iż zwrócę mu wszystko co do grosza. Uwzględnił też inflację. Kosztowałem go w sumie dziewiętnaście tysięcy funtów.

No cóż, zachowaliśmy się obaj charaktenie – a charakter mamy ten sam. Otrzymawszy list od ojca, upiłem się i posłałem mu czek na dwadzieścia tysięcy funtów. Otrzymawszy mój czek ojciec upił się i postawił całą sumkę na konia startującego w gonitwie po Złoty Puchar Cheltenham; rumak zaś nazywał się jakoś tak dziwnie, Walikoń, a może Dupodajek, coś w tym rodzaju. Jak na wyścigowca konik był młody i trudno nawet mówić o formie – lecz tatko Barry dostał jakiś cynk. Sto do ośmiu wydawało mu się niezłą stawką. Forsę postawił przez posłańca. Tymczasem to jeden z niecnych jego kumpi, niejaki Morrie Dubedat, wymyślił całą tę hecę i poręczył wypłacalność tatki... Dziesięć minut później Barry wpadł jednak w panikę i chciał się ze wszystkiego wycofać. Tyle że bukmacher wynajął już naganiaczy i było na coś takiego za późno. Zgięty nad butelką whisky, Barry słuchał radiowego sprawozdania w zapadającym powoli zmierzchu. Jak można się było spodziewać, Dupodajek wyleciał niezdarnie ze stajni, każda noga w innym kierunku, rżąc i wierzgając w tych swoich klapkach na oczach i kretyńskim kapelusiku. Wreszcie dżokej przywołał go palcatem do porządku i Dupodajek ruszył w pościg za znikającymi w oddali współzawodnikami. Komentator rzucił coś w rodzaju litościwego żartu, zaś tatko rozwalił radio, wykończył whisky i omal nie wyzionął ducha z powodu krwotoku z nosa.

Barry zdobył wideonagranie wyścigu i nieraz jeszcze powraca do tych chwil z rozrzewnieniem.

Dupodajek nie tylko wygrał – był jedynym właściwie ocalańcem. Przy przedostatniej przeszkodzie zdarzyła się jedna z tych skłębionych, wchłaniających wszystko wywracaneek. Dupodajek wyrwał się, parskając, z chaosu – i sam jeden ruszył na ostatni płotek. Samotny koń pocwałował naprzód niezdarnie. I nie przeskoczył ostatniego żywopłotu: po prostu się przez niego przegryzł. A potem, z metą na wprost jak w pysk strzelił, jakieś pięć metrów od celu, wyłożył się jak długi. Dżokej, który już całkiem wymiękł, próbował go dosiąść; innym uziemionym kolegom zaświtała podobna myśl. Po około dziesięciu minutach – szereg koni bez jeźdźców już dawno przeskoczył metę, a kolejny pretendent wziął z lekkością przeszkodę i był już coraz bliżej – Dupodajkowi wy chłostano palcatem z głowy nieodpowiedzialne wierzganie. Ruszył z jeźdźcem do

przodu i zwałił się w końcu na linię, lecz tylko do połowy swej długości...

Natomiast ów bukmacher był ledwie pośrednikiem, całkiem nielegalnym, i tatko, idąc po wygraną, zabrał ze sobą Morriego Dubedata, Grubego Paula i dwóch jeszcze twardych graczy. Do tego czasu zdołałem już wytrzeźwieć i wywołać nawet nieco komplikacji próbując unieważnić czek – ale tatko zdołał wyjęcie zmianę mojej decyzji. Po miesięcznej walce wydebił w końcu forszę – nie całość, lecz i tak dosyć, żeby spłacić długi, wykupić browar, dowartościować „Szekspira”, zainstalować tam bilardowy stół, striptizerki i migające światła... Mówi, że mi wszystko niedługo zwróci. A ja to zresztą wszystko chromolę, bo i co mi po tym? Tej rany, jaką mi zadał, nie mogę dotąd przeboleć. I o to mu pewnie chodziło.

Uregulowałem rachunek – całkiem dla mnie przydatny, żeby zrachować tę okazałą kolejkę koniaków i brandy, jakie posępnie zaliczałem. Wróciłem do mojego gniazdka, zapakowałem walizkę i wracałem do Ameryki.

Autocrat sunął żwawo i miękko między domami z tanich prefabrykatów, pośród poruszających scenek z rodzinnego życia Czarnych, z całymi ligami braci i kibiców na koszykarskich boiskach, z sylwetkami matek nawołujących z kuchennych okien, zza siatek przeciwko owadom. Samoloty-widma bzczyły nad dachem limuzyny – zniżając się znad wody wokół lotniska La Guardia. **ZAKAZ WYPRZEDZANIA, NIE PRZEKRACZAĆ BIAŁEJ LINII, NARUSZENIE PRZEPISÓW BĘDZIE SUROWO KARANE, NIE ZMIENIAĆ PASMA RUCHU, PODJAZD W GÓRĘ – ZACHOWAJ STAŁĄ PRĘDKOŚĆ. CZY MOJEMU SZOFEROWI TRZEBA TO WSZYSTKO MÓWIĆ?** Czy nie wystarczyłby napis **JEDŹ!** Opuściliśmy właśnie pas małych domków i wsunęliśmy się na arterię szybkiego ruchu. Przed nami – oto znowu – zgrzytająca wyszczerbionymi zębami panorama Nowego Jorku, arcydzieło sztuki graficznej, majsterszytk wyobraźni.

Gdy podjechaliśmy pod „Ashbery”, podałem kierowcy dwudziestkę.

– Nie, proszę pana! – powiedział. – Już wszystko zapłacone. Czy zechciałby pan zatelefonować do pana Goodneya, kiedy się już pan rozlokuje?

Jeszcze raz próbowałem mu wcisnąć dwudziestkę. Nie wziął jednak, więc wcisnąłem ją Felixowi.

– Przykro mi bardzo, że cię do tego zmuszam, Slick, ale musisz spotkać się z Łomem Guylandem, i to dziś.

– Litości, człowieku.

Podał mi powody. Miałem już odłożyć słuchawkę, gdy Fielding podejrzliwie

zapytał:

– A zaraz, jak przyleciałeś? Czy nie turystyczną?

– No tak.

– Slick, musimy poważnie się rozmówić. Na temat twoich wydatków. Pomyśl tylko, John. To naprawdę kłopotliwa sprawa. Jak to wygląda w oczach naszych sponsorów. I księgowych. Wynajmij piętro w „Gustawie”. Wynajmij odrzutowiec i poleć na weekend na Karaiby. Weź z sobą Butch i Cadutę. Kup skrzynkę szampana i wylej to wszystko na swojego kutasa. Wydawaj. WYDAWAJ. Co jesteś wart, jeżeli latasz turystyczną. Leć lepiej concordem. Leć superconcordem. Na Boga, Slick, lataj jak należy!

Ogoliłem się, wziąłem prysznic, wypilem kubeczek bezcłowej i pojechałem rozgraną taksówką na Wschodnie Osiemdziesiątki. Prowadził Si Wypijewski. A może Wypijewski Si. Nowojorczyk ci powie, że na identyfikatorze taksiarza nazwisko jest zwykle pierwsze. Lecz kto to wie? Nawet jak masz Smith John albo Brown David, to też nie możesz być do końca pewien. Jechałem kiedyś z facetem, który na plastiku miał Supersad Morgan. A może Morgan Supersmutny. Oczywiście w każdym razie miał brązowe i pełne melancholii. Naprawdę supersmutne...

Moja misja? Iść i dodać otuchy Lorne'owi Guylandowi. Według Fieldinga już od dawna potrzeba mu było otuchy. Potrzebował tego, lecz nic nie otrzymywał.

– Teraz właśnie, John – doradzał Fielding.

– Zaoszczędzi nam to wiele zachodu na późniejszym etapie.

Lorne'a należało zapewnić, że na ekranie to on zdominuje resztę, że ma najwyrazistsze kwestie, najkorzystniejsze zbliżenia. To on jest ciągle młody, wygląda jak kulturysta, to jego kochają tłumy. Lorne potrzebował zapewnień, że gra właściwą rolę. Ja zresztą też, przyjacielu. Lorne, świetnie ciebie rozumiem.

Więc Lorne grał rolę Gary'ego, ojca dobrego na błoto. Wydaje się, że określiłem już jasno, jaki miał być Gary. Bo Gary był odbiciem Barry'ego, Barry'ego Selfa: ignoranta o wydłużonej szczęce, hedonisty nie skazonego myślą, perfekcyjnego odlewu prostackiego zarozumialca, który wciąż potrafi eksploatować drobne, lecz trwałe pozostałości niegdysiejszego uroku i uśmiechu losu. Czemuż w ogóle zawracam sobie głowę moim tatkiem? Kogo to obchodzi? I o co właściwie taki krzyk z historią ojców i synów, tatków i synalków? Nie wiem – i też nie na tym polega rzecz, że on jest moim tatą. Raczej na tym, że ja jestem jego synem. Jestem jego pełen, kłębią się we mnie, gotują jego przebojowe, kierujące wszystkim geny... Gary miał w sobie wiele z tatki, podobnie jak ja przypomiiałem Douga, czyli syna Gary'ego. Kiedy mąka okazuje się heroiną, Gary chce oddać wszystko mafii. Natomiast Doug chce sprzedać narkotyk po

aktualnej cenie rynkowej równej dwóm milionom dolców. Obaj są źli i chciwi, lecz stary Gary jest tchórzem – tyle że to cykor-farciarz.

Fielding uprzedzał, że Lorne może przysporzyć mi wielu problemów – i to różnego rodzaju.

A Lorne chciał, na przykład, żeby Gary miał znacznieszą pozycję. Szef pubu albo garkuchni, to dla Lorne’a za mało – chciał, żeby Gary był szefem szpanersko-snobistycznej restauracji. Był także problem z wiekiem. Fielding powiedział, że Lorne puścił nawet wodze fantazji i proponował, żeby Gary i Doug byli braćmi, a nie ojcem i synem. Miał nadzieję, że w ten oto sposób uda mu się zbagatelizować – bagatela! – czterdziestoletnią różnicę wieku pomiędzy nim a jego partnerem. No i wreszcie, jakżeby inaczej, była jeszcze sprawa seksu.

– Na imię mam Thursday, Czwartek – powiedziało dziewczę, otwierając przede mną drzwi eleganckiego penthouse’u Lorne’a. – Zaraz do niego przedzwonię.

Kręcąc dupką Czwartek pomknęła przez hall do swojego biureczka. Miała na sobie coś w rodzaju szkolnego mundurka – bluzkę i krawat, plisowaną spódniczkę dyrygentki chóru, krótkie skarpetki nastolatki. I miała z metr osiemdziesiąt wzrostu, wyglądała jak wystrzałowy transwestyta, być może z pomocą jakiejś lubieżnej seks-operacji w fachowej Kalifornii. Gdy pochyliła się nad interkomem, jej spódniczka podleciała jak wariatka w górę i mogłem dojrzeć jej białe majteczki opinające dwie półkule – niczym stanik cycy. I pomyślałem sobie... Fielding twierdził, co prawda, że Lorne „zjebał się już do cna”; że podczas swej pierwszej dekady na szczycie zużył się aż tak bardzo, że osiągnął stadium zramolenia – co jest przecież normalnym syndromem w tym filmowym światku. Według Fieldinga Lorne nie miał już erekcji od jakiś trzydziestu pięciu lat. Trzeba oczywiście pamiętać, że w swoim czasie Lorne był naprawdę wielki, był po prostu ogromny, był bez mała kolosem. Gdy w Hiszpanii kręcono Gargantę – w latach, hen, pięćdziesiątych (znów relacja Fieldinga) – Bullion zadbać musiał o mosty powietrzne seksu (z Nowym Jorkiem, Londynem, Paryżem), żeby uziemić Lornet cipkami na pięć miesięcy na planie. Lorne przechwalał się wówczas, że daje sobie radę z całym samolotem cipek – że bierze je za pomocą buteleczki brandy i w ogóle bez wzvodu – wystarcza mu flak-rekacja... Taki był z niego kozak! Był wtedy wielki, naprawdę wielki. Całe życie widziałem go zresztą tam w górze, na wielkim ekranie.

– Panie Guyland! Mistrzu, oto pana reżyser! – zaświergotała Thursday słowiczo-telegraficznym głosiakiem. I roześmiała się lubieżnie. – Kochanek, ma się rozumieć! – Odwróciła się do mnie: – Przepraszam, że jestem taka podniecona. Ale Lorne przygrzewa mi od rana. Czeka u siebie na górze.

Wspinałem się po wyłożonych dywanem kręconych schodach. Z nizin wspinałem się ku bogom. Lorne wyszedł do mnie po chmurze puszystych kobierców, w tym swoim siódmym niebie, w białej, powłóczystej szacie, wyciągając – poprzez klimatyzowane powietrze – rękę w szerokim rękawie. Rozkazując mi gestem obrócił się na pięcie i wskazał na okienną ławę – to był jego balkon, jego prywatna łoża nad spoconym, dyszącym Manhattanem. Podał mi drinka w szklaneczce z mrożonego szkła. Zdziwiło mnie, że zamiast ambrozji miał smak whisky. Następnie Lorne wpatrywał się we mnie przez dłuższy czas z wyrazem dojrzałej szczerości. Ja zaś wygłosiłem najdłuższą, jak się miało okazać, kwestię owego wieczoru; powiedziałem mu, że odnoszę wrażenie, iż chce porozmawiać o swojej roli, czyli o postaci Gary’ego. Po czym Lorne znów wpatrywał się we mnie przeciągle. I wreszcie zaczął:

– Rozumiem, że ten Garfield jest człowiekiem bardzo wielkiej kultury – powiedział Lorne Guyland. – Kochanek, ojciec dzieciom, mąż, sportowiec, milioner, lecz także człowiek czytany, światły, o rozległej... kulturze, John. Poeta. Dociekliwy. Ma w swoich rękach świat: kobiety, pieniądze, sukces, lecz mimo to drąży jeszcze głębiej. Jako Anglik, John, zrozumiesz dobrze, co staram się powiedzieć. Jego mieszkanie na Park Avenue to muzeum, skarbiec dzieł sztuki. Rzeźby. Obrazy starych mistrzów. Arrasy. Szkło. Porcelana. Dywany. Skarby z całego świata. Gdzieś, na znamienitej uczelni, jest profesorem sztuk pięknych. Píše uczone artykuły do... no wiesz, do tych uczonych pism, John. Jest genialnym archeologiem, choć w niepełnym wymiarze godzin. Prośby o fachowe porady płyną dosłownie z całego świata. W pierwszym ujęciu widzę Garfielda, jak stoi przy pulpicie w bibliotece, czytając na głos Szekspira z pierwszego wydania, oprawionego w skórę z nie narodzonego cielęcica. Za jego plecami na ścianie, cała kolekcja płócien. Starzy mistrzowie, John. Unosi głowę i kiedy patrzy w stronę kamery, światło pada na jego monokl, i...

Rozglądałem się posępnie po pokoju, a Lorne bełkotał swoje. Kim, do cholery, był Garfield? Facet nazywa się Gary. Barry nie jest przecież zdrobnieniem Barfielda, prawda? Po prostu Barry tyle. A jednak byłoby to chyba najdrobniejsze z naszych nieporozumień. Lorne zaczął teraz wymieniać ulubionych autorów Garfielda. Przez jakiś czas mówił o poecie o nazwisku Rimbo. Był to zapewne jeden z naszych przyjaciół z państw Trzeciego Świata, podobnie jak Fenton Akimbo. Potem coś jeszcze dodał, tak iż zorientowałem się, że Rimbo jest chyba Francuzem. Ty sflaczały młocie, pomyślałem wkurzony, to nie żaden Rimbo, tylko Ram bot albo Rambeau. Rambeau miał przyjaciela, a może był to jakiś inny pisarz z jego epoki, z takim nazwiskiem jak wino – zaraz... Bordeaux... Bardolino? Nie, to już włoski... nie? Jezuu, jakie to

męczące, gdy niczego się nie wie. To wyczerpuje i szarpie ci nerwy. Mamy wtedy masz żywot. Idziesz na komedię i nie rozumiesz dowcipów. Z każdą godziną jest gorzej. Czasami, kiedy tak siedzę samotnie w moim londyńskim mieszkaniu i wpatruję się w okno, myślę sobie, jakie to naprawdę smutne, jakie trudne, jakie niesprawiedliwe, że wpatrujesz się w deszcz i nie wiesz, dlaczego pada.

No tak, trzeba powiedzieć, że szykowało się oto dla mnie przykre przedstawienie, tu, na dwudziestym pierwszym piętrze. Przynajmniej to było jasne. W złożonych sandałach Lorne wędrował z wystudiowaną niepewnością od okna do okna, intensywnie wpatrując się w górę; dłonie zbierały (i jednocześnie oferowały) rewelacje rozdzielane bratersko przez bogów. Jak wszystkie filmowe gwiazdy był niemalże karzełkiem (skondensowana, skoncentrowana obecność), ale stary niedźwiadek trzyma się, trzeba przyznać, niezgorzej z tą opalenizną i połyskiem wszechamerykańskiego króla robotów. Tak, na tym właśnie cała rzecz polega, to nie jest człowiek, to stary, szalony robot, cynkowa blacha, chrom i obwód chłodzenia. Przypomina mój samochód, jest jak to moje pierdolone *fiasco* – minęły jego najlepsze dni, sprawia wszystkim kłopot, no i spala pieniądze, gumę i olej.

Lorne wciąż jeszcze rozwodził się nad szerokim stylem życia Garfielda, mówił o galeriach, jakie Garfield miał pod swoją pieczęcią w Paryżu i w Rzymie, o sesjach operowych fanów, jakie urządzał w Bejrucie czy w La Palma, o jego domach w Toskanii, Dordogne i przy londyńskim Berkeley Square, o samotni na Barbadosie, o stajniach ogierów, lądowisku helikopterów na Manhattanie... A podczas gdy musujący stary pies wył i poszczekiwał w gwieźdzną noc, ja poświęciłem kilka czułych myśli mojemu projektowi, mojemu małemu, biednemu projekcikowi, który tak długo już kołysałem w głowie. Dobra forsą byłaby dobra jako krótki metraż, z budżetem, powiedzmy, jakichś siedemdziesięciu pięciu tysięcy funtów. Lecz teraz, gdy kosztować miała piętnaście milionów, nie byłem już taki pewien. Ustalić muszę jednak priorytety. Nieważne, czy film będzie dobry. Dobra forsą w ogóle jest nieważna. Ważna jest forsą. Forsą.

– Lorne – odezwałem się. – Lorne! Lorne? Hej, Lorne?!

– Rubiny, diamenty, szmaragdy, perły oraz ametyst o wartości półtora milionów dolarów.

– Lorne.

– Ależ słucham cię, John.

– Lorne. Jeżeli Gary jest taki bogaty, kto u diabła będzie się podniecał heroiną ukrytą w jego kuchni?

– Przepraszam, nie rozumiem.

Zmniejsza to dramatyzm, nieprawdaż? Pomyśl chwilę. Pomyśl sekundę. Jeżeli Gary jest taki bogaty, to bogaty jest także Doug. Więc spokojnie oddają heroinę. Nie ma sprawy. Nie ma problemu. Nie ma filmu.

– Pieprzysz! Przecież Garfield chce oddać heroinę. Ale ten drugi facet, Doug, jak go nazywasz, ten Doug chce ją zatrzymać. Dlaczego?

– No właśnie, dlaczego?

– Przez zazdrość, John, przez zazdrość. Po prostu zazdrości Garfieldowi.

I okrągle dwadzieścia minut Lorne rozprawiał o zazdrości, o jej zasięgu i mocy, i o tym, że człowiek taki jak Garfield (zdaje się, iż powiedział nawet sir Garfield) mógł wzbudzać – właśnie on – takie oto uczucia w istocie tak niskiej, słabej i złej jak Doug – właśnie on, sir Garfield, z jego rozległą wiedzą, lądowiskiem helikopterów, koneserstwem, kryjówką na Barbadosie, no i całą tą resztą. Płół aż dwadzieścia minut.

– Co więcej – dodał Lorne – zazdrości mi tego, co robię dla Butch.

– Dlaczego? Nie może być tak zazdrosny, jeżeli ją także pieprzy.

– Cieszę się, że poruszyłeś ten temat. Bo wiesz, John, nie sądzę, i nie sądziłem nigdy, żeby było to szczególnie przekonujące... w sensie dramaturgicznym... żeby on, żeby on też ją rznął, John.

Spojrzałem na niego z niechęcią.

– To po prostu nie ma sensu. Po prostu nie trzyma się kupy – roześmiał się Lorne. – Jeżeli Butch pieprzy się z Garfieldem, w jaki sposób mogłaby ryzykować swe szczęście, swoje uczucie spełnienia, John, zadając się z takim młodym śmieciem jak... – Pokręcił głową. – W porządku, John, zgoda, to sprawa do dalszej dyskusji. Ale zgódź się, że moja wersja bardziej trzyma się kupy. Bo widzę to tak, John, że Butch nie miała jeszcze nigdy orgazmu, dopóki nie spotkała tego wspaniałego faceta, który ukazał jej świat, o jakim mogła tylko marzyć, świat odrzutowców i karaibskich posiadłości, świat...

Nie odrywałem od niego wzroku. Czas mijał. Niespodziewanie Lorne przerwał w pół zdania. Zakręcił ten przysznic blichtru.

– John – powiedział – wydaje się, że nadszedł czas, żebyśmy przedyskutowali scenę śmierci.

– ...Jaką scenę śmierci?

– No jak to, lorda Garfielda – powiedział Lorne Guyland. – A dzieje się to tak: torturują mnie członkowie bandy, nagusieńkiego jak mnie Pan Bóg stworzył. Walczę jak lew, lecz skurwysynów jest aż piętnastu. Żądają ode mnie heroiny... i chcą zrabować moje dzieła sztuki, te skarby kultury ze wszystkich stron świata. Ale ja milczę jak głaz. I teraz. Gdy te skurwiele mnie torturują, zmuszają Butch i Cadutę, by na to patrzyły.

Dziewczyny też mogłyby być nagie. Nie jestem pewien. John, przemyśl to dobrze. I te dwie kobiety patrząc, jak cierpię nagi, w milczeniu, patrząc na człowieka, który dał im wszystko, a który zarazem był największym jebaką, jakiego znały w swym pieprzonym życiu... te dwie kobiety, proste, nagie kobiety zapominają o rywalizacji i padają sobie ze szlochem w ramiona. Po czym napisy końcowe.

– Lorne, muszę już lecieć.

Ale minęła jeszcze godzina, nim Thursday mnie wypuściła. Dyskusja nad scenariuszem skończyła się tym, że Lorne zrzucił na ziemię szatę i zapytał ze łzami w oczach:

– Czy to jest ciało starego człowieka?

Zmilczałem. A nawiasem mówiąc, odpowiedź brzmiałaby „tak”. Wykonałem wieloznaczny gest i zbiegłem w dół po schodach.

Thursday otwierając drzwi uśmiechnęła się powściągliwie.

– Jest nagi? – spytała chłodno.

– Tak.

– Boże – szepnęła.

Dlaczego właśnie mnie zdarzają się takie durne, buzujące, niezrozumiałe pornograficzne historie? No cóż, myślę, że skoro sam jesteś pornograficzną istotą, pornograficzne historie trafiają się właśnie tobie.

Ruszyłem na zachód ładniutką East Side, pełną dekoracyjnych koszy na śmieci i markiz sterczących nad nisko przycupniętymi sklepami; East Side wydzielającą zapachosmrody spoconej, podnieconej nędzy, a potem – wraz z Fieldingiem Goodneym i Doris Arthur – wstąpiliśmy, całkiem na ślepo, do hałaśliwej i dusznej restauracji pełnej aktorów i pracowników mediów; było to jakieś pięć przecznic od kipiącego Harlemu. Nad scenariuszem Doris szalały teraz maszynistki.

Ucałowałem jej dłoń. Zawołałem o szampana. Chciałem zobaczyć brudnopis. Drocząc się, powiedzieli, że przyjdzie mi jeszcze poczekać. Odniosłem wrażenie, że za wiele było tego droczenia. Ale nazbyt zamroczyły mnie wóda i inny alkohol, żebym mógł do końca być pewien. Lorne wlał we mnie litry stuletniej prawie whisky. To trzeba docenić. Dodatkowym szampanem uczciliśmy Dorisowy scenariusz-marzenie. Więc roilo się wprost od gwiazd filmowych, było ich coraz więcej. Czemu tak się z nimi zadaje? Przecież ich nawet nie lubię. Jezusie, jacyż oni wszyscy są puści – i przezroczyści. Profesjonaliści rzadko jednak kiedy bywają niebezpieczni. Trzeba im przyznać. Należy się wystrzegać aktorów prawdziwego życia. Również aktorek. Chwycił

mnie atak paskudnej czkawki – coś jakby seria lewych sierpowych w podbródek. Jeden z tych ciosów naprawdę zwichnął mi kark – wilem się przez chwilę na podłodze pod stołem, dopóki ból nie minął na tyle, żebym mógł się podnieść. Sznur od lampy na kontuarze barn kojarzył mi się z aparatem słuchowym, który, jak mi się zdawało, widziałem w uchu Fieldinga. Otarłem się kolanem o kolano Doris – raz, a może dwa razy – i pomyślałem, jakie to cudowne, gdy dwoje młodych ludzi coś do siebie czuje. Latałem jak z piórkami do sracza, którego ściany pokrywały nieprawdopodobne rysunki nagich cipeczek jakby powycinane z pism. Kobiątka ze złamanym nosem prowadziła telefoniczną rozmowę. Próbowałem tę babkę podnieść na duchu nawet wtedy, gdy pojawił się już jej mąż czy kochanek. Bardzo mi się nie spodobał jego ton. Ranił moje uczucia. Wyniknęła w związku z tym sprzeczka, w rezultacie której wylądowałem u stóp zapasowych schodów z twarzyczką w jakichś wilgotnych kartonach. Dla damy był to niefortunny obrót sprawy. Dama, jak się wydawało, miała na mnie wielką chętkę. Gdy trochę się odświeżyłem, rzuciłem „cześć” niektórym spośród gwiazd, do niektórych z nich nawet przysiadłem się na chwilę z paroma stosownymi grepsami. Zaproszono mnie do pokoju na zapleczu, gdzie nawijałem przez chwilę o dupie Maryni z pewnym takim małżeństwem, które, wedle ich własnych słów, szefowało temu przybytkowi. Małżonka, bez dwóch zdań, przypominała burdelmame, lecz nie powiem, żeby mi to zbyt przeszkadzało. Ona w każdym razie zaprzeczała. Kiedy Fielding odprowadzał mnie z powrotem do stolika, posłałem mocny tekścik pewnej lubieżno-sprośnej kelnerzycy, która zdawała się cała w skowronkach, lecz gdy tylko zniknęła w kuchni, słyhać było jej płacz. Rzuciłem się za nią przez wahadłowe drzwi, żeby choć trochę ją pocieszyć, ale dwóch byków w przepoconych T-shirtach zapewniło mnie, że nic więcej nie mogę już dla biedactwa zrobić. Po drodze udzieliłem autografu. Doris, w stroiku przypominającym śpiwór, wyglądała całkiem w pychę. Z rozwichrzoną fryzurką i w muszkatołowej barwie ciuchach była po prostu cukierczkiem o prześlicznych oczach, świrującym za łózkowym sportem, stałą członkinią fan-clubu kutasów – tak jak i wszystkie inne dupeczki. Doris zaprzeczała także. Wiecie, tak naprawdę to jej nie lubię. Wołałem o wzmocnione wino i tankowałem całe litry drapiącej język kawy. Doris przytuliła się do mnie, gdy szliśmy już do drzwi, lecz musiała mnie na chwilę puścić (być może macałem ją zbyt natarczywie), gdyż rzuciłem się nagle przed siebie i pewnie bym tak gnał aż do samego *downtownu*, aż do Greenwich Village, gdyby nie przeszkodził mi po drodze wózek pełen deserów. Calutka restauracja dopingowała mnie, gdy starałem wydostać się na zewnątrz, na tę gwiazdzistą noc.

Dysząc oparłem się o latarnię, podczas gdy Doris z wielką czułością wycierała

z mojego garnituru resztki czekoladowo-pomarańczowego tortu. Fielding pozostał w środku, żeby pogratulować – i wynagrodzić trud i kłopot – stroskanej szefowej-małżonce. Oto niezła, znacząca próbka Nowego Jorku, no nie? – tak sobie pomyślałem.

– Jezus, czy wszystko w porządku? – zapytała Doris.

– Wiem, że nie odmawiasz nawet pedałam, i tak dalej, i tak dalej, lecz powiem ci, w czym problem: nigdy nie spotkałaś właściwego faceta. Prawda, że to proste? Wracajmy do mojego hotelu i pofoglujmy co nieco. Chodź ze mną, koteczku, przecież wiesz, że to lubisz.

– Ty pierdolony dupku – uśmiechnęła się. Lecz jej twarzyczka zmieniła nagle wyraz i Doris powiedziała mi coś tak strasznego, coś tak absolutnie dziwnego, coś tak ścinającego z nóg, coś tak morderczego, że nie przypomnę sobie z tego ani słowa. Fielding i autocrat gdzieś się po cichu zmyli. Wszyscy odwrócili wzrok, a ja wpasowałem się jakoś z trudem do taksówki.

Ale nie miałem też z powodu tego wszystkiego tak wiele znowu stresu. Stres! Jak ludzie mogą to znieść?!

Następnego ranka obudziwszy się wcześniej świeży i radosny, sięgnąłem po egzemplarz pisemka „Delicacy” – był to najtańszy sposób, żeby ustalić, czy wciąż jeszcze żyję. Inne pytania – wcale nie mniej pilne – takie jak kto, jak, dlaczego i kiedy – musiały po prostu poczekać, aż nadejdzie ich kolej. Nie znalazłszy wśród pokazanych tam panienek żadnej, która w wyraźny sposób przypominałaby mi Seline, zabrałem się za redakcyjny quiz mający zbadać poziom mojego stresu. Należało tylko skreślić, co mnie „nie dotyczy”: konsumpcję alkoholu i nikotyny zestawiono z różnymi czynnikami wywołującymi stres. Według „Delicacy” nie miałem najmniejszej wprost troski na świecie, a jednak chlałem i paliłem jak jakiś poczwórny bankrut. I wtedy mnie coś trzepnęło: stres, a może tego właśnie potrzebuję! Może odpowiednia dawka stresu jest tym, za czym skowyczę. Potrzeba mi żaloby, szantażu, trzęsienia ziemi, trądu, ran i nędzy... Myślę, że wypróbuję ten cały ich stres! Tylko gdzie go można kupić?

Ależ tak, możesz kupić stres, a jakże, i za to się właśnie zabrałem. Jesteśmy przecież w Nowym Jorku i myślę, że to właśnie ten napęd, ta siła, ta elektrodynamika manhattańskiego napięcia. Po prostu ciebie ładuje. Daj mi, jaki chcesz problem, a ja go za ciebie rozwiążę.

Z miłym uczuciem, że utrzymuję rytm poprzedniej nocy i jej rozmaitych sukcesów i osiągnięć, zszedłem na dół do butiku „Mercutio” i kupiłem cztery garnitury, osiem koszul, sześć krawatów i superelegancki lekki makintosh. Wymienione wyżej części

garderoby czekają teraz na chytrą rękę, na całą przebiegłość superdrogich krawców, zanim wreszcie trafią do mojego hotelowego pokoju. Nawet krawaty wymagają stosownych poprawek. Koszta: trzy tysiące czterysta siedemdziesiąt sześć dolców, dziewięćdziesiąt trzy centy. Zapłaciłem kartą US Approach.

W „LimoRent” na Trzeciej Alei wynająłem sześciordzwiowego jeffersona z barkiem, telewizją i telefonem. Pojechałem nim za róg i zostawiłem na drogim parkingu przy Lexington i Czterdziestej Trzeciej. Samochód kosztować będzie ponad sto pięćdziesiąt dziennie.

Posiłem się studolarowym obiadem w „La Cage d’Or” na Pięćdziesiątej Czwartej oraz dwustudolarowym masażem (łącznie z prysznicem z asystą) w „Elizjum” na Pięćdziesiątej Piątej. Odczuwając niedostatek pomysłów i wymęczony już nieźle intensywnymi zakupami postawiłem czterem pijaczkom i trzem striptizerkom dziewięć butelek szampana w jakimś topless-barze na Broadwayu. Przemysliwałem o wypadzie taksówką do Atlantic City, żeby zrzucić nieco kasy przy ruletce. Mam doskonały system, który bezbłędnie zawodzi. Ale w końcu zrealizowałem po prostu czeki podróżne i, omijając dymiące kałuże na Times Square, wręczałem dwudziestodolarówki wybranym kłozardom, kurwom, śmietnikowym babciom i rozsypującym się żebrakom-inwalidom. Aż dwóch gliniarzy musiało interweniować, żeby zdławić powstałe przy tej okazji zamieszanie. „Jesteś pieprzonym durniem” – powiedział jeden z nich do mnie z maksymalną wprost wyrazistością i głębokim przekonaniem. Nie zwracałem sobie głowy, żeby wyprowadzić go z błędu, żeby powiedzieć, jak bardzo się myli.

Gdy wróciłem do hotelowego pokoju, usiadłem przy biurku i zacząłem intensywnie myśleć. Kłopoty z pieniędzmi różnią się od wszelkich innych. Jeżeli masz dziesięć patoli długów, to martwisz się dwa razy więcej, niż gdybyś winien był tylko pięć, a znowu martwisz się o połowę mniej, niż gdybyś zalegał dwadzieścia. A zatem dziesięć tysięcy, które trzeba komuś zwrócić, to równowartość trzech siódmych zgryzoty, gdy zwrócić musisz sumkę w wysokości dwudziestu trzech kafił trzystu trzydziestu trzech dolców. Masz dziesięć kafił długu i wpada ci właśnie tyle – no proszę, twoje kłopoty znikają, jak gdyby ich wcale nie było. Lecz tego wszystkiego nie da się powiedzieć o wszelkich innych kłopotach, o takich, na przykład, oszustwach czy oznakach rozkładu ciała.

Rozłożyłem się tymczasem na wyrze i zacząłem się zamartwiać o forszę. Zacząłem się martwić na serio. Wyciągnąłem portfel i przejrzałem kwity wypłat na moje kredytowe karty oraz okładki po podróżnych czekach. A sprawa miała się tak: nie miałem już więcej kasy. I to naprawdę prosiło się o zmartwienie.

Ktoś zapukał do drzwi – zerwałem się na równe nogi. Niewiarygodnie elegancki czarny młodzieniec wsunął się do pokoju z kilkoma plastikowymi torbami na zwłoki przerzuconymi przez ramię.

– Na łóżku, proszę pana? – zapytał.

– Tak. To znaczy nie – powiedziałem. – Już wcale ich nie chcę. Po prostu zmieniłem zdanie. Zabierz je z powrotem.

Spojrzał zdziwiony i uniósł lordowski podbródek.

– Warunki zakupu są na pańskim kwicie.

– W porządku. Rzuć je tutaj. Tak tylko żartowałem.

Dałem mu dychę i wyszedł. Dychę... Przez następną godzinę odbierałem wiele dodatkowych zakupów, z których znakomitej większości w ogóle nie mogłem sobie przypomnieć. Leżałem więc tylko na łóżku coś sobie popijając. Po chwili poczułem się tak, jak niewątpliwie poczuje się lady Diana w przeddzień ślubu, kiedy to ze Wspólnoty Brytyjskiej zaczną masowo napływać całe pociągi prezentów. Oto, na przykład, komplet przysadzistych szklanych naczyń, oto pomarańczowy kobierzec irańskiej proveniencji i całkiem świeżej daty, oto hiszpańska gitara i parka marakasów, oto dwa olejne obrazy (na pierwszym drzemiące szczeniaczki i kocięta, a na drugim naga kobieta jak żywa), oto noga słonia, a oto coś, co wygląda na stojak do mikrofonu, a w istocie jest nowoczesną rzeźbą z Kanady, oto zestaw do szachów wprost z Bengalu, oto pierwsze wydanie nieśmiertelnych Małych kobietek – i tak dalej, i tak dalej, i mnóstwo innych skarbów kultury z calutkiego świata. Kiedy zdawało mi się, że już jest koniec, udałem się do klopa i chorowałem jak wulkan. Tak, stres jest naprawdę kosztowny. Wielkie są osobiste koszta. Wszystko się wylało, obiadek, szampan, forsa, zielonkawa, falista lawa. Gdy uznałem, że erupcja ustała, przeszedłem do pokoju, zatelefonowałem do Fieldinga, i poprosiłem go o niewiarygodną wprost sumę pieniędzy. Rozmawiał tak, jak gdyby spodziewał się mojego telefonu. Wydawał się całkiem zadowolony. Tego samego wieczoru dostarczono mi do pokoju imponujących rozmiarów kopertę. Znalazłem w niej platynową kartę kredytową US Approach, bloczek czeków podróжных oraz upoważnienie do odbioru z banku przy Piątej Alei do tysiąca dolarów dziennie, jeżeli zajdzie potrzeba. Odczułem taką ulgę, że przez dwa dni nie opuszczałem w ogóle łóżka. Właściwie to nie miałem wyboru. Spokojnie, myślałem, spokojnie. Forsa ma się niezgorzej, lecz ty nie masz nic do gadania. Tak mi się zdaje, że czegokolwiek bym na tym świecie nie zrobił, wpada mi jedynie coraz to więcej forsy...

I więcej stresu.

– Raz jeszcze wielkie dzięki za prezent – mówiłem. – Właśnie o tym zawsze marzyłem.

– Próbuję cię czegoś nauczyć. Czy nie potrafisz tego zrozumieć?

– To znaczy czego?

– Wielu rzeczy. Współczucia. Opanowania. Szczodrości ducha. Szacunku dla kobiet.

– Zażyj coś lepiej stary. Dopiero teraz rozumiem, jak bardzo jesteś chory.

Roześmiał się.

– Nie podoba ci się? – zapytał. – Słuchaj, ten twój numer naprawdę był bardzo głupi. Nie rozdaje się pieniędzy tak po prostu, człowieku. Kiedy już to robisz, rób jak należy.

– Dobra, rozumiem, nareszcie zaskoczyłem. Więc słuchaj, torbo na wymioty, ile chcesz forsy? Ile mam bulnąć, żebyś trzymał się z dala?

– Żle, źle. Nie tak. Nie potrzeba mi twoich pieniędzy.

– Więc czego do diabła chcesz?

– Twojego życia.

– Raz jeszcze dzięki za prezent – powiedziałem. – Wysoce go cenię.

– Już ją przeczytałeś?

– Co? No wiesz, niezupełnie. – Preczytałem dziewięć stron podczas atlantyckiego przelotu, ale jeszcze mi trochę zostało. – Bo wiesz, byłem chory. Słuchaj, gdzie możemy się spotkać?

– Co robisz cały dzień, gdy jesteś chory?

– Przede wszystkim po prostu leżę. Po prostu choruję.

– Bo ja jestem właściwie wolna. Ossie odleciał znów do Londynu.

– Bomba. Więc co powiedziałaabyś na dziś wieczór?

– Ale czy starczy ci czasu? Znaczy na lekturę książki... Halo?

– Jestem przy telefonie.

– Posłuchaj, nie bądź mięczakiem. Oczekuję dokładnego raportu. Sprawozdanie z lektury będzie dla mnie testem... Halo?

– Jestem przy telefonie.

– No tak. Przedzwoń więc do mnie, jak tylko skończysz książkę.

Posłuchaj. Zaczekaj... O właśnie, oto znów ona. Bo muszę wam powiedzieć, że po całym Nowym Jorku łązi za mną pewna kobieta. Tak, wszystko się zgadza. Ta babka ma ze czterdzieć, a może i czterdzieści pięć latek, nogi jak stara słonica i z metr osiemdziesiąt wzrostu – na obcasach, na wysokich obcasach. Przygląda mi

się przez czarny welon opadający z czarnego kapelusza. Włosy ma krótkie, rudawe, naelektryzowane. Podbródek osadzony nisko, uparty i szalony.

Pracuje w nocy. Wytaczam się z baru, a oto ona, z założonymi rękami, po drugiej stronie ulicy u wejścia jakiegoś domu. Idę ulicą, a ona za mną utrzymując odległość i tempo. Wymykam się dyskretnie spod niemrawego neonu występnego salonu seksu, całkiem anonimowy w tym mławym świetle, a oto ona, proszę, zajądająca prażoną kukurydzą albo kasztany z papierowej tutki. Niekiedy zdarza się nam minąć tak blisko, że czuję jej oddech na karku. Nie odwracam się jednak. Kogoś mi przypomina. Trudno mi powiedzieć kogo. Gdzie już widziałem tę pieprzniętą sukę? Zaraz... Poczekajcie... No i proszę, znowu jest.

Ludzie tacy jak ona idą prosto na mnie. I jest tak zawsze. Potrafią mnie wyniuchać niczym zwierzęta. Jak psy. Gdy w drzwiach cichej kafeterii staje cuchnąca kloszardka i sunie zdecydowanie naprzód pośród ukośnie rozstawionych stolików, gdy świrowaty nędzarnik wpatruje się badawczo w salę, żeby upatrzeć punkt docelowy, wiemy wszyscy od razu, o kogo im chodzi. A ja spotykam ich wzrok nie mogąc nic na to poradzić. Coś we mnie przemawia, widać, do czegoś w nich. Ale co? Jest w naszych głowach jakiś niewykorzystany materiał, pałętają się jakieś zapasowe komponenty. Przejmują sprawy w swoje ręce, a my się podporządkujemy. Ruszamy na ich wezwanie. Teraz mam wrażenie, że parę osób, a może parę spraw, płynie w moją stronę. I to całkiem szybko.

– Czołem, witam przyjaciela – zawołał radośnie Felix, przesuwając kciukiem po mojej wąskiej klapie. – Wiesz, podoba mi się jego styl. Z tym facetem tydzień zapieprzu, a potem miesiąc luzu.

Nadeszła teraz pora przesłuchań. Zszedłem rankiem po majestatycznych schodach „Ashbery” i ze śmiechem wstąpiłem w upał. Nowy Jork raczy chyba żartować. Czytałem, a może dowiedziałem się z telewizji, o pewnych sferach kosmosu, gdzie latają bumerangi będące dziełem człowieka. Jest tam naprawdę gorąco, z parę tysięcy Celsjusza. Psychopatyczny upał. W Nowym Jorku, w lipcu, upał jest też psychopatyczny. Na kipiącym Broadwayu nowojorskie taksówki – żółte, zjebane, przecwelowane – telepią się szczerząc zęby niczym złowrogie roboty, niczym wściekłe psy. Na uptown, na downtown. Chwyciłem się za twarz i wskoczyłem w to bagno.

Powiadają, że Nowy Jork to dżungla. Można iść jeszcze dalej i powiedzieć, że to naprawdę dżungla. Tak, Nowy Jork jest dżunglą. Pod kolumnadą starego lasu z topiącego się w upale kamienia podstępna rzeka Limpopo bagnistej Dziewiątej Alei niesie gniewną flotę kuśtykających ludzkich wraków, drapieżnych ryb, smoków i

wszelkich potworów. Maszyny do produkcji hałasu, spoceni zaklinacze deszczu. Na rogach wystają guślarze i łowcy głów, bełkocący czarownicy voodoo – tubylcy, obeznani z dżunglą tubylcy. A w nocy, pod równikowym nadmiarem flory i kołdrą chmur zatrzymującą cały ten ukrop, słyszysz nerwowy skrzek papug i małpi pisk syren, a potem rozkwitają ognie, żeby odpędzić potwory. Uwaga: ulice najeżone są wnykami, pułapkami, podstępными siatkami. Wynajmij więc przewodnika. Zapakuj surowicę i maść na wszelki syf. Potraktuj to wszystko serio. Pamiętaj, że jesteś w dżungli.

Kierowałem się otóż ostro w dół, na rynek na koniuszku West Village. Budynki z czerwonej cegły pełnią tu podwójną rolę galerii padliny i szczurzych uli, bo przecież manhattańska fauna też pragnie odpowiedniej oprawy – za życia czy po śmierci. Tu także znajdziecie ostre pedalskie przybytki, „Szpikulec”, „Water Closet” albo „Słoik Śmietany”. Nikt dobrze nie wie, co też się w tych lokalach dzieje. Zapytajcie zapamiętałych pedryli. Nawet Fielding nie za bardzo się w tym orientuje. Zakneblują ci tam usta, wygarbują pejczem skórę, a na koniec wyrzucą na śmietnik – trzeba przyznać, że to nie jest zbyt uprzejme traktowanie. Przeciętny klient zakładu przyjedzie do „Szpikulca” taryfą, a potrzeba mu aż dwóch taksówek, żeby zabrać się z powrotem. Przywiązują się do łoża tortur albo trzepią się przy pisuarach. Wiele mogliby wytłumaczyć ich starszankowie, a zwłaszcza zaborcze mamusie. Wybaczcie panie, że na was przede wszystkim wskazuję, lecz każda opowieść musi mieć jakiś początek. Chętka na godzinne tortury, na morderstwo na godziny – nie, to nie sprawa woli. A tymczasem, jak powiada mi Fielding, Matka Natura przygląda się, oblizuje się, przytupuje, zaciera ręce. Czempionka monogamii wymyśla jakieś nowe choróbka. Nie będzie się wszak beczynnie przypatrywać takiej rui, takiemu poróbstwu.

Odkleiłem się od siedzenia taksówki, wygramoliłem się i podałem taksiarzowi forszę przez boczne okienko – stary londyński zwyczaj, i nie najlepszy, gdy chodzi o Nowy Jork. Staruch taksiarz siedział niewzruszony w swej klatce.

– Nie rozmienię dziesiątki – powiedział.

– Słucham?

– Umiesz czytać? – wskazał na żółty napis, który donosił o bezradności kierowcy przy nominalnie wyższym od piątki. – Nic się nie da zrobić.

– Ta tabliczka jest sprzed dziesięciu lat. Nie słyszał pan o inflacji?

– Nic na to nie poradzę.

– Dobra, zatrzymaj pan resztę. Wy, faceci, musicie spojrzeć w twarz rzeczywistości. Musicie być bardziej realistyczni.

Taryfa ruszyła ociężale dalej. Uniosłem wzrok i spojrzałem na drugą stronę

ulicy; spadziste zjazdy do garażów i warsztatów zastawione wrakami ciężarówek. Na opasany zderzakiem brzuchu jednej z tych strupieszających czy skamieniających maszyn rozwalily się opalone cielska trzech młodych facetów. Dwóch było trochę przy kości, o delikatnej skórze pokrytej jasnym meszkiem, podczas gdy trzeci przypominał kościotrupa odzianego w łataninę nabitej nitami skóry i obszarpanego dzinsu. Wejście do gniazdka Fieldinga znajdowało się, jak zauważyłem, zaraz za nimi czy też pomiędzy nimi; drzwi z wyraźnym numerem na czarnych listwach... Sprężystym ruchem zapląłem środkowy guzik marynarki nowego garnituru (białawe z czarnymi szwami: nie jestem pewien, czy wyglądam w nim okej – szkoda, że was tu nie ma, bo byście mi powiedzieli, czy wszystko gra), wsunąłem niedbale ręce do kieszeni spodni i ruszyłem, niby na luzie, przez ulicę.

Otóż nigdy nie naprzykrzali mi się geje. Sprawia mi to niemal przykreść, ale widać nie jestem w ich typie. Problem się nie pojawia. Po prostu. Ale teraz, gdy przechodziłem przez tę poszarpaną i podziurawioną jezdnię, i wyczuć mogłem w powietrzu fluidy ironii i agresji, całkiem w takiej sytuacji normalne, odebrałem coś jeszcze innego: że moje ciało – jego masa i waga, moje mięso – było mierzone, ważone, oceniane, i to nie z pożądaniem, nie, wcale nie, ale fachowo, ze znanstwem anatomii, jak jeszcze nigdy dotąd. Jezu, czy to właśnie stale czujecie, moje kochane cipki? Wzrok utkwilem w drzwiach, czulem na sobie spojrzanie facetów, lecz nie ogarniałem ich spojrzeniem.

Przeszedłem obok.

– Czytelnik – zdawało się, iż któryś z nich powiedział.

Przystanąłem. Zwiesiłem głowę. Można w takiej chwili odejść, lecz ja tego nie potrafię. Odwróciłem się i zapytałem z prawdziwym zainteresowaniem:

– Jak, zdaje się, mnie nazwaliście?

– Nasielnik – powiedział facet. Pomiędzy nogami trzymał coś w rodzaju bosaka. – Wielki nasielnik.

Głowę miałem pełną życzliwych odzywek – lecz teraz tylko chrząknąłem, wymazałem gostka machnięciem ręki i szedłem dalej. To też nie było takie sprytnie. Nawet to ukazywało wyraźnie moje nieobycie w dżungli... Przesząpiłem próg. Na wpół oślepiiony mrokiem dojrzałem strome schody i ruszyłem w ich kierunku. W tej samej chwili posłyszałem nagle za sobą odgłos kroków, pisk zardzewiałych zawiasów i śmiercionośny szcęk rozdygotanych łańcuchów. Mówię wam, pognałem w górę schodami szybciej niż jakiś pedryl ze sparzonym dupskiem, gnany, z powodu mej odsłoniętej sempiterny, barbarzyńską moczopędną grozą... Ciężkie drzwi na górze nie chciały się otworzyć, puściły przy piątym pchnięciu, lecz zdążyłem się jeszcze

odwrócić i zobaczyłem wzruszające ramionami postacie,, jak wychodziły z mroku na zewnątrz, i usłyszałem ich śmiech.

Wdarłem się więc do środka i stałem dysząc i mrugając w przestrzennym, przeszklonym pomieszczeniu, w powietrzu tak przejrzystym, oceanicznym i nieskazitelnie czystym, że dostrzec mogłeś pyłek w swoim własnym oku. Ochłonąłem. W rogu pokoju, pośród sosnowych stojaków, stał Fielding Goodney, aż do śmieszności uprzejmy i stanowczy – emanując klimatyzowanym luksusem – w dżinsach i świeżej białej koszuli, czyli w stroju swej młodości, w radosnej barwie forsy. Wydawał polecenia trzem pracownikom czy robotnikom w niebieskich, rurkowatych kombinezonach. Przyjął moją obecność do wiadomości unosząc do góry dłoń.

Czekając aż uspokoi mi się oddech, rozejrzałem się po wynajętym poddaszu. Zapaliłem papierosa i już pierwsze sztachnięcie skończyło się niemożliwym do stłumienia wybuchem szczekliwej wściekłości płuc. Piekące łyżaskotały mi powieki, a przez głowę przelatywały mi najeżone kolcami kace. No tak, ten układ z piciem, ten wybór życia na chlaniu, okazuje się bardzo bolesny dla tych, którzy na niego postawią. Podeszedłem więc bliżej, usiłując nacieszyć się światłem. Mijałem pasujące do szpitala szaty i kaptury, jakieś elektroniczne gry, składany warsztat, stoliki i stojaki. Z tyłu, na ścianie, wisiało z pół tuzina zamglonych morskich krajobrazów. Temu, kto je namalował, życie zdawało się czyste niczym pasta do zębów, a przynajmniej tak udawał. Obróciłem się, kierując twarz ku słońcu. Tu w górze, za wysokimi oknami, gdzieś zniknął Manhattan, widziałeś jedynie bliźniacze wieże World Trade Center, dwie złote zapalniczki na tle intensywnego błękitu nieba. Pokręciłem z podziwem głową. Pyłek w oku, martwy punkt, gdzie nie dociera jakiegokolwiek światło, pogroził mi swoim czarnym palcem.

– Hej, John. Niezłe ubranko. Gdzie tak pędziłeś? Do Alabamy?

– Słucham?

– Czy coś nie tak, Slick?

– Napastowało mnie kilku pedryli. Po drodze tutaj.

Fielding roześmiał się i zmarszczył z uwagą brew.

– I?

– Nazwali mnie „nasielnik”. Wiesz? Co ma to, u licha, znaczyć?

– Czyż to nie piękne?

– Stary, to nie miejsce na angażowanie obsady. Przecież drobnutki aktoreczki muszą przebiegać przez to bandyckie obejście na dole.

– Nie, John, wchodzić będą od frontu – zapewnił Fielding, kładąc mi rękę na

ramieniu, a następnie prowadząc przez pokój. – Na dole jest tylko mała cukierenka, no i zgrabniutka winda. Ciebie skierowałem tylnym wejściem.

– I po kiego diabła?

– Miało to być kształcące. Ale teraz już się uspokój, Slick, napij się drinka, no i przygotuj się na dziewczęta.

Była to najlepsza odpowiedź, jakiej mogłem spodziewać się po Fieldingu. Przeszliśmy na płytką scenkę, gdzie zainstalował wideo (z dwiema kamerami), zestaw stereofoniczny, umieszczoną na niskim stoliku elektroniczną grę, akwarium oraz dwie sofy wraz z niskimi stalowymi biurkami. I kształtną lodóweczkę. Podobają mi się nowe meble. Tak, lubię meble prosto ze sklepu. Dość już się napatrzyłem na pieprzone antyki, gdy dorastałem w Pimlico, a potem w Trenton, New Jersey. Meble muszą być funkcjonalne, okej? Fielding przyklęknął i postukał paznokciem w akwarium pokryte osadem. Zaglądam tam i wszystko, co widzę, to nowe meble całkiem innego rodzaju, iskrzące metalowymi ćwiekami, koralikami i krzyżącą pstrokacizną, różnymi frędzelkami i ozdóbkami, widzę salon Barry’ego i buduar Vron.

– Rybki reagują na ruchy ryby alfa – powiedział Fielding, a jego podrasowana twarz odbijała się w szkle. – To ryba alfa, ta, z tym czarnym ogonkiem.

Spojrzał na zegarek i dodał rzeczowym tonem:

– Dziś obsadzamy dziewczynę striptizerkę.

– Tancerkę? – zapytałem. – A co z Butch?

– Wiesz dobrze, że Butch jest w obsadzie. Ja także o tym wiem. I wiesz, że jest tancerką. Ja także wiem o tym. Ale te dziewczynki nie wiedzą jeszcze o niczym. Rozumiemy się, Slick? Czeką nas niezła zabawa.

Jego słowa się sprawdziły. Przy słoju drapieźnych rybek przypominających koniec penisa, pierwsza z kandydatek, która wparowała zamasyście do pokoju, nie sprawiła mi wcale przykrości. Była wielką ciemną dziewczyną z najlepszymi możliwie... nie, zaraz, poczekajcie. A może zaczęło się wszystko od gorącej blondyny, która zdjęła... Nie. To dopiero, gdy ta czarna cipka, której... Tak czy owak już po chwili, podczas tego oszołamiającego czuwania wypełnionego wódą, kłamstwem i pornografią, dziewczęta zaczęły się w mojej wyobraźni wzajemnie szarpać i rozrywać na kawałki. Fielding działał na zasadzie automatu: wpuszczał je i wypuszczał niczym weterynarz szczepiący taśmowo bydło. To usankcjonowany obyczaj w naszym filmowym przemyśle, ta swobodna atmosfera, jaką staramy się wytworzyć, gdy przesłuchujemy (przeglądamy!) kandydatki do ról erotycznej natury. Terry Linex z C.L.&S., na przykład, ma swój stały, wymowny greps; mówi po prostu: „No dobra. To scena łóżkowa. Ja będę męskim

partnerem”... Chłopie, ale się wtedy pałą, te szalone, szczęśliwe, manhattańskie dziewczyny.

I oto nadciągały taśmowo, drażliwe jak jasna cholera, lecz śmiertelnie poważne, z nerwami wibrującymi aż po koniuszki włosów, a każda z własnym, odrębnym wzorcem kształtów i cienia, pchnięć i obrotów biodrami. Kazaliśmy im siadać, podawaliśmy drinka i pytaliśmy o zwykłe sprawy. Nie trzeba ich było przymuszać: bo przecież dawno uwierzyły, że to możliwe, prawdopodobne, pewne, iż forsa i sława im właśnie przypadły, że właśnie je w ten szczególny sposób wyróżniają. Opowiadały o swoich karierach, załamaniach, podbojach, porażkach, marzeniach. Fielding pozwalał im skomleć lub paplać dobre pięć minut, zanim ze strategicznym błyskiem w oku zadawał dobijające pytanie: „No, a jak tam z Szekspirem?” Nie powiem, nieźle się uśmiełem słuchając odpowiedzi. „Oczywiście, bardzo mi zależy, żeby odegrać rolę pani Makbetowej. Mogę też być Antoniną lub Kleopatry. Albo Ofelią Hamlet”. Jedna z dziewczuszek, przysięgam, była przekonana, że Perykles to marka samochodu. Inna z kolei uważała, że Kupiec wenecki rozgrywa się w podmiejskiej dzielnicy Los Angeles.

– To bardzo ciekawe, bardzo interesujące, panno Weroniko, Eneido, Sempiterno – mówił w końcu Fielding. – A teraz, prosilibyśmy o zdjęcie ubrania.

– W rytm muzyki?

– Zrozumiałe – odpowiadał, sięgając po taśmę.

– Nie jestem stosownie ubrana.

– Posłuchaj, Maureno, Euforio, Acedio. Jesteś chyba aktorką?

I odsłaniając najpierw zęby, dziewczęta zabierały się do dzieła. Wpatrywałem się w nie poprzez mgiełkę wstydu i lęku, pożądania i śmiechu. Przypatrywałem się im przez mgiełkę pornografii. Dupeczki poddawały się temu, tej właśnie pornografii. Jako profesjonalne mieszkanki miast, doświadczyły już naszego wieku. Nie tańczyły, nie próbowały się wdzięczyc – i nie było to prawdziwe rozbieranko. Po prostu ściągały ciuchy i dawały ci lekcję swej własnej anatomii. Jedna z nich posunęła się nawet do tego, że podniosła spódniczkę, położyła się na podłodze i odstawiła ekspresowe rękodzieło. W istocie, była najlepsza. W ciągu trzech wypełnionych pracą dni spotkaliśmy się tylko z dwiema przepaszającymi odmowami. Fielding powiedział, że to Szekspir tak na nie podział, że to przykład egzaltacji wywołanej delikatnym uściskiem sztuki.

Co jakiś czas zastanawiałem się, czy Fielding nie promował czasem tych dziewcząt w jakimś innym celu. Lecz mogłem usłyszeć jedynie następujące teksty: „To jej najlepszy numer, Slick” albo „John, patrz, jak na ciebie leci” czy wreszcie „Myślę, że byłoby ci na niej do twarzy”.

– A jak ci się podoba Doris? – zapytałem podczas krótkiej przerwy.

– Doris? Doris to lesba. Wiesz przecież, John.

– A gdzie ten jej scenariusz, do jasnej amelki?

– Cierpliwości, Slick, spoko, spoko. Nie szarp się. Aha, no i masz dziś wieczorem spotkanie ze Spunkiem Davisem. Musisz go o coś poprosić. Ostrzegam, będzie to czarna robota.

– Co takiego?

Powiedział.

– Za nic – zaprotestowałem. – O nie. To ty go poproś.

– On ciebie szanuje, Slick. Chce ci się pochwalić swoją metrową erekcją.

– Człowieku – westchnąłem. Tymczasem sunął już w naszą stronę kolejny gejzer seksu, a ja byłem zbyt zamroczony, zbyt ogłuszony, żeby się spierać z Fieldingiem.

Widzicie więc sami, w ciągu kilku ostatnich dni nie miałem w ogóle czasu na jakąkolwiek lekturę. Zajęty byłem przesłuchiowaniem aktorek.

„Pan Jones, gospodarz dworskiego folwarku, pozamykał na noc kurniki, ale był tak pijany, że zapomniał zasunąć folholstry”... Nadal nie mam pojęcia, co to są owe „folholstry”. Pytałem się wszystkich. Fielding nie wie. Felix też nie wie. Ditto mój podręczny słownik. A wy?

– Cześć – usłyszałem za sobą czyjś głos.

Odwrociłem się.

– Odpierdol się – rzuciłem i odwróciłem się znowu.

Przerwałem lekturę i rozejrzałem się dookoła. Nie było to stosowne miejsce na czytanie: gejowski bar typu macho w głębokiej piwnicy gdzieś pod po wypalanych Wschodnimi Dwudziestkami. Byliśmy tak bardzo głęboko, że miałem wrażenie, że siedzimy w odwróconym do góry nogami drapaczu chmur. Może taki będzie kiedyś Manhattan – drapacze podziemnej skorupy, podziemnych złóż i źródeł, sto pięter pod powierzchnią ziemi. Już teraz niektórzy z mniej przejmujących się modą nowojorczyków zamieszkali w kanałach albo w tunelach metra. Owszem! Uwili tam sobie przytulne gniazdzka z łózkami i komodami. To forsa sprawiła, że zeszli w głąb naszej planety, to z powodu forsy zstąpić musieli w dół... Bolesnie doskwierała mi brak kobiet, wokół nic tylko wydatne szczęki, fryzury na jeża, same muskularne byki opakowane w obcisłe skóry i podobne pletwonurkom. Oto Adam o łbie nastroszonym jak rzysko, w całym przepychu swoich mięśni, porażający gryzącym potem. W mrokach tej podziemnej nory o podłodze zasłanej trocinami liczyła się jedynie męskość – męskość i testosteron.

– Cześć – powtórzył za plecami ów głos.

Odwrociłem się.

– Odpierdol się – warknąłem i odwróciłem z powrotem.

Lokalik nie był z tych ostrych, pedalskich przybytków. Można sobie wyobrazić, że typowy manhattański pedał zajrzy tu na moment na ostami kieliszek wina w drodze na prawdziwą randkę w sadomasochistycznym lochu, a może na seans ostatniego tchnienia w jakiejś ich „Water Closet” czy innym „Słoiku Śmietany”. Było to tylko mroczne miejsce, gdzie szeptano sobie do ucha i szukano się po omacku, mroczne miejsce pełne ciemnych sylwetek. Ich kształty nie wzbudzały drżenia ani grozy; przywodziły raczej na myśl księżę skupienie nakierowane na znalezienie obiektu, na zaspokojenie apetytu, bo przecież to ich tutaj przywiodło.

– Cześć – głos nie dawał za wygraną.

– Odpierdol się – powtórzyłem po raz trzeci i po raz trzeci się odwróciłem. – O, cześć! Bardzo przepraszam. Jak się miewasz? Jak leci?

– Dziękuję, nieźle. Podoba ci się to miejsce? Zaraz, zaraz, jesteś przerażony. W porządku. Więc o czym to mamy pomówić?

Wziąłem głęboki oddech – a we wrogich mi płucach posłyszałem nieśmiały przypływ protestu. Facet przysiadł obok mnie na stołku. T-shirt, żylaste, naprężone bicepsy. Zamówił szklankę wody. Wody z kranu, nie źródlanego rarytasu. Nie zamierzał zadawać się z jakimiś pieprzonymi bąbelkami, na pewno nie on, prostolinijny Spunk Davis.

Tak, dobrze wiedziałem, że to skomplikowany młody osobnik. Nie pił. Nie palił. Nie wachał. I nie jadł. Nie uprawiał hazardu. Nie przeklinał. Nie pieprzył się. Nawet nie trzepał konia. Ale za to ćwiczył pompki. Stawał na rękach. Medytował i kontrolował bieg myśli. Odrodzony, głęboko wierzący, poświęcał się pracy charytatywnej: zajmował się biednymi i upośledzonymi... Tak, będę musiał przywołać wszystkie moje talenty w dziedzinie sztuki perswazji. Spojrzałem na jego napiętą twarz i zapytałem:

– Spunk? Chodzi mi o twoje imię.

– Tak. Słucham. Co takiego?

– Pewnie mnie za to znienawidzisz.

– Już ciebie nienawidzę.

– Rzecz w tym, Spunk – ciągnę – że w Anglii...

– Wiem, co powiesz.

Przeczekalem.

– Chcesz, żeby do nazwiska Davis wstawił „e”. Zapomnij o tym, Self. Poszukaj

nowych pomysłów. Nie ze mną te numery. Nic z tego.

– Ależ się mylisz. Davis mi nie przeszkadza. Posłuchaj, Spunk, zachowaj swoje nazwisko. Davis brzmi świetnie. To twoje imię sprawia nam pewne problemy.

– Imię?

– W tym cały problem.

– Chodzi ci o Spunka?

– Właśnie.

Zdziwił się tak, jakby włożył lewy but na prawą nogę. Zamówiłem następnego scotcha i zapaliłem kolejnego papierosa.

– Rzecz w tym – mówię – że w Anglii to słowo ma całkiem inne znaczenie.

– Z pewnością. Oznacza charakter, śmiałość, odwagę.

– Prawda. Ale i coś innego.

– Jasne. Walkę. Znaczy, że ktoś ma nerw, ma jaja.

– Oczywiście. I jeszcze coś.

– Co takiego?

Wyjaśniłem mu wreszcie. Wydawał się zdruzgotany.

– Przykro mi, Spunk, ale tak to niestety wygląda.

Jego młoda twarz zapadła się i zaczęła drżeć, a zmarszczki w kącikach oczu wskazywały jakby na ból zębów. Dlaczego nikt wcześniej mu tego nie powiedział? Nie starczyło pewnie nikomu śmiałości, pomyślałem. Wzruszyłem ramionami i sączyłem dalej drinka.

– Bo wiesz – ciągnąłem – gdybyś pracował na przykład z angielskim aktorem, który nazywałby się, powiedzmy, Jizz[3] Jenkins, to trzeba by, rozumiesz...

– Do diabła z Anglią. Co mnie Anglia obchodzi?

– To poważny problem, musisz przyznać... Może choć trochę byś je zmienił. Jak ci się podoba Spank?

– Spank? Daj mi spokój. Spank! Też imię!

– Jest przecież dużo amerykańskich imion tego typu. Skip. Flip. Rip. Trip. Hank. Hunk Davis – zaryzykowałem. – Albo Bunk czy Dunk, czy może Funk, czy... Junk, a może Lunk albo... Wszystkie paskudne.

– Wymień jeszcze jedno, a zatkam sobie uszy.

– Albo Punk – dodałem. – Albo Unk.

Zastanowiłem się. Gdy dobrze pomyśleć, to unk nie wpada zbyt łatwo w ucho.

[3] O ile *spunk* w slangu brytyjskim oznacza „spernę”, o tyle *jizz* (*jism*, *jissom*) oznacza to samo w slangu amerykańskim; podobnie jak *spunk* znaczy też „dynamizm, energia” (przyp. tłum.).

Nagle Spunk zeskoczył ze stołka. Chwycił mój krawat, jak gdyby chciał złapać równowagę. Wpatrując się w jakiś punkt między moimi oczami, uraczył mnie swoim hipnotycznym, aktorskim spojrzeniem. Trwało to bardzo długo. Myślę, że wypróbował na mnie zdolność sterowania cudzymi myślami, ale nie jestem pewien. I potem mięsistymi knykциями prawej pięści posłał pełną szklaneczkę wody na surfingową przejażdżkę po śliskim, stalowym blacie baru. Szklaneczka wreszcie przystanęła niepewnie zaledwie kilka centymetrów od krawędzi urwiska.

– Spunk? – zagadnąłem nieśmiało.

Ale on po prostu odszedł.

Na przekór wszystkiemu zamówiłem kolejnego drinka i zakręciłem się na stołku. Jeżeli Spunk chciał mnie wytrącić z równowagi wybierając to właśnie miejsce, zdecydowanie miał pecha. Od dawna przywykłem do takich miejsc. Bo przy tych wszystkich lesbach, sodomitach i koprofagach, striptizerach, transwestytach i szmalofilach, z którymi chcąc nie chcąc współpracuję, byle dewiacja nie robi już na mnie wrażenia. Świat drży w posadach, chyboce. Kto idzie prostą drogą? No kto? Wy? A może Martina Twain...? Spojrzałem na prawo i lewo: na twarze, ramiona, dłonie. W moim życiorysie nie znajdziecie żadnych dewiacji. Ani śladu pedalskiej przeszłości. Ale dzisiaj – kto wie? Kto dziś może coś wiedzieć? Może czeka mnie wielka pedalska przyszłość? Może właśnie jako rasowy pedryl osiągnąłbym oszałamiający, ścinający z nóg sukces.

Hej, wy, faceci, pedały i pedałki, którzy sprawiliście, że zboczyłem z tematu. Wy, wy tam, a nie ci tutaj! Więc postanowiliście radzić sobie i sami. Po męsku. Więc jak to jest bez nich, bez cipek? Pomyślcie: czy jest wtedy w ogóle pogoda? Nie ma wiatru ani deszczu w księżycowej poświacie, nie ma biologii. Strefa neutralna, cisza. Nic tylko sami faceci. Gdy się tak przełamie ludzkość na pół, czy nie jest to przygnębiające – to, że wszyscy są tacy sami? Czy nie jest to dziwne? Tak, no i wyjaśnijcie mi jeszcze coś, co zawsze chciałem wiedzieć. Czy jest kiedyś taka chwila, gdy obaj nie potraficie unieść swych interesów? Czy i wam także trafiają się takie nieszczęsne impotentckie noce? No cóż, jest to wasz wiek, pedałki, trzeba wam to przyznać. Słyszałem ostatnio, że niczym diabełek z pudełka dołączyła do was Australia. AUSTRALIA. Te wsiowe chłopaki o gębulach jak dynie, te plażowe wielkoludy obnoszące piętrowe bicepsy – dają teraz dupy jak dworcowe chłopaczki. Co się dzieje, święty Boże? Co to się porobiło? Niektórzy oskarżają kobiety. Ja wolę obwiniać mężczyzn. Pierwsze niepokoje, pierwsze oznaki znużenia po pięćdziesięciu milionach lat beztroski i już rozkładamy ręce i zaczynamy się pedalić? Czy tak należy postępować? To znaczy – jak dalece można się spedalić?

Słuchajcie no, łebki! Słuchajcie – nie skaczcie mi do gardła. Gdzie podziało się wasze jaskiniowe męstwo? Gdzie wasz duch jaskini? Nie załamujcie tak łatwo rąk. Nie poddawajcie się. Bo na czym polega problem? Kobiety to tylko kobiety. I tyle. Nie ma się czego bać.

Zamówiłem kolejnego drinka. Zerkając na boki zauważyłem coś dziwnego, coś całkiem spoza normy: jakieś nieporadne dziewczątko, tłuściutka małolata sunęła przez cały bar wyraźnie w moją stronę. Nie mogła mieć więcej niż szesnastkę. Biedne, zagubione dziecko w krótkiej różowej spódniczce i dzinsowym bolerku. Obróciły się gejowskie głowy. Wdrapała się na sąsiedni stół i poprosiła ponurego barmana o szklankę soku pomarańczowego. Zrozumiałem, co powinienem zrobić. Widziałem to jak na dłoni. Zawieźć ją z powrotem do mieszczańskiego domu na przedmieściach, odbyć wyjaśniającą rozmówkę z mamusią, zaliczyć pełen wdzięczności uścisk dłoni papusia, partyjkę warcabów z małym słodkim braciszkiem, no i na pożegnanie pospieszny, królewski numerek na stojąco w nie używanym pokoju gościnnym.

– Cześć – powiedziałem.

Spojrzała na mnie.

– Odpierdol się – warknęła i odwróciła się plecami.

Rzeczywiście, zastosowałem się do jej rady. Wrąbałem w mongolskim snack-barze chyba ze trzy pizze wielkości samochodowej opony i zabrałem się taryfą do hotelu. Poszedłem na kolację do „Barbarigo”, mojej ulubionej włoskiej knajpki. Jutro jest wielki dzień: spotykam się z Martiną. Więc sporo mam jeszcze do przeczytania.

Prezent Martiny nazywał się *Folwark zwierzęcy*, a napisał go niejaki George Orwell. Czytaliście? Czy jest to w waszym guście? Ustawiłem odpowiednio lampę i ułożyłem w szeregu papierosy. Następnie zatankowałem tyle kawy, że gdy rozplątałem wreszcie na kolanach książkę, poczułem się jak morderca na krześle elektrycznym przy pierwszym wytrysku laksy. George Orwell nazywał się przedtem Erie Blair. Nie mam mu wcale za złe, że zmienił nazwisko. A książeczka zaczyna się tak: zwierzątka zwołują zebranie i gardłują o swoich żalach. Fakt, że życie miały ciężkie – sama tylko harowa, żadnego objiania się, żadnego szmalu – ale na co liczyły? Nie hoduję nierealistycznych mrzonek w temacie Martiny Twain. Hoduję marzenia nierealne. To zadziwiające, wiecie, ile nadziane głupole potrafią dziś z życia zakosić. Starczy, że jesteś hetero, masz grosik przy duszy i najprzedniejsze dupki są twoje. Największe przystojniaki albo się pedalą, albo lecą na te popierdolone pornograficzne szprychy. Zgromadzone na zebraniu zwierzęta intonują pieśń. Hej, my, zwierzyzna Anglii... Rzuciłem się na

wyro. Szumiało mi w głowie jak interferencja w eterze. Przydałyby mi się okularki. Przydałoby się zwalić konia. Lecz muszę czytać dalej. Rzecz w tym, że na lekturę musisz być w formie. Także fizycznej. A moje ciało wciąż tylko mnie rozprasza. Bo tak: próbuję czytać, skupiam się na tym czytaniu, a tu, co chwila, bezustannie, odkładać muszę książkę; a to wypada się odcedzić, a to trzeba przyciąć pazurki, a to skosić zarost, puścić w sraczyku pawia, przeczesać kudełki, przygrzać sobie gruchę, zażyć aspirynę, zapalić papierosa, zamówić więcej kawy, podrapać się za uchem, łypnąć na świat za oknem. Wróciłem znów do lektury. Więc na zebraniu zwierzątko intonują tę swoją pieśń. Hej, my, zwierzyna Anglii... Upał w pokoju jest cholernie przygniatający. Podszedłem do lustra i przyjrzałem się moim pleckom. Prawie się zagoiły, tylko ta jedna rana rozogniła się jakby wnerwiona. Jest jeszcze bardziej wkurzona ode mnie. Śmiałym się z całej sprawy, ale rana wygląda tak, jakby się wściekła na amen, taka wkurwiona raszpla. I znów zabrałem się za lekturę. Czytałem tak długo, że myślałem już tylko o tym, jak długo już czytam. Zadzwoiłem więc do Seliny. Jest u nich szósta rano – no nie? – I nikt nie podnosi słuchawki. A potem mi powie, że wyłączyła telefon. To suka. I czytałem dalej.

O dwunastej czterdzieści pięć umówiony jestem na obiad z Cadutą Massi na drugim końcu miasta – w „Cyceronie”. Lecz dopiero jest jedenasta piętnaście. Czytałem. Czytałem cały czas, czytam chyba, odkąd żyję – a w każdym razie przeleciało tych parę stroniczek. Podoba mi się, nie powiem, że Orwell rozpoczyna książkę nie tak od razu, ale dopiero na siódmej stronie. (To pracuje na twoją korzyść). Czytanie zajmuje jednak sporo czasu, może nie? Tyle trzeba czasu, żeby, powiedzmy, od strony dwudziestej pierwszej dobrać do trzydziestej. To znaczy, wpierw masz dwudziestą trzecią, potem dwudziestą piątą, potem dwudziestą siódmą, i jeszcze dwudziestą dziewiątą – nie mówiąc już o stronach parzystych. No i wreszcie trzydziesta. Lecz następuje trzydziesta pierwsza, i trzydziesta trzecia – po prostu nie ma końca. Całe szczęście, że *Folwark zwierzęcy* nie jest aż taki długi. Ale w ogóle powieści... wszystkie są długie, niestety. Paskudnie, kurewsko długie. Po chwili pomyślałem, że zadzwonię na dół, żeby Felix przyniósł mi parę piw. Powstrzymałem pokusę, co też zajęło trochę czasu. I zadzwoniłem na dół, żeby Felix przyniósł mi jednak parę piw. I czytałem dalej.

Powróciłem z obiadu w świetnej formie, za piętnaście piąta, wstąpiwszy tu i ówdzie do baru w czasie drogi powrotnej przez miasto. Trzy godziny i jeszcze sto dwadzieścia stron do przebrnięcia. Dziewięćdziesiąt sekund na stronę: spoko, to nie piekarnia. Caduta Massi, w tym swoim wielgachnym apartamencie, też nie sprawiła mi kłopotu. Siedziała

sobie spokojnie ze swoim zmurszałym księciem Kasimirem (wciąż kurującym się z ran po drugiej wojnie), bezgłośnie przytakując, a nasza Caduta tokowała jak marzenie o dzieciakach, mamuśkach, macierzyństwie, niezmiennych porach roku i wzgórzach rodzinnej Toskanii, gdzie trawka ładnie wzrasta, wietrzyk rześko powiewa, a niebo jest błękitne jak niebo. Wygląda na to, że tam, hen tam, w Caducinej ojczyźnie, wiosna jest porą przebudzenia, ziemia rodzi wtedy nowe życie, pąki na potęgę dojrzewają, a soki wesoło bulgocą w gałęziach młodych drzew. „A teraz pozostawię panów samych, odpoczniecie przy kawie i portwajnie od kobiecej paplaniny” – powiedziała Caduta i zniknęła. Siedzieliśmy wraz z Kasimirem trzy kwadranse w zupełnej ciszy niewąsko pociągając, aż powróciła Caduta dygając trzy opasłe albumy fotografii swych chrestnych dzieci. Chrześniaki to jedyne bachorki, jakie Caduta posiada, ale chłopie, ma ona tego drobiazgu, że hej! Siedziałem obok niej na sofie i zdołałem wcisnąć jej ukradkiem niejeden synowski kares... A teraz mknąłem już z książeczką gładziutko. Ta czytelnicza bibka to naprawdę dziecinna zabawa. Mam taką własną teorię, że whisky naprawdę pomaga. To tajemnica bezproblemowej lektury. Chyba że, po prostu, ów *Folwark zwierzęcy* czyta się niezwykle łatwo... Jedyne, co mnie niepokoiło, to cały ten numer ze świniami. Dobra, dobra, komu to wciskasz, frajerze, powtarzałem sobie w duchu. Sraty taty, pokaż no mi takie szczwane, takie wykształcone, takie wytworne świnie. Widzieliście kiedykolwiek, jak Świnia robi swoje? Bo ja widziałem i tyle wam tylko powiem, że można się wtedy wyrzygać. Już dobrze te świnie podpatrzyłem, kiedy robiłem na farmie telewizyjną reklamę wieprzowo-podobnego kotleta. Prawie że rzuciłem robotę, jak zobaczyłem, z kim będę musiał pracować. Trzeba wam było zobaczyć owe przedpotopowce z owłosionymi ryjami, te ubabrane łajnem piękności, wszystkie równie piękne, kwiczące i mlaskające u koryta. Zeżreć swojej dziewczynie ogon, gdy właśnie się nie patrzy – to świadczy o dobrym wychowaniu, to będzie dworską galanterią według etykiety chlewu. A jak pomyślę, co te prosiaki wyprawiają na sianie, to nawet ja muszę się zdrygnąć. Powiem wam, to nie przypadek, że nazywa się je świniami. A jednak ten Orwell ubrdał sobie jakoś, że one są mózgiem farmy. Nikt mi nie wmówi, że Orwell je widział w działaniu. Chyba że czegoś nie chwytam.

Czytałem:

„Zwierzęta za oknem spojrzwały na świnie i na człowieka, i jeszcze raz na świnie, i znów na człowieka; lecz nie sposób już było powiedzieć, kto jest kim”. Bomba! Zadzwoiłem natychmiast do Martiny i słodziutkim głosem umówiłem się z nią na spotkanie w „Tanglewood” przy Piątej Alei. Wysunęła jakieś głupie obiekcje – nie

mogę już sobie przypomnieć. Wziąłem prysznic, przebrałem się i zdążyłem na czas. Zamówiłem butelkę szampana. Wypiłem. Lecz ona się nie pojawiła. Więc pomyślałem, trudna rada, pies jej mordę lizał. Chyba będzie najlepiej, jak urznąę się na amen... A gdy osiągnąłem ów cel, to, obawiam się, muszę powiedzieć, miałem już wszystko gdzieś.

Wzrastałem – albo zwiększałem objętość – tu właśnie, w USA. Pomiędzy siódmym a piętnastym rokiem życia byłem mieszkańcem Trenton, stolicy stanu New Jersey. Robiłem to samo, co inne amerykańskie dzieciaki. Grymasiłem na sandały i krótkie majtki, walczyłem o tenisówki i długie spodnie. Miałem zęby mocne jak królik, odstające uszy, przycięte na jeża włosy i przysadzisty rowerek z białymi obręczami na oponach i bzyzczącą elektryczną trąbką. Ustawiłem swój akcent gdzieś w pół drogi na Atlantyku... Choć Alec Llewellyn powiada, że mówię niekiedy jak brytyjski disc jockey. Nie pamiętam, żeby w Ameryce wszystko zdawało mi się duże – tak po powrocie do Anglii świat wydawał się skarłały, po prostu śmieszny. Te samochody, te ich kuchenki, lodówki... To w Ameryce zakodowałem w podświadomości najrozmaitsze wskazówki i odruchy w temacie bogactwa i zaspokajania potrzeb... Dokonałem ogromnej pracy przygotowawczej pod moje uzależnienie od fast foodu, junk foodu, wszystkich kol, pepsikol i seven upów, mocnych papierosów, reklam czy telewizji przez całą dobę i, być może, pornografii i ducha walki. Lecz nie mam o to pretensji do Ameryki, wcale Ameryki nie obwiniam. Mam raczej za złe tatce, że wyekspediował mnie tam stateczkiem zaraz po śmierci mamusi. Mam raczej za złe mamuśce.

Właściwie to jej dobrze nie pamiętam. Pamiętam za to jej palce: w zimne poranki stawałem przy jej łóżku, a ona wyciągała ciepłą dłoń spod koca, żeby zapiąć mi mankiet koszuli. Jej twarz... nie, nie pamiętam. Jej twarz przykrywały prześcieradła. Gdyż Vera zawsze słabowała. Pamiętam tylko jej palce, te ślady jej palców, jej chore paznokcie i zarys białego guzika. Widocznie sam nie potrafiłem poradzić sobie z mankietami. Widocznie potrzebowałem tej osobistej troski. Chyba się za chwilę rozplączę – ale nie, jednak nie. Tak naprawdę nie groziło mi to nigdy – i nigdy to nie nastąpi. Chciałem ją zapamiętać – lecz co mi pozostało? Tylko te palce i odmiana spowodowana jej śmiercią, uczucie winy i żalu, kiedy jej zabrakło.

Lubiłem ciotkę Lily i wujka Normana, tutaj, w Trenton. Oto Vera i Lily, siostry na wspólnym zdjęciu: ich twarze na zagubionej już fotografii jakby czegoś szukały i były tak bardzo amerykańskie – szeroki uśmiech, wydatne górne zęby zakrzywione do środka, śmieszne kości policzkowe, słodki i ufny uśmiech. Jak gdyby bardzo je cieszył fakt, że są siostrami. Emanowały radością genów. Wasze zdrowie, dziewczęta,

myślałem zawsze, gdy spoglądałem na fotografię (gdzież mogłem ją zgubić?), bawcie się dobrze. Ale ich twarze wyrażały także lęk. Miały dwadzieścia i dwadzieścia jeden lat. Znam to uczucie. Gdy jest się w takim wieku, chodzi właśnie o to, że ma się w twarzy ufność – niczego przy tym nie rozumiejąc. Siostry przyjechały do Anglii w 1943 roku. Nie wiem, czy na pewno chodziło im o złapanie angielskich mężów, lecz właśnie angielscy mężowie przypadli im w udziale. Lily powróciła do domu z małżonkiem Normanem. Vera została w Anglii z małżonkiem Barrym Selfem.

Lubiłem też swe cioteczne rodzeństwo, czyli Nicka i Julie, trochę ode mnie młodszych. Nick i Julie lubili także siebie – byli młodszy, ukształtowani na Amerykanów w stopniu, w jakim mnie już się nie udało. Wyjąwszy chwile, kiedy coś im groziło – a ja rzucałem się, żeby ich obronić – woleli zazwyczaj, żeby nie było mnie w pobliżu. Byli młodszy, to przecież nie ich wina. Jednak do tej pory pozostało mi uczucie alienacji. Kim byłbym pośród zwierząt na zwierzęcym folwarku? Wpierw pomyślałem, że pewnie jednym ze szczurów. Ależ nie, bądź dla siebie trochę łagodniejszy, okaż sobie więcej wyrozumiałości. Teraz, po głębszym zastanowieniu, myślę, że mógłbym być psem. Tak, jestem psem. Jestem psem, gdzieś na nadmorskiej plaży, przywiązany do płotu, a moi państwo spacerują sobie po piaskach. Rzucam się, szarpie, skomlę, cały się zużywam. Pies zaliczy z pogodą to kuksańca, to kopa. Pies toleruje kuksańce. Ach, żeby tylko kopa. Spójrzcie na te przeróżne psy na ulicy, jak wszystko je interesuje, dotyczy, jak wszystko pragną odkryć. I wyobraźcie sobie ich żal, gdy, przywiązane do płotu, widzą, że tyle dookoła się dzieje – tyle zabawy, przemysłowości, pomysłów – i to wszystko poza zasięgiem łańcucha.

Od zawsze żywiłem przekonanie, że Ameryka to kraj wielkich szans. Ameryka to rasowy, agresywny kundel, nawet jej ozonowa kołderka jest nasycona sukcesem. To obiecujący, zbawczy świat dla wszystkich arywistów i tych, co rozpoczynają od nowa, kraina uśmiechających się szans i zachęcających znaków... Tak. Albo nie. Ot, taki wujek Norman – zaczął od handlu odzieżą, mały, rzecz jasna, biznesik. Ciężko harował. Dni były długie i słodkie. Mijały lata. I nic się nie wydarzyło. Wciąż miał mały biznesik, obracał tanimi ciuchami. Potem sprzedał to niewielkie przedsiębiorstwo i przelał cały zapał na artykuły dla domu. Znowu poniósł porażkę, nie miał szczęścia. Artykuły gospodarstwa domowego miały po prostu gdzieś całe to jego zaangażowanie. Więc przzerzucił się na handel drewnem. I znowu wszystko na nic. W tej sytuacji spróbował pójść na całość: wziął pożyczkę pod hipotekę i wsadził ostatni grosz w urządzenia wentylacyjne. Urządzenia te wszystko połąkły bez trudu i nie miały najmniejszej ochoty dać mu cokolwiek w zamian. Wtedy Norman zdecydował się na

krok najtrudniejszy: poddał się. Powrócił do domu. Powrócił do punktu wyjścia.

Wówczas oddano mnie ojcu, odesłano do „Szekspira”, a miałem już lat piętnaście i byłem wielki jak Barry. Musiałem iść do pracy, co nawet mi odpowiadało. Rodzina rozpiezchła się na cztery strony świata. Lily wyszła powtórnie za mąż: prowadzi z mężem sklepik w Fort Lauderdale. Julie też się wydała; mieszka z dziećmi w Kanadzie. Nick zaś zajmuje się nie wiadomo czym – gdzieś w Zatoce Perskiej, w Emiratach albo Katarze. Natomiast Norman – Norman jest w domu opieki. Trafiliby tam prędzej czy później, niezależnie od porażki czy sukcesu. Uprzejmy, nieśmiały człowieczek, po prostu jego przeznaczeniem były wszelkiego rodzaju niepowodzenia i porażki. Tak mu było pisane. To właśnie Normanowi winien jestem pieniądze. Kiedyś mu trochę posłałem, lecz odesłano mi je z powrotem. Gdyż dom opieki – tak, to jedyne miejsce, gdzie pieniądź nie ma wartości. Bez względu na sytuację.

Miałem piętnaście lat, nie byłem ułomkiem i miałem wiele zapału i chęci, żeby wykorzystać wszelkie uzdolnienia, jakimi obdarzył mnie los. Wczesnym rankiem dygowałem ciężkie skrzynie wraz z Grubym Vincem. Calutki dzionek pracowałem jako goniec u Wallace’a i Eliota. Wieczorami pomagałem Grubemu Paulowi wywalać pijaczków z naszego pubu, kochanego „Szekspira”. I... i nie wiem, po co to wszystko wam mówię. To etap taki bardzo odległy w mojej podróży przez czas. Etapy podróży nie mają przecież większego znaczenia, gdyż podróż jest bez celu, a liczy się jedynie koniec. Na ulicy słycać stukot kobiecych obcasów – to beznamytnie tyka ich zegar... Coś tam się działo, a teraz dzieje się to. Przeszłość podobnie jak Vera umarła, zniknęła – po prostu już jej nie ma. Przyszłość może być różna – może być tak albo tak. Przyszłość przyszłości wygląda niepewnie, mgliście. Nie inwestuj w nią żadnej forszy. Posłuchaj mojej rady i trzymaj się terażniejszości. To ona jest rzeczywista, to ona jest prawdziwa, jest tylko ona, ta obecna, dysząca terażniejszość.

– Co się z tobą działo? – zawołałem do słuchawki. Postanowiłem zrobić z tego sprawę.

– ...Nie pokazałam się.

– Owszem, przypominam sobie. – Odczekałem chwilę. – Dlaczego?

– Nie miało to sensu. Próbowałam wytłumaczyć ci przez telefon, ale nie chciałeś słuchać.

Zamilkłem na chwilę.

– Czekałem.

Martina westchnęła.

– Byłeś pijany. Wiesz, nie można od kogoś wymagać, żeby spędził cały wieczór z pijakiem.

...Tę prawdę znam od dawna. Oczywiście. Pijacy znają ją dobrze. Ale ludzie zazwyczaj mają tyle delikatności, żeby jej nie poruszać. Prawda jest bardzo nietaktowna. W tym cały problem z wszystkimi nie-alkoholikami – nigdy nie wiadomo, z czym za chwilę wystrzelą. Taki trzeźwieli to niepewny typ: nieprzewidywalny, niesprawiedliwy, klapki na oczach. Musimy sobie z nimi radzić, jak tylko się da.

– Spotkajmy się dziś wieczorem. Nie będę pijany, słowo. Posłuchaj, naprawdę przepraszam za wczoraj.

– Za wczoraj?

– Tak. Sprawy nieco mi się wymknęły z rąk.

– Wczorajszego wieczoru?

– Tak. Nie wiem, co mnie napadło.

– To nie było wczoraj wieczorem. To było przedwczoraj. Zadzwoń do mnie o ósmej. Dopiero wtedy ci powiem. Jeżeli będziesz pijany, po prostu odłożę słuchawkę.

I odłożyła.

Otóż odczuwałem niejasne wątpliwości, gdy gramoliłem się z łóżka, a potem rozbierałem się na de szerokiej płaszczyzny okna; wyczuwałem jakieś chemiczne zdrady, jakieś złośliwe nieporozumienia tam w górze, kiedy wpatrywałem się w to zachlapanie gwiazdami niebo. Jezu, powiedziałem do siebie, to jeszcze jedno z owych wewnętrznych zaćmień – ale wtedy pojawił się ze śniadaniem Felix, ładnie pożyczył mi „dzień dobry” i wszystko wydawało się cacy. Poza, rzecz jasna, śniadankiem. Omleczik na talerzu wyglądał całkiem spoko, lecz wkrótce jakby wstąpił w niego szatan.

Zadzwoiłem znów na dół po Felixa i wezwałem go do pokoju 101.

– Posłuchaj, mały – zacząłem surowym tonem. – Dlaczego pozwoliłeś mi wczoraj tak haniebnie zaspać? Masz przecież mnie pilnować. Czas to pieniądz. Jasna cholera, Felix, jestem zajęтым człowiekiem.

– Słucham? – mruknął Felix, przechylając głowę. – Człowieku, w ogóle cię tutaj nie było. Myślałem, że wyjechałeś na weekend. Wróciłeś w nocy. Późno.

– Pijany?

– Pijany? – I nagle się uśmiechnął. – Na dole mają inne zdanie, ale ja uważam, że to najlepszy twój numer. Na głowie miałeś kapelusik z papieru. Twarz umazaną pomadką. Pijany? Brakuje mi słów na opisanie twojego stanu. Urznąłeś się w trupa. Byłeś... po prostu byłeś trupem.

A to paskudna sprawa, nie ma dwóch zdań. Ale nic nie pamiętałem z wczorajszego

wieczoru, z wczorajszego dnia czy jeszcze z poprzedniej nocy. Co gorsza, nie potrafiłem niczego sobie przypomnieć – absolutnie niczego – z mojej lektury Zwierzęcego folwarku.

To, czym się wczoraj zajmowałem – cokolwiek to było – wyhodowało mi na dupie czyrak – i to paskudnie duży. Miewałem już wcześniej na tyłku pęcherze, lecz ten jest największy z wszystkich, prawdziwy ich tatuś. Jezusie, a to dopiero wrzód-wielkolud. Myślałem, że takie okazy zniknęły z mojego życia dawno już temu wraz z grupowym trzepaniem konia w szkolnym sraczu po lekcjach, wraz z fałszowaniem na lekcji muzyki. Ale cholernie się pomyliłem. To pewnie skutek wody, to pewnie te narkotyki, całe to pieprzone porno... Czuję się tak, jak gdybym siedział na płonącym kasztanie albo na grudce rozszczepiającego się właśnie plutonu o kształcie golfowej piłki. To zadziwiające, schlebiające nawet, pomyśleć, że moje ciało wciąż nosi w sobie tę piekącą lotność, te złowrogie trucizny skóry. I w dodatku kurewsko boli. Jeśli odwrócę się plecami do bezstronnego lustra, jeżeli dotknę rękami łydek i spojrzę przez rozstawione nogi, jakbym odbierał jakąś wściekłą pornograficzną chłostę, uzyskam całkiem ładny widok (dziękuję!) tego fioletowego paskudztwa puszczającego bycze oko na moim lewym pośladku. Taki czyrak to nie żarty. To sprawa całkiem serio. Stąd te rzeczowe nazwy: czyrak, ropień, wrzód. Krótko i zwięźle. Jezusie, niekiedy wszystkie łazienki, które znam jak własne ciało, czy po prostu wynajęte (jak ta), z arkuszami rozlanej wody ukazującymi podwójne odbicie, z plamami rdzy i zaciekami na stalowej armaturze i z zasłoną prysznicą pomarszczoną jak stary ortalion, cofają cię w czasie o jakieś dwadzieścia lat i skłaniają do stawiania pytań, czy w ogóle coś się zmieniło... Leżenie jest w porządku. Natomiast boli cię, gdy idziesz, gdy stoisz albo siedzisz. Boli cię oczekiwanie. To pewnie sprawka wody, prochów i narkotyków, całej tej pornografii.

Tak więc mój dzień stał się dziwnym melażem kalki rysunkowej i sympatycznego atramentu. Siedziałem cały czas w pokoju, czytając i czytając; dokładnie przesiewałem świadomość w poszukiwaniu wszelkich odniesień i szyderczych aluzji. Zwierzyna Anglii. Boxer, ten wół roboczy, tyrający koń. W łazience ręcznik do twarzy przypominał papierowy ręcznik w rolce w jakimś ruchliwym burdelu; skąd wzięły się te ślady pomadki? Czyje zostawiły je wargi? Mogła to być tylko profesjonalistka. Nikt nie całuje mnie już teraz z własnej, nieprzymuszonej woli. Ta szpicelka, kłamczucha. To wszystko przez cholerną wodę, przez... Gdy przemywałem ropień (Jezusie! – mój dupsztyl nie był nigdy arcydziełem, ale teraz wprost ścina z nóg), nie mogłem nie wrócić myślą do „Wysp Szczęśliwych”: Ognista, to jej musiała być sprawka. Muszę coś tutaj wyznać: może lepiej wszystko z siebie wyrzucę. Was przecież nie nabiorę. W

rzeczywistości wcale nie zachowywałem się tak grzecznie, jak mogłoby się wydawać. Sami pewnie podejrzewaliście, że wszystko to brzmiało zbyt pięknie. Otóż wracałem na Trzecią Aleję, nie tyle na „Wyspy Szczęśliwe”, co i do innych miejsc im podobnych, do „Elizjum”, I „Edenu” czy „Arkadii” – choć nie częściej niż raz dziennie (przysięgam!) i jedynie na małe trzepanka (w dodatku w te dni, kiedy coś mi dolega, albo kac przekracza wyrażnie normę, nie chodzę tam wcale). Idę wtedy na film dla dorosłych na Czterdziestą Drugą Ulicę. Więc chadżam do tych saloników archipelagu porno. Przy okazji wspomnę, że w salonach seksu nie odchodzi żadne całowanie. Dotyczy to i Trzeciej Alei. Jest francuska miłość i angielska chłosta, są usługi na grecką czy turecką modłę, lecz całowania po prostu nie ma. Chyba że za tę małą perwersję zapłaci się ekstra. Musiała być w robocie koka. Ach, przepraszam. Dopiero teraz to mówię, bo nie chciałem stracić waszej sympatii – bałem się, że przestaniecie mnie lubić. A na waszej sympatii naprawdę mi bardzo zależy. Bez niej byłaby kłapa. Napoleon, ten tyran ze zwierzęcego folwarku, lubił jabłka. W kieszeni marynarki znalazłem firmowe zapalki: „U Zeldy – kolacje i dansingi z hostessą”. Gdzie jeszcze mogłem być? Może powinienem zapytać się tej baby, która śledzi mnie po całym Nowym Jorku. Na pewno by wiedziała. W portfelu znalazłem trzy gumki, w kieszeni spodni dwa niedopalone skręty, a w kudłach wykałaczkę. Czy można się dziwić, że na dupie wyrósł mi wrzód? To wszystko przez wodę, przez kokę i trawkę, to wszystko przez pieprzone porno.

Wiecie (popołudnie mija właśnie obok w barwie najintensywniejszego błękitu, jaki można by sobie wyobrazić, a książka obraca się powoli na drugą stronę, bliżej już teraz końca), leżę tu i tchórzę przed oznaką ostrzegawczej sprawiedliwości dotyczącej spraw ciała – choć może nie ma, po prostu nie ma żadnej, ale to żadnej sprawiedliwości. Pomyślcie o zakonnicy, w szarej powłoce i aseksualnym kosmetycznym przybraniu, jak zwija się z duchowych boleści i niemożności sprostania powołaniu w swej małej celi. Pomyślcie o dzieciach, które nie osiągnąwszy jeszcze wieku dojrzałego, umierają z objawami starości. Przy niedoborze cynku czy żelaza, manganu czy boksytu, niewzruszeni dotychczas stoicy zaczynają pękać, rozpadać się, buzować jak szampan. Wrogów mego ciała jest cały legion, są oni bardziej agresywni od moich grzechów. Tworzą zwartą organizację, mają własne fundusze (kto też ich finansuje?), piechotę, szpiegów, miejskich partyzantów i wyborowych strzelców, pola minowe, chemiczną broń i bomby termonuklearne.

I jeszcze inne środki, bo oto monitor nadzorujący moje ciało na erce ukazuje jakieś gwiazdne wojny z najeźdźcami, mutantami, niegodziwcami, świszczącymi kosmicznymi pojazdami i brzęczącymi raketami z komputerową inteligencją. Wystawiamy się

wszyscy na sprzedaż. Poświęćcie życzliwą myśl biednym Tomciom-podglądaczom o perfekcyjnym wzroku, a może i ulicznemu żulowi o szybkim sprincie i doskonale funkcjonującej pikawie, gwiazdorowi filmu porno o gęstej czuprynie i płaskim brzuchu, czy wreszcie czarującemu mordercy dzieci o jakże czarującym uśmiechu.

I jak tu można dorosnąć, kiedy na dupie wzbiera ci wrzód? Kto potraktuje cię serio? Ktoś wrednie sobie żartuje moim kosztem.

Wszystko przez wóde, wszystko przez kokę i trawkę, przez całą tę pieprzoną pornografię.

– Szczerze mówiąc, nawet mi się to podobało. Dobrze, a co dalej? Czyżby Rupert niedźwiadek? Posłuchaj, daj mi trochę odetchnąć. Co powiesz na prawdziwą książkę następnym razem? Świnki Trzy i reszta tych facetów. Na powiastki o zwierzętach jestem już raczej za stary. To znaczy, nie musimy chyba wracać do dzieciństwa, prawda?

Mimo całej niby-improwizacji, dość sprytnie przeciwczyłem całą tę mowę. Oczekiwałem, że Martina się wzruszy, przeprosi i zasadzi mnie nad czymś znacznie trudniejszym. Że będzie pod wrażeniem, może wręcz dotknięta, jak gdyby ukarana niespokojną błyskotliwością umysłu, którą niechcący pobudziła. Natknąłem się na jej spojrzenie. Jej podkrążone, rozbiegane oczy wyrażały zdziwienie i zachwyt. Kurwa, pomyślałem. Kurwa. *Folwark zwierzęcy* to przecież tylko niewinny żart.

– Wiesz, że to alegoria – powiedziała Martina.

– Co takiego?

– Alegoria. Opowiada o rosyjskiej rewolucji.

– Nie bardzo rozumiem.

Więc wytłumaczyła.

I to dopiero mnie zatkało. Bo niby ta rewolucja nie była dla mnie czymś nowym – no cóż, słyszałem już kiedyś, że mieli tam pewne niepokoje, jakieś przewroty i burze gdzieś w początkach wieku. Lecz cała ta historia z alegorią zupełnie mnie zatkała. Słuchałem wywodu Martiny. Ten wielki koń Boxer, rozumiecie, niby przedstawiał chłopstwo. Natomiast mały Kwiczół – on nie był po prostu świnią, lecz propagandystą Mołotowem. Czy wiedzieliście, że przed rewolucją Mołotow redagował „Prawdę”? Bo ja nie. Żeby ukryć swój strach (a to był strach, strach przed stanięciem twarzą w twarz z nieznanym), dorzuciłem własną krytykę, krytykę w temacie świń.

Z jakichś tam powodów Martina uśmieła się z tego po uszy. Tak jak większość ludzi, i ona ma dwa rodzaje śmiechu, śmiech uprzejmy i pełen refleksji, i ten naturalny, prawdziwy. Prawdziwy śmiech Seliny to śmiech najmniej dystygowany,

jaki kiedykolwiek słyszałem – to dziki śmiech dziecka, a zarazem cała symfonia ze współzawodniczącymi poziomami i motywami. Tak, Martina lubi się pośmiać, nie ma dwóch zdań.

– Przepraszam – powiedziała. – Wiesz, świnie są mądrzejsze od psów. W stosunku do wielkości ciała pojemność świńskich mózgow jest większa. I to się właśnie liczy. Świnie inteligencją dorównują małpom.

– Nie mów. Nie wiem, jak ty na to patrzysz, lecz mnie się wydaje, że żyją paskudnie. Jeśli mają być niby takie inteligentne... To znaczy, widziałas przecież świnie, prawda?

– Tak, i bardzo je lubię.

Przyniosła mi szklanek białego wina i usadowiła mnie na tarasie, a sama poszła się przebrać na górę. Tego dnia piłem pierwszego drinka. Nie miałem kaca. Byłem nieobecny duchem – lecz pośród moich kwasów i dąsów odnaleźć mogłem strzępy desperackiej wesołości. Na tarasie Martiny kwitło mnóstwo kwiatów w donicach, skrzynkach, zawieszonych na ścianie koszyczkach – kwiaty duże i małe, czerwone, niebieskie, pilnowane przez spasiono pszczoły, które miały bogate, lśniące tarcze, przypominające ciemne kamyki w wartkim górskim strumieniu. Metaliczne i superdynamiczne, te istoty niższych warstw powietrza wirowały wokół mnie niczym diablęta w znowie i były tak ociążałe, że gdy krążyły wokół, wydawało się, iż zwisają na niewidzialnych nitkach. Ucieszyła mnie ich obecność. Nie zamierzały na mnie marnować samobójczych żądań. W dole rozciągały się szachownice poszatkowanych kamiennymi płytami ogródków – ze stawikami, rybkami i fontannami o niemrawych strumieniach, wijącymi się w zawijasach mebelkami i kobietą w ogrodnickich szczękającą sekatorem. Ptactwo Nowego Jorku trzepotało się, szczebiało i krakało lękliwie w zaroślach. Ptactwo Nowego Jorku właściwie wyzionęło już ducha – czy można się temu dziwić? Przetrawił je przecież Manhattan i nasz dwudziesty wiek. Standardowy brytyjski gołąb wyglądałby tu jak kakadu, natomiast pospolity drozd śpiewak zdawałby się rajskim ptakiem. Tak, ptaki Nowego Jorku to banda kłoszardów w obszarpanych, cuchnących płaszczach. Żerują na litości i społecznej pomocy. Charczą, pochrząkują i z zimna trzepoczą skrzydłami. Zdeklasowane, obsunęły się o kilka szczebli w panhierarchii istnień: nie mają lekko. Koniec z beztroskim śpiewem, smakowitymi glistami czy przelotami do ciepłych mórz. Dwudziesty wiek nie jest dla ptaków życzliwy i ptaki Nowego Jorku chyba o tym wiedzą.

– Dobrze ci tam?

Przestałem się bujać na krześle. Twarz Martiny, przesłonięta welonem włosów, spoglądała na mnie z jednego z okien na gorze.

– Niezupełnie – odpowiedziałem. – Tam na dole jest raj.

Twarz wycofała się cicho. A ja siedziałem na tarasie w tym rajsko ciepłym zmierzchu, popijając wino w towarzystwie marionetkowych pszczołek.

Kolację zjedliśmy w domu. Nieco mnie to zdetonowało. Zamówiłem bowiem wytworny stolik w „Ostatnim Metrze” po zachodniej stronie Broadwayu i nastawiłem się ochoczo na upłynnienie odrobiny kasy. „Odwołaj rezerwację” – poleciła Martina i właśnie tak zrobiłem. A ona przygotowała posiłek. Omlet, sałatka, owoce, sery. I białe wino. Dwupoziomowy apartament wyglądał, jakby starannie zaplanowano go na miejsce akcji zdrowego, wartościowego życia. Książki, obrazy, blaty biurek, maszyna do pisania, szachy, tenisowa rakieta od niechcienia oparta o drzwi schowka. Na górze odprasowane ubrania Ossiego – jestem pewien, że w równych, piętrowych szeregach... Wysoka Martina ubrana w sweter z dekoltem w serek i niebieską dzinsową spódniczkę. Ona ma zgrabny, apetyczny tyłeczek, na górze też jej nic nie brakuje, choć może nie jest aż tak hojnie, jak sobie wyobrażałem. Ma swoje własne, niepowtarzalne ciało, nie skopiowano go z żadnego wzorca. „Zostanęmy w domu – powiedziała – będzie o wiele przyjemniej”. Czy mogę być z wami szczerzy? Czy naprawdę macie ochotę wysłuchać tego wszystkiego? Wyznam więc oto szczerze, że zawsze podejrzewałem skrycie, iż tym, co Martinie sprawiłoby największą frajdę, byłoby nagłe rżniętko. O właśnie – rzucić się ze mną na wyrko. Brzmi to trochę nieprawdopodobnie, zgoda. Lecz ludzie tak się w dzisiejszych czasach zachowują. Tak właśnie dziś jest. Dwadzieścia lat temu zadowoliliby się domem, interesami, wypolerowanym mężem. Nie miałbym pola działania. Ale dziś? Dziś już nikogo nie znasz – ty nie znasz innych, inni nie znają ciebie. Lecz dlaczego to akurat ona ostała się w moim chaosie? To znaczy, po co tu dzisiaj jestem? Czy chodzi mi o rozmowę?

Nie zapominajcie, że zawsze mnie lubiła. Widywałem ich ciągle, tu i tam, w latach sześćdziesiątych, zawsze razem; Ossie i Martina, ta wzorowa, optymalna para. Pomagał jej zejść z wysokiego landrovera, którym się przemieszczali, i ta wysoka para wkraczała dystygowanym krokiem pod markizy ogrodowego przyjęcia, do foyer teatru, do przerobionej na rezydencję tramwajowej zajezdni, do ulubionej restauracji, eleganckiej meliny czy plebejskiego sklepiku rybnego. Nie ma co, wywierali na wszystkich wrażenie. Ich szyk miał swoje źródło częściowo w tym, że byli właśnie w taki dobitny i dojrzały sposób parą, bogatą, a jednocześnie normalną, podczas gdy wszystkie szaraczki prowadziły się nad wyraz nędznie, albo żarły, ile wlezie, narkotyki: LSD, heroina – tak, i jeszcze penicylina... Ossie był wtedy aktorem. Grywał Szekspira.

Nie wiem, jak Martina przyjmuje fakt, że teraz jest zwykłym forsiarzem. Znam Martinę jeszcze z dawnych czasów, gdy była w szkole filmowej, gdy szedłem tam z pierwszą lepszą stylistką czy charakteryzatorką, jaką udało mi się poderwać, i zamieniałem dwa słowa z utalentowanym tamtejszym gronem. Sądzę, że Martina zawsze cieszyła się na mój widok. Być może już wtedy polecałaby na małe pieprzonko.

Tak więc, pod koniec kolacji, kiedy Martina nalewała mi resztki wina, wsunąłem jej pod spódnicę rękę i powiedziałem: no, kotku, wiem, że to lubisz... Spokojnie. Niezupełnie tak było. Tak naprawdę, to przez cały nasz wieczór zachowywałem się z potulną poprawnością. Rozumiecie, wszystko rozszyfrowałem. Wiedziałem już, o co jej chodziło – odgadłem ten Martino-Twainowski charakter. Przyjaźń. Przyjaźń i tylko przyjaźń: żadnego seksu, żadnych dwuznaczności czy komplikacji. I żadnej forsy: jedynie niezobowiązujący kontakt. A taki kontakt to chuj, nie? – myślałem sobie z początku. Omal nie oszalałem z tej całej trzeźwości, z tego pieprzonego abstynenctwa.

W głowie czułem pustkę, jakbym był ubzdryngolony w trzy dupy, kiedy wpięprzałem kolacyjkę z tą przyprawiającą o mdłości cnotką, która nie dostrzegała we mnie niczego więcej prócz mnie. Jezusie sakramencki, z jaką to zбочenicą przyszło mi się zadawać? Mimo wszystko odzyskałem równowagę i rozmawiało mi się całkiem swobodnie. Różne są sytuacje stwierdziłem, wzruszając ramionami, i pogodziłem się z takim układem. A poza tym miałem przecież ten ropień na dupie.

Wypróbowałem jednak na niej pewną sztukę, gdy odchodziłem o wpół do dwunastej. Najlepsze kobiety to te najbardziej zaniedbywane, w ich towarzystwie często nawet nie wiesz, czego się można spodziewać..

– Posłuchaj – powiedziałem – daj mi jeszcze inną książkę.

– W porządku, poczekaj.

Był to *Rok 1984* – naszego kochanego Orwella.

Podniosłem w górę palec.

– Ale bez zwierząt?

– Bez. Jest tylko parę szczurów.

– I bez alegorii?

– Tak, właściwie jej nie ma.

– Posłuchaj – powiadam (i na tym polegała moja sztuczka) – ubiegłej nocy miałem taki bombowy sen o tobie.

Zwykle, co wiem z doświadczenia, przy tego rodzaju tekście spotkać się można albo z nieśmiałą, bojaźliwą rejteradą, albo z wyraźną paniką, zależnie od panienki. Lecz Martina spojrzała na mnie z zaciekawieniem i zapytała:

– Ach tak? I co takiego śniłeś?

– No wiesz, wybawiłem cię z rąk dwudziestowiecznych Czerwonoskórych! Ratowałem cię za pomocą mojego samochodu. Mojego *fiasco*. Ale samochód nie chciał zapalić.

I co było w tym bombowego?

Pojawił się jakiś inny samochód i nim uciekaliśmy. Wywozłem cię w bezpieczne miejsce.

W istocie było to pierwsze odstępstwo od prawdy. Rzeczywiście miałem sen. Lecz wyglądało to tak, że Czerwonoskórzy zniknęli czy po prostu gdzieś sobie poszli, *fiasco* przemieniło się w kawalerską garsonierę, Martina zrzuciła bawełnianą bluzkę i skórzaną spódniczkę – i kochaliśmy się ile wlezie na jej owalnym wyrku.

– Wiesz, to naprawdę paskudny pech, że samochód nie chciał ruszyć.

– Pewnie się upił – stwierdziła z uśmiechem Martina i otworzyła drzwi, żeby mnie wypuścić.

Film dla dorosłych okazał się zabytkiem z epoki, miał staranniejszą niż zazwyczaj fabułę, opowiadał o czarnym namiestniku (Ottomanów? Kartagińczyków?) i apetytach jego utalentowanej małżonki (Juanita del Pablo), która, przy pomocy panny służącej (Diana Proletaria) oferuje swe wdzięki nie tylko prawowitemu mężowi, lecz i znamienitej większości jego żołnierzy, a nadto zaspokaja rozmaitych służących, niewolników, eunuchów, akrobatów czy, w ostateczności, katów... Namiestnik łapie ją in flagranti, po czym zakuwa w dyby i wydaje na pożarcie lwom. Gdy przesuwalem się pomiędzy krzesłami, dzierząc Orwella i piwo, a histeryczny głos wykrzykiwał nad głowami zapowiedź wszelkich atrakcji, jakich A mieliśmy się spodziewać (...w dalszej roli Diana Proletaria, księżniczka Cycolandii. Najdziksza bestia świata! Prawdziwie twarda sztuka!), dwóch czarnych dupków dźwignęło się z trudem na nogi, przecierając zamglone ślipy.

– Człowieku, przydałoby się nam trochę tej prehistorii. Choć może nie na długo.

– Pewnie. Starczyłoby parę tygodni.

– Właśnie, dwa albo ze trzy. Nie chciałbym cofnąć się na długo. Ale troszeńkę tych dawnych czasów nie zaszkodziłoby na pewno.

Pięć minut później znajdowałem się w króliczkowym barze na Broadwayu, dyskutując na temat inflacji ze striptizerką w cywilu. Nazywała się Cindy. Gdybyście mnie zapytali, jak się tam czułem, odpowiem wam tak: miałem uczucie ulgi, naprawdę wielkiej ulgi, że powróciłem do naszej cywilizacji.

– Chcę ci podziękować, John – mówił mi telefon – za naszą randkę tej ostatniej nocy.

– O jaką ci chodzi noc?

– O sobotę późnym wieczorem. Albo niedzielę nad ranem. Nie wmawiaj mi, że nic nie pamiętasz. Spotkaliśmy się przecież. Tak jakby. Byłeś dla mnie miły, John. Nie próbowałeś mnie zabić, nic z tych rzeczy. Nie, byłeś bardzo miły...

– Nie pieprz – przerwałem.

To znowu Frank telefoniarz, znów daje mi do wiwatu. Ale w zasadzie ta sobotnia noc wciąż chodzi mi po głowie. Im bardziej starałem się sobie przypomnieć – czy raczej, bądźmy szczerzy, im silniej starałem się zapomnieć – tym mocniej utwierdzałem się w przekonaniu, że wydarzyło się coś naprawdę złego, coś złego definitywnie i nieodwołalnie, coś, co zrujnuje mi życie. I myślę, że to chyba dlatego zalewałem się tak w trzy dupy przez całą niedzielę. Żeby odpędzić, przegonić wspomnienie. Ale z Frankiem telefoniarzem potrafię sobie poradzić. Ten gnojek już mi nie podskoczy.

– Znalazłeś w kieszeni reklamowe zapalniczki...? Poszukaj raz jeszcze, John. W środku jest dla ciebie wiadomość.

– Tak? A jaka?

– Poszukaj raz jeszcze, John. Chcę, żebyś miał w rękę dowód.

Podszedłem do szafy i przeszukałem ubranie. Niczego przecież nie wyrzuciłem. Bo nigdy niczego nie wyrzucam. Więc oto zapalniczki, które wszystko powiedzą, walentynkowo różowe, w kolorze słodkiej pomadki: „U Zeldy – kolacje i dansingi z hostessą”. Odchyliłem skrzydełko – i odczytałem wiadomość.

– Och, ty chora kreaturo! – wrzasnąłem. – Ty nędzny idioto. I po co to wszystko robisz? Wytłumacz mi jeszcze raz. Bo ciągle zapominam.

– Potrzeba ci motywacji. Motywacji. W porządku. Więc ją masz. Daję ci trochę motywacji. – I wygłosił swoją najdłuższą, jak do tej pory, przemowę. Powiedział oto: – Pamiętasz, tam, w Trenton, w szkole na Budd Street, tego bladego chłopaczka w okularach. Wtedy, na dziedzińcu? Przez ciebie się po ryczał. To byłem ja. A w grudniu ubiegłego roku, w Los Angeles, gdy prowadziłeś wynajęty samochód, jak przeskoczyłeś światła przy Coldwater Canyon? Rozbiła się przez ciebie taksówka, a ty jechałeś dalej. W taksówce był pasażer. To byłem ja. A rok siedemdziesiąty ósmy, jak angażowałeś aktorów w Walden Center, pamiętasz? Ta ruda, kazałeś jej zrzucić ciuchy, a potem ją odrzuciłeś... i jeszcze się śmiałeś? Pamiętasz? To byłem ja. A wczoraj, wczoraj, gdy na Piątej Alei potknąłeś się o kloszarda, spojrzawszy na niego ze wstrętem, zakląłeś i chciałeś go kopnąć? To byłem ja. To byłem ja.

„Ashbery”, pokój 101, siedziałem z zapadłą głową wpatrując się w ostatnie odłony późnego, bardzo późnego filmu. Nie mogę...

Tak, nie pamiętam żadnego bladego chłopca w okularach, płaczącego na szkolnym dziedzińcu lecz był pewnie jeden, a może było dwóch takich chłopaczków, a ja byłem złośliwym szczeniakiem. Błdych chłopaczków jest zawsze i wszędzie w bród... Byłem w Los Angeles w grudniu i – zgoda – wynająłem samochód. I miałem parę dość trudnych chwil, to znaczy poślizgów, ostrego hamowania, dramatycznych przyspieszeń. Ale zawsze udawało mi się wybrnąć... I prowadziłem nabór, tam, w Walden Center, tak, w siedemdziesiątym ósmym, zgoda, próbowałem parę modelek do takiej cytatej roli w pewnej reklamówce cycatego baru. Musiała się wtedy przytrafić jakaś przypadkowa ruda cipka, a ja byłem pochłonięty pracą: w pracy jestem zupełnie inną istotą, nie jestem miły... Rudych cipek też jest zawsze pełno... Byłem antypatycznym szczeniakiem przed laty, w siedemdziesiątym ósmym. W zeszłym roku także. I również w tym.

Szedłem sobie wczoraj złocistą Piątą Aleją w kierunku okrywającego się zmięrzchem parku. Masywne domy towarowe pracowały pełną parą, wsysając klientów do środka, wypływając ich na zewnątrz, a to wszystko pod czujnym okiem totemów Manhattanu, tych idoli, tych reklamowych posągów gwiazdorów, kierujących spojrzenie wprost przed siebie w ponurej, lecz roztargnionej aprobacie handlowo-finansowych transakcji dokonywanych przy ulicach, nad którymi górowali. Forsa lała się strumieniem. Na chodniku drobni handlarze, przedsiębiorcy małych orzeszków, karcianych sztuczek i wszelkich możliwych oszustw, skradzionych torebek i narkotykowej kontrabandy – wszyscy prowadzili swoje małe, lecz nieźle prosperujące biznesy. Tabuny rozłożystych bab zabieganych wokół codziennych spraw... wielgachnych cyców nie brakowało na Manhattanie nigdy. To tutaj żaden problem. Niemal wszyscy wydają się mieć cyce... A potem zobaczyłem coś, co również widuję często. Oto prawdziwy nieposiadacz, prawdziwy wielbiciel płaskości, prawdziwy nowojorski nomad, leżący na płytach chodnika z twarzą przyciśniętą do ziemi, wystawiający się na strumień przelewających forsy posiadaczy, napływających wysoką falą. Przechodząc nad jego korpusem zerknąłem w dół (kudły miał zeszywniałe jak kora, a zaskorupiałe ucho przywodziło na myśl obierzynę owocu kiwi) i mruknąłem chyba dobroduszenie: ruszyłyś dupę, ty leniwy kutasie... I poszedłem dalej przed siebie, radośnie witając wychodzącego z księgami Fieldinga. Dobrnęliśmy razem do „Carrawaya”, gdzie spotkaliśmy dwóch naszych sponsorów, Bucka Specie i Sterlinga Duna. Obaj byli bardzo podnieceni przedsięwzięciem i przekonani, że czeka mnie wielka przyszłość w filmowym interesie. A potem spałaszowaliśmy japoński obiadek i wyruszyliśmy autocratem na

rajd po nocnych klubach. Byłem już tak ociężały po całym tym ryżu i winie, że w ogóle odebrało mi głos, więc...

„U Zeldy – kolacje i dansingi z hostessą”. Tak, w środku była wiadomość, nabazgrana chwiejnym charakterem pisma, trochę jakby drżącym, podobnym do mojego. Tu, w Stanach, w czasach mojego dzieciństwa, lekcje kaligrafii zaczynały się od przekrzywienia zeszytu o jakieś czterdzieści pięć stopni, żeby ułatwić pisanie – właśnie takie, faliste i niepewne. „Frankie i Johnny byli kochankami” – głosiła wiadomość, podstemplowana pocałunkiem, wyrazistym odbiciem warg w barwie najśłodsze go różu.

I w sumie nie za bardzo wiem, co ten typ rozumie przez motywację.

Nowy interkom z monitorem umieszczony na stalowym biurku zabuczał elektronicznym głosem. Fielding nacisnął guzik i poczekał, aż uformuje się obraz. Wydawał się lekko zdziwiony.

– Kto to? – zapytałem.

– W porządku, Dorothea. Dziękuję. Nie, poczekaj na nasz telefon. – Fielding usiadł i wyjaśnił: – Nub Forkner.

– Świetnie – mówię. Bo w sytuacji, gdy Spunk Davis zaczął się nagle ulatniać, gdy niespodziewanie się zmywa, dąsa i nie odpowiada na nasze wezwania, postanowiliśmy z Fieldingiem wypróbować Nuba Forknera jako ewentualną rezerwę. W notatniku zrobiłem nawet stosowny zapis.

– Byłoby doskonale, Slick – dorzucił Fielding.

Spojrzałem na notatnik.

– Tak mi się zdaje.

– ...Sporo czytasz, John?

– Co takiego?

– Beletrystykę.

– A ty?

– Pewnie, pewnie. Dostarcza mi wielu pomysłów. Lubię tę wściekłość, ten wrzask – dodał enigmatycznie. To właśnie robi z tobą czytanie: zaczynasz dziwnie mówić.

– Tak – przyznałem – no tak, czytałem jedną powieść George’a Orwella, *Folwark zwierzęcy*. Właściwie to czytałem ją ponownie. No tak, i *Rok 1984*.

Współpraca z tą drugą powieścią układała mi się doskonale.

– *Folwark zwierzęcy*? – upewnił się Fielding. – Nie żartuj!

Dorothea, czy ktokolwiek to był, machnęła na do widzenia i przeniknęła się za otwartymi drzwiami na końcu korytarza, zapinając bluzkę. Widzieliśmy przez chwilę

jej pochylone plecy, zanim wybiegła do hallu. Nub Forkner wychylił się nieśmiało zza drzwi i zawahał się wzdychając, jak gdyby chciał ocenić swą masę. Do tej pory niezbyt orientowałem się w dokonaniach Nuba... Prawda, przedrzemałem (nieźle mi się przy tym odbijało) chyba ze dwa filmy, w których Nub był gwiazdorem – lecz byłem wtedy na wysokości dziesięciu tysięcy kilometrów, wciśnięty w przytulną ciemność transatlantyckiego odrzutowca. Informacyjna zajawka dla prasy leżąca na moich kolanach potwierdzała, że Nub grał rolę indiańskiego włóczęgi w Whisky Sour oraz postać głuchoniemego w zeszlórocznym, zrywającym boki komediowym hicie Folwark śmiechu. Zarówno włóczęga, jak i głuchoniemy byli, jak mi się zdaje, wyrośniętymi nad miarę psychotykami, ulegającymi gwałtownym i niekontrolowanym napadom szału – takimi typasami, którzy biją, gwałcą i wrzeszczą. Tak, tak, gdy Nub skradał się teraz w naszą stronę po trzeszczącej podłodze (trzeszczały drewniane belki...), z wypomadowanymi włosami spływającymi niczym szal na ramiona i z cofniętymi łapskami, zamiatającymi nieomal podłogę, mieliśmy wraz z Fieldingiem – według planów Nuba – utwierdzić się w przekonaniu – że było w nim coś niezbywalnie pierwotnego. Wrażenie to miały jeszcze ugruntować: niechlujny jaskiniowy zarost, po wycierane, jakby z innej epoki dżinsy i kałdun piwosza na modłę szlachetnego dzikusa. Nie trzeba było mieć szczególnego oka do świrów, żeby stwierdzić, że Nub jest superświrem, cudownym arcyodlotem, któremu za chwilę wyskoczy korek. Miał chyba ze dwa metry wzrostu, ze sto pięćdziesiąt kilo żywej wagi. No tak, Nub wydawał się nam wcale przydatny.

– Cześć, Nub – rzucił oschle Fielding. – Czemu nie usiądziesz?

A właśnie, czemu nie? Więc Nub sięgnął po krzesło i niedbałym skrętem przegubu (przypominało to chłaśnięcie biczem) nadał nieszczęsnemu krzesłu ruch obrotowo-skokowy, posyłając je w róg pokoju. Następnie wziął do ręki ogromniasty pretensjonalny zegar piaskowy Fieldinga (używany do wyznaczania tempa striptizerkom) i postawił go z łomotem na podłodze. Pochylił się, wyciągając rękę nad biurkiem, jak gdyby chciał dosięgnąć ów monstrialny pomiarowy przyrząd i znad stalowego blatu posłać go w jakiś kąt. Spojrzał na nas i wtedy zobaczyłem, że na jego twarzy maluje się pełna oczekiwania przymilność.

Fielding podniósł się gwałtownie.

– Spokojnie, Nub – przestrzegł.

Nub spojrział koso i wyprostował się.

– Ma to być scena szału, prawda? – usłyszeliśmy głęboki, spokojny głos. – Męskiego szału. Jestem zawodowym aktorem. Wpierw muszę się wściec.

Ta scena od początku była farsą. Nub był aktorem jednej tylko roli, kimś w rodzaju brodatej panienki. Był dla nas bezużyteczny, zupełnie beznadziejny. Kto mógłby uwierzyć, że Caduta Massi zadawałaby się z tym zapełniaczem przestrzeni? Jak mógłby taki małopold przegrać bójkę z Łomem Guylandem? Czy widzielibyście go w objęciach Butch Beausoleil? Zapomnijcie lepiej! Nub będzie musiał trochę poczekać, nim trafi mu się następna rola jakiegoś grubego matola... Musieliśmy go jednak przesłuchać, a on musiał nas wy badać. Przyszedł tu, żeby zobaczyć, czy ten jego szczególny rodzaj lajdackiego chemizmu, ta jego szczególna maniera, te jego szczególne zagrywki wciąż jeszcze warte były paru filmowych dolców. Wydaje mi się, że każdy z nas wystawia wszystko na sprzedaż. Aktorzy to striptizerzy: zrzucają łachy i sprzedają się na okrągło. Fielding wstawił Nubowi zwyczajowy kit i osiłek ku naszej uldze wytelepał się wreszcie z pokoju.

– Wspaniale – westchnąłem. – Więc znowu jesteśmy w punkcie wyjścia.

– Nie zniechęcaj się tak łatwo. Jak wiesz, Nub i Spunk są w agencji Herricka Shnexasnaxdera. Skontaktuję się z Herrickiem. A ty załatw drinki. Teraz twoja kolej.

Fielding zadzwonił więc do Herricka. Powiedział, że zachwycił się aktorstwem Nuba i że chce wysondować jego dyspozycyjność. Mówiono o pewnej sumie, lecz w niższych, sześciocyfrowych rejonach.

– Wygląda na to, że Nub jest dyspozycyjny – powiadomił mnie Fielding odkładając słuchawkę i obracając się do interkomu.

– Nie wątpię.

– Posłuchaj, mógłby robić za ciężki kaliber, no wiesz, wyłamywacza rąk. A teraz zechciej przyjrzeć się następnemu przypadkowi. Celly Unamuno. Meksykanka. Dziewiętnastka. Mówią, że nieźle nagrzana.

– Jezusie – powiedziałem – mam tylko nadzieję, że Butch Beausoleil o niczym się nie dowie.

– Nie denerwuj się. Zaraz, a co myślisz o Butch? To znaczy, jako zawodowiec?

– Nie podpuszczaj mnie. Przecież ją wypróbowałeś.

– Jestem dla niej za młody, Slick. Ona lubi dojrzałych mężczyzn. Leci na takich jak ty.

– Cały kłopot z Butch... wiesz, jak sama mówi... rozumiem, że jesteś młody, piękny i masz talent, a to nie musi wcale oznaczać, że nie możesz być jednocześnie inteligentny. Więc cały kłopot z Butch polega na tym, że nie tylko... – Zawahałem się.

– Domyśliłeś się jednak?

– Ale czego?

– Że jest kompletną kretynką – powiedział rzeczowo Fielding. – Cały kłopot z Butch to jej dupa. Cześć, wchodź, Celly. Usiądź wygodnie i czuj się jak u siebie w domu. John? Co z tymi drinkami?

Dwadzieścia minut później, gdy Celly wkładała na siebie z powrotem ciuszki (wyglądała jak pornograficzna fotka, przypominała pornograficzno-odjazdowy komiks. Pominąwszy jej ślipka, które, nie mając jeszcze dwudziestu lat, nie potrafiły ukryć lęku i bezradności), wstałem i niczym zjawą podszedłem do białego okna. Trzymałem zimną stal koktajlowego miksera i, sądząc po drganiach moich ramion, można by pomyśleć, że nim potrząsam. Lecz wcale tego nie robiłem. Po prostu myślałem: jestem w czymś w rodzaju piekła, ale dlaczego musi to być piekło? Przykrywała mnie kopuła nieba ze wszystkimi panienkami, oszustwami i szaleństwami – o co tu może chodzić w tym całym białym namiocie? Patrzyłem w górę na niebo i mówiłem: tak, jestem jak to niebo, tak bardzo, głęboko niebieski, tak bardzo, głęboko smutny. Ale dlaczego? Robiłem to już wszystko przedtem i będę robił znowu. Nie powstrzyma mnie przed tym policja. Wiem, że ludzie mnie obserwują, a ja nie jestem niewinny. Ale teraz do tych obserwatorów dołączyła pewna osoba. Jeszcze jedna kobieta. I to już naprawdę głupota. Bo tą osobą jest Martina Twain. Więc siedzi w mojej głowie. Lecz jak się tam dostała? Tak, przyczała się w moim łbie wraz z całą tą wrzawą, ulicznym hałasem i ruchem. Obserwuje mnie. Oto jej twarz, w mojej mózgowicy; stamtąd mnie obserwuje. Więc obserwujący jest obserwowany, więc oto obserwowany obserwujący – to jakiś podwójny patos, że ona mnie obserwuje, ja ją, a ona o tym nie wie. Obserwuje mnie nieświadomie. Czy podoba się jej to, co widzi? A niech tam! Jezu, muszę z tym walczyć, muszę stawiać opór i walczyć bez względu na okoliczności. Nie mam wcale ochoty na policję miłości. Forsa, muszę się osłonić forszą – jak najwięcej forsy, jak najszybciej. Wtedy będę bezpieczny.

– Fielding, co ty ze mną wyprawiasz? No co? Minęło już dwanaście dni. Rany boskie, gdzie jest ten pieprzony skrypt?

– Jutro rano, John, gwarantuję.

Zadzwoił telefon. Zakląłem grubiańsko – lecz był to telefon, na który czekał Fielding. Spunk Davis. Wróciłem do mojego okna, a Fielding przymilała się i łagodziła.

– Tak, jak podejrzewałem, Shnexnyder zrozumiał sprawę. Bo widzisz, Spunk organicznie nie trawi Nuba. Ale to długa historia. – Fielding niemrawo wzruszył ramionami. – Tak, Spunk ma rolę. A Nub wypada.

– To dobrze. Naprawdę tak myślałem.

– Ale pod jednym warunkiem. Zapamiętaj! Restauracja ma być wegetariańska.

– W filmie.

– W filmie. Ci faceci...

Roześmiałem się, i Fielding roześmiał się sympatycznie, serdecznie jak to on. Gdy pokazał mi czyste, białe tylne ząbki (pulchne, dziecięce, bez skazy), pomyślałem leniwie: Jezu, co za przystojny facet. Kiedy popruję na skrzydłach do Cal, tej mojej Kalifornii, na generalny remont, kiedy wparuję na golasa do laboratorium trzymając w zębach czek, to myślę, że wiem, co powiem. Powiem po prostu: „Wywalcie te wszystkie wasze plany rekonstrukcji, rozwalcie wszystkie makiety. Wystarczy mi zwykły Fielding. Tak, dajcie mi Goodneya. Ulepcie mnie na jego podobieństwo”.

Jak już wcześniej wspomniałem, moje relacje z *Rokiem 1984* układały się wprost znakomicie. Ta purytańska społeczność, kierowana bez żadnych sentymentalnych zboczeń, snobizmu czy faworyzowania kultury – czyli Airstrip One, Pierwsze Lądowisko – wydawała się typem miasta, jakie mogłoby przypaść mi do gustu. (Widziałem już siebie w roli młodego, idealistycznego kaprała policji myśli). Więcej – był tam jeszcze pożądanym bardzo podatek od seksu i te wszystkie tortury zadawane przy udziale szczurów, na co tylko mogłem się cieszyć. Wtaczając się późną nocą do „Ashbery”, zauważyłem ze zdziwieniem, że pokój, który zajmowałem, miał numer 101. Może inne jeszcze odpryski mojego życia nabrałyby treści i odniesień, gdybym tylko czytał więcej i myślał mniej o pieniądzach. Lecz następnego dnia znów nie miałem czasu na czytanie. Zbyt byłem zajęty czytaniem.

O jedenastej obudził mnie Felix. Dostarczył mi cztery elegancko oprawione egzemplarze *Dobrej forsy*, scenariusza pióra Doris Arthur, opartego na pomysłe Johna Selfa. Zamówiłem sześć dzbanków kawy, kontynuując jednocześnie rutynowe toaletowe zabiegi; prawdziwy ze mnie człowiek-orkiestra. Zakazałem z kimkolwiek mnie łączyć. Usiadłem wygodnie przy nowej punktowej lampce, zerkającej ciekawie zza mojego ramienia. Czytanie – ostatnio nie robię już niczego innego. Przesiaduję w pokoju i czytani. Nic więcej. Lecz teraz, to co innego. Tym razem to już praca. Teraz chodzi o forszę. „SCENA PIERWSZA. NOC” – przeczytałem, i pośpieszyłem z lekturą, radośnie podekscytowany.

Jako czytelnik u szczytu formy, jako czytelnik już wyrobiony, przedarłem się przez *Dobrą forszę* w jakieś dwie zaledwie godzinki. A potem wybuchnąłem płaczem, rozwalilem krzesło, cisnąłem dzbankiem o ścianę, po czym kopnąłem w ramę łóżka z tak wściekłą siłą, że musiałem skakać po całym pokoju z poduszką wciśniętą w usta, póki nie zdusiłem swych wrzasków. Po prostu, kurwa mać, nie mogłem w to wszystko uwierzyć... Fielding miał w końcu rację. Dobra forsa okazała się scenariuszem-

marzeniem, cudownie spójnym, z genialnym rytmem i nerwem. Dialogi były szybkie, prześmieszne i upajająco aluzyjne. Tempo było przepiękne. Zostało iść tylko na plan i pstryknąć całą imprezę w ciągu jednego miesiąca. Usiadłem przy biurku z reklamowym długopisem i podobnie z promotywnym notesem. Zaczęliśmy czytać od nowa.

I, kurwa mać, nie mogłem oczom uwierzyć. Bo czyja to była sprawka? Kto mi to wszystko zrobił? Po pierwsze: Gary, tatko, „Garfield” – ta rola Lorne’a Guylanda. W rozpoczynającej film sekwencji, jeszcze przed napisami, Lorne wyrzucony zostaje z małżeńskiej sypialni – w mokrawej piżamie, z ubraniem zwiniętym w tłumok. I to chyba najlepszy jego moment. Potem już tylko zjazd w dół. Mimo że Lorne bezustannie przechwala się erudycją, bogactwem i młodzieńczością, w rzeczywistości (jak stwierdziłem) jest niemal analfabetą, a na dodatek stetryczalym bankrutem. Tak, stary Lorne już ledwie się trzyma na nogach. Kiedy w końcu udaje mu się przymusić szantażem młodą tancerkę, żeby poszła z nim do łóżka (epizod wielce komiczny), stary Lorne nie potrafi nawet podnieść interesu. Podnieść? Nawet nie potrafi go znaleźć! W odruchu płacziwej frustracji chce uderzyć szydzącą z niego młodą ślicznotkę. Na to ona odwzajemnia się kopem prosto w jaja, po czym Lorne pęka jak złamany patyk. W samej już scenie walki odziany w ciepłą wiatrówkę Guyland otrzymuje bity swego życia, pomimo faktu, że zaskakuje śpiącego kompana-gwiazdora dzierżąc w rękę lewarek. Ostatnie, żalosne słowa wypowiedziane zostają przez gipsową mumię na oddziale intensywnej terapii. Jeśli zaś chodzi o syna – Douga, czyli Spunka Davisa – no cóż, zacząć trzeba od tego, że motywy skłaniające go do współpracy z heroinowym gangiem są następujące: wciąż musi podsycać ten dziki ogień, ten gorejący krzak własnego narkotycznego nałogu, który kosztuje go tysiąc dolarów dziennie. Co jeszcze? Ten niepoprawny palacz i hazardzista, ten beznadziejny zakapior, ten (co też uknuła tu Doris?) zmizerowany artysta pianobicia, okazuje się również prawdziwym gum i czarodziejem junk foodu, tego śmieciowego, hamburgerowo-czipsowego żarła, zawiadując garami w owych barowych kuchniach, dorzucając do nich najrozmaitsze trujące tudzież smakowite dodatki. Pozostaje nam jedynie domyślać się pełnego zasięgu jego seksualnych odchyłów, choć w jednym poruszającym epizodzie Spunk składa wraz z matką „dobroczynną” wizytę w sierocińcu: w serii sympatycznych zbliżeń widzimy go, jak rozdaje czekoladowe batoniki, poszturchując jednocześnie w tyłeczki, głaszcząc i pieszcząc wpatrzone weń sierotki.

A teraz panie. Jeżeli szukaliście właściwego słowa, żeby uchwycić osobowość Caduty Massi, to bez wątpienia spłynęłaby wam na wargi jałowość. Tak, gdyż klucz do Caduty znajdował się w jej fantastycznej wręcz jałowości.

Jezusie, a to jałowa baba! Żadnych nowych dzieciaków dla Caduty. W ogóle żadnych dzieciaków: Spunk (co w tekście ostro przebija) jest jej przyzbrany synem. Pomimo wyraźnie zaznaczonej impotencji męża i pomimo pokazanej na ekranie uroczystości jej pięćdziesiątych trzecich urodzin, Caduta wciąż opowiada, ile to bachorów zdąży jeszcze urodzić. Jest też parę symbolicznych scen, w których Caduta wpatruje się ze smutkiem w podwórko pełne roześmianych dzieci albo przystaje obok wazonów czy dzbanów ze zwiędłymi kwiatami. Była więc wizyta w sierocińcu. Była także sekwencja snu, gdy jałowa Caduta przemierza samotnie bezkresną szarą pustynię. Jak wielką jałowość osiągnąć może kobieta? Tak, , tak, naprawdę współczuje się Caducie, zwłaszcza przy tej jej niewiarygodnej jałowości. A Butch Beausoleil – owa metresa, tancerka? Oczekiwałem, że Doris, jako solidaryzująca z nią feministka, uhonoruje jedyny warunek Butch. Oczekiwałem, że Butch oszczędzone zostaną standardowe domowe obowiązki, takie jak zmywanie naczyń, zamiatanie, ścieranie kurzy czy ścielenie łóżek. Lecz nie. W świetle scenariusza Doris Arthur, Butch z powodzeniem mogłaby odgrywać rolę symbolicznej postaci o imieniu Harówa w jakimś reklamowym filmiku prezentującym urządzenia kuchenne. Obierała bowiem kartofle, opróżniała kosze na śmieci, pucowała kible. Nawet w scenach z nocnych klubów Butch wciąż płukała kieliszki i szklanki albo prasowała przepaski striptizerek. Jej główny taneczny numer łączył elementy pantomimy z takimi oto atrybutami jak szczotka i kubeł. A druga jeszcze sprawa określająca osobowość Butch? No tak, zdążyliście się już domyśleć. I to prędzej ode mnie. Ta osóбка zarozumiała i wymowna, kipiąca pomysłami, była, jakby tu powiedzieć... no właśnie, była więc zarazem istotą o niewiarygodnie niskiej inteligencji. Sprężysty, gęsty kucyk i krągłe, ciężkie cyciki: taki pożywny klopsik. Klasyczna słodka idiotka, modelowy wzór z podręcznika: oto cała historia z Butch.

– Ktoś tu bezczelnie próbuje mnie zrobić w mamuta – powiedziałem do siebie głośno i poczułem, że mój wrzód na dupie chyba za chwilę pęknie.

I już mnie nie było, już gnałem przed siebie.

Pognałem jak szalony przez korytarz pierwszego piętra (gdzie drzemiący portier nie zdążył się nawet obudzić), mijając antyki i bajery wysokiego hallu-salonu, docierając do podwójnych drzwi sypialni. Złapałem za obie klamki – i pociągnąłem... Fielding siedział na brzegu łoża w czarnym, ałasowym szlafroku, bynajmniej nie zdziwiony. Za nim, na prześcieradle, z odwróconą twarzą, leżało śniade i jędrne ciało jakiegoś młodego chłopca.

Gdy poznam czyjeś prawdziwe, skrywane dotąd apetyty, zatyka mnie na amen, lecz

tym razem byłem już tak rozogniony, że tylko pomyślałem: więc on też jest pedałem, co? W porządku!

– Wyjdź do mnie – szepnąłem głośno.

– Czy coś się stało, Slick?

Nie wydawał się wcale zmieszany, to trzeba mu przyznać. Ziewnął nawet i podrapał się w głowę, zamykając za sobą drzwi.

– Scenariusz – wyjaśniłem.

– Co, czyżby się nie spodobał?

– Nadaje się do podtarcia tyłka, dobrze o tym wiesz!

– Jak to? Niemożliwe...

– Gwiazdy! Te nasze gwiazdy! Nie dotkną tego gówna. Wszystko przetrzięte.

– Wybacz mi, Slick – powiedział spokojnie, nalewając sobie kawy ze stojącego na tacce dzbanka – lecz przemawia przez ciebie grube niedoświadczenie. Nalać ci kawy? A może drinka? Gwiazdy już podpisały umowy. Więc wszystko zagrają. Bo inaczej zagrają w sądzie. Weź się w garść, John. Domagałeś się przecież realizmu. Jezu Chryste, przecież po to się z tobą związałem.

– To żaden realizm. To... to wandalizm!

– Nie widzisz, o co chodzi, Slick? Dobra forsa będzie jedyną produkcją roku, ba, dekady, całej naszej ery, która ukaże prawdziwy obłęd i szal świata filmu, obnaży oblicze aktorów, pokaże, co...

– Mam wrażenie, że związałeś się z nie tym facetem. Nie mogę w ten sposób pracować. Wcale się nie zgrywam. Doris trzeba wywalić. Tej suce się coś pojebało. Ma chorą mózgowicę. Zdobędę właściwy scenariusz. Wprowadzę swojego człowieka, bez obaw. A teraz zapłać Doris i wykop ją na zbitą mordę.

Fielding zawahał się i odwrócił wzrok. Oto człowiek, który widzi, jak podważa się jego najskrytsze i najbardziej tajemnicze plany, jak się w nich prostacko majdruje, jak się je obraca wniwecz. Zapytał niby od niechcenia:

– Nie uważasz, że Doris powinna to usłyszeć?

– Oczywiście. Dzwon do niej.

– Już to robię. – I zawołał ją. – Doris? – niepewnie.

Doris Arthur wyszła z sypialni odziana jedynie w skąpe, seksowne szorty... Mimo iż byłem rozpalony, potrzebowałem dłuższej chwili, żeby się z jej widokiem oswoić – a był on zniewalający... Doris podeszła do wózka ze śniadaniową tacą, kołysząc swobodnie ramionami niczym rozebrany dziewięciolatek na plaży. Bo nie miała niczego do ukrycia, niczego, niczego. Natomiast szorty – te szorty bardzo użyteczne, użyteczne

według standardów fetyszystycznych, nie mówiąc już o feministkach – otóż te szorty kryły niemało: wysoko osadzony, nabity i pulsujący zadek oraz tę przednią kępkę ze swą intrygującą, zachęcającą wypukłością; podobnych wrażeń dostarcza trzymana w chustce śliwka, czekająca, żeby ją przetrzeć i zjeść do spółki z kumplem. Przypuszczam (tak myślałem), przypuszczam, że wyhoduje porządne cycki, gdy będzie mieć własne dzieci, a potem... tak, i później już cała...

– No dobra, w porządku. Okej – zacząłem.

– Wiesz, Doris, trzymaj się lepiej prozy. Przerznęłaś kompletnie sprawę. Całkowicie wypadasz z gry. Posłuchaj – zwróciłem się do Fieldinga – to proste. Ona albo ja. Albo ja, albo ten twój kurczaczek. Jezusie, gdyby Caduta przeczytała choć słowo z tego gówna! Czy nawet Lorne!

– Właśnie teraz je czytają – zapewnił. – Dziś rano wysłałem im kopie. Ty, Caduta, Lorne, Spunk, Butch.

– W porządku – mówię.

To był mój ruch, mój strzał. Taki strzał można zrobić tylko raz, musisz w niego włożyć serce.

– Więc zaraz rozpęta się burza, prawdziwy ostrzał gównem ze wszystkich kierunków. I ty będziesz sobie z tym radził, stary druhu, bo ja wylatuję dziś wieczór. Powiem ci jeszcze jedno: nie wracam. Po prostu mam to gdzieś. Wracam do C.L.&S., będę kręcił reklamowe filmiki i czekał na dobry kontrakt. Wybieraj: ona wylatuje czy ja. Raczej ona. Zrobisz to, bo inaczej odchodzę na zawsze.

Fielding siedział napięty w fotelu. Doris popijała kawę jak gdyby nigdy nic, trzymając filiżankę w obu dłoniach. Odwróciłem się.

I poszedłem przed siebie. Tym długim pokojem, mijając kanapy i lśniące blaty stolików. Po obu stronach oddalonych drzwi kipiały szarawe obwody, kable, przyciski, kompatybilne grające szafy nafaszerowane miękkimi dyskami, monitory i wypluwające zasmarowane zwoje papieru drukarki, o czcionce przywodzącej na myśl krępe, przysadziste roboty... Ten spacer do drzwi, pomyślałem, jest niezły. Robi wrażenie. Idź naprzód. Jesteś na właściwym torze. Naprawdę – to jest to. Minę więc drzwi i iść będę dalej, aż do samej Anglii, i nigdy już nie wrócę.

– Slick – usłyszałem głos Fieldinga.

Oto wyłożony kamiennymi płytami park w *midtownie*, z prześwitującą w szparach wilgocią, pomimo operacji słońca. Słońce zrobiło, co mogło, a jednak odniosło porażkę. Budynek na samym końcu tej betonowej altany, długi jak cała ulica, miał w sobie jakąś

surowość, z blokami piaskowca ustawionymi w karne szeregi, lecz sam skwerek był w stylu hulaj dusza, był przedłużeniem ulicznej kultury, z czarnuchami, muzykami i ptasim łajnem, saksofonistami, handlarzami koki, kloszardami. Obok mnie, na parkowej ławce, siedziała Martina Twain.

Odwiedziła właśnie muzeum. Cera Martiny błyszczała muzealną bladością. Mimo całej świeżości i owocowych barw twarzy, ma swe momenty bladoci, gdy z jej oblicza odpływa krew. Gdyby nic się nie działo, przypisałbym ten fakt własnej obecności i bliskości. Ale teraz było coś jeszcze. Włączając samczy radar, wyczułem problemy z Ossiem. Ja z kolei myślałem o Selinie. Dzwoniłem właśnie do Londynu, a moja mała pirania była wyjątkowo w domu. „Tak – powiedziała nawet – nie, wszystko w porządku. Wracaj szybko do domu...” To spotkanie z Martiną – zadzwoniłem do niej w szale przygotowań do podróży, w pozycji gotowej do biegu, do ucieczki, żeby powiedzieć jej cześć, lecz zaraz pomyślałem: zaczekaj, spokojnie. Zdawała się raczej nie w formie, a ta forma jakby się pogorszyła z chwilą, gdy zacząłem się żegnać. Więc stąd to milczące spotkanie, bez żadnego rozwoju i postępu, nic, tylko obecność i może nieco pociechy. Bo po co jest w końcu przyjaźń? Po co są przyjaciele? Po co? Zastanawiałem się już nieraz.

I jeszcze inne powody odbierały mi mowę. Gwiazdy filmowe to, jak wygląda, nadzwyczaj szybkie czytelniczki. Gdy po lunchu wróciłem wielce zadowolony do „Ashbery”, niespodziewanie rzucił się na mnie zwarty bojowo tłumek rozwścieczonych postaci, i chyba z tuzin różnych rzeczy przydarzyło się jednocześnie mojej twarzy. Ktoś na nią plunął, ktoś wymierzył jej policzek, ktoś cisnął w nią przekleństwem, ktoś groził jej pięścią, ktoś machał jej przed nosem pozwem. Była tam więc płaczliwa Thursday, eskortowana przez byczastego Murzyna (chyba rozmiarów Nuba) w mundurze ochroniarza, który przedstawił się jako Bruno Biggins, osobisty goryl Lornet. I był stary książę Kasimir, całkiem napalony, żeby wyznaczyć mi spotkanie bladym świtem gdzieś w Central Parku. Był także Herrick Shnexasnyder, w tej swojej peruce o wyglądzie lodowego deseru. Reprezentował interesy Spunka. I było wreszcie jakieś wydzierające się ludzkie straszdyło, wykrzykujące, że nazywa się Horris Tolchok – adwokat Butch Beausoleil... Salwowałem się ostatecznie ucieczką, dekując się w jakimś barze, z bezprzewodowym telefonem na kolanach. Zaczynało już zmierzchać: przez całe popołudnie Fielding składał wszystkim uspokajające wizyty i sprawy zaczynały wracać powoli do normy.

Lecz ja wciąż byłem niespokojny. Na randkę z Martiną przyszedłem sporo przed czasem, więc pokręciłem się trochę po jelitach Times Square, w rejonie niskich

Czterdziestek i wysokich Trzydziestek. W ponurej przecznicy dojrzałem czarną markizę, którą moje nogi pamiętały widać lepiej ode mnie, bo zachwiałem się i pokuśtykałem przed siebie z przygarbionymi ramionami jak pijany żołnierz pod ostrzałem. „U Zeldy”. Podeszedłem bliżej. „Kolacja i dansingi z hostessą”. Zajrzałem do środka przez przydymione szyby. Stoły, przykryte pokrowcem pianino. Wnętrze wyglądało martwo, jakby zamarło tam wszelkie życie; kurz i wypełnione popielniczki promieniowały jakimś szarawym, suchym światłem. Obsługa i klientela kryją się pewnie w swoich grobowcach, mumiach i trumnach wampirów, czatując na nadejście nocy... Wskoczyłem do baru naprzeciw, i podkręciłem w górę stołek tak, żeby widzieć zapomnianą przez świat markizę.

– Podaj mi... zaraz, jak to się nazywa? – zacząłem. – Białe wino z wodą sodową.

– Jest pan pewien? – zapytał barman. Był to Irlandczyk, wielki, zwalisty, w czystym białym fartuchu; wyglądał jak rzeźnik na początku tygodnia, rozpoczynający swój krwawy tydzień. W ramionach, w swoich rzeźniczych ramionach, kołysał przechyłoną, gotową do wplynięcia do szklanki, półlitrową zawartość szkockiej.

– Pewnie, że jestem pewien.

Z powątpiewaniem odstawił na bok butelkę B&F.

– A gdzie pana damulka? – zapytał, bynajmniej nie przyjaźnie, ba, z wyraźną niechęcią. Zaraz mnie stąd wywali, pomyślałem, a przecież dopiero tu wszedłem.

– Jaka znowu damulka?

– Ta wielka, ognista, ruda. Ta, która wsadziła ci jęzor w ucho?

– Kiedy?

– A gdzie bym, kurwa, pamiętał. Ni cholere. Chyba w sobotę wieczór.

– To nie byłem ja – powiedziałem, mając już okazję wypowiedzieć tę kwestię wcześniej – to był mój brat-bliźniak. Opowiedz mi, co się działo.

Ponuro pokręcił głową. Położyłem przed nim dwudziestkę, lecz nie chciał mi nic powiedzieć.

– Jestem John, a on Erie – wyjaśniłem.

– Ty? Brat bliźniak? – syknął, przetaczając się w drugi koniec baru. – Jesteś tylko jeden, przyjacielu. Jeden z was starczy aż nadto.

...Obok mnie poruszyła się Martina. Nasze milczące spotkanie dobiegało końca. Wstała, po czym pochyliła się, żeby strzepnąć z sukienki jakiś paproch. Spojrzała na mnie kocimi oczami. I nic nie nastąpiło. Bo niby dlaczego wciąż ma się coś dziać? Dlaczego? Uścisnęliśmy sobie dłonie i wymieniliśmy słowa pożegnania. Patrzyłem, jak schodziła po schodach na chodnik Czterdziestej Drugiej, pomiędzy Piątą a Szóstą

Aleją, i kierowała się na zachód, ginąc wkrótce we wzburzonych odmętach ulicy.

A więc siedzę tu sobie w tej zbudowanej ludzką ręką księżycowej jaskini międzynarodowego lotniska Kennedy'ego, ze szklanicą potrójnej B&F w grabie, wpatrując się w niebo wyświetlające właśnie hałaśliwy film o niedalekiej przyszłości – i to całkiem niezły film, wkadrowany w moje okno i naprawdę dobrze oświetlony przez niebiańskiego operatora. Wokół mnie przemieszczają się podróżni, nałożony lotniskowe twarze, maski rychłego odlotu. Nadchodzą ze wszystkich stron, zbierając do kupy nie kończące się detale lotu. Ziemskie istoty są podróżnymi pierwszej klasy: podróżują dzień w dzień. Dobra forsa... Wszystko toczy się już teraz tak, jak powinno. Czuję się świetnie, naprawdę super, czuję się prawie dorosły. Nie jestem już tylko pasażerem – jestem jednym z pilotów życia. Te wszystkie moce, te wszystkie magnetyczne pola, które ustalają bieg spraw – przyprawiam je o bicie serca. Być może mi się nie uda, ale teraz wiem dokładnie, co zamierzam zrobić.

Czas odlotu. Ruszyłem moim rękawem. Kierowany impulsem, zadzwoniłem przed tym do mojej kumpelki Martiny, żeby jeszcze raz się pożegnać. I całkiem nagle, bez większego zastanowienia, wydało mi się zupełnie naturalne, że podróżuję pierwszą klasą.

W moim sąsiedztwie trafiła się ostatnio mała fala mordów popełnionych na pedałach. No cóż, mamy teraz prawdziwy sezon szlachtowania gejów, a jest to przecież od dawien dawna dzielnica dla pedryli zabójcza. W ciągu pierwszych miesięcy roku powietrze przypominało rozwieszone, przemarznęte pranie. A teraz, gdy już wreszcie – i na dobre – zadomowiło się tutaj lato, powietrze przypomina pranie dymiące rozgrzaną parą. W nocy zaś wszystko kipi jak gorąca krew – czuje się w powietrzu pot, mimo iż nie jest już ciepło. Na ulicach jubel i rozróby. Londyn pełen jest zapór i wielobarwnych ozdób i flag. Wszyscy mówią o królewskiej rodzinie – i o zamieszkach.

Jest to także pora szlachtowania dziwek. Ostatnio zagnieździły się w sąsiedztwie. Nie mam pojęcia, co je tu przywiodło albo kto je tutaj sprowadził, lecz oto one: cześć, dziewczuszki, witajcie, czujcie się jak w domu. Wystają pojedynczo, parami albo nawet po trzy. Właściwie to są kłębkami nerwów. Faceci podjeżdżają w samochodach. Widać te dziewczęta, jak się targują, oparte o drzwiczki aut. Dziewczęta są rodzimego chowu, za to pacjent jest na ogół zza mór – stąd często problem z porozumieniem się. Choć ten problem w zasadzie jest wieczny. „Zgadza się. Nie! Dwadzieścia funciaków”. Jedna jest rudzielcem, jeszcze nie kobietą, lecz ubrana jak mieszczańska żona, z czarną etolą ze szczerzego chyba futerka i torebką z lakierowanej skóry. Ma ostre rysy i wklęsłą nieco twarz z wyrazistym podbródkiem. Obserwowałem jej pracowity zadek, jak przez

otwarte okno samochodu dobijała targu, a potem wsunęła się do środka, żeby zaznawać swych lukratywnych lęków. Inna znów, to tłusta blondyna w bezkształtnym zimowym palcie ubogich. Chyba żartuje, mruknąłem do siebie, gdy po raz pierwszy spostrzegłem, jak tokuje po swoim rewirze. A jednak, trzeba przyznać, praca tej cipki musi być zapewne pożyteczna: nie raz już widziałem, jak wyróżnia ją z grupki – pod żółtym światłem latarni – kiwający ciemny palec. Jeszcze inna pochodzi (jak myślę) z Persji; obnosi na wybiegu swe wdzięki w niebieściutkiej rozciętej spódniczce i przezroczystej górze. Wygląda jak gdyby warta była ze dwadzieścia funtali czyjejkolwiek forsy. Ma ruchliwe cycki i brązowe nóżki lśniące od starannej obróbki nożykiem do golenia. Wydaje się mniej znudzona i mniej wystraszona swoim zawodem dziwki niż jej koleżanki, tak nerwowe, albo całkiem bez nerwów, albo w ogóle kłębki nerwów.

Gdy w sąsiedztwie zagnieździły się kurwy, przybyła wraz z nimi i zbrodnia, to znaczy szlachtowanie kurew. Trzy tygodnie temu w skradzionym samochodzie znaleziono zaduszoną dziewczynę. Natomiast przedwczoraj zaszlachtowano nożem dziewczuskę w podziemiach tutejszego hotelu. A jednak dziewczynki nadal wytrwale pracują, uprawiają swój biznes na przykurzonych placykach. Bo w końcu jest to biznes, to płatne ryzyko, ten nieźle opłacony lęk. Ci wszyscy faceci, ci wszyscy wierni klienci, muszą chyba lubić i cenić to rozgrzewające nerwy drzenie. Bulą przecież niezgorzej. Biedne zapracowane dziewczuszki – naprawdę im współczuję. Wczoraj wróciłem do domu bardzo późnym wieczorem i wygramoliwszy się z fiasca rozgniałem na chodniku peta, delektując się nocnym ciepłem. Dwie ptaszyny, jedna ta ruda, a druga nieznana mi dotąd dziewczucha o nader mocnej budowie i małej, umięśnionej główce, przypominającej żarówkę albo główkę cebuli, opierały się o żelazną balustradę, okalającą podatny na pożary hotelik. „Cześć, kotki, podobnież jedna z was wpadła ostatnio w jakieś niezłe tarapaciki”, rzuciłem pracusiom, i były to nie najlepiej może dobrane słowa, lecz za to szczerze pomyślane, wypowiedziane z troską, z prawdziwym współczuciem dla bliźniego. Odwróciły się, tak jak na przyjęciach i w nocnych klubach czynią to panienki, które akurat nie są dziwkami: z pełnym kurtuazji niesmakiem.

– Przepraszam – powiedziałem. – A może potrzeba wam forsy. Hej, macie tu trochę kasy.

Dojrzałem też ich alfonsa, jakiegoś grubego Azjatę, wystającego niespokojnie na rogu obok hiszpańskiej kafejki; uśmiech, zęby i kroki błyskały jak płetwy rekina, a zwój wciśniętych w kieszeń banknotów tworzył w spodniach bulwę niczym dorodny fiut.

Mam pewną hipotezę: Selina musi coś knuć. To taka moja teoria. Tak, ona niechybnie

coś knuje, ta moja mała Selina. Po prostu wiem – choć z tymi wszystkimi dupeczkami nigdy nic nie wiadomo. Wczoraj w południe zajechałem z Heathrow czarną taksówką. Gdy lecisz pierwszą klasą i nie przesadzasz z wodą, to jesteś o połowę mniej skonany. Selina starała mi się dogodzić wszechobecnością i nienagannym zachowaniem – w gniazdeczku tak czystym, że mucha nie siądzie. Jak gdyby właśnie się zmaterializowała, jak gdyby właśnie sprowadziły ją z niebios radary. Na szafce w saloniku stały kwiaty, drzemiąc sobie z godnością. Ucałowałem ją. Jej usta umknęły moim. W oddechu był zapach jaja i coś metalicznego. Ma owulację, suka! Bo sprawa wygląda tak – to ją na ogół podnieca, a mnie na ogół zniechęca. Gdy ona jest nagrzana, ze mną jest wręcz przeciwnie. Natomiast gdy jest oziębła, działa na mnie jak diabli. Lecz teraz we mnie kipiało; za to ona była zimna jak lód. I znów złamała reguły, ta pieprzona Selinka. Licząc na pozytywną odmianę, pogałem z nią do „Kreutzera”. Siedzieliśmy przy stoliku, Selina dumnie nawijała o dupie Maryni, a mój walec wędrował mi ochoczo pod pępek. Szampan, ciężkie steki, ciężkie wino. Zgrabna całość – zgrabny rachunek. Zgrabnie – i ze zgrabną szybkością – zawiozłem ją do naszej dziurki. Nie chciała iść do łóżka. To mnie naprawdę wzięło. Już chyba najwyższy czas, zastanawiałem się głośno, żeby miała swoją własną kredytową kartę – US Approach albo Vantage – a może nawet obie. Ale nadal nie chciała iść ze mną do wyrka. Podwyższając stawkę, idąc na całego, nie lękając się marzeń, rzuciłem na rybkę plan, żeby pokaźnie doinwestować jej butik. Nadal olewała łóżko. Kiwając do siebie głową, wypisałem jej czek na trzy tysiące funtów. I wtedy... zaoferowała mi trzepanko! – no, może nie tymi dokładnie słowami, lecz to właśnie miała na myśli. Byliśmy w kuchni. Sącyłem brandy, podczas gdy Selina, z obłudną cnotliwością, popijała herbatę. Przyłożyła sobie do krtani dłoń i nuciła, podczas gdy patrzyłem jej prosto w oczy. Miałem już tego wszystkiego dosyć, więc kiedy zaoferowała mi trzepanko (Jezu, ja wymiękam, jak też wyglądają te nasze relacje!), przyjąłem jej propozycję i powiedziałem, co ma na siebie włożyć, jaką zastosować grę, i tak dalej... „Przechodzisz samego siebie” – syknęła zgorziona i wycofała ofertę. W końcu postanowiłem rozegrać to na zimno. Podarłem czek, skończyłem brandy, poszedłem do łóżka – i sam sobie zwałem konia.

Spałem. Spałem wiele godzin – tak mi się przynajmniej zdaje. A kiedy się obudziłem, byłem... wyrzucony poza nawias czasu. Wskazania moich zegarów, wszelkie moje współrzędne, wciąż tkwiły w odrzutowym niebycie, w tym kosmosie odrzutowego szlamu, słuchawek na uszy i bóstw pogody szalejących nad Atlantykiem. Czas także podróżuje. Dzień i noc szybko mnie mijają – ale w przeciwnym kierunku. Zostaję w tyle. Muszę je dogonić, pochwycić, upewnić się, że mocno je trzymam.

Poza sypialnią krąży Selina, trzymając rękę na pulsie, zachowując dystans i czujność. Wymówiłem głośno jej imię. Pojawiła się w drzwiach, oświetlona, lecz odległa, już nie całkiem obecna, postać bardziej z filmu czy opowieści... A dziś, na lotniskowym postojach taksówek, kogóż to mogłem zobaczyć, jak nie... Patrząc, a tu Ossie Twain! Nie przywitałem się z tym dryblasem, gdy płacił za taksówkę na Heathrow i zapinał marynarkę potrząsając przy tym głową. Wycofałem się do kolejki, w której stałem, uśmiechając się do moich sekretów. Twarz Martiny – czy wciąż mi się przygląda? Tak, owszem, tylko że teraz jest bledsza... Ale oto Selina przynosi mi właśnie kawę, cichutko, jak pielęgniarka, stawiając kubek na nocnym stoliku poza moim zasięgiem, poza zakresem oddziaływania mojego oddechu.

– Halo? – rzuciłem.

Wyglądało to na pomyłkę. Lecz pewnie cały ten bzykot odbywał się w mojej głowie. To znów numerek tinnitusa – jak tak dalej pójdzie, będę musiał zasypiać z nastawionym na cały regulator tranzystorkiem na poduszce. Ci, którzy mają problemy z uszami, będą mieli co słuchać nawet, gdy ogłuchną – będą słuchać muzyczki swej główki.

Niefart. Podwójny niefart.

– John Self? Tu Martin Amis.

– Alleluja – mówię. – W samą porę. Cholernie się namęczyłem, żeby cię odszukać. Dzwoniłem do wydawcy, do agenta, do Narodowej... no wiesz, tego urzędu od ksiązek. Co się z tobą dzieje? Pracujesz w podziemiu?

Nie odpowiedział. Ostrożnie go sondowałem. Pisarze: z nimi trzeba łagodnie. To taka osobliwa trzódka, rozumiecie, całymi dniami przesiadują w domu.

– Dziękuję w każdym razie za telefon. I podziękuj swojemu agentowi, że przekazał ode mnie wiadomość. Okej, a teraz posłuchaj. Robiłeś już w filmie, tak?

– Tak jakby – przyznał.

– W porządku. Więc słuchaj teraz dobrze, stary: dziś jest twój szczęśliwy dzień. Zaraz rzucę ci pewien pomysł... Chodzi mi o to...

– Chwileczkę. Jeżeli mówisz serio, skontaktuj się znów z moim agentem.

– Nie, to ty posłuchaj! – wołałem. – W tym cały urok. Wywalamy wszystkich agentów. I te pieprzone studia.

– Jak ci, którzy robią filmy dla pubów i linii lotniczych. I sprzedają je potem na ulicy.

– Nie, nie, posłuchaj. Z początku też się wahałem. Ale cała rzecz w tym, że mój producent bierze sobie prawnika, żeby ten załatwiał kontrakty. Prawnik dostaje forszę,

ale żadnych procentów. To chyba dobre wieści. To wszystko koszerne, bez obaw.

Chyba go ruszyło.

– I co właściwie mamy?

– Przepraszam?

– Forsa. Jestem w książce telefonicznej. Zadzwoń, jak będziesz wiedział.

Odłożył słuchawkę. Wypaliłem dwa papierosy i nacisnąłem czternaście cyfr... Na Manhattanie była siódma rano. Fielding właśnie wrócił z porannego joggingu. Był szybki, zwięzły, dotleniony. Rozmawiał jak biznesmen, jak gdyby ta sprawa była jedną z wielu. Coś mi podpowiadało, że Dobra forsa przestała go interesować pod względem artystycznym i była już teraz tylko wysoce dochodowym przedsięwzięciem – już tylko jednym z wielu, wcale nie ulubionym, nie ukochanym dzieckiem. To jego nowy styl, który przyjął wobec mnie od chwili hecy z Doris. Brakuje mi tu czynnika ludzkiego, lecz chyba ten brak przeżyję, stawię mu mężnie czoło, i może niedługo to ciepło znów powróci... Fielding, rzecz jasna, słyszał o Amisie – nie czytał jego rzeczy, ale ostatnio głośno było o przypadkach plagiatu, a nawet kradzieży tekstu – dostało się to wszystko do gazet i pism. No tak, pomyślałem. Małego Martinka przyłapano z rączkami w kasie. Kryminalista słowa. Warto o tym pamiętać.

Wypracowaliśmy we dwojkę umowę – tyle za wersję próbną, tyle za ostateczną.

– Chwileczkę – zastrzegłem się. – Możemy kupić go taniej. Wychodzi to ciut za drogo.

– Niezupełnie, John – przerwał oschle Fielding i zaczął mi tłumaczyć. Słuchałem z udanym, pełnym podziwu rechem. Więc tak to wygląda. Zapłata wydaje się wielka, wręcz kosmiczna – lecz tak naprawdę płacisz facetowi od strony. A zatem wersja próbna, a potem poprawki; w końcu mówisz, że wszystko jest do dupy i spuszczasz pacjenta ze schodów. W ten sposób zdobyliśmy scenariusz przy sześćdziesięcioprocentowej redukcji kosztów. Doris Arthur zdążyła się już na tym naciąć.

Zaryzykowałem pytanie:

– A jak się ma Doris?

– Świetnie. Namówiłem ją, żeby przerobiła to na powieść. Nie miałaś racji, John.

– Miałem, Fielding.

Doris coś mi szepnęła, wtedy, przed restauracją dla pracowników mediów na Dziewięćdziesiątej Piątej Ulicy. Nie potrafię sobie tego przypomnieć, ale za Boga nie chciałbym usłyszeć tego znowu. To był jeden z powodów nagłej zmiany frontu. Jeden. Tak, z pewnością.

– Wystaw dziś facetowi czek. Zapędź go do pisania. A jak u ciebie z kasą?

Przyznałem, że tak sobie. Więc Fielding powiedział, żebym wykorzystał konto zaliczkowe, które wkrótce uzupełni.

– Włącz luz, Slick – dodał. – Korzystaj z naszej forsy wedle uznania.

Zrobiłem sobie drinka i wyciągnąłem książkę telefoniczną. Martin Amis oczywiście tam figurował. I to dwukrotnie: raz jako Martin, a raz jako M.L. Niektórzy zrobią wszystko, żeby tylko pojawić się w druku.

Szeleszcząc ostrzegawczo torbami na zakupy, przez drzwi wejściowe pospiesznie wparowała Selina. Jej włosy mieniły się kolorem i upałem. Przysięgam, że czasami fryzurka Seliny mieni się i faluje niczym rwący strumień: migoce bogactwem tajemnic. Powiedziała, że jest zmęczona: ba, że jest chora. Zażyła więc jakiś proszek i położyła się do łóżka. Ani mowy, żebym się za nią wgramolił. Rozumiecie, ta dziewczyna ma niebywale gładką skórę wewnętrznej strony ud. Jej skóra ma w tym miejscu podniecający aksamit skóry węża. Jeśli się dobrze przyjrzyście, to odnajdziecie jedwabiste, ledwie widoczne fałdki na ścięgnach. Nieczęsto spotyka się dziewczęta o tak aksamitnych udach.

Selina przypomina dziewczynę z magazynu dla panów. I pewnie jest taka: tyle że wśród zalewu tych pism trudno trzymać rachubę wszystkich ichniejszych dziewczyn. Normalne dziewczyny są zupełnie inne niż te ze świerszczyków. A oto inny, mało chyba znany fakt: kociaki z pornosów też są w rzeczywistości zupełnie inne niż ślicznotki ze zdjęć. W tym cała sprawa z pornografią, w tym cała sprawa z facetami: dają ci niewłaściwe wyobrażenie o kobietach. Żadna dziewczyna nie wygląda tak, jak na stronicach pism, nawet Selina czy nawet dziewczęta, które tam pozują. Sprawdziłem już jedną lub dwie i wiem to na pewno. Tak się składa, że każdy ma swoją ludzką postać, swoje ludzkie kształty. Ale spróbuj tylko powiedzieć o tym pornografii. I spróbuj to powiedzieć facetom.

Jakim cudem ja odkryłem ten mało znany fakt? I jak udało mi się wypróbować jedną czy dwie ze świerszczykowych cipek? Domyślcie się?

Forsa – tak jest. Forsa.

– Wyjaśnij mi coś, proszę. Czy, powiedzmy, wyznaczasz sobie codziennie jakiś czas na pisanie? Czy też po prostu piszesz, kiedy przychodzi ci ochota?

Westchnął i odpowiedział:

– Naprawdę chcesz wiedzieć?... Więc tak: wstaję o siódmej i piszę bez przerw do południa. Od dwunastej do pierwszej czytuję rosyjską poezję, niestety, w tłumaczeniu. Szybki obiad i potem do trzeciej historia sztuki. A potem przez godzinę filozofia,

lecz popularna, bez fachowego żargonu. Od czwartej do piątej: historia Europy, rok 1848 i tego typu zabawy. Piąta-szósta: pracuję nad moim niemieckim. A potem, aż do kolacji, już tylko odpoczynek i lektura tego, na co mam akurat ochotę. Na ogół to nasz poczciwy Szekspir.

– No tak, ja też czytałem, już po raz drugi, jedną książkę. *Folwark zwierzęcy*. Co o niej sądzisz?

– Zabawne, ale nigdy do niej nie zajrzałem.

– A co powiesz na... no właśnie, *Rok 1984*?

– Zabiorę się i do tego, jak przyjdzie właściwa pora. Nie za bardzo interesują mnie powieści z przesłaniem. I nie lubię też zabiegać o świeże powietrze[4].

– Że co? No tak, ile zarabiasz szmalu?

– To zależy.

– Ale konkretnie?

Powiedział.

– I na co ją, u diabła, wydajesz?

Wyznam wam, że ten cały Martin Amis żyje jak jakiś student. Zlustrowałem jego mieszkancko moim okiem specja od reklamy, zwracając baczną uwagę na wystrój i standard, na wszelkie wydatki związane z wykonywaniem zawodu. I nie zobaczyłem niczego, żadnych magnetofonów, szafek na fiszki, elektrycznych maszyn do pisania czy komputerów. Nic, tylko pastelowa przenośna maszyna niczym staroświecki przenośny warsztat.

I jeszcze długopisy, notesy, ołówki. Dwa nędzne przykurzone pokoje bez żadnego korytarza czy hallu przy pokrytym sadzą placu. A przecież Amis niewąsko zarabia. Dlaczego więc nie żyje na poziomie odpowiadającym swej forsie? Pewnie ma zgubny nałóg kupowania książek. A ile kosztują książki? Wydaje mi się, że nałóg czytania całkowicie nim zawładnął.

– Na moje oko wygląda to całkiem nieźle. Na pewno nie jest przeciętne – stwierdził. Trzymał na kolanach otwarty scenariusz Doris Arthur.

Kartkował go jak profesjonalista. – To twoje uwagi? – dociekał. – Więc w czym właściwie tkwi problem?

– Chodzi o postacie bohaterów. Mamy problem z ich motywacją. Mamy problem z sekwencją bójki. I z realizmem.

Wy tłumaczyłem mu, w czym rzecz. Zajęło to sporo czasu.

[4] Aluzja do mniej znanej powieści Orwella *Corning Up for Air* (1939) – polska wersja tytułu mogłaby brzmieć *Po świeże powietrze* (przyp. tłum.).

- ...No tak, właśnie tak, i w tym momencie ty wchodzisz... – podsumowałem.
- To nie byłoby pisanie – zaproponował. – Raczej psychoterapia.
- Oto nasza umowa.
- Wyłuszc to po ludzku.

Wymieniłem sumę. To także długo trwało.

Jezu, szmal zdawał się ogromny jak dla pisarza.

Martin roześmiał się, lecz jednocześnie jakby zakrztusił.

– W funtach czy w dolarach? – zapytał. Selina twierdzi, że absolutnie nie jestem zdolny do prawdziwej miłości. Nieprawda. Za forsę oddałbym całe serce. Naprawdę. Ach, moje pieniążki, moje wy pieniążory – jakże was kocham. Takie z was demokracji: nie macie pupilków. Dzięki wam moje i mnie podobnym życie toczy się jak po maśle.

– W funtach – zapewniłem od niechcenia – choć, rzecz jasna, pieniądze pochodzą z Ameryki. Bardzo jesteś zajęty?

Pozwoliłem mu wzruszyć ramionami i przez chwilę się boczyć. Potem dalej mówiłem:

– Może wgrzyzie się to w twoją filozofię na kilka tygodni, ale takie jest życie. Szekspir nie zając. Historia też poczeka.

Wspomniałem chłodno o czeku, który miałem w kieszeni na piersi, i dorzuciłem ze dwa detale dotyczące terminów płatności. I jednocześnie myślałem: wyrzucamy w błoto forsę na tego szczeniaka. Zrobiłby to spokojnie za połowę sumy. Pomyśleć o wszystkich tych książkach, które będzie mógł kupić.

– Chyba muszę odmówić.

No nie! A to skurwysyn!

– Co? Dlaczego?! – wykrzyknąłem w przypływie piękącej goryczy. Poczułem przesywający, bezkresny ból, jak gdyby moje dziecko zostało prostacko znieważone albo mnie ktoś obraził – i biegłem ze szkoły z płaczem. Och, ten świat potrafi ciebie jeszcze zranić. Równie skutecznie jak kiedyś.

– Nie ma w tym nic osobistego – wyjaśnił.

– Po prostu nie wiem o tobie zbyt wiele. I nie wiem wystarczająco dużo o Dobrej forsie!

– Jezu Chryste, przecież ci wszystko opowiedziałem.

– W tym cała rzecz. – Urwał i opuścił głowę. – Ten film. Kto go reżyseruje? Czy może ty...? Podajesz mi fabułę. Ale to brzmi, jak gdyby dziesięciolatek przypomniał sobie świński dowcip. Lecz nie to mnie właściwie martwi. Przemysł filmowy pełen jest prosperujących pierdołów i niegramotnych milionerów. Niepokoi mnie jednak to,

że... Żeby zrobić film, potrzeba energii, dużo, dużo energii. Natomiast ty sprawiasz wrażenie, jak gdybyś właśnie miał się zapisać na kurs odnajdywania sensu życia. Ciągle mam wrażenie, że gdy następny raz mrugniesz, to powali cię zawał. Widziałem cię już przecież tu i tam, i naprawdę niezły z ciebie klient. Jesteś prawdziwym geniuszem. Jesteś niepowtarzalny.

Ponieważ jestem tym, kim jestem, pierwsza rzecz, która przychodzi mi na myśl w kontakcie z kobietą, to pytanie, czy trzeba będzie się różnić? Natomiast w przypadku mężczyzny: czy trzeba będzie się łać? Trzy lata temu, trzy miesiące temu – ba, trzy tygodnie temu rozwiązałem wątpliwości Martina podrywając go na nogi i waląc piąchą prosto między ślupia. Ale z jakichś niejasnych powodów (i myślę, że ma to coś wspólnego z jego imieniem, tak bliskim imieniu mojego bledziutkiego goryla), czuję się dziwnie opiekuńczy wobec małego Martinka: za nic w świecie nie zrobiłbym mu krzywdy i nie chciałbym, żeby ktoś mu ją wyrządził. Lecz na innym poziomie, na innej płaszczyźnie – iw inną noc – słyszę już siebie, a nawet czuję węchem, że wlepiłbym Martinowi baty jego życia: naprawdę ostry wpierdol, dziki, na osłep, nie przejmując się czymkolwiek. Czuję, że i on niekiedy to czuje, tę dziwną lepkość, która nas łączy. Boi się mnie, pomimo całej tej gadki. Tak, jest może zdolny i zazdroścę mu elokwencji, lecz od samego początku wywahałem, że to mięczak.

Siadając wygodniej, pozwoliłem mojemu sercu bić spokojnie, jak chce. Spojrzałem na stojącą przede mną popielniczkę, na ten masowy grób pełen odchodów i zgniecionych trupów jakiegoś tuzina petów. I powiedziałem:

– Zamierzam podwoić sumę.

Wymieniłem zmienioną stawkę i poczułem ukłucie w jajach, od którego chciało mi się rzygać.

– To na dobry początek – dodałem wyjmując czek. – Jedno mi wytłumacz: co właściwie zyskasz, odrzucając taki szmal? Zrób ten scenariusz. Kup prezent swojej dziewczynie. Albo mamusi. Zrób to. No, zrób to. Ocal mi życie.

– ...Okej, zgoda.

– Dziękuję ci, Martin.

– Ale pod pewnym warunkiem.

– Jakim?

– Że czek nie będzie lipny.

– Jest dobry – zapewniłem, wręczając go.

– Pierwsza wersja potrzebna będzie za dwa tygodnie. Chryste, przecież tylko przerabiasz.

Spojrzał na rozpychające się zera.

– To... to nie jest realistyczne – powiedział. Wstałem. Ostro i energicznie. Martin jak gdyby drgnął. Jego oczy śledziły mnie niepewnie. Wie dobrze, co jest grane. Co między nami się dzieje. A może mu się zdaje, że tylko odstawia świra. Nie, źle mu się zdaje. Mogę go o tym zapewnić.

Lecz ja też zaczynam świrować – zwłaszcza wtedy, gdy jadę *fiasco*. Wydaje mi się, że ktoś mnie śledzi. Ostatnio częściej patrzę się w lusterko niż przed siebie; i coraz intensywniej. Gdy jakiś samochód jedzie za mną ze dwie ulice, to wszystko w porządku, nie przejmuję się, to się zdarza. Natomiast gdy skręca za mną w trzecią, zawęża mi się pole widzenia i mocniej trzymam kierownicę; przycajam się nad nią jak na filmie. A jeśli skręci i w czwartą, no, to już prawdziwy alarm. Na tym polega obłąd – ten alarm na okrągło. Zamykam wszystkie drzwiczki i podkręcam szyby. Próbuję zgubić pościg. Skręcam w prawo lub w lewo, żeby zobaczyć, czy skręca za mną. Przyciskam gaz do dechy... Czasami zaś doznaję paranoi – powiedzmy: kontaktowej – gdy widzę samochód przed sobą: przecież kierowca jadący przede mną może teraz świrować z mojego powodu, że niby to ja go śledzę... A czasem znów wydaje mi się, że kierowca z tyłu jest przekonany, że śledzę samochód z przodu. Więc żeby uspokoić wszystkich, w tym także i siebie, na ogół wtedy wyprzedzam – a w każdym razie próbuję. Lecz moje *fiasco* nie ma już takiej ikry jak kiedyś. Wyprzedzanie zajmuje wieki: to cholernie ryzykowna sprawa i nieraz mało brakowało... Tak, biedne *fiasco* straciło już cały napęd, to już nie jest to *fiasco* z jajem. Parę dni temu zajechał mi drogę samochód inwalidy. Sunąłem majestatycznie Bayswater Road w kierunku Marble Arch, gdy ten trzykółek z miasteczka dla lalek wpieprzył mi się z bocznego pasa pod samą maskę, telepiąc się na szybki pas! Zredukowałem bieg i chciałem mu dać do wiwatu – ale co? – ten szarpany karzeł posmolił swoją groteską do przodu, że ledwie go widziałem... Nie było o czym gadać. A znowu wczoraj jakiś rowerek zaczyna mnie nagle śledzić. Zatrzymuję samochód. Zatrzymuję samochód, bo po prostu nie chce mi się wierzyć. A rower połomotał przed siebie. Jechała na nim starszawa damulka...

Dziś znowu zaczynam świrować. Bo coś przestało mi się podobać – jakoś tak cicho, za cicho. I wtedy rozumiem, dlaczego chwyta mnie obłąd. Po prostu nikt mnie nie śledzi.

Królewski ślub jest bliżej, coraz bliżej. Londyn ma posmak Blackpoolu, Bognoru czy Benidormu – lub innej wakacyjnej speluny – w chwili gdy nawaliła pogoda. Bo oto moment historii: poddani z całej Anglii spływają do stolicy, ażeby oddać cześć zaślubinom następcy tronu. Staje się zatem historia i też chcą ugryźć jej kęs. Wszyscy

ci Turcy, Persowie, te rozmaite kukły w swoich pstrokatych szatach – ci nowi sahibowie Londynu – mają gęby, jakby ich zupełnie zatkało; nie przywykli wcale do tego, żeby było ich mniej od tubylców. Bładawi zaś celebransi odziani w wesołe stroiki pieką się w mundurkach w lepkiem upale lata. To taki jubileuszowy, świąteczny pop-art. Wygnieceni i przepoceni na piekących fotelach autokarów, tłoczą się przy szczękach barierek. Są głośni i szczęśliwi. Przeżywają swój wielki dzień... Trzy lata temu – z tolerancją miesiąca – byłem na jakimś śródziemnomorskim lotnisku, wracałem do domu, eskortując jedną z poprzedniczek Seliny, jakąś Dolly, Polly czy Molly. Zabukowaliśmy się, wypiliśmy popołudniowe koktajle, kupiliśmy, co trzeba, w stoisku *duty-free*. Poruszałem się jak w transie, jak automat – lotnisko było bazą przerzutową, wysyłającą tanio tłumy do Belfastu, Manchesteru, Glasgow lub Birmingham – oraz okołolondyńskich lądowisk. Wracaliśmy wszyscy od słońca, kierując się w stronę księżycy – w świetnej właściwie formie, pomimo kałdunów od piwa, kołderki cellulitis, ściekającego z kudłów żelu i plastrów po oparzeniach. Wielowarstwowy stelaż oferował brukowce z Fleet Street. Angielski barmanów z pubu był zwięzły, lecz zrozumiały: potrafili ze swadą wydukać no ice. I oto my wszyscy, wracamy do angielskiego domu. Dziewczyny w wypchanych T-shirtach i wystrzępionych dżinsowych szortach albo w supersamiczych parodiach tubylczych falbanek i koronek; te matrony pulsujące w obcisłych, kanciastych sztruksach, buzujące jadowitym szałem nowomodnych kropek; i ci przybrązowani brutale, obnoszący w barze swoje owłosione torsy i odgrywający ideał współczesnego samczego wdzięku – wąsatej hałdy mięśni. Przelewa się tu od picia i brzęczącej wakacyjnej monety. Odświeżono znajomość z ciałem, rozgrzano je, wysmarowano kremami, podszykowano. I poddano seks-opaleniźnie: żeby stać się okazem zdrowia. A tu nagle ta rwąca ulewa, ta niewinna ewolucyjna katastrofa – i wszyscy, oni, ja, i ta Holly czy Golly, czy Lolly, ta panienka w białej sukience i kręcąca zadkiem, my wszyscy, chłostani podmuchem wiatru, przedzieramy się przez obłądny upał do obłądnej maszyny hałasu, przycupniętej w tym obłądnym, upiornym koszarze spływających z niebios szczyn. Z naszymi tranzystorami, reklamówkami z bezcłowych straganów, wielkimi cycami i wbitymi w białe portki tyłkami wspinamy się po cherlawych schodkach w otchłań przyjmującej dupy.

Popatrz. Poczekaj. I znów nadchodzi, ci ludzie... Dla mnie, w tamtych czasach, ruch podróży był tylko ruchem, anonimowym, obojętnym; ruchem, przepływem i ruchem. Lecz teraz wiem nieco więcej o tych manewrach za moimi plecami. Samochody to szczególna nacja, z własną siłą rażenia: mogą być potulne, wrogie lub wyniosłe. Widzę samochodową twarz, samochodowe ślipia i samochodowy szyderczy uśmiech:

najeżony grymas imadła. Widzę samochód kulący się z lęku lub też szczerzący kły; albo samochód, któremu wszystko wisi. A kiedy spojrzę na tłum, na ten ludzki zator ulicy, nie widzę żadnego ruchu, żadnych pieszych, przechodniów: widzę natomiast ludzi z ich ludzką siłą rażenia, te wszystkie sedany, coupe, konwertible, te ludzkie rolls royce'y, garbusy i merce, te ludzkie krążowniki i wraki, wyszukujące mnie z tłumy swym jadowym spojrzeniem świateł.

– Karol i lady Di biorą ślub dwudziestego dziewiątego – rzuciłem Selinie przy śniadaniu kawowo-tostowym. Miała na sobie najbardziej nobliwą ze wszystkich nocnych koszul. Jedwab bogaty jak słodki lukier na torcie. A na dodatek wyzywająco prześwitujący.

– Słuchaj, a może zrobimy taki podwójny ślub? Czy to nie byłaby heca? Wskoczylibyśmy teraz w taksówkę i podjechalibyśmy na Bond Street, żeby ci kupić zaręczynowy pierścionek. Na co miałabyś chęć? Szmaragd, rubin czy może ładny diament? Zjedlibyśmy coś u „Knox”. Zadzwonię do biura podróży. Po formalnościach podfrunęlibyśmy pierwszą klasą do Paryża, tak na kilka dni. Zatrzymalibyśmy się w tym nowym hotelu, w tym, co to ma niby być najdroższy na świecie. Tak czy owak potrzeba ci ciuchów. I myślę, że już najwyższa pora, żebyś miała własne auto. Fiasco jest dla ciebie za duże. Pamiętam, sama mówiłaś. A gdzie pojechałabyś latem? Barbados? Seszele? Sri Lanka? A może wyspa Bali?

– Nie słyszę cię, John. John? Co ty właściwie robisz?

– Nic takiego – odpowiedziałem, choć nieco mijalem się z prawdą. Bo jednak coś robiłem. Dosiadłem okrakiem siedzącą na kuchennym krześle Selinę, pieszcząc dłonią jedną z jej sutek, a na drugiej pracując językiem, jakby to był jakiś miętowy lizak.

– I co ty na to? – dodałem.

– Że co? Au. Złaż ze mnie. Chcę spokojnie obejrzeć w telewizji ten królewski ślub.

– Kurwa twoja mać – warknąłem.

– I twoja także.

– Odpierdol się!

– To ty się odpierdol!

– Ach, pierdolę to wszystko – syknąłem i wymknąłem się do „Butcher’s Arms”.

... Była sobie pewna staruszka, która mieszkała w samotnym mieszkanku. Pewnego dnia przyszło do niej trzech czarnych szczeniaków i dwóch skinheadów. Naubliżali jej, pobili ją, zgwałcili i zabrali całą kasę. Kiedy jej syn pojawił się z glinami, jeden z chłopaków był jeszcze w łóżku, smacznie spał. Miał szesnaście lat. Natomiast syn staruszki siedemdziesiąt dwa. A sama staruszka aż osiemdziesiąt dziewięć; i żyła

tak sobie samotnie w mieszkanku... Pewien arabski szejek wyleciał w powietrze. Słuchajcie, nagle, niespodziewanie, według tekścika-waty z dzisiejszej „Morning Line”, dzisiejszych wiadomości dnia – Bliski Wschód stał się miejscem jeszcze bardziej wybuchowym niż dotąd, a światowy pokój, okazuje się, jest bardziej w związku z tym zagrożony. A to, z kolei, rodzi następne problemy. Czy znowu zwyczajnie ropa? Czy funt dostanie znów w ryło i będzie jak to popychle na międzynarodowym rynku walutowym? A może przeciwnie, funtal skoczy w górę z powodu brytyjskiej ropy i dla odmiany polecą zielone, które przecież mam zarobić? Chcę wszystko to wiedzieć, żądam. A może będzie jeszcze jedna wojna światowa, ze wszystkimi niewygodnymi komplikacjami, które za sobą pociągnie...? Telewizyjny prezenter Val odwieziony został nagle do szpitala; cierpi na tajemniczą chorobę. A na stronie piątej jasnowłosa Ulla obnosi swe wielkie cyce i podniecające szorciki. Okazuje się, że Sissy Skolimowsky to lesba, a jej była kochanka domaga się odszkodowania za moralne straty. Buszując wczoraj w szufladzie z majtkami Seliny, znalazłem jedną parę, której przedtem nie widziałem. Była to para prawnicza: para krótkich streszczeń jakichś dwóch spraw sądowych; adwokat napisał coś o ogólnych zasadach prawa oraz konkretnych prawach cipek... Manewry rosyjskich czołgów w pobliżu polskiej granicy. Zbyt dobrze poznałem państwo Oceanii z *Roku 1984*, żeby mieć jakiegokolwiek wątpliwości co do sytuacji tego polskiego dołka. Martwię się o Polskę. Martwię się o Lecha i pokój 101, martwię się o Danutę (znów jest w ciąży) i wszystkie te jej dzieciaki. Ale na moje wyczucie to ta ich Solidarność może wkrótce zakończyć żywot – z nadmiaru ekscytacji. Wszystko, co robi ten ichniejszy Lech, wygląda całkiem rozsądnie – dla nas, cieszących się wolnością facetów i babek – tyle, że tam, na miejscu, pewnie to wygląda inaczej; mają jeszcze kupę tych twardych, betonowych świrów mocno trzymających się stołków. Czy słyszeliście polski dowcip, który zrodziła forsa? Jest całkiem niezły. Pytanie: jaką jedyną rzecz warto w Polsce kupić za forszę? Odpowiedź: forszę. Ale tę prawdziwą, tę naszą, zachodnią, która tam jest cholernie droga. Czy to nie super? Niezły dowcip, nie ma co, dowcip w pytę.

– Barry uważa, że już. Gruby Vince uważa, że już. Cecil uważa, że już. Ja też uważam, że już.

– Ale co już?

– Że już to zrobiła.

– Z księciem Karolem.

– Właśnie. To trzyma się nawet kupy. To, kuma, sam następca tronu. Znaczy, musi, kuma, wiedzieć, co dostaje za towar, no nie?

Innego dnia, w innym pubie. Gruby Paul i „Szekspir”.

Ja i Gruby Paul – jesteśmy prawie jak bracia. Ciągłe nam były wygłupy w głowie, wygłupy i rozróżba, kłótnie i bójki. Przestaliśmy się awanturować i łać, gdy mieliśmy ze dwadzieścia pięć lat. Zbyt często dostawaliśmy baty, zbytnio to było bolesne. Więc Paul już więcej nie obrywa. A teraz to ja się go boję, i kiedy tylko mam w czubie, nie nawijam mu się pod łapska. Dostaje niezły szmal właśnie za to, że jest lepszy ode mnie w pięściorach. Na pewno polepszyłbym formę, gdybym z tego żył – tak jak on. No tak, Gruby Paul to teraz profesjonalista, usprawiedliwiam się przed sobą, a dla mnie było to zawsze hobby.

– Na jakiś czas rezygnuję z seksu – oznajmiła dziś rano Selina, dopijając herbatę, którą jej ochoczo przyniosłem.

– No i? – zapytałem.

– Boże, miej trochę taktu. Rusz wyobraźnią. To minie. Lecz chwilowo rezygnuję z seksu.

– W takim razie... no pomyśl... po co w ogóle jesteś?

– Wiesz, ty chyba w ogóle nie istniejesz.

Całe szczęście dla naszej małej Selinki, że przestałem już łać kobiety. Bo jeśli kiedykolwiek do tego zwyczaju powrócę, to Selina dowie się o tym pierwsza... Więc wycofałem się i spędziłem nużące, lecz konieczne przedpołudnie ze scenografem i dekoratorem wnętrz. Wezwałem też pierwszego asystenta; pojawił się więc Micky Obbs, jeden z tych opierdalaczy, których trzymam na zaliczce. Fielding założył specjalne konto na potrzeby tej całej hałastry. Następnie poszedłem na obiad z Kevinem Skusem i Desem Blackadderem. Oni też trzymani są na zaliczce. Powinniście tylko zobaczyć, jak sobie z tymi typkami radzę. Martin Amis też mógłby się temu przyjrzeć. Uważają mnie chyba za Boga. Widać to po ich wymuszonych uśmiechach i pełnym męki śmiechu, po ich cichej, spokojnej nienawiści. I wreszcie zaszedłem do „Szekspira”, żeby zobaczyć się z tatkiem, żeby poszukać wskazówek do całej tej historii z ojcami i synami.

– Gdzie Barry? – zapytałem.

– Masz – powiedział Gruby Paul. – Weź klucze.

Tatko posępnie przeglądał striptizerki w udrapowanej czerwonym aksamitem krypcie – pomieszczeniu starego baru. A naprawdę były to smutne cipki – już nieźle pod trzydziecę, mężatki z dwójką pociech, przypilone brakiem forszy. Przywlokły nawet z sobą dzieciaki, które kręciły się wielce znudzone, nerwowo poziewując. Małeństwa te przywodziły mi na myśl inny z kolei drobiazg – tak, te dzieciaczki z więzienia, z więzienia w Brixton, tamtych małych odwiedzających. Nie chciałem tego wszystkiego oglądać, więc siadłem ociężale, odwracając się tyłem do światła.

– Weź no szklaneczkę, John – rzucił papko, taksując mnie okiem dłużnika. – A teraz kto? No, jak się nazywasz? Emma? No dobra, kotek, migiem, szybcituko!

– Co się stało z Vron?

– Tylko mi o niej nie wspominaj. Do niczego się już nie nadaje od chwili tych zdjęć w „Debonair”. Chce teraz robić wideo. To taka jej nowa obsesja. Striptiz dla naszej Vron to już grubo za mało. Uważa się ona teraz za artystkę ciała. Nie robi żadnego striptizu. Odstawia fizyczną kulturę. Odstawiła mi taki numerek na scenie, tu, w „Szekspirze”, nie dalej, jak w ostatnią środę. I była to czarna rozpacz. Dziękuję ci, Emma! Tak, kocieczku, dziękuję, to już na pewno wystarczy.

Odwrociłem się. Trzymając w rękach ciuszki, Emma stała wciąż w ostrym świetle lamp, potakując głową. Jakieś blade ciało w szorcikach zsunęło się z obrotowego stołka i przemieszczało w jej kierunku.

– Następna!

– I co się stało? To znaczy zeszłej środy?

Wydał z siebie zgęszczone, nosowe westchnienie, utrzymując wzrok na wysokości sceny.

– Cały jej występ zaaranżował ten pedał Rod. Ten fotografik. Mówię ci, szczęście, że to pedał, bo inaczej oboje znaleźliby się w szpitalu. Robił też światło, tak to się u nich nazywa. Na sali panowały takie ciemności, że wszyscy rozlewali napoje i wpadali na ściany. I nie odbywało się to tak jak zwykle... no wiesz, gdy dziewczyna po występie robi obchód ze skarpetą, a ty wrzucasz jej pięćdziesiąt pensów, jeśli ci przyjdzie ochota. Nie, wszyscy mieli wyznaczone miejsca, a przy wejściu płacili dwa funty. Vron zjawia się w szalach i welonach, i kołusze się przez chwilę w ciemności. I potem znowu znika! Wszyscy po prostu szaleli. Wchodzę i mówię: wynoś mi się na salę i ściągaj te pieprzone ciuchy. Lecz nie chciała tego zrobić za Boga. Powiedziała, że to już wszystko. Musiałem zwracać forszę. Po prostu pęka mi serce. Dziękuję ci, kochanie! To naprawdę piękne. Zobaczę, co mogę dla ciebie zrobić.

– Hej, chcę o coś zapytać. Czy masz jakieś plany, żeby...

– Dostaniesz swoją forszę – powiedział i po raz pierwszy na mnie spojrzął; oczy miał jakby w ramkach, a wargi wydęte.

– Nie chodzi mi o forszę – odparłem – lecz o twoje ślubne plany.

– Ach, to. – Wzruszył ramionami i machnął lekceważąco ręką. – Zrób nam przysługę, John. Jak będziesz wychodził, to odwiedź Jej Królewską Wysokość. Chce z tobą zamienić słowo.

Jego szyderczy uśmiech, pogłębiony grymasem warg, osiągnął punkt szczytowy,

łącząc się z jakimś nagłym błyskiem światła gdzieś jakby za oczami.

– Hej... ta twoja Selina: założę się, że z niej okropny flejtuch. Co, może się myłę?

– Selina? – obruszyłem się z instynktowną lojalnością, ja, ckliwy, stary dureń. – To niechlujna Świnia.

Chrząknął i odwrócił głowę.

– A teraz zmykaj, synu. Już cię tu nie ma.

Vron oglądała telewizję w marcepanowym saloniku. Leżała na sobie, jej ciało znacząco ułożone, a głowę trzymała wysoko, niczym tacę. Ujrzałem więc parę szpileczek, czarne pończochy i turkusowe kimono – z licznymi i tajemniczymi szparami i zakładkami. Czarne rzęsy miała tak gęste, że sprawiały wrażenie epoletów, zaś oczy – wraz z tymi rzęsami, na tle grubego, trumiennego makijażu policzków i czoła – przywodziły na myśl pająki. Z pokojem, w którym leżała, dzieliła Vron pewną jakość – tę słodycz sklepu z cukierkami, słodycz lukru, sorbetu, lukrecji. Kiedy mówiła (o Barrym, o Rodzie czy o wadach fryzurki w stylu lady Di), z wdziękiem masowała przedramieniem piersi – „żeby być w formie, John”, wyjaśniła. Od tej chwili rozmowa dotyczyła jej ciała – że nie musi się go wcale wstydzić. Dla innych ciało może być powodem do wstydu – ale nie dla niej, nie dla Vron.

– Bo niby dlaczego miałabym się ciała wstydzić, John? No, powiedz mi tylko. Dlaczego?

I nie znalazłem odpowiedzi. Następnie wysondowała, czy nie mam jakichś znajomości wśród producentów erotycznych filmów, soft, a nawet ostrzejszego porno.

– Żadnych kontaktów, o których warto by wspominać. Właściwie to żadnych.

– Barry wątpi, czy mam szansę na zrobienie kariery, John. Natomiast Rod wierzy w mój talent. Ty jesteś artystą, John. I za to ciebie szanuję. Czy ty też we mnie wątpisz?

– Doświadczenie mi podpowiada, Vron, że te sprawy mogą się potoczyć w bardzo różny sposób.

Spojrzała na mnie z uwagą, krzyżując ręce na klapach swojego kimona.

– Byłabym dla ciebie dobrą matką, John. Naprawdę. Możesz być tego pewien.

– Dystans pomiędzy autorem a narratorem zależy od stopnia, w jakim autor uważa narratora za istotę złą, oszukańczą, żalosalną lub śmieszoną. Przepraszam, czy ciebie nie nudzę?

– Proszę?

– Ten dystans określa po części konwencja. W utworze epickim bądź heroicznym autor daje swojemu bohaterowi to wszystko, co sam posiada, a nawet więcej. Bohater jest bogiem albo ma boskie moce i cnoty. Natomiast w utworze tra... Czy na pewno

dobrze się czujesz?

– Przepraszam? – powtórzyłem. Wbiłem sobie właśnie precel w ten mój szachrajski górny ząb. Cofając w myśli elementy tego drobnego i niefortunnego zdarzenia, zdałem sobie sprawę, że wpierv ukazać się musiał na mojej twarzy wyrazisty grymas bólu, a następnie jakiś niemrawy skurcz, godny zapijaczonego kloszarda. Wymacałem ząb językiem. Martin zadowolony nawijał dalej. Ci lekarze od gęby są tyle warci, co dekoratorzy z kowbojskich filmów czy hydraulicy-fuchmeni. Gdy jesteś bardzo młody, wydaje ci się, że usługi zapewniane przez dorosłych są rzetelne, sprawnie wykonane i wycenione uczciwie. Dopiero później poznajesz świat ślamazarnych grubasów i pierdołów, zezowatych partaczy i fuszerów, brutali i książkowych moli, tych beznadziejnych, pieprzonych obiboków i kiciarzy. Sączyłem dalej drinka, obmywając scotchem górną zachodnią stronę.

– Im niżej na drabinie społecznej znajduje się bohater, na tym więcej możesz sobie z nim pozwolić. Możesz z nim zrobić, co ci się żywnie podoba, naprawdę. Rodzi się apetyt na kary. Gdyż autor wcale nie jest pozbawiony impulsów sadystycznych. Przypuszczam, że...

– Posłuchaj, musimy ustalić termin. Nie musisz trzymać się go ściśle, ale coś będę musiał przecież powiedzieć Fieldingowi i Lorne’owi. I Caducie. A także Davisowi. No, a co z tą bójką?

– Jaką bójką?

– Pomiędzy Łomem i Spunkiem. No wiesz, ta wielka bójka...

– Nikt nie uwierzy w to imię.

– No właśnie. Pertraktujemy z nim o tej sprawie. Bo widzisz, wielu Amerykanów ma tego typu imiona. Nazywają się, na przykład, Dziurciup albo Koniował. Po prostu niczego nie widzą. Nie zauważają niestosowności. Brzmi to dla nich hecnie.

– Myślę, że to jednak problem. W każdym razie spróbuj. I jeszcze jedno: on pozwala, żeby Lorne go sprął.

– Spunk?

– Spunk.

– Dlaczego?

– Żeby pokazać, że jest ponad wszystko. A poza tym, że jest w tak fantastycznej formie, że te ciosy ma za nic i...

– Zaraz – przerwałem. – Lorne na to nie pójdzie. Przecież chce, żeby Spunk zaskoczył go od tyłu na tym lotniskowcu. A potem, no wiesz, chce dać mu niezły wycisk.

– Spunk?

– Tak! Bo zrozum... bohaterowie nie mogą... Muszę ci coś wyjaśnić. Lorne grywa bohaterów. A bohaterowie nie przegrywają bójk. Tak w każdym razie było za czasów Lorne'a. Później zaczęli je przegrywać przez krótki okres, ale teraz znów powrócili do starego stylu, że bohater niby nie może przegrać. Więc bohater nigdy, przenigdy, nie zostaje pokonany, chyba że walczy przeciwko dziesięciu facetom, a każdy z nich ma nóż i pejcz, i tak dalej, a nasz bohater jest właśnie po chorobie, mamusia mu umiera, a małżonka rodzi, i...

– Tak, rozumiem, rozumiem... – powiedział Martin.

– I nawet wtedy, nawet wtedy zwycięża w następnej walce.

– To zrobimy może tak. Lorne pozwala się sprać Spunkowi.

– Niby dlaczego?

– Dlaczego? Z miłości do Butch. Z samopoświęcenia.

– Hm... Nie, bo teraz z kolei Spunk na to nie pójdzie. Nie chce się bić z Łomem, o ile nie jest to absolutnie konieczne. Musi być wpierw sprowokowany, zaatakowany, i to tak, żeby nie było już wyjścia.

– To sprawa nie do rozsąplania. Żadna strona nie pójdzie na ustępstwa.

– Ty jesteś pisarzem – mówię. – Więc, na rany Chrystusa, wykorzystaj swą wyobraźnię! Co wy, faceci, porabiacie przez cały boży dzionek?

– Jeżeli będą dwie bójki, to pewnie obaj będą chcieli zwyciężyć w tej drugiej. A może zrezygnować z walki?

– Nie, bójka pozostaje. Bójka musi pozostać.

Ja jej po prostu chcę.

– Zobaczę, co będę mógł dla ciebie zrobić.

Omawialiśmy następnie sprawę realizmu, tu, w garsonierze Martina, siedząc wokół owalnego stolika zawalonego książkami; stały na nim jeszcze butelka whisky, szklanki, popielniczki, przybory do pisania. Martin pali i popija niewąsko, a w każdym razie teraz. Tak generalnie, to znacznie urósł w moich oczach. Lecz ten studencki styl życia potrafi mnie przygnębić. Wiecie co? Robi sobie własne skręty. Jak nisko chciałby upaść? Na zewnątrz mamy niebiosa białoszare jak sól i zwykłe odgłosy przemierzających się ludzi.

– Więc sprawa wygląda tak – skonkludowałem. – Twoja rola polega na tym, żeby tych wszystkich ludzików nakłonić do realistycznego zachowania, ale w ten sposób, żeby sami tego wyraźnie nie widzieli, albo za bardzo im to nie przeszkadzało. Tak, żeby po prostu zrobili to, co potrzeba. Okej?

– No, to już ciężki orzech – stwierdził.

Zastanowiłem się.

– Martin, czy masz takie same problemy ze swoimi powieściami? – zapytałem. – To znaczy, czy też występują tam te sprawy z nieodpowiednim zachowaniem, i tak dalej?

– Nie, nie jest to żaden problem. Otrzymuje się skargi, to prawda, ale zgodziliśmy się już przecież, że wiek dwudziesty to wiek ironii – wiek, który patrzy z góry. Nawet realizm, dosłowny, skrajny realizm, uważany jest za coś zbyt patetycznego jak na ten nasz wiek.

– Rzeczywiście – przyznałem, wymacując językiem ząb.

Gdy wracałem do domu ulicami o barwach ostrzygi i węgla, powietrze zaczęło nagle drżeć i otrząsać swą sierść niczym zmoczony pies, niczym powierzchnia wzburzonej wody. Przystanąłem – podobnie jak wszyscy – i uniosłem twarz ku niebu, tak jak uczynić by to mógł niewolnik (lub zwierzę): unieść głowę czy łeb do góry, obawiając się kary, a jednak podejmując ryzyko. Rozświetlone schody z balustradami z promieni słońca wiodły wprost do nieba, do błękitnego nieba gdzieś daleko poza codzienny nieboskłon pustych śniadaniowych naczyń, wyładowanych talerzami zlewów czy kuchennych oparów. „W porządku. To może mi coś pokażesz” – powiedziałem, przecierając twarz dłonią. Wysoko w górze, wyraźnie widoczna, przypiekała się w słońcu pusta, różowa chmura – różowy rożek umocowany w obu końcach, cieniutkimi wiciami, podobny pionowemu oku albo wertykalnym ustom. W jądrze owej chmurki tkwiła człowiecza esencja, starannie dopracowana, kobieca... Ba – czy mam odepchnąć tę myśl? Czy to możliwe, aby pornografia, zrodzona w mojej głowie, kształtowała teraz chmury i sprawowała w niebiosach rządy? Zaraz... poczekajcie... ten róż, te usta, ten blask. Posłuchajcie – jeżeli tak właśnie to wyglądało, to pewnie wyglądało to właśnie tak. Przypuszczam, że nie tylko mnie kształtuje sposób, w jaki postrzegam otaczający świat. A ta chmurka, tam w górze, z pewnością wyglądała na cipkę.

Lecz zauważcie, że ostatnimi dniami wszystko zaczyna mi się z tym właśnie kojarzyć. Od tygodnia już jestem z powrotem, a Selina wciąż zachowuje dystans. Utrzymuje swój standard powstrzymywania – tak, tak – ta moja Selina. Każdego wieczoru, przy kolacji w coraz to droższych restauracjach, otrzymuję antyseksualny manifest od chwili, gdy podają zupę, aż po chwilę, gdy skubiemy wieńczące posiłek orzeszki. Jest w takim wrażliwym stanie, jak mówi. W stanie bardzo delikatnym. Z początku myślałem, że bierze mnie na przeczekanie, licząc na prawdziwie dużą wygraną, na całą pulę, na jakiś zaczątek majątku czy nawet przyszłą emeryturę. Myliłem się. Oferowałem jej przecież tysiące. Oferowałem jej małżeństwo, dzieciaki, domy, po prostu wszystko. Może

brakuje mi subtelności, nie wiem. Przez cały czas wpatruje się we mnie, jak gdyby chciała powiedzieć: jak mogłeś! Marzę tylko, żeby ktoś mi wyjaśnił, który konkretnie hormon należy za to obwiniać. Bo ten hormon nieźle tu sobie dokazuje, rujnując moje zdrowie. Niech no dostanę go kiedyś w ręce... I nie stroi już się dla mnie na noc, ta moja mała Selinka. Nie postępuje też wcale odwrotnie. Żadnych burdelowych czy świerszczykowych strojów; lecz z drugiej strony żadnych prążkowanych rajstop albo mdłych, szpitalnych piżam. Śpi na golasa. Po prostu. Tak samo zresztą jak ja.

Dziś wieczór, przed wskoczeniem do łóżka, zabrałem z sobą profilaktycznie buteleczkę brandy i wszedłem do sypialni w chwili, kiedy Selina wygramoliła się z wanny. Szczotkując włosy, z uniesionymi ramionami, stała całkiem nago u wezgowia łóżka. Plamy wilgoci lśniły na jej ciele niczym oceany i morza na globusie. Przeszedłem przez pokój, błagalnie kuśtykając. Ucałowałem jej szyję. Uklękłem.

– Proszę – szepnąłem.

Przysłuchiwałem się szmerom jej szczotki, japońskiej muzyce jej wnętrza, delikatnemu pomrukowi ciszy.

– Dziesięć kafli – mówię – na butik.

Brak odpowiedzi.

– Wyjdź za mnie. Daj mi dzieci. Moglibyśmy się przenieść do... o, kurwa, to znaczy... zamknij tylko oczy! Zajmie to dwie minuty! Jezu, błagam, połów się tu koło mnie!

– Gdybyś mnie kochał, to byś mnie rozumiał.

Więc wtedy spróbowałem ją zgwałcić. Z całą uczciwością przyznam, że nie była to próba wykonana zbyt elegancko. Jestem w tych sprawach zielony i tak w ogóle nie w formie. Zmarnowałem, na przykład, niepotrzebnie dużo czasu próbując skrępować jej ręce. Bo przecież to oczywiste, że właściwy sposób gwałcenia, to załatwienie wpięrow sprawy nóg, plus tych parę policzków na dodatek, jako część całej formuły. I jeszcze jedna wskazówka: rozbierz się, zanim rozpoczniesz działanie. Ścisnąłem jej nadgarstki w prawej dłoni, a sprzączkę paska w lewej, i to wtedy właśnie wyrzuciła mnie w podbrzusze kościstym kolaniem. Przyjąłem to uderzenie w miejsce, gdzie zaczynał swój niepodległy byt mój rozplaszczony i obolały takielunek. Nie powiem, udało się jej nieźle, przemknęło mi przez myśl, gdy trzepnąłem dupą w podłogę. Wijąc się z bólu leżałem z abażurem na twarzy. Czuję, jak powoli cały zielenieję, począwszy od palców u nóg. I wreszcie niczym poraniony krokodyl przeczłogałem się do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie wyłem do księżycy w pełni, kierując mój żal w tunel wentylacyjny sracza.

No, to było całkiem niezłe, myślałem, kuśtykając po kuchennym linoleum, załamując ręce i pogryzając jabłko. Jezusie, jak to wszystko będzie teraz wyglądać...? Gdy wróciłem nieśmiało do sypialni, Selina ledwie mrugnęła długimi rzęsami. Siedziała podparta w łóżku, z prześcieradłami opinającymi ją mocno pod pachami, i pisemkiem porno na uniesionych kolanach.

– Przepraszam. Ogromnie przepraszam. Jeszcze nigdy nie było mi tak bardzo wstyd.

Przewróciła się na brzuch i wygładziła poduszkę. Stopniowo – obracając się, przechylając, podskakując – zrzuciłem ubranie i wsunąłem się obok niej do łóżka. Położyłem delikatnie dłoń na jej ramieniu.

– Selina, powiedz, że już wszystko dobrze.

Wcisnęła zimną, białą bezbronność swej dupki w moje lędźwia, jak gdyby na znak przebaczenia. Wyprostowała lewą nogę, a prawą rękę, dłonią do góry, wsunęła pod wygładzoną poduszkę. Przez dłuższy czas leżałem z tym oddychającym tłumokiem w ramionach, nasłuchując ze smutkiem jej gasnących oddechów i westchnień.

A potem znów próbowałem ją zgwałcić.

W kategoriach czystej techniki, w rozumieniu czystego *know-how* gwałtu, moje drugie podejście znacznie przewyższało pierwsze. To naprawdę była inna klasa. Tym razem natarłem od tyłu, z pulsującym, wkręcającym się pośpiechem. Element zaskoczenia o tyle bardziej był tutaj istotny, Selina bowiem spała już snem sprawiedliwego. Trudno o sytuację jeszcze bardziej sprzyjającą zaskoczeniu. Odebrawszy nocną lekcję, zastosowałem sprytną zagrywkę: rozprostowałem jej ciało i rozsunąłem nogi przy użyciu moich własnych powrotnym ruchem szczypczyków. Zadziałało, a jakże. Cudownie, mówiłem do siebie. Jest teraz całkowicie na mojej łasce. Genialnie. I żeby jeszcze mi stanął... Wolną ręką Selina wczepiła mi się w kudły i dziwacznie, nerwowo szarpnęła. Przeżyję to, pomyślałem. To manewr całkiem antyerotyczny, to prawda, czysta antykoncepcja, lecz z drugiej strony tak bardzo mnie to nie boli. No dobrze – ale co dalej? Kres temu impasowi położyła sama Selina. Odzyskała nagle świadomość i dłuto napiętego łokcia wbiła mi z całej siły w policzek – tak, głęboko w jego górny zachodni sektor, gdzie cherlawy ząbek wciąż jeszcze żyje, wciąż czeka na swój kres. Tym razem rymsnąłem na podłogę z jeszcze większym impetem, lecz zaraz, przeklinając, pogramoliłem się do kuchni. Całe gwałcenie to naprawdę średnia rozrywka – skonkludowałem przy szklaneczce whisky, zażywając przeciwbólowe środki: to frajda grubo przesadzona. Jak radzą sobie z tym wszystkim gwałciciele prawdziwi, profesjonalni...? Kiedy wyjrzałem z kuchni, Selina zdążyła już umościć sobie posłanie na kanapie. I tam się wdrapała niczym do gwiazdnego pojazdu,

zatrząskując za sobą białe drzwiczki.

– Ja tu będę spał – powiedziałem. – Ty idź do łóżka.

Zignorowała mnie. Zacząłem na nią wrzeszczeć. Po raz pierwszy tej nocy poczułem, że lada chwila mogę się zamienić w naprawdę paskudnego skurwiela. Gdy Selina szła przez pokój (w swej najgrubszej, najbardziej antykoncepcyjnej koszuli), rozważyłem jeszcze jedną heroiczną akcję. Lecz mój anioł stróż widać wpłynął na mnie, żebym już na tym poprzestał i wycofał się z honorem, póki jeszcze żyję. Spędziłem więc duszną, trzepotliwą noc na rozgrzanej, piękającej skórze (prześcieradła zdawały się mnie opinać, krępować i więzić), i byłem mimowolnym gospodarzem dla całej hałastry zupełnie nowych boli, które ochoczo poznawały swój nowy teren zabaw.

Kiedy się „przebudziłem”, gdzieś około dziesiątej, Seliny już nie było. Zniknęła na ten dzień. Z poranną pocztą przyszedł z banku stan konta. Rozdarłem kopertę z niezwykłym wprost zainteresowaniem i długo wczytywałem się w kolumny. Oto był jaskrawy dowód, oczywisty i ostateczny, że Selina robi mi kuku. W ciągu minionych czterech tygodni nie wydała nawet jednego funta.

– Lichwiarze. Budżet. Konsorcjum. Po prostu brakuje mi słów. Dziękuję, John.

– Coś z nimi nie tak? – spytałem. – Przecież to książki; co, może nie?

– Mają już tu te śmiecie. Czekał od sześciu tygodni.

– A skąd mogłem wiedzieć? Chcesz książki, to poproś koleżków z Cambridge.

– Nie mam koleżków w Cambridge. Ani gdzie indziej. Już nie. Bo niby dlaczego miałbym się zadawać z kimś takim jak ty?

– A co byś powiedział na to? – spróbowałem nieśmiało. – *Folwark zwierzęcy*...

– Co?! Czytałem już to, kiedy miałem dwanaście lat.

– Lecz pewnie nie zdawałeś sobie wówczas sprawy, że jest to alegoria. Bo niby jak mogłeś wiedzieć? Miałeś przecież dwanaście lat. Bo wiesz, te świny pełnią rolę przywódców tej rewolucji. A wszyscy inni, to znaczy te inne typki, te zwierzaki, jak konie i psy i tak dalej, to wszystko...

Posłuchaj no, Alec. Nie chcę ci tego mówić, ale wyglądasz kurewsko podle.

– A ja nie chcę tego słuchać.

Alec Llewellyn przyodziął swą twarz w tandetną barwę lęku. To taki żółtawy odcień – tak to się mówi – żółtawy, ziemisty, niezdrowy, cera nieświeża, porowata. Najgorsze były te dwa balkony pod ślipiami – gdzie cały szlam strachu zgromadził się w dwóch ciemnych smugach, przypominających zaropiałe strupy. Same oczy (kiedyś wilgotne, lśniące jak główka kutasa, niemalże buzujące) były teraz oczami uwięzionej

wewnątrz ciała istoty, zamkniętej w cielesnej powłoce i wpatrującej się w siną dal, żeby wypatrzyć jakiegokolwiek zagrożenie – i wątpiącej, czy kiedykolwiek świat będzie na tyle bezpieczny, aby się wydostać na zewnątrz. Włosy miał długawe, byle jakie, niechlujne, opadające aż pod szczękę... Było to Pentonville, więzienie Jej Królewskiej Mości, a Pentonville wyróżniało się spośród innych więzień: nie było to Brixton, z tamtejszym luzactwem i ciepłkiem, z atmosferką, że jakoś będzie. Nie, bo Pentonville to miejsce prawdziwego upadku ducha, ciemne i wilgotne; powietrze tu śmierdzi i przygnębia. Nawet klawisze w przepoconej serży wyglądali na niedorozwiniętych przygłupów. Czekałem dwie wszawe godziny w jakiejś martwej, niby-szkolnej sali – pośród tabuna żon, nie tyle starych i surowych, ile młodych raczej i znudzonych, zirytowanych, obolałych, wściekłych. Te dziewczuszki nie miały szczęścia, tak się pechowo złożyło, że trafiły na nie tych akurat facetów: na kryminalistów. A może nie miały wyboru, może cały ich pech polegał na tym, że trafiły na nie tych kryminalistów...

– System klasowy – powiedział Alec Llewellyn – nie jest tutaj zbyt sztywny. Dziele celę z parą takich bandziorów, że wyglądam przy nich jak biały łabędź z rzeki Avon. Jeden siedzi za rozbój, a drugi za gwałt. Ich wygląd to jedyna zabawna rzecz. Wiesz, John – zmienił teraz głos, zaczął mu drżeć, a zarazem była w nim jakaś twardość – dobrze wiesz, że to nie ja powinienem tu być. To ty powinienes tu siedzieć.

Taka rozmowa nie była mi wcale potrzebna.

– W czym problem? – zapytałem.

Siedzieliśmy w zawilgoconym chlewie, zwanym pokojem widzeń, znajdującym się na pierwszym piętrze. Przypominał porzucony barek kawowy z lat sześćdziesiątych: bez okien, pozostawiony, żebygnił, z oświetleniem nagich żarówek, migocących jak przed zawałem serca. Co parę minut podchodziłem do lady i kupowałem Alecowi kolejną kawę i kolejny czekoladowy batonik. Jadł i pił pośpiesznie – korzystał, póki co – ale i bez przyjemności.

– Posłuchaj. Jest taki napis: „Światło wyłącza się o dziewiętej”. Przez „an”! Jak w kiepskim dowcipie! I jeszcze: „Jeden kubek herbaty lub «kawoy»” – i ta kawa jest w cudzysłowie! Dlaczego? Dlaczego? A w bibliotece jest inny napis: „Za kazuje się SUROWO pluć” – „za kazuje” nie pisane łącznie, ta dwuznaczność, te duże litery! Groteska, czysta groteska!

– W porządku – spróbowałem nieśmiało – czyli tego przybytku nie prowadzą intelektualisci. Mistrzowie gramatyki i stylu. Jezusie, weź się w garść.

– Wydostań mnie stąd – zasyczał twardszym znacznie tonem. – To pomyłka. To przecież pomyłka. To nie ja, to ty! To pomyłone nazwiska. To tylko pieprzona literówka!

– Hej. Hej. Spokój. Boże!

W jakimś sensie Alec miał rację. Towarzystwo siedzi we mnie. Ojciec mojego ojca był podpadającym często pod paragraf oszustem. Jedna z podrobionych przez niego, wypoconych piątek, wisi wciąż oprawiona nad szekspirowskim kontuarem. Wygląda beznadziejnie. Jak flanelka do okularów. Sam mój tatko ma niemało doświadczeń, pochwalić się tu może bardzo przydatną wiedzą – choć tego śmiesznego, staroświeckiego pierdla nie udało mu się poznać od środka. Gruby Paul zaliczył już co nieco za naruszenie cielesnej nietykalności – sprawa była całkiem poważna. Natomiast ja, owszem, spędziłem niejedną nockę w podrzędnych, dzielnicowych pudłach (za pijaństwo i zakłócanie spokoju, utrudnianie wykonywania zadań i stawianie czynnego oporu, a w jednym nawet przypadku za usiłowanie gwałtu na świni: trzy miesiące aresztu, aczkolwiek w zawieszeniu). Tylko Gruby Vince jest czysty – bo to dzentelmen Vince. Lecz wszyscy ci tutaj faceci, te tępe młoty w kombinezonach, te życiowe rozbitki z fioletowymi od wódy nosami, ci wciąż złorzeczący nieudacznicy, ci oszuści o wypiełgnowanych dłoniach, ci gwałtowni, deliryczni troglodyci – to wszystko mój pokrój ludzi. Gdy mają dobry okres, znajdują kapkę fartu w szuwarach, podczas gdy ty płyniesz z prądem. W tych ich szemranych sprawkach jest nawet niezła forsa. Lecz cały gips w tym, że jeśli ktoś zobaczy, co robisz, to idziesz wtedy do pierdla. Rozejrzałem się znów po pokoju. Tym razem, kiedy witałem się z Alekiem, pomyślałem, że więzienie trochę się ode mnie oddali. Nic z tych rzeczy. Zaistniało jeszcze realniej.

Podąłem mu chusteczkę. Poklepałem go po ramieniu. Wcale mi to dobrze nie szło.

– Dwa tygodnie – mówię. – Dwa tygodnie i będziesz na wylocie. Dwa tygodnie, a potem ty i ja urzniemy się w jakimś kasynie pośród gromady cipeczek.

– Nie. Niestety. Będę razem z Ellą i dziećmi. Tylko dla nich potrafię teraz żyć. – Uśmiechnął się z lekką pogardą. – Urznięty wraz z tobą w kasynie, z gromadką cienkich kurwiszonów. Samo niebo. Myślisz, że tego nie znam?

Poszedłem po kolejną kawę, po kolejną czekoladkę dla Aleca. Dziesięć lat ocierał się o nędzę i slumsy – robił sobie z tego zabawę. Zajął mu dziesięć lat, żeby się przekonać, że slumsy istnieją naprawdę – że nędza potrafi się odgryźć, że ma ostre, złośliwe ząbki. Zapłaciłem klawiszowi w fartuszku. Tak, to był męski świat. W powietrzu czuło się zapach, zapach bezkobiecości, kwaśny, niedoprawiony testosteron. No tak, mój pobyt w tym mamrze dobiegał na szczęście końca – i dzięki Bogu. Już wkrótce będę na zewnątrz, tam, gdzie są baby – i forsa.

Gdy wracałem do stolika Aleca, usłyszałem ostry dzwonek. Stałem nieruchomo. Dostrzegł na mojej twarzy ulgę: poruszyło to w nim strunę kpiny. Spojrzał z zadawnioną

niechęcią:

– Ten kontrakt na twoją głowę.

– Tak – zareagowałem zimno. – Te pięćdziesiąt funtów. Pewnego dnia, w momencie najmniej oczekiwanym, ktoś zacznie mnie szarpać za włosy albo nadeptnie mi na palec u nogi.

– Wiem nawet, kto to zlecił.

– Naprawdę? No kto?

– Jeden cios w buźkę narzędziem dość tępawym. Jesteś przygotowany?

– Jestem.

– Trzymaj się mocno.

– Trzymam się, trzymam.

– Twój papcio – powiedział Alec Llewellyn.

Godzinę później siedziałem w kolejnej poczekalni. Było to na Harley Street. Czekając, myślałem o Selinie: widziałem, jak na komisariacie Paddington siedzi na niskiej ławie i składa doniesienie o przestępstwie; przeklina przy tym pobożnie. Nie, tego mi przecież nie robi, nie moja droga Selina. Przecież pozew o gwałt nie przyniesie żadnego szmalu. Nie byłem jednak dobrej myśli. Dlaczego? Popisik świetnego humoru z ubiegłego wieczoru za chwilę pójdzie w zapomnienie. Nie – czułem po prostu, że się ode mnie oddała. Stop – chciałem zawołać – stop! Nie tak szybko. Momencik. Zaczekaj... Pani McGilchrist niecierpliwie odsączyła mi ząb. Powiedziała, że jest spisany na straty i że wkrótce rozogni się znowu.

Godzinę później kolejna poczekalnia – Soho. Carburton & Linex. Paliłem pety i obgryzałem paznokcie. W zasadzie wszystkie więzienia to wielkie poczekalnie. Wszystkie więzienia – no i wszystkie pokoje. Wszystkie. Twój także. Siedzisz w swej poczekalni i czekasz. Ja czekam w swojej. Wszystko czeka na kres: bliżej i bliżej końca... I wreszcie szczupła Trudi podprowadziła mnie do drzwi.

Terry Linex siedział rozwalony w swej norze, przypominając rozpustnego satyra pośród tych wszystkich palm i pucharów, trofeów zwycięzcy gry w rzutki i dyplomów w języku włoskim. Była czwarta po południu, więc popędził po whisky i lód.

– No, jak tam, stary koniu? – rzucił. – Jak życie na torze prędkości? Co mogę dla ciebie zrobić?

– Chodzi mi o to honorowe trzepanie. Tfu! Honorowe rozstanie.

Sączyłem powoli drinka. Po głowie chodziła mi Selina. Nawet się nie zaczerwieniłem, nawet nie czułem zażenowania. Gdy jesteś z Terry Linexem, nie znasz takich stanów.

– To już się kroci – odparł.

– Ile?

– W pół drogi do sześciu cyfr. Spokojnie.

– No więc, powiedzmy, sześćdziesiąt.

– Co najmniej.

– A kiedy?

– Zapytaj Keitha. Odkąd nas opuściłeś, sprawy toczą się wolno. Brakuje nam twojej energii, John.

– Tak?

– Twojego polotu, zapachu. No i jeszcze ten bzdurny podatek. Więc. Czy wciąż masz ten uliczny numer?

– Selineę. Selineę Street. To moja ulica.

– No tak. – Zmarszczył brwi i zwilżył językiem wargi. – Ty i ona nie jesteście jeszcze jednym ciałem, mam nadzieję.

Poczułem, jak zwiększa się siła ciężenia; bo przecież i powietrze już od dawna jest cięższe, gęściejsze. Wygląda na to, że bogowie pogody podpisali jakiś kontrakt z grawitacją. Ściągała mi w dół twarz; podobnie czyniła z sercem i z innymi, bardziej zaniedbywanymi elementami mojego ciała, zagubionymi mieszkańcami dolnych stref powietrza... Poddałem się instynktowi. I powiedziałem:

– Nie. To już wszystko minęło. Chciałem jej, to wszystko.

– W porządku. – Terry ziewnął. – Chcesz może coś usłyszeć...? Wiesz, w zeszłym tygodniu robiliśmy reklamę kostiumów kąpielowych. Ja tylko złowiłem modelkę – hej, hej – samą Mercedes Sinclair. Pracowałeś z nią kiedyś, John? To szprycha taka, że... wychłptałbyś wodę z jej wanny. I byłbyś z tego dumny! Więc bez żadnych wstępnych pierdołów od razu skoczyliśmy do „Smitha” – no wiesz, na cinq a sept, taki szybciotki numerek. Znasz ich zakłęcie?

Znałem. „U Smitha” to taka mała bombonierka seksu, urocza i słodka, w bok od Park Lane, w pobliżu Hyde Parku, szeroko znana i ciesząca się dużym wzięciem wśród klienteli towarzyskich ogłoszeń. Daje się Didierowi trzydzieści pięć banknotów, a za to otrzymuje się pokój na godzinę z hakiem plus butelkę szampana. Zachodziłem tam często w ciągu minionych lat, z Debby albo Mandy, z Mitzi czy inną Suki. Robiliśmy to wszyscy. Zmieniali w pokojach pościel z pięć razy dziennie, lecz lśniły te dziupelecзки idealną czystością i zawsze były dobrze przewietrzone. Sączyłem drinka, czekając na ciąg dalszy.

– Spędziliśmy pracowite popołudnie. A właściwie to całkiem hecne. Tłum białych niewolników dyszących z pożądania przed biurkiem burdelpapy. Nieźle się uśmiełem,

wołając: „Hej, Didier, może ich pośpieszysz, bo spędzimy tu całą noc!” Na początku kolejki stała ta twoja Selina z jakimś nieznanym mi gościem.

– Jakim gościem?

– Wysokim, z blond fryzurką. Miał niby akcent amerykański, ale oboje się trochę zgrywali. Tak czy owak, pacjent zna właściwą formułkę i prosi na wieczór – z przygotowaniem świeżej pościeli. Selina dostaje szału. „Nikt jeszcze mnie tak nie obraził!” Więc facio buli za noc, pełną stawkę. Siedemdziesiąt. A czy życzy pan szampana, sir? Więc zostawił tam cały portfel za ledwie czterdzieści minut. Uśmieliśmy się potem z Didierem po pachy.

– Nazwisko. Nazwisko tego facia.

Terry wzruszył ramionami i przeciągnął się.

– Powiem ci coś. Faciu zapłacił kartą. W księdze będzie to odnotowane. Zaglądam tam dziś wieczorem, zapytam przy okazji Didiera. Raz, ten jeden raz, szaleję przez całą noc. Bo z Mercedes takie cinq a sept to jednak trochę mało. Zasługuje na więcej. Przedzwonię do ciebie z rana. Ta twoja Selina to też przystojna dziewczuszka i nieźle potrafi zakręcić swoją zgrabną dupką, tak mi się przynajmniej zdaje. Lecz dobrze, że z nią skończyłeś. Ona nie ma klasy.

Londyn kipi od opowieści chadzających sobie pod rękę. W codziennej, ulicznej wrzawie spotykasz zadziwiające pary, ścinające z nóg zestawienia: wszelkie możliwe kolory, każdy wiek, każda płeć. Mamy więc królowe i waletów, dżokerów i szare dziesiątki; mamy kara i piki, ostre miecze i krągłe monety, i to wszystko tak razem, pod rękę, w najlepszej komitywie. Widzisz tępolicą panienkę, wypasioną na wódzie czy spermie, wysysającą cały gabaryt z cherlawego towarzysza-dziadunia, o powyginanych jak w złamanej pinciecie girach. Żadnego pomiędzy nimi związku. Widzisz punkdziewicę siedemnastolatkę o wyglądzie oszalałej papugi – z limami czy nawet bez – jak wspiera się na ramieniu mleczarza, który prawie mógłby być jej tatkiem. Gdzie tu jakiś związek? Widzisz blond czterdziestolatka, o szerokich, kulturystycznych barach, eskortowanego przez dwóch chłopaczków, hałaśliwych dupodajków z Litwy, w pstrokatych, kusych T-shirtach. Czy da się ich razem złączyć? Londyn kipi więc od tych przedziwnych historii, opowieści, nowel, powieści, fars, sag, epepei, oper mydlanych, skeczów i ballad; i to wszystko drałuje pod rękę.

A ja w czym to niby gram? Wygląda mi to na gagową komedię. Pornograficzny gag-show z ptysiami z kremem, co to lądują na buzi jakiejś tłustawej damoży albo beczkowatego portiera, zanim prawdziwe rżnięcie rozpocznie się od następnego klapsa.

Wyparowałem jak burza z biura Carburtona & Linexa i pomaszerowałem prosto do telefonicznej kabiny. Dokładnie przygotowałem sobie mowę. Ale Seliny nie było. Nie było jej w ogóle nigdzie. Więc rozpieprzyłem budkę. Już od dawna chciałem zniszczyć jakiś telefon. Bakelit szedł w drzazgi jak na rozkaz, tyle że odplacił mi się elektrycznym kopem. Poderwałem się na nogi, póki jeszcze żyłem, porzucając rozgrzaną prądem słuchawkę dyndającą z rozbitego aparatu. Fiasco nie chciało zapalić, więc także skopałem bestię. Oderwałem za karę spoiler i cisnąłem cegłą w ślipia. Wszystkie te czyny okazały się skuteczną terapią, bo nieco się uspokoiłem, dopóki nie wkurwiła mnie znowu – jeszcze bardziej! – sześciofuntowa jazda w korku drapieżną czarną taryfą. Wbiegałem po schodach z żądzą mordy łaskoczącą obgryzione paznokcie.

Mieszkanie, rzecz jasna, było puste – bez zmyy i skazy, uśmiechało się z ironią, zdziwione (naprawdę!), że widzi mnie w takim stanie. Z początku, w przytłaczającej ciszy, gdy dojrzałem kopertę z wysmarowanym zawijaszem „J”, pomyślałem, że ta kłamliwa suka już na dobre mnie zostawiła. A jednak jej ciuchy, jej eliksiry i maści, jej specjalna herbatka i zapach, jej kobiecość zwłaszcza, były jak najbardziej obecne, wcale mnie jeszcze nie opuściły; jak na razie. „Zjem kolację z Helle, wracam około 12-iej – widniało na karteczce – ucałowanko, Selina”. Oczekiwanie brzmi jak coś bardzo biernego, lecz to czuwanie, to oczekiwanie, było aktywniejsze i bardziej wyczerpujące niż najgorliwsze krzątactwo. Czas można zabijać najrozmaitszymi sposobami, wszystko jednak zależy od rodzaju tego czasu, który zwalczasz: pewnego rodzaju czasu w ogóle nie sposób zabić, po prostu jest nieśmiertelny. Gdy cokolwiek robiłem, zaraz chciałem robić coś innego, lecz z chwilą, gdy zaczynałem, stwierdzałem, że tego także nie chcę robić. Palenie, picie, przeklinanie i chodzenie w kółko po pokoju to jedyne możliwości, jakie okazały mi się dostępne. Nie pozostawało więc nic innego, jak czekanie. Cóż, piłem, łąziłem po pokoju, paliłem i przeklinałem przez siedem bitych godzin w tej mojej prywatnej, osobistej poczekalni.

O północy Selina pojawiła się w drzwiach. Wyglądała dobrze, wyglądała na całkiem szczęśliwą: biło z niej jakieś hecne podniecenie, promieniała jakimś cudacznym nastrojem, czego wcześniej nigdy nie widziałem. Łapczywie nabrałem powietrza, żeby przywołać ją do porządku i opieprzyć, nawrzucać, ile wlezie, lecz nagle odjęło mi mowę. I to nie od wody – z przerażenia. Wiedziała, że ja też wiem i wcale jej to nie przeszkadzało... Jak nienawidziłem tej prawdy! Żądam – to moje prawo – żądam, żeby mi tej prawdy nie mówiła! Napuściła do wanny wodę. Nucąc zrobiła herbatę. Po chwili poszliśmy do łóżka i leżaliśmy tak razem w ciemności niczym para pacjentów, czekając, aż okrutna prawda dotrze do nas sama.

– Jestem w ciąży – powiedziała Selina Street.

Wiecie, że to naprawdę zaskakujące, jak człowiek w głębi ducha potrafi się zmęczyć swoim bezdzielnym, niewyrośniętym stanem – tak, stanem dzieciństwa. Bez kobiety mężczyzna jest zniewieściał i vice versa. Natomiast bez dziecka dorosły jest dzieckiem. Bo dzieciaki to naprawdę odmiana – to tak, jak opuszczenie domu, posmakowanie kobiety, znalezienie pracy i swojego miejsca, i w ogóle przyłączenie się do tańca, do tej oszalałej, przerażającej konspiracji, jaką stanowi bieg życia. Nie mogę już czekać, wybaczenie. Wiem, oczywiście, że to klasyczna pułapka, że czegoś w tym wszystkim brakuje, że jest jeszcze ten cały jej gach – co trzeba wziąć pod uwagę i za co ją trzeba ukarać – no dobrze, niech i tak będzie, lecz mimo to gram. Gram, podejmuję wyzwanie! Skończyłem z tym wszystkim, co było – a co, czy wyraźnie nie widać? Dosyć, co za dużo to niezdrowo. To już naprawdę minęło. Więc gdy Selina wypowiedziała te słowa, obróciłem się na łóżku, żeby dotknąć jej gorącego, myślącego ciała, które właśnie ulegało transfiguracji, i poczułem na poduszce chrobot mojego podbródka:

– W porządku. Ja... o nic nie będę pytał. Wszystko zostaje wybaczone. Nic nie ma znaczenia. I pobierzmy się jutro.

– To dziecko nie jest twoje – strzeliła Selina. – I mogę to udowodnić.

Ach, te noce – to nie przypadek, że jest to właśnie noc. Nie zachowywałbyś się w ten sposób w dzień. Miałbyś ochotę robić coś zupełnie innego. Przerzuciłbyś się na telewizję albo skoczyłbyś do pubu. Bo tą właściwą porą jest noc. Potrzeba jeszcze było całych siedmiu godzin – i garści skalpeli i szczypców plus hektolitrow wrzątku – lecz wydobyliśmy prawdę na świat. Nastąpiła wreszcie jutrzeńka. Było sporo handryczenia się i brzydkiej, nienawistnej rozmowy. Były również kary. Nie uderzyłem jej. Kiedy uderzasz kobietę, przechodzisz przez jakieś drzwi i nagle wszystko jest wspaniale w owym drugim pokoju, cudownym miejscu, gdzie będzie najzupełniej okej, a nawet modnie i elegancko dawać wpierdol dziewczuskom wedle humoru chwili. Lecz ja nigdzie nie przeszedłem; wciąż tkwiłem w tym samym barłogu i zadawałem pytania. Znacie przecież te noce. W końcu doszła do wniosku, że to, co nie do zniesienia, jest dla niej jeszcze mniej do zniesienia; tak więc o świcie, z pudełeczkiem papierowych chusteczek drżącym na jej ciężarnych piersiach, zdradziła mi całą prawdę, cały swój długi sekret. Było to niewiarygodne, a jednak jej uwierzyłem.

Selina patrzyła i czekała. Nie wiedziała, jak bardzo było to niewiarygodne, nie, jeszcze nie wtedy. Powiedziała:

– Nie jesteś w sumie najgorszy. Zważywszy na okoliczności. Wyprowadzę się

jeszcze dziś rano. Nie ma to wszystko znaczenia. A teraz możesz mnie rznąć. Jeżeli tylko chcesz.

Chciałem. I próbowałem, sam Bóg mi świadkiem. Jednak skończyło się na tym, że za pomocą moich łez i jej niewygasłych jeszcze wspomnień, jak to na nią niegdyś działałem, udało mi się pocałunkami przemienić tę wysuszoną, spękaną portmonetkę w lśniący rozkoszą portfel, a następnie strąciłem ją w nicość.

Telefon zadzwonił o jedenastej. Leżałem jeszcze w łóżku, bo cóż mogłem innego robić.

– Mam przed sobą listę nazwisk – powiedział Terry Linex. – Jedno z nich to właśnie on. Przerwij mi, jeśli któreś znasz.

Po chwili go zastopowałem:

– To on.

– Jakaś gruba ryba?

– A skąd!

– Co oznacza to „O”?

Powiedziałem.

– Przepraszam? Nie usłyszałem.

Powtórzyłem:

– „O”, podwójne „s”, „i”, „e”.

– Czy beletrystyka ma swoją moralną filozofię? Kiedy tworzę postać i stawiam ją w trudnej sytuacji, to jak właściwie wyglądam z moralnego punktu widzenia? To znaczy, czy za coś odpowiadam? Bo czasem mam takie uczucie...

...A przy okazji, czy wiecie, ile zabulę za kurację mojego *fiasco*? Dziewięćset funtali. Tak, tak. Widać, że nieźle zjechałem maskę tą niewinną cegielką, i teraz potrzeba mu nowej ramy, czy czegoś równie głupiego. A bebechy pod maską też mogę sobie wsadzić... To dlatego nie chciał zapalić. To dlatego spuściłem mu baty i w ślipia strzeliłem cegłą.

– A postaci są niewinne w dwojnasób. Nie wiedzą, dlaczego przychodzi im przeżywać to wszystko, co przeżywają. Nie wiedzą przecież nawet, że w ogóle istnieją. Na przykład, jeżeli...

...Dziś o dziesiątej rano Selina opuściła moje życie na dobre i weszła w nową opowieść. Trzeba dziewczynę docenić. To boli, lecz przed Seliną zdejmuję perukę – naprawdę. Rąbnie Ossiemu Twainowi pozew o ojcostwo – i wygra, możecie być pewni. Nie ma mocnych. Już miesiąc temu zaangażowała cały zespół kauzyperdów i

medyków, a swoją norkę zamieniła w sztab. To dlatego nie chciała... no tak, przecież się domyślacie. Nie jesteście ślepi. I znacie już wynik sprawy. A ja czuję się oszukany, zrobiony w konia, nieżywy, a jednak zadziwiająco odporny. Bądź dalej silny i dzielny, powtarzam sobie w duchu. Rozczarowanie potrafi zrodzić zadziwiającą determinację. To pewnie dlatego tak się rzuciłem w wir pracy.

– Dalej, śmiało. Nie, dziękuję, naprawdę. Tak, myślę, że gdzieś tu jest jeszcze butelka... Bo wiesz, czytelnicy to istoty z natury łatwowieczne. Oni także posiadają coś ze sprawczej, autorskiej mocy tworzenia nowego życia, i...

– Hej, a ta bójka – mówię. – Jak sobie radzisz z bójką?

– Z bójką już wszystko gra. Żaden problem.

– Jakim cudem?!

– Proste. Dając mu niezły wpierdol, Lorne celowo prowokuje Spunka, żeby go zabił, po to, by uratować Butch, a Cadutę trzymać w niewiedzy. To bardzo ładne, gdyż to Spunk chce ocalić Butch, a przy okazji uchronić Cadutę.

Rozwikłanie tej szarady zajęło mi dobrą chwilę, lecz wbilem zaraz prawą pięść w dłoń lewej ręki i mówię:

– Martin. Kurewski z ciebie geniusz. Tak trzymać, za to ci płacę! Nareszcie zaczynasz zarabiać.

– Będę musiał poczarować trochę z trupami, lecz to już dziecinna sprawa. Będzie hecnie: Lorne otrzyma swoją scenę śmierci, a Spunk może go sobie zabijać, jak mu się żywnie podoba: zdalne sterowanie myślą, astralne karate, i tak dalej.

Oczywiście, nie ma potrzeby zawracać tym głowę widzom: powycinamy co trzeba i zmontujemy wszystko jak należy.

– W porządku.

Omawialiśmy następnie terminy. I Martin zapytał:

– Co z tobą, John? Wydajesz się przygnębiony.

Więc wylałem z siebie wszystko, wszystko o *fiasco*. Czasem to nawet myślę, że klucz do mojego życia można by odnaleźć w serii upokorzeń, jakich zaznałem ze strony auta. Oto stoję w warsztacie oszustów, pod wytrzeszczonymi ślipiami i rozsuniętymi zachęcająco udami kalendarzowych pin-upów i golasek, pod wilkowitzym spojrzeniem utyłanych smarem bandytów, łypiących znad osi i lewarków, a pan szefunio podchodzi do mnie z uśmiechem złodziejskiej pogardy i mówi „pomyślmy...”, zanim zaśpiewa rozkoszną sumkę. Rozrząd, uszczelniaacz zaworu, bendiks. Nie chce ruszyć, nie chce jechać, nie chce się zatrzymać. Już słyszę, jak się śmieją, z chwilą, gdy do *fiasca* włożę, a potem wytaczam się zaułkiem. Bo i tak na drugi dzień wrócę tam na holu. To

pieprzone auto po prostu nie lubi jeździć. Za to sterceć po drogich warsztatach – o tak, to na pewno lubi. Założę się, że to kurewskie *fiasco* wyciągnie ze mnie więcej kasy niż zdołała to uczynić Selina.

– To znaczę – żaliłem się Martinowi – miało być takie super, i w ogóle. Tymczasem na okrągło się psuje.

Zamyślił się i powiedział poważnie:

– Ten twój samochód to chyba jakiś żart.

– Tak, czasami też mam takie wrażenie – odparłem z namysłem.

– Masz jakąś panienkę, John?

– Czy mam panienkę? O tak, jedną w Nowym Jorku. Ma nawet, wiesz, uniwersytet.

– Nie mów.

– A ty masz panienkę, Martin?

– Wybacz, ale nie rozmawiam o życiu prywatnym. Kurczę!

– Co takiego?

Wyprostował się na krześle, a potem nagle podszedł kilka kroków do małego telewizorka na drugim końcu pokoju.

– Co jest w programie? – spytałem.

– Co? Przecież królewski ślub.

– Jezusie, dajże mi trochę luzu...

Napełniłem kolejną szklaneczkę. Założę się, że Selina też gdzieś ten ślub ogląda, w zaciszu swojej nowej forsy, swojego nowego azylu – może w hotelowym pokoju, a może w jakimś przejściowym mieszkanku wynajętym przez milczącego pośrednika. Dopelniam szklaneczkę i mówię:

– Chyba nie powiesz, że będziesz oglądał ten chłam?

– Dlaczego nie?

– Boże, przecież teraz pracujemy. Nagraj to na wideo i później sobie obejrzysz.

– Nie mam wideo.

– Nie masz nawet tego gówna? Przyznaj się, ile zarabiasz? To niemoralne! Wyłóż trochę kasy. Kup coś. Konsumuj, na litość boską!

– Pewnie kiedyś będę musiał zacząć – powiedział – ale naprawdę nie chcę się przyłączać do tej całej konspiracji forsy.

– Czy masz to mieszkanie na własność? A jakim jeździsz samochodem? Co się w ogóle z tobą dzieje?

– Szsz... Popatrz na pogodę – szepnął. – Trzy tygodnie była pod psem, a teraz otrzymujemy to. Cudowne.

W łagodnych konwulsjach na ekranie zbudziło się życie – i hej, mamy królewski ślub, aleję The Mail kipiącą tłumami, słońce oraz konie, „które niosą mnie do kościoła na czas”... Rumieniąc się i spuszczać w dół oczy, w blasku tej całej historii, lady Diana sunęła powoli poprzez nawę katedry, u jej boku dreptał tatko i kieszonkowe druhnny, uśmiechając się z afektacją. Był też i mój rówieśnik, Karol, w galowym mundurze pośród sztywnych jak kije książąt. Czyżby Gruby Paul miał rację? Czyżby dostała już od Karola podarek? Da jej to na pewno dziś – tego możemy być pewni. Wierząc się na krzesła i coś do siebie mamrocząc, spojrziałem mimowolnie na Martina. Wargi miał rozchylone, powieki ciężkie i nieruchome: w ogóle nie mrugały. Wpatrując się w jego twarz, łatwo jest wyodrębnić obszary zniszczeń i zmęczenia, wszelkie te plamki i zmatowienia, które czekają każdego, kto szlaja się po naszym stuleciu. Rzecz jasna, spotyka się ludzi, których to wszystko zdaje się omijać, dzięki odpowiedniemu rozplanowaniu podróży przez czas, i to nie tylko swej własnej, ale i podróży całej planety. Ci ludzie mają przyjemną barwę. Nie spotykasz ich nigdy na ulicach, na ulicach w liczbie mnogiej. Ich cera ma połysk zdrowia i słońca, a czasem fałszywej młodości; a to tylko połysk forsy. Forsa potrafi sprawić, że wszelkie upadki są mniej bolesne, co przecież powszechnie wiadomo. Niejako kontruje upadek. Martin takiej barwy nie ma. Ani też ja. Nie macie jej zapewne i wy. Otrząśnijcie się trochę. Natomiast taki kolorek ma księżna Diana. Zaledwie dziewiętnastolatka, dopiero wyrusza w życie. A oto ona, powoli wsiada do karety, a konie zaczynają się niecierpliwić. Cała Anglia tańczy, cała Anglia się bawi. Zerknąłem jeszcze raz na Martina i – przysięgam na wszystkie świętości – ujrzałem, jak szara łza zbiera mu się pod ciężką powieką. Miłość i ślub. Stukot końskich kopyt na długiej, biegnącej w dół alei.

Po chwili rzucił mi na kolana rolkę toaletowego papieru.

– Chcesz filiżankę herbaty? – usłyszałem.

– A może aspirynę? Albo Serafini? Nie musisz się kępować.

Na swój sposób było to wrzuszające. O tak, wydmuchaj nos, raz a dobrze. Zaraz poczujesz się lepiej. Ła! Lepiej? Trzymaj swoje sprawy w ręku. Nie popuszczaj. I niczym się nie zamartwiaj. Wszystko i tak dobrze się skończy.

Nocą słyszę głosy bezdomnych dochodzące z płaskich dachów. Odgłos nieczytelnego szeptu. Przychodzą, odchodzą, przenoszą się gdzieś dalej. We śnie leżę do łazienki i pochylani się nad umywalką, żeby przepłukać spierzchnięte, obolałe usta. Przez okno dostrzegam jakąś rodzinę czy paczkę nędzarzy w łachmanach, zgromadzonych wokół wiązki żółtawego światła nieba. Jeden z nich macha ręką. Może mnie przywołuje. Unoszę bladą dłoń. Pałą świeczki na tle zadymionego nieba i mruzcą coś do siebie,

trzymając w ustach pety. Za nimi, jeszcze wyżej, przykryta wygniecioną drelichową płachtą na płaskim śpi parapecie kobieta-grzmot – przypomina żeglarski protractor. Na Manhattanie społeczne doły żyją przykładnie pod ziemią, w nie wykończonych jeszcze tunelach metra. Natomiast tutaj rozlewają się na parapety, okapy, dachy... To dziwne, że można pozwolić, aby forsa nas tak gnoić. A dzisiaj także w tych bateriach kwaternikowych blokowisk (straszących niczym rozwrzeszczane tranzystorowe radyjka Boga porozrzucane jak popadnie po mieście) pewien eksperyment, ba, pewien przełom w wandalizmie, właśnie przybiera kształt. Otóż tym, co dzieciaki polubiły nagle wyczyniać, jest zabieranie do windy kucyków, wożenie ich na wysokie piętra, a następnie ujeżdżanie tych koników po korytarzach i galeriach kwaternikowej przestrzeni z drzwiami wejściowymi i oknami po jednej stronie, a niskim murkiem-balustradą i nocnym niebem po drugiej. Naprawdę! Skąd biorą kucyki? I skąd otrzymują przydział na te swoje nory, kanały? A na dodatek wspinają się jeszcze w górę, osiągając szczyty perwersji. Ten cały numer nie wygląda nawet zabawnie, a niech to licho weźmie. Ja, w swoim czasie, też byłem wandal, i wierzę, gdy chodzi o rozrywkę, nie znajdziecie lepszego zajęcia. Bo wandalizm to kupa śmiechu... Kiepski zaś los mieszkańców, słyszających te zwierzęce wrzaski – i odgłosy przerażenia zwierząt. I kiepski też los zwierzątek, których geny nie brały kiedykolwiek pod uwagę takiego rodzaju nocnego życia, takiego rodzaju rozrywek na wysokościach. Lecz koniki nie powinny się tak znowu skarżyć. Muszą brać się za bary z naszą rzeczywistością jak my wszyscy. Muszą się przystosować, mutować. Nie mogą się ukryć, przeczekać. Nikt nie może. Więc czas najwyższy, naprawdę, żeby kucyki zmieniły swoje sztywne podejście i też zrobiły co nieco, żeby wspomóc nasz wiek dwudziesty.

Jestem istotą złożoną z jet-lagu, kulturowego szoku i permutacji stref. Istot ludzkich nie ulepiono przecież po to, żeby latały w kółko po świecie. Wysuszone gardło, mroczki przed oczami i zaćmienia pamięci – to niby nic nowego, ale teraz, gdy kursuję międzykontynentalną rakieta, bardzo się wszystko pogorszyło. Wstaję w środku nocy, żeby sprawdzić, czy stoją rowery. Szczyt mojego codziennego zmęczenia pojawia się w każdej chwili, kiedy tylko przychodzi mi na to ochota, nawet tuż po porannej kawie. Gdy siadam, żeby coś przekąsić, to albo jestem głodny jak wilk, a w gębie warzy mi się ślina, albo też znowu czuję się zadziwiająco syty – i to bez wyraźnego powodu. Kierowany niejasnym impulsem, czyszczę starannie zęby w środku popołudnia. Nawet te moje, powiedzmy, niby trzepanka, też gonią wyraźnie w piętę, bo zaczynają się, niecnoty, od wytrysku. Przez cały boży dzionek żyję swą istotą nocną, rozszczepianą nocnymi myślami, nerwowymi nocnymi potami. A przez całą nockę, cóż, jestem kimś

zupełnie innym, znów całkiem inną istotą, czymś dziwacznie przeewoluowanym, jakimś rozrzedzonym i zanikającym strumieniem powietrza z odrzutowego silnika, spływającym na czarną toń Atlantyku.

Nadszedł piątek, zrobił swoje i zniknął, bo taka jest natura piątków. Zważywszy na okoliczności, zdawałem się być w niezłej formie. Miałem wrażenie, że jestem sam w całym domu. Spokojnie, to da się znieść. Podniosłem się o jedenastej i, w dzinsach i tenisówkach, odbyłem szybki jogging do pobliskiej pijalni. Wrąbałem sporo pubowego żarcia: zawijaste kielbaski, fasolkę w pomidorach z imbirem oraz rynienkę „wiejskiej zapiekanki”. Wypiłem także niemało. Tradycyjnego lagera z beczki, przedniego francuskiego wina, drogich spirytualiów. Zostawiłem też dziewięć funtów pięćdziesiąt w czeluściach frutmaszyn oraz siedemdziesiąt pięć u bukmachera tuż obok. Wracając kupiłem jeszcze popołudniową gazetę i kilka kebabów na wynos, żeby mieć czym się rozkoszować przy popołudniowej kawie i tostach. Obgryzłem elegancko paznokcie i udałem się na długotrwałe, wieloaspektowe, eksperymentalne wręcz posiedzenie do sracza, a potem przeszedłem do łaźienki. O piątej zrobiłem sobie koktajl, a następnie odpłynąłem na cztery godziny w głęboki sen na kanapie. Wstałem, umyłem kudły, przepłukałem ze dwa brudne kubki, rzuciłem okiem na moją ulubioną „Morning Line”, i znów skoczyłem do pubu. Wracając do domciu zajrzałem do „Pizzolandu” i posiłem się Tą Wielką Soczystą Gorącą – tak nazywało się danie. Kapkę dalej, w „Fabryce Parówki”, wrzuciłem do worka nad paskiem ze trzy Long Whoppers – niczym organy godne słonia. Spłukałem to American Way. A na zakończenie dnia zaparzyłem sobie dzbanek herbaty i zwinąłem się w kłębek na łóżku z półlitrowką szkockiej i kilkoma ostrymi wideokasetami, aby zleciał mi jakoś czas do chwili pójścia lulu. A potem spałem snem sprawiedliwego. Wszystko okej. Żadnych problemów. Cała historia z Seliną nie okazała się zatem przypadkiem, z którym nie potrafiłbym sobie poradzić. Skąd więc, kuma, biorą się te wszystkie zasoby energii, odwagi czy woli? Byłem naprawdę zdziwiony. Naprawdę pod wrażeniem. Dopiero następnego dnia zacząłem staczać się w dół.

Moje odzienie jest z glutaminianu sodu i heksachloroprenu. Żarcie składa się z poliestru, sztucznego jedwabiu i lureksu. Natomiast szampon, którym myję kudły, to siedlisko witamin. Czyżby witaminy zawierały substancje czyszczące? Mam taką nadzieję. Mój umysł napędzany jest mikroprocesorem o wielkości kwaraka; kosztuje to cudo dziesięć pensów i kieruje całą maszyną. Składałem się cały z... Tak, składałem się z gówna, jestem po prostu gównem.

W sobotę rano pomyślałem sobie, że przełamie wreszcie rutynę i wyruszę na jakąś szaleńczą eskapadę moim kochanym *fiasco*. Ossie prawdopodobnie zgodzi się, żeby załatwić tę sprawę polubownie. Ma przecież dosyć szmalu. Więc nie stanie mu się żadna krzywda, o ile nie będzie szumu... A taraz krawacik i blezerek, i hej, pomkniemy do pubów i winiarni w Chelsea, gdzie wyczekują cipki z prowincji. Nie udało się tak naprawdę dać czadu – rozumiecie, korki, policja, no i ta niemrawość wyremontowanego *fiasco*. Odwiedziłem za to kupę pubów i winiarni, wypełnionych wsiowymi szprychami – tak, tak, i tabunem wsiowych ogierów. Kiedy wracałem do domu, i gdy utknąłem w korku na Bayswater Road, jakaś półżywa osa wleciała ukosem przez okno i, trzepocząc się ospale, sfrunęła w dół, pod nogi. Można by dyskutować, kto był w gorszej formie, ja czy ten nieszczęsny owad. Pięść trzymałem na klaksonie, wydzierając się na tłuste cielsko turystycznego autobusu, blokującego skrzyżowanie. Rzuciłem się jak niezdarny słoń i osa mnie ukąsiła. Skręciłem w boczną uliczkę, przystanąłem i spuściłem spodnie. Na udzie miałem czerwoną plamkę. Wyglądała – i tak ją czułem – jak leciutkie oparzenie papierosem. Myślałem: czy tylko na to cię stać? Straciłeś już całą parę, ty biedna, rozregulowana istoto, wykarmiona na chrupkach i popcornie, na muzyce pop, samochodowych spalinach i kulturze rynsztoka. Gdy zapinałem portki, na chodniku podskakiwał mechanicznie gołąb, dziobiąc pracowicie czipsa. Pomyślcie – czipsa! Podobnie jak końskie muchy i inne boskie stworzenia, które reżyserują własne minifilmy (grając w nich główne role), ów gołąb żył na tempo. Nie ma się więc co dziwić, że preferował fast food. Życie miejskie rozciąga się na wszystkie istoty. Natomiast osa skonała. Było to jej ostatnie żądło. Muchy doznają zamroczenia, a pszczoły piją na umór. Pospolity rudzik wyłazi z gniazda z gotową chorobą wrzodową i nadmiarem cholesterolu. Psy zaś wykasują płuca i serducha od papierosowego dymu, narkotyków i używek. Przygarbione kwiaty w swych rozmokłych łózkach cierpią na bóle kręgosłupa i utratę włosów – i też trudno się im dziwić, przy całym tym stresie, z jakim muszą sobie radzić. Nawet w przypadku mikrobów, tych zarodków środkowych warstw powietrza, to wszystko nie działa najlepiej na ich system nerwowy.

Zapaliłem znów silnik i zacząłem skradać się z powrotem do domu bocznymi uliczkami. *Fiasco* czuje się na tym terenie lepiej, bo może popisać się zrywem. Lecz nagle zauważyłem jadący za mną samochód. Nie była to paranoja – naprawdę za mną jechał. Błyskał światłami, trąbił jak wariat i tak w ogóle czerpał w pełni z całego repertuaru przekleństw i znaków palcami. Docisnąłem pedał do dechy i przeskoczyłem ze dwie przecznice na pełnym gazie. Musiałem już lecieć na maksie, gdy ów samochód przestał mnie wreszcie śledzić: po prostu mnie wyprzedził.

– Dzień dobry. Proszę wyjść z samochodu.

Psy, te pierdolone psy.

– Oczywiście.

Wygramoliłem się z *fiasco*. Cały wkurwiony, niechcący się potknąłem i rymsnąłem przy krawężniku na mordę. Podniosłem się jednak w trymiga, otrzepując się i promieniejąc pewnością siebie.

– Piliśmy dziś co nieco?

Na taki obrót sprawy byłem, rzecz jasna, przygotowany. Żaden, ale to żaden problem. Przez lata ułożyłem sobie w głowie idealną na to pytanie odpowiedź, więc poddałem się psom z ochotą – ich psim obmacywaniom.

– No, zaraz, niech no się zastanowię – mówię dźwięcznym głosem. – Wypiłem lampkę szampana z winkiem z gruszek i sokiem z czarnych porzeczek tuż przed samym obiadem, no i tak, jeszcze szklaneczkę porteru do baraniej pieczeni.

To dobra zagrywka, sami powiedzcie. To nie ten żaloszny numer z „tylko dwoma kieliszkami wina”. Bo, jak widzicie, cały pic polega na tym, że przyznaję się radośnie do kilku niewinnych, kobiecych łyčzków, odciągając jednocześnie władzę od zamiaru poddania mnie testom. To naprawdę nie najgorsza sztuczka, sami przyznacie.

– Przepraszamy, pan szanowny wybaczy – rzecze na to gliniarz. – Hej, Steve, przyznasz, że jak na trzecią po południu, to nie jest wcale źle...

Zirytowała mnie ta głupia reakcja, potknąłem się więc znowu i miałem nieco problemu, żeby pozbierać stopy.

– Czy byłby pan taki łaskaw udać się z nami na komisariat i spróbować raz jeszcze wyłuszczyć tę interesującą kwestię? Jedziemy, Steve. Trafiliśmy chyba na trupa.

Nie biorę odpowiedzialności za większość moich myśli. Nie pochodzą wcale ode mnie. Ich źródłem są ci kloszardzi, ci dzicy lokatorzy, którzy zagnieździli się w mojej głowie, te typy, które przełazą przeze mnie niczym znaturalizowane, wyemancypowane gryzonie (paszporty i papiery w porządku), niczym uszlachcone szczury, co to machają łapą, wołając „cześć, stary”, a ja muszę czekać, nie zgłaszając żadnych obiekcji, podczas gdy one, te stwory, szykują sobie kawkę lub okupują załogą szarcz. Nic na to nie mogę poradzić. Miejsce, w którym mi przyszło się gnieździć, to dwupokojowe mieszkanko bez żadnego hallu czy korytarza, studenckie gniazdko pełne książek, których nie jestem w stanie czytać. Tutejsi ludzie – i ja pośród nich, nie lepszy i nie gorszy, całkowicie im równy w bezsile – jesteśmy wszyscy jak chore nietoperze czy wyliniałe małpy, w odlotowych hippisowskich portkach-dzwonach i wypłowiałych T-shirtach z trzema

guziczkami pod gardłem. I nic nie mogę w tej sprawie poradzić, w przypadku tych dziwnych, bliżej mi nie znanych żyjątek.

Rozumiecie, w ciągu kilku ostatnich dni (jestem bardzo z tej myśli niezadowolony i żałuję teraz, że nie poświęciłem jej więcej uwagi, nie dałem jej pooddychać), z coraz większą trudnością (i niechęcią) przychodzi mi pogodzić się z faktem, że usta wszystkich kobiet, w tym czy innym momencie, odgrywały rolę gospodarza dla męskiego... Tak, tak, wszystkie bez wyjątku: co do ostatnich, co do ostatniej... Nawet uroczyste staruszki, świątobliwe babunie czy pokręcone reumatyzmem zabytki czające się gdzieś w rogu sali niczym rezydująca w pubie papuga – wszystkie już to robiły, a niech je piorun trzaśnie! Robiły to – albo wkrótce będą... To znaczy, za dziesięć lat, za dwadzieścia, wszystkie będą to miały za sobą, każda bez wyjątku babka. Siostrzyczki, mamuśki, babunie: szanowne moje panie, co wy takiego robicie? No, no, ładnie się popisałyście...

Nie mówię, że to mnie szkodzi – po prostu sprawia mi zawód. W moich wyrzutach nie ma zresztą złości – jedynie troska i smutek, najszczęśliwy żal. Wyobraźcie sobie, proszę, moją okrągłą gębusię, lśniącą jak koralik, i moje pełne zatroskania zmarszczki. Mój grymas troski i bólu, moje bolesne wzdrygnięcia. Wszystko to wam przedstawiam, ukazuję czarno na białym. Pewna liczba z was, dziewczątka, już mi ten numer odstawiała. Dziękuję. Sprawiał mi prawdziwą przyjemność – byłem wdzięczny, wzruszony. Dziękuję, raz jeszcze dziękuję. Naprawdę. Ale co wy robicie? Co źeście dobrego zrobiły? Dziewczyny, bójcie się Boga!

Lecz z drugiej strony pomyślcie tylko, co to ludzkie usta muszą ciągle znosić! Staram się spojrzeć na sprawę z waszego punktu widzenia. Wprost niewyobrażalne, jakie góry żarła z Trzeciego Świata siekane są i mielone przez delikatny mechanizm tego niepozornego narządu – pomyślcie o tych bezkresnych pampasach bydła, o tych niezmiernych głębinach żyjącego morza, o tych horyzontach ziemniaczanych pól, o tych połaciach warzyw i zielsk – a łączy się to wszystko z nieprzerwanym strumieniem syntetycznego śmiecia z pasów transmisyjnych niosących całe tony wallysów i blastburgerów, do czego dodajemy jeszcze te bezdenne kadzie dodatków smakowych i barwników, oraz, rzecz jasna, wszystkie te pety i trawki, te niezliczone słomki i termometry, te dentystyczne wiertła i chirurgiczne narzędzia, te najrozmaitsze lekarstwa i narkotyki; dodajmy te niewinne palce, no i te wszystkie języki, te wibratory i rurki... Czy to naprawdę właściwy sposób, czy tak właśnie powinniśmy traktować nasze biedne usta? A więc, być może, w porównaniu z tym wszystkim, po całej tej feerii, po tych migotliwych kreskówkach barwników, tekstur i uderzeń, zwyczajny kutas faceta nie jest chyba czymś aż tak tragicznym.

A niech to diabli! Przecież niedługo większość facetów też będzie już to miała za sobą i wtedy wszyscy popłyniemy na tej samej łodzi, wy, dziewczyny, i my, faceci. Przypuszczam nawet, że może i ja zabiorę się do tego któregoś z tych dni – bo trudno mi byłoby taki zamiar zarzucić, gdy w głowie nocują sobie wszystkie perwersyjne myśli, ci wszyscy nieproszeni goście. Trzymając na parapecie kartoniki z mlekiem, a na podłodze zawilgocone podwójne materace, czują się już w mojej głowie całkiem zadomowione, z każdym dniem coraz bardziej pewnie. Z początku były dość nerwowe, to prawda, lecz z drugiej strony nikt nie próbował ich stąd przepłoszyć, a poza tym przyzwyczajone są do takiej niepewności, przyzwyczajone są do życia na dziko. W tym wszystkim jest jakaś historyczna konieczność. A zarazem konieczność historyczna. W swoim czasie wszystkie usta mężczyzn otworzą gościnnie wrota dla męskich kutasów. Zrobimy to pewnego dnia, choć kto jak kto, ale my to już na pewno powinniśmy wiedzieć lepiej. Lecz numer będzie przedni.

Łażę teraz więcej po ulicach. Fiasco wciąż jeszcze stoi w areszcie. Wciąż mam zamiar wybrać się do panów policjantów i wydostać moje dziecko z kicia. Lecz, co najważniejsze, nie mogę pozwolić, żeby robiono ze mnie wała. Nie mogę. Domyślcie się tylko, jak długo Ossie i Selina uprawiali ten swój procederek? Przez dwa calutkie lata. Zabawne, co? Śmieszne? Śmiałem się do rozpuku. Zaś co do psów, to trzeba im przyznać, że obesli się ze mną łagodnie. Mieli pewne wątpliwości, czy moje *fiasco* może być w ogóle zaklasyfikowane jako pojazd w ruchu, co zadziało na moją korzyść. Być może uda mi się wymigać jako pijany naprawiający swój pojazd. Fiasco wcale nie jest aż takie szybkie, jak mi się wydawało. Ossie rznął Seline tak długo jak ja – a nawet jeszcze dłużej, jeżeli dodamy parę ostatnich tygodni.

Z początku wzajemnie się polubili, nic więcej, ale potem był już czysty seks po ich wspólnej wyprawie do Stratfordu. To *fiasco* jest naprawdę powolne; nigdy bym nie przypuszczał. Rzecz jasna, nie zgodziłem się pojechać na komisariat, lecz zażądałem, bo miałem takie prawo, żeby psy sprowadziły balonik. Siedziałem na chodniku ćmiąc pety. Spróbowałem jeszcze innej sztuczki: otóż bierze się małą monetę, najlepiej półpensówkę, i obraca się nią w ustach niczym pastylką na ból gardła. Balonik wtedy głupieje. Miałem pięćdziesiąt pensów – i przyłapał mnie jeden z psów. Gdy brałem głęboki oddech, żeby wykazać swoją niewinność, moneta utknęła mi w gardle. Zanim inni glinarze przywieźli dla mnie balonik, zdążyłem wykaśłać płuca: gęba mi poczerwieniała. Kiedy wreszcie dmuchnąłem, prawie że uniosło mnie w górę, jak gdyby to był balon z helem. Ossie musi być świrem w wyrku, tak mi się przynajmniej zdaje. Wyglądam przy nim jak pan Norman – Normalny. Ona też już go za bardzo

nie lubi, sama mi to mówiła, lecz z drugiej strony ma niewiarygodną wprost kupę szmalu. Ja z kolei nie nawilżyłem swojego szmalu od pięciu chyba tygodni. Tak jestem przeżarty i przytruty wódą, że nawet nie wychodzi mi trzepanko. Nawet moje trzepanka to żart. Co to za życie? Co to za życie żartownisia! Muszę jednak uważnie spojrzeć prawdzie w oczy, muszę się z czymś pogodzić: jakkolwiek bolesna zdawać się może ta konstatacja, to muszę pogodzić się z faktem, że nie jestem alkoholikiem. Bo gdybym był, to miałbym chłodną, zrównoważoną naturę pijaka. A nie mam. Gdy dotarła do mnie ta prawda, wyszedłem, żeby utopić swe smutki. Lecz nie mogę tankować bez końca niczym prawdziwy pijak; potrafią to tylko pijacy. To jedyne typasy, które to zniosą. Tylko alkoholika stać na taki wyczyn.

Więc chodzę teraz więcej po ulicach. Bezrobocie to prawdziwy problem, trzeba to przyznać. A chcę wam coś powiedzieć: praca to także problem. Mój wskaźnik na ichnim przyrządzie to 339. Skontaktowałem się z adwokatem, który specjalizuje się w tej dziedzinie. Bronił już 240. I 245. Ba, nawet i 250. Lecz 339? Jeszcze nigdy. Mimo wszystko, podejmie się jednak obrony, jeśli tylko dam mu tyle forsy, ile zażąda. Czy wiecie, jak moja mała Selinka sfinansowała swoje przedsięwzięcie? Nie korzystała wcale z mojej forsy ani też z forsy Ossiego. Ta dziewczyna niewzruszonych moralnych zasad zarobiła harując jak wół w butiku Helli. Tyle że butik Helli to nie jest taki zwyczajny sklepik z ciuchami; to jednocześnie sex shop. Selina przysięga przed Bogiem, że jedynie stała przy ladzie, prezentując hiszpańskie muchy, gumowe majtki bez krocza i plastikowe dziewczyny – sprzedawczynie wibratorów, pakowaczka kauczukowych kutasów, nic więcej. Zaprzecza z najwyższym wprost oburzeniem, że miała cokolwiek wspólnego z jakimś tam masażem na zalepczu. Śmiem wątpić w jej słowa, skoro adwokaci biorą, ile biorą. A kto by się zresztą przejmował. Na ulicach jest pełno ruchu, lecz prawie nikt nie idzie tam, gdzie kieruje go świadomy zamiar czy wybór, niezależny od finansowych motywów. Tylko ludzie z forszą mogą sobie na to pozwolić. Za kierownicami zaparkowanych culpritów czy alibi siedzą podekscytowani mężczyźni, trzymając na kolanach faktury i arkusze zamówień. Kobiety zapyłają sklepy... Teraz, gdy nie muszę już chodzić codziennie do pracy... ale dlaczego robią to inni? Kto im, do licha, każe? Dlaczego mnie nie pytają o zdanie? Oddajecie beztrudnie swe ranki, a potem wracacie, z obolałymi plecami, do dziennego domu po swój popołudniowy oddech. Dosyć! Wystarczy! Spróbujcie się zorganizować! Chromolcie swoje fabryki! Kiedy codziennie pędzicie do pracy, to przecież nie jest życie! A jednak musi to być wielka ulga. Żyć naprawdę, to dopiero harówka, to zapieprz od dziewiętej do piątej – te codzienne godzinki w fabryce czy biurze. Więc żyć naprawdę – ja właśnie

to robię i powiem wam, że jestem już wykończony. Bycie trampem okazuje się ciężkim zadaniem. Jedynie tramp zdaje się do tego dorastać. Jedynie on może sobie z tym poradzić. Wspomagam szczegółowe gryplany zdobywania forsy – zrób to, zrób tamto, żeby złović więcej. Forsa trzyma mnie pod pantoflem; ba, żeby tylko mnie, podobnie postępuje sobie z samą Ameryką, z samą Wielką Rosją. Wszyscy jesteśmy deptani, popychani, rzucani o ścianę i obszczywani przez pieprzoną forszę. Gdyby ziemia zaczęła się jutro obracać w odwrotnym kierunku, gdyby nagle rozprysła się na drobne kawałki, poszybowała gdzieś w niebyt, popełniła samobójstwo, to będziemy mieli wszyscy gotowe nasze pożegnalne listy, pisane tuż przed samobójstwem – nasze listy lęku i bólu, nasze listy dolorosy. Albowiem forsa to wolność. To prawda. Ale wolność to forsa. Potrzeba wciąż więcej forsy. Powinniśmy ją tarmosić, tak jak pies poczyna sobie ze szczurem. Grrrr!

– Co by się stało, gdybyś powiedział Martinie? – zapytała Selina.

Sam się zastanawiam.

– Mógłbyś na tym skorzystać – ciągnęła. – Bo przecież ciebie lubi. Ossie mi powiedział.

No proszę, a jak ta jej buziulka, ta jej kochana buziulka? Cześć, kotku. Jej buziulka jest blada, pełna uwagi i troski.

Chodzę teraz więcej po ulicach. I... Dziś rano, w ostrym słońcu, ujrzałem bladego chłopca, trzy albo cztery lata, czy ile tam latek miewają teraz dzieciaki, pchanego przez swojego tatusia w wózku bez ochronnego daszka. Chłopiec miał grube okulary, w grubych czarnych oprawkach. Tak jak i wózek, oprawki były tanie i tandetne. Nie trzymały się dobrze, zsuwały się z bladych uszu chłopca, i chwycił co chwila za ten przedmiot na swojej twarzy, spoglądając w górę, spojierając błagalnie na ojca – trzydziestka z hakiem, długowłosego i chudego. Włosy miał rzadkie i cienkie; ubrany był w T-shirt i przykrótkawe džinsy. Twarz dziecka miała ten łagodny, cierpiący wyraz, jaki widuje się niekiedy pośród bladych i małych, czy tych, co słabo widzą: ukazywał swoje bielutkie ząbki, a wzrok miał skupiony i napięty, pełen oczekiwania, wyrażający prośbę o coś, do czego miał prawo. Ojciec szybko poprawił, co trzeba – i to wcale nie z irytacją. Dziecko uniosło bladą rączkę i paluszkami lekko podtrzymywało ciemniejszą, sprawniejszą rękę... Wziąłem to sobie bardzo do serca, te oczy tak szybko postarzałe i złączone z bladą, cierpliwą, wyrozumiałą istotą.

– Płakałeś – powiedziałem.

– No, może trochę. Tyle, co nic.

– Płakałeś, ty kłamco. Widziałem.

– Otarłem jakąś zbląkaną łzę, być może. Lecz ty, ty byłeś za to nieprawdopodobny. Rzucałeś tylko przekleństwa.

– To cholernie cudowna dziewczyna. Naprawdę – dodałem ochryple. – Ta księżna Di, jak ona kocha poddanych! Zrobi dla nas wszystko, stary, wszystko. Po prostu wszystko.

...Nie! Tego już nie zniosę! Znów zamierza łać ślozy!

– Nie... wcale nie.

Ostrożnie dopełnił mi szklankę. Ubiegłej nocy przyprowadziłem z ulicy panienkę. I nic z nią nie robiłem. Rozmawialiśmy. Znów miałem napad płaczu. Dałem jej pięćdziesiątkę. Za to dzień wcześniej ruszyłem na nocne szaleństwo. Gdy wytoczyłem się o jedenastej z „Pizzolandu”, aleja Ladbroke Grove normalnie kipiała. W ormiańskim sklepiku zdobyłem butelkę rumu i ociężale ruszyłem do akcji. Więcej już nie pamiętam: jakieś rozbite szkło, zdemolowane sklepowe wystawy, szczurze harce kradnących eksponaty łupieżców, szal rozochoconych szczeniaków. Następnego dnia obudziłem się z plecami jak karbowana blacha, wypalony, jak gdyby skurczony. W korytarzu, przed drzwiami mieszkania, natknąłem się na dwa telewizory – czarno-białe, szmelc po piętnaście funtów. Nie tak łatwo było się ich pozbyć. Latałem w tę i wewtę po schodach, potykając się na ulicy w poszukiwaniu miejsca, gdzie można by je wystawić. W końcu wepchnąłem je w powyginane pojemniki na śmieci. Cała ta heca kurewsko mi była potrzebna! Te gwałty, to rabowanie sklepów – nie wiem, kto kieruje reklamą tych niby atrakcyjnych zajęć, bo owa reklama wydaje się znacznie na wyrost. Tak, rabunek to niekiedy prawdziwe oszustwo. Tak czy owak, ciężka to praca; jak zresztą wszystko.

– Hej – mówię. – Przeszedłem wzdłuż i wszerz całą Charring Cross, a w żadnej księgarni nie było twoich książek.

– Wiem, wiem.

– Tylko jeden sprzedawca coś o tobie słyszał, i powiedział, że jesteś psychiczny.

– Czy wiesz, jak staram się tłumaczyć ponuraćwo literatury współczesnej? – zapytał Martin.

– Dzisiaj, podobnie jak wszyscy, pisarze radzić sobie muszą bez służby. Sami muszą robić pranie, sprzątać, i tak dalej. Więc nic dziwnego, że takie z nich ponuraki. I nic dziwnego, że tak są wyczerpani.

– Powinieneś przekręcić do tych pieprzonych wydawców, stary. Uświadomić im sytuację.

– Tak, tak, na pewno.

Układ ust to element, który w największym stopniu wpływa na wyraz twarzy – jak

gdyby ujrzeć tę twarz w jakimś starym, krzywym lustrze, jak gdyby dostrzec na niej skazy i plamki, które są plamkami albo pyłkiem na szkle. Nie mamy wątpliwości, do którego stulecia należy nasz Martin Amis. Ma małe, czarne lago, typ 666. W nocy duże i szybkie przedmioty wydają się szczególnie ciemne. Najbardziej czarna rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem, to oszalały autobus o godzinie trzeciej nad ranem, pędzący po Westway całkowicie bez świateł i bez jakiegokolwiek ludzkiej istoty. Czytałem o tym w „The Morning Line”. Komuś odbiła szajba. Powstało mnóstwo szkód. Znacie te sny z ucieczką, gdy nie możecie krzyknąć czy biec. Mam takie sny co noc. I mogę biec tak szybko i krzyknąć tak głośno, jak tylko mi pasuje. Szybkość i głośność otrzymuję w pełnym wymiarze; i wciąż jeszcze uciekam, wciąż jeszcze krzyczę... Wstyd, to taka jedna cipeczka, co obciągnęła ci wtedy w kłopot. Uch, to bezwstydną żopa. Uważaj, uważaj, bo zaraz cię złapie za jaja! Jakże często lęk pierdoli wstyd, żeby mieć czym się zająć. I wtedy się nie boi. A panna zaś wstyd ma gdzieś. Wczoraj po południu rymnąłem włączając do wanny i stłukłem pół litra szkockiej. Przywlokłem później z ulicy kurewkę. I nic. Nie mogła być bardziej miła. A czy wiecie dlaczego? Bo myślała, że może zechce ją zamordować, oto dlaczego. Dziś rano, gdy wreszcie przerwałem takie niefortunne, wykręcające szyję trzepanko, zadzwonił raptem telefon. Pisemko „Cleopatra” – proponowano mi, żebym został kawalerem miesiąca. Lecz sukces wcale mnie nie odmienił. Jestem tym, kim byłem zawsze.

– To wszystko będzie zgrabnie dopięte, proszę się nie martwić. Zabezpieczone przed partyzantką głupców. Doris Arthur usiłowała dać się panu we znaki. To ona, nie ja. Z pana kasowymi gwiazdami pójdzie teraz wszystko jak z płatka. No, proszę, niechże się pan rozchmurzy.

Po południu poszedłem na Queensway – na przemodelowanie, a może nawet przemyślenie kudłów. Piętnaście funtów za dotyk kobiecej rączki. Bo o to mi przecież chodziło. Cipeczka w zgrabnym fartuszkach dotknęła moich piórek i durnawym głosem powiedziała: „Przerzedza się panu”. „Wszystkim się przerzedza” – ja na to. Wszystkim. Wszyscy wycofujemy się, karlejemy, niezależnie od tego, co robimy. Uśmiechając się radośnie, a może skomląc, a może obgryzając paznokcie, płowiejemy wszyscy, kurczymy się, bledniemy. Życie to przecież trwanie, i tracimy więc wszyscy, tracimy matki i ojców, tracimy młodość, wygląd, włosy, zęby, przyjaciół, kochanki i kochanków, formę, rację bytu, życie. Tracimy, tracimy, tracimy. Zabierzcie więc sobie to życie. Jest za ciężkie, za trudne. Nie umiemy sobie z nim poradzić. Dajcie nam coś innego. A życie odstawcie na półkę. Zdejmijcie je z wystawy. To pierdolone życie jest po prostu kurewsko trudne. Po prostu nas przerasta.

– Scenariusz. Kiedy, Kiedy?

Gdybyśmy mogli rozścielić wszędzie pieniądze, działałyby jak amortyzująca warstwa. Świat mógłby być bardziej miękki. Lecz życie – życie jest takie twarde. Tak, no tak, no cóż. Oj, mamó, mamusiu, mamciu – nie uprzedziłaś mnie o tym, oj nie. Nikt mnie o tym nie uprzedził. A to życie – to życie jest...

– Spoko – powiedział Martin – spokojnie, bez nerwów. Proszę. Masz tu ten twój scenariusz. Weź go sobie, zabierz. I wytrzyj oczy, synku. Czekają na ciebie łakocie. Zobaczysz. Wszystko skończy się dobrze.

W tej chwili robię coś, na co miliony ludzi na całej planecie miałyby ogromną wprost ochotę, do czego wzdychają z utęsknieniem, wręcz bólem, za co gotowi by oddać życie. Marzą o tym nawet Eskimosi. Szaleją na tym punkcie Pigmeje. I ty o tym marzyłeś, przyjacielu, możesz mi wierzyć na słowo. Ty też, aniołku, jeżeli w ogóle masz taką konstrukcję. Bo cały świat ma na to nieprzepartą chęć. I ja to właśnie robię. Muszę powiedzieć, że to naprawdę zadziwiające, jak szybko możesz odzyskać humor w Nowym Jorku. To nie jest właściwe miejsce dla jakiś smutasów, psujów, mokrych prześcieradeł, zmurszałych cipek i połamanych drągów. W Nowym Jorku gdy powie się „A”, to zaraz mówi się „B”. Tu nie ma dupeczek, co to najpierw rozdrażnią ci małego, a potem dają dyla. Tu nie spotkasz diabolic, modliszek, bab-podpuch. W Nowym Jorku nie wpuszcza się kutasów w maliny. Co to, to nie.

Właśnie robię dobrze samej Butch Beausoleil. Nie wierzycie? Ależ tak, to prawda! W dodatku obrabiam ją od tyłu. Macie przed oczami obrazek? Jest właśnie na czterech łapkach, trzymając się kurczowo oparcia skrzeczącego mosiężnego łóżka. Gdy spojrzę w dół, o tak, wciągając jednocześnie kałdun, mogę dojrzeć jej walentynkową kartę i ten tajemniczy, głęboki parów, niczym wewnątrz rozciętego jabłka. Czy teraz mi wierzycie? I zaraz, poczekajcie: oto nadchodzi jej dłoń, głaszcząc wypięty zadek, a dziesięć docłów manikiuru błyszczący na każdym palcu. No, no, wydaje się... Jezu. Selina nieczęsto oferuje takie numerki. I mogę się założyć, że nie robi tego na pierwszej randce. Lecz cóż, prawdziwi artyści wyrka adorują każdy swój milimetr. Ja też jestem teraz na kolanach, i idę, powiedziałbym, na całego. Z ręką na sercu wam powiem, że kamery wcale nie kłamią. Widziałem już kiedyś Butch gołą, częściowo gołą na ekranie, a całkowicie, ale to całkowicie naga – nagą frontalnie – w jednym z tych przebojowych brukowców, co to prezentują plotki i ostre niedyskrecje z życia wyższych sfer, lecz i to nie przygotowało mnie zupełnie na wrażenie, jakie zrobiła na mnie cała ta kosztowna jakość jej skóry czy owa barwa jej cery, co też nieźle musiało kosztować, nie wspominam, rzecz jasna, o jej wyrkowym kunszcie, jakże dobitnie tu wyeksponowanym. Wszystko w pierwszym

gatunku, a na dodatek ona ma jeszcze... Chwileczkę, bo właśnie się odwraca. Tak mi się przynajmniej zdaje. Co? O tak. Więc zaczynamy od nowa. Więc, jak mówiłem, tkwiąc już na niej dobre dwadzieścia minut, lecz wciąż mam mnóstwo pary, tak mi się w każdym razie zdaje, i wciąż podnieca mnie – a nawet przeraża – ta moja pełnia formy, jaką chyba wykazuję. Cholernie strzyka mi w plecach, to prawda, a prawa noga ciąży jak martwa, lecz ręczę wam, że nie ustąpię pola, póki starczy mi sił. Co za niespodzianka, co to za frajda, co za niesamowity bonus. Spożyliśmy właśnie obiadek w Village, a potem w taksówce mi mówi... Chwilkę. Chwilkę. Momencik. Wytrzymajcie tę głupią minutkę. Bo ona chce, chce – tak! – żeby jej – a w każdym razie próbuje... Tak się w każdym razie zdaje. Jezusie, to już naprawdę nowość. To całkiem nowa koncepcja. Ach, już widzę: jedną nogę trzyma nieruchomo, podczas gdy ciało przerzuca w poprzek, i... A niech to. Zaraz, poczekajcie! Tak, tak, rozumiem. Cały czas jestem z wami. I wtedy, i wtedy, no tak, jak tylko przekroczyliśmy próg jej mieszkania, wyciągnęła zaraz z zamrażarki butelkę szampana, podała mi działkę koki w sam raz dla ćpającego słonia i wciągnęła mnie, wesola trzpiotka, za rękę do sypialni, tego jej gabinetu luster. Coś tu chyba nie gra, myślałem. Musiała mnie chyba pomylić z jakimś innym facetem. Lecz nagle zrobiła się goła i zaczęła mnie poszarpywać za klamerkę paska od bardzo zdziwionych portów. Wtedy wreszcie zmądrzałem i objąłem pełne dowództwo. Zapomnij, Butch, tego nie da się zrobić. Nikt tego nie robi, nawet ty. Dokonuje teraz jakby próby, żeby wygiąć głowę zza... No cóż, będę skurwysynem. Cóż za oryginalność. Co za opanowanie. Co za wyczucie rytmu. I co za talent. Musi to także boleć – a może dużo ćwiczy. Poszukuję w tym układzie wady. To znaczy – nie może to być tak za darmo, prawda? Nie robi tego chyba dla zdrowia... A właściwie to chyba tak. Pewnie robi to właśnie dlatego. Bo tutaj, wiecie, zawsze szukają wesołych sposobów, żeby utrzymać się w formie, a Butch z pewnością ma jakiś aerobiczny numerek na względzie, z tymi... Nie, teraz chyba żartuje. Kto, ja? O nie, przepraszam, to boli. Auć! Jezusie, moja noga... Przynajmniej pozwól mi... o, już lepiej. Troszeczkę lepiej, naprawdę całkiem do zniesienia. Boże, to niewąska harówka. Straciłem oddech i serce bije mi jak tam-tam: nie czułem się tak wypompowany od czasu owej gry w tenisa z Fieldingiem. A nawet wtedy nikt mnie nie łąpał za jaja, żeby wy badać siłę uchwytu. Coraz to przekraczam jakąś barierę bólu. Coraz już bliżej końca... Z każdym oddechem czuję ogień w płucach... Nareszcie: zaczęła wydawać te odgłosy, jakie uwielbiają wystrzałowe cipki. Nie jestem właściwie pewien, co też mają te dźwięki oznaczać, ale Butch wydawała się sposobiec na jakąś apokaliptyczną pulę, i tak, też jej w tym szaleńczym wyścigu towarzyszę, sapiąc, podskakując na wybojach, trzymając

się kurczowo w obawie o życie. Teraz albo nigdy. O czym powinienem myśleć, żeby łatwiej wyskoczyć z pociągu? Będę myśleć o Butch Beausoleil. To naprawdę skutkuje.

...Seks jest bowiem jak śmierć, jak mawiają poeci. Mawiają tak również doktorzy, w moim przynajmniej przypadku. A punkt szczytowy, jak się okazuje, to etap zaledwie przejściowy: połowa drogi całej tej operacji – w pojęciu Butch Beausoleil. Człowieku – niektóre dziewczyny sprawiają, że czujesz się jak prawdziwa cipka. Aha, więc na tym polega fellatio, myślałem. Te wszystkie poprzednie okazje – nie, to nie było fellatio, tak naprawdę. Jezusie, pewnie tak właśnie czuje się moje *fiasco*, kiedy je wstawiam do myjni. Bo ona wcale nie obciąża: ona splukuje. Jakby zlewała szlauchem... Brzmi to nie najgorzej, co, przyjacielu? Chłopie, założę się, że sobie myślisz: żebym i ja mógł skosztować... Troszeczkę, choćby troszeczkę... Lecz czy miałbyś ochotę na całość? Jakies pół godziny później Butch zamruczała:

– John? Czy mogę coś powiedzieć?

– Tak – mruknąłem niepewnie, wyprostowując się nieco, żeby ją lepiej zobaczyć zza mojego brzucha. Więc oto ona, jakby mówiła wprost do mikrofonu.

– Zgadzam się z Łomem Guylandem, John. Potrzebujemy wyrazistych scen. Myślę, że wizualnie ten kontrast może być piękny. Bo trzeba tu jasno powiedzieć, że dziewczyna oddaje się staremu mężczyźnie z litości, a także z powodu swojego artystycznego zmysłu. Jest to bowiem akt artystycznej szczodrości, akt dawania. Mogłaby tak powiedzieć: „Jesteś już stary. A ja jestem młoda. Jesteś zużyty, wulgarny. Natomiast ja jestem świeża, przejrzysta – niczym poranek. Oddaję się tobie, staruchu. Oto mój prezent młodości”.

– Boże...

– Przepraszam?

– Gdzie kłopot? – spytałem.

Najgorsze miało dopiero nastąpić. Lecz zanim opowiem wam o późniejszej kłótni, pozwólcie, że wpierym dowiedzieć się o kłótni poprzedniej. Coś mi mówi, że będę jeszcze musiał zaliczyć o wiele więcej rżniętek i bójek, zanim projekt filmu się spełni. Tymczasem żyję jak zwierzę: jedzenie i picie, wydalanie i żarcie, pierdolenie i walka – i to byłoby wszystko. To po prostu program przetrwania, survival. Lecz wcale mi nie wystarcza.

Obiad zjadłem z Butch. Coś zjedliśmy, coś wypiliśmy. Usiadłem naprzeciw, ponury, milczący. Mdliło mnie i ogólnie rzecz biorąc nie byłem w najlepszej formie. Kiepski wygląd piórek? Owszem. Panika dentystryczna? Pełna aktywność. Lęk przed kłapą serducha? Ditto. W powietrzu nic nie czułem. Wylałem jej na kolana brandy. Kląłem

na kelnerów, a oni odpłacili mi się bezczelnością i zawyżeniem rachunku. Cicho, lecz nieodwołalnie, pierdziałem w taksówce w drodze do jej etażowego mieszkanca. Czulem, jak mój język zamienia się w podsmażoną w mikrofalówce kiełbasę. Mijając portiera puszczającego służalcze i lubieżne kwasy, zauważyłem w lustrze w hallu, że rozwalił mi się suwak od spodni i moje różowawe gacie o klasycznym rozporoku na kształt odwróconej litery Y, te moje pocziwe Y-fronty, wyzierały posepnie przez szparę... Mam pewną teorię. To one decydują, nie my. Po prostu decydują dziewczyny. Decyzje już zapadły, o wszystko już zadbano. Te wieczory, kiedy pojawiaasz się z orchideą, kiedy to fundujesz rewię, a potem kolację za pół portfela, a one wysyłają te swoje sygnały oczami i ustami. Nic wam z tego nie przyjdzie, o ile wcześniej nie podjęły decyzji. Bo decydują wcześniej. Mają swe głębokie powody. Nie ma to z tobą zbyt wiele wspólnego. A potem, którejś nocy, gdy siedzisz coś tam mamrocząc, bekając i drapiąc się pod pachą – i rozmyślasz o forsie – dostajesz od razu wszystko.

Lecz coś się stało, wydarzyło się coś na ulicy, i może to było tym, co pchnęło Butch w moją stronę. Nie wiem. Cokolwiek mogło to być, nie byłem to na pewno ja... Zapłaciłem rachunek i obrotowe drzwi wypluły nas w oczekujące powietrze. Boże, to naprawdę mało poważne, ten pieprzony, porąbany ukrop. Mój tygodniowy kac dręczył mnie z podwójną intensywnością pulsowania krwi w czaszce, z pełnym efektem Dopplera, był właśnie z gatunku gotującej się krwi, co to wyżyma ci ślipia, gardło, żołądek. „Weźmiemy taksówkę?” – spytałem. Zacząłem z zapamiętaniem machać na przesuwaną się żółtą falę, straciłem równowagę i potoczyłem się ukośnie wprost w warcząca dupę jakiegoś air-conditionera, pompującego gorący, smrodliwy oddech w moją rozdziawioną gębę. Była to Ósma Ulica, tuż na zachód od Piątej Alei, iskrząca barwami sierpnia, pełna taksówek z faciami w kwiecistych hawajskich koszulkach przy kierownicy, ulica niczym tropikalna dżungla w pełnym blasku uroku i grozy. Samochody znieruchomiały na skrzyżowaniu. I nagle coś się stało, jak to zawsze może się wydarzyć w ogniu i wyziewach sierpniowego szczytu lata w Nowym Jorku.

Kilkanaście metrów dalej wyskoczył na jezdnię jakiś zerwany z więzi typas i chciał okładać łańcuchem zeszytniałe auta. Był wielkim białym dryblasem, ten łańcuchowy artysta, półnagi i z żółtym kucykiem. Ludzie wpatrywali się w niego – było to przedstawienie, happening, lecz jego zablokowana, pozbawiona warg twarz wyrzucała z siebie słowa wagi ostatecznej. Mogliśmy już wyczuć ciężkie brzęczenie łańcucha tnącego powietrze, a potem łoskot kuźni, gdy żelazo rąbie w ryje i łamię kręgosłupy tkwiących w miejscu aut, drżących i skowyczących jak katowane bestie, kulących się przed uderzeniami bata w przegrodzie stajni czy obory. Podeszliśmy

bliżej. Poprzez ponury warkot usłyszeliśmy ptasi świergot syren i podnieconą wrzawę. Dwóch pochyłonych gliniarzy leciało już ulicą. Stanęli naprzeciw świra, ściskając kikuty pistoletów. Artysta łańcucha nie ustępował, wymachując brzęczącymi ogniwiemi. Gliniarze niepewnie opuścili lufy. Też przymierzali się do tego lepkiego kontaktu, obliczając swe szanse przy użyciu pięści i pałek, niemal przykucając i licząc potencjalne ciosy. Rozumiem, myślałem: poczekają na pełny zamach, a potem, gdy łańcuch nabierze już rozpędu, hycną na pacjenta jednocześnie, przyduszając go do ziemi. Jak w kinie. Tak postępuje się z faciami dzierzącymi w grabach łańcuchy i to właśnie planowali zrobić. Lecz ten konkretny artysta po wymachiwał sobie co nieco, a następnie, w ślad za łańcuchem, wymachiwać zaczął kończynami, niczym bezładnie ciskający się insekt. Trzepoczący się owad o rozmazanych konturach! Wyglądał całkiem groźnie, ale te ciosy karateki wyglądały jak z telewizyjnego serialu i nie zdałyby się na wiele na ulicy. Tłum gapiów gęstniał i straciliśmy dogodny punkt obserwacji, a kiedy wreszcie dostaliśmy się do środka koła, było już po ostrzegawczym wystrzale, unosił się jeszcze dym, jeden z gliniarzy trzymał pistolet nad głową, a drugi (uzbrojony nadto w latarkę i krótkofalówkę) kręcił się nerwowo wokół pierwszego niczym kot z pęcherzem. Łańcuchowy artysta opadł w końcu na kolana, uniósł obie pięści na sztywniejących ramionach, opuścił głowę i, z twarzą nagle odmłodniałą, zachichotał z wyrazem winy. I to był koniec. Wszystko. Nic więcej na dziś.

– Nie bijcie go! – krzyknął ostro ktoś z tłumu, gdy gliniarze przygnietli faceta do lepkiej chodnikowej płyty.

– Nie bijcie go! – zawtórował jakiś wielgachny Nordyk stojący tuż obok, odziany w strój treningowy, istny cud natury, wyhodowany na pompkach i paszy z hormonów. Przyłączyli się zaraz inni ze swoją troską i radą, a rozdrażnieni kierowcy zaczęli się wydzierać ze swych rozklekotanych rzęchów. Starszawy gruby czarnuch w czerwonym fartuszkę wytoczył się z poczuciem misji na środek ulicy, żeby wykrzyzczyć swą wersję. Nowy Jork aż kipi od aktorów, producentów i twórczych konsultantów. Lecz gdy artystę łańcucha wepchnięto do policyjnego auta, gdy druga, migająca kogutem landara zatrzymała się obok, a jeden z gliniarzy wydobył tubę i – niczym asystent reżysera – zawołał: „W porządku, przedstawienie skończone. Proszę się rozejść. Już po wszystkim”. Tłum rozpieczęcił się znów po dżungli, a ja zostałem sam z Butch przyciskającą moją dłoń do piersi, pozostałem sam z Butch, która wypowiedziała te słowa:

– Zabierz mnie teraz do domu.

Gdzie byłem? No tak, w łazience Butch, w jej salonie odnowy. Salon ten wyglądał bardziej na botaniczne laboratorium albo na coś w rodzaju eksperymentalnej szklarni, tylko przez przypadek – a może przez zapomnienie – eksponując standardowe kosmetyczne rekwizyty. Przez przypadek wytarłem też ręce w jakąś gęstolistną roślinę i omalże nie odcedziłem się do wielkiej skrzyni z ziemią. Rośliny, ziemia, natura, życie – wszystko to w Nowym Jorku cenione dobra, gdzieś w górze, na pnączu, pod samym sufitem, dostrzegłem krzepką papugę łypiącą nienawistnymi ślipiami. Powietrze było słodkawe, nagrzane, bogate we wszelkie zapachy – i dobre chyba na wszystko oprócz skromnego oddychania. Zrobiłem, co trzeba było, i powróciłem do stref umiarkowanych.

Butch siedziała na łóżku oglądając film dla dorosłych – nieme hard-porno – na dużym ekranie rozpiętym na przeciwległej ścianie. Tłustawy bładz typas rypał opaloną blondynę na chybotliwym żelaznym łóżku. Kopia była dobrej jakości, ale wartości artystyczne nie wlatywały nazbyt wysoko – nieruchoma kamera, bez zmiennych ujęć, bez zbliżeń. Dość szybko zdałem sobie sprawę, że panienska na filmie to właśnie Butch, Butch Beausoleil. A jeszcze po chwili dotarło do mnie i to, że ten facet – tak, ten facet to John Self. Czyli ja, innymi słowy. Jak można oczekiwać, jak sami już przecież wiecie, Butch pasowała do roli. Jej przymknięte oczy i rzeźba odwróconej twarzy wskazywały na mile podłechtany zachwyty skierowaną ku niej kamerą: właśnie kamerą. Oszacowałem kąt i skierowałem wzrok na prawo. Ujrzałem oko kamery, oko kamery wideo; jej ślipia a la otwór termosy umocowano całkiem otwarcie na stoliku pod oknem. Para na ekranie zmieniała pozycje często i z wysiłkiem. Te wszystkie grymasy i pozy były, jak oceniłem, jedynie po to, żeby żeńska, czołowa rola wypadła jeszcze lepiej. Lecz była też rola męska, ten grubaśny aktor, statysta czy może kaskader, jego podziurawione plecy, podskakujący kałdun piwosza oraz obrzmiałe gardło – nie, nie chodzi tu wcale o ciało (ciała mamy wszyscy), bardziej o twarz. Ach, ta twarz! Ten wstyd i lęk przed jego obnażonymi dziąsłami, te grymasy starucha, to niesamowite, paskudne zaskoczenie... A teraz zaczęło się obciążanko i moja mordą naprawdę mogła przestraszyć... Dojrzała to nawet Butch.

– Nie sprawia ci to frajdy? – spytała. – Jesteś strasznie brzydki, John. I to mnie bardzo bierze, naprawdę, właśnie to. Działa na... nie, to już nudne. Teraz dam do przodu, a potem całą wstecz. Coś mi się zdaje, że ty tego chyba nie lubisz...

– W trakcie, lubię to w trakcie. Nie potem.

To samo dotyczy wszystkiego – z tego rodzaju rzeczy.

– To była właściwie zabawa. Nastawiona na transmisję bezpośrednią... i z opóźnieniem.

Film zwolnił tempo. Butch mówiła coś teraz bezgłośnie z ekranu, wskazując wzrokiem kamerę. Moja głowa wychyłała na moment zza brzucha, a potem opadła znowu. Co też mówiła Butch? Oto wizualny kontrast. Młodość i wiek dojrzały. Jestem przejrzysta i świeża jak poranek. Akt estetycznej hojności. Tak, tak, rozumiem.

– Hej, Butch. Ile masz lat?

– Dwadzieścia. Skończę dwadzieścia w styczniu.

– Jezu Chryste. To czemu nie jesteś w domu ze swoimi starymi?

– Nie cierpię matki, a ojciec już umarł.

– No dobra. Zetrzyj.

– Przepraszam?

– Taśmę. Skasuj taśmę. Zrób to.

– Nie, tego nie zrobisz, John. Bo widzisz, ja tylko raz ciupciam się z jedną osobą. Dlatego zachowuję pamiątkę.

– Zetrzyj to.

– Odpierdol się.

– Zrób to.

– To pierdol mnie.

I wtedy jej wlałem. Tak, dałem Butch wpierdol. Nic takiego strasznego – kilka pchnięć i szturchańców. Wcale nie robiłem tego z sercem, już nie – dawno straciłem ochotę na tego typu rozrywki. Ale patrzcie – nigdy bym nie powiedział: ona to po prostu lubi. Znam paru mężczyzn, którzy biją kobiety i mówią, że one to lubią. Za Boga nie mogłem pojąć, dlaczego próbują ten numer. Bo dla mnie zawsze było całkowicie i fenomenalnie jasne, że babki, które prałem, nie zdawały się za tym przepadać. Gdyby lubiły dostawać lanie, to po co w ogóle je lać? Wszystkie bardzo tego nie lubią, i zawsze potem trzeba niewiarygodnie dużo kwiatów, płaszczenia się i obietnic, że to już nigdy się nie powtórzy. Być może sprąłem oto niewłaściwy gatunek kobiety. Niektóre widać to lubią. Wydaje się, że każdy rodzaj ludzkiej działalności ma swoich fanów. Więc Butch to lubiła. Można to było poznać. A po czym? Kiedy zmasała już taśmę (założyłem jej pięknego półnelsona), powiedziała, że uwielbia, żeby ktoś nad nią dominował, i chciała na powrót wciągnąć mnie do wyra.

– Dobra, dobra – rzuciłem. – Jak będziesz teraz grzeczna, to może przyniosę ci mój worek na brudną bieliznę. A teraz pojmiij jedno. Nie chcę już więcej wysłuchiwać tych twoich bzdurnych pomysłów. Jesteś tylko aktorką. Więc przymknij gębusię i rób to, co każe ci twój Papcio Niedźwiadek.

– Okej. Włóż do łóżka, paskudny brzydalu.

Lecz kazałem jej się ubrać, a potem zabrałem do kina. A potem jeszcze na pizzę i na długi wyj gawor. Pomiędzy nami już wszystko minęło – i mówiłem jej wyraźnie. Nie chciałem, żeby nasze osobiste relacje zagroziły w jakiś sposób naszym relacjom roboczym – to znaczy, żeby wpłynęły negatywnie na artystyczny poziom naszej pracy.

Fielding Goodney poprawił mankiety koszuli i sączył spokojnie wino. Roześmiał się niespodziewanie, ukazując masywne zęby trzonowe. Zwyczajowe obrusy i kelnerzy w smokingach, jadłospisy ozdobione frędzelkami i zakąski po dwadzieścia dolców, grube szychy półświatka i ich milczące, odszykowane szprychy – normalka. Dokonałem wyboru: jedyne danie, którego nazwę potrafiłem wymówić. I tak góruję nad Spunkiem, który uważa, że halibut rymuje się z Malibu. Jeżeli czas to pieniądz, to fast food oszczędza jedno i drugie. Lubię nawet te wystrzałowe miejsca w wystrzałowym Nowym Jorku, chociaż mój kałdun woli swój fastfoodowy junk, pocziwe hamburgerowe żarło. Ale wkrótce pošlę cały ten fast food w diabły i zacznę żyć na poziomie.

– Co porabiałeś z Butch? – zapytał mnie Fielding.

– Palnąłem jej małe kazanko. – Zachowałem, widzicie, dyskrecję. Właściwie to miałem takie odczucie, że Fielding też tam był, że nas podglądał. „Fielding! – powiedziała Butch w pewnej chwili. – Niezły z niego świr!” Tymczasem, z pewnych powodów, wolałem więcej nie wiedzieć. A zatem znowu dyskrecja, tak mi się przynajmniej zdaje.

– Tak czy owak, cokolwiek z nią robiłeś, rób to stary dalej. Gdy ciebie nie było, sprawiała nam trochę kłopotu. Inni zresztą także. Nie wiem, jak to robisz, Slick, ale jednak to robisz. Lorne i Caduta też na twoim punkcie szaleją. Nawet dla Spunka jesteś chłopak w pytę.

Jak to zrobiłem? Nie wiem. Gdyż film to łut szczęścia i anarchia. A jednak stanąłem oto u progu czegoś nowego. Wreszcie czułem się pewnie i całkiem trzeźwo.

– To ten nowy scenariusz.

– No, no, to kawał tekstu. A ten facet? Na pewno jest pisarzem? A może działa w reklamie, psychoterapii czy voodoo?

– Że jak?

Fielding wzruszył ramionami.

– Manipulacja. Wszystko, co zrobił, to wziął scenariusz Doris i nalał w tryby syropu. To jeden wielki lukier.

– W tym cały urok.

Prawda, Martin zachował przecież szkic scenariusza Doris. Właściwie, poza paroma strukturalnymi zmianami, zachował prawie wszystko. Postaci są tak samo

trujące i złośliwe, a fabuła równie obrzydliwa i kompromitująca. Oparł jednak całą rzecz na rotacji długich monologów, w których każda z czterech gwiazd jest wylewnie chwalona, usprawiedliwiana i podbudowywana przez pozostałe trzy. Tak więc po tym, jak Lorne zostaje wyśmiany w małżeńskiej sypialni, wciąż płodna, choć zmęczona dziećmi Caduta wygłasza kwaśny monolog na temat niemożności zaspokojenia tego tak bezustannie chętnego koguta, jakim jest jej mąż. Albo znowu: Butch tak brzydko spostonowana przez Spunka, mówi Caducie, że specjalnie sprowokowała tego nieobliczalnego poetę i marzyciela, żeby uzyskać wymarzoną, długo oczekiwaną uczuciową reakcję; natomiast Spunk żali się Lorne'owi, że mężczyzna ma tę tragiczną skłonność, by sprawiać ból osobie, którą kocha. No i tak dalej. Trzeba przyznać, że wyglądało to wszystko dość dziwacznie na papierze, i Zła forsa (obecny tytuł) stała się utworem tak rozdętym i smętnym, że normalnie opadały jaja. Lecz te monologi i tak spłyną z wodą sedesu w montażowni, o ile w ogóle zostaną sfilmowane, więc nie widziałem tu żadnych problemów.

– Trzeba mu wyrazić uznanie – przyznał jednak Fielding. – To idealny kit. Prawie pornografia.

W jego głosie wyczuwało się nutę smutku żelaznego kandydata, który stwierdził, że jego pozycja w okręgu nieznacznie się obniżyła.

– Jak się ma Doris? – zapytałem.

– Dobrze. Ci pisarze – odparł ogólnikowo – mają za dużo wpływów. No i cóż, Slick. Nie będziesz już mnie tyle potrzebował. Ja jestem wyłącznie menedżerem. Mam całą kupę projektów, pochodnych Dobrej forszy. Poprawka: Złej forszy. To z tej nadwyżki kasy, która nam spłynęła. Gdy popatrzeć, jak ten szmal nam wpada, to chyba nie zatrzymamy strumienia. Chcę, żebyś już zaczął myśleć o drugiej fabule.

– Czy mówisz serio?

– Sprowadzaj swoich ludzi, Slick. To pora na zielone światło. A ty sobie patrzysz smętnie w niewypełnione czeki. Chciałbym, żebyś kilka podpisał, zanim wyruszysz w drogę.

Na ulicy nieubłaganie czekał czarny autocrat. Szofer czekał na rozkaz – inny szofer tym razem, lecz także członek tej samej umundurowanej, wąsatej, szoferskiej kasty. Fielding skinął mu ręką i wziął mnie pod ramię, żeby się przejść wokół domu. Tym razem nie było goryla. Ten drugi facet był tylko bibelotem, ozdobą, gdyż nawet Fielding próbował czasami oszczędzać jak każdy finansista. A jednak kierowca miał przy sobie spluwę: widziałem to zgrubienie pod pachą niczym od supergrubego portfela.

– Któż to na ciebie dybie, stary? – spytałem Fieldinga podczas spaceru.

– Biedacy – odpowiedział, wzruszając ramionami.

Więc zadałem drugie pytanie: a po cóż ta limuzyna? Rzucił mi oschłe spojrzenie. Myślę, że wiem dlaczego. Bo pełne podziwu i zazdrości spojrzenia warte są nienawiści przegranych. A może to wszystko jest częścią jednego planu, składnikiem tej ekscytującej przebojowości i brutalności forsy. Skręciliśmy i pogawędziliśmy jeszcze trochę, a potem Fielding wsunął się do środka, opadając powoli na fotel.

Do hotelu wróciłem pieszo. Musisz być twardy, jeżeli myślisz o forsie. I musisz być twardy, jeżeli chcesz ją zdobyć. Wie o tym każdy. Lecz przede wszystkim hartu wymaga zamiar. Forsa znaczy tyle samo dla tych, którzy ją mają, co dla tych, którym jej brak. Opowiada o tym Pieniądz.

To prawda. Jest przecież wspólna pula. Chcąc więcej forsy, podejmujesz tym samym kroki, żeby jej poskąpić gdzie indziej. Zupełnie nie wiem, czy jestem dostatecznie twardy. Lecz wkrótce się przekonam. Bo wiem, że forsą znaczy dla mnie dużo. Martina podarowała mi Pieniądz i parę innych książek: Freuda, Marksa, Darwina, Einsteina, Hitlera. Pieniądz opowiada o różnych ciekawych sprawach. Na przykład o tym, że zły pieniądz wypiera dobry pieniądz. Nazywa się to prawem Greshama. Natomiast wybijanie na monetach głowy aktualnego monarchy było tylko sprytną zagrywką, żeby władca mógł się dowartościować. Gdy Kaligula wreszcie zmył się z tronu, cały zapas splugawionej jego mordą forsą dokładnie przetopiono. W ogóle, wiecie, jako forsę używano mięsa i tytoniu, i wód, no i, rzecz jasna, cipek, i amunicji przeznaczonej na wojnę. To już siły rynkowe bardziej w moim guście... Byłbym znacznie szczęśliwszy w owych dawnych czasach. Nie musielibyście płacić mi forsą. Moglibyście wykorzystać wszystkie inne bajery, płacić mi tym złym pieniądzem. Niekiedy Pieniądz budzi we mnie dziwne uczucia, powiedziałbym, wręcz niepokoję. Przypomina mi ową chwilę, kiedy to na Wschodniej Dziewięćdziesiątej Piątej Ulicy, Doris Arthur powiedziała mi coś bardzo wrednego. Mam wówczas odczucie, że wszystko jest niejasne, ukryte. Jesteście w to zamieszani i wy; tak, tak, nie wywieźcie mnie w pole. A zresztą nie wiem. Tak czy owak, w końcu się to wyjaśni.

Wróciłem do hotelu piechotą. Cienie rzucające nocną porą przez ludzi są tutaj całkiem inne. Latarnie uliczne są niższe, co sprawia silne wrażenie, że ktoś ci towarzyszy. W żółtawym, wymizerowanym Londynie światła osadzone są wyżej, tak iż cienie są krótsze, mniejsze od tej ludzkiej istoty, którą prowadzą, za którą się skradają, której wiernie towarzyszą lub którą podstępnie śledzą.

Kiedy wchodziłem do pokoju, telefon już dzwonił. Nie miałem wątpliwości, kto szarpał mnie tak w ciemności, ktoś, kogo wcale nie znałem, kogo nie znacie i wy, a

mimo to mnie szarpał.

– Czy nie jest cudowny? – zapytała Martina podczas naszego pierwszego wieczoru w Nowym Jorku. – Tyle nowego wniósł w moje życie, że nigdy byś nie uwierzył. Nie mam pojęcia, jak dawałam sobie bez niego radę. Wracam do domu – i on jest. Uwielbiam pieścić się z nim w łóżku.

Czy nie uważasz, że jest prześliczny?

– Wygląda super – mówię.

– A ty wyglądasz strasznie – odpowiedziała.

– Żal mi ciebie. Biedactwo.

– Owszem. Miałem ciężki tydzień.

Od czasu ostatnich odwiedzin Martina przywlokła jakiegoś kundla (a raczej wielgachnego szczeniaka), czarnego alzatczyka z jasnym krawacikiem oraz jasnymi brwiami fałdującymi się nad I wpatrzonymi w nią błagalnie ślipiami. Znalazła go przy Ósmej Alei, gdzie plątał się biedak, bezpański, wygłodniały, tarmoszony przez inne bezpańskie psy, zaliczający kopy i szturchańce od psów maści ludzkiej. Przyniosła go do domu za kark i zbadala u weterynarza. Przepisał mu antybiotyki i przez jakiś tydzień psiak był nie do życia – przykuty do koszyka i na ściślej diecie. Trudno w to wszystko uwierzyć teraz, gdy bestia promienieje histeryczną wdzięcznością i zdrowiem. Nazywa się Cień, co jest skrótem od Cienia, Który Wyłania Się Ze Zmroku, starego indiańskiego imienia jakichś Apaczów czy innych Czejenów. Bardzo mi się to spodobało. Po diabła nam psy, które wabią się Reks czy Kropka. Nie chcemy też Maksów czy Żabek. Imię psa przywoływać powinno odwieczny mistyczny dramat zwierzęcego żywota. Cień – to brzmi naprawdę dumnie. Zapałał do mnie sympatią, od razu, jak to u psów. Przypuszczam, że to dlatego, że przenoszę na siebie jakieś hecne zapachy szczególnie podchodzące psom. A ja zapałałem do niego... Chłopie, to dopiero psina pro-vita. Cień nie mógł uwierzyć w swe szczęście. W najśmielszych, machających ogonem snach, on, biedna, skomlała psina z Dwudziestej Trzeciej Ulicy, przy rogu Ósmej Alei, nie wyobraziły sobie życia aż tak słodkiego w przytulnym etażowym mieszkanku przy Ulicy Bankowej, z dużym, mięciutkim koszykiem, żarłem, jakie tylko mógł wtrząchnąć, i elegancką nową obrozą, lśniącą skórą i stalą, obrozą, która mówiła światu, że teraz miał za sobą forszę, a zatem nikt nie powinien za bardzo sobie z nim pozwalać.

– Wspaniały pies – powiedziałem.

Ucieszyła się. Dotknęła mojego ramienia, zanim poszła na górę się przebrać. Pies ruszył jej śladem.

Wyszedłem z winem na taras. Powiedziałem „cześć” pszczołom, tym starym wyjadaczkom. Obserwowałem przez chwilę ptaki, ptaki Nowego Jorku, prawdziwe niebieskie ptaszki. A więc Martina o niczym nie wiedziała. Ossie był po prostu w Londynie, jak to przecież często się zdarzało. A ja miałem w rękawie asa – wiedziałem, co naprawdę jest grane. Jak spożytkować tę wiedzę? Czy w ogóle cokolwiek z nią robić...? Gdy zacząłem się nad tym zastanawiać, w pierwszej chwili obmyśliłem następującą strategię: poczekam, aż Martina zacznie wykazywać objawy depresji bądź niepokoju i wtedy zaszachuję ją złą wieścią. A potem, no wiecie, po prostu roztopi mi się w ramionach, pełna wspomnień, marzeń i łez. Gdy jednak ją zobaczyłem – te usta, te oczy – zacząłem wątpić w możliwość realizacji planu. Hej wy, wy tam, wy wszystkie tam cipki! Jak mam tę sprawę rozegrać? Pomóżcie, błagam. Czy lepiej postawić się z nią na jednym, tym samym poziomie, jak mężczyzna z kobietą? Czy może uzupełnić tę informację o jakiś mały, przyjacielski karesik? A może po prostu się zamknąć? No cóż, szczerze mówiąc, nie widzę z takiej dyskrecji pożytku. Czulem, że jednak coś wypadłoby na tej transakcji zyskać... Wygląda więc na to, że mam tu do czynienia z poważnym moralnym dylematem.

A niech to licho. Moralny dylemat – i co z tym fantem zrobić? Zmęczyły mnie zasady i zakazy.

Myslałem, że łatwo mi przyjdzie wyjawienie Martinie prawdy. Myslałem, że będzie to samograj. A jednak widzę jej twarz – w chwili, gdy dowiaduje się prawdy. I widzę moją twarz – myślałem, że pójdzie jak z płatka. Nie, będzie to bardzo trudne. Cholernie zagmatwana sprawa. Nie powiem jej ani słowa. Ale wiecie dlaczego? Bo to wszystko jest zbyt poplątane – a ja nie dam sobie w kaszę dmuchać.

I właśnie wtedy nasz słodki Cień wyskoczył do mnie na taras. Bez najmniejszego wahania zaczął mi obwąchiwać rozporek. Było to bardzo urocze, choć może nie świadczyło najlepiej o mojej osobistej higienie. Uniosłem dłoń – w ostrzeżeniu, nic więcej – a Cień, kuląc się i płaszcząc, przewrócił się na grzbiet, odchylając w bok łeb, zginając łapy w łęku i błaganiu. Wiedziałem, że pies ten obawiał się dawniej kogoś takiego, jak ja, kogoś dużego, napiętego, białego. Uklęknęłam i poklepałam jego ciepły brzuch.

– Wąchaj, ile chcesz – powiedziałem. – Nie chcę, żebyś się mnie bał. Tego po prostu nie zniosę.

Gdy się podniosłem, zauważyłem, że Martina śledzi mnie cały czas w proggu zaciekawionym wzrokiem.

Pod koniec kolacji w sałatkowym przybytku w Village, gdzie obsługa przypomina

ortodontów, potrawy gwarantują życie wieczne, a w kłocie rośnie sobie młodzieńki dąbczak, zrobiłem coś całkiem nie na miejscu. A wcale nie byłem pijany. Posępnie radziłem sobie jakoś z często zmienianymi kielichami białego wina – naczyniami wielkości bidetu – obywając się bez prawdziwych trunków. Położyłem dłoń na ręce Martyny na nagim blacie stolika, i powiedziałem:

– Być może trochę cię zawiodłem. Nie zrozum mnie jednak źle. Mogę ci to powiedzieć, bo sam jestem zagubiony w życiu. Lecz przecież chciałaś, żeby to twoje życie było jaśniejsze i prostsze. Oczekiwałaś, a nawet zakładałaś, że tak właśnie będzie. A może i nie. A może wcale nie. Zresztą, sam nie wiem. Sam nie wiem, o co mi chodzi.

Rzeczywiście nie wiedziałem. Był to jeden z tych moich głosów. Często nie widzę powodu, żeby czegoś nie powiedzieć, czegoś, co tak naprawdę nie mówię wcale ja. Jej dłoń poruszyła się pod moją, więc zapaliłem papierosa, a ona się odezwała:

– Myślisz, że czuję się zawiedziona. Otóż nie, nie sądzę. Nie bardziej niż ktokolwiek inny.

Jej twarz wyrażała zdziwienie. Co jeszcze? Zdawało mi się, że widzę na jej twarzy zadowolenie, właśnie pełne zdziwienia i jakby wbrew sobie; jej skupienie wynikało chyba z faktu, że ktoś wyraźnie wiązał z nią swe zamiary, zamiary konsekwentne, żeby nie powiedzieć więcej. To niewiele, zgoda, naprawdę mizernie, jak na relacje miłosne. Lecz wszystko pozostaje w rodzinie, z całą pewnością w rodzinie.

– Wcale cię nie krytykuję – mówię. – Kto? Ja? Cały czas byłem jeleniem. Ale nie ty wystawiłaś mnie na pośmiewisko.

– Pośmiewiskiem jest w końcu każdy.

Owszem, pomyślałem, i trzepnąłem się dłonią w czoło. To pieprzone pacnięcie było dużym błędem. Musiałem przy tym zrobić jakiś paskudny grymas, gdyż słodki uśmiech Martyny nagle przemienił się w jadowity. Często, podczas nocnych rojeń, widzę jej twarz jako magiczną latarnię, jakże ludzką, świecącą uwięzionym światłem.

– Boże, ale ty musisz cierpieć.

– Wiem. To naprawdę rozpacz.

Wyłuskałem szybko portfel z saszetki tuż na sercu. Ale paluszki Martyny (troszeczkę obgryzione, bez lakieru, niepodobne do paznokci Seliny) zdążyły już przejąć rachunek.

– Tym się nie przejmuj – rzuciła.

Na tyle zdołaliśmy się zbliżyć. Nie wiedziała niczego. I może lepiej, żeby nie dowiedziała się nigdy. To wszystko sprowadzało się tylko do forsy. Jeśli Ossie był naprawdę dziany – a był – to śmiało mógł odpalić parę dziesiątek rocznie bez najmniejszego bólu. I zapewne wciąż będzie mógł widywać się z Selinką, gdy tylko

będzie w mieście. To dopiero szczęściarz. Nigdy mi się nie podobał – taki aktorek życia. Taki fartowny tchórz. Wyobraźcie sobie. Martina w Nowym Jorku, zawiadująca etażowym mieszkankiem, czarująca mu finansistów i, o ile dobrze wiem, dostarczająca co noc rozrywki. A Ossie po kilku tygodniach przeskakuje przez atlantycki staw, żeby zdzierać szatki z Seliny! Jezusie, to już naprawdę przegięcie. Normalny skandal. Forsa jest zawsze skandalem.

Nie zdołasz pokonać jej matactw. Do masonerii forsy można się tylko przyłączyć.

Odprowadziłem Martinę do domu, a potem wyprowadziliśmy Cienia. Moje zawroty głowy minęły i znowu byłem dawnym sobą, rozważałem nawet możliwość pocałunku na dobranoc czy wypowiedzenia wyrazistszych aluzji, zanim podążę do siebie. Podczas gdy zmysły bombardowało multum bodźców, a ślipia iskrzyły się życiem, Cień, reżyser tego superszybkiego filmu, starał się wy badać granice smyczy i wszelkie inne granice węchu, wzroku i słuchu. A potem pies przystanął, na drżących, ugiętych łapach, aby załatwić psią potrzebę. Dla Cienia to żaden problem – to nie to, co ja, z „The Morning Line”, kawusią, papieroskiem i jakąś kapsułką, żeby sobie pogryźć.

– Dobry chłopiec – powiedziała Martina.

– A to co takiego?

– Szufelka do psich kupek.

– No tak – przypominałem sobie. – Te wasze kupozmiotki. Wy, Amerykanie. No nie, zaraz, nie zamierzasz chyba serio, no nie, posłuchaj...

– Mogliby dostać furii – przerwała. – Podnieśliby raban.

– Trochę psiego gówna nikomu nie zaszkodzi.

– Jest bardzo toksyczne, na ulicy bawią się dzieci. Psie kupy są siedliskiem chorób.

– A co ich nie roznosi? To znaczy, jeśli się dobrze przyjrzeć, to choróbska są wszędzie. Kupozmiotki je przecież roznoszą. Bachory zresztą też.

– Przestań – ucięła krótko.

Kiedy dotarliśmy do rojącego się od taksówek rogu Ósmej Alei, Cień nagle przystanął. Zaczął skomleć. Spojrzał przed siebie na kipiącą grzechem i śmiercią Dwudziestą Trzecią Ulicę, na Chelsea, na ów koniec świata, gdzie wszystko jest rozprężone, zepsute. Na Dwudziestej Trzeciej Ulicy nie spotkacie żadnych obroży, żadnych smyczy lub imion. Cień niespokojnie szarpnął, kichnął, potarł łapą pysk. Wydawał się zdziwiony i głodny, miał teraz w sobie coś z wilka, odzywał się w nim zew natury.

– Z każdym wieczorem reaguje słabiej. Ale czasem szarpie mocno, naprawdę mocno, jak gdyby chciał tam pobiec.

– I ciebie zostawić? O to się nie martw. On wie, gdzie mu dobrze.

– Ale taka jest jego natura. – Martina też wydawała się zakłopotana i jakby niepewna.

Powiedzieliśmy sobie dobranoc. Odprowadzany jasnym, lecz posmutniałym wzrokiem Cienia, zwołałem taksówkę i wgramoliłem się do środka. Bez żadnych już przygód. Jeden tylko bar, jeden drink, a potem hotelowy pokój, gdzie telefon czekał cierpliwie i dzwonił na powitanie.

Mógłbym wam opowiedzieć mnóstwo historii o tym pieprzonym popaprańcu, który prześladowuje mnie telefonami. I powinienem wam wszystko powiedzieć, lecz cały kłopot w tym, że nie mogę... no cóż, a może jednak zdobędę się na ten wysiłek. Rozumiecie pewnie, o co chodzi. Bo ja nie całkiem. Gdy teraz wszystko idzie jak z płatka, gdy moje życie tak bujnie rozkwita, ów cienki głosik na drugim końcu linii jest jedynie szumem ulicy, pustą paplaniną powietrza, głosem nieznanych żyjątek – tych nowo przybyłych żyjątek Ziemi, wszelkich niespełnionych artystów – którego sensu nie daje się złapać. A zresztą po co?

Po co miałbyś się tym przejmować? Jak na telefoniczne groźby, to te konkretne pogrożki wydają się w miarę przyjazne. Kalifornijscy kierowcy, skazani za jazdę na gazie, zobligowani zostają do uczęszczania na zebranka towarzystw trzeźwości, kół byłych pijaczków czy coś w tym rodzaju. Oto kara przez nudę! Z tym właśnie kojarzą mi się telefoniczne rozmówki, choć zawsze próbuję je ożywić.

– Jak zdrówko twojego kurczaczka?

– Jakiego kurczaczka?

Boże, co to za głupi głos! Tego debila owijam i już wokół palca.

– Tej ogromniastej rudzicy, wypacykowanej jak gipsowa kukła. Tej, co wpakowała mi do ucha cały jęzor, wtedy w nocy, w tamtym barze, zaraz naprzeciw „U Zeldy”.

Wydawał się zdziwiony.

– A więc pamiętasz.

– Z pewnością.

– Lecz nie pamiętasz, co ci wtedy mówiła.

To wiem na pewno.

– A niby skąd?

– Bo nie byłoby cię teraz w Nowym Jorku. Nie ośmieliłbyś się tu wrócić. Nigdy. Pozostałbyś w Londynie ze swą małą rudą.

Teraz to ja się zdziwiłem.

– Masz też biuro w Londynie? Dziwi mnie nawet, że wiesz, gdzie znajduje się

Londyn. Dziwi mnie bardzo, że w ogóle o Londynie słyszałeś.

– Wielki człowieku – zaczął.

– Mały człowieczku – ja na to. Wciąż mam wrażenie, że Frank telefoniarz to jakiś kulawy karzełek, ciężko fizycznie upośledzony. Przynajmniej mam taką nadzieję.

– Pewnego dnia się spotkamy.

– Wiem, wiem...

– Spotkamy się. A wtedy...

Zazwyczaj kończy paroma nędnymi warknięciami i groźbami. Jest jak dziad z workiem, którym mój tatko straszył mnie w dzieciństwie. Trudno brać takich typasów na serio. Nie stoi za nimi forsa. Ale oto znowu zadzwonił. Dzwoni teraz tak często, szczególnie nocą, kiedy trudno mi odróżnić jego głosik od innych, jakie słyszę.

Tyle jest tych wszystkich głosów, że nie zaszkodzi mi jeden więcej. I na to tylko liczę. Liczę, że nie da mi się zbyt wiele znaki.

Cały interes z filmem wygląda teraz krzepko, zwłaszcza odkąd przełamałem już wszelkie problemy z niezłomnym Spunkiem Davisem. Mówię wam, w moich rękach ten dzieciak jest miękki jak ciasto. Zgodził się nawet na zmianę imienia.

– S.J. Davis – powiedział pod koniec naszej długiej rozmowy. – Co ty na to?

– A to środkowe imię? – zapytałem nieśmiało.

– Jefferson. Mamusi się nie podoba ta zagrywka J.S. Mówi, że to niezgodne z wiarą.

– Pierdoły – odpowiadam. – I tak dla przyjaciół wciąż będziesz Spunkiem. Dzieciaku, narodziłeś się na nowo. S.J brzmi genialnie.

Okoliczności załatwiły sprawę. Gdy przyszedłem po południu do ich apartamentu przy UN Plaza na dyskusję nad skrypcem, pani Davis otworzyła drzwi z przesiąkniętą krwią chusteczką przytkniętą do nosa. Starła się zasłonić oczy, lecz spostrzegłem od razu, że ktoś je ładnie podczernił. Cios musiał być niezły, w samą nasadę nosa, i to całkiem niedawno. Odczułem przyływ ciepła i nudności – uderzył mnie smród przemocy, paskudnej przemocy domowej, cuchnącej parafiną.

– Chryste Panie – jęknąłem. – Dobrze się pani czuje?

Wyciągnąłem w jej kierunku dłoń – w niejasnym geście pomocy – lecz ona z wyraźnym zawstydzeniem machnęła odmownie ręką. Stała zakrywając twarz dłońmi, mała, drobna kobieta, jak gdyby bardziej jeszcze skondensowana. Zerknąłem w głąb mieszkania i dojrzałem brzuchatego pana Davisa w podkoszulku i z puszką piwa wciśniętego w głęboki fotel, wpatzonego w kuchenny telewizor. Rzucił mi swe ponure spojrzenie – zacięte, poirytowane – i uniósł znacząco palec do uszkodzonego łuku brwiowego.

Spunka znalazłem natomiast w ciemnej, nie używanej jadalni w samym końcu mieszkania. Siedział na brzegu stołu, z założonymi rękami, z wyrazem niezdrowego spokoju na napiętej twarzy. Wpatrywał się we mnie tępo.

– Co się dzieje, Spunk?

– Zabiję go – odpowiedział trzeźwym głosem. – Po prostu go zabiję – powtórzył, zbliżając się do mnie i do drzwi.

Przytrzymałem go za ramiona, wyczuwając naprężoną siłę. Mógłby go zabić, nie ma co do tego wątpliwości. Nie zabije go – ale mógłby. Dostrzegłem tu moją szansę i poczułem przypływ autorytetu i elokwencji, owego wysokiego rejestru, jakiego wymaga się od aktorów. A potem usłyszałem swój krzyk:

– Nie możesz go zabić! Jest przecież tobą. Ty jesteś twoim tatą, a twój tata tobą. Teraz jesteś lepszy, lecz kiedyś będziesz nim – z jego brzuchem, podkoszulkiem i puszką piwa. Od tego się nie wymigasz. Nawet gdy go nie będzie. Wiem o tym. Bo sam mam ojca.

– Czy wiesz, co się ze mną dzieje?

– Powiedz. Wszystko mi powiedz.

Jęknął boleśnie jak dziecko. Twarz mu zeszywniała z napięcia, lecz w końcu to powiedział.

– To tak jak moje imię. To... bo nieważne, co zrobię, co zarobię, co zagram, i tak będę zawsze dupkiem. Będę zawsze błaznem z dowcipu.

– Chłopaku, tak jest z każdym. To piętno dwudziestego wieku. Wszyscy jesteście żartem.

Musisz się z tym pogodzić, Spunk. Musisz pogodzić się z żartem.

Następnie rozmawialiśmy pełne trzy godziny, tam, w ciemnościach, ja i mój młodszy brat krwi.

– Czy kiedykolwiek doznajesz takiego uczucia, Fielding?

– Wiesz, nie, Slick, raczej chyba nie. Mam tylko dwadzieścia pięć lat i ze starymi nie mam jeszcze problemu. Traktuję całe to gówno jak coś, co dopiero mnie czeka. Powiedz, jak to jest, John. Jestem ciekaw.

Kończyliśmy papierkową robotę dnia w knajpce „Krucze udka”. Robota nużąca, lecz nietrudna – podpisywałem stertę papierów. Fielding założył już firmę, Złą Forsę, z o.o., i zatrudnił trzy dziewczątka i jednego chłopaka – gońca. Pracują na parterze. Prawie codziennie zagląda też prawnik na ryczałcie.

– Drinka? – zapytał.

– Nie, dzięki.

– Powiedz mi, John. Jak radzisz sobie z dupami, tu, w Nowym Jorku? Nie uwierzę, że jesteś dozgonnie wiemy tej swojej małej liscicze.

– Selinie? Ach – odpowiedziałem przebiegle – zupełnie mi wystarcza. Jakoś wytrzymuję.

– Jest pewna rzecz, którą możemy zrobić razem. Takie miejsce przy Piątej Alei. To co, umowa stoi? Ambrozja z lodem i do tego niezłe szprychy. Królowa Saby zabiera cię do swojego buduaru, i, kombinując ustami i ręką, stawia ci największy namiot, jaki miałaś kiedykolwiek w życiu. Jaki kiedykolwiek widziałaś. Patrzysz więc w dół i pytasz: a czyj to, kurde, kutas? Patrzysz w górę, a tu rozchylają się nagle drewniane płyty sufitu, no i domyśl się, co dalej.

– Wyplęwa wprost na ciebie jakaś tona gówna.

– Jezu, Slick, ale z ciebie nieromantyczny aparat. Sufit się otwiera i lśniąca od olejków księżniczka opuszcza się na jedwabnym sznurze. Robi na tobie szpagat. Rozumiesz, o czym mówię? Wchodzisz w nią ledwie na centymetr. I wtedy zapaśnik sumo, sto pięćdziesiątka jak ułał, wkracza dostojnie przez drzwi, łapie ją za nogę i obraca jak bączek.

– Jezu Chryste.

– Tysiąc dolarów numer. Niezłe to będzie wyglądać na firmowym wykazie kosztów. „Rekreacja”, Slick. Co ty na to? Możemy tam zaraz wpaść.

– Brzmi zachęcająco, lecz chyba sobie odpuszczę.

– Jeśli gustujesz w czerni, to na Madison jest takie miejsce. „Etiopia”. Podchodzi, co? Wygląda to w ten sposób...

– Nic nie mów. Mam zresztą dzisiaj randkę.

– Ach tak? Czy mam przyjemność znać?

– Owszem. To znaczy, nie. Nikt, kogo byś znał.

Zauważyliście być może, że poza chwilowym lapsusem udało mi się przestać kłać. Przestałem robić także i te inne rzeczy. Wszystkie moje nałogi wyczekują teraz w celi śmierci: przeklinanie, bójki, pranie kobiet, palenie i picie, fast food, pornografia, hazard i trzepanka – wszystko to kuli się, dygocąc ze strachu, wyczekując na swój długi spacer do pokoju straceń. I wiadomo dlaczego: to mój Nowy Ład... Oczywiście, najłatwiej jest przestać kłać. To żaden problem. Nie brakuje mi też bójek ani bicia kobiet. Natomiast palenie – no cóż, za każdym razem, gdy zapalam papierocha, zadaję sobie pytanie: czy naprawdę ci to potrzebne? Jak dotąd, odpowiedź jest zawsze „tak”, lecz to dopiero początek. Podobnie, kiedy dużo pijesz; też bardzo trudno jest przestać. Tak, zerwanie z pićciem będzie problemem, trzeba to jasno powiedzieć. Fast food: reguła jest taka, że

oddają się ostremu pompowaniu raz na dobę, wyjąwszy te szczególne dni, gdy jestem wyjątkowo głodny. Natomiast hazard, tu, w Nowym Jorku, nie był nigdy problemem. Nie znalazłem odpowiedniego miejsca. Bez wątpienia są tu siedliska hazardu, ale nie mogę trafić. Patrzę, wypatruję, szukam wzdłuż i wszerz, lecz ich po prostu nie widzę. A teraz grzanie gruchy: zespół rękodzieła. Przez całe życie pytam dookoła i moja konkluzja jest taka: oddają się temu wszyscy. Robią to dziewczuszki. I proboszcze. Ja to robię. I ty. (Tak, tak, nie próbuj się wykręcać; i powiedz, ile masz lat? Weźże się w garść, człowieku, no i ty, siostrzyczko – czy nie pora już dać z tym spokój?) Ja, w każdym razie, pasuję. A ty? W moim wypadku to przedsięwzięcie długoterminowe, muszę to szczerze wyznać; na razie, tytułem próby, skasowałem wizualne pomoce. To już połowa zwycięstwa. Bez pornografii, trzepanka nie mają dla mnie większego sensu. Więc jestem pełen ufności. Naprawdę. Jestem już całkiem pewien, że z mojego życia wypłuczę cały ten szlam. Wywaliłem na mordę przekleństwa – i co? Bez bólu, po krzyku. Po co komu te paskudne nawyki? To znaczy – komu służą? Tak, spoko, spoko; już ja sobie z nimi poradzę. A nawet jestem pewien, że to nie będzie aż takie trudne. Jedynym problemem jest to – i tu, jak mi się zdaje, leży sedno sprawy – jedynym problemem jest to, że nie dają sobie dmuchać.

Czuając niesamowitą i godną zazdrości moc, i postawiwszy na planowe działanie, wziąłem sobie do serca rady producenta, i próby zacząłem przeprowadzać parami. A zatem Lorne i Butch, Spunk i Caduta Massi, albo Butch i Spunk – macie już chyba obraz. W kategoriach międzyludzkich relacji sprawa wygląda tak (to znaczy z początku, zanim nie przerznąłem sprawy): Caduta i Spunk: nieźle. Butch i Lorne: niedobrze. Lorne i Caduta: jeszcze gorzej. Spunk i Butch: całkiem fatalnie. Butch i Caduta: to już zupełny dół. Lecz tak zupełnie fatalne, najbardziej żenujące i pracochłonne, okazały się konfrontacje Lorne-Spunk. Gdyż kobiety przynajmniej miały swoje kobiece strategie, swoje sposoby. I przynajmniej nie były gwałtowne. Natomiast z Łomem i Spunkiem studziłem tylko emocje, lizałem im stopy i całowałem dupy – no i bawiłem się w sędziogo – wszystko w tym samym czasie... Ulegając presji Lorne'a, zwołaliśmy pierwszą sesję w jego penthousie przy Osiemdziesiątej Piątej Ulicy. Próbowaliśmy odegrać scenę, w której Spunk mówi Lorne'owi, że wie o jego kochance, i powiadomi Matkę, o ile Lorne nie przystanie na ów układ z heroiną. Spunk usiadł więc naprzeciw Lorne'a, i odczytał swoją kwestię z wyrazem pogardliwej wyższości. Gdy Lorne to usłyszał, odwrócił się do mnie, mówiąc:

– John, chyba nie muszę wysłuchiwać tych pomyj. Od niego? W swoim domu?

Żaś Spunk argumentował, mamrocząc łagodząco, że ta scena była dla niego trudna,

bo zawsze nienawidził ojca. Na to podskoczył Lorne, że on zawsze nie znosił syna (księgowy w średnim wieku, jak dowiedziałem się później). Lorne oskarżył następnie Spunka, że próbuje odebrać mu film. A na to Spunk, że Lorne chce zamienić Złą forszę w swój prywatny benefis. Tutaj już Spunk trochę przegiął, bo jak na moje wyczucie, Chryste Panie, to z takim scenariuszem o benefisie nie może być mowy. To fiasko to nie moje *fiasco* – i nigdzie Lorne’a nie dowiezie. Lorne powiedział, że jest od Spunka większy – tak, i o wiele silniejszy. Spunk podpuszczał go, aby to udowodnił. „Chwii leczkę, John – zawołał triumfująco Lorne – I znaczy, że ten punk grozi mi w moim domu?” Zrozumiałem, że pierwsza rzecz, jaką powinienem zrobić, to przenieść obie gwiazdy na grunt neutralny, czyli przerzucić całą operację do gniazdka w dąntownie. Wyłonił się problem transportu.

Fielding zaznaczył od razu, że na obu gwiazdorów czekają autocracy. Przekazałem to Lorne’owi, który powiedział, że skoro Spunk rozbija się autocratem, to on, Lorne, nie może poprzestać na niczym skromniejszym od jeffersona succes. Przedstawiłem z kolei tę sprawę Spunkowi, a na to on odpowiedział z pogardą, że jako transport do pracy wystarczy mu – jak zawsze – jogging. Wróciłem z tym do Lorne’a, który rzucił wyniośle, że on też może biec, i to sprintem albo nawet trójskokiem, ale potem, jak gdyby nigdy nic, zauważył, że jak na jego skromne potrzeby, to absolutnie wystarczy mu tigerfish albo mała, dwudrzwiowa mańana. Zdecydowaliśmy się w końcu na autocrata, lecz zastawił na mnie pułapkę: otóż miałem go osobiście odbierać i jechać z nim codziennie na downtown, jakieś osiem, czy ile tam, przecznic, o dziewiątej rano. Podczas tej jazdy Lorne’owi nie zamykała się japa. I wkrótce odkryłem, że nie mogę odbywać tych jazd, kiedy jestem na kacu. Tak po prostu nie jest możliwe. Próbowałem raz i drugi, i tym mocniej się upewniłem, że nie da się tego zrobić.

Pierwszego dnia, po godzinnym korku na Lexington, kierowca powiózł nas przez Park. Chciał spróbować szczęścia na dzikich alejach West Side’u. Kiedy Guyland dostrzegł zieleń, gdy zauważył brak betonu (gdzieś w połowie drogi), zawiesił nagle swój bełkot i uniósł drżącą piączę.

– Czy coś się stało, Lorne? – zapytałem z troską. Lecz Lorne był cały spięty.

– Zatrzymać się! – warknął. I splunął. Wymykaliśmy się właśnie powoli w zachodni sektor Central Park West. Lorne opadł na fotel, jak gdyby z ulgi zmiękły mu kości. – Nigdy przez Park, John – bulgotał ochryple. – Nigdy! Powiedz mu to wyraźnie. Tym razem się udało, lecz zapamiętajcie na całe życie, że Lorne’a Guylanda nie wozi się przez Park. Przenigdy.

Zapytałem, w czym sprawa.

- Helikoptery, John – powiedział już spokojnie.
- No tak – odpowiedziałem, i podążyliśmy dalej.

W gniazdku na dółtownie wszystko potoczyło się jak we śnie, jak w tajemnym spisku. Klucz do całej historii znajdował się w prześlicznie prostym wykonaniu. Bo każda gwiazda marzyła tylko o jednym: móc pławić się przez calutki dzionek w bezkrytycznych pochwałach i zachwytach – czyli wsłuchiwać się w rapsodyczną wyliczankę, jaką Martin wplótł w swój scenariusz. Sam bym tego im nie dał, lecz teraz miałem już coś. Przypomniałem sobie nawet, że właśnie Martin wspominał o takiej zagrywce. Więc zaczynałem w ten oto sposób: „Spunk – mówiłem – a może byś raz jeszcze wypróbował swój wielki monolog o Łomie”. A potem: „Lorne. Co byś powiedział na to, żeby zrobić generalną próbę twojej wielkiej mowy o Spunku?” Jeden z gwiazdorów miał w oczach łzy, a drugi promieniał z rozkoszy. Po pierwszych sukcesach wszystkie nasze spotkania rozpoczynałem w ten właśnie sposób, i z równym powodzeniem wypróbowałem tę metodę na dziewczynach. Rozmiękczeni i polechtani sycącym bełkotem, aktorzy czuli się odświeżeni i przygotowani na jadowite, ziejące nienawiścią bluzgi, co dawało im szansę wyrazić swoje szczere uczucia na temat drugiej osoby. Uczucia były już w tym stadium niemożliwie mętne i splątane, lecz scenariusz ukazywał i to. Miałem cudowne wyniki, zwłaszcza w przypadku chłopców. Zła forsa zapowiadała się więc naprawdę hecnie. Kiedy ostatni raz oglądaliście film, w którym wszystkie gwiazdy byłyby równie zagubione, równie słabe i omdlewające, i równie lubieżne i sprośne jak w naszej Złej forsie? To właśnie jest realizm! Mój podziw, moje uznanie i wdzięczność dla Martina Amisa po prostu nie znały granic.

Były też, rzecz jasna, problemy: można się tego spodziewać w tym Mieście Problemów. Dziś rano, na przykład, gdy przyjechałem po Lorne’a, wielki człowiek dąsał się w swoim namiocie. Nago.

– Jeszcze nigdy nie widziałam go w takim stanie – powiedziała Thursday, która w świetle dnia wyglądała o pokolenie starszej. – Nawet nie napije się soku.

Wielki Bruno, jak zobaczyłem, też czaił się ponury w hallu. Zadzwoiłem do Fieldinga i nakłoniłem go, żeby pojechał na downtown i postarał się zmiękczyć Spunka. Następnie wkroczyłem do sypialni Lorne’a, która przypominała wystawny burdel. Siedział tam, w udrapowanych ciemnościach, wpatrując się posepnie w ścianę. Na golasa. Po godzinie czy dwóch powiedział, co jest na rzeczy.

– Zejdz do mojego poziomu, Lorne – mówię. – Zrób to, proszę. Potraktuj mnie jak przyjaciela i fana.

– Dobrze, John, więc sprawa wygląda tak. Nikt o tym nie wie, John. Nikt na

calutkim świecie. I nikt by się nie domyślił, nawet za milion lat. A jednak to prawda! Bo fakt jest taki, John, choć wiem, że mi nie wierzysz, bo fakt jest taki, John, że czuję się bardzo niepewnie. Choleranie! A to z powodu mojej ignorancji, John. Bardzo znacznego stopnia. Jestem człowiekiem, który nic nie wie. I to dlatego czuję się tak niepewnie.

Och, ty zmurszały kutasie, myślałem. Biedaku! Czym byłby Lorne i gdzie by się podziewał, gdyby nie kosił trzydziestu kafli dziennie, gdyby nie trafiał tych obłądnych fuksów? Nie wiem. Wystawałby chyba na Broadwayu, jak tamtejsze świry, wydzierając się wniebogłosy. Położyłem mu dłoń na ramieniu. I już wiedziałem, co chcę mu powiedzieć.

– Mój Boże, Lorne. Jeżeli ty odczuwasz niepokój, to jaka nadzieja jest dla nas, zwykłych śmiertelników?

Spojrzał na mnie z iskierką niepewności; lecz zaraz twarz rozjaśniła mu się jak dziecku.

– John – sapnął przez nos – chodźmy robić filmy.

Po upiornym objeździe Parku aleją Central Park South, zaczopowaliśmy się na jakiejś przecznicy Broadwayu, w sercu dzielnicy teatrów. Podczas gdy Lorne tokował o swoich broadwayowskich sukcesach, swojej miłości do sceny i czego tam jeszcze, dotarł do nas stopniowo słaby, lecz uporczywy stukot, odgłos monety uderzającej o szybę. Lorne rzucił się natychmiast na podłogę, jakby był Cieniem.

– W porządku – powiedziałem.

W sąsiedniej taksówce siedziała uśmiechnięta promiennie Doris Arthur. Lorne wrócił na siedzenie, przyjmując godną pozę. Wyjrzał przez okno: oto piękna dziewczyna, patrząca wprost na niego, szczerząca szeroko zęby. Posłał jej pocałunek, a potem spojrzał na mnie z nieśmiałym zadowoleniem, kiwając machinalnie do Doris, która przygwoździła mnie wzrokiem pełnym groźnych znaczeń; gdy jej taksówka zaczęła wreszcie odpływać, rozluźniła twarz i wywaliła język w wyrazie bezmyślności i udawanego obłądu, a może świadomego poddania się cyklicznemu atakowi szału. Poczułem, jak kurczy mi się serce, a pod czaszką zaczyna mi szumieć. Dlaczego? Wyrzekłem się picia już trzy dni temu. Bez wody da się nawet przeżyć, ale pod warunkiem, że pijesz niewiarygodne ilości piwa, sherry, wina czy portem i potrafisz sobie radzić ze szczególnie paskudnym kacem. Taki kac właśnie mnie dopadł, jak myślę... Parę chwil później przedzieraliśmy się Dziewiątą Aleją niedaleko domu Martiny; i czuję, czuję, że przybywa mi sił, czuję, że jej bliskość jest pożywna. Boże, to tak jakby wgrzyźć się w pachnące jabłko i żuć je zdrowymi zębami, zębami wiejskiego osiłka. Dzwonię do niej teraz codziennie z pracy. Obgadujemy mnóstwo spraw; dzisiaj

mamy się spotkać. Pędzę do Opery. Metropolitan. I to ja! Otello. Naprawdę się cieszę. Nigdy w operze nie byłem. Czy myślicie, że mi się spodoba? Przy Martinie czuję się silny. Dlaczego więc przy Doris czuję się zawsze słaby? Podobnych uczuć doznaję też czasem, gdy czytam dzieło Pieniądz. Czytuję pilnie Pieniądz i zagłębiając się też w inne książki, jakie podarowała mi Martina. Einstein. Trzeba mieć dla niego uznanie. Wpatrywać się w świat i dostrzec jego sekrety i spiski, te tajemnice Starego Ojca. Tak samo Darwin. I panowie Freud i Marks – co za niesamowici z nich zgadywacze, co za giganci domyślności! Nie zrezygnowałem też z beletrystyki: przeczytałem Buszującego w zbożu, pierwszorzędne, poruszające dzieło, napisane z polotem i elegancją. Co zaś się tyczy Hitlera, to cóż, zbił mnie ciut z tropu. Nie mogę w to, kuma, uwierzyć. Bo spójrzcie, jak mu się udało narzucić tę swoją przemoc. A myślałem, że to ja jestem agresywny. Chłopie, rety, Niemcy musieli mieć jakieś niezłe zaćmienie, a może zapili się w trupa w tych latach trzydziestych, czterdziestych, że dali wolną rękę takiemu pierdolniętemu gnojkwowi jak Hitler. Ta heca zbija mnie z tropu. Nie mogę w ten numer uwierzyć. I upieracie się, że to prawda?

Bo wiecie, tu, w Operze, miała chyba być jakaś pozasezonowa filantropijna gala, tak czy owak jubel na cztery fajery, więc postanowiłem wynająć smoking. Fielding podał mi adres pewnej firmy przy Alei Lexington, i zaraz po próbach z Lornem i Cadutą pomknąłem żółtą taksówką przez miasto, żeby przymierzyć ubranko.

– Przykro mi, ale nie mamy nic dla pana – powiedział starszy gościu z łagodną desperacją po chyba piętnastym powrocie z magazynu.

– Że co?

– Niestety, nie dzisiaj. Nic się nie da zrobić.

Pohamowałem furię i poleciałem do innego podobnego miejsca na tejże alei... a potem do następnego. I jeszcze następnego.

Jezusie, Chryste Panie, myślałem, to ma być Nowy Jork! A pies mu mordę lizał, to przecież stolica wszelkich kalorii, metropolia puszystych, Kałdunville, gdzie supergrubasy superciężkiej wagi przetaczają się po zapchanych ulicach jak beczki, zapełniają sobą trotuary, nie zwracając na siebie uwagi, nie wzbudzając niczyich kpin. Zauważcie tylko tę czarną cipkę w beżowym spodniemie, ze szwami bielizny odcinającymi się pod opiętym ubiorem jak sznurek na grubej paczce. Spójrzcie no na te Grube Władze, kolebiające się dostojnie w upale. W Londynie byłby szal, rewolucja śmiechu, gdyby któraś z tych gór maślanych wystawiła stopę za próg. Lecz tutaj, w tym supertyglu, nie można sobie pozwolić na uśmiech z byle inności. Stąd problem poczucia humoru. Bo gdybyś go istotnie miał, zanosiłbyś się płacziwym szlochem przez całą

okrągłą dobę. No dobra. Dotarłem wreszcie do małego, przygnębiającego interesiku na samej granicy Harlemu, o nazwie, powiedzmy, „Wysoki, barczysty przystojniak”, albo lepiej, „Wielki i potężny”. No nie, bądźmy ściśli, firma miała wdzięczną nazwę „Wynajem namiotów”. Zestawiłem sobie gustowny komplecik z tej garderoby przeznaczonej dla długonogich i długorękich, dla głów na wysokości latami, dla rekordzistów pasa i talii, dla ściśniętych pasem wielkodupców, dla stupięcdziesięciokilowców o mordach czerwonych jak tomat. Dotarłem na Ulicę Bankową spływając potem, spragniony, u kresu sił, marząc o spuszczeniu z cewów. Martina także wydawała się w nie najlepszej formie i jakaś zatroskana; nim zdążyłem się odlać i odsapnąć, już byłem z powrotem w windzie i taksówce, i znów sunęliśmy z nurtem samochodowej rzeki. Było bardzo późno. Martina, w czarnej, gładkiej sukni i pojedynczym sznurze pereł na wysmukłej szyi, unikała mojego wzroku i mówiła ostrym, nieprzekonywującym głosem, że grozi nam strata wspaniałych miłosnych duetów pierwszego aktu. Nie skomentowała mojego wieczorowego stroju – dwurzędowy, błyszczący żakiet, różowy, jedwabny pas, który wpadł mi w oko, lakierowane kamaszki – a więc przyjąłem, że wyglądam na radzę. Utknęliśmy w jakiejś nieszczęsnej, magicznej procesji dzierżącej zielone lampiony, i umknęliśmy co sił z unieruchomionej taryfy. Foyer przypominało szkolne korytarze z unoszącym się w powietrzu poczuciem winy – tylko dzwonki i bzyzące bzyczadła, i zaaferowana panienka, która zagnała nas prosto do najdroższych parterowych rzędów. Spóźnieni więc na Słowo Boże, przekopywaliśmy się potykając do środkowych foteli, podczas gdy wielkie, czerwone morze kurtyny rozpoczynało swój długi odpływ.

Opera trwa jednak cholernie długo, nie ma dwóch zdań. Cholernie długo, naprawdę, a w każdym razie Otello. Wywnioskowałem, że po tej pierwszej części będzie jeszcze druga, a przecież ta pierwsza włókła się niemożliwie wolno. Inna uderzająca sprawa dotycząca Otella: to nie jest po angielsku! Cały czas nie traciłem nadziei, że wreszcie wezmą się w garść i zaczną śpiewać po ludzku, a tu nic: hiszpański czy włoski, czy jakiś tam grecki, i koniec pieśni. A może, myślałem, to jubel pieprzonych Latynosów, tych wszystkich Meksykanów, Hiszpanów, makaroniarzy i innych Portorykańców. Ale nie: publiczność prezentowała się godnie i nie-etnicznie. To znaczy, te wszystkie typasy z pionierskimi brodami i stogiem siana na głowie, te dwumetrowe cipki o profilach jak tomahawk i opaleniznach, jakby przyjechały z Wenus – to przecież chyba Amerykanie. I Amerykanki. Z pewnym zakłopotaniem zapuszczałem żurawia w poszukiwaniu bratniej duszy w smokingu. Panie odsztafirowały się co nieco, to prawda, lecz faceci pokpili sprawę, przyłóżąc w biurowych ciuchach. No tak, ciut się przestroilem. Z pewnością. Nic zatem dziwnego, że Martina łypała dość krzywo. Przyszło mi nagle do głowy, że

bardziej na miejscu wyglądałbym na scenie niż na widowni.

Na szczęście musiałem chyba obejrzeć wcześniej film czy jakiś telewizyjny serial na podstawie tejże sztuki, bo mimo problemów ze zrozumieniem obcej mi mowy, owa muzyczna wersja trzymała się całkiem wiernie dobrze mi znanej fabuły, śledziłem więc akcję bez większego trudu. Ten szpanerski murzyński generał, czarny jak serce pik, przybywa, żeby objąć posadę na jakiejś uroczej wyspie, hen, w dawnych czasach. Przywłókł z sobą pannę młodą o figurze lady Di. I ta panienka zaraz zaczyna uwodzić jednego z generalskich poruczników, rozrywkowego faceta, który z miejsca przypadł mi do gustu. A zatem stara historia, nic nowego. Lady Di wypróbowała na swoim mężu jeden z tych podwójnie subtelnych numerków – no wiecie, wciąż szuka swojego kochasia i śpiewa o nim pieśni. Lecz koleś Otella ma coś kochasiowi za złe i chcąc upiec przy tym swoją pieczeń, kabluje wszystko szefowi. Ale ten ciężki czarnuch nie chce czy nie potrafi uwierzyć. Klasyczna sytuacja. No cóż, miłość jest ślepa, pomyślałem z zadumą, i poprawiłem się w fotelu.

Jeżeli mam być szczery, to cała ta smutna historia nie skupiała mojej głównej uwagi: w moim umyśle nie rozgrywała się na głównej scenie. Dzika, tropikalna noc w młodym Nowym Jorku, a upał na zewnątrz przekraczał możliwości zdezelowanego systemu chłodniczego teatru. Zauważyłem, że jakiś zadziwiająco intymny odór wydzielać się zaczął z mojej wynajętej marynary i to wcale nie jeden zapach, lecz cała zabójcza rodzinka wzywów najrozmaitszych tłuszczochów, ślad po tysiącu spoconych, brzuchatych, oleistych opojów, którzy wbijali w nią swoje lepiące się cielska i którzy znów ją będą wkładać, gdy ja się z nią rozstanę. Czy ludzie za mną siedzący czuli jakiś zapach? Fakt, że Martina co raz to pociągała nosem i krzywiła się z niesmakiem. Za każdym razem, gdy poprawiałem się w fotelu, marynarka wybierała kolejny zabójczy zapach ze swej szerokiej gamy. Albo była to paranoja moich nozdrzy, albo rzeczywiście cały ten bukiet dodany został za friko: ten smród petów w popielniczce, przypalonej zupy, oblepionych nasieniem kabin z przybytków porno, zapaszek błyszczących świerszczyków, musujący odór wódy. Nie ma dwóch zdań, że całe to gówno nawarstwiło się latami na jakichś obleśnych, przegrzanych grubasach, cierpiących na niezbyt jelit. Podrapałem się w nos. Fuj. Znów jadowity pierd wymknął się spod prawej pachy. Poraził nozdrza Martiny, a jej buźkę przeszył skurcz. Spoko, spoko, bez nerwów, koilem siebie w duchu, starając się uprawić w stan bezruchu i transu.

Los podrzucił mi jeszcze jeden powód, żebym się raczej nie wiercił. Potrzeba wysiusiania się – silna już godzinę temu, gdy jadąc do Martiny obsesyjnie obmyślałem pełen wrażeń i pożytków pobyt w jej łazienko-sraczu – wyewoluował teraz w nową

erę wyrafinowanej udreki. Czułem się, jak gdybym trzymał na kolanach rozgrzaną do białości armatnią kulę. Myślałem, rzecz jasna, żeby skoczyć do klopa, ale nie widziałem, żeby ktokolwiek to robił. Nie jesteś przecież w jakimś szemranym kinie, nie wszystko tu uchodzi. Ludzie, którzy chodzą do Opery, w ogóle nie korzystają ze sraczy, nawet u siebie w domu. A gdybym jeszcze, na dodatek, wstał w tym swoim cudacznym stroju, to dopiero byłaby wesołość. Czysty obciach. Więc krzywiłem się, skręcałem i starałem się rozluźnić ten dławiący mi pęcherz pas. Smrody migotały niczym feeria neonów. Otello ryczał nad chusteczką małzonki. Martina pociągnęła nosem, poruszyła się. Może żal jej się zrobiło Otella. Nie wiedziała, biedaczka, na jakie męki Otello skazywał mnie, jakie to niewysłowione cierpienia znosić musiał ten buzujący bojler u jej boku.

Kurtyna spłynęła w dół. Parter szalał w owacji. Na uginających się nogach podążyłem za Martiną, wpierw między rzędami, a potem środkowym przejściem do wyjścia. Na półpiętrze dojrzałem jakieś toaletowe logo, i rzuciłem się do wrót nadziei. Jezusie! Tylko dla kulasów! Drzwi tarasował elektryczny wózek, i biało ubrany pielęgniarz czy medyk rzucił mi oburzone spojrzenie. Stałem jak wryty, obróciłem się – i dostrzegłem Martinę dość daleko, jak siedzi samotnie na wyściełanej ławie i otwarcie płacze; poszukiwała czegoś w głębinach swojej torebki. Dużo bym dał, żeby ludzie nie starali się robić jeszcze czegoś innego w tym samym czasie, gdy płaczą. Już sam płacz jest wystarczająco bolesny. Pośpieszyłem do niej. To tylko Otello, myślałem, i mówię:

– To przecież nie jest naprawdę, wiesz. To udawanie. Chryste. Co ci się stało?

Podąłem jej rękę, a ona ją wzięła i przycisnęła do twarzy, jakby bardzo potrzebowała dotknięcia ludzkiej ręki.

– Nie odchodź. Proszę, nie odchodź – szepnęła. – Posłuchaj.

Wiedziała wszystko. I znacznie więcej ode mnie. Ale czy może to dziwić? Wy także wiecie więcej.

I wiecie, jak to jest, kiedy te sprawy wychodzą; bo dowiadujesz się o nich w tak dziwacznej kolejności, że nie czujesz się w formie, by słuchać. Siedziałem więc, z kolanami wibrującymi jak pneumatyczne młoty, przygryzłem wargę i słuchałem. Odległy, rozpromieniony Ossie zawitał z Londynu tamtego właśnie popołudnia. Nastąpiła konfrontacja, bo Martina wiedziała; tak naprawdę to wiedziała od dwóch lat. Kobiety potrafią poznać. Potrafią wyczuć, wywahać. Przyznał się. Do Seliny, dzieciaka, pułapki. Był zły, wściekły; czuł się pokrzywdzony, zdołowany. Prawie Martinę uderzył, skurwysyn. Prawie. J ą. Jezu, gdybym kiedy... Powiedziała mi, że

przez całe życie bardzo chciała mieć dzieci, od czasów własnego dzieciństwa. Ossie ich nie chciał, nie lubił bachorów, choć przykładał się, trzeba mu to przyznać, i robił, co do niego należało. Właściwie to próbują już od pięciu lat. Przesiadali, trzymając się za ręce, w poczekalniach gabinetów lekarskich. Przyjmowali całe serie cudownych, nowych leków o rewelacyjnym działaniu. Ossie spuszczał się do probówki i łąził nago po domu z termometrem wetkniętym w tyłek. Znow pech, znow nie było dzieciaków. Niekompatybilność. Martina kosiła forszę. Całą forszę, zawsze. Ossie miał piękną pensję – dużo szmalu, z pewnością; bo po cóż miałyby harować tak, całymi dniami, kupując i sprzedając forszę, jeżeli nie dla forsy? Lecz prawdziwego szmalu, takiego, co to pławi się w sosie własnym, co to zawsze czeka do usług, i nigdy się nie wyczerpie, Ossie jednak nie miał. Więc Martina go wykopała. Dziś po południu. Bo nic nie działa na kobiety równie wyzwalająco jak forsa. Trzeba im się tylko przyjrzeć w chwili, gdy mają jej dużo... Martina wciąż nie wyjmowała swojej dłoni z mojej (parterowicze zaczęli już wracać z baru na swoje miejsca), podziękowała mi za to, że okazałem się przyjacielem. Była mi wdzięczna za, jak to ujęła, bezinteresowność. Chwaliła mnie za męski takt, który wykazałem, nie wspominając o roli Seliny w całej tej historii. Czowała, że może mi to powiedzieć (rozległy się właśnie dzwonki, bzyच्zeć zaczęły bzyच्zadła, a garnitury i długie suknie mijały nas z szelestem), gdy zdała sobie sprawę, gdy siedziałem tak u jej boku podczas pierwszego aktu, że ja także byłem poruszony, że ja także znałem ten szczególny ból oszukanych, tę ciszę cierpiącego... No właśnie, widzicie? Łączył nas wspólny ból, głęboko ludzki ból, łączyły nas ludzkie odczucia najróżniejszego rodzaju. Spojrzałem na jej palce, na jej paznokcie, i zobaczyłem, że je obgryzała. Ludzki ból dotarł aż do samych koniuszków jej palców, lecz tak naprawdę to tego bólu nie ujrzałem, nie dało rady.

– Martina – powiedziałem. – Kochanie. Ja...

– Już się zaczyna.

– Muszę skorzystać z klopa.

– Nie ma już czasu. Leć. Szybko.

– Gdzie?

– Tam.

– Nie mogę. To tylko dla kalek.

– Leć. Już cię nie ma.

Po dwóch minutach byłem z powrotem i popędziliśmy do naszego rzędu.

– Dobrze się już czujesz? – zapytała, gdy już usiedliśmy. – Wyglądasz na zdruzgotanego.

– Czuję się świetnie – zapewniłem. Lecz wcale tak nie było.

Bo byłem zdruzgotany. Nie potrafiłem zdjąć tego pierdolonego pasa, tego, jak to się nazywa, kummerbundu. Co za pieprzony pomysł! Śledzony jadowicie ironicznym spojrzeniem toaletowego dziadka, podskakiwałem, wyginałem się, kłamię. Skończyło się na tym, że jeszcze bardziej zacieśniłem pętlę na mojej zegarowej bombie, na moim pęcherzu, na moich kiszkiach gotowych do wybuchu. Głos Martiny dotarł jakby spoza, a ja, ocierając łzę, znów przekroczyłem czarne wrota cierpienia.

Ból jest bardzo cierpliwy, lecz nawet i on potrafi się niekiedy znudzić i wtedy ma ochotę spróbować czegoś nowego. Bo nawet ból potrafi się wkurwić, nawet ból potrzebuje rozrywki. Ból wcale nie lubi tylko dawać ludziom w kość. Po jakiejś godzinie przeniosłem się na poziom autohipnotycznej bezstronności, stanu wręcz nieważkości: przypominało mi to, w odległy sposób, owe buddyjskie stany powstrzymanego szału, jakich czasem na krótko doznawałem, gdy uwidaczniały się niespodziewanie (albo powiadamiano mnie o tym, z poważnym uszczerbkiem dla portfela) jakieś nowe i dramatyczne niedociągnięcia mojego *fiasco*. Wysłucham każdego dowcipu, myślałem, nawet wówczas, kiedy przedmiotem dowcipu jest moje życie, ja sam. Tak, nierzadko czuję, że najlepszy dowcip to ja; taki chodzący dowcip... Jednak, podobnie jak wszystko, jest już J co nieco wytarty. Gdy zobaczyłem, że moje życie ma jakiś kształt, jakąś formę, byłem pierwszym, który ryczał ze śmiechu. Cholernie dowcipne, myślałem. Kształty i formy życia wydają się naprawdę śmieszne, dopóki nie odczuwa się ich jako sideł czy przekleństw, nieludzkich ułomności i kalectw. Może wszyscy jesteśmy kalekami – a może stajemy przed wyzwaniem, jak to się tutaj 1 określa. I właśnie ja stanąłem przed takim wyzwaniem – no i wyzwanie zwyciężyło. Nie miałem najmniejszych szans. W szczegółach na pewno jestem kaleką, ze swoimi zadatkami na trampa, ze swoimi cechami kloszarda. Mam zaniedbane kudły, szwankujące, pierdzące kiszki, gnijące, cuchnące dziąsła. Nawala mi serducho. Mam luki w wykształceniu i ogólnej wiedzy. Po prostu nic nie wiem. Jestem słabym, zagubionym, nieobliczalnym i lubieżnym stworzeniem. Potrzeba mi nowego wymiaru, znudziła mnie już jednokierunkowość... A teraz, gdy ta impreza na scenie miała się już ku końcowi, a ja, zastosowawszy kung-fu, zagnałem mój bezczelny ból w kozi róg (w tym pieprzonym brzuchu boleści), usłyszałem, jak panienka na scenie błaga o przebaczenie, samotnie, głosem przyznającym się do wszystkich przewinień i nałogów nieodłącznych od cielesnej natury. „Otello...! – Si...” Ach, na Boga, przebacz jej, kurde! Niektóre cipki, niektórzy w ogóle ludzie, nie wyrzekną się podwójnego życia. Jak gdyby jedno nie mogło im wystarczyć! Nie, oni wieść muszą życie podwójne. Daj jej mały wpierdol, w porządku, daj jej lekcję,

rozwiódź się z nią nawet, ale nie, tylko nie... A teraz trzyma poduszkę. Nie mogę już na to patrzeć. Tragedia, pieprzona tragedia! Nie zabijaj jej, nie zabijaj – bo przecież to jej natura, myślałem, i to z takim przejęciem, z takim zapamiętaniem, że potrzeba odcedzenia cewów znów dostała hysterii: i cała reszta spektaklu, to, w moich oczach, już tylko kwaśny deszcz...

– Odprowadzisz mnie do windy? – zapytała, a ja odpowiedziałem:

– Ależ oczywiście.

Martina stukała obcasami, wpięrowo po wejściowych schodkach, a potem idąc przez hall. Szedłem za nią, krokiem niezbyt pośpiesznym. Czuję... no cóż, nie miałoby sensu zaprzeczać – bo czułem się boleśnie szczęśliwy. Szczęśliwy aż do bólu, bo tak się chyba mówi. Podczas gdy ze dwadzieścia razy podnoszono na koniec kurtynę, zwierzyłem się ze swego dramatu Martinie: W chwili radosnej bliskości pomogła mi z tym kurewskim pasem i, niczym pies spuszczonej ze smyczy, pognąłem ile sił w nogach do najbliższego klopa dla istot nie przykutych do wózka. Sam się był bladawy, kolorystycznie i węchowo bez zarzutu – nie żaden rozogniony rubin czy przedzawałowa czerń, czego się tak obawiałem. Przepłynęliśmy następnie na drugą stronę ulicy i usiedliśmy w przepastnym barze starego hoteliszczka; naśmiewaliśmy się już do woli z mojego groteskowego stroju, rozmawialiśmy z poruszającą szczerością o Selinie i Ossiem, o Ossiem i Selinie. A potem zlekceważyliśmy stado napraszających się żółtych taryf, i ruszyliśmy piechotą, dolną Ósmą Aleją, mijając Dwudziestą Trzecią Ulicę, mijając Chelsea, bez najmniejszego skurczu serca.

– Zobaczmy się jutro? – spytałem.

Przybyła winda i rozsunęły się harmonijkowe drzwi.

– Tak, lecz co mam właściwie zrobić z twoją osobą?

– Nic.

Jej uśmiech był rozbawiony, a może pobłażliwy, a może po prostu przyjazny; był także ciepły, szeroki, szczery. Leniwie postąpiłem do przodu.

Martina cofnęła się do windy; zatrzymała się tam, stawiając mi czoło. Uczyniłem kolejny leniwy krok. Nie mogę się już teraz zatrzymać. A kiedy na jej twarzy zjawił się nagle lęk, pierwszą moją myślą było: ona chyba udaje, nie jestem aż tak tragiczny. Lecz wtedy poczułem twardą pierś uderzającą mnie w plecy i usłyszałem zamykające się drzwi: było nas teraz troje w unoszącej się w górę kabinie. Obróciłem się ostrożnie. Rosły czarny szczeniak, w wieku mniej więcej Felixa – nie, starszy, wyższy, drżący, z nożem o szerokim ostrzu, o długości dwudziestu pięciu centymetrów.

Ach tak. Więc to się zdarza. To zdarza się jednak naprawdę. Oto nas troje w windzie, i właśnie to się stało. No i co dalej? Nóż, ten połyskujący nóż, to raczej na poważnie. To wszystko poważna sprawa.

- No dobra, mały – mówię. Bo teraz moja kolej. – Masz może jakiś problem?
- Zamknij się – syknęła Martina.
- Piętro. Piętro, piętro!
- Siódme – odpowiedziała.

Trzepnął w guzik windy otwartą dłonią. Kabina szarpnęła, przystanąła i znów ruszyła w górę.

– Forsa – powiedziała Martina. – Chcesz pewnie forsy. Dam ci ją. Mam przy sobie siedemdziesiąt dolarów. Weź je. Masz, możesz to wziąć.

Podala mu torebkę na pasku. Uniosła wolną dłoń. Oto. Żadnych sztuczek, mówiła. Gramy w otwarte karty. Winda wznosiła się łagodnie w górę.

Martina do mnie:

- Oddaj mu całą forszę. Zrób to.
- Dlaczego?
- Rób, co mówię.

Na jej twarzy widniała duma lub gniew; wszystkie cechy woli ukazały się twardo w jej oczach. Ta twarz na chwilę zbrzydła i wiedziałem, że nie mam żadnego wyboru, tylko się jej sprzeciwić.

– Zaczekaj sekundę – mówię. – Przecież o nic jeszcze nie prosił.

Winda zatrzymała się. Chłopak odciągnął kratkę. Podporządkowując się gestowi uniesionego noża, tłumiącego wszelki sprzeciw, Martina ruszyła do drzwi.

– Nic tam nie znajdziesz. Weź nasze pieniądze, proszę. Obiecuję, przysięgam, niczego nie zrobimy. Weź naszą forszę i idź.

Jezusie, myślę, to sprawka tej pieprzonej winy. Ludzie świetnie prosperują z forszą, lecz gdy pojawi się ktoś naprawdę potrzebujący, i w dodatku z pokaznym nożem, to bogaci też zmieniają poglądy dotyczące podziału dóbr.

– Otwórz to – powiedział. I wskazał.

Martina przebierała klucze ze słyszalnym łkaniem. Dobrze, pomyślałem. Drzwi miały mnóstwo zamków. Żeby właśnie ich odstraszyć. Odwróciłem się. Co dalej? Nie mieliśmy pojęcia. On zresztą chyba też. Facet stał naprężony w dygoczącej gotowości, z nerwami napiętymi do granic możliwości, z tym swoim bandyckim nożem migoczącym w świetle. Tak, drżało, dygotało wszystko. Martina wciąż gmerała. Zza drzwi dotarło szczerkie pełne niepokoju, piskliwy psi oddech. Chłopak stał napięty, lecz sięgnął

już górnego pułapu. Najwyżej mógł eksplodować. Spojrzał w bok, ku drzwiom, pomyślałem: chuj mu w dupę, i posłałem grubą pięczę typkowi prosto w szczękę.

Przez chyba dziesięć sekund czegoś w rodzaju snu nie wydarzyło się nic. Szczeniak wpatrywał się tylko we mnie, zaskoczony, przybity. Obudź się, człowieku, pomyślałem o sobie. Braknie mi już pary. Uderzenie chłopaka to najgorszy pomysł, jaki mógł mi wpaść do głowy. A teraz zrobi z Martińką, co chce – tak, obmywszy wpierw nóż w mojej twarzy. Lecz on, po tej dziesięciosekundowej przerwie, po tej pełnej napięcia pauzie, odskoczył bokiem pod ścianę, a ja za nim, przyłączyłem się do gry, posyłając mu kolejną pięczę prosto pod serduszko. Głowa mu opadła, połyskujący nóż wciąż drżał w dłoni. Cofnąłem się, siłą odrzutu, ale znów natarłem całą wagą przechylając się pod optymalnym kątem, i wprowadziłem swe mięsiste kolano w jego odkrytą twarzyczkę.

Kiedy się bijesz, chcesz, żeby dla przeciwnika stało się absolutnie jasne, że to on przegrywa. Jak we wszystkich sportach, wysokie morale i właściwa postawa są absolutnie niezbędne – lecz mają kruche podstawy. Bowiem wysokie morale i właściwa postawa zniknąć mogą w chręście półsekundy, gdy nos wbity zostaje gwałtownie w głąb twojej buzi. Potrzeba wtedy tygodni, a nawet miesięcy, żeby się po tym pozbierać i nabrać znów ochoty do walki – a musi ci na to starczyć ta druga połowa sekundy. A w tym właśnie czasie dwa cuchnące paluszki zdążą ci się wbić w oczodoły, a poorane dziobami czoło zdąży rąbnąć cię w zęby z impetem cegły.

Więc pieprznałem go kolanem w ryło, zdążyłem jeszcze kopnąć w jaja i strzelić pięściorem w mięsistą górną wargę. Rozległ się podwójny stukot i facecik obsunął się zgrabnie na podłogę. A ja pracowałem dalej, na automatycznej przekładni, i chciałem teraz spuścić mu manto. Jeszcze jedna rzecz dotycząca bójek – i może ta najmilsza: jeżeli uda ci się sprowadzić faceta na parkiet, to możesz się wtedy spodziewać, że co najmniej spuścisz mu wpierdol – wedle swojego już rytmu, wedle swoich już słodkich życzeń. Dałem mu więc wstępnego, sondującego kopa (czy dwa), lecz poczułem, że ktoś szarpie mnie za ramię, że ktoś targa mi kudły. No nie, znowu bójka? Odwróciłem się i ujrzałem Martińkę.

– Natychmiast przestań!

Spojrzałem na nią, dysząc, próbując się opanować. Dzieciak był załatwiony, skulony w kłębek na ziemi, nóż leżał obok, drżały złączone w czubek koniuszki adidasów.

– W porządku. Wezwij gliniarzy.

– Omal przez ciebie nie zginęliśmy. Zdajesz sobie sprawę?

– Co? – zmierzyłem ją wzrokiem. Chciała mieć wszystko pod swoją kontrolą. Przepuszczała, że potrafi poradzić sobie z całą tą historią dzięki sile swej osobowości.

Więc po co te moje wyskoki, po co to barbarzyństwo.

– Ach tak? – dodałem. – Chodzi ci chyba o to, że to on mało nas nie zabił.

– Dajesz im forszę, a oni dają ci spokój.

– Nie słyszałaś? Forsa już im nie wystarczy. Chcą zemsty. Nie można odpędzić ich forszą. Forszę wezmą, ale i tak pokroją cię na kawałki.

Chłopak poruszył się i próbował się podnieść. Ze skupieniem zaszedłem go od tyłu i od niechcienia wlepiłem mu kopa w dupę.

– Ale z ciebie brutalny skurwysyn...

– Zgoda, a z ciebie pieprzona cnotka.

– Cnotka?

– Wytlumaczę ci później. Zawołaj gliny. Zaraz.

Otworzyła drzwi brzęczącymi kluczami. Obiema dłońmi oparłem się o ścianę... Chłopak miał oczy otwarte. Nóż leżał blisko, ale ten dzieciak już się wystrzelał. Wywietrzały mu z głowy harce. Przynajmniej na dziś.

– Sam jesteś? – zapytałem. Smętnie skinął głową, ja także. Adrenalina czy jakieś inne paliwo walki napędzające mój system chyba się całkiem zestaliło, bo czułem teraz całą swą wagę ciężącą kościom. Mogę wygrać bójkę, mogę wygrać, w jakimś sensie, całkiem łatwo, lecz na moim etapie życia nie będzie to duże zwycięstwo... Przez chwilę wpatrywałem się w niego, w tę pokonaną, płaczącą twarz. Był za młody i o wiele za miękki na tego typu zajęcie. Właściwie to byłem zdziwiony, że miał na tyle energii, żeby się do nas przypiąć. Nie wyglądał na kogoś aż tak przymuszonego potrzebą, aż tak zdesperowanego. A może Martina i ja wyglądaliśmy na łatwy łup – dziewczyna wysoka, lecz wąta, i tak, jej kolega, kłown Bozo. Zerwałem z szyi muszkę. Cień wybiegł w podskokach na korytarz. Przywitał się ze mną, a potem z łbem podskakującym jak kukielka obwąchał naszego przyjaciela na ziemi. Rozważywszy rozmaite opcje, Cień obdzielił go serdecznym liźnięciem po ustach. Była to pewnie ostatnia rzecz, jakiej ów dzieciak potrzebował, jeszcze jeden prztyczek bardzo paskudnego wieczoru.

Wróciła Martina. Pochyliła się nad chłopcem przybierając rzeczową pozę, typową dla kobiet oglądających dzieci w wózku czy kwiaty.

– Dobrze się czujesz? Jak z nim?

– Spoko. Kiedy przyjadą?

– Jest piątek wieczór.

Spojrzeliśmy w dół na chłopaka, a on w górę na nas. Zmieniłem pozycję, a lęklivity skurcz, jaki przebiegł mu twarz, ukazał zęby, które dalekie i były od perfekcyjnego użębienia Murzynów: mignęły przebarwienia i złote koronki. Czarny w Nowym Jorku

miewał swe problemy, lecz nie należała do nich dentystyczna fuszerka. No cóż, niefart. Podobnie jak z tymi panienkami, co to mają przy kości, ale za to są płaskie jak decha. Niefart. Podwójny niefart.

– Puśćcie mnie – poprosił.

Tę propozycję musiałem obśmiać.

– Ho, ho, chciałoby się, przyjacielu. Przed chwilą machałeś mi przed nosem nożem. Radiowóz już jedzie, a ty chcesz, żebym... Co sobie wyobrażasz, że jestem pieprzniętym liberałem? Spójrz no tylko na siebie. Nigdzie dziś nie pójdziesz, robaczk. Niezłe sobie wymyślił!

I odwróciłem się do Martiny.

To jednak prawda, co mówią: to naprawdę duże ryzyko, gdy napadną na ciebie w tym mieście. Duże ryzyko, że będą duże kłopoty.

Po pierwsze jest przecież ryzyko odniesienia uszczerbku na zdrowiu. Następnie wszelkie niewygody i wplątanie się prawa. A na dodatek może się to okazać kosztowne.

Cholernie się natyrałem, żeby postawić faceta na nogi. A potem omal nie pękł mi kręgosłup, gdy zaciągałem typka do windy. Winda przystanęła po drodze, i starszawa damulka z pudłem, łypiąc podejrzliwie, dołączyła na trzy ostatnie piętra. Nie sądzę, żeby cokolwiek dostrzegła. Być może nie zostaje się starszawą damulką w Nowym Jorku, jeśli dostrzega się za wiele. Zawsze lepiej stać sobie spokojnie z boku z niewinną miną pudelka. Kuśtykając trzyosobową ławą poprzez hall, usłyszeliśmy łkanie i czkanie syren, i zwróciłem się do Martiny:

– Postawmy sprawę jasno. Jeżeli są już przed wejściem, strzelam mu kopa w dupę i oddaję glinom. Nie będę się opieprzał. W porządku?

Stała na zewnątrz, wypróbując nośność biegnącego nad ulicą szeptu. Przyłączyłem się do niej z tym moim podłużnym, gulgoczącym ładunkiem. Dalej, na Siódmej Alei, ludzie wciąż kłębili się w całonocnych delikatesowych sklepach i sklepikach, wokół porno-shopów i papierosowych kiosków. Dwa wysokonogie greyhoundy, podniecone pierwszą wieczorną eskadą na gorący Manhattan, przetruchtaly wyniośle, wlokąc za sobą leciwego woźnicę rydwanu. Spojrzałem w prawo, spojrzałem w lewo, oraz na drugą stronę ulicy.

I kogóż zobaczyłem, jak nie tę cipkę, tę rudą, znajomą cipkę, podpierającą latarnię, z papierochem w uniesionej ręce, w dobrze znanej mi pozie wyzwania i wyrzutu.

Strzepnąłem gnojka z ramienia i mówię:

– W porządku, a teraz dyla.

Ale to on dostał w dziób tej nocy, i to z naddatkiem. A powiem wam, że nie miał tu czego szukać, nie miał czego szukać w tym światku prawa i porządku.

– Pomóż mu.

– Właśnie próbuję. – Jeżeli tylko uda się go zawlec na Ósmą Aleję, myślałem, to może sobie leżeć przed jakąś bramą czy nawet w kałuży, i nikt nie zwróci uwagi.

– Pomóż mi.

Rozklekotana taksówka sunęła powoli ulicą. Zerkąła na nas niczym złośliwy smok, a żółte ślipia łypały już z wiekiem ostrożniej. Martina podbiegła do rzęcha, a ja za nią, trójnożny zawodnik; taryfa zwolniła jeszcze i stanęła. Gruby, upstrzony plamkami kierowca wpatrywał się w nas z wyrazem wszechwiedzy.

– Zabierze go pan? – zapytała poufnym tonem Martina.

– Chory?

– Nie, zdrów jak ryba – mówię. – Ma dwudziestkę. Tylko...

Sięgnąłem po portfel, zmieniając przy tym postawę. Dzieciak opadł na chodnik. Znowu.

– Nie da rady – powiedział kierowca. Nie poruszył się wcale. Wydawało się, że zaraz zaśnie. Jego taksówka była domem prawdziwszym od domu. Wyglądał, jak gdyby tkwił na tym przednim siedzeniu już ze dwadzieścia lat.

– Podwójna zapłata – zachęcam.

– Powiedziałem, że nie da rady.

– To przecież brat, co, nie? Złe mówię? To przecież jeden z waszych.

– Nie mój problem.

– W porządku – mówię Martinie – niech biorą go gliny. Zrobią to za friko. Mam już to wszystko w dupie.

W naszym kierunku nadpływały nowe syreny, dwa albo trzy skrzyżowania dalej. Dojrzałem koguty trzepiące błyskami powietrze gdzieś nad Christopher Street. Kierowca zaczął z zadumą:

– Wygląda, że wy, ludzie, chcecie mu zrobić krzywdę. Ściągacie na niego gliny, a potem wam się odmienia, czy coś w tym guście. Wygląda, że muszę poczekać, żebyście wytłumaczyli, co trzeba.

Na tym etapie instynkt podpowiadał mi, żeby się zmyć. Lecz taksiarz gładkim wstecznym ruchem zwisającej ręki odbezpieczył tylne drzwiczki i uśmiechnął się do nas z senną nieco ironią.

– A pan, szefie – powiedział – panu to generalnie powiem, że swoją pieprzoną forszę niech pan zatrzyma dla siebie. Ale mnie da pan pięćdziesiąt. I dwudziestkę za kolegę z

tyłu. Taryfa za przejazd.

W końcu rozbiliśmy rachunek na pół, Martina i ja. Chciała zapłacić sama – ale ja też, z pewnych powodów, prawdopodobnie genetycznych. Bo przecież to ona zabuła za Otella. Jest w końcu bogata – zważcie! Na wejściowych schodach wziąłem Martinę pod rękę. Ruda cipka wciąż tkwiła na posterunku. W świetle latarni, okolona liśćmi, przytknęła zapałkę do kolejnego papierosa, uchylając do połowy welon, przygarbiając ramiona. Nie wydaje się dziś szalona, pomyślałem. Wydaje się panować nad swoją dziwnością.

– Widzisz tę kobietę? – zapytałem. – Śledzi mnie. Śledzi mnie w nocy.

– To nie jest kobieta – odpowiedziała szybko Martina.

– Proszę?

– Spójrz na jej dłonie. A także na stopy, ramiona.

Spojrzałem... Łydki były szczupłe, lecz przyspawane jakby do stopy, bez wgięcia, bez żadnych zakoli i łuków w miejscu złączenia. Ramiona były masywne, tak samo plecy. Jezusie, tak. A spójrzcie na ręce – to nie są ręce kobiety. To jakieś płetwy do trzepania konia. A teraz ruda cipka ładnie się wyprostowała. Nie wiedziałem, ile jeszcze zostało we mnie ducha walki, lecz tak czy owak zacząłem schodzić krzycząc:

– Hej, ty pedale! Hej, ty człowieku-psie!

Postać wycofała się zmieszana, z wahaniem typowym właśnie dla kobiet – lecz czy kobieta wycofałaby się tak łatwo?

– Hej, bracie, pogadajmy – rzuciłem, ale w tonacji walki (twardo, ponagląco, skwapliwie).

– Ty przebierańcu!

Nie, wcale jej się to nie spodobało. Gdy ruszyłem w jej kierunku, ona, pięć metrów dalej, zsunęła z gracją pantofle, pochyliła się, żeby je podnieść i, unosząc jedną ręką sukienkę, pobiegła szybko i jakby z konkretnym celem w kierunku Siódmej Alei. Stałem i patrzyłem za nią.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytała Martina, kiedy wróciłem. – Uraziłeś jej uczucia.

Mam taką teorię – nie wnikamy naprawdę zbyt głęboko w psychikę innych ludzi, nawet jeśli wydaje się nam, że tak jest. Prawie nigdy się tam nie zapuszczamy, niewiele potrafimy wydobyć na zewnątrz. Stoimy tylko w miejscu, u wejścia do jaskini, na progu otwartej paszczy, zapalamy zapałkę i pośpiesznie pytamy, czy znajduje się ktoś wewnątrz.

Zostałem sam na ulicy i uspokajałem grubaśnych gliniarzy. Musiałem długo czekać. Radiowóz, który wprawił mnie w taką panikę, jechał pod inne wezwanie: jakaś

pedalska sprzeczka czy nawet mord na Christopher Street, na Ulicy Wesołych. To jeden z manhattańskich pseudodowcipasów, kiepska gierka słów wymyślona przez spocony Manhattan.

– Wiesz, John – powiedziała podczas próby Butch Beausoleil, z twarzyczką rozjaśnioną zdziwionym samozadowoleniem – nie mogę zrozumieć, dlaczego mówi się geje, weseli. Przecież wszyscy z nich wydają się nieszczęśliwi.

Tak, pomyślałem. To kurewsko głupi żarcik. Weseli! Fielding miał rację. Podjechał następny radiowóz, a za nim karetka – człowiek w nasączonym krwią T-shircie, nosze, zgięta dłoń niepewnie machająca na do widzenia tej ponurej, brudnej ulicy. Pojawiła się na chwilę Martina z Cieniem, szklanką szkockiej z lodem i kluczem. Nadeszła także z powrotem stara dama z pudelkiem. „Dobry wieczór”, „Dobry wieczór” – odpowiedziałem z sąsiedzkim ciepłem w głosie... Zaś moje psy, gdy wreszcie się pokazały, nie sprawiły większego kłopotu. Zadowolilem ich bez trudu. „Miałem go w ręku, ale potem mi zwał”. Myślę, zważywszy na mój ubiórek i cały ten kontekst, że wzięli mnie za histeryczną ciotę, której łóżkowe nadzieje spaliły na panewce. „Wlałem mu, ale uciekł” – tłumaczyłem. „Wlałeś mu pewnie za mało...” Martina rozłożyła dla mnie pościel na sofie w saloniku. Zrzuciłem wszystkie ciuchy i przez dłuższy czas leżałem pogrążony w myślach. Gardłem komina dochodziły głosy i odgłosy. Słyszałem więc płacz, wyznania i wylewy smutku, gdy oddech zdaje się tak zgęszczony, jakby był ciecżą, gdy rozpacz tłumii samobójcze zamiary na mokrej od łez poduszce. Cierpienie nie przejmuje się skalą cierpień innych. Obce mu jest poczucie wspólnoty. Nie uznaje relatywizmu, prawda? Nie jestem przecież pierwszym, który to zauważył. A ten, który był tym pierwszym – czy miał do dodania coś więcej? Łzy lałyby się pewnie przez wieczność – lecz ja nie mogłem wytrzymać. Owinąłem się w prześcieradło i wspiąłem po schodach jak duch. Otworzyłem drzwi do pokoju chorej. Leżała przytulona do Cienia: wyciągniętego, zbolałego. Przez chwilę przypominał człowieka, jak gdyby awansował w hierarchii stworzeń, jak gdyby uwięziono go w innej niż psia naturze. Lecz zaraz zsunął się na podłogę, otrząsnął się z ulgą i przemknął obok mnie do hallu, zadowolony, jak się zdawało, że jakiś kwalifikowany ludzik pojawił się, by go zastąpić. Nic nie nastąpiło – a jednak. Trzymałem jej dłoń. Głaskałem po karku, żeby pomóc zasnąć. Robiłem pewne rzeczy, które przerastały możliwości Cienia. Położyłem się obok niej, w ciepłe psiego legowiska, pod ścianą deszczu dochodzącego do moich uszu niczym odległy aplauz. O Boże, myślałem z lękiem, a jeśli moje życie naprawdę nabierze powagi... Dopadaj je, gdy płaczą. Zbliź się do nich, gdy płaczą. Są wtedy słabe, bezbronne, świeże – nie zdołają ciebie odpędzić.

Z przyprawiającą o mdłości prędkością, z rykiem i brzękiem, szybowałem poprzez mój czas, łamiąc wszelkie zakazy, wszelkie ograniczenia czasu, szybkości, przestrzeni, przeskakując światła, ścinając zakręty, żłowiąc benzynę, ścierając hamulce, spalając gumy, łypiąc przez zapaskudzoną szybę, nie odrywając pięści z klaksonu. To ja jestem tym dudniącym pociągami, co przelatuje przez was z hukiem we śnie. Choć nie miałem konkretnego celu, pędziłem z dzikim zaślepieniem do kresu mojego czasu. Mknąłem poprzez życie w obłądnym, desperackim tempie. Chcę teraz trochę zwolnić, rozejrzeć się w krajobrazie, przystanąć tu i tam. Potrzeba mi kilku średników. A może Martina okaże się dużą pauzą... Nie potrafię się zmienić – może potrafi to moje życie. Może wystarczy sama bliskość Martiny... Może wystarczy, że po prostu usiądę ze szklanką w rękę i łaskawie pozwolę, że życie odwali za mnie całą pracę.

Otworzyłem oczy i śledziłem, jak impresje przybierały kształt... Okno za zasłoną i niebieskawa obwódka światła, twarde grzbiety książek na nocnym stoliku, bukiet kwiatów na marmurowej płycie nad kominkiem, w którym żarzył się rachityczny płomyk gazu, dobry do łazienki czy na zimowe poranki, mała toaletka z odchylonym w górę lustrem, z najniezbędniejszymi akcesoriami kasty kobiecej. Szczegóły i sakramenty, rutyna nie kosztująca nic, nie pociągająca za sobą ofiar. Taki właśnie kształt mogłaby przyjąć dorosłość. Polubić sen, polubić mleko, polubić to, co neutralne. Powietrze i wodę, a nie ogień i ziemię... Obróciłem się wzdłuż osi: ujrzałem kartkę, jej smukłe, zdecydowane pismo. Wstała wcześniej, jak czynią to dorośli: nie będzie jej cały dzień.

Zamknę dobrze drzwi, okej? Czy zobaczymy się wieczorem? Pa, całuję, Martina.

Skorzystawszy na krótko z łazienki, niespiesznie zszedłem nagi po schodach na niższy poziom mieszkania. Cień drzemał smacznie w snopie piaskowego światła. Trzepnięciem ogona o podłogę odnotował moją obecność – ospale, cześć stary, jak równy z równym. Rozwiesiłem wypożyczone ubranie, rzucone w skłębioną kupę. W świetle dnia zdawało się jeszcze bardziej groteskowe: radosny strój kłowna. Nie mogło chyba wyglądać aż tak tragicznie – w wynajętym świetle wieczoru... Siedziałem na sofie, rozmasowując twarz. Czuję się nadzwyczaj dziwnie – nieswojo, tępo, bez pary. Kilka dobrych minut myślałem, że muszę być naprawdę chory – na poważną, nie znaną dotąd, nieuleczalną chorobę. Do objawów zaliczyć mogłem: upiorną ostrość widzenia, ociężałość głowy, drgawki kończyn oraz wodnisty smak w samej głębi ust. Juppi! – oto nadchodzą, myślałem, ta historia z płucami, ten numerek z serduszkami, ta zagrywka z mózgiem. I nagle zdałem sobie sprawę, w czym rzecz. Brak kaca! Tak oto wygląda ranek. Nie powiem, że dotąd nie znany. Już teraz pamiętam.

Trzeba to jakoś uczcić, coś wypić. To była pierwsza myśl! A jednak owa dzika

żądza okazała się w sumie całkiem łatwa do przezwyciężenia. Nie mając na sobie niczego oprócz papierosa, napiłem się pomarańczowego soczku, wskoczyłem w ciuchy, pomachałem na pożegnanie Cieniowi i ruszyłem w kierunku drzwi. Ale zaraz wróciłem. Obszedłem pokój dookoła i po pięciu (nie więcej!) minutach bezsensownej paniki zaakceptowałem sytuację bez oporu. Otóż Martina mnie zamknęła. Frontowe drzwi stały przede mną rozbrojone, ze wszystkimi zasuwami otwartymi, ze wszystkimi łańcuchami zwisającymi luźno, niegroźnie. Lecz drzwi nie chciały się otworzyć, nie chciały mnie wypuścić... Dobra, no i co z tego? I tak nigdzie się nie śpieszę. Miałem tu przecież żarcie i picie, i schronienie. Cały dzień spędzę więc na smyczy, w obroży. No i co z tego?

Po kilku oparzeniach i rozlaniach, skwitowanych ostrymi bluzgami, udało mi się wreszcie zaparzyć nieco kawy w jednym z tych srebrzystych naczyń, ustawionych na kuchennej półce niczym otwarte przyłbice. Cóż to się zawsze dzieje na tym froncie pomiędzy mną a nieożywionym, dotykalnym światem? Usiłując odkręcić filtr, zrzuciłem łokciem na podłogę kartonik z mlekiem. Sięgając po szczotkę z gąbką, potrafiłem kosz na śmieci. Obracając się, żeby ustabilizować rozchybotany pojemnik, trzepnąłem kolanem w otwarte drzwi lodówki, strąciłem słoik dżemu na duży palec u nogi, poślizgnąłem się na kałuży mleka i rymsnąłem na podłogę uderzając mordą w twarde śmieciowy kosz... Moje przecherki z ekspresem do kawy skończyły się tym, że kawusia opryskała każdy zakątek kuchni. Niemniej jednak wyszedłem na swoje z kubasem letniej, lecz bardzo czarnej kawy, która zrobiła się jeszcze czarniejsza, kiedy dodałem zebranego z podłogi mleczka. I udało mi się wlać w siebie tę lurę. Dobra – ale co dalej?

Powygłupiałem się trochę na podłodze z Cieniem, wykrzykując takie teksty, jak: „Spoko, spoko, mały”, „No i kto tu jest szefem” czy „Starzy przyjaciele”. Lecz mój stary przyjaciel wkrótce znudził się zabawą i pokuśtykał do swego słoneczka ziewając i wzdychając znacząco. Włączyłem telewizor. Poigrałem nieco guziczkami. Lecz tak czy owak na każdym programie miałem jakąś wersję konkursu „The Money Game” – cisza i buzujące napięcie, te same gęby prowadzących – a la pączek w maśle – i te same mordulki uczestników rozweselonych, całkowicie pochłoniętych zabawą. Wyjrzałem przez okno. Zadzwoiłem do Fieldinga, Felixa, Spunka i Caduty. Wyjrzałem przez okno. Przyszła mi do głowy myśl, żeby dokładnie i metodycznie przetrząsnąć rzeczy Martiny; dopiero pewna, odcisnięta w jej rzeczach, lecz trudna do sprecyzowania barwa jej osobowości przestraszyła mnie, i na chwilę dałem sobie luzu... Nie znalazłem zresztą niczego, co mogłoby mnie zaciekawić – ani w szufladach biurka czy toaletki, ani też

w komódce, ani w szafach, na regałach, czy nawet w walizce pod łóżkiem, i tak dalej. A jednak znalazłem wreszcie fascynującą rzecz, gdy na kolanach kończyłem inspekcję schowka na dole. Było to tekturowe pudełko opatrzone napisem OSSIE, bez wątpienia wstawione tam dopiero wczorajszego wieczoru i czekające, żeby je zabrał. Zawierało toaletowe przybory, parę płóciennych butów, jakieś brudne koszule, przedawniony paszport (młoda twarz, jasne włosy i klasycznie dumne spojrzenie), a także sakiewkę podróżną, pełną rozmaitych drobiazgów: rachunków, nieważnych kart kredytowych, zużytych biletów oraz świstek papieru z nagłówkiem „The Cymbeline, Stratford-on-Avon”, z numerem telefonu i godziną spotkania po jednej stronie, a wiadomością od Seliny na drugiej. „O! Ooooo!

– było tam napisane. – Bardzo niegrzeczny chłopczyk. Zakład, że nie przekażą ci tego w tym twoim banku. Czyli do piątej. S.”

Jestem już niemal pewien, że wewnątrz mnie żyje sobie taki mały człowieczek, który pełni funkcję ministra, szefa promocji albo koncesjonariusza trzepanek. To gorący orędownik rękodzieła: szczerze wierzy, jest najgłębiej przekonany, że owo grzanie gruchy, ładowanie konia, bujanie malucha, grzmocenie ogiera, to rzecz dla mnie dobra, wręcz zbawienna, i bezustannie stara się mnie do tego zajęcia zachęcić. No, stary, weź, ulżyj sobie... Tymczasem skoszarowany jest także we mnie mały, paramilitarny oddziałik, który w temacie targania druta ma całkiem przeciwstawne poglądy i chce ten wredny obyczaj wyplenić z korzeniami. Na szczęście, ta brandzelpolicja składa się z przypadkowych rekrutów, zajęta jest zawsze czym innym, szwenda się w innych rejonach i bije własną pianę... Zaprawdę, nie powiem wam, co to w istocie było, lecz nagle odczułem przeogromną wprost potrzebę, mus wprost nieodparty, posunięcia mojego koguta, tak, schlastania tego mojego wała, z pełnym pornusowym wspomaganiami. Oczywiście mogłem podreptać po prostu na górę, opuścić gatki i poddać się alchemii wspomnień. Laboratorium pamięci... Bo weźmy tę próbkę cipek: June, Jan, Joan, Jen, Jean, Jane i jeszcze inne, całe hodowle. Gdzie wszystkie się teraz podziały? I gdzie się podziewa Selina? Zabawne, jak Otello emocjonował się występkiem Desdemony: sama myśl, że jego ukochana oddała się białemu człowiekowi, że ktoś oddał się komuś. Kiedy będę stary, bogaty i sławny, powstanie, być może, moja biografia. Moja pornografia jest już wszakże na półkach, a jej dobrym upiorem jest Selina Street; wyrazy wdzięczności i podzięków skierować należy pod adresem tych licznych przebojowych stylistek, tych wolnych jak ptak wyszukiwaczy talentów, tych pracoholicznych konsultantów, tych wygłodniałych, wynędzniałych kierowników literacko-artystycznych, którzy całość sklecieli tak zgrabnie. Siły rynkowe są tym, czym są, odgrywają twardo swą rolę, więc

nie musiałem się podlizywać nikomu; nie, proszę państwa, na pewno nie w mojej pracy.

Czy aby dobrze mnie rozumiecie?

Czy ktoś, czyje życie miłosne jest równie bogate jak moje, w ogóle potrzebuje pornografii?

A ja – tak. Pornografia potrzebna jest mnie.

Zachęcony wyzwaniem, zacząłem węszyć od nowa. Cień poruszył się i łypnął ślipiem, z irytacją wyciągając szyję, gdy zwinnie myszkowałem w tym gniazdku, lustrując wokół zimnym, fachowym wzrokiem, najeżywszy wszystkie zmysły. Bo widzicie, nawet w najbardziej statecznych domostwach prawdziwy ekspert zawsze coś tam wynajdzie... A jednak wyciągnąłem blotkę, napalając się na półki z pismami w saloniku i w łazience. Materiał dla fachowców, dla biznesu, finanse, koneserstwo sztuki. No nie, nie powiem, że oczekiwałem całych roczników „Fellatia” czy jakichś innych „Analogierek”, ale zdziwicie się, jeśli wam powiem, jak często znaleźć można jakiegoś starego „Casanovę” czy „Plaything”, a już co najmniej „Rozkosz” lub „Słodycz”; w ostateczności jakiś katalog czy broszurę domu wysyłkowej sprzedaży, z szeroką gamą majtek, staników i gorsetów. Mlaskając językiem, przeszedłem do regałów z książkami, nakierowując swe radary na grzbiety jakichś Nowojorskich dziewczyn, a może Wiktoriańskiej bielizny, Amerykańskich modelek, Erotycznego masażu, Seksualnych dewiacji, Burdeli świata, Techniki onanizmu – czegokolwiek. Nic z tego! Historia, beletrystyka, filozofia, poezja i sztuka. Nic! Bajeczna bryndza! Wzburzony i zniesmaczony, przejrzałem koperty longplayów w poszukiwaniu jakiejś zachęcająco obnażonej punkówki czy choćby buzującej pieśniarki soulowej. I co znajduję? Duńskie krajobrazy, stylizowane zwierzęta i wróżki, i kupę klasycznego jazzu, czyli wyliniałych czarnuchów o brwiach jak wąsy morsa i rozdętych intelektualnie nozdrzach. Jezusie, co to za rąbnięty dom? Pobuszowałem ciutkę na górze i znalazłem stary albumik z Martiną w opiętym jednoczęściowym kostiumie, wspartą o ramię Ossiego, plus jakąś nieznajomą panienką w toplessie, baraszkującą pod ogrodowym prysznicem. No nie, trochę cienko! Nie wiem, jak określić można pornografię – lecz na obrazku widnieje gdzieś forsa. Forsa gdzieś się tam czai, przy jednym albo przy drugim końcu. Bo forsa obecna jest zawsze. W ponurym nastroju wróciłem do wielkiego regału, podwinąłem rękawy i zabrałem się do roboty.

Po godzinie zebrałem, co trzeba. Zadowolony ze swego dzieła, popełniłem poważny błąd zabierając cały ten zestaw na górę w jednej, epickiej stercie. Wszystko było dobrze aż do ostatniego stopnia. Zachwiałem się, przechyliłem do tyłu, potknąłem, a może po prostu ugiąłem się pod zbyt dużym ciężarem. Tak czy owak, natychmiast (jak mi się

zdaje) zleciałem na łeb, na szyję i znalazłem się na dole z Cieniem szczekającym mi w twarz. Stał nade mną, dygocąc, nerwowo okładając schaby ogonem, prawdziwy miejski bernardyn, a ja tymczasem gramoliłem się spod cudacznej książkowej lawiny. Udało mi się wreszcie przytargać cały stos do sypialni i zwałem wszystko na wyro. Pornografia nie jest niestety zbyt miękka, a raczej twarda i ostra jak ta, myślałem dość niepewnie, utrudzony i z rzadką miną, odpinając jedwabny pas, ten kurewski kummerbund, lecz tak nasze sprawy stoją...

W końcu sprowadziło się wszystko do wyścigu tej oto trójki: „Kobieta w ogrodzie”, „Maja naga” oraz „Alina Mulatka”, gdy usłyszałem nagle orgazmiczny skowyt Cienia i odgłos zdecydowanych kroków pośpiesznie dudniących po stopniach. W konwulsji przerażenia zdążyłem tylko przewrócić się na brzuch... Martina otworzyła drzwi. Stała w progu ożywiona, z uśmiechem na twarzy... Później próbowałem wyobrazić sobie, co zobaczyła i jak ją to mogło uderzyć. John Self, leżący na brzuchu na rozrzuconej pościeli, z jedną nóżką wdzięcznie ugiętą, o zarumienionej cerze, lecz jakby trochę nieswój, gdy tak nieśmiało przerzucał albumy z dziełami starych mistrzów. W każdym razie Martina powiedziała tyle:

– Zamknęłam cię. Gdzie masz ten klucz, który ci dałam? No, no, nieźle potrafisz knuć!

I nagle, jak gdyby niespodziewana decyzja albo dawne postanowienie klepnęło ją po ramieniu:

– No, mały! Wskakujemy do łóżka! Wezmę tylko prysznic i już z tobą jestem.

Była ósma wieczór. Musiałem nieźle przysnąć, tam, na tych schodach. Od razu mnie trafiło, że nasz dzionek ma ciut dziwną barwę... A gdy zrobiliśmy swoje, przekręciliśmy do pobliskich delicatessen po zimne mięsiva i zimne białe wino. Pożywialiśmy się w łóżku, a jedzenie smakowało dziwnie, było nam jakby niechętnie. Jeszcze jednej rzeczy dowiedziałem się tego wieczoru, tego wieczoru, który nauczył mnie wiele. Desdemona nigdy nie zdradziła. Była wierna. Była szczerą. Nigdy tego nie zrobiła – nigdy.

Mam niejaką zagwozdkę; a przynajmniej powinienem ją mieć. Ja, który mierzę metr siedemdziesiąt osiem, wagę równe sto kilo. Ten prowincjonalno-szpanerski wygląd, ta słoniowata, luźna marynara i te połyskujące porty, te jaskrawe skarpetki i czarne zamszowe buty, ta niedookreślona fryzurka, zaczesane do tyłu włosy, nalane, łuskowate ryło, gębuła tłustawego węża, pyszczek zdolny do strachu i do nagłej karności, a także do nagłego buntu. Co jeszcze? Wy też w tym tkwicie, bracie, siostró, w oku tej obłądnej pogody, pośród starzenia się, chorób, forsy, wszystkich tych rzeczy i spraw, które przesuwiają się obok nas, lecz poza naszą kontrolą, podczas gdy my

wcale się nie zmieniamy. Tylko Martina wciąż stoi na zewnątrz. Kto jeszcze? Chryste, jej oczy zdają się płonąć. Gdy spotykają się nasze wargi, tak ostrożnie, jak gdyby w sprawie najwyższej wagi, to jest to pocałunek życia, tak, i pocałunek śmierci – potrzeba dwóch istot, żeby pocałunek zaistniał. W jej obecności, w jej blasku, tak sobie niekiedy myślę... że być może, być może, nie trzeba, wcale nie trzeba tak bardzo się wstydzić. Czy pozostanę tu dłużej, w jej blasku? Nie mogę w to jakoś uwierzyć. Nie mogę – a czy wy możecie? Ale próbuję, próbuję, Bóg mi świadkiem, próbuję.

A teraz już to się dzieje, to wszystko się dzieje, i nie potrafię już tego zatrzymać. Lecz jestem przecież reżyserem, więc muszę robić to wszystko, czego oczekuje się od reżyserów. Cały ten kołowrót muszę trzymać za mordę w swej głowie, muszę pilnować, żeby nie odleciał w sfery tak mu bliskie, które ukochał – czyli w obszary chaosu.

Muszę zachować formę, muszę być twardy, stanowczy. Muszę wywierać ambicje i charaktery, i postępować realistycznie, z wyczuciem – kto, ja...? Zaraz po wolnym weekendzie Święta Pracy wyłaniamy się z tunelu manhattańskiego sierpnia i wkraczamy w dzień pierwszy epoki Kręcenia Zdjęć. Dzień pierwszy – zaczynamy więc kręcić. Mam czek na kilkaset tysięcy dolarów. Czyż nie jest to niewiarygodne? Mogę mieć tylko nadzieję, że fakt ten wspomogę moją ufność we własne siły, że podbuduje mój napęd, o czym opowiem wam później.

Kevin Skuse i Des Blackadder są w mieście. Przylecieli wczoraj pierwszą klasą, a teraz uwili sobie smętne gniazdko w hotelu „Hogg” na Wschodniej Sześćdziesiątej Piątej Ulicy. Odnoszę wrażenie, że do tej pierwszej klasy przyzwyczaili się znacznie szybciej ode mnie. Lecz to jest cała etykieta naszej dzisiejszej, wulgarnej, forsiastej i wielce mobilnej młodzieży – nie bądź wечно niezadowolony, bierz wszystko, jakby ci się należało od zawsze. Chłopie, ile bym dał za ten styl, za tę swobodę naszych chłopaków! Cecil Sleep, Micky Obbs oraz Dean Spares pojawią się jutro. Natomiast wszyscy dekoratorzy i rekwizytorzy, charakteryzatorki, chłopiec od klapsów i garderobiani, a nadto pani herbaciarka, fachmani od zmieniania ręczników czy gońcy, którzy skaczą po papierosy, spłyną tu w przyszłym tygodniu jedną wysoką falą. Mam nadzieję, że będzie to miało zbawienny wpływ na moje wyczucie proporcji; ale o tym później.

Wraz z Fieldingiem zostaliśmy teraz najemcami-założycielami Blithedale Projects, tego nowego filmowego kompleksu po Górnej Zachodniej Stronie, o którym musieliście coś już czytać. Do niedawna owa Dolina Radości była pensjonatem dla emerytów: nadal wygląda jak stary londyński dworzec albo jakiś wyśniony, bajkowy okręt wojenny, przycumowany do krętego, wzburzonego, pokrętnego Broadwayu. W ubiegłym roku jakiś geniusz od nieruchomości zdołał wykopsać staruszków pod

pretekstem pożarowego zagrożenia – wynalazł pewien kruczek – i teraz owa szara, wybebeszona atrapa podzielona jest na cztery prosperujące studia. W tym mrocznym, gorącym miejscu czuję się młody i mały. Zgodnie z obietnicami Fieldinga, studia Blithedale to rzeczywiście najwspanialsze, wymarzone atelier sztuki filmowej, począwszy od skomputeryzowanej pracowni montażu, aż po basen i zaplecze socjalne w podziemiach. Dwie przebojowe produkcje już się w Dolinie Radości smażą, a jeden z reżyserków to taki przysadzisty świrek z Soho, niejaki Alfie Conn. Jego kałdun piwosza jest dla mnie wielkim doprawdy pocieszeniem, podobnie jak wypłowiałe kudły czy ogorzała mordula kryminalisty. Wypiliśmy już razem drinka, stary Alf i ja, i facet cały czas traktował mnie protekcyjnalnie i starał się wykazać swoją przewagę. Przyznam, że mi to schlebilo. Na korytarzach, w windzie czy pokojach rekreacji chętnie miewam kontakt z ludźmi takimi jak Day Farraday, Connaught Broadener, Cy Buzhardt albo Cheryl Thoreau.

Żebyście tylko zobaczyli, jaki szacunek wzbudzam u portierów i gońców, scenografów i kierowników planu, nie wspominając już o gwiazdach, producentach, sponsorach. Nie uwierzylibyście! Podchodzą do mnie w tej podziemnej kantynie i szeptem wypytyują o moje nadzieje, marzenia, zamiary. Tak, jestem na fali. Liczę się. Jestem mile widziany. Potrafię sobie z tym wszystkim poradzić – teraz, gdy mniej piję. I mam nadzieję, że to wszystko mieć będzie prawdziwie zbawienny wpływ na moją formę i panowanie nad sobą – do czego wrócę później.

Oczywiście, zdarzają się wybuchy gwiazd, czarne dziury, białe karty, martwe słońca. Trzeba się na to nastawić, gdy ma się do czynienia z ludźmi, którzy sami chcą pisać swe życiorysy. Wczorajszy dzień był typowy. Wpierw zadzwoniłem do Butch, żeby omówić scenę wycierania śladów z kuchennej kłamki. Według scenariusza to ona wyciera kłamkę, aby zetrzeć ślady palców Spunka, ale w mniemaniu Butch scena ta zbyt zalatuje rutynowym sprzątnięciem kuchni, dobrym dla byle kwoki. Próbowałem ją przekonać i wreszcie się zgodziła, pod warunkiem, że Spunk przygotowuje wspólny posiłek.

– Spunk to wsiowy ciołek, John – powiedziała – kompletny przygłup; w sam raz to do niego pasuje.

Przekreśliłem do Spunka; on na to, że upichci coś z przyjemnością, ale pod warunkiem, że posiłek składać się będzie z jogurtu i lucerny.

– Butch to suka, John – powiedział – po prostu bogata suka. Nie potrafi niczego, nawet podać jogurtu.

Natomiast Spunk absolutnie się nie zgodzi, żeby Caduta umyła mu plecy, kiedy

on siedzi w wannie. To, powiedział Spunk, byłyby scena chora, zdegenerowana. Nim zdążyłem zadzwonić do Caduty, ona już mnie dorwała.

– Musisz tutaj przyjechać, John, żebym mogła ci to powiedzieć.

Potelepałem się taksówką do „Cycerona”. Caduta usadziła mnie i wzięła za rękę. Teraz, gdy nowa wersja scenariusza przewiduje pięcioro wpatrzonych w nią dzieciaków (epizodycznych, co prawda, lecz jednak...), Caduta usatysfakcjonowana jest rolą. Lecz potem dodała:

– Rozumiesz tę moją głęboką obsesję, John. Nie jesteś przecież ślepy. – No cóż, mówię (praktycznie siedziałem jej na kolanach), mogę się tylko domyślać, że chodzi o dzieci. Trafiłem, Caduta? – Zgadza się, John. Bo tak naprawdę nie znoszę dzieci. Nigdy nie znosiłam. Nie mogę nic poradzić, a działa to na mnie naprawdę destrukcyjnie. Więc myślę, że najlepiej, gdyby w ogóle tych dzieci nie było. Lecz przecież o wszystkim wiedziałeś! – Nie był to bynajmniej koniec. – I druga sprawa, John – zatrzymała mnie, gdy na palcach wycofywałem się do drzwi.

Ta druga sprawa dotyczyła trzysekundowej sekwencji, kiedy Butch grymasi nad kwiatową kompozycją. Dla Caduty było to nieprzekonujące. Niemożliwe, argumentowała Caduta, żeby taka mała, niedouczona dziwka grymasiła nad kwiatową kompozycją, podczas gdy Caduta znajduje się tuż obok, i właśnie ona, Caduta, mogłaby te kwiaty ułożyć. Sekwencja byłaby wówczas przekonująca. Przynajmniej dla Caduty. Przedzwoniłem z miejsca do Butch, która przystała – chłodno – na zamianę. Nie zobaczycie więc migawki, jak Butch układa kwiaty – niestety. Znalazłem się wreszcie w hallu, kiedy odezwał się telefon: poszukiwała mnie Thursday, żądała, bym zaraz popędził na decydującą naradę nad scenariuszem z Łomem Guylandem. Pognałem piorunem. Lorne przywitał mnie dziesięciominutowym uściskiem dłoni plus anarchistyczną, godzinną oracją, w której zawarł co najmniej z tuzin dosyć istotnych żądań. Chciał, przede wszystkim, więcej scen i rozbieranych, więcej odjazdowych zbliżeń typu 1 zoom, rejestrujących reakcje Caduty i Butch na jego męską gotowość, zmianę proporcji zbliżeń w ogóle, wprowadzenie nowej kobiecej postaci (arystokratycznej koneserki sztuki, która kocha Lorne’a całym swym sercem, choć nie ma wyrazistego wpływu na akcję), znacznie wydłużoną mowę na łożu śmierci oraz dziwaczną wstawkę – albo na samym początku, jeszcze przed napisami, albo, odwrotnie, przed napisami na końcu – kiedy Lorne leci concordem do Paryża, żeby odebrać Legię Honorową za zasługi dla światowej kultury. W przypadku braku zgody na którąkolwiek z tych propozycji, Lorne powołałby się na umieszczoną w kontrakcie klauzulę „swobody artystycznego wyrazu”; polecałby wtedy na nasz koszt – i na czas nieokreślony – do Palm Beach, i

przebywał tam aż do chwili, gdy „ci skurwiele nie rozsypają wreszcie tych spraw w swoich gównianych główkach. Ty, John, jako człowiek głębokiej kultury, na pewno to zrozumiesz”. O siódmej wieczór osiągnęliśmy wreszcie kompromis. Lorne gotów był zrezygnować ze wszystkich swych żądań pod warunkiem, że usunę jedno jedyne zdanie, wypowiedziane przez Butch w sekwencji pokopulacyjnej. W istocie było to słowo: „łau!” Z tej transakcji Lorne był wielce zadowolony; więcej, wprawiała go w stan euforii. Gdy szedłem już do wyjścia, Thursday wstała znad interkomu i uroczystym krokiem mszyła w moim kierunku, zastępując mi drogę. Była w różowych jak bielizna tenisówkach i w falbankowej bluzeczce filuternie podwiązanej nad pępkiem. „Chcę panu bardzo podziękować za to, co zrobił pan dla Lorne’a” – powiedziała z podniosłym wzruszeniem. Następnie opadła na kolana i poczułem na biodrach jej duże, gładkie dłonie. „Czy mogę ci jakoś pomóc?” – zapytała. Odpowiedziałem, że nie mam problemów, dziękuję, i szybko się wymknąłem. Odniosłem wrażenie, że jest przebrany facetem; a poza tym, nowe erotyczne komplikacje to naprawdę ostatnia rzecz, jaka byłaby mi w tej chwili potrzebna. Jeszcze do tego wróć.

Dotarłem na Ulicę Bankową parę minut po ósmej. Następnie... co cóż, moje wieczory są teraz wszystkie identyczne. Takie jednostajne. Dzisiejszy nie był wyjątkiem.

Otwieram mieszkanie własnymi kluczami (tak, tak, mam swój własny pęk...), przyciskając jednak – tak dla porządku – leciutko dzwonek, żeby dyskretnie zaznaczyć, że jestem. Klepię histerycznego Cienia i całuję jego panią w suchą, delikatną szyję.

Biorę prysznic. Zmieniam ciuchy. Wychodzę na taras z kieliszkiem białego wina. Opowiadam Martinie wydarzenia całego dnia. „Chyba żartujesz” – mówi. A może: „Nie wierzę. To żart. To nie może być prawda”. Podlewa kwiaty i słucha mnie niezbyt uważnie. Ten tarasik to jej wielka duma.

Oprowadza mnie po swoim ogrodzie, wymieniając nazwy kwiatów. Kilka tych nazw brzmi nawet znajomo za sprawą ogłoszeń, znaków firmowych, pudełek po czekoladkach, frutmaszyn. Ale teraz czuję się pewniej. Te wydęte purpurowe kielichy o rozwartych, rybich pyszczkach – to tulipany. Te nakrapiane, pomarańczowe stworki – ni to trąbki, ni to dzwoneczki – to lilie tygrysie. A te czerwone piękności o wyglądzie dziecięcego wiatraczka – no nie, to przecież róże, każdy o tym wie. Róże bywają różowe, a nawet, o dziwo, żółte. Natomiast te pnące się niewieście czepki o grubaśnych łodygach – to amarylis.

Gdy przyjrzeć się z bliska, woda z węża Martynty wyczarować może każdą pogodę: deszcz, ale także grad, śnieg, burzę i tęczę. Dotykając palcem kranu, Martina przywołać umie słońce albo grzmoty. Zawsze myślałem, że kiedy spotkam wreszcie boga pogody,

to trzeba będzie zdrowo zabulić. Oczywiście, żądałbym pełnej satysfakcji. Ale teraz ona jest moim bogiem pogody, wcale nie narzekam. W jej twarzy widzę bowiem... dostrzegam to w jej kroku, w jej postawie, ponad dolinami sadzonek... Pomogę ci – chciałbym powiedzieć. I wyczytuję w jej twarzy: „Jesteś moim księciem”. Właśnie. Więc dalej popijam wino.

Kiedy Martina szykuje posiłek, założywszy ręce stoję na progu kuchni. Jej ruchy są zawsze właściwe, delikatne, zwiewne. Tak, ma te swoje wdzięczne sposoby. Nawet zacieki potu pod pachami niebieskiego T-shirtu mają zgrabny, półkolisty kształt. Bo nawet pot szuka wzorców i form. Z uwagą przysłuchuję się tym miękkim pomrukowi wysiłku, skupienia i akceptacji, jakie wydaje ukontentowana Martina.

Jemy: omlety, sałatki, białe mięsa. Popijamy białym winem. Pilnuję szklanki, pilnuję wagi, pilnuję Martiny Twain. Trzymam nóż tak, jakbym trzymał ołówek. Nie przeżuwać w sposób kulturalny i rozmawiam z pełnymi ustami. Lecz już za późno na zmianę. Natomiast Martina je w sposób wyrafinowany – i niezwykle skromne ilości. Obawiam się nawet, czy aby nie cierpi na anoreksję. Kawa? Jakiś morderczy napar z Lewantu. Zmywa, a ja wycieram.

Muzyka. Nie żadne zachryple ballady czy inne kontestujące folksongi, jakimi czasem raczyła mnie Selina – ale jazz, opera, klasyka. Słucham – i czytam książkę, Freuda albo Hitlera. Nie żaden Pieniądz. Pieniądz przyprawia mnie o dygot, nawet gdy facet nawija coś o narodzinach włoskich banków czy początkach amerykańskich korporacji. Pojęcia nie mam dlaczego. Poza tym gramy w szachy. Zawsze wygrywam. Jestem naprawdę dobry: szachy to moja mocna strona. Jako szczeniak grywałem o pięć szylingów w pubach Hampstead czy Bayswater... Dopijam wino. Martina opróżnia popielniczki i zamyka drzwi na taras. Bardzo to wszystko cywilizowane, bardzo kulturalne. Idziemy do łóżka. Ale o tym później.

Wpierw jednak zabieram Cienia na spacer w świetle księżyca. Przystaję, trzymając w ręku sprzęt do zbierania kupek, podczas gdy Cień robi w skupieniu swoje. Ów zestaw – jak pamiętacie, kupozmiotka – zabieram na żądanie Martiny. Lecz nigdy go nie używam. Pewien typ – zawsze ten sam – wystawia swój tępy łeb z okna na parterze i wykrzykuje do psa i do mnie jakieś pierdoły na temat psich gówien. W ogóle nie odpowiadam. Mówię tylko: „Ładny piesek, Cień. Dobry. Taka piękna kupa. Taka duża”. Potem maszerujemy do rogu Ósmej Alei, by ujrzeć cudny kadr nowojorskiego nieba. W Cieniu odzywa się wówczas jego psia tęsknota. Zaczyna się od nerwowego, sinusoidalnego pisku, a kończy wilgotnym szczekaniem o oddech. Czy ma tu, w okolicy, matkę, braci, siostry? Wypalam ostatniego szluga; patrzemy w kierunku Dwudziestej

Trzeciej Ulicy, w kierunku midtownu, trzaskającego od elektromagnetycznego żaru, tego miejsca, gdzie wszelkie życie zerwało się z łańcucha i nawet nie potrzebuje nazw. „Czy bardzo szarpał?” – zapyta niechybnie Martina. Cień szarpie, lecz ja się odwajam i szarpie jeszcze silniej, dużo, dużo silniej.

– Jesteś święty – powiedziała Martina.

Położyłem tacę na łóżku i rozsunąłem zasłony. Wsypuję teraz do herbaty odrobinę cukru. Każdy dzień życia potrzebuje dokładnie odmierzonych dawek ciepła i słodyczy. Porzucając ciepło pościeli, moja wyschnięta dusza poszukuje dobrego ducha słodyczy w porannej herbacie. A potem, na ulicy, ale nigdy wcześniej, przypieczętowuję początek dnia papierosowym ogniem.

Jechać wzdłuż całej długości płaskodachowej Ósmej Alei – obserwując potyczki gangów oraz akcje policji – to mieć wrażenie, że właśnie się ogląda nakręcony przez przybyszy z kosmosu dokumentalny film pod tytułem Ziemskie żyjątko. Nie jest to, bynajmniej, film dobry; słaba reżyseria i montaż bez wycucia, brak jakiegokolwiek finezji i dystansu: błahe i nudne drobiazgi traktuje się na równi z tym, co naprawdę ciekawe. Bo nieustannie trzeba wybierać.

Przekroczyłem pośpiesznie wrota „Ashbery”, minąłem uśmiechnięte liberie i popędziłem schodami na górę. Czternaście kondygnacji, czternaście małych okienek – taka to była wspinaczka. Wpadłem do pokoju, rzuciłem na ziemię klucz – i tyle. Dysząc jak zardzewiały suwak, stałem w tym pokoju ziejącym grozą i złowrogim ostrzeżeniem, z bezładnie opuszczonymi rękami, przygarbiony, bez ducha – i nagle trysnęły mi łzy.

Może nigdy tego wszystkiego nie chciałem. Nie chciałem tak naprawdę. Jezusie – nie, nie chciałem tego w ogóle.

Poszedłem do łazienki, żeby zobaczyć, co powie mi lustro. Moje oczy... nie płakały przez długi już czas. Nie mają praktyki. Straciły już wszelką wprawę. Wyglądałem, jak gdyby te moje oczy płakały krwią, krwią życia, wszystkim, co posiadam.

Nadszedł czas, żebym wam wreszcie powiedział. Tak, tak, przydałoby mi się trochę... o, cześć, koteczku. Hej, Jezu – o tak. Tak, właśnie tak. Tutaj, wzdłuż szyi, ręka... o tak... Dobrze... lepiej... lepiej, naprawdę pomaga. Nie, nie przerywaj, jeszcze nie... nie odchodź... Zostań...

Tak, nadszedł z pewnością już czas, żebym wam opowiedział, to znaczy o sobie, o Martinie, o... Tak, czas wreszcie już nadszedł. Hej, braciszku, postaw no mi drinka. Bardzo chce mi się pić. Chcę poczuć na ramieniu twą dłoń. Utożsam się ze mną. Okaż mi współczucie. Użyj mi swego czasu.

No cóż, wiedziałem przecież, że nie będzie to seans tańca brzucha albo „tureckiej

rozkoszy”. Wiedziałem, że sprawa będzie poważna. Bo Martina nade wszystko lubi wic się, wykręcać, zwlekać, a wreszcie, gdy nadejdzie ten właściwy moment, to wtedy, nastrojona na maksa, dopasowana zgrabnie i dokładnie, unieruchomiona na amen, zaczyna odstawiać swój taniec poziomy – z zapamiętaniem, zręcznością, uczuciem. Prawdziwym uczuciem. Pracuje z całym oddaniem.

Robi to tak, potem tak, ale zawsze z uczuciem, po ludzku.

Takie odnoszę wrażenie. Przyznam, że jednak niepewne. Bzykaliśmy się – ile tego było? – z dziesięć długich nocy, noc w noc. A jednak muszę wyznać, no tak, bo wiecie, nie mogłem, jakoś mi się nie udawało... Właśnie. Wyjęliście mi to z ust.

Bo to jest trudne. To wcale nie jest łatwe.

Sama nazwa już o tym mówi.

Hard on. Postawić namiot. Nie ma lekko.

O Boże, mój Boże. Paskudnie. Paskudny dzień. Co to za wstyd. Co za przykrość. Życie to harowa i zgryw. Życie to hecna zabawa. Migocze, iskrzy się, kpi. Słyszałem ten dowcip, rzecz jasna. Stary jak świat. I mam swój własny udział we wszelkich wyrkowych kłeskach; radochach i kłeskach. Nie chce, nie może, nie staje; nie działa, pęka, na szmelc. Lecz nie słyszałem jeszcze tego dowcipu w jego wersji pełnej, serialowej. Bo tak. Podnosił się dla Butch Beausoleil. Dał się podnieść dla Seliny Street i tej szpanerskiej dziwki z Trzeciej Alei. Ta moja stara pyta poznała działanie w każdej możliwej postaci; zna każdy kształt, każdy rozmiar. Poznała dobro i piękno, brzydotę i zło. A dla Martiny Twain nie daje się podnieść. Nie, proszę państwa. Wygląda na to, że Martina nie przypadła jej do gustu. Ta moja starucha po prostu Martinę olała.

„To nie ma znaczenia” – powiedziała Martina wczoraj w nocy po raz dwudziesty z kolei. Leżałem obok niej w łóżku, nabrzmiała stukilowa łza, obolała, mrugająca nerwowo powieką, nasycona solą. „Naprawdę?” – jęknąłem. Objęła mnie i swym gorącym szeptem powiedziała mi wszystko, co jedna ludzka istota powiedzieć może drugiej. „Naprawdę?” – jęknąłem znowu. Nie sprawdzam się już nawet jako biologiczne stworzenie, jako najzwyklejsze zwierzę. Nawet jako zwykłe zwierzę nadaję się na złom. „Jezusie – westchnąłem.

– Jezusie, czy mam jeszcze jakiś sens?”

– Te książki trzeba kupić, panowie. Nie czytamy książeczek na miejscu. Nie czytamy. Kupujemy i bierzemy do domu. Książeczki czytamy w domu.

Stoję tu, w tym supermarkecie porno, poszukując wskazówek. Przeglądam błyszczącą, pachnącą woskiem broszurę, reklamującą kasety wideo. Babcie, dzieci, skato, złoty deszcz; lochy, S/M, zoofilia. Świecie, mój świecie, forso, moja forso.

Są pewnie ludzie, którym to potrzebne. Popyt i podaż, prawa rynku. Jesteśmy dość różnorodną załogą na naszym ziemskim statku – nie powtórzy się ten sam zestaw zębów, ten sam odcisk palca. Tu, na ziemi, mamy wszystkie gatunki. Całe spektrum odchylów i zboczeń – i nikt nie odczuwa wstydu. Już nie. Każdy ma jedną ambicję: być właśnie tym, kim jest, stać się nim jeszcze bardziej. To ta moda na mieć i być. Kobiетки też chcą być nie mniej niż ich faceci. Pedryle i lesby nie dadzą się zdeptać heterykom. Natomiast czarni mają już po dziurki w nosie całą tę dominację białych. Kryminaliści spokojnie robią swoje, nie wchodząc w drogę policji, która wciąż chce ich „zatrzymać”, „zastosować areszt tymczasowy”. Nawet pedofile – typ człowieka, co tak lubi gwałcić zasady, że zadowolili ich tylko dziecko – też chcą odsłonić skrywaną dotąd twarz; im też należy się przecież nieco szacunku. Dajcie mocniejsze światło. Nic przecież nie ma znaczenia. Rozglądam się po tym supermarkecie potrzeby, patrzę na stelaże z pismami, na ujutne kabiny rozkoszy, na dowództwo tego imperium obłożone workami szmalu: elegancki kontuar w samym środku sklepu. I czuję się naznaczony, na muszce, na widoku. Ci inni, pełni zdecydowania klienci obiadowej przerwy, bardzo szybko zaspokajają swoje potrzeby: robią to, co tylko chcą i lubią. Natomiast ja – nie lubię tego, co chcę. To, czego chcę, już dawno oddzieliło się, wyzwoliło od tego, co naprawdę lubię, i obserwuję ten rozdźwięk z prawdziwą bezsilnością i żalem. Wstydzę się tego – lecz zarazem czuję dumę. Wstydzę się tego, czym jestem. A czy jest to powód do wstydu?

Wróciłem znów do trzepanek. Ach, żebyście mnie widzieli! Więc znów jestem z wami – robię to samo, co wy! Dzień dobry, witam, witam. No tak, leżymy sobie wszyscy na grzbiecie, brzdąkając na swych gitarach niczym modele Picassa. To śmieszne, groteskowe – co jednak poradzić? Wiecie, jak to bywa z tymi ulicznymi cipkami w rozgrzanych latem miastach, tych dżunglach? Nie w tym rzecz, że pogoda je kusi, by wyszły.

Ciekawsze jest to, że to pogoda ściąga z nich ciuchy. Większą część ich ubioru. W tym warczącym obłędzie manhattańskiego szczytu, w tych pijanych szeregach ulic, kobiety przywołują naddatki swej kobiecości, te nadwyżki piersi i bioder, te wszystkie zapachy, emanacje – eksploatując swe upajające złoża. Bładzi mężczyźni przemykają przez tę gorączkę. Nawet Fielding wykazuje oznaki zmęczenia. „Kurewska parowa – powiada. – Slick, nie ma mocnych. Nie damy rady, możemy się tylko podłączyć”. Proponuje jakieś obłędne popijawy, pielgrzymki do burdeli, cipki z dostawą do domu, cipki na telefon, cipki z rabatem na wynos. Cipki, lisice, ptaszki, przystrojone diamentami zabytki. Tancerki, striptizerki, cichodajki, choinki, bunkrowy. Jeżeli dobrze

słyszałem, to powiedział, że wyrychtowałyby nawet weekend na Long Island z Juanitą del Pablo i Dianą Proletarią. Lecz mnie nie potrzeba tych wściekle wyszukanych pokus. I tak nie brakuje atrakcji.

Dam głowę, że nie uwierzycie. Coś tak głupiego. Nagle wydaje się, że połowa dziewczyn w Nowym Jorku nie marzy o niczym innym, jak tylko o tym, żeby wskoczyć w moje gacie – tak, moje gacie, te przechodzone już nieco Y-fronty z nadwierzoną, luźną gumką. Czy to jest właśnie sukces? Czy to jest ta bajeczna forsa? Czy to ma być ten społeczny awans, w jupiterach Martiny Twain? Obijając się po studiu Blithedale, natykam się – w kantynie czy w pokoju gier – na zgrabne, wystrzałowe dupcie, w opiętych, antyupałowych strojach. Podchodzą do mnie point blank, żadnych ceregieli i nie opieprzając się zbytnio proponują natarczywie spotkanka – u mnie albo u siebie. Przesiaduję w podziemnym barze szącąc blade piwo, porządkując rozbiegane myśli, a tu taka rozpalona dupa wspina się na sąsiedni stołek i łapie równowagę kładąc mi rączkę na udzie. „Postaw mi drinka, mały – posyła namiętny greps – bo cała w środku płonę”. Któregoś wieczoru, przysięgam, gdy szedłem o zmierzchu Czterdziestą Trzecią Ulicą, nowojorska kobieta zastąpiła mi drogę, rozstawiając szeroko nogi i upuszczając chusteczkę – czy coś w tym guście. W recepcji mojego „Ashbery” wyczekują lubieżne karteczki. Zaś w hotelowym lobby wyczekują lubieżne donice. „Czego chcesz” – pytam przez uprzejmość. „Omówmy to może w pokoju. Proszę, chodźmy do Ciebie”. Odpędzam je, pełen obaw i lęku, niepewny swych sił. Wypić, wypić do dna – jeszcze nigdy drink nie kusił tak słodko. Poprzestaję wszak na winie – i Serafimie. Poszukuję jakiegoś tropu w tej seksualnej brei, w tym bajorze gówna. I czasem przychodzi mi na myśl, że to ja jestem tym tropem, że to ja jestem sednem sprawy.

Najgorsze wieści zostawiam na koniec. Wydaje mi się – aniele, weź mnie pod skrzydła, Jezuniu, daj mi luzu – wydaje mi się, nie mogę, że czuję coś, nie!... że czuję takie pedalskie coś... do Spunka. Tak. Czy to nie groza? Kilka dni temu zabrałem go do Blithedale i postawiłem mu w kantynie obiad. Twarz marszczyła mu się w bólu nad jadłospisem i wdał się w niesympatyczny i zenujący zatarg z długowłosym kelnerem, gdy próbował zamówić tę swoją eteryczną sałatkę. Okazało się, gdy tak jąkał się, dukał, zmieniał co chwila zamówienie, że ten biedny dzieciak ledwie potrafi czytać! Omal nie zemdlałem z zakłopotania i czułości – spostrzegając przy okazji, jak uroczo napinają mu się mięśnie szyi, jak się uwypuklają, jak ekscytująco płoną. Kiedy sekretarka albo telefonistka anonsuje: „Spunk Davis chce z panem mówić”, uginają się pode mną nogi, dostają gęziej skórki, kurczą mi się jaja, jak gdyby po drugiej stronie czekała jakaś zabójcza szprycha. Kiedyś odczuwałem pociąg do dziewięcioletniej córeczki

Llewellyna – do małej Mandolinki, milutkiej Mando. Był to czysty erotyzm, nie ma dwóch zdań (uwielbiałem, jak mnie dotyka), i towarzyszyły mu klasyczne symptomy (wystarczyłoby jej krzywe spojrzenie, by nie pozostało już nic, tylko samobójstwo) – lecz nie miało to posmaku seksu, nie, z pewnością nie, był to erotyzm czysty, niepokalany. I być może to moje coś do Spunka to też podobny kazus. Więc czasem sobie mówię: spoko, spoko, mały, żaden z ciebie pedał, odzywa się tylko w głębi twoje młodsze ja. Zaś innym razem, pośród tej całej gorączki, tych wirujących myśli, zacząłem godzić się z myślą, że od samego początku zadurzyłem się po uszy w Fieldingu – od chwili naszego spotkania. Jezu, Jezu, Jezu – i co z tym fantem zrobić? Nic, przeczekał to, tak sobie myślę. Przeczekał i to. Trzeba tylko żywić nadzieję, że jakoś to wszystko będzie, i modlić się, żeby nie było gorzej. Zdzierzę to, jakoś to zdzierzę.

Dzięki mojemu wizerunkowi wielbiciela malarstwa i w ogóle konesera sztuk wszelkich, jaki sprytnie udało mi się stworzyć, spędziłem większą część tego burzliwego okresu poddawany wysokiej kulturze. Za sprawą Martiny Twain. Doświadczam więc teraz najprawdziwszego szoku kulturowego – stanu porażenia kulturą zbyt wysoką; doprowadza to mnie do totalnego zagubienia i oglupienia, kiedy wlecze się mnie poprzez te wirujące parkiety, labirynty korytarzy, ukryte wizje skąpane nagle w świetle. Trzeba wystawać w kolejkach i zabulić sporo kasy, żeby się potem móc mieszać z opryskliwymi pilotami wycieczek, Japońcami o twarzach jak flesze i całym panoptikum przygłupów, dziwaków, sępów, naciągaczy, studentów, mitomanów, samotników, bezrobotnych pseudoznawców – tą próbką zdeterminowanych konsumentów sztuki, wypluwanych przez żarna miasta. Wiele z tych okazów, jak spostrzegłem, wywodzi się z klasy pracującej – robotniczej, powiedzmy – o zapędach społecznego awansu; przyjeżdżają z miasteczek na wycieczkę w „kulturę”, przystrojeni w pstrokate kamizelki, w jadowite spodniemy w barwie ostrego różu czy sraczkowatego, imbirowego herbatnika. Mężczyźni to otyłe rzęchy w strojach niedzielnych myśliwych: drepczą, potakują, uśmiechają się głupio. Ich szanowne małżonki to typ gadającej lali, co to powie ci „mama” i nawet nasusia na rękę, gdy odpowiednio ustawisz jej dupkę; twarzyczki mają zręczne, okrągłe, błyszczące, pod perukami koloru bezy czy rybnej taramasalaty. Heroiczni konsumenci, którym udało się liznąć plasterek większości łakoci, a teraz naszła ich jeszcze chęćka na plasterek wyrafinowania. Wydaje im się, że można to kupić ot tak, jak w tanim supermarkecie. Może i mają rację. A ja? Jestem chyba po złej stronie toru. Po niewłaściwej, złej stronie Atlantyku. Jestem z Londynu, Anglii. Więc widzę jak na dłoni, że ta cała tutejsza heca z ciupciami kultury i sztuki to

sprawa nie dla mnie. Podczas gdy ci tutejsi wlepiają gały w obrazy, czytają książeczki lub orgazmują się Czajkowskim i Gershwinem, to mój uparty mózdzek pracuje non stop wokół forsy, Seliny, udanych erekcji czy wreszcie mojego *fiasco*. Próbuje, próbuję to zmienić, lecz jest to męcząca próba. Próbuje, wciąż próbuję.

Chodziliśmy z Martiną na rozmaite pokazy, wystawy. Takie konstruktywistyczne sztuczki gdzieś na East Side. Beton i stal, jakieś bujające się maszty, belki, zwisające liny, kojarzące się z ryszunkiem do ortopedycznej rehabilitacji. Modernistyczny happening gdzieś na obrzeżach Parku. Jakies podarte karty, ogromne szachowe figury, tarcza do gry w tryktraka, gigantyczne kości: supergigantyczne oszustwo. Oczywiście okazywałem entuzjazm, czułem, że tak potrzeba, lecz już od dawna nie nabierze się mnie takie czcze, przegadane gówno, i najczęściej poprzestaję na ogłupiałym wchłanianiu tego szajsu przy zachowaniu pokerowej twarzy. Wczoraj natomiast udaliśmy się na reklamowany pokaz klasycznych nagich rzeźb wyciosanych w marmurze. To ładne, miło było zobaczyć parę gołych kobietek, łypiących chłodno i obojętnie w tym piekielnym upale. Może nie były w najlepszym humorze, bo niedawno jakaś ręka przesłoniła im wdzięki listkami figowymi. To naprawdę groteska, wściekała się Martina, te wszystkie świstki i skrawki obłudy. No nie wiem, powiedziałem: a może to i lepiej zostawić coś dla wyobraźni. Nie chciała się ze mną zgodzić. Moim skromnym zdaniem te obnażone cipeczki wyglądałyby znacznie rajcowniej w ażurowych pończoszках, podwiązках, majteczkach z podpaskami i małym pejczykiem w ręku: to już, rzecz jasna, kwestia estetycznego odbioru. Są gusta i guściki. Na jutro zaplanowaliśmy wielki nowy show niejakiego Moneta, Maneta czy Moneya, czy jakiegoś innego jeszcze Francuzika.

Oto więc, po lekkiej kolacji, siedzę w salonie Martiny, popijając wino i pochyłając się pracowicie nad Freudem, gdy nagle dzwoni telefon... Nie, nie żywię już synowskich uczuć do Caduty Massi. Po prostu mam na nią chętkę. „Nie traktuję cię wcale jak syna, John – powiedziała mi dziś przy herbacie. – Dlatego też nie lubię Spunka czy Butch Beausoleil. Przypominają mi dzieci. Lecz ty tego nie masz”. Umieściła moją dłoń na elektryzującym kaszmirze swego łona – mój wacek poderwał się na nogi jak zamroczona sprężyna. Całe szczęście, że płuca księcia Kasimira wybrały tę właśnie chwilę, żeby obudzić go swym charkotem. Mówi mi Caduta, że teraz Lorne nazywa ją matką. Chciałby roztoczyć przed nią całe swoje życie, z chęcią by za nią poległ, jednak nalega, mimo to, na te rozbierane sceny. „Mamo – powiada – to może być takie piękne”... A teraz dzwoni telefon. Dzwoni telefon, niszcząc to, co nazwać musimy iluzją dorosłego świata, w którym się teraz znajduję, z moją książką, przewróconymi figurami szachowymi, ostatnim aktem Otella i cygańskimi fletami. Jestem już przecież

dorosły i mam już olej w głowie – niekiedy. Czytuję wyrafinowane pisma i chodzę na dorosłe filmy. Lecz teraz dzwoni telefon, i dzwoni właśnie dla mnie.

– To do ciebie – powiedziała Martina, podając mi słuchawkę, z wyrazem dezaprobaty i zdziwienia rysującym się (tak mi się zdawało) na ciemnych żyłkach wewnętrznej, delikatnej strony jej ręki.

To do mnie – domyślcie się kto.

– Skąd masz ten numer? – zapytałem naprawdę zaciekawiony. Byłem pewien, że nikt nie zna prawdy na temat sekretnych stron mojego życia. Pewien byłem, że wszystkich przekonałem, że co noc tylko dupczę, szlajam się po ciemnych zaułkach i schlewam w sztok. – Czyżby podała ci go twoja mda przyjaciółka?

– Nie zajmuje się już tą sprawą. Już jej nie widuję. Powiada, że z tobą to żadna zabawa.

– Słuchaj, musimy się spotkać. Naprawdę jestem gotów.

Jak już tłumaczyłem, nie ma większego sensu rzucać Frankowi telefoniarzowi słuchawkę. I tak znowu zadzwoni. Trzeba mu dać się wygadać, wyładować, wyszaleć, wyplakać, aż powie do końca swoje, aż się uspokoi i wreszcie ma ochotę powiedzieć „pa, pa”, wykończony, ułagodzony, wyszlochany. Frank telefoniarz lubi bowiem stanowić moralne prawo na temat stanu posiadania pieniędzy, orzekać, co ta kondycja oznacza, no i tak dalej, tak dalej, bez końca. Frank telefoniarz nie posiada żadnych pieniędzy. Nie posiada w ogóle niczego. Kiedy rozdawano właśnie ładny wygląd, wdzięk i wszelkie szczęście, Francio pojawił się na samym końcu kolejki – jak miałem, przyjemność mu przypomnieć. Jego odpowiedzią było wyliczenie wszystkich pięknych tortur, jakimi mnie kiedyś obdziali. Wysłuchałem, aż wyczerpał temat. Nastąpiła cisza i wtedy rzuciłem znienacka:

– Jesteś kaleką, prawda?

– Mam... mam... no tak.

Więc jak ci się to wydaje możliwe, że dasz mi wpierdol, ty gnoju? – chciałem go bardzo zapytać. Lecz powiedziałem tylko (i całkiem szczerze):

– Przykro mi, bardzo mi przykro.

Na użytek Martiny zbagatelizowałem sprawę.

– Jakiś zawiedziony aktor. Wciąż do mnie wydzwaniania.

– Czy to ten facet, który przebiera się za kobietę?

Coś w tym rodzaju przyszło mi nawet do głowy, ale teraz byłem już pewien:

– Nie. To bardzo niski facecik.

Opowiedziałem Martinie historię Nuba Forknera. Tak nawiasem mówiąc, to

zaangażowaliśmy Nuba, a także Christophera Meadowbrooka do ról dwóch głównych bandziorów. Są koszmarni we współpracy, ale naprawdę wierzę, że będą fantastyczną parą. Nub, szalony grubas, i Chris, przejrzały, przepity, przerżnięty. Coś jak ja z Alekiem Llewellynem, gdy spędzaliśmy razem wieczory... Scena, w której grozą Spunkowi – tak, tak, naprawdę mrozi krew w żyłach. Długie, powolne ujęcia, a napięcie powoli rośnie. Zazdrość, zółć, nienawiść – niech wzrasta to wszystko powoli.

Wyprowadziłem Cienia na spacer i poszedłem do łóżka z Martiną. Właściwie to nie chciałem już o tym mówić. W tej chwili to odstawiamy taki numer, że się głaszczemy wzajemnie i tulimy, tulimy i głaszczemy. Podobnie jak wszystkie panienki, Martina uwielbia ciepło: szumi klimatyzacja, a w łóżku ma swój prywatny grzejnik. Obejmuję ją, ściskam. Przepętnia mnie teoretyczno-abstrakcyjna żądza i coś jeszcze, czego nie jestem w stanie zrozumieć i nie potrafię zidentyfikować. Gdy tak leżę, istota ni to ludzka, ni to zwierzęca, jakby w ogóle nie istniejąca, drażę swój umysł w poszukiwaniu pocałunków i pieszczot, w poszukiwaniu delikatnego dotyku. A to wszystko zamienia się w pornografię... Pokój projekcyjny mojej głowy (tylko dla członków, lecz opłata klubowa niewielka) staje się duszny, zadymiony – stara, trzeszcząca remiza, lepiące się ławki, pety na podłodze, zacinający się film. I nic się nie dzieje. Co noc umieram śmiercią Desdemony wciskając twarz w poduszki... Wczoraj, pierwsza rzecz rano, chciałem popisać się poranną erekcją, swoją poranną chwałą. Możecie sobie tylko wyobrazić, jak bardzo byłem dumny. Lecz skończyło się mizernie. Musiałem iść się wysuszać. Czasami myślę, że mojemu orłęciu podcięto na zawsze skrzydła podczas owej tragicznej męki w Operze. A jednak to chyba nie wszystko. Nie tłumaczy to chyba wszystkiego; oj, chyba nie.

Spójrzcie. Poczekajcie no tylko. Oto ja znowu. Mogę się cały zobaczyć. Z uszczęśliwionym ziewnięciem powstaję z terapeutycznego materaca ostatniej międzynarodowej gwiazdki. Zażywam regenerujące piguły wielkości dorodnego ptaśka i biorę bicze wodne z witaminy C. „Dzień dobry panu” – to moja kąpielowa albo trener tenisa, a może fryzjer pudła, arcymistrz fryzury, guru wiecznej młodości. Wypijam poranną szklaneczkę niskokalorycznej, źródlanej wody, co to od razu cię upija. Mój terapeuta, którego jedyną rolą jest bezstresowe doprowadzenie mnie do samochodu, bierze mnie za rękę – i oto płynę Bulwarem Zachodzącego Słońca, ze skalpem użyźnionym gwiazdnymi nawozami, a gębusią napchaną kobaltem i strontem 90 – w kroczu zaś buczy mi cicho szlachetnym, komputerowym brzmieniem, bioniczna, warta milion dolarów, mikroprocesorowa seksaparatura. Operacja była przełomowym

sukcesem. To cudowne, cudowne, jak zdołano mnie odmienić.

Ale wiecie, czasem naprawdę czuję się, jak gdybym poddał się już temu generalnemu serwisowi w Kalifornii – tyle, że nic z tego, kompletna kłapa. Bo czuję się... prostytucyjnie. Jestem robotem, androidem, cyborgiem, kawalem kosztownej partaninki. Czytałem gdzieś – a może ktoś mi powiedział, może podsłuchałem to w jakimś pubie czy innej spelunie (to już część mojej prywatnej kultury) – że wysoki procent stworzeń naszej Ziemi, coś jakby jedno na pięcioro, a nawet jedno na troje, ba, jedno na dwoje!, jest szczerze przekonane, że ich myśli i czyny sterowane są przez stwory z pozaziemskich kosmosów. A ci ludzie nie są świrami czy bełkoczącymi babciami-kloszardkami: to normalni, nękania tinnitusem podatnicy (w tym urzędnicy skarbowi), prawnicy o wylupiastych ślipiach, szczeni biurokraci. Dawniej (jak dobrze byłoby wiedzieć więcej o tamtych czasach – o tym niedawnym dawniej; już pewnie niewiele się dowiemy), więc dawniej owe ziemskie zastępy niewolników rozmyślały na okrągło o Bogu, piekle, władcy ciemności, przeznaczeniu swej duszy, którą wyobrażano sobie jako żyjącą wewnątrz istotę, uśmiechniętego słodkawo anioła w różowej nocnej koszuli albo złośliwie wykrzywionego skrzata o zaniedbanych kudłach, pokazującego znaki zwycięstwa, trzepiącego bezustannie konia. Lecz teraz ów władca dusz jest ledwie graficznym cieniem przystrojonym w zawijasy i wydruki, o twarzy przybysza z kosmosu.

Czasem też myślę, że i mną kieruje ktoś inny. Jakiś przybysz z kosmosu zawładnął moim kosmosem wewnętrznym, jakiś pieprzony żartowniś. Ale nie przybył z kosmosu. Nie jest istotą stamtąd. Jest stąd, jest ze mnie.

Wstaliśmy późno, pożarliśmy szybciotko jakąś ekologiczną fasolę i trochę króliczego mięsa – kosztuje to niewąsko – i pognaliśmy taksówką do miasta. Prawie zapomniałem, jak wygląda deszcz, lecz dzisiaj mi, łotr, przypomniał. Sprawiał wrażenie, jak gdyby nigdzie nie odszedł, jak gdyby wrócił na swoje właściwe miejsce. Słoneczne piękno nowojorskich alei – zdałem sobie właśnie sprawę – to po prostu powietrze, nic, właściwie, lecz opracowane w surową symetrię; tak, tylko powietrze. A teraz perspektywy rozmyły się we mgłę: zniknęły w ziejących spalinami szczękach. Weekend Święta Pracy, ulice nagle puste i parę samochodów sunących jak bele drewna po rzece. Wygramoliliśmy się z taksówki i stanęliśmy w kolejce, chroniąc się pod różowym parasolem. Tego deszczowego popołudnia naszym człowiekiem w Nowym Jorku był bez wątpienia Edouard Manet.

Od razu przeniósł mnie do Paryża. Znaie ten obraz dziewczyny, usługującej w jakimś striptizowym klubiku czy innym burdelobarze – ten jej barowy uśmiezek, te

nie otwarte butelczynki szampana, te pomarańcze w szklanej misie, a za nią, w oddali, te szeregi obłądnych cylindrów... Dokonałem mojego paryskiego debiutu rok temu, kręcąc taką reklamę mrożonych steków z końskiego mięsa – absolutnej nowości. Wykorzystaliśmy obrazki i ryciny o motywach jeździeckich z tej małej galerii nad rzeką. Pomysł był taki: chłopak spotyka dziewczynę przed torem wyścigów Degasa i zabiera ją do modnego lokaliku, gdzie wcinają bogate w białko szkapokotleciki albo jakieś ogierburgery, czy co tam do diabła było... Paryż podziałał na mnie podniecająco, wręcz ściął mnie z nóg. Spędziłem kupę czasu na lewobrzeżnych bulwarach, urznięty w sztok, przepychając się przez tłumy kupujących, omijając naciągaczy, zatrzymując się co kilkanaście metrów; osadzona w szklanym płótnie wysokiego okna kafejki jakaś koścista, opalona blondyna albo mała iskierka o nastroszonej zawadiacko fryzurce, siedząc samotnie nad piwem czy filiżanką kawy, zdawała się czekać cierpliwie na kogoś takiego jak ja, żeby zajrzał do środka, i rozpoczął rozmowę w międzynarodowej mowie. *Bonjour, mon petite. Let me buy you a drink. Pourquoi* nie pójdziesz do mnie do hotelu. Chodź, chodź, chérie, przecież wiem, że to lubisz. Musiałem wylecieć na pysk, Boże, chyba z sześciu czy siedmiu tych miejsc, a może nawet dziesięciu, dwunastu, zanim dotarło do mnie w czym rzecz. Bo paryskie cipki mają swój paryski szarm, swoje paryskie sposoby. Tak ustawiły sprawy, że mogą sobie wysiadywać, kiedy tylko im przyjdzie ochota, bez obaw, że jakiś pijaczek czy mendziak przyplącze się z ulicy, żeby zepsuć im nastrój. Za późno, pomyślałem. Już nie odrobi się strat. Lecz kto tym dziewczętkom pozwolił, żeby tak weszły na głowę?

...A teraz przesiąknięty deszczem Manhattan i ta dusznawa galeria, gdzie wydzielamy wszyscy zapach przemoczonego psa; patrzę na Martinę, jak stoi wyprostowana, nie marnując swojej uwagi na jakichś martwych matadorów, i myślę, że tak, kobiety są od nas całkiem inne, prawie jak, powiedzmy, Francuzi (te kobiety przechylają się to na tę, to na tamtą stronę, gdy prowadzą samochód, śmieją się na ogół przyjaźnie, trzymają drinki obiema dłońmi i ściskają się i całują wzajemnie, żeby było im ciepłej; nie przepadają za sportem i wszelkimi innymi gramami, i wypowiadają słowa „mój”, „moja”, „moje” znacznie częściej niż my to robimy; a nadto, posiadają to, co mężczyźni nazywają wiarą w siebie, oskarżają cię o rozmaite przewinienia, jakie popełniasz w ich snach (wyznają teorię konspiracji, są oświeconymi, dobrotliwymi dyktatorkami), no tak, są inne, zgoda, lecz mimo to pozostają żyjątkami Ziemi, a zatem są do nas podobne. Kobiety to jednak stwory bardziej cywilizowane, kulturalne. Cipki to naprawdę łagodniejsza płeć. Mogą napsuć ci krwi w domowych pieleszach, jednak na ulicy tego nie zrobią. Mężczyźni zaś nakłanianiani są często – przez kobiety – żeby ujawnili kobiecą część swej natury.

Uważałem to zawsze za brednie panienek gustujących w towarzystwie pedałów, ale teraz nie jestem już pewien. Być może dotyczy to i mnie – być może i ja staję się po trosze cipką. A to by wiele tłumaczyło. W przeszłości próbowałem się zresztą ukobiecić, sfeminizować. Feminizowałem się przez całe lata. Nie dało to wielkich rezultatów, choć z drugiej strony zdołałem – może dzięki temu? – przetrwać niemało panienek. Kto wie, kto wie? Jak coś się dzieje, to po prostu się dzieje. W tych kwestiach nie jestem obeznany. Nie stoję nigdy za sterem, lecz chowam się gdzieś pod pokładem. Nie wiem, czy kiedykolwiek byłem wiodącą stroną. Wiem, że teraz nie jestem.

Więc patrzyłem na Martinę, a ona patrzyła na Maneta: przyjemności i sakramenty kultury zostały stosownie spełnione, nie pożałowano niczego, nie przesadzono z nadgorliwością. Ostrygi na śniadanie, martwe ryby, bardziej martwe od martwego człowieka. Strojące się kobiety, męska duma z munduru. Ogród jako miejsce pracy i wypoczynku, a następnie peonie w dzbanie. Przyjaciółka pisarza, czuwanie pisarza przy biurku. Świat dostatecznych pieniędzy, świat dostatni, świat forsy. Widziałem już to wszystko, lecz nie widziałem, jak pięknie to błyszczy. Dotychczas widziałem to, co łatwo omamia oko: bary, drinki, żarcie, obłapywanka na pikniku, cycata blondyna; to, co dobrze znane, bliskie mi, erotyczne. To wszystko widziałem. I nie miało to żadnego połysku. Ujrzałem teraz połysk Martiny: ujrzałem błysk jej oczu, lśnienie jej ust i ciała – wszystko.

Tak czy owak musiałem dziewczynę zostawić, a niech to Ucho weźmie, i popędziłem, żeby zmarnować jedną czy dwie godziny na przyjęciu wydawanym przez Fieldinga dla wszystkich naszych sponsorów. W hotelu „Carraway”. I kogóż tu mamy? A więc Lirę Cruzeiros z Buenos Aires, Annę Mazumę z Zurychu, Valutę Groschen z Frankfurtu. Ten widok podbudował to moje serduszko: tyle siły naszych pieniążków, tyle tego szmalu, objawionego z ochryplą ostentacją. To znaczy, Zła forsa – ile ta cała operacja będzie teraz w sumie kosztować? Jak na moje wyczucie, leci co najmniej ze trzydzieści albo i czterdzieści patoli na dzionek, a kręcić zaczniemy dopiero w połowie tygodnia. Nieprzenikniona ostrożność Fieldinga sprawiła, że nie zaproszono Spunka (podobnie jak Butch Beausoleil). Lecz nasze starsze gwiazdy stawily się w komplecie – a więc Caduta Massi, podtrzymująca słabującego księcia Kasimira, i Lorne Guyland w smokingu, stylizowanym na ubiór jakichś kosmicznych robotów, z wampirowatą Thursday uwieszoną u ramienia. I był też kontyngent angielski: Skuse, Blackadder, Mick Obbs oraz mój młodociany geniusz, cudowne dziecko, Duane Meo, redaktorka. Stali skwaszeni w kącie i przez chwilę czułem się jak stara kokoszą albo wielbiciel orchidei – z tyłoma zbolalymi duszami, którymi trzeba się zająć, które należy ukoić.

Na szczęście Fielding przejął ode mnie sprawę i zaaranżował coś w rodzaju konkursu pochlebstw pomiędzy gwiazdami i rzemieślnikami kina, pozostawiając mi swobodę, bym mógł krążyć do woli pośród grubej forsy.

Uważajcie jednak – to z kolei był bardzo nie ostentacyjny tłumek, pozbawiony zupełnie blasku – kiepsko ubrani, niektórzy z nich aż się proszący, żeby im ofiarować ciut tej kosmetycznej czy fryzjerskiej troski za jakiś kafel lub dwa. Na sali kipiało od szpanu i szczebiotu! damy jeszcze ten niezły szampan, luksusowe tartintinki, barmanów w smokach i cały unoszący się w powietrzu szmal, to wymieniając tu i tam uprzejmy uśmiech, skinienie głowy czy słówko, brylowałem pośród owej socjety swobodny jak ryba w wodzie. Wszyscy zdawali się bardzo serio konwersować na temat aktorstwa: praca, wypoczynek, dyspozycyjność, przesłuchania, ujęcia – czyli zwykłe sprawy. No cóż, myślałem, to przecież wszystko producenci-amatorzy, a w każdym razie teraz. A bogactwo też chyba ma związek z aktorstwem. Ten styl, ta poza, ta interpretacja, jakie narzuca się światu? Czy to wasza zasługa, czy nie, musicie dobrze udawać, że pieniądze należą się wam bez dwóch zdań, że forsa dokonała właściwego wyboru stawiając właśnie na was, a wy też, z kolei, czynić będziecie dobrze właśnie dzięki forsie. Czy jesteś na punkcie forsy szalony, czy ją po prostu lubisz, sprawiać musisz wrażenie, że masz do niej absolutnie naturalne prawo... Ja nigdy nie miałem poczucia, że zasługuję na szmal za to, co z siebie daję (co było dla mnie zawsze źródłem zakłopotania), i pewnie dlatego tak łatwo się jej pozbywałem. Lecz tej kupy szmalu tak łatwo już z wodą nie spuszczyć. Nie znajdę pewnie sracza aż tak głębokiego. Trudna rada, jedyne, co mi pozostaje, to przyłączyć się do nich, tych wszystkich artystów forsy.

Czekałem na poważne, przyzwalające skinienie Fieldinga, a potem, uściskawszy dłoń Lorne'owi i Caducie, wyśliznąłem się i pomknąłem taksówką na downtown. Udało nam się trafić na jedną z tych dziwacznych zielonych fal na Dziewiątej Alei, pięćdziesiąt przecznic bez jednego zatrzymania, a te niezmiennie zielone ślipia podsycaly jeszcze mój niepokój, moje podniecenie, wołając: tak, tak, okej, okej, zrobisz to, zrobisz! Ale teraz, tym razem, pasażer z tylnego siedzenia marzył jednak o zmniejszeniu prędkości, o przyhamowaniu, o zjechaniu z szybkiego pasma. Więc porzuciłem auto i ostami kilometr przeszedłem piechotą, przynosząc znaczną ulgę mojej piękającej pikawie; nastoletnimi ulicami Chelsea dotarłem do Ósmej Alei, mijając spelunkowate bary z niebieskawym, fioletowym światłem i rozpadające się zmurszałe hoteliki, wyrazisty przykład istnienia antimaterii (jakaś masywna czarnula trzymała twardą mowę za kontuarem recepcji), aż wreszcie przystanąłem w perfekcyjnym manhattańskim zmierzchu, powietrze rozszczępiało się teraz na barwy szarości, srebra i żółci, a ja przez siatkę obserwowałem

grupkę szczeniaków podskakujących z piłką pod koszem.

Martina stała milcząco na tarasie, w T-shircie i wygodnych szortach, jedną ręką podparłszy się pod bok: podlewała kwiaty... Jedliśmy na tej wilgotnej tratwie chleb, sery, sałatkę; i znów to białe wino, w sam raz na kinderbal. Czułem, piźmowy, gnilny zapach nasączonej mierzwy, parującego torfu. Później Cień drzemał wierno-poddańczo u stóp Martiny. Można było odnieść wrażenie, że jego morda miała za główne zadanie produkowanie westchnień i marszczenie się w wyrazie troski. Siedziałem z Hitlerem w rękę – noc generałów, spalona ziemia, klęska, ponizenie i śmierć: szczęśliwe zakończenie. Znów będę musiał zacząć od nowa lekturę Pieniądza. Jak pamiętacie, książki te podarowała mi Martina. Podarowała mi klucz do dwudziestego wieku. A ja odwzajemniałem się tym samym – tyle że własną osobą. Była czujna. Obserwowała mnie przez te ostatnie tygodnie co najmniej tak uważnie, jak ja obserwowałem ją. Dowiadywała się całkiem sporo o podróży swej planety przez czas. Wchłonęła przez osmozę to i owo, przestając z tym sflaczałym grubasem – tym handlarzem starzyzną, wydrążonym, ogłupiałym, wypchanym wszelkim śmieciem, bezwładną kukłą, której mózdzek szybował gdzieś na osłep, zataczając obłądne kręgi.

– Hej – odezwałem się. – Musisz mi coś wyjaśnić.

– Co?

– Dlaczego pozwalasz mi szlajać się wokół swojego życia? To nie jest zrozumiałe, przekonujące. Kto zechce w to uwierzyć? Ty?

– Wiesz – odparła – nie jesteś aż tak tragiczny. Jesteś tu przecież, a nie ma nikogo innego. Starasz się. Po prostu cię lubię.

– Dlaczego? – (Bo we mnie jest wiek dwudziesty: dlatego). – Dlaczego?

– Bo jesteś jak pies.

Zesztywniałem nieco. Nie za bardzo mi się to spodobało. Gdy jestem z dziewczynami, oczekuję, że traktować mnie będą poważnie. Bardzo poważnie. Lecz trudno żądać więcej, zwłaszcza teraz, gdy i mnie nie było łatwo zachować powagę.

– Przecież masz już psa.

– A teraz mam dwa. O czym myślisz, kiedy nie myślisz o czymkolwiek?

– Muszę pomyśleć – ja na to. W tej właśnie chwili potwornie łaknąłem whisky. Nie ma sensu zaprzeczać, że w tych gierkach przy Ulicy Bankowej największą chyba rolę odgrywał strach. Strach przed nieznanym, strach przed tym, co poważne. W butelce została jeszcze szklaneczka wina. Lecz białe wino nie dodaje za wiele odwagi. I pytam:

– A ty o czym myślisz?

– Że tak łatwo się wszystko traci. Zamilkła na chwilę. Wywnioskowałem, że pewnie

o tym rozmyśla. Spojrzałem na obolałe, przekrwione białka jej oczu. Tak, owe mięśnie płaczu rozwinęły się pięknie: widać, że te oczęta nieźle się zdążyły napakować. Kulturyстки! Zaczęła mówić dalej. Chodziło jej o utratę ludzi, nie rzeczy. Od pewnego czasu ubywało jej właśnie ludzi, mniej więcej osoba na rok. Dziadkowie przypadli na środek lat siedemdziesiątych. Potem odeszła mamusia (nowotwór), najbliższa przyjaciółka (kraksa), tato (samobójstwo), w ubiegłym roku jedyny brat (woda, zdradliwa woda). Tak, to zeszłego lata, tam, na przylądku, na Cape. Po raz pierwszy o tym wszystkim słyszałem.

– Chryste – westchnąłem. Oczywiście, bogaci łagodzą swe odejście, pozostawiając ci rzeczy. Zupełnie odwrotnie niż tam, skąd ja pochodzę. U nas zawsze trzeba było głęboko łowić w kieszeniach: a to spłaty długów, a to koszty pogrzebu. – Niemniej jednak – dodałem z nadzieją – w tym roku nie utraciłaś nikogo. Przynajmniej do tej chwili.

– Owszem. Ossiego. Na dobre.

– No tak.

– Więc... o czym tak cały czas myślisz?

Poczułem, że gęba mi puchnie – i poczułem się głupio; otrząsałem się jednak i mówię:

– Forsa. Albo rozmyślam o forsie, albo zdręcza mnie lęk i wstyd. To cały oręż, jakim dysponuję przeciwko moim wrogom.

– Biedactwo – westchnęła Martina. – Lecz może nie różnisz się tak bardzo od innych.

Poszliśmy do łóżka. Poszliśmy do łóżka w ten dojrzały, dorosły sposób – no wiecie, jakbyśmy mieli robić rzecz najbłahszą z możliwych. Nie trzeba było sposobić nastrojów, szykować klimaciku, nie potrzebowaliśmy niedźwiedzich pomruków czy rozochoconych chichotów; żadnych protez, pomocy, afrodyzjaków, burdelowej bielizny, pejczy, łańcuchów, rzemyków; alkoholu, obcęg czy świadków. Martina rozebrała się szybko. Jej majteczki rozogniłyby każdego ogiera, lecz nie zdążyłem się dobrze im przyjrzeć. Na wysmukłych, opalonych nóżkach (wewnętrzna strona ud przypominała wdzięcznie pincetę: biodra szerokie, obfite, zaś dupka pożywna, lecz bynajmniej nie za ciężka, wypieczona, słodka, chrupiąca) Martina pomknęła do łazienki. A potem jej powrót, otwarty, frontalny, z pierwszymi oznakami leciutkiego wiotczenia skóry, ciekawego, podniecającego, z pierwszymi już stempelkami upływającego czasu, nieuniknionej śmierci – tak, żeby było już pewne, że jeśli kiedykolwiek zdarzy mi się to szczęście, by..., to na pewno będę z kobietą. Była to prawdziwa kobieta, nie miałem

żadnych wątpliwości. Powiedziałem:

– Boże, kiedy działy się te nasze historie, ty miałaś jeszcze te swoje sprawy. Nigdy bym nie pomyślał. Przepraszam, bardzo mi przykro.

I ujrzałem nagle wszystkie inne jej myśli, gdzieś w górze, unoszące się nad jej głową, podobnie jak twarz.

Rozebrałem się i położyłem obok niej w pościeli. Pocałowaliśmy się, objęliśmy, i choć opornie kumam, choć bestia nie nazbyt ze mnie lotna, to rozumiałem jednak w końcu, co mówi jej nagość, ujrzałem jej pełną treść: oto ja, otwieram wszystko przed tobą... Tak, tak, łagodnie, spoko, myślałem, łagodnie z tymi twoimi gwałtownymi łapskami... A rano, kiedy się obudziłem – Jezusie! (nie śmiećcie się, nie śmiećcie) – poczułem się jak kwiat trochę przywiedły, z lekko obolałą szyją, bez tego prawdziwego życia, jakiego mógłbym się spodziewać; nie czekało mnie nic, oprócz życia lipnego, udawanego życia w wazonie, kiedy to rozchylę swe płatki i uniosę kielich, żeby nakarmić się dniem.

– Czy powinnam go puścić? Jak myślisz?

– Tak, pewnie – mówię – puść go. Jest taki fajny.

– A jak ucieknie?

– Kiedyś trzeba spróbować.

Washington Square, dzień Święta Pracy w Nowym Jorku, gdy powietrze jest ciężkie jak zacieki na niebieskiej kuchennej ścianie. Kolejna wielka data w kalendarzu dżungli, kolejne święto plemienne; sprytni dzieciaki harcują na wrotkach w takt dziesiątków rytmów, pedałki posyłają sobie frisby, podskakują, rozciągają się, przechylają (ich plastikowy talerzyk zawisłby na wieczność w rozgrzanej, zgęszczonej mgiełce), wzlatają deskorolki, ćpuny przypalają szlugi, wibrują zaklęcia i przekleństwa, a dwa policyjne auta wyczekują z otwartymi drzwiami – najeżone pułapki psów, czyhające na pierwszą nieostrożną łapę. Żadnego wstydu, nigdzie. Groźba i desperacja – co nieco – i wielka buta twardzieli, uwidocznioma najlepiej w ryżych, szczeciniastych wąsiskach gliniarzy; ale żadnego wstydu... Psisko wiło się i wykręcało na wszystkie strony, żeby czym prędzej odzyskać wolność, żeby czym prędzej mogło przeniknąć w to ryzykowne ludzkie mrowie. Spuściliśmy bestię ze smyczy. Z początku biegł zataczając coraz to szersze kręgi z jęzorem wywalonym niemalże na grzbiet jak szalik. Nagle zatrzymał się, przysiadł, odwrócony bokiem, wyprostowany i pełen dystynkcji, niczym szachowy skoczek, który wyczekuje cierpliwie swej szansy gdzieś w trzecim rzędzie, w nabożnej kontemplacji.

Kupiłem parę puszek bledziutkiego piwka w całodobowym supermarkeciku.

Usiedliśmy na kamiennej ławce i rozmawialiśmy; Martina była w bieli (biała spódniczka, biała bluzka), ja zaś opasałem ciasno wokół serca wstęgę podnieconego zachwytu. Ruch w górę po drabinie istnienia, społeczna mobilność – to cudowna sprawa i nawet w połowie tak nie męcząca. Bo naprawdę męczące jest utrzymywanie pozycji i kursu, pilnowanie, żeby się tylko nie obsunąć; potrzeba cholernych jaj. Podczas gdy Cień krążył wokoło, powracając, choć coraz rzadziej, po dodające otuchy klepięcie, podjąłem nowy temat i zadałem Martinie pytanie z dziedziny filozofii. Nie jej filozofii – filozofii w ogóle. Podała mi parę przykładów tych sprawek, jakimi zajmują się filozofowie. O, na przykład: jak można ustalić, czy „Evening Star” i „Morning Star” to jedno i to samo? Zaripostowałem, że z pewnością nie były jednym i tym samym: nawet gdyby wydawała je ta sama organizacja czy firma, to wciąż byłyby to odrębne Sm tytuły, i dla potrzeb finansowania czy świadczeń podatkowych uznano by je za byty oddzielne. Uśmiechnęła się i skinęła aprobująco. Roześmiała się także, jakimś nowym rodzajem śmiechu, który zdawał się wyrażać uczucie prostego szczęścia – albo rezygnacji. Filozofia to dziecinna łatwizna, pomyślałem, to zabawa dla nieudaczných głupców. I mówię:

– Okej. A teraz inny przykład.

Ale jej twarz zmieniła wyraz; Martina nagle wstała.

– Nie! Gdzie podział się Cień?

Mnie też zaczynało to martwić. Bo Cień nie pokazał się już od dobrych paru minut. Też starałem się dyskretnie dojrzeć gdzieś jego sylwetkę w tym ludzkim mrowiu. W milczeniu ruszyliśmy zygzakiem przez plac, obeszlśmy go po obwodzie, a potem wróciliśmy z powrotem tą morderczą, pulsującą patelnią. Po psie ani śladu. Rozdzieliliśmy się i posuwaliśmy się już na własną rękę, zataczając coraz to szersze kręgi i powracając coraz to rzadziej po odrobinę otuchy i zachęty.

Godzinę później biegłem samotnie Siedemnastą Ulicą, z tym moim brzuchem podskakującym jak rozhuśtany hamak, jogger u kresu sił, biegnąc do kresu nocy, gubiąc po drodze oddech, ślipia i siebie. Martina mówiła, gdy tak łączyliśmy się i rozdzielaliśmy co chwila, że Cienia skradziono. Lecz ja wiedziałem, że po prostu nawiał tam, dokąd ciągnął go zew, na ów róg Dwudziestej Trzeciej Ulicy – i jeszcze dalej. Z początku myślałem:

Chryste, niech no wreszcie znajdę tego małego skurwiela, to będę mógł rymsnąć na wyrko i napić się dla ochłody. Przez chwilę przyszło mi nawet na myśl, że może byłoby lepiej, gdyby Cień w ogóle się zmył. Ale teraz, gdy potykając się i zataczając gnałem siatką ulic, miałem ponurą pewność, że mój los związany był blisko z psim, że

wraz ze zniknięciem Cienia i ja znalazłbym się na Dwudziestej Trzeciej Ulicy pośród psów rodzaju ludzkiego. Skończyłoby się moje szlachectwo. Slumsy, zimna woda, brak windy. Zdawało mi się, że go widzę, jak pędzi na wysokości kolan, pomiędzy zaparkowanymi autami, parkometrami i hydrantami, lecz kiedy przedarłem się przez uliczny ruch na przeciwległy chodnik, znalazłem jedynie rozpieprzony pojemnik na śmieci, trzepoczący na wietrze. Pobiegłem dalej Ósmą Aleją, kierując się ku kresowi świata.

Znalazłem go na Dwudziestej Pierwszej Ulicy, jednym z tych mętnych dorzeczy starej Limpopo. Instynkt popychał mnie, żeby z wrzaskiem rzucić się na zdobyc, lecz jednak zwolniłem i przybliżyłem się do niego ostrożnie. Cień stał zamroczony w oku niemrawego cyklonu śmieci – znanie ten sposób, w jaki uliczne odpadki potrafią wirować przez całe bezbronne godziny: kartoniki po mleku, pudełka po petach czy puszki po piwie – w pośmiertnym, tanecznym korowodzie bezgłowych kurcząt... Podszedłem jeszcze bliżej. Wyglądał jakoś dziwacznie, ten Cień, drżąc i lękliwie mlaskając językiem, rozdziawiając swoją długą szczękę; omdlałą łapą wskazywał, zdawał się wskazywać na uptown. Zaszła w nim jakaś fizyczna odmiana, zmienił się jakiś istotny szczegół, którego nie mogłem zlokalizować. Obroża – obroża zniknęła. Wystarczyła godzina w dżungli, żeby Cienia już obrobiono – napadnięto, ograbiono ze wszystkiego, co posiadał, łącznie z imieniem, łącznie z osobowością. Spojrzał na mnie mętnym, obojętnym wzrokiem i odwrócił pysk. Miał już zamiar podreptać w kipiące mrowie Alei, lecz wyszczekałem jego imię z całych sił swych płuc, a on odwrócił się znowu, z wyraźnym wysiłkiem, i ruszył w moją stronę ociężale, zawieszony nisko nad chodnikiem, kuląc się w lęklwym poddaniu, w skrajnym upodleniu. Nie uderzyłem go. Złapałem go za kark. Zaniósłem do domu. Martina czekała na tarasie. Przedtem nie płakała, lecz rozplakała się teraz.

Kiedy mi dziękowała, przyciskając moją dłoń do swej twarzy, pomyślałem: ona naprawdę go kocha, tak, kocha to psisko. Tak, oszukiwała mnie, ta cała Martina. Jest tylko ludzką istotą, tylko ludzką istotą. Arcyludzką, jak się okazuje.

I raz, i dwa, i trzy, i cztery. Leżę na czternastym piętrze „Ashbery”, na czternastej podłodze, odziany jedynie w woreczek na moje ciężarki, i wymachuję w powietrzu girami jak przewrócony chrabąszcz. Cóż ja takiego robię? Gimnastykuję się. Siła mięśni tyłka i brzucha to moje natychmiastowe cele, lecz przeważają inne. Chcę być w dobrej formie dla Martiny. To przecież mój nowy ład. To moja metamorfoza. I pięć, i sześć, i siedem, i osiem. Pokonałbym bez namysłu i barierę bólu, gdybym tylko

potrafił ją znaleźć. A poza tym wiem, że te prawdziwe mięśnie są gdzieś w mojej głowie – mięśnie umartwienia. Jezusie, mam nadzieję, że wciąż się tam znajdują. Ze nie uległy atrofii. Mam nadzieję, że nie urznięły się w sztok. Muszę swój mózdek wytresować – teraz jest to mi potrzebne. Przydałby mi się jakiś sadystyczny artysta-trener, jakiś troglodyta w podkoszulku, który wycisnąłby z mózgowia siódme poty i ustawiłby go na maksa. Żeby na mózdzku zrobiły się odciski. Jutro nadchodzi dzień pierwszy Zasadniczych Ujęć. Otrzymuję potężny czek. Wszyscy traktować mnie będą znacznie, znacznie poważniej – nawet i ty, szefie, nawet i pani, droga moja pańciu. O dniu wczorajszym wiele wam nie opowiem. Wydaje się, że jedyne, co wystarczy zrobić, to być dla nich miłym, szczerym i wiernym, i wtedy to wszystko otrzymasz. Co za hecny interes!

Przewróciłem się na brzuch i wykonałem kilka pompek. Z pierwszą poszło nadspodziewanie łatwo. Jednak w trakcie drugiej, dokładnie w połowie, obie ręce puściły niemalże jednocześnie, a dywan podleciał w górę i trzepnął mnie prosto w nos. Gdy tak leżałem, przeklinając, mamrocząc i wypluwając włosie z ust, zadzwonił telefon. Rozmawiałem z Martyną dziesięć minut temu, więc przyszedł mi na myśl Fielding albo Frank telefoniarz. Stary Frank, ten kurewski karzeł – czym może mnie teraz ugodzić?

Była to podwójna niespodzianka.

– Cześć! ...Hej, to ja, pamiętasz?

– Żartujesz? Jesteś w Nowym Jorku?

– Zgadłeś.

– To niemożliwe.

– Dlaczego? Spotkajmy się, to się przekonasz. Obiad?

To nie wchodziło w rachubę, więc umówiliśmy się na drinka w „Bartleby” przy Central Park South o drugiej trzydzieści. Walnąłem się na wyro, rozdygotany w moim białym ciele. Wszystkie moje wahnięcia, zmiany i wyskoki, wszystkie poziomy realności pięknie się oto splątały. Nie domyślicie się nigdy, kto to mógł być – choć może jednak. No tak, moja mała Selinka.

Ale teraz wskoczyłem w ubranie i pomknąłem na obiad z Butch Beausoleil i Spunkiem Davisem, na ostateczne pokojowe rozmowy, na wspólną manifestację złośliwości – a zarazem wzajemnego uspokojenia – w przygotowaniu na Wielki Dzień. Przyszło mi na myśl, żeby zabrać dzieciaki do „Balkan Coffee Shop”, eleganckiego lokalu na Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy... Były pewne kłopoty przy wejściu na skutek zbytnej nieformalności Spunkowego ubioru (w istocie wyglądał bardziej elegancko niż kiedykolwiek przedtem: jedwabna koszula-chałat, luźne, lejące się dzinsy jakiejś

przedniej firmy, skórzane buty), lecz położyłem pięćdziesiątkę na dłoni szefa sali, a on wepchnął nas do minipokoiku obok baru. Powiniennem był przewidzieć, że coś się kroi, kiedy Spunk przepuścił Butch pierwszą przy wejściu do niszy, celebując kurtuazję, a potem nadskakująco podał jej ogień. Następnie, wpatrzony w panienkę, nie odmówił kieliszka szampana! No więc, po tym wszystkim (rzuciwszy okiem na podpaloną apetycznie cerę Butch i wrażliwą, bladawą cerę Spunka), nie mogłem już udawać wielkiego zdziwienia, kiedy się ku sobie nachylili, trzymając się za ręce, i zapytali, czy nie zostałbym drużbą na ich ślubie. Jezusie, kto by w tę hecę uwierzył? Dwa tygodnie temu rzucali się na siebie jak sępy. Wiem, że moje pedalskie ciagotki do Spunka umarły cicho i skrycie (podobnież moja heteryczna skłonność do Butch: jedno i drugie właściwie się nie zaczęło), bo moja pierwsza myśl była taka: pięknie, to darmowa reklama warta milion dolarów. Zaraz potem, z drugiej strony, pomyślałem: tragicznie, to burzy cały układ. Nie da mi się wyciągnąć z nich na planie tego, czego chcę, zaś jeśli chodzi o Lorne'a, to padnie trupem w chwili, gdy usłyszy tę wieść... Ale wiecie, jak to jest, mam nadzieję. Po tym weekendzie w rajku czułem się jak stary rozpustnik, co to posiadał wszelkie mądrości, więc sprawę rozgrywałem dyplomatycznie. Powiedziałem im, żeby zaczekali Szachowali to na razie dla siebie. Zdawali się lekko urażeni, rzecz jasna, gdy tak ze swadą rozprawiałem podczas posiłku, który wyglądał i smakował jak świeży połów fok i węgorzy. Bardzo byłem przekonywujący, rozpalony, skuteczny. Moja mowa była naprawdę szczerą. Mam trzydzieści pięć lat, zdałem sobie sprawę, siedząc tak z nimi, i jestem niespełnionym ojcem. Być może powiniennem spłodzić dzieci, kiedy byłem jeszcze młody, zanim dojrzałem do jakiegokolwiek namysłu.

Gdy Spunk wymknął się do męskiego kibelka, Butch spojrzała na mnie znacząco, zawahała się jakby na kilka uderzeń serca i powiedziała:

– Jestem w ciąży, John.

Wspaniale, pomyślałem: wraz z Lornem załamię się Caduta. Coś mi przyszło do głowy.

– Jesteś pewna, że to jego?

– Właściwie to nie; wcale nie.

– A przecież brałaś pigułki czy coś z tych rzeczy, prawda? Masz jakiś bajer tam w środku.

– Odpowiedz mi, John. Dlaczego zawsze kobieta musi się zabezpieczać?

– Dlaczego? Bo to kobieta zachodzi.

– Myślałam, że jestem bezpłodna.

– Kto?

– Że nie zajdę.

– Ho, ho i teraz masz frajdę!

– Bo miałam już dwie skrobanki w tym roku. F Spunk nic o tym nie wie.

– O skrobankach...

– Nie wie, że jestem w ciąży.

– Ostrożnie, Butch – powiedziałem. – Pamiętaj o jego religii. Oni wierzą w ten numer, że niby prawo do życia, że...

– W porządku. On już w te brednie nie wierzy. Nic nie wie, John. A ja chcę powiedzieć światu...

Zrób to, zrób, myślę, a ja też ogłoszę to całemu światu na tytułowej stronie „Daily Minutę”, naszego kochanego brukowca. Przeciągnęła się i zadrżała radośnie. Nie ma dwóch zdań, że nabuzowana była koką, jak również niepojętym samozachwytem. No tak, oszalała, głupia, naszpikowana towarem suka – taki przypadek właśnie mi się trafił! Kazałem jej tymczasem poprzysiąc milczenie, a kiedy powrócił Spunk, ona sama kopnęła się do sracza, wyraźnie podniesiona na duchu. Siedziała tam tak długo, że przyszło mi nawet na myśl, że być może spędza swój płód – tu i teraz.

Spunk patrzył na mnie z ufnością.

– Wiem, co ci leży na sercu, John. Obawiasz się, że może to niekorzystnie wpłynąć na naszą Złą forszę. Mylisz się, John.

– Wyprowadź mnie z błędu.

– Odbywaliśmy razem próby. I wtedy to się stało. W scenariuszu, jak wiesz, jest taka piękna przemowa, gdy Butch mówi o podróży, jaką odbywa moja dusza.

– No tak – powiedziałem niepewnie.

– To sama poezja. Muzyka. A znasz tę piękną mowę, jaką ja z kolei wygłaszam, no wiesz, że Butch to dziecko życia. Więc gdy tak razem pracowaliśmy, zrozumieliśmy, że sensem naszego życia będzie podwójny rozkwit, że...

– Posłuchaj, Spunk – przerwałem – a może byś po prostu na razie pieprzył się z Butch do woli, lecz zapomniał o małżeństwie.

Chciał się na mnie zamachnąć, ale ja dałem mu odpór moim dorosłym wzrokiem. Miałem już dość tych wszystkich pierdołów, tych pedałowatych, miękkich głosików, i ucieszyłem się, że znów widzę w nim uśpioną od dawna siłę.

– Nic nie rozumiesz. Ona mnie uczy życia.

To była kompletna bzdura. Wyglądał strasznie – jak na niego. Wydawał się zdeprawowany do granic imbecyilizmu. Boże, z całym tym towarem, szampanem, supersprzętem muzycznym i czymkolwiek jeszcze, co Butch trzymała w swej norce,

wyobrażcie no sobie tylko, co owi czciciele młodości wyprawiać mogli w wyrku. Już na samą myśl dostaję nagłej zadyszki. A jednak trochę mi to odpowiadało. Nie chciałem, żeby Spunk na ekranie wyglądał zbyt zdrowo, zbyt słodko, zbyt niewinnie. Dajcie chłopakowi jeszcze z miesiąc takiej radochy i trochę cienia pod oczka, a będzie tak przerźnięty i przechodzony, jak mógłbym sobie zamarzyć.

– To znaczy, zawsze miała forszę, rozumiesz?

– powiedział. – Potrafi z niej korzystać. Forsa, tak, nauczyła mnie, że z forsy trzeba mieć frajdę. Pamiętasz, że nigdy nie miałem przy sobie forsy, nawet drobnych, nawet złamanego centa. Nie chciałem nigdy zapomnieć, co to znaczy być biednym. Lecz był to tylko lęk. A tego trzeba się wstydzić. Więc czy nie lepiej zapomnieć? Mam już to wszystko za sobą, i naprawdę dobrze mi z forszą.

Tak to ów filozof doznał z powagą do konkluzji. Szkoda jedynie, że cała Ameryka bulwarówek dotarła do tych konkluzji wcześniej.

– To dobrze. Więc teraz już wiesz.

Podniósł się, wyprostowany jak drąg, żeby powitać powracającą z toalety Butch, i przy kawie i ciastkach gruchali sobie rozkosznie niczym parka napalonych dzieciaków klasy maturalnej – no nie, wcale nie tak, bardziej jak para aktorów w filmie dla dorosłych, na chwilę przed ukazaniem się napisów. Obserwowałem ich dyszące zaloty z obojętnym zaciekawieniem; pozwalało mi na to seksualne ukojenie, a może i bogactwo. W ten sam sposób podchodziłem do zbliżającego się spotkania z Seliną – tą Seliną... Kelner obdzielił mnie dobrotliwym, wyrozumiałym uśmiechem, kiedy rzuciłem kartę Vantage na podsuniętą tackę. Wieść o romansie rozejdzie się dziś wieczór po całym Nowym Jorku – tego mogłem być pewien. Tak, a scenariusz pomieści cały ten cielesny żar, nie ma obawy, z pewnymi retuszami tu i tam. Będę musiał przystać na tę darmową reklamę i znaleźć jakiś sposób, żeby ułagodzić Lornet. Ten jego arystokratyczny krytyk sztuki. I kolejna rozbierana scena. I kolejna scena tortur. Jeżeli o mnie chodzi, to może nawet wyjść spod prysznica i poślizgnąć się na mydle. Jest mi to ganz egal. Chryste Panie, co za porąbani ludzie z tym przemysłem filmowym. To nawet nie przemysł – to konspiracja, konspiracja forsy. Spostrzegłem także, nie po raz pierwszy zresztą, złowrogą przystosowalność nowego scenariusza. Fielding miał rację. Mogłeś z tym tekstem zrobić, co tylko zechcesz: miał jakąś nieprzyzwoitą plastyczność. Był Juanitą del Pablo czy Dianą Proletarią: pasował do wszystkiego i wszędzie.

– Pana karta, proszę pana.

Spojrzałem na tackę – i poczułem, jak pot wstydu ścina moją pierś jak lód. Jak gorący lód, jak zimny pot. Zerwałem się na nogi. W płonącym blasku tacy ujrzałem

wyczekującą twarz kelnera – i moją kartę Vantage, przedartą, bardzo zgrabnie, na cztery równe części.

– Gdzie wasz pieprzony kierownik? Hej, ty, podejdź no tutaj.

– Polityka firmy, proszę pana. Sprawdziliśmy pana kartę na komputerze. Nie ma pokrycia.

– No tak, komputer popieprzył sprawę, co, nie? Wiesz, kto to jest? Butch Beausoleil! A wiesz, kto to jest? Spunk Davis! Wiesz, kim ja jestem? Mógłbym was kupić równo dziesięć razy. Mógłbym...

Rąbałem dalej w tym guście. Nic aż tak fatalnego nie przydarzyło mi się od co najmniej kilku tygodni. Ryczałem jeszcze przez chwilę, lecz tak naprawdę cała ta historia stawała się taką groteską, że nie mogłem wściekać się długo. Nadawało się to do opowiedzenia Martinie i mogło posłużyć jako pożywka do rehotu z Fieldingiem... Po tym trzydniowym weekendzie pozostały mi już, jak się wydawało, ostatnie dziesiątki i piątki, ale Spunk wy dostał z tylnej kieszeni swych szarawarów toaletową rolkę setek, i rzucił z pogardą dwa banknoty na czekoladowy tort. Wymaszerowaliśmy w zgodnym szyku. Zatrzymałem się tylko na chwilę przy pulpicie pokrytym sukmem z frędzelkami i chłodno zapytałem szefa sali:

– Otrzymujecie za to pieniądze? Czy się nie mylę?

– Gdy brak pokrycia? Pięćdziesiąt dolarów od karty, proszę pana.

Wyłuskałem moją wejściową pięćdziesiątkę z kotylionowego cyca jego marynarki, gdzie, jak widziałem, ją wsunął, i machnąłem mu banknotem przed nosem. A potem wypuściłem banknot z ręki i wyszedłem na ulicę.

Ale dowcip, co? Polityka firmy... gdy dotarłem do „Bartleby” po rozpalonej alei Central Park South, nie byłem już pewien, czy w ogóle zadam sobie trud, żeby zadzwonić do ludzi z „Vantage”, żeby zdrowo ich zbluzgać. Taaa... Niech lepiej jakaś cipka zatrudniona przy naszej Złej forsie wykona tę robotę za mnie.

– Pieprzenie się i kupowanie – powiedziała Selina Street – to jedyne rzeczy, na które dziewczętom powinno się pozwalać do woli. Nie sądzisz?

Siedziała otoczona szykownymi torbami i pudłami z łupem z Piątej Alei. Selina miała na sobie swój ubiór na upalną falę: nastroszoną spódniczkę baleriny i bluzeczkę wielkości stanika, przemoczoną tu i ówdzie jej ostrym, perfumowanym potem. Czyżby nabierała ciut ciała w talii? Być może, może troszeczkę.

– Czy dobrze widzę? – zaczęła. – Wyglądasz inaczej.

– Jak?

– Przestałeś pić czy coś w tym guście? Wyglądasz, jakbyś nad sobą panował.

– Ty także. Wyglądasz tak samo, choć jeszcze bardziej przypominasz siebie.

Wyglądała jednak inaczej. Zdobyła to, czego zawsze pragnęła. Widzicie, jak to wszystko gramoli się z albo do samochodów, jak krząta się w rozjątrzonych jubilerskich salonach czy w hotelowych lobby, takich jak to, w którym teraz siedzimy. To ten blask, zabezpieczony podwójnymi szybami – od czasu i od pogody. Nabrała teraz kolorów, ma teraz cerę forsy.

Selina oparła się wygodnie i mówiła. Nowy Jork wyglądał właśnie tak, jak zawsze go sobie wyobrażała. Machnąłem na kelnerów w tym kipiącym akwarium naszego lobby. Był to jeden z pokazowych terenów igrzysk, gdzie Ameryka oddycha głęboko i napina mięśnie zbiorowego bogactwa, gdzie panoramiczne windy zrywają się z sykiem i hamują omdlewając pośród fontann i rajskiej zieleni, w skomputeryzowanej sterylności – wyglądało to wszystko jak pawilon na Wielkim Expo przyszłości pod kryptonimem „Forsa”... Selina spędziła tydzień na Long Island; Bóg jeden wie, z kim i co tam robiła: była wyczerpana, jakby nieco zużyta; wydzieliała ten ostry, podniecający zapach, miała w sobie ciętość i ostrość. Przybyła tutaj, między innymi, żeby uporządkować swoje sprawy. Ossie był także w mieście. Choć między nimi było już wszystko skończone, zachowywał się bez zarzutu. Selina natomiast rozkwitła: dorastała do sytuacji. Dorastała. Snuła także plany dotyczące tego, co nazywała swoim butikiem, który też rozkwitał i prosperował. Prosperował i rozkwitał. Podczas gdy mówiła, podrapała się w udo zapominalskim paluszkiem, powoli skrzyżowała nogi i odwróciła głowę, żeby zmarszczyć czoło na widok plamki na staniku swej minibluzki. Skorzystałem z okazji, żeby rzucić okiem na perspektywę jej nóg i na jej białe figi, wybrzuszone niczym żagiel na końcu tej alei. Powiedziała:

– Wiesz, to zabawne, jak... jak sentymentalne są moje myśli o tobie.

Pochyliła się. Jej oczy lustrowały łagodnie moją twarz.

– Przedwczoraj w nocy byłem z kimś w łóżku. Nie powiem, z kim. Przewrócił mnie na brzuch. Wiesz, żeby wyciupiać mnie od tyłu, tak jak ty to lubisz. I musiałam to przerwać. Po prostu nie mogłam.

Pokręciła głową, jak gdyby jej stałość była czymś godnym zadziwienia i uznania.

– Lecz przecież zaczęłaś raz jeszcze – zaryzykowałem. – Robiłaś to dalej.

– Tak, oczywiście, wkrótce mi przeszło. Potem już było okej. Jest tak strasznie bogaty. Przez cały ranek robiłam dziś zakupy. Chciałam ci dać jakiś prezent. Czuję, że ci się należy. Byłeś przecież całkiem w porządku. Ale w końcu kupiłam prezenty tylko dla siebie. Spójrz. Czy to nie ładne? Wiem, że lubisz czystą biel lub czerń. Te ostre

czerwienie też nie są złe. Normalnie nie zapłaciłabym aż tyle za coś takiego. To też było drogie. Zapina się to tutaj, o tu, między nogami. Wiesz, ta malutka rzecz kosztuje stówę, a przecież jest taka mała. Prawie nic nie waży. Przekonaj się. To wszystko prezenty dla mnie. Ale mogą być prezentami dla ciebie. Dla ciebie także. Może to wszystko przymierzę. Tu, teraz, w pokoju. Zadzwońię po szampana. Chciałabym ci coś ofiarować, żebyś mnie zapamiętał. Moją opaleniznę. Chciałbyś to wszystko zobaczyć?

Spojrzałem uważnie w jej twarz, w jej oczy Seliny Street, Seliny High Street, Seliny Ulicy Głównej. Mają swój własny blask, blask handlowych pasaży o szóstej pod wieczór, gdy interes wkrótce się zwinie, a teraz jarzy się jeszcze potrójnym blaskiem srebrzystego metalu, sińcowatego błękitu i tego śliskiego połysku właściwego owocom morza – świeciły blaskiem pośpiesznych, ostatnich zakupów. W wyrazie twarzy był jakiś sentymentalizm, jakieś łagodne uczucie – ale nie w oczach; nawet nie były uprzejme. Czułem, że coś mi grozi – szumiało mi pod pachami. Nie było to niebezpieczeństwo odkrycia, lecz raczej odwrotu, zawrócenia, ostrego, zawieszonoego śmiechu. Selina miała rację: zmieniłem się. Zrozumiałem jej propozycję i tę próbę, ten atak pod moim adresem. Więc z przysięgami złożonymi Martinie wciąż na moich wargach, uśmiechnąłem się z żalem (nie odgadnicie, jak wielkim), skinąłem głową i zawahałem się na moment, zanim powiedziałem:

– Pewnie.

Trzecia dwadzieścia piątą. Szampan był w drodze. No właśnie – gdzie ten szampan? Show już się skończył, ale ten drugi dopiero się zaczął. To też prawdziwy show, bardzo widowiskowy, występ artystki wyrka. Jest teraz czas na myśl na tym pustkowiu uczuć, czas na refleksję i namysł pośród tylu refleksji. Refleksja jest bowiem tym, co utrzymuje tancerkę na scenie, co utrzymuje aktorkę w ogniu wycelowanych w nią światła, co utrzymuje lustrzaną grę powstrzymywanego aplauzu. To tylko prywatny występ, najbardziej prywatny show, jaki by można otrzymać.

– Chcę być na górze.

– Do usług.

Jej kształty i sklepienia uniosły się nade mną. Przymknęła oczy i odrzuciła głowę do tyłu. Wpatrywałem się w dreny jej gardła, w utkwione we mnie okularki jej stanika – jedno ślipie otwarte, drugie przymknięte, lecz żurawie zgodnie zapuszczone – i wpatrywałem się w talię, przepasaną cienkim złotym łańcuszkiem, i w wystawowe biodra przystrojone wstążkami i kokardą. Jej skóra sprawiała wrażenie jakiejś dodatkowej nadskóry, jakiejś superskóry osłaniającej jeden jedyny organ. Przypominała postawiony namiot, była jak kutas w erekcji, siedząc tak na mnie pod kątem... A więc

– a więc dlaczego cały ten lęk, po co cały ten wstyd? Wiedziałem, że nie poczuję się dobrze, dopóki nie wskoczę znów w portki. Bo powinienem być w moich portkach, nie w jej. Lecz oto ona. Przykucnęła na moim cielsku z cycem w każdej z dłoni. Starego psa nie nauczy się świeżych sztuczek. Selina, ta Selina – naprawdę wzięła w ajencję te moje zramolałe lędźwie. Autentycznie zepsuta, wulgarna na poważnie, intensywnie zespolona z naszym wiekiem dwudziestym, na zawsze już pozostanie murzynem mojej ubożuchnej pornografii – mała Selina, malutka Selina, ach, ta Selina...

Pochyliła się właśnie, opierając ręce na moich twardych ramionach i zapuszczając mi do gęby cyca. Czas płynął. Czas płynął, aż wreszcie świat zewnętrzny – ten świat prawdziwy – zapukał do drzwi sąsiedniego pokoju. „Tak – rzuciła z wściekłością – wejść”, a potem, już łagodniej: „To szampan, zostawię go tam”, a potem jeszcze łagodniej: „Nie przerywaj”. Lecz zacząłem się uwalniać już z chwilą, gdy poczułem lekki podmuch otwierających się podwójnych drzwi i obecność trzeciej osoby w naszej prywatnej przestrzeni.

Jednym zgrabnym ruchem Selina usiadła i obróciła się na łóżku, wyprostowała jedną z nóg i susem gimnastyczki poderwała się na nogi. Wyciągnąłem szyję i patrzyłem, co się dzieje.

Sценка jak z filmu dla dorosłych – a nie? – gdy Selinka zaciska pasek przewiewnego szlafrocza (patrzac na mnie z rezygnacją – nie przebaczy mi tego nigdy), a Martina stoi znieruchomiła w progu, w jasnoszarym kostiumie z chesankowej wełny i czarnych pantoflach (i co też zobaczyła? – fallusa w okazałym wzwodzie, wzdęty kądun, przerażoną mordę); no i ja, powalony na wyrko świr, czysty błazen, ogłupiały, zgnojony, wymachujący łapskami. A nie? Miewałem już nagie odloty, lecz nie byłem jeszcze aż tak goły, nawet w bumerangu zaparkowanym nie opodal Bulwaru Zachodzącego Słońca, gdy leżałem pod jakąś starą kurwą.

Naprawdę sytuacyjka jak z filmu na życzenie, a jednak Martina miała minę dziecka. Sprawiała wrażenie dziecka, które spotkało więcej przykrości w ciągu jednego dnia niż kiedykolwiek przedtem, a teraz rozdarte było pomiędzy odrzuceniem a zaakceptowaniem faktu, że życie jest znacznie gorsze niż można było przypuszczać, że jest znacznie bardziej przykre już z samej swojej natury, a nikt nie starał się o tym w porę uprzedzić.

Spuściła wzrok. Spojrzała tu i tam. Pokręciła głową. Niewykluczone, że nawet tupnęła nogą. I powiedziała:

- Cień mi uciekł.
- Nie!

– Pobiegł gdzieś po dachach.

I także pobiegła przez pokój, przez otwarte drzwi, a potem przez całą długość wyłożonego dywanami korytarza, zaraz za moją głową.

W końcu przewróciłem się na bok i sięgnąłem po ubranie – po gacie, spodnie, strupieszakły garnitur. Wdzieranie się w ten zmarnowany strój trwało niemal wieki.

– O co jej chodziło? – pytała Selina swym najbardziej zasadniczym tonem. Nie mogłem na nią spojrzeć. – No nie, nie próbuj się wykręcać.

Różnąłeś ją, nie powiesz, że nie. Różnąłeś ją jak nic. Och, ty. A to dopiero heca.

W końcu minąłem ją, z rękami uniesionymi w geście poddania czy obrony. W drzwiach udało mi się odwrócić i powiedzieć:

– Co ona tu robiła?

– Skąd mogę wiedzieć?! – krzyknęła. – To apartament Ossiego. Jego zapytaj. Zapytaj ją.

W obwieszonym proporczykami salonie gier na parterze wypilem z dziesięć burbonów – tak, dokładnie tak, pijmy swoją cykutę – i wykręcałem numer Martiny, aż moje zdarte paluchy zaczęły niemal krwawić. Nikt nie odbierał. Nikt nie odbiera. Zajęty. Zajęty. Ach, ten paskudny sygnał. Zajęty, zajęty, zajęty. A gdy siedziałem zgarbiony przy barze, miętoląc ostatnie banknoty – jak robią to zwykle pijacy – usłyszałem coś, co nigdy w życiu nie przypuszczałem, że może mi przynieść frajdę – moje własne imię i nazwisko, John Self, odczytane przez głośnik. Podeszedłem do różowego telefonu. I pomyślałem: to ona.

– Tak? – zapytałem.

– Koniec. Już po wszystkim. Skończone.

Głos pieprzonego kulasa. I jego śmiech. Kulasa.

– Ty – mówię. – O Boże, proszę, zróbmy to. Teraz. Spotkajmy się. Jestem gotów.

– Okej. Posłuchaj. Parking. Na tyłach sklepu porno, w którym tak lubisz przebywać. Skręć w prawo przy budce i podejź z pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów do worków ze śmieciami przy rozwalonych drzwiach. Kiedyś się tam spotkamy. A wtedy...

– Spotkamy się teraz.

– No dobra. Teraz.

Wyszedłem na tę silosowatą Szóstą Aleję; smukłe drapacze wyczekiwały na posterunku. Czas i kipiący żar sunęły nad głowami. „Trzydzieści dziewięć stopni w cieniu – rzucił sprzedawca gazet. – Kurewstwo”. Ruszyłem przed siebie, lecz zachybotalem się na swym cokole, czując, że moje serce też się lada chwila zapali i że

ulecę gasnącą spiralą ku rozjarzonemu niebu. Cały milion okien płonącego Nowego Jorku wpatrywał się we mnie surowo: odstępcą! Chryste Panie, może życie nabrało powagi na jakieś dziesięć minut, a teraz znów jest żartem. W porządku, dodajmy więc szczyptę złośliwości. Niech ten żart okaże się paskudny, złośliwy, jak tylko można, myślałem, i pogałem prosto na południe.

Gotowy, byłem gotowy. Potruchtałem przez wąski przesmyk, obok żaluzji przesłaniających okna sraczyków mojego ulubionego supercentrum seksu, sraczyków, w których panienki wykręcały diabelskie młynki, dając, obciążając, w ten sposób, w tamten, i zawsze za pieniądze. Przebiegłem przez patelnię parkingu, gdzie tomahawki i bumerangi dostawały od słońeczka po buzi, zlorzecząc słońcu, zlorzecząc własnej nienawiści. Pomachałem do chłopców w baseballowych czapczkach. Odmachali, dodając mi otuchy. Biegnij dalej, biegnij, jesteś na dobrym tropie. Pobiegłem tyle, ile należało. Pięćdziesiąt, sześćdziesiąt metrów. Dotarłem do czarnych worków, nabrzmiąłych, jak gdyby kryły w sobie trupy: no tak, spoko, a obok stały oparte odpiłowane metalowe wrota jakiegoś baraku o płaskim dachu. Tak, to było dobre miejsce do walki. Papieros zapalił się jakby samoistnie, spontanicznie – a ja, nienawidząc, czekałem. Nie odczuwałem lęku. Co mógłby mi teraz zabrać? Byłem gotów, bardzo, bardzo gotów. A potem poczułem, jak opada na mnie cień – i jednocześnie coś ciężkiego zeskoczyło lekko na stopy, i dwie długie ręce zacisnęły się na moim sercu.

Nie ma sprawy, myślałem, gdy pierwsze wolty szoku wyciśnięto z mojego systemu. Silny, zdecydowany kop obcasem w jego prawą stopę ustawi szybko sprawę. I jeszcze łokciem w twarzyczkę, i będzie już po ptakach... Lecz wpieryw straciłem oddech i poczułem, że to moje stopy odrywają się od ziemi. Moje nogi straciły więc możliwość sprzedania komuś kopa, a jeszcze z uwięzionymi rączkami... Jedyne, czego mogłem próbować, to tylnego byka – a gdzież było jego łbisko, na Boga? Nie potrafiłem odszukać. Sprawy nagle znacznie się pogorszyły, gdy zaczął mną potrząsać – w górę i w dół, jego miednica napierała na mój zad, a doszły jeszcze do tego małpie, lubieżne odgłosy, ohydny, rozbryzgujący ślinę śmiech i wiązka smrodliwego oddechu na szyję. Po raz pierwszy odczułem jego obłąd w całym swym bogactwie, i pomyślałem, bez żartów, ten facet ma jakieś nadnaturalne akumulatory, ten faciu tak szybko się nie wypali... Ale ja też mam siłę. Bóg mi świadkiem, i nigdy jeszcze nie czułem się bardziej szalony niż dziś. Przybliżył się właśnie do muru, o pół metra za blisko. Cudownie: i o to mi przecież chodziło. Uniosłem obie nogi i rozrywającym jaja pchnięciem rzuciłem go dupą na metalowe drzwi, siedząc na nim całym ciężarem. Wyprostował się, nie rozluźnił uścisku, nie pękł. Wściekłym dziabnięciem zębisk wyszarpnął mi kępkę

włosów, splunął i zarechotał, potrząsając mną jeszcze silniej... Więc wynik jest już znany. A teraz pocałunek śmierci. Poczułem, jak twarz oblewa mi się purpurą – i był to ten drugi etap walki, ta walka już tylko o oddech, kiedy zrozumiałem, jak to zrobić. Papieroch tkwił mi jeszcze w ustach, wygięty, lecz wciąż dący się w uchwycie moich zębów. Odwróciłem moją wyżłobioną twarz do oporu – więcej już nie mogłem – czując, jak opuszczają mnie siły, jak wymykają się z sykiem niczym nieszczelny gaz. I wtedy popełnił błąd, co przecież musiało nastąpić. Posunął się za daleko. Wetknął mi język w ucho, i zrozumiałem, że tego już za wiele. Pewne było tylko jedno: że tego już nie zniosę. I ze słyszalnym szarpnięciem szyi przyłgnałem tłącym się petem do jabłka jego szyi.

Byłem już wolny, tańczyłem w powietrzu. Jedną, ścinającą z nóg woltą obróciłem się w ułamku sekundy i grzbietem pięści wyrznałem go z całej siły w mordę. Zaliczył jeszcze sześć, osiem, dziesięć ciosów w głowę, główkę, ramiona; waliłem z góry w dół, równo w dół, jak gdybym wbijał w ziemię pal, a kiedy zamachnąłem się nogą, żeby wymierzyć ostami cios, ujrzałem twarz za późno – za późno, bo but gnał tak szybko, więc kiedy tę twarz kopnąłem (a wcale nie chciałem, wcale nie chciałem), rozległ się dźwięk oznajmiający wymownie o nader poważnej szkodzi, stukot czy plask, jaki słyszy się w grze w fortunkę, gdy uderza srebrna kuleczka: tłak! A wiecie, co zrobiłem? Kopnąłem w twarz kobietę.

– Hej – wymśnęło mi się z ust. A może „okej?” albo „jesteś okej?”

Chwileczkę. Poczekajcie. Popatrzcie. Istota przewróciła się na bok. Kawałki nie przetrawionego mięsa i połamane protezy zębowe wypadały jej z ust. Nasze oczy spotkały się z przerażeniem i wstrętem. Widziałem już te oczy przedtem, lecz nie w tej twarzy. Włosy opadły w tył, odsłaniając rudawy mat. Istota zadrżała, odziana w jakąś nieokreśloną bluzę czy koszulę.

– Kim jesteś? – zapytałem, zaciągając się ogryzkiem unieruchomionego w zębach peta.

To nie była kobieta. Głos był męski, podobnie jak i cała reszta.

– Cholera, stary, puść mnie – istota zdawała się mówić. – Och, ty człowieku-psie.

Siedzę teraz w moim pokoju w „Ashbery”, a nade mną rozwiesiła się jakaś siatka mdłości, czego obawiałem się już od dawna. Popijałem scotcha i czytałem monografię Pieniądz. Wstałem. Poruszając się na niepewnych nogach i posługując się niepewnymi rękami, zgromadziłem przybory w postaci długopisu, kartki papieru, słownika. Wyjąłem uspokajające tabletki, które dostałem od Martiny. Powiedziała, że nie uzależniały tak

bardzo jak Serafim, który starałem się odstawić. Na naklejce mogłem przeczytać: MARTINA TWAIN – JEDNA TABLETKA PRZED SNEM... Usiadłem. Na kartce papieru zrobiłem listę wszystkich naszych finansistów, wszystkich sponsorów, dostarczycieli kasy. Pociągnąłem drinka. Zestawiłem te wszystkie nazwiska z indeksem Pieniądza. Ricardo, Gresham, Biddle, Baruch. Sprawdziłem w słowniku znaczenie słowa „kauri”. Znów pociągnąłem drinka i znowu wypłułem. Sprawdziłem jeszcze w słowniku definicję słowa „waluta”. Wstałem, otworzyłem okno i wystawiłem głowę. Sprawdziłem dokładne znaczenie określeń „żeton” i „monit.” Wstałem, poszedłem do łazienki i wyrzygałem się z impetem. Wróciłem. Zażyłem trzy tabletki, popijając tyłomaż łykami szkockiej. Pojedyncze stuknięcie w drzwi i oto Felix wsunął się szybko i bezgłośnie do pokoju, podobnie jak papierosowy dym w przeciągu wyłania się nagle zza progu.

– Felix – powiedziałem szorstko. – Postaraj się, żeby wróciły do mnie koszule. Jak się miewasz? Nie widuję cię teraz zbyt często. – Lecz musiałem go zaraz zapytać: – Co się stało?

– Już po wszystkim. Co ty zrobiłeś, człowieku?

Wyschniętymi wargami i z ogniem czarownika w oczach, Felix powiedział mi, że cała Ameryka spętana została łączami komputerowymi, których konary, gałęzie i korzenie rozrastały się coraz to bardziej z pni drapaczy chmur, aż w końcu opadły pajęczą siecią na miasta, porządkując, szeregując, rozdzielając, wyjaśniając, wstrzymując, potwierdzając, wykreślając albo zaprzeczając. Oprogramowanie Ameryki rozrosło się i rozprzestrzeniło na bzyczącej cicho siatce połączeń i rozłączeń, fuzji i lockoutów, z monitorami i komputerowymi tabelami migoczącymi stopami kredytowymi, zestawieniami wierzycieli i dłużników czy wartościami długów. A teraz wszystkie stany wstukiwały moje nazwisko, a monitory mrugały jak nawiedzone elektroencefalogramy. Ameryka bawiła się w najeźdźców z kosmosu, przy użyciu słów john self. Bo byłem wrogiem ich forsy. Ich policja forsy i podatku wisiała mi na ognie.

– Nie rozśmieszaj mnie – powiedziałem.

– Spakuj torbę.

– To jakaś pieprzona pomyłka.

– Spakuj torbę.

Spojrzenie miał rozpalone, błagalne. Oczy miał supersmutne.

– Zaraz po Świącie Pracy robią sprawdzonko. Prześwietlili cię dziesięć, piętnaście razy. Wezwali posiłki. Człowieku, mówię ci, wycisną z ciebie bank.

Usłyszeliśmy syk windy. Zadzwonił telefon przemówił nowym głosem. Nie

odbierałem. Nie spakowałem nawet torby. Felix zabrał mnie na dół windą dla obsługi, a potem wyprowadził na zewnątrz przez pomieszczenia kuchenne. Personel w tanich T-shirtach pośród zlewów i pieców przyglądał mi się z uwagą. Widzieli, że coś mi grozi. Wyszliśmy wprost na zwały śmieci na tylnej uliczce. Te głębokie zacieki na chodniku – nie zejda już nigdy, choćby za milion lat. Spojrzeliśmy na siebie po raz ostatni.

– Okej – powiedział Felix.

– Dziękuję.

Wsunąłem rękę do kieszeni. Dwa banknoty – sześć dolców. Z rozwągą podałem Felixowi piątkę.

Przyjrzał się banknotowi w swej dłoni. Oddał mi go z powrotem, a ja go wziąłem.

– Nie, człowieku – powiedział z parsknięciem. – Nic nie rozumiesz. Naprawdę już po wszystkim.

Jestem czymś zupełnie niewiarygodnym, te szesnaście angielskich kamieni, te pulsujące sto kilo w szaleńczym pędzie komety. Jestem ekspresowym pociągiem przy końcu snu. Siedzicie w swych wagonach na bocznicy, z zadziwieniem unosząc wzrok znad stronic, a ja przelatuję z łoskotem, ciągnąc za sobą powiew czarnego powietrza, co to chwytą twój wagon za klapy i mocno nim wstrząsa – aż chwieją się wszystkie szyby, podrygując w pękającym kicie. Przelatuję i już mnie nie ma, a wy oddychacie z ulgą. Już mnie nie ma, ale wciąż pędzę, wciąż uciekam, z rozrywającym uszy wrzaskiem.

Wchodzę do hallu „Carrawaya” i z opuszczoną głową wspinam się po schodach. Podwójne drzwi były otwarte, żeby przewietrzyć pokój chorego. Zaraz za progiem stało dwóch ochroniarzy, hotelowa pokojówka, jakiś rosy facet w tandetnym garniturze biznesmena (pochylony, słuchał interkomu przez słuchawkę a la aparat słuchowy), oraz starsza, wysoka paniusia, odziana w puchową wiatrówkę i brązowe elastyczne spodnie; przypięty miała znaczek, na którym przeczytałem: DOM WESOŁYCH STOKROTEK: JESIEŃ PEŁNIĄ ŻYCIA.

– Jestem Beryl Goodney – wyznała poufnie. – Matka. To ty jesteś tym nieszczęśnikiem?

Minałem smutne kobiety, załęcznionych, szepczących goryli. Fielding, z ramionami okrytymi prześcieradłem, siedział przy oknie w fotelu z pionowym oparciem. Odwrócił się powoli, gdy wyczuł moją bliskość. Wyblakłe włosy przyklepione na płask do czaszki, opuchnięte, nabrzmiałe usta, brak czegoś istotnego w zarysie szczęki. Już nie ma swojej szczęki, pomyślałem od razu, a przecież tam czało się życie, jego siła napędowa.

– Forsa – powiedziałem. – Gdzie jest forsa?

– Nie ma żadnej pieprzonej forsy.

Rozpostarłem ręce, wskazując na pokój i jego meble, na komputery, barek na kółkach, kandelabr; na cały Nowy Jork:

– I kto za to płaci?

– Ty – odpowiedział.

– Jezusie, co ty zrobisz?

Spojrzał na mnie jakby z rozbawieniem. Coś metalowego i ostrego zasepleniło w jego ustach, gdy dodał, jako wyjaśnienie:

– Mam czterdzieści pięć lat, Slick.

Nie udało im się zatrzymać mnie w drzwiach, nie przy tym moim pędzie; wyleciałem dysząc na ulicę, poślizgnąłem się, złapałem równowagę – i nie wiedziałem, gdzie biec. Żółta taksówka stanęła dęba na rogu, wygramoliła się Doris Arthur; rzuciła z wściekłością jak gdyby mierząc się ze mną i tym gmaszyskiem hotelu:

– Ostrzegałam! Usiłowałam ci to powiedzieć!

Podszedłem do niej, schwyciłem za kołnierz i pchnąłem w boczną uliczkę. Nie wiem, skąd mam te wyrzuty, jeśli chodzi o bicie kobiet: nigdy nie czułem się bardziej naturalnie niż teraz. Lecz przytrzymałem tylko jej szczękę prawą dłonią i warknąłem:

– Ach, ty suko. Byłaś w to zamieszana.

– Ty chyba nie słuchasz, klopsie.

– Dlaczego? Wiedziałaś od początku. Współdziałałaś. Dlaczego?

Odsunęła moją dłoń od swych ust, a ja nie protestowałem.

– Seks – powiedziała.

– Ach, wy cipeczki. Wy pisarze, pisarki. Ta sama stara historia. Umiecie ładnie gadać, aż do chwili, gdy zjawi się jakiś kutas, co pasuje jak ulał.

– Ty dupku – syknęła. I uśmiechnęła się.

– Nie potrafisz nigdy odgadnąć. W łóżku jest przecież kobietą.

A potem usłyszałem z tyłu głęboki, pełen powagi okrzyk. Rosły, tandetny biznesmen z traskającym aparatem słuchowym stał gotów na rogu. A Doris zniknęła i świat mijał mnie znów z oszalamiającą prędkością.

A ja biegłem dalej. Wiecie co? Naprawdę dobrze biegam. To fakt. Gdybym tylko mógł z Ameryki zwiać – zrobiłbym to. Mam dobre nogi. Ale brakuje mi skrzydeł. No i brakuje mi forsy.

Następnym miejscem, gdzie całkiem sporo biegałem, to płaska ciemna micha JFK, ten krater otoczony terminalami o stalowych oczach; ukrzyżowane samoloty umykały, wydzierając się nad głową. Wykołowałem właśnie taksiarza na dwadzieścia pięć dółców:

i nie był to zwykły, żujący gumę prymityw, ale poważny, szczerzy młodzieniec z Izraela, zarabiający na swój uniwersytet i żeby wspomóc staruszków na skromnej emeryturze, hen, w dalekiej Jerozolimie. Gdy zbliżyliśmy się już do Kennedy'ego, zapytał mnie o mój szeroki styl życia – Londyn–Nowy Jork, Nowy Jork–Londyn – a ja odpowiedziałem, cóż, są bardzo ciekawe kontrasty pomiędzy obu miastami, i ładnie prowadzisz, kolego, miły z ciebie dzieciak, lecz ja się już przesunę do wyjścia, ile ci jestem winien, tak... i już otworzyłem drzwiczki i wyskoczyłem z auta i przeskoczyłem mur. Trzymetrowy spadek wspominać będą łokcie i miednica, lecz poderwałem się na nogi i znów gnałem przed siebie, w czarne szpule i wydruki ogrodzeń, betonowych tuneli, przewodów. Żadnego pościgu. Jedyne, co usłyszałem, to zdziwione „Hej!” chłopaka, a jego głos był bardzo znużony, zmęczony już i zniesmaczony tymi wszystkimi oszustami, fałszerzami czeków i artystami żetonów, nowojorskimi bandytami forsy...

Zacząłem od Trans-American. Wyglądziwszy garnitur, podszedłem żwawo do kontuaru. „Żaden problem” – powiedział orzeszek ziemny spod kapelusza. Ekonomiczna, fotel przy przejściu, dla palących; i nawet jakiś filmik, na który można się cieszyć. Uprzejmie podałem platynową kartę kredytową US Approach. Orzeszek wystukał imię, nazwisko i numer, powiedział „chwileczkę, proszę pana”, i wycofał się niskimi drzwiami. Pogwizdując, z rękami w kieszeniach, odszedłem od terminalowych stanowisk, i przystanąłem w pobliżu szklanych wrót wychodzących na frontowy podjazd. I, jak mogłem się spodziewać, mój orzeszek wkrótce się wyłonił z dwoma tajniakami po bokach – ochrona lotniska? Chłopcy z agencji? Nie, to tylko policja forsy: zwykłe psy, kutasy, chlām. Brudne osady forsy – i już mnie nie było, i znów pędziłem co sił.

Przy kontuarze PakAir szybko dałem dyla, lecz zaryzykowałem podejście do British Albigenian. Zakończyło się to utratą mojej Karty Zniżek, a ponadto wplątało w wydłużoną sekwencję pościgu – całe dwadzieścia minut, gdy srałem z lęku o życie, gnając po zewnętrznym obwodzie, ze starszawym, charcim gorylem dyszącym mi za kołnierz. Manhattan, JFK, wiecie, te miejsca zmieniają się natychmiast, kiedy nie masz forsy. Ty się zmieniasz i one zmieniają się także. Zmienia się nawet powietrze. Poczulem to z chwilą, gdy wyszedłem z „Carrawaya”. Kiedy masz forę, pulsujący Nowy Jork jest cieplarnią z kryształu. Gdy forsa znika, jesteś kompletnie goły, osłaniając swój skarb przed kataraktą tłuczonego szkła. Każdy dźwięk, zapach czy spojrzenie o tyle trudniej znieść. To ciężkie, trudne miasto. Teraz widzę, że to wszystko prawda. Trudne? To pieprzony cyklon gówna! A na samym dnie to jedyne miejsce, gdzie coś się naprawdę dzieje. I trzeba się wtedy zadawać z nowym gatunkiem finansistów, z

utalentowanymi weteranami rozróby w szacownych garniturach, co to pobrzękują monetami i wytrychami, gdy gonią cię, pochrząkując.

Przysiadłem na sedesie sracza Air Kiwi[5], przeczesałem dokładnie kieszenie w poszukiwaniu forsy albo środków do jej zdobycia. Zaczęłem już się przymierzać do sprzedaży zegarka, portfela czy moich pocziwych Y-frontów, a może zbędnej nerki, a może złotej koronki. Mogę skoczyć autokarem do Kanady, a stamtąd zadeszować do tatki z prośbą o nieco kasy, albo też mogłem starać się przepłynąć jakąś zardzewiałą wanną po lodowej czapie globu... Nie, w życiu, nie wracam tam z powrotem, do Nowego Jorku, do całej tej Ameryki. Już prędzej uprowadzę samolot. Już prędzej przepłynę Atlantyk. Nie wracam do Ameryki. W życiu.

Jestem z tego mianowicie szczepu ludzi, co to wodzą z sobą wszędzie wszelkie możliwe dokumenty, papiery i papierki – w kieszeniach na piersi. Oto więc cała historia życia – choć wcale nie najlepsza, wręcz całkiem deprymująca – rozpadająca się, zwijająca, żółknąca, tu, na moich kolanach. Rachunek za gaz, zajawka operowych spektakli, kupony z pudełek po papierosach, paszport, wiadomości przekazane przez telefon, żądania podatkowe, lista naszych aktorów, harmonogram zdjęciowy, rachunki i wykazy, należności od „Kreutzera”, z „Bartleby”, „Wysp Szczęśliwych”, formularze wydatków, pozew sądowy za jazdę w stanie nietrzeźwym, pocztówka z reprodukcją Maneta, karteczka od Martiny, brak jakiegokolwiek banknotu, niewykorzystany bilet lotniczy... Ten ostatni przedmiot obracałem w dłoniach przez dłuższą chwilę, zanim dotarło do mnie wreszcie, co to jest. Niewykorzystany bilet lotniczy. Airtrak. Nowy Jork-Londyn. Dwadzieścia kilogramów. YAP 1Y. OK.

Okej? Chryste, obywałem się bez fartu już tak długo, że teraz ledwie zoczyłem ten uniesiony w górę kciuk, to perskie oczko forsy. Pamiętacie, hen, już szmat czasu, jak Fielding wręczył mi bilet pierwszej klasy w „Berkeleyu”? Ten fałszywy bombowy alarm, ten rwetes? No tak, więc nie miałem okazji zużyć mojego bileciku na „Airtrak”, który kupiłem wcześniej tamtego dnia za własne słodkie pieniądze, i oto on, leciutko wygnieciony, leciutko zabrudzony odciskami palców, które wcześniej dotykały kalki, ale wciąż ważny, wciąż uczciwy, wciąż dobry.

Zadziwiająco uprzejmy portier uświadomił mi, że biuro Airtraku znajduje się w sąsiednim aneksie. Przekradłem się tam natychmiast, osłaniany posuwającym się w żółwym tempie autokarem. Dziesiąta trzydzieści pięć – a o jedenastej były jeszcze pewnie miejsca do skonsumowania. Moja szerokoustna dziewczyna wyłoniła się zza zasłony z czerwonych pasków, i mówi:

[5] *Kiwi* – slangowe określenie personelu naziemnego (przyp. tłum.).

– Tak. Ten bilet jest w porządku.

– Ach, kochanie, wierzę. Pójdę o każdy zakład, że to najlepsze linie na niebie. Poza wszelką konkurencją. Możesz wziąć wszystkie inne, i... tak, tak, bo jesteście liniami ludu. A niech to! Wyzwaliście grube ryby i potrafiliście wygrać.

Tak, słyszałem o waszych finansowych problemach, lecz wiem, że dacie radę. Wiem, że wytrzymacie. Wiem, że będzie dobrze. Od tej chwili będę już latał tylko Airtrakiem. Zrobiliście dla nas wszystko. Wszystko. Jesteście jedyną linią, i która... naprawdę...

Mógłbym trzepać dalej w ten sposób w nieskończoność. Zrozumiałem to dopiero później. Potrzeba było ciężkiej łapy na moim ramieniu, żebym się wreszcie zamknął – i nie byli to żadni gliiniarze, nic takiego, jedynie pracownik Airtraku; jego zadziwiony wzrok i słowa uspokojenia skłoniły mnie w końcu, abym otarł łzy, nabrał parę fałsetujących oddechów i pomknął przez bramkę. Bez toreb, walizek, dodatków. Byłem naoliwiony, wyprofilowany, podszykowany – gotów do podróży jak powietrze. Bar w sali odlotów był zamknięty, lecz los – albo sprawiedliwość – podesłały mi lotniskowego sprzątacza, prawdziwe dziecię Boga, z lodówką na kółkach i całą półeczką miniaterek – przepuściłem moje ostatnie sześć dolarków i siedemdziesiąt pięć centów na trzy rozgrzewające „B&F”. Czułem się tak silny i tak dumny, że chciałem zadzwonić do Martiny i wyprostować całe nieporozumienie. Niestety, nie miałem już kasy. Tak, bo po prostu musiałem wydać wszystko, do ostatniego grosza. Nie mogłem nic zostawić, nawet dziesięciu centów.

Wkrótce przypasałem się do fotela przy oknie pustawego trzyczęściowca. Co za wartość za forszę! Co za jakość obsługi! Wydałem z siebie ostry okrzyk radości, a ten duży autobus zaraz zadrżał i zachybotał się, i potoczył się na obwodnicę lotniska. Patrzyłem na rozlane kałuże światła, na umykające ciężarówki ze śmieciami, i poczułem, jak rozluźnia się uścisk, jak łagodnieje twarde wzrok Nowego Jorku. Nie, już teraz mnie nie złapiecie. Zajęliśmy nasze miejsce na pasie startowym – niczym nabój w pasie myśliwskim – a potem pognaliśmy przed siebie z wielkim hukiem i ściśle wyznaczonym celem, w pierw ciemnym korytarzem, a potem w szeroką noc.

Gdy samolot wyrównywał kurs, zapaliłem ostatniego peta. Smakowałem jego ogień powoli – nigdy żaden papieroch nie był mi aż tak słodki. Miałem oto rozplanowane jednoosobowe party – wyznaczone miejsce, menu, rozrywki: aperitif, kolacja, film nocny. Był jeszcze problem pieniążków, to prawda, no, ale zawsze mogłem przecież wystawić lipny czek albo okazać już nie-platynową kartę US Approach czy nawet

obezwładnić stewardesę. Zamierzałem tej nocy się upić, tu, w tej bezcłowej krainie. Zacząłem się wiercić i rozglądać, wypatrując wózka z drinkami. I wydarzyły się wtedy trzy rzeczy jednocześnie.

Po pierwsze, na otwarcie, ktoś kopnął mnie w twarz – tyle że od wewnątrz. Moja głowa zachybotła się po tym kopie bólu, po tym sierpowym, prostym, bez obcyndalania się, na maks. Natychmiast poczułem, jak w żołądku zaczyna mi harcować całe jacuzzi treści pokarmowych i trucizn. Trzy „B&F-y”, rzucone na wyposzczony bebech, całe to minione rżnięcie, walka, szamotanina, przecher ki, oszustwa, chowanie się. A jednocześnie – zawsze wiedziałem o istnieniu stworzeń środkowych stref powietrza, bóstw pogody, lewiatanów cumulusowych chmur, naładowanych elektrycznością i zarodkami, młócących swe życie na wysokości dziesięciu tysięcy kilometrów. Coś szerokiego, obszernego i pełnego wściekłości ogarnęło nas swoim chaosem. Szczęki ponad naszymi głowami rozwarły się w zadziwieniu. Ludzie wokół mówili dziwnymi językami: nawet głos pilota jodłował i tremolował spazmatycznie. To diabły, myślałem, diabły upadłe z niebios.

Nie, to Nowy Jork, to ciągle Nowy Jork, wyciągający swe długie ręce, żeby twardymi paluchami połaskotać nas w serce. Lekceważąc wszelkie ostrzeżenia, wstałem z fotela i skoczyłem, jak wystrzelony z procy, do ciasnych sraczyków w tylnej części kadłuba.

Chyba nigdy w swoim życiu nie czułem się aż tak pusty, jak wówczas, gdy z podbródkiem w umywalce ujeżdżałem tę michę. Sto kilo? Szesnaście kamieni? Nie ważę nawet szesnastu uncji. Jestem jak martwy ząb na pierdnięciu powietrza. Wszystko, co mam, opuszcza mnie teraz i spada, pośród plastikowych kubków, niedopalonych petów i resztek samolotowego żarła, porzuca pośpiech, lęk i przyciasną kwaterę, lecąc prosto w dół, w powietrze i czarny Atlantyk... Samolot ustabilizował wreszcie kurs. Podobnie i ja. Lecz usłyszałem znów głos pilota. Ja też dokonałem przeglądu moich uszkodzeń i ran. Pilot ma swe problemy – lecz któż ich dziś nie miewa? Niech sobie nawet wleci tą swoją latającą trumną choćby w polarny biegun, mam to po prostu gdzieś. Raz jeszcze ból udał się na spacerek moją górną zachodnią stroną. Ból jest sposobem natury, żeby powiedzieć, że coś jest nie tak. Cierpliwie, bardzo cierpliwie, ból wciąż nam to powtarza, jeszcze długo, długo po tym, jak załapaliśmy, w czym rzecz. Ten ząb jest martwy – ból mnie informował – i nic już z niego nie będzie. Ten ząb jest martwy – ale ja jeszcze żyję. A oto znowu słyszę nową wiadomość pilota. Musiałem jej wysłuchać, nie miałem wyboru.

– Zauważycie, że wchodzimy teraz w szeroki hak. Wygląda, na to, że też zostałem zredukowany... Panie i panowie, muszę wam przekazać, że to ostatni lot Airtraku.

Firma zwija interes. I uprzedzam, że w drodze powrotnej na JFK wrócimy w strefę turbulencji. Proszę więc zapiąć pasy i zgasić wszelkie palące się materiały. Dziękuję.

– Dotarłem z powrotem na hotel właśnie w chwili, gdy zataczaliśmy koszący łuk nad zatoką, w samą porę, by ujrzyć podłużne łuki srebra i luźne pętle złota, te wzory i formy tworzone przez ulice, ulice, które nic o tym nie wiedzą.

– Pod koniec powieści odczuwa się pewną rozlazłość. Może to być zmęczenie samym przewracaniem stron. Ludzie czytają tak szybko, żeby czym prędzej się od ciebie uwolnić. Rozumiem, w czym rzecz. Bo ile można zajmować się życiem innych? Pięć minut, w porządku, ale nie aż pięć godzin. To naprawdę niezemiński wysiłek.

– Tak, tak. A teraz, Martin... posłuchaj. Mówię ci, sprawa kurewsko krępująca. No, może się domyślasz...

– Jesteśmy w dołku.

– Jezu, tak, a skąd wiesz?

– Chryste, można się było spodziewać. Nie widziałeś, że to się zbliża?

I wszystko z siebie wylałem, nie przejmując się żadnym porządkiem – Fielding, Frank telefoniarz, walka na tyłach supermarketu porno, pokój truposza w „Carrawayu”...

Dlaczego? – pytałem. – Dlaczego to zrobił? Jaką miał motywację? Przez telefon zawsze mówił, że go zdołowałem, zgnoilem. A niby jak? W jaki sposób? Przecież bym pamiętał. Nawet z zaćmieniami i tym wszystkim. Przecież bym pamiętał.

Martin dumał przez chwilę. Poczułem przyływ ciepłych uczuć do tego faceta, gdy odpowiedział:

– Wiesz, myślę, że to takie ślepe naboje. Czysty bełkot. Pewnie, że mu nic nie zrobiłeś.

– Tak? Naprawdę? Ale to wszystko bez sensu.

– Czyżby? W dzisiejszych czasach? Wydaje mi się czasem, że motywacja, jako sprawcza siła w ludzkich sprawach, już się co nieco zużyła. Co może teraz ludzi napędzać? Przejdź się byle ulicą. Dojrzysz gdzieś motywację?

– Ale dlaczego ja? To właśnie chciałbym wiedzieć. Dlaczego wybrał mnie?

– No cóż, pasowałeś do całej konstrukcji na wiele sposobów. Mam jednak wrażenie, że zaważyło nazwisko. Imię i nazwisko.

– Co chcesz od mojego nazwiska?

– Nazwiska, imiona, to bardzo ważne sprawy. No tak, ale chyba powinieneś się ruszyć, nie? Trochę o tym pomyślę, i może się jeszcze spotkamy, jak zechcesz. Nie przejmuj się. Wszystko się jakoś ułoży.

– Łatwo ci się śmiać. Ty masz swoją forszę. A przynajmniej połowę.

– Twojego czeku nigdy nie zrealizowałem. Patrz. Chcesz go z powrotem?

– Chryste, nie masz wycucia pieniądza, po prostu. Zaraz, poczekaj. Nie wyrzucaj go jeszcze. Niektórzy z tych finansistów mogli być spoko.

Legalni, wypłacalni. Może z tego wszystkiego kapnie jednak trochę forsy.

– Nie rozumiesz. Ci finansiści też nie mieli złamanego szeląga. To przecież jasne, kim byli.

Patrzyłem na niego, aż wreszcie powiedział:

– To wszystko byli aktorzy.

Ulice śpiewają. Tak, owszem. Słyszycie? Ulice krzyczą. Wrzeszczą. Mówiono wam o kulturze ulicy. Nie ma czegoś takiego. W tym cała rzecz. I co tu jeszcze dodać? Gdzie kończy się pieśń, a zaczyna wrzask? A na monologowych promenadach i chóralnych uliczkach londyńskiego West Endu krzykacze i wrzaskuny śpiewają, a śpiewacy wrzeszczą. Atakują ich oddechy i wyziewy zza kratak całonocnych salonów: gier kosmicznych, frutmaszyn, flipperów czy całonocnych supermarketów, tych hipokaustów środkowej ziemi całonocnego miasta. Podobnie jak miejsca, które nawiedzają, wrzaskuny pracują na okrągło, całą dobę, świątek czy piątek. Non stop. Pracujemy bez przerw! Ta kobieta o brązowych nogach – Jezusie, ale ma siły! – która wystaje w wejściach i bramach, o każdej godzinie, przy każdej pogodzie. Wraz z resztą chóru międli bez ustanku – taka nieustająca próba – ten swój jeden dojmujący żal, tę jedną wredną zmoję, tę bolesną zdradę. Kończy się taki monolog wylewem obsceniczności, pośpiesznym ruchem i nienawiścią do siebie samej – ta kobiecina nie może już dłużej znieść własnego towarzystwa. Oj mamó, mamusiu... Pieśń, jaką wrzaskuni wyśpiewują, to pieśń, jakiej dłużej nie mogą już znieść, precyzując w ten sposób i wyrażając językiem mima, co znaczy określenie nie do zniesienia.

Zauważyliście może, jak głośno ludzie rozmawiają w snackbarach czy kinach, jak te ich wygładzone ogródki na tyłach rozbrzmiewają wszelkim beztalenciem, biciem w bębny, gwizdkami za grosik, wyjącami, współzawodniczącymi tranzystorami, jak to słyszy się wciąż przekleństwa i widzi język znakowy wielkiego teatru seksu, który rozgrywa się na autobusowych przystankach pod zarysami upiornych chmur; i jak bardzo życie wymknęło się z domostw na ulice? A w nabzdryngolonych pubach starzy bywalcy kulą się i cierpią nad puszkową whisky z lodem. Rozmawiamy głośniej, żeby łatwiej nas było usłyszeć. Wkrótce wszyscy przemienimy się we wrzaskunów.

Urabia nas telewizja. I film. Choć jeszcze nie wiemy jak. Czekamy – i liczymy symptomy. Jest także problem realizmu – wiemy o tym wszyscy. Telewizja ukazuje życie – sądzą co poniektórzy. No dobra, lecz gdzie jest wtedy rzeczywistość? Każdy ma – lub

musi mieć, domaga się tego – wibrującą osobowość gwiazdy, swoją własną mydlaną operę, swój własny uliczny teatr – każdy musi mieć kapkę sztuki w tym swoim życiu... Nasze życie hołubi formę, kształt artystyczny – i chcemy, aby ta forma uwidaczniała się nawet wtedy, gdy kisimy się w swym detalu, z kluczami, kluczykami, gąbkami, szamponami, filiżankami do kawy, szufladą na koszule, książeczką czekową, bielizną, fryzurą, kamiszami na zasłony, gwarancją na lodówkę, cienkopisami, guzikami, forszą.

Tak, szukam teraz forsy. Szukam forsy. Może mi trochę dacie. No – proszę. Proszę. Zróbcie to. Zróbcie. O, masz, weź – masz tutaj trochę pieniędzy. Forsy... Chciałem dziś rano zrealizować pewien czek. Poszło jak sen, i to dobry, jak marzenie, aż do ostatniej minuty; przydupiła mnie taka cipka na zapleczu – jedno potrząśnięcie głową za drewnianą palisadą. „Nie!” Przekopałem zatem całe swoje gniazdko. Oczekiwałem, że znajdę pomięte funtale w starych tenisowych szortach, piątki w kieszeniach dżinsów, dziesiątki pod poduszkami na sofie, a dwudziestki w słoju na półce. Lecz wszystko, co znalazłem, to dziewięćdziesiąt pięć pensów. Za kierownicą szarpiącego nerwowo *fiasco* (wskaźnik benzyny tuż pod linią rezerwy), podjechałem na Soho do biur Linexa & Carburtona. Nie wiem, co mi się szykuje, lecz wiem, że będę potrzebował kasy, żeby się przed tym uchronić. Bo inaczej jakiś bożek forsy spłynie sobie gwałtownie z góry i wygryzie mi kawałek skalpu. Wszedłem do jaskini Terry’ego Linexa i mówię: „Proszę o złotą grabę. Daj mi te pięćdziesiąt kafli”. Terry obiecał mi przecież, że moja odprawa wyniesie połowę pierwszej szóstki cyfr. A Terry dotrzymywał słowa. Pamiętajmy jednak, że Terry miał i swoje problemy, kochany stary Tel. Wlał we mnie całą butelkę szkockiej, gdy rysował mi marniutką wizję. Sztuczki podatkowe, które i ciebie robią w konia, fiskalna zamrażarka – te wszystkie niuanse trochę mi umykały. Uścisnęliśmy sobie ręce. Wypisał mi datowany wstecz czek. Obiecywał odprawę do połowy sześciu cyfr. I poniekąd dotrzymał słowa. Były trzy cyfry. Sto dwadzieścia pięć funtów.

Godzinę później popijałem zeszłoroczny wiśniak w kuchni Aleca Llewellyna. Siedzieliśmy nad kwadratowym stolikiem, zgarbieni jak hazardziści. Siedzieliśmy naprzeciw siebie w ten sposób już tyle, tyle razy. Nie mówiliśmy wiele, bo nie było wiele do powiedzenia. Alec Llewellyn winien mi jest parę tysięcy funtów. No i co z tego? Nie było tu żadnej forsy. Widać to było od razu. Była tylko forsa czerwona, forsa na debecie. Nie powiedziałem jednego słowa. Ale i tak wiedział. Forsiany radar wciąż jeszcze pracował w jego napiętej, wrażliwej twarzy. Wiedział, dlaczego przyszedłem. Bał się.

Był to taki ostami lęk, jaki uda mi się z Aleca wycisnąć. Więc siedziałem wygodnie i pozwalałem, żeby ten lęk wzrastał.

Przypuszczam, że jesteście ciekawi, jak udało mi się zwać z Nowego Jorku. Ja również, poniekąd. I przypuszczam, że zastanawiacie się, kto pokrył mój lot. Martina? Nie, niestety. Niestety, nie Martina.

Airtrak wykupkał nas po prostu do terminalu o wpół do pierwszej w nocy. Była to scena godna naszego stulecia, panika na skalę planety, fotożurnaliści, ludziki z clipboardami i plastikowymi wizytówkami na piersi, donośna rozpacz uchodźców. Czy linie lotnicze ludu dostarczą ludowi coś w zamian? Niestety. Poprzestały jedynie na wydaniu kuponu na napój bezalkoholowy oraz voucheru na bułkę. Tak czy owak miałem już właśnie zemdleć, gdy ujrzałem... ktoś to przedziera się przez ten ludzki cyklon, jak nie Wielki Bruno i Horris Tolchok. Bomba! Róbcie swoje, bierzcie mnie, myślałem. Lecz już mnie nie było, znowu nawiewałem, uciekałem przed nimi, Brunonem, Horrisem, tym całym głównym forsy, uciekałem przed całą Ameryką... Spędziłem noc przyczajony w kłocie PakAir. Co parę sekund odbijało mi się pośepnie – w oczekiwaniu na nowy atak zęba, na definitywne dziabnięcie w buźkę. W automacie w sraczyku była aspiryna. Nie miałem jednak kasy. Żadnej. Zabiłbym siebie tej nocy, nie ma dwóch zdań. Lecz samobójstwo – tak jak i wszystko – także wymaga forsy. A tego przecież nie miałem. Po każdym samobójstwie będziesz do tyłu o parę groszy – chyba, że jesteś bardzo odważny. Spróbowałem pastylek Martiny. Nie chciały przejść przez przełyk. Nie miałem pod ręką wody, żeby im pomóc. Gdzieś koło piątej rano dotarłem do punktu, gdy dla tego biednego zęba miałem już tylko współczucie outsidera, który sam jakże cierpiał w swej agonii, umierając tak młodo i gwałtownie, i z własnej w dodatku ręki; grubo, grubo przedwcześnie.

O ósmej zadzwoniłem do „Bartleby” na koszt abonenta. To był ten trudny moment, skłonić hotelową dupeczkę, żeby wbrew polityce firmy zgodziła się mnie połączyć. Selina Street wyjechała po mnie natychmiast taksówką. Odebrała mnie przy terminalu British Albigensian (Przyloty: uważałem, że tam będzie bezpieczniej) i pomknęliśmy na lunch do „Welcome Inn” w pobliżu La Guardii. Wystarczyło jedno tylko spojrzenie na moją facjatę, żeby odczytać wynik. Mój wygląd sprawił jej przyjemność. W podskokach powiodła mnie w dostojny mrok hotelowej restauracji. Sunąłem za nią, tą zadzierającą dupkę poskromicielką kutasów, falującą w swej letniej sukience. Nie odczuwałem wcale goryczy. Kto, ja?

– Wczoraj, z Martiną... – zacząłem, wyławiając jednocześnie seler, dynię i arbusz z mojej pierwszej Bloody Mary – to była taka pułapka, nie? Wzięliście mnie w dwa ognie.

– Tak. Przepraszam – odpowiedziała Selina.

– Opowiedz, jak to było.

– Och, to proste.

Tak, było to proste. Martina umówiła się z Ossiem w jego apartamencie – o wpół do czwartej. Czysto robocze spotkanie. Następnie Ossie dowiedział się od Seliny, że właśnie dzwoniła Martina i prosiła o przełożenie spotkania. I Selina wysłała go na naradę ze swymi prawnikami – a ze mną wypła drinka. Martina była punktualna – jak zwykle. Jest bardzo punktualna. Wszyscy znamy ją od tej strony wszyscy.

– Ale dlaczego? – spytałem.

Typowa zagrywka Seliny, myślałem. Pułapka bardzo prosta, lecz aktorstwo najwyższej próby...

Nie, wcale nie tak. Nie było tu wielkiego aktorstwa. Jedynie konieczne minimum. I pornografia. Pokazała mi swój miękki rdzeń, swoją ósmą aleję. A ja dokonałem reszty.

– Wiesz, to może być nawet zabawne, takie oszukiwanie ludzi – powiedziała, zapalając jednego z nieczęstych papierosów. – Nie zrozumiesz tego, bo nie jesteś w tym dobry. Po prostu nie masz talentu. Kiedy kłamiesz, to jest to tylko żart. Mieliśmy z Ossiem całkiem niezły ubaw, łącząc was razem. Mogliśmy mieć nad wami podwójną kontrolę. Był jednak przerażony rozwojem wydarzeń. Przeraziliśmy się oboje.

– Każde na swój własny sposób.

Kelnerki w tym mrocznym miejscu wciśnięte zostały w stroiki dla ładacznic – plastrony, pończoszki, znów tego typu historie. Badania rynku musiały widocznie dowieść, że to ulubiony męski fetysz. I nieustannie mówiły: „smacznego”, „życzymy miłego dnia”, „polecamy się na przyszłość”. Uważa się takie grepsy za naturalny amerykański feblifik, za naturalną urokliwość. Czy nikt nie rozumie, nie widzi? To tylko polityka firmy. Rzecz wyćwiczona, zaprogramowana. To wszystko tylko forsa. Jezusie, nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie uda mi się opuścić pieprzony świat forsy.

– A na deser, proszę pana, po tym wspaniałym steku?

– Dziękuję bardzo, ale ja...

– Polecamy się na przyszłość.

– Może tylko jedną brandy.

– Rozluźnij się – dodała Selina.

– Czy mnie kochałaś? – spytałem. – Żeby to wszystko zrobić, musiałaś mnie kiedyś kochać, choć trochę.

– Niekoniecznie – odparła. – To wszystko niezły ubaw, i chyba dlatego to robię.

Wzruszyła ramionami, wyrażając nie tyle obojętność, ile przywołanie siebie samej do porządku, jakieś zbilansowanie faktów.

– Nie chciałabym, żebyś był szczęśliwy z kimkolwiek innym. Przynajmniej nie z nią. A zresztą, co ona w tobie widzi?

– Nie wiem.

– Przepraszam. To było przykre. Czy byłbyś z nią szczęśliwy?

– Nie wiem.

A potem zrobiła coś, po czym naprawdę nie mogę się pozbierać, przynajmniej jak na razie. Tonąłem szybko, pod tymi wszystkimi kłamstwami, tą szczerością, w tym mroku. Otóż Selina zarezerwowała pokój i pociągnęła mnie tam, podobnie jak matka zabierała z sobą swoje małe pociechy. Próbowałem pewnie z początku, żeby złączyła się ze mną w jakimś wspólnym akcie pocieszenia lub zemsty. Seks, razy, płacz, gwałt – nie pamiętam, co miało miejsce, i chyba to nie ma znaczenia. Rzuciłem się na wyro i wypadłem z wszelkiego obiegów już przy drugim poruszeniu cielska.

A więc wróciłem do domu. Przebudziłem się, żeby stwierdzić, że równo półtora dnia minęło obok mnie w nocy; stwierdziłem również, że Selina uregulowała rachunek, zostawiła mi pieniądze na czas oczekiwania na samolotowe miejsce, plus jeszcze trzydzieści dolców na picie, bo taki z niej dobry skrzat. Prawdziwa kobieta gangsterów! Na JFK było już spoko. Przewalił się cały ukrop. Poleciałem Trans-American, tak jak i wszyscy. Miałem wrażenie, że z Kennedy'ego do Zjednoczonego Królestwa przejechałem metrem; na Heathrow przesiadłem się na drugie. Pojechałem na Queensway; tam krętym jelitem podreptałem na górę, żeby wydostać się w oddech Londynu, zalatujący przetrawionym mięsem. Martin Amis, z kartonikiem mleka i poranną gazetą, czekał na mnie na progu.

Znów jestem w domu. Jestem w domu, ale nadal biegnę.

– Dodałem właśnie dwa do dwóch – powiedział Alec Llewellyn, z wyraźną satysfakcją, ale i przestrachem. – Oto ten spocony przymuł, co siedzi tu przede mną, przylazł, bo chce forsy. Potrzeba mu kasy. No i dobrze. Lecz ja takowej nie mam. No i dobrze. I zaraz siebie pytam – a po co mu ta forsa?

Kaszlałem przez chwilę, a potem mówię:

– Zapomnij o tej forsie. Zwrócisz kiedy indziej. Chcę usłyszeć o tobie. No, posłuchajmy o tobie.

– Aha, chcesz usłyszeć o mnie, aha... W porządku. Więc niech się przyjrzymy. Oto ja, w domu, w swoim domu. Nie piłem od trzech tygodni. Tylko taka mała okazja, gdy wydostałem się z Ville – to wszystko. Olewam chyba z dziesięć nakazów sądowych – przez sam fakt, że tutaj jestem. Wystarczy, że otworzę butelkę byle jabola albo posiedzę

za długo w kłopie, wystarczy, że którejś nocy nie dmuchnę jej jak należy – to wykręci te 999 i jestem znów w tym pierdolonym pierdlu... Nie, nie zrozum mnie tylko źle. To bomba być z powrotem. Szukam właśnie roboty, ale kto jej nie szuka? Niczego nie ma, po prostu. Więc Ella pracuje, a ja prowadzę dom. Mogę palić i kłąć. I to właściwie wszystko. Jestem, kurde, takim pieprzonym gospodyniem domowym, o właśnie. Zaraz założę fartuszek, żeby podać papu dzieciaczkom.

I tak właśnie zrobił, kiedy usłyszał na schodach Ellę wraz z dziećmi. I wszystko wkroczyło, rodzina, kolorki, komplikacje, zmieniając cały klimat; Ella, z jej legendarnymi kudłami podciętych w chłopięcą fryzurkę (żeby pokazać, jakie to ciężkie czasy), mała Mandolina, moja chrześniaczka, zielonooki kotek ze złośliwym języczkiem – no i Andrew, zabezpieczający tyły. Andrew miał problemy. Ma je także i teraz, będzie je miał zawsze. Jego starszawa twarz – a jednocześnie buzia nowo narodzonego dziecka – mówiła: jestem tu nowy, i niezupełnie mi się tu podoba. Nikt mi nie wyjaśnił, jak sprawy się mają. Powinniście mnie byli uprzedzić, powinniście mnie byli ostrzec. A teraz chcę wracać. Postarajcie się to załatwić.

Uniosłem się jak gdyby za pomocą dźwigni.

Zwykle ucałowałbym Ellę na powitanie, wymienił parę pieszczot i szeptów. Wymienilibyśmy otuchę, pociechę. Bo przecież kilka lat temu daliśmy sobie dowód na schodach, gdy Alec właśnie zniknął. Czy się dowiedział? Mało prawdopodobne, bo nie wie o tym sama Ella, już teraz nie. Napisałiśmy na nowo historię: ta rzecz nie miała miejsca. Czasy są ciężkie. Więc nawet nie będzie całusa. Obędziemy się bez uśmiechów, wstążek we włosach, prowincjonalnej falbanki w sukience, jak dawniej. Jest teraz w spodniach, długich spodniach, nie szortach.

– Jak się miewa nasz filmowy magnat?

– Średnio na jeża.

– Wyglądasz strasznie.

– Bez żartów.

– Przywitaj się z Johnem – powiedział Alec, gdy Mandolina z ociąganiem podeszła do nas. Trzymała złamaną parasolkę.

– Cześć, naprawisz mi? Jest zupełnie nowa – powiedziała, podając martwy przedmiot. – Mam dziesięć lat.

Dziewczynki zawsze wiedzą, że są dziewczynkami, i to od samego początku, natomiast dzieci zdają się nie wiedzieć, że są dziećmi. Dzieci nieświadome są czasu. Jezusie, mam naprawdę fioła na punkcie bachorów, a już zwłaszcza dziewczynek. Wciąż się obawiam, że zaczną się we mnie wpatrywać, że to coś młodego w ich wnętrzu

odczuje nieznaną niepokój. Zobaczą cały mój czas, moje zmienne pogody, moją forszę, moją pornografię. Zawsze daję Mando trochę pieniędzy. Mówi dorosłym rzeczy bardzo, bardzo brutalne. Nie chciałybym tego usłyszeć. I chyba dlatego daję jej trochę forsy... Parasoleczka zwisała z mojej dłoni. Zabawka była tandetna i dobrze wiedziała, że jej żywot jest krótki. Wiedziała, że się złamie. Powiada się, że wszystko chce trwać w swym bycie. Nawet piasek chce być nadal piaskiem. Nic nie chce łamać się, pękać. Zresztą nie wiem. Parasolka sprawiała wrażenie, jakby doznała ulgi, że została złamana, że wyłamała się z tego świata definicji i stała się byle drążkiem z plastiku.

– Kupię ci nową – mówię. – A teraz muszę już iść.

Alec odprowadził mnie na schody. Tak, tu właśnie miało to miejsce, na tym podeście schodów.

– Hej – zaryzykowałem – nie pożyczylbyś mi trochę kasy, co? Wiesz – piątkę czy coś takiego. Zostawiłem portfel w domu, a mam tu na dole *fiasco* z pustym bakiem.

Alec zniknął na chwilę. Dochodziły do mnie pełne napięcia głosy, opadające w kadencjach wyrzutów i żądań. Słyszałem tupot dzieci – zwolniły, a potem ucichły. Wyglądało to nie najlepiej, a nawet całkiem źle, zadziwiająco źle. Cierpiałem już, na tym ostatnim etapie mojego biegu przez czas – i z powodu spowolnionego tempa, i z powodu długich przestojów – lecz nie natrafiłem jeszcze na nic aż tak spowolnionego czy aż tak długotrwałego. Drzwi otworzyły się. Stał w nich Andrew ze łzami w oczach.

– Co się stało?

– Czy mnie lubisz?

– Andrew! Jasne, pewnie.

Już stanął za nim Alec i delikatnie zasłaniał mu twarz swoją szeroką dłonią. Chłopiec usunął się z powrotem za próg milczącego mieszkania. Ojciec wrzucił ramionami i podał mi trzy jednofuntowe banknoty.

– Dziękuję – powiedziałem. – Naprawdę to doceniam. Przerznąłem tu na schodach Ellę. Kiedyś, raz. Przepraszam.

– Wiem. Andrew też, tak jakby. A ja pieprzyłem Seline.

– Naprawdę? Kiedy?

– Kiedykolwiek. Kupę razy. Na okrągło. Chryste, to przecież widać. Jesteś prawie skończony, nie?

Fiasco wykitowało na Maida Vale. Kaszlnęło, zaskomlało i z wysiłkiem dobrnęło do krawężnika jak wyczerpany pływak do brzegu. Pocieszałem się, że to brak benzyny, lecz sprawa wyglądała na coś poważniejszego. Zresztą dopiero co wlałem w bak benzynę za całe trzy funty. Może wysiadło sprzęgło. A może rozrząd. Może pompa. A

może cały ten pierdolony rzęch.

Pozostawiłem bestię przy krawężniku i podążyłem dalej na południe.

Za dziesięć trzecia w „Szekspirze”. Za dziesięć trzecia w tym domostwie gadów, z dwoma wyścigami już przegranymi, ze zwarzonym oddechem południowej wódy i z walającymi się po podłodze resztkami, jakie pozostały z pory karmienia. Piłem mocne piwsko, które cię tak osłabia. Mój grubaśny koleś Paul przed chwilą wsunął mi dychę. Resztkę wrzucałem właśnie do Moneymaze, tego gruchającego flippera tuż przy męskim sraczu, z jego słonawą, morską bryzą. Ci bandyci zrobią dla ciebie wszystko. Autohold. Streetfighter. Scramblematic. Stoisz sobie tylko obok i dorzucasz kasę.

Dziesięć po trzeciej w „Szekspirze”. Gruby Paul zbiera do mycia szkło i ogłasza: „Przerwa”. Nie było Grubego Vince’a – a dobrze by mi zrobiła jego dłoń na moim ramieniu. Poprzez lustrzaną kryptę przeszedłem do tylnego pokoju. Zastałem tam Vron. Leżała na sofie, popijając różowego szampana. Na jej przesłoniętym pornograficznym szlafroczkim łonie spoczywało zwyczajne całkiem pismo... Pokój, jak zobaczyłem, jeszcze bardziej wyścielono, obito, przystrojono, w kolorkach sklepiku z lakociami – malina, czekolada, żółtomdłąca zieleń. Nawet ściany jeździły mi tu po zębach.

Stanąłem, zwalisty, w drzwiach. I zapytałem:

– Gdzie Barry?

– U żony.

Głos mi zachrypl, lecz także i jej. Poruszała mi się tylko dolna szczęka. Poruszała się powoli, jak gdyby zawiasy były zbyt naoliwione i mogła samoistnie opaść. Vron uniosła się, wyprostowała, i przypatrzyła mi się przez inną soczewkę.

– Chcesz swoją forszę, John?

– Ile by to zajęło?

– Wieki – odpowiedziała. Obróciła się do stożkowatego zegara. Obsunął jej się łokieć i roześmiała się, bez konkretnego celu.

– Czas na moją próbę.

– Na co?

– Na moją pracę dla sławy, John.

– Masz próby?

– To konieczne, John. Powinieneś być mnie obsadzić w tym waszym wideo.

Zebrała szatę. Uniosła kieliszek; trzy łyki, cztery. Przeszła – ukośnie – w kierunku schodów. Ociężała oparła się na poręczu, balustradzie, czy jak tam. Ujęła moją dłoń.

To w tym pokoju sypiała mamusia. I tutaj zmarła. Na łóżku, innym łóżku, pokrytym

jedwabiem w jadowitej zieleni – jedwabiu człowieka, nie robaków, o wilgotnym wyglądzie, ze lśniącymi, wzorzystymi wypukłościami, przypominającymi wizje w kałużach na rozgrzanej kostce – rozłożyła się Vron, zatopiona w miękkich fałdach swego królewskiego stroju. Nie spojrzała na mnie. Z wyrazem surowego skupienia skierowała wzrok na walentynkowe lustro na przeciwległej ścianie. Moim zdaniem to sfuszerowane zwierciadło ukazywało jakieś poszarzałe, rozpadające się chmury, ale w oczach Vron było godnym obramowaniem jej oszałamiającego potencjału, nawet jeśli niewiele dawało się w nim dojrzeć.

– To wszystko zależy od książki, John – zaczęła. – Niektóre książki są bardziej poważne, dorosłe. Doroślejsze od innych, John. Więcej w nich ekspresji.

Nadal nie patrząc w moim kierunku, Vron usiadła na łożu i rozpuściła włosy, odsłaniając szyję. Szata rozluźniła się na ramionach: gestem dwóch dłoni, wyjaśniającym, a może objaśniającym, naprężyła falbankowy dekolt.

– W niektórych książkach dajesz więcej niż inni. A jeszcze zależy, ile potrafisz dać, John.

Uklęka i przeciągnęła się. Ujrzałem cały jej przepych: wysokie szpilki pantofli, ażurowe pończochy, srebrzyste szorty, ciężki, imponujący stanik. A teraz szata całkowicie zsunęła się z ramion.

– Niektóre książki nadążają za swoją epoką, John. Lecz nie muszą przy tym tracić swych artystycznych wartości.

Sięgnęła obiema rękami za plecy; szyję naprężyła, wyciągnęła. Gdy rozdzieliła zapinki – skrzydła wzniesione w górę, gotowe do wlotu – miękki szkielet opadł z gotowością, a nawet zsunął się na podłogę, niesiony własnym, wartkim strumieniem. Poczzerwieniałymi palcami wygładziła piersi, jak gdyby powlekając je maścią upiornej ekstrawagancji.

– Ale w najlepszych książkach, John, ukazuje się sztukę miłości do własnej osoby, do siebie samego, John. Tak, Johnie Self!

Zrobiłem krok albo dwa, lecz nie było to wcale łatwe, bo hard porno bardzo zagęszcza powietrze. Twarde porno czyni powietrze tak twarde jak beton czy stal.

Położyła się znów na łożku i po chwilowym transie jej dłoń zaczęła przesuwać się w dół, aż dotarła do tej muskularnej grudki darni pomiędzy nogami.

– Mówią, że w moich książkach ja niczego nie piszę, John. To po prostu nieprawda. Właśnie, że piszę: słowa. Tak, John. Już to robiłam i wiem.

Dłoń wsunęła się pod srebrzysty elastik, pod tę ostatnią barierę. Po chwili można było usłyszeć delikatne tykanie, wilgotne i regularne, dźwięk przeżuwanego gumy.

– „Vron – powiedziała, zmienionym głosem – oto Vron, w pełnym jej majestacie. Poezja jej ciała to wizja prawdziwego piękna. Filozofią Vron jest rozkosz. Radość to jej religia. Zaś jej sztuką jest miłość... Ach, Vron...”

Przewróciła się na brzuch. Jej szyja próbowała utrzymać pion. Było jeszcze jedno lustro: i Vron zobaczyła to, co mogłem zobaczyć ja. Kobieta na czterech łapach, komplet paluchów szarpiących srebrną gumę.

– Zrób to, John. Zrób to. Reszta należy do Barry’ego.

– Jezu Chryste – powiedział Martin. – I co się z tobą stało?

Machnąłem tylko ręką.

– Byłeś u lekarza? Posłuchaj. Mam na dole lago. Zabiorę cię do Świętego Marcina na chirurgię.

– W porządku – mówię, opróżniając szklaneczkę. – Nie ma żadnego złamania. Wygląda gorzej, niż tego warte.

A wyglądało strasznie, musiałem to przyznać – jak wulkaniczna erupcja. I czułem, jakby moja twarz została zmiądzona – od linii szczękowej po oczodoły. Mogło się na niej dziać cokolwiek. Gdy rozciągam usta, czuję chrobot chrząstek. Czuję syk tkanek, gdy odwracam głowę. Ziewanie byłoby nie najlepszym pomysłem. Bardzo, bardzo złym. Sama kość policzkowa jest zwodniczo nieczuła na dotyk – jak na razie – lecz wydaje się inna, strukturalnie inna. Potrzeba mi będzie trochę czasu, żeby pozbierać się po całym tym przejściu, i jeszcze po drugiej ranie, tej głębszej.

– Rozumiem – powiedział Amis. – Chcesz zwalczyć to siłą woli. Więc co się stało?

– Byłem w tym pubie, „Szekspirze”...

– I co się stało?

– Mieliśmy, ja z jednym typkiem, małe nieporozumienie.

– Co się stało?

– Nie chcę o tym mówić. Nie możesz rozmawiać o czymś innym?

– ...W porządku. Właściwie to chciałbym powrócić do kwestii motywacji. W moim odczuciu jest to idea zaczerpnięta ze sztuki, nie z życia, nie z życia dwudziestowiecznego. W obecnych czasach motywacja pochodzi z wnętrza głowy, nie z zewnątrz. Ma źródło neurotyczne, innymi słowy. I pamiętajcie, że pewni ludzie, ci złoci mitomani, ci przystojni kłamcy, to też prawdziwi artyści, niektórzy z nich. Spójrzmy na jeszcze jedno współczesne zjawisko: bezinteresowną zbrodnię. Przepraszam. Czy nadążasz?

– Tak, tak, pewnie.

A oto, co się wydarzyło.

Stałem kołyszając się przy zielonym łożu. Moja sprawa z Vron – no tak, zajęło to

niecałą minutę; ach, spoko, spoko, łatwiutko: była to, była to czterdziesta druga ulica... Czułem zapach przypalonego polietylenu, gaszonych śliną świec, zapach siarki czy kordytu. Gdy szamotałem się z gaciami, niemalże ściął mnie z nóg świeży przypływ obezwładniających mdłości. Pulsacje hard porno przenikają cię aż do trzewi. Pornografia hard core wnika w twój twardy dysk. Vron leżała na brzuchu, oczy i usta otwarte, lecz wyglądała tak trupio, że cały się napiąłem i wyczekiwałem na jej oddech. Do jego powolnego rytmu dołączyło słabe tykanie, wilgotne i regularne. Odwróciłem się. W drzwiach sypialni stał Barry Self. Żuł gumę.

– Masz tam swoje pieniądze, John – powiedział sucho, wskazując palcem.

Przepchnąłem się obok niego i zbiegłem po schodach. Przedarłem się przez lustrzane drzwi. Wiedziałem, że to jeszcze nie koniec, nie koniec, w żadnym wypadku...

Gruby Paul, talenciarz, wyczekiwał już w pustym barze. Był gotów. Trzymał w ręku czarną skarpetę. Wiedziałem, co to oznacza. W nogach miałem odczucie, jakbym je widział w wodzie.

Tylne drzwi – czy możliwe, że mogli je zamknąć? A czy to ma znaczenie? Możesz sobie uciekać – ale i tak nie uciekniesz. Tylko spróbuj, a skatują cię jak psa, tak, dadzą prawdziwy faszystowski wpierdol. Nie byłem w formie na bieg. I nie byłem w formie, żeby stać – a stać musiałem.

– No cóż – wyjaśnił Gruby Paul – nie możesz tak odejść, co? Tak po prostu. Są jakieś zasady, John. Bo wiesz, ślub wzięli dopiero we wtorek.

Wciągał bladawe wargi, pokiwał głową. Podszedł do bilardowego stołu. Bile spadały jak bomby i tłumnie gnały do dziur. Pokazał mi w dłoni czarną i białą.

– Daj spokój, stary – mówię. – Jezu, jesteśmy jak bracia.

Nieczęsto słyszy się śmiech z ust Grubego Paula – jego ust nie stworzono do śmiechu – lecz coś takiego właśnie posłyszałem. Zawahał się przez chwilę. Pozwolił kulom potoczyć się po suknie w intensywnej zieleni i przeszedł przez drzwiczki do kasy o kolistych kształtach. Dzwoneczek. Runda pierwsza. Nie. Już piętnasta. Wyjął dwa rulony zapakowanych przez bank monet. Wrzucił je do skarpety i pociągnął za tę ciemną mosznę.

– Waga mniej więcej ta sama – zauważył z zaciekawieniem – ale z monetami trochę większy swing. Rozumiesz, w czym rzecz? Musisz kumać szybciej.

– Gruby Paul, posłuchaj – mówię. – Forsa.

Ile on ci daje? Pięćdziesiątkę czy coś takiego. Ja ci dam stówę. I zmiotam.

Gruby Paul nachmurzył się.

– Nie. Wolę raczej drinka. Co mi tam forsa – był to Barry, zagłuszył swego

pstrokatego skurwiela. – Spokojnie, John. Bądźże realistą.

Podszedł bliżej. I znów to słabe tykanie – regularne, lecz tym razem już suche.

– Gdzie? – zapytałem.

– Facjata.

– Mocno?

– Na odlew...

– Ile?

– Tylko raz. Ale bez przeszkód. Zgoda? Wybacz nam, John.

Stałem z podniesionym czołem, żeby ta kolejna historia nastąpiła jak najszybciej, żeby przyspieszyć ten film. Usłyszałem gdzieś nad sobą w górze drzenie wściekłości i lęku – a może był to tylko śmiech, mógł to być tylko śmiech. Ujrzałem pięść u początku biegu. Długi, czarny woreczek na razie się nie włączał. Nabierze pędu później, gdy ręka się wyciągnie – będzie to drugi zamach.

Po chwili usłyszałem, jak pękają bolce, i oto Barry Self pomagał mi się podnieść, w tej rozżarzonej mgle. Upadłem znowu. Spojrzał na mnie z pogardą i zachwytem. Pogarda była zawsze, ale zachwyt był nowy. Czekał na ten zachwyt długo. Trzydzieści pięć lat.

– No jak, stary synu? Teraz jesteśmy kwita.

– Ty – warknąłem. – Jesteś moim kurewskim ojcem.

– Nie jestem twoim ojcem – zasyczał. I powiedział, kim jest. – Ech, gruby Johnie, ech, John, ty tępą poducho. Naprawdę nic nie wiesz, ty bękarcie kurwy?

Czuję się teraz lepiej, jakoś zabawnie lepiej. Serio. To skutek moich przeżyć. Odczuwam taki solidny i stateczny spokój. Teraz już wiem, że potrafię poradzić sobie z życiem. Tak, widzę wszystko w różowych kolorach. W istocie, przyszłość przedstawia się jasno, naprawdę jasno teraz, gdy postanowiłem się zabić. Podjąłem decyzję. Podjąłem. Ach, to takie proste. Najtrudniejsza sprawa, to właśnie podjęcie decyzji, a tymczasem zadecydowało za mnie życie. Dziś wieczór. Mam wszystko, co potrzeba, konieczne akcesoria, tu, w swoim gniazdku. Dziś wieczór, sam. Dziś w nocy. Na zakończenie.

– Dzięki raz jeszcze za odwiedzinę – mówię.

Martin poruszył się.

– No tak, powinienem już chyba lecieć – powiedział – żeby nie popsuć ci planów.

– Nie, zostań...! Zostań trochę. Jeszcze na parę godzin.

Westchnął, przechylając głowę.

– Proszę. Tylko na parę godzin. Wiesz, o nic nie prosiłem. Fakt, miałem cię trochę

za nic. Już o nic cię nie poproszę. No, bądź teraz kumplem.

Martin rozejrzył się mglistym wzrokiem po pokoju. Zerknął na zegarek.

– Właśnie... właśnie czytałem tę książkę o Freudzie. A co ty czytasz?

– Czytanie, to zajęcie, któremu przypisuje się nadmierną wartość – powiedział. – Równie przecenione, jak kobiety Szekspira. Na twoim miejscu nie zwracałbym sobie zgrabnej główki... A to co takiego? Gra w kręgle, czy co?

– To? To przecież szachy. Chryste Panie, Z onyksu.

Na chybił trafił wyciągnął jakąś figurę z jadeitowego pudełka.

– A to co? Król czy królowa?

– To pion. Coś nie gra?

– Dużo grasz?

– Tak. To znaczy grałem. A ty? Grasz? Dobrze?

– Jasne – powiedział. – No co? Partyjka? Szybciej zleci nam czas.

– Okej, pewnie – mówię, czując przyływ nagłego podniecenia. A co to było? Perspektywa oczyszczenia, zemsty? Pokażę mu, kurka wodna, temu gnojkwowi, studencikowi, abstynentowi, z tym jego dowcipkiem i dyplomem. Ma mnie za psią nogę, ignoranta. Ale nie wie, mądrała, że jestem szachowym mistrzem. Więc mu pokażę.

– W porządku – mówię – więc gramy o forszę.

– O forszę? A co ty sobie myślisz, że to gra w rzutki w knajpie „Kuba Rozpruwacz”?

W szachy nie gra się o pieniądze.

– Dziesięć funtów. Z podwojeniem stawki. Gramy o forszę.

– ...Przecież nie masz forsy.

– O tak? Sam ten komplet wart jest z pięćset funtali. A w szafie mam palto z kaszmiru, warte z tysiąc. Spokojnie. I... – dodałem – mam jeszcze *fiasco*. Okej, i co w tym tak śmiesznego?

– Nic. Przepraszam. Słuchaj, czy jesteś pewien, że nie wolałbyś zagrać w klipę albo w kółko i krzyżyk? Nie? W porządku. Więc gramy na serio. Tak?

– Tak, na serio, stary. I czeka na ciebie siurpryza. Przykra niespodzianka. No, stary, do dzieła.

Wziąłem numerowaną kostkę z zestawu tryktraka. Ustawiłem dwutarczowy zegar: godzina na łebka. Amis wylosował białe.

– Ha? – mówię. – 1. P-QN3. Zapytam: a skąd to znasz? Z jakiej książki?

Nie przyłapiecie mnie na grze według jakichś ustalonych reguł, lecz większość ruchów otwierających zakodowało się już w moim repertuarze. Nie sądziłem, żeby

jakikolwiek gracz potrafił mnie czymś zaskoczyć przed etapem gry rozwiniętej; tymczasem już przy piątym posunięciu mały nasz Martinek niespodziewanie wychynął ze swego pasa ruchu. Wyruszył na bezsensowną eskapadę skoczkiem, harcując sobie po środkowych partiach planszy, podczas gdy ja podgryzałem go ewoluującą przednią tyralierą. Jest, co prawda, otwarcie takie jak jego, lecz jest to obrona, nie atak. Totalny harcownik, chce w przedbiegach wyczerpać przeciwnika, myślałem, i podwoilem stawkę. A jednak potrafił mnie zmęczyć! Patrzyłem na podwojony wynik kostki... Szachy to spotkanie umysłów, to szok prywatnych kultur, i jest gdzieś w tym bogata warstwa wstydu. Byłem wydrą. On był szopem. A ja kretem. Otrzymaliśmy podwójny wynik: trzydzieści dwa. To było na razie na tyle.

– Zastanawiałem się nad tą twoją przygodą w Nowym Jorku – powiedział, zmykając swym koniem do tyłu. – Wydaje mi się, że to już rozgryzłem. Ciekawi cię moja teoria?

– Zamknij się na moment. Myślę.

Strategicznie byłem bardzo do przodu, lecz w linii pionów nastąpiły wyraźne wyłomy. Gra rozwijała się spokojnie przez kilka kolejnych ruchów; obaj uprawialiśmy w ciszy nasze ogródki, przeprowadzając szybkie roszydy od strony króla. Poszukiwałem nowych planów, strategii i wzorców, gdy on tymczasem rozpoczął serię irytujących kuksańców i dziabnięć kierowanych na moje wysunięte pionki. Samo kontrowanie tego nie było wielkim przyszczem, ale musiałem wycofać swoje działa z jego cienkiego królewskiego zaplecza, a także z centrum planszy, gdzie Martin zaczął gromadzić zestaw pomniejszych figur – tego konia znowu, czy użytecznego laufra, śmigającego po czarnych polach... Jezusie, pomyślałem, przemienia się to wszystko w jedną z tych nudnych gier. Na przestrzeni trzech ruchów zepchnięty zostałem na pozycje zagmatwanej inercji w moje pionki były słoczone, zbite w grupki, zdeorientowane, targane sprzecznymi dążeniami. Potrzebowałbym dłuższego oddechu, żeby odzyskać choć trochę wolności, a nie wydaje się, żebym, jak dotąd, miał jakiś ruch na zbyciu. Każdy mój dotyk sprowadzał się jedynie do szlifów, delikatnych poprawek we wciąż to kurczącej się przestrzeni.

– Fielding Goodney... – zaczął Martin. – Wszystko szło po jego myśli, dopóki ja nie dołączyłem do gry. To ja byłem tym dzokerem talii. Nie wiem, jak realistyczny był jego plan, lecz mógł wyglądać mniej więcej tak... Biorę – przerwał sobie, wykonując ruch.

Drugi jego laufer wyskoczył, blokując mi przy królowej konia; królowej i tak już stłamszonej przez swych paranoicznych fagasów. Jezu, to było piekło, jakiś paskudny sen, sen o przyduszaniu, sen pełen szpilek, widelcy, szpikulców. Łyknąłem szkockiej i popatrzyłem, co by tu można wymienić. A były dwie oferty, choć obie zniechęcały

– piony, które otworzyłyby korytarz do centralnie usadowionej wieży, a potem... Człowieku, dostałbym w dupę natychmiast! To jest już poważna sprawa, naprawdę poważna, myślałem, unosząc dłoń do mojej zmaltretowanej twarzy.

– Zważywszy na gwiazdy, które zaangażował, zważywszy na ich nerwice i złudy, scenariusz Doris Arthur został tak pomyślany, żeby był absolutnie niewykonalny. Już same twoje zabiegi, żeby nakłonić gwiazdy do gry, złożyłyby się na świetny spektakl. A jednak przetrzymałeś. Nie byłeś aż tak słaby, tak zmarnowany, jak przypuszczałaś. Miałaś pewną siłę, której nie potrafił podważyć.

– No, dalej – ponagliłem go. Bo nagle dojrzałem światło, poczułem przyptyk powietrza. Gdybym tylko mógł wmanewrować damę w trzeci szereg, to wtedy kryłbym konia, uwolniłbym gońca i zagroził jego... Tak. Potrzebował jednego ruchu. Jednego ruchu ekstra. Zostaw mnie w spokoju, skurwysynie. Jezu Chryste, zejdź z mojej planszy na ten jeden, jedyny ruch. Zajmij się swoją gadką. Rzuciwszy okiem na zegar, w nagłym dygocie i popłochu, wyłuskałem moją damkę z ula. Martin zastanowił się chwilę, po czym wysunął lękliwie pioną.

– No, dalej...

– Te panienki, które, jak twierdziłaś, uganiały się za tobą. One też były na liście płac. Albo to, albo czekały na rolę. Ale ty nie byłeś aż tak głupi i pijany, jak Fielding pragnął. Przetrzymałaś. Ta twoja panienka, ta z dyplomem. Może też była dzokerem, kimś takim jak ja. Może była drugim dzokerem w talii.

No i wreszcie. Wróciłem do jakiejś takiej równowagi, z pewnymi widokami na kontratak. Cóż, trudno to opisać, ale nagle doznałem wrażenia, jak gdyby ta druga strona szachownicy straciła całkiem parę. Wydawało się teraz, jakbym miał całą kupę ruchów na zbyciu – to tak, jakbym grał w Seline, z białymi układającymi się w piękne wzorki na tych odległych polach. Nie było już... tak, nie było już żadnej obrony. Całkiem bez przekonania Martin przesuwiał swe pionki od strony królowej, nieporuszony, jak widać, tym pęczniącym arsenałem, jaki gromadziłem po jego lewej stronie. A teraz oba moje laufry złączyły swe reflektory, kierując je na wrażego króla, a przysadziste wieże już się szykowały, żeby puścić swe ostre serie odsłoniętym wąwozem. Czas również zaczął mi sprzyjać.

– Pierwotne zamiary Fieldinga mogły tak wyglądać. Przejrzałaś wszystkie papiery? No, oczywiście nie. Spętane scenariuszem Doris, który był niczym więcej jak dowcipnym, czterojebistym zabójstwem wszystkich postaci, pętane i zniesmaczone gwiazdy wycofują się, dają ci kosza. Fielding obciąża je kosztami za zerwanie kontraktu. Tyle, co nic, pierdnięcie muchy, śmieszne. Ciągłe zdarzają się takie hece.

Nasze gwiazdy są na to ubezpieczone, mają polisę, więc nikt właściwie nie traci oprócz Johna Selfa. Bo Fielding też miał polisę na wypadek przerwania i produkcji. Ale potem wszystko schrzaniłeś, wprowadzając mnie do cyrku.

– Podwajam – powiedziałem. I odwróciłem kostkę z sześćdziesięciu czterech na szesnaście – to zwyczajna praktyka przy wysokich stawkach.

– Tysiąc sześćset funtów. Okej?

Chyba stracił zainteresowanie, myślałem. Jego ruchy, to ruchy wyczekujące – lecz wyczekujące na co? Teraz to już ja podawałem ton na naszym kwadratowym polu zmagania. Martin niech sobie czeka, ile mu się podoba: i tak będzie miał czarno w gaciach, zanim się zdoła rozejrzeć. Kiedy ustawię już konia, pocwałużę prosto w kroczę jego kiepściachnej obrony. Tak, wraz z napalonymi wieżami rozerwiemy imprezę na strzępy. Nie tylko zrobiłem go ładnie. Zrobiłem go naprawdę w bambuko.

– Jak radził sobie z forszą, to już inna historia. Jak to ktoś ładnie powiedział: „Szaleńcza zręczność podwójnego oszustwa”. Mówiłeś, że miał komputer w pokoju. Sprzęt komputerowy. Z pewnością był hackerem – no wiesz, artystą dysku, który baraszkuje do woli w oprogramowaniach i pamięciach wszelkich banków i spółek. Nie mógł utrzymać tych swoich piłeczek w powietrzu na wieczność, to jasne. Lecz w jakimś momencie musiał się dorwać do szmalu. Potrafił robić pieniądze. Ale tę forszę miał gdzieś. Jako forszę. Podwajam.

Podobnie jak ten pacjent naprzeciwno. Czy coś tu nie pasuje? Rozejrzałem się szybko w ustawieniu jego figurek, przyjrzałem ich polu rażenia. Zero – żadnych wykalkulowanych strat, żadnych oszałamiających kombinacji, żadnego skrytobójczego geniuszu. Te wysunięte do przodu pionki po stronie królowej sprawią mi, być może, ciut kłopotu później, ale... Później? Jezu. Przecież się mówi, że pionki są duszą szachów. Może to tłumaczy, dlaczego nigdy nie zwracam na nie większej uwagi, przynajmniej aż do końcówki, kiedy nie sposób nie pomyśleć choć trochę o duszy. Czterech białych skinów gnało w moim kierunku niczym najeźdźcy z komosu na wirującym ekranie, zaś powyszczerbiane fortyfikacje czarnych po prostu tkwiły w miejscu, rozdziawiając szeroko gęby; moje dywizje znów oczekiwały na przewartościowanie strategii.

– Ciekawe jest to – zastanawiał się głośno Martin – ciekawe, że Fielding jednak nie pękł i nie zwiął na jakimś wcześniejszym etapie. Zbyt się pewnie zagłębił we własne tematy i formy, we własną sztukę. Iluzjoniści, artyści kłamstwa, blagierzy – jest w nich jakaś bezradność. No i, rzecz jasna, była jeszcze cała ta podszewka jego charakteru. To wszystko odegrało swą rolę. Dlaczego nie pozwolił ci wyjść, zwyczajnie, drzwiami, z „Carrawaya”? Ponieważ miał bzika. Bzika na punkcie sztuki, fabuły. Chciał dojść do

samego końca. Tak jak i my wszyscy. Niespełniony aktor pragnął aktorskiej zemsty. Odegrał się na rzeczywistości.

No tak, znowu zrobiło się gorąco na flance, gdy jego parszywe piony zaczęły robić swoje. Musiały zasmakować we krwi, bo starcie zasadnicze, kiedy już do niego doszło, okazało się pospieszną rzezią. Stracone piony wlały świeżego ducha w jego uspione figury: patrzyłem, jak ruszają do boju, stawiałem opór, gdzie mogłem, i czmychnąłem, skowycząc, na tyły. Z linii frontu otrzymałem wieści, że byłem tylko o piona do tyłu, ale niestety dwie figury miałem pod ostrzałem, a jego tłusta wieża czaiła się w moim drugim rzędzie. Żebym tylko przetrzymał, szeptałem do siebie w duchu, żebym tylko przetrzymał. Nie mogę przecież liczyć, że chłopaka pobiję. Lecz nie pozwolę, żeby o mnie pobił – nie, nie zniosę kolejnej porażki.

– Czy pamiętasz? – zapytał Martin – czy możesz sobie przypomnieć, co powiedział Fielding, tam, w zaułku, po walce? Bo coś powiedział. Pamiętasz, co to było?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Ty ludzki psie. Coś w tym guście. Nie miało to sensu.

– A nie było to „człowieku-psie”...? Fascynujące. Czysta transferencja. Ten pieprzony Jagon. Powiem ci coś. Jesteś lepszy, niż myślałem, ale te nasze stawki, to gra o pietruszkę. Jeżeli wygrasz, zapłacę. Jeżeli remis, wygrywasz, oddaję ci grę. A jeśli ja wygram, biorę po prostu od ciebie jedną rzecz. Wybieram wtedy ja, lecz tylko jedną rzecz.

Wskazał na kostkę.

– Zresztą teraz pieniądze jest już tylko czymś w rodzaju żartu. Albo symbolem. Seksu, statusu, płci. Symbolem fallicznym. Może coś opuściłem?

Pomyślałem: szczywany skurwielek. No tak, chwyciłem aluzję do jego mydelniczki. Chce dorwać moje *fiasco*.

– Okej?

– Okej.

Przetrzymałem. Mniej więcej. W porządku, a więc przerznąłem zamianę – skoczek za wieżę – lecz odzyskałem straconego już piona, i wsunąłem się na palcach w końcówkę jak uliczny pies poszukujący domu – czyli żarcia, ciepła, schronienia. Poszło to tak: biały król, pionek, wieża: czarny król, pionek, koń. Piony naprzeciw siebie na osi laufra królowej. Teraz, teoretycznie, miał pewne szanse wygranej – lecz ja miałem coś innego: po swojej stronie miałem bowiem zegar.

Bo Martin – właśnie! on miał to całe gadane i wykorzystał na to swój własny, dobry czas. Dziewiętnaście minut na moim zegarze, a mniej niż siedem na jego... Nasze piony spotkały się czoło w czoło, eskortowane przez swoich króli. Jego wieża natomiast

zapuszczała się głęboko, przybliżyła się, a potem zmykała. Mój skoczek trzymał pola. Był to rasowy korek, objazd, brak przejazdu: wszystkie bardziej zdecydowane jego posunięcia wydawały go na pastwę król-wieża. Czas tykał, upływał. Zaryzykowałem nawet wypad koniem, niewinnie rozdzielając jego wieżę i piona.

– Przepięknie – powiedział i zrobił ruch królem na przeczekanie.

Wpatrywałem się w tarczę z chciwością. Jego wieża czekała na ścięcie. Wymiana – i zablokowane pionki: remis. Po wszystkim. Odniosłem nawet wrażenie, że postawiłem pomniejszy namiotek w chwili, gdy pochyliłem się nad stołem, mówiąc:

– Mam nadzieję, stary, że naprawdę tak myślisz, bo nie dostaniesz już go z powrotem. Podwajam.

– Podwajam.

– Podwajam.

– Podwajam.

Oparłem się wygodnie na krzesło, delektując drinkiem. Ach, co za luksus, w tej poobijanej mordzie, w tym wynajętym gniazdku, nawet w tej ekstremalnej sytuacji. Chciałem, żeby Martin zobaczył, jak to wszystko nastaje, przyobleka się w ciało. Zabrałbym mu wieżę koniem. Odbiłby go – albo się wycofał. Zostałaby więc ta czwórka, twarzą w twarz: jego król na lewo od mojego pionka, mój król na prawo od jego. Gdy będę miał jego czek w rękę, podrę go i cisnę mu w twarz. „Oto twoja zapłata” – powiem, i pokażę mu drzwi.

– Sześćdziesiąt cztery tysiące funtów – powiedział. – Nie wydaje się, żebyś wygrał. Ale ja wezmę to, co zamierzam wziąć. Nie będzie ci tego brakować. Nawet nie byłeś pewien, czy w ogóle to miałeś.

– A o co ci chodzi? Pewnie dybiesz na *fiasco*, co?

– Nic nie rozumiesz. Twój samochód to smętny żart. Chyba już wiem, jak urządził to Fielding, to znaczy z forszą. Ile straciłeś na całej tej hecy? Tak osobiście?

– Nie wiem. Niewiele. Płacił prawie za wszystko.

– Błąd. To nie tak. Dopiero do mnie dotarło. To jest naprawdę piękne. Podpisałeś kupę papierów. Zakład, że podpisałeś każdy dwa razy. Raz jako współsygnatariusz, a raz jako Self. Było to twoje nazwisko. Spółka, jaką tworzyliście, nie nazywała się Goodney i Self. Nazywała się Self & Self. Była to firma Self. Hotele, lotnicze bilety, limuzyny, wyplaty, wynajem studia. To ty płaciłeś. Ty. Tylko ty.

Wzdrygnąłem się, oblał mnie zimny pot i powiedziałem tylko:

– Grajmy.

Zdobyłem jego wieżę. Zabrał mi za to konia.

Cztery figury – jak przedtem – stały zablokowane w swoich formalnych pozach. Powstałiśmy, przeciągając się, po dwóch stronach kwadratowego stolika. Podałem mu dłoń, mówiąc:

– Remis.

– Nie. Obawiam się, że przegrałeś.

– Słuchaj, bez zgrywów, nic tu nie zdziałasz – wskazałem luźnym gestem planszę. I zobaczyłem, że ma rację. Mogłem jedynie poruszyć się królem, a byłoby to samobójstwo. Zabrałby mi piona, zachowując swojego.

– Zugzwang – powiedział.

– A co to ma, kurde, znaczyć?

– Dosłownie: zmuszony do ruchu. Oznacza to, że ten, kto ma przymus ruchu, musi jednocześnie przegrać. Przegrałbym ja, gdyby była moja kolej. Ale ruszasz się ty. I to ty przegrywasz.

– Pierdolona zagwozdka, innymi słowy. Zezowate szczęście.

– No niezupełnie. Sama opozycja figur tworzy swoisty zugzwang, w którym relacje pomiędzy królami tworzą regularny wzorzec. Taka sytuacja nazywa się opozycją heterodoksalną. W układach zakomponowanych można by to określić jako zespolone matryce dwumianów. Bo widzisz...

Zasłoniłem uszy. Martin mówił dalej, odrealniony jakby, o woskowej cerze, połyskujących oczach. I nie wiem, czy ten mój nowy głos w ogóle gdzieś dotarł, gdy powiedziałem:

– To ja jestem żartem. Tak, ja. To przez ciebie. To twoja sprawa.

Nie zauważyłem mojego pierwszego zamachu. On tak. Zrobił unik, schylił się, a może odważnie stawił czoło; tyle że moja pięść wyrznęła w lampę nad jego głową. Zatoczyłem się na bok z szerokim bekhendem, padając na niskie krzesło, a szpic przy poręczy wbił mi się głęboko w żebro. Podniosłem się, trzepocząc rękami. Rzuciłem się po pokoju jak wielki małpiszon zamknięty w przymałej klatce. Ostatni mój cios rzucił mnie mordą w dół na tę nosorożcową sofę; zainkasowałem kopa prosto w ryło stalowym buciorem bestii. Pęcherz w mózgownicy pękł albo wybuchnął. Pokój przechylił się nagle, zawęził, i pogał z wrzaskiem w noc.

Kiedy się obudziłem, Martin wciąż był w pokoju i wciąż jeszcze mówił.

Kiedy się obudziłem, Martina już nie było i panowała zupełna cisza.

Zaraz o świcie wyszedłem na ulicę. Po raz ostatni. Wróciłem. Co można dodać? Kichający policjant, funkcjonariuszka straży miejskiej o wyglądzie tragiczki, łysy

czarny listonosz w rozczłapanych butach. No i ludzie, przechodnie, opuszczający wygasłą noc, żeby wejść w dzień, wkroczyć w codzienną rutynę. Wróciłem. Co mogę jeszcze dodać? Co można jeszcze dodać?

Ustawiłem obok siebie butelki scotcha i tabletki uspokajające Martiny – plus jeszcze czterdzieści ekstra z kuchennego słoika na pigułki. Napisałem pożegnalny liścik, tym razem krótki. Po prostu:

Droga Antonio, Nie wchodź do sypialni. Wracaj do domu i wezwij policję. Przepraszam za sprawę z forszą. Przepraszam za ten bałagan.

Połykałem prochy garściami. Zadziwiające, jak szybko to poszło. Z początku mgiełka przepełniła mnie uczuciem miłości, tak, miłości, jakiej nie znajdziecie na tym świecie, a ja płakałem tylko, mówiąc: „Zrób to. Weź mnie. Och, szybko – weź”. I wtedy poczułem, jak nadchodzi ten finalny wstyd. Ach. No tak. Moje życie było kiepskim żartem. Lecz za to śmierć będę miał poważną. To chyba dlatego tak bardzo się boję... Nie bądź taki jak ja, mój bracie. Siostrzo, nie żyj w taki sposób. Znajdźcie jakąś inną drogę. Błagam. Już wkrótce mnie nie będzie – i was. Znikniemy. Więc chodźcie, proszę, odczujmy trochę lęku wspólnie. Podajcie mi dłoń. Uściśnijmy...

Grudzień, styczeń, 1981, 1982.

Pomyślcie tylko. O mały włos, kurde, nie zabiłem się tamtego dnia. Tak. O maleńki włoszek. I kto był winien? Tak, macie rację. *Fiasco*.

Toczyłem się otóż z zabójczą prędkością czterdziestu kilometrów na godzinę. Niech się zastanowie – a może raczej trzydziestu, a nawet dwudziestu pięciu. *Fiasco* tego nie lubi – kiedy jest zimno. Nie lubi także, kiedy jest ciepło; i nie lubi, gdy pada. Prawdę mówiąc, to moje *fiasco* prawie zawsze położy sprawę, kiedy trzeba gdziekolwiek dotrzeć. Mimo wszystkich swych zalet, *fiasco* nie było nigdy prostym stworzeniem, dla którego A prowadzi do B. To, co naprawdę lubi – i w czym jest cholernie dobre – to tkwić nieruchomo w miejscu... Główne drogi poorane były bruzdami na w pół stającego śniegu. Auta najbardziej nie znoszą jazdy w takich warunkach, gdy ruch spowolniony jest o tysiąc jednostek refleksu, gdy pełniesz niczym ślimak: za, za i za. Skręciłem ostro w prawo, taki eksperymentalny skrót, nowy kąt ucięty z wyżłobionej siatki. Moje *fiasco* było chyba pierwszym pojazdem, który próbował tego ranka ulicy. Kostka była mokrawa, lecz sprawiała wrażenie suchej. Przygazowałem pod skrzyżowaniem, a potem przyhamowałem: znalazłem się na połaci poczerniałego lodu, nie dającego żadnego tarcia. Przez mikrosekundę czułem nawet dreszcz satysfakcji, że moje *fiasco* wreszcie wykazuje formę. Wypchnięci na czystsza, bardziej idealną, niematerialną

wręcz płaszczyzną podróży, sunęliśmy na zablokowanych kołach, zjeżdżaliśmy niczym sanki w jordanowskim ogródku. Rety, myślałem. Jak się ta heca zakończy?

Spłynęliśmy na przelotową aleję, płynęliśmy z milczącym krzykiem. A ulica była tak zwyczajna! Grubaśny autobus parsknął w zadziwieniu. Ktoś zleciał na pysk z roweru. Skrzynki na furgonetce mleczarza zdrząły i zamarły. Fiasco wykonało na swoich łyżwach półobrót, surfując ukosem przez breję w kierunku samochodów natkanych przy krawężnikowych parkometrach. Pośród barwnych plam ugrzęzłych w błocie pojazdów szarpałem się z bezsensownym kółkiem. Burtą do przodu, jak wpływający do portu statek, *fiasco* wsunęło się w wolną, przyciasną przestrzeń, zatrzymało się w gwałtownym spazmie i prychnęło gasnącym silnikiem.

Wygramoliłem się z wehikułu. Ulica wpatrywała się oniemiała. Wrzuciłem do parkometru monetę i wszedłem prosto w otwierające się właśnie drzwi „Księżnej Diany”, zamówiłem podwójnego scotcha, i pozwoliłem, żeby bar zdjął mi z ramion ciężar. Ja zaś oddałem się pielęgnacji żalu z powodu wymagowanych ran. Jezu Chryste. O mały włos się, kurde, nie zabiłem.

Boże Narodzenie w Londynie. Londyńska Gwiazdka to pora, kiedy otrzymując resztę od taksjarza, czujesz się, jakby wpadły ci w grabę monety wykaszlane zELIT frutmaszyn i flipperów, to pora, kiedy biurowe przygłupy brylują intelektem w pubach i tanich bistrach, to pora, kiedy w martwych przednoworocznych dniach pokazują światu – współpasażerom autobusu czy metra – swoje gwiazdkowe prezenty: kołnierzyki wpinają się w szyję niczym zimny kompres, rękawiczki wylegają się na kolanach, sztywne jak ośmiornica w marynacie, a zegarki i wieczne pióra migoczą w zapożyczonym świetle. Gwiazdka to pora, gdy dla dupeczek miasta wszystko, co istnieje, jest śliczniutkie, przytulne, ciepłe.

Pierwsze opady śniegu wywołały przestrach i smutek, paraliż, katastrofy, anarchię. Jak co roku. Przez cały tydzień chodziłem po ulicach Londynu, zastanawiając się, jaki mają wygląd. Przypominały coś dobrze znanego. Coś cholernie bliskiego. Ludzie chwieją się i zataczają na swych pijanych żyroskopach. Ups! Łazimy wszyscy po brokatakach, znaczonych śladami kopyt, ludzkich kopyciorów. Wpatrujemy się w trotuar, żeby nie stracić równowagi i tropu, lecz nie umiemy powiedzieć, jak ten nasz chodnik wygląda. Przez kwadrans śnieg będzie skrzypiał bielą i aż zgrzytał czystością. A potem nie będzie koloru – brak koloru, bo to nawet nie szarość. Jak wtedy śnieg wygląda? Ze swymi mrocznymi parchami, z nasypami połyskującego brudu, przypomina rozwieszane pranie, przypomina londyńskie niebo. Letnie londyńskie niebo. Właśnie tak wyglądają zimowe ulice. Letnie niebo: tak właśnie wygląda. Czyli nic się nie zmieniło?

Drugi doroczny śnieg wywołał przestrasz, smutek, paraliż, katastrofy i anarchię. Jak co roku. Ta druga fala opadów zachowała biel i twardość znacznie, znacznie dłużej. Materiał był lepszej jakości; rzecz jasna kosztował więcej. Więc śnieg zaskoczył wszystkich, podobnie jak co roku. Zaskoczył i mnie. Lecz przecież – wiadomo – śnieg potrafi zaskoczyć. Bo śnieg jest zaskakujący! Jest zawsze zaskoczeniem, gdyż taką ma naturę. Przez pewien czas świat miał postać lunarną. Milczał. Aż tu nagle ten śnieg zniemacka go przerznął. Następnego ranka świat był przytłumiony, zgaszony. Było cicho i cicho, aż posłyszano się wreszcie przepraszające odgłosy aut. Szepczących aut. Z domu wyszliśmy na palcach, porażeni, mrużyliśmy oczy. Każdy na ogół myśli, że jest wszystkiemu winny. Ale czasem przypisujemy sobie także zasługi, udzielamy kredytu uznania.

Kredyty? Nikt mi go nie udzielił i pewnie nie udzieli już nigdy. Tak, na razie jestem skończony. Słyszeliście o jakichś tanich mieszkaniach? A pożyczycie mi trochę kasy – najwyżej do czwartku? Zwróć. Słowo. Jak Bożię. Martin miał jednak rację. Byłem ostatnim, który się o tym dowiedział – jak zwykle – lecz moi prawnicy w końcu ustalili, kto bulił za całą tę psychodramę, począwszy od taksówek, a kończąc na wynajmie studia, czyli od zupy po orzeszki. Ja. JA. Ładny ze mnie przymuł. Kurwa! Czemuż nie spojrziałem na całe to gównno, które mi dawał do podpisu? No tak, byłem dumną cnotką, powiedzmy sobie szczerze. A przecież zaczarował i wyzymał kupę innych jeleni. Mam niezbite dowody, odkąd – niedawno – zarzuciło mnie pozwami ośmiu czy dziewięciu z nich, w tym Lorne Guyland, Caduta Massi, Butch Beausoleil i Spunk Davis. W końcu przekreśliłem do wszystkich czworga gwiazd i wyplakałem im swoją historię. Caduta od razu wycofała sprawę, ale za to dała mi wycisk, prawdziwy wycisk osobisty, najgorszy z możliwych. „Ja, która ci tyle... ach, tyle ofiarowałam, John, dlaczego? Więc może mi odpowiesz? Dlaczego? Dlaczego to zrobiłeś... swojej własnej... Dlaczego?” Gdybym dostał nikła, malutkie dziesięć centów, za każdym razem, kiedy pytała mnie „dlaczego?”, byłbym znowu dobry. Tak czy owak odpowiedzi nie znajduję. Naprawdę zaskoczył mnie Lorne. Po prostu nie mógł być słodszy. Ani bardziej spokojny. „Cóż, John – tokował – takie przypadki czasem się zdarzają”. Naprawdę? „I to nieustannie, John”. Naprawdę? Czyżby? Spunk nie przysporzył mi żadnego problemu, tego zresztą po nim oczekiwałem. *Prehistoria* okazała się nowojorskim przebojem, a Spunk otrzymał propozycje roli w serii romantycznych komedii. Słyszeliście już pewnie: nazywa się teraz Jeff Davis. Natomiast jego przyjaciółka i była narzeczona Butch Beausoleil wciąż sprawia mi kłopoty. Co za przykry kontrast! Horris Tolchok napastuje mnie codziennie listownie albo przez telefon. „Mam taśmę wideo – oznajmił ostatnio – z tobą na golasa.

Opierdalałeś moją klientkę. To gwałt, słowny gwałt, stary. Gwałt rapera ". Natomiast mój adwokat jest zdania, że może uda się zwalić całą historię na Goodneya. Fielding jest teraz na badaniach psychiatrycznych w ośrodku karnym w Palm Springs. Czy chcecie wiedzieć, dlaczego Fielding to zrobił? Naprawdę? No to zadzwońcie do Beryl. Zadzwońcie do jego mamusi. Już podaję jej numer. Opowie wam, dlaczego. Opowie w ciągu kilku godzin. O jego motywacji, motywach. I jeszcze do was przekreśli sama. Więc jeśli naprawdę chcecie wiedzieć, dlaczego Fielding to zrobił, dzwońcie do Beryl Goodney. A oto jej numer: 2210-6110. Kierunkowy 215.

Bez forsy czujesz się, jak gdybyś urodził się wczoraj i mierzył ledwie centymetr. I jesteś całkiem nagi. Lecz całe piękno polega na tym, że nie ma najmniejszego sensu robić ci krzywdy, jeżeli nie masz forsy. Jeżeli nie masz forsy, nikt nie będzie się opieprzać. Jednak czeka mnie parę kryminalnych jak i cywilnych pozwów. Trwa postępowanie o ekstradycję – uwaga, uwaga – naprawdę smaczny wniosek: zarzucają mi Lekkomysłność, Niesprawiedliwe Wzbogacenie Się oraz Lekceważenie Innych. Adwokat twierdzi, że da się te zarzuty obalić i mamy szansę pod warunkiem, że dam mu kupę szmalu. Na razie nie powinienem pokazywać się w Ameryce. I wcale nie chcę tam jechać. Nie mogę sobie na to pozwolić... Lecz całutka historia ma dla mnie coraz mniejsze znaczenie. Moje życie zatracą już formę. Wszelkie siły, agencje i pentagramy narzucające kształt i cel: te wielkie potęgi formy zatraciły już zupełnie moc, żeby zachwycić czy skrzywdzić.

Gruby Vince znalazł mi właśnie posadę lodziarza w Hyde Parku. Obsługa wózkalodówki. Kontrakt czeka od wiosny. Gruby Vince uważa również, że czeka mnie przyszłość w fachu wykidajły. Pewnego dnia, być może, powrócę do gierek w reklamie. Faceci z promocji jakże lubią, gdy komuś powinie się noga! Jakże lubią okazywać współczucie. Moje nazwisko to teraz cuchnące gówno. To częśćka ceny, jaką zechcą zaśpiewać, żeby mnie przyjąć z powrotem. Ale w końcu mnie wezmą. Tyle że czasem myślę... nie, po co, ja już do nich nie wrócę. Kiedy oglądam telewizyjne reklamy, czuję mdłości dokładnie w miękkim rdzeniu. Telewizja, wiadomo, to religia, mistycyzm dla mas, więc nie chcę, nie chciałbym już pracować w tej wrażliwej sferze, nie chcę sprzedawać głodnym duszom towaru. Gdybyśmy wszyscy rzucili robotę w diabły, złączyli na kwadrans ręce i przestali wierzyć w forszę, to forsa przestałaby istnieć. Lecz tego nie zrobimy nigdy. Więc może forsa jest wielką konspiracją czy fikcją. A także narkotykiem: uzależniliśmy się wszyscy i nie potrafimy się już uwolnić. Właściwie w przypadku forsy nie ma nic aż tak bardzo dwudziestowiecznego. Nic, prócz nastawienia myśli. Nie da się tego wykopać, spuścić tego pieprzonego gówna, nawet jeśli bardzo się

chce. Nie daje się zrzucić z pleców małpiej bogini forsy.

Wciąż wrzeszczę, bełkoczę i popłakuję, ale to miałem w zwyczaju. Piję i mówiam bójki. Wycieram się po ulicach. Wciąż jestem strefą wysokiego ryzyka. Wciąż jestem zakazaną dzielnicą.

Jeśli chodzi o próbę samobójczą, to cóż, cała impreza, jak już mogliście się domyśleć, zakończyła się totalną klapą. Zaatakowałem butelkę (i pół) szkockiej, połknąłem dziewięćdziesiąt tabletek. Przez chwilę czułem się nawet niezłe, coś jak na haju. Ta heca z samobójstwem to po prostu betka, myślałem. Siedziałem i czekałem. I wtedy nadszedł lęk. Odczuwałem coś w rodzaju kurczenia się – jak gdyby świat się rozszerzał i ściemniał, a ja karlałem, stając się coraz to bledszy. Chłopie, mówię do siebie, przydałoby się znów coś wypić albo zażyć procha. Polepszył mi się raptownie nastrój i zacząłem wszystko widzieć w znacznie jaśniejszych barwach. Wbiłem kopyto w telewizyjny ekran i podeptałem wieżę i wideo. Chciałem już zbiegać na dół, żeby wrednemu *fiasco* też spuścić mały wpierdol, ale zacząłem się trochę zataczać, a poza tym przypomniałem sobie, że bestię porzuciłem przy Maida Vale. To chyba wtedy zacząłem myśleć trzeźwiej. *Zaraz, poczekaj, ja wcale tego nie chciałem!* – zacząłem wykrzykiwać. *Wiesz, jak to bywa. Wypiłem parę szklaneczek i sprawy wymknęły mi się z rąk. Pośpieszyłem się. Czy nie można się, kurde, pomylić?* Spróbowałem bieg w miejscu oraz pompkę czy dwie. Napuściłem wody do wanny i wpadłem do środka w ubraniu. Przeczłogałem do kuchni, gdzie wypilem słoiczek musztardy. Francuskiej. Wyjebałem – niemalże! – palcami własne migdałki, nie czując przy tym większej frajdy, praktycznie żadnej. Miałem wrażenie, że pazerna śmierć myszkuje gdzieś obok, obmacuje teren, szukając jakiegoś wejścia. Więc tylko łąziłem w tę i wewtę po mieszkaniu, tyle, ile było potrzeba... Gdzieś w połowie ranka, gdy pod moimi oknami dzień wchodził spokojnie w swe tryby, poczułem się tak zgnojony, że chciałem już tylko rzucić się na barłóg. Po całym tym podnieceniu nalałem sobie drinka. Taki byłem rozdygotany, że pomyślałem, że warto by łyknąć procha, bo inaczej nie zasnę. Nie mogę też wykluczyć możliwości, że próbowałem pomęczyć waleta. W każdym razie kilka godzin później zostałem nagle przebudzony przez kurdupłowatego gliniarza i dwóch sanitariuszy. Czułem się jak śmierć. Myślałem: więc może się udało, może to już po, może śmierć nie różni się niczym od życia, ta sama mama sprawa, tyle że bardziej do dupy. Chcieli mi przepłukać bebech, ale nie dałem zgody na jakieś ich kolejne gówno. Pożyczyłem dziesięć funtów od pani sprzątaczkki. Zagrałem twardziela i jakoś dzionek przeleciał. A głównie to w pubie. Wiecie, co mnie uratowało? Zaczynam podejrzewać, że tabletki Martynty były zwyczajnym placebo. Przypominam sobie, jak rozpuściłem

parę z nich w Nowym Jorku, i pomyślałem, że bardzo te duszyczki wyglądają i smakują jak aspiryna. Również mój słój pigułek wzbudzał pewne wątpliwości... Więc oto, tak próbnie, recepta na moje samobójstwo: sto płynnych uncji szkockiej, pięćdziesiąt aspiryn, tygodniowa seria antybiotyków plus dwanaście pigułek drożdży. Nie dziwota, że czułem się tak podle. Upłynął prawie tydzień, zanim wreszcie mogłem powiedzieć, z jakąkolwiek dozą pewności – tak, chyba już znowu żyję.

Rozumiecie, że nie pamiętam zbyt wiele z tamtej wesołej nocy oraz mrocznego poranka, a jednak były to chwile, kiedy przypominało mi się wiele. Porozbiegane wspomnienia – które nieraz próbowałem wyłączyć i spętać – po prostu przybiegały same, z rękami uniesionymi w górę. Balansowałem chyba wówczas po linii zaćmienia i miałem pełny dostęp do wszystkich spraw ukrytych. Zapisywałem. Inaczej bym nie pamiętał.

A zresztą, nawet sobie nie przypominam, że cokolwiek sobie przypominałem. I nie pamiętam, że cokolwiek pisałem. Charakter pisma w notesie niczym nie przypomina mojego, jest niepochyły, i staranny, co ukazuje wyraźnie, w jak dalekie zaś puściłem się rejony...

Wspominałem te chwile w „Berkeley”, gdzie, jak zawsze podejrzewałem, wydarzyło się coś strasznego. I coś strasznego istotnie miało miejsce. Fielding zaprowadził mnie do sracza, żebym trochę ochłonął. Odwrócił się od pisuaru z wywalonym kutasem. „Urznęliśmy się w ślup, i co, Slick?” – zachichotał, i puścił strugę sików wprost na moje spodnie... Przypomniałem sobie także ten moment na Dziewięćdziesiątej Piątej Ulicy, kiedy Doris Arthur wychodziła ze mną z owej restauracji świątka mediów. W odpowiedzi na moje zaproszenie, żeby pójść razem do hotelu i tam się zabawić, dotknęła mojego policzka wargami, szepcząc: „Ty dupku. To przecież wszystko zgryw. Fielding robi cię w konia. To tylko gra, przejażdżka. Wyskakuj z tego pociągu. Wyskakuj... szybko!” Przypomniałem też sobie wieczór w irlandzkim pubie naprzeciw przybytku „U Zeldy”. (Kolacja i taniec z hostessą. Czy to był ten najgorszy moment? Być może), gdy całowała mnie i pieściła owa ruda cipka o ślipiach Fieldinga. „Czy wiesz kim jestem? – szeptała. – To ja. To właśnie ja. To ja jestem twoim producentem”. A ja siedziałem po prostu, kiwając głową, uśmiechając się głupawo, oszołomiony, skretynizowany, zuzwangowany... I wspominałem też Martina, tu, w moim gniazdku, jak stał nade mną i powtarzał, w kółko i w kółko, jakimś lepkiem, żalonym szepem: „Przykro mi. Bardzo ci współczuję. Bardzo mi przykro”.

Cały ten ranek, gdy śmierć zdawała się tak blisko, a życie jaśniało blaskiem, nie myślałem o wzywaniu pomocy. Zastanawiam się dlaczego. I wytłumaczyć to

mogę tak, tylko w ten sposób. Moje życie było zawsze walką pomiędzy wstydem i lękiem. W samobójstwie zwycięża wstyd. Jest od lęku silniejszy, choć nadal się go obawiasz. Obawiasz się też nadal lęku, jak w moim przypadku, i nagle chcesz całą imprezę odwołać. W samobójstwie pomyślnie zakończonym wstyd zwycięża, choć nie chciałbyś, żeby ktokolwiek był tego zwycięstwa świadkiem. Bo samobójstwo to spektakl tak bardzo wstydlivy. Nie chciałym, żeby mnie ktoś zobaczył w takiej chwili. Nie, nie pozwoliłbym, żeby mnie ujrzano, tu, w sypialni, martwego, gdy właśnie popełniłem samobójstwo.

Mam nową przyjaciółkę. Dzięki Bogu. Na imię ma Georgina. Jest sekretarką w firmie włókienniczej w White City. To postawna dziewczyna, typ ciężkiej pielęgniary (dokładnie!), a właśnie to zalecił mi doktor. Spodobałaby się wam Georgina. Jestem wdzięczny losowi... Poznałem ją w „Ślepej Świni”, a może w „Butcher’s Arms”. Byłem całkiem zgaszony, bo zdołowała mnie właśnie dokumentnie wysoce sprawna, skrajnie wrażliwa i niewiarygodnie trzeźwa Australica. Leżałem z mordą na ziemi, znokautowany. Georgina zabrała mnie do swojego gniazdka i ukoiliła własnymi rękami. Zabiegałem o nią przez tydzień, z górą tydzień. Waży tyle, co ja, mniej więcej, i pasujemy do siebie, jak ulał. Georgina ma takie wielkie... I moja Georgina ma także wielkie serce.

Pisuję do Martiny plus minus dwa razy w tygodniu. Co ranka gnam na zimne linoleum pod drzwiami, wypatrując koperty czerwono-biało-niebieskiej wrzuconej przez otwór w drzwiach. Nic, wciąż nic. Ale nie tracę nadziei. Moje listy miłosne nie są może wielkim literackim dziełem, lecz są jednak kurewsko szczere, to mogę wam powiedzieć. Muszą cię przyjąć z powrotem, jeśli naprawdę je kochasz. Jeśli otworzysz się całkiem do końca i kochasz je dostatecznie. Nie? Po prostu muszą. Z początku byłem zbyt zajęty, żeby jej robić wyrzuty. A teraz... a teraz żal daje o sobie znać codziennie, ból punktualny, punktualny jak sama dziewczyna. Bo jest najlepsza. Jest najlepsza, a ja jej pragnę, bo pragnę zawsze tego, co najlepsze... Czyżby? Czy kiedykolwiek tak było? Może nigdy nie miałem tego właśnie, co trzeba, żeby domagać się tego, co najlepsze. Kultura i takie historie – nie, nie w tym rzecz, albo nie tylko, że to nie dla nas, że nie dorastamy, niektórzy z nas. Nienawidzimy też całej tej kultury. Choć ja próbuję. Czytam całkiem sporo. To jedyna rozrywka, na jaką sobie mogę pozwolić. Bo jest tania, to trzeba przyznać. Przeczytałem już wszystkie finansowo-seksualne thrillery z pólek Georginy. Wysiadam też w bibliotece. Biblioteka to dobre miejsce, kiedy nie masz roboty. Ciepło i za darmo. Prawdziwe schronienie.

Napisałem także do Seliny. I może to dać bardziej realistyczne zakończenie. Ma

przecież bachorka, dochód i mieszkanie. Mieszkanie to nie dom, wiem. Lecz jest przynajmniej gdzie mieszkać. Ossie z nią nie wytrzyma. Jeżeli ma choć trochę oleju i jeśli Martina go przyjmie, to wróci do swej żonusi na czterech łapach. Mam nadzieję, że do mojej Martińki wróci też na czterech łapach Ciebie... Napisałem do Seliny pod adres jej ginekologa. Zamierzam wychowywać to dziecko jak moje własne, nawet jeśli bardziej niż ja należeć będzie do klas wyższych. Księżna Di też już wtopiła się na dobre w rodzinę. No cóż, świat rozwija się, rozkwita. Spróbuj to tylko powstrzymać. W wylewnej, szczebiotliwej odpowiedzi (stempel londyński, bez adresu nadawcy), Selina powiadomiła mnie, że dziecko otrzyma to samo imię, co dzieciątko królewskie, pod warunkiem, że zgodzi się płęć. Przypuszczam, że będzie to Mary albo Elizabeth, George albo James – coś w tym guście. Wyrażam zgodę. Tyle że nie ujrzę ani skrawka Seliny, dopóki nie zejdem się znowu z forszą.

Fiasco wciąż jest na chodzie, choć nie w tej chwili. Fiasco jest moim wielkim błędem. I moją dumą, radością. Mówiąc między nami, nie jestem wcale pewien, czy potrafiłbym to wszystko przetrzymać, gdyby nie *fiasco* właśnie. Często je teraz myję, tu, na ulicy, z wiaderkiem wody, gąbką, tranzystorkiem. Autko znów będzie na drodze, och, nie martwcie się, i to zanim się obejrzyicie. Będę z moim fiaskiem do końca. Nie opuszczę go nigdy. Na samą myśl ścisza mnie w gardle. Przeszliśmy razem wiele. I przetrzymamy więcej, dużo więcej, moje kochane *fiasco* i ja.

Co zaś się tyczy tej drugiej sądowej sprawy – jazda po pijanemu czy raczej „posiadanie pojazdu ruchomego będąc w stanie spożycia” – to mój obrońca usiłuje przeciągnąć postępowanie w nieskończoność. To mnie ładnie kosztuje, a człowiek ładnie zarabia. Owa technika faworyzowana jest przez wszystkich zatrudnionych przez mnie członków palestry. Wszelkie pieniądze, jakie wpadną mi w ręce, spuszczone zostają natychmiast z falami sedesu tej mojej prawniczej obsługi. Przysługuje mi zresztą taryfa ulgowa, jakiej udziela się pijaczkom, wrzaskunom, nieudacznikom i drogowym zbójom. Głównym źródłem dochodu jest moje gniazdeczko. Przeniosłem się do takiej gównianej nory w suterenie, w rejonie Ladbroke Grove, a moje wynajęte mieszkanie podnająłem pewnemu poligamicznemu szejkowi i jego karawanie bachorów. Poszło całkiem łatwo: w oknie sklepiku z petami obok innych anonsów w rodzaju: UDZIELA SIĘ PRYWATNYCH LEKCJI: FRANCUSKI – GRECKI – TURECKI albo: KTÓRY SAMIEC ODWAŻY SIĘ ZADZWONIĆ DO TANIEJ KURWY Z BAYSWATER? umieściłem małą karteczkę. Wcale się nie palę, żeby się dowiedzieć, o jaki tu chodzi TURECKI, zważywszy na stan, do jakiego doprowadzono moje kochane *pied-à-terre*. Chodzę tam co czwartek, żeby odebrać kasę za najem. Kolos w powłóczystych

szatach beznamiętnie podaje mi dołę. Zaglądam mu za ramię, zapuszczam żurawia w ten nieprzenikniony, tajemniczy świat milczących babć-staruszek, wyeksploatowanych żon i batożonych córek. Jest tam tylko jeden mały chłopaczek: żaden dzieciak nie miał jeszcze tak dobrze. A mieszkanki są w ruinie, lecz gotówka naprawdę niezła, w sam raz, żeby obłaskawić kauzyperdów. No tak, a mój tatko-starenia też wsunie mi tę dychę czy dwie, kiedy mu coś wpadnie.

Jako szlugowy milioner, wszystko puszczałem z dymem. Nie, to było kiedyś – teraz zszedłem już do mniej niż dwóch paczek na dzień. To wszystko, na co mnie stać. Zrobię nawet własnego skręta, gdy trzeba, tak mi dopomóż Bóg. Ledwie już teraz piję: co najwyżej Jęczmienny Porter, zwłaszcza dwa takie Szczególne Rodzaje, Miareczkę Whisky czy dwie, oraz parę Gruszczyków z Imbirem. Więc to, albo buteleczka Cypryjskiego Sherry czy Bułgarskiego Portwajnu, żeby odpłynąć mógł w sen. To wszystko, na co mnie stać. Oszczędzam także na pornografii. Żadnych błyszczących świerszczyków czy pryszniców z asystą. Diabelnie droga sprawa. Zabawię się wszak niekiedy własnym joystickiem, tak nie za często, dla zdrowia. Kto tego nie robi? Mówcie, co tylko chcecie o podduszaniu kaczora, mieszajcie to zajęcie z błotem; nie powiecie mi jednak, że trzepanko może być jeszcze tańsze albo łatwiej dostępne. W końcu sami przyznajcie: duch demokracji zamieszkał w rękodziele.

Nie oglądam już Terry’ego Linexa, bo mi zalega z forszą. Ditto z Alekiem Llewellynem. *Ditto* z Barrym Selfem – też jest mi winien forszę. Nie oglądam też Martina Amisa, bo to jemu z kolei zalegam. Forsa, zawsze ta pieprzona forsa, i Przyszło mi kiedyś na myśl, że Martin mógłby zostać moim kumplem. Lecz przecież nic nas nie łączy, odkąd zabrakło forsy.

Czekajcie, raz go widziałem. Byłem oto w pijalni, „Londyński Czeladnik”, a może „Jezus Chrystus”, wchłaniając piwko i cierpliwie pompując w zachłanną frutmaszynę ostatki mojego zasiłku. Skrzyżowaliśmy wzrok w chwili, gdy stanął w drzwiach; spojrzał na mnie w ten sposób, jak robił to kiedyś dawniej, zanim w ogóle go spotkałem – wyzywająco, z nagłym drgnieniem w szyi. Na pulsującym Switchmatiku zdobyłem dwie śliwki-damaszki i zamieniłem to na podwójne pchnięcie. Nęciły mnie dwa tulipany, warte dwufuntową pulę. Zaryzykowałem więc pchnięcie i zdobyłem konieczną czwórkę. Rezygnując z automatycznego winfindera, zdecydowałem się na ręczne pchnięcia, w sentymentalnym hołdzie starej sztuce gry, starym talentom. Schrząnąłem teraz nieco sprawę i zarobiłem dwie wisienki po lewej. Dwadzieścia pensów. Poczulem za plecami magnetyczne pole Martina. Nie odwróciłem się. „Hej, co tutaj robisz? – zapytał. – Miało cię przecież już nie być”. Spojrzałem tylko przez

ramię i mówię – nie wiem, jakiś głęboki chuligański gen musiał mnie do tego skłonić – „Spierdalaj, śmierdząca wszo!” W falistym lustrze nad barem widziałem, jak odchodził, jak gdyby na drewnianych nogach, zraniony, wystraszony. Szedłem w górę z wygraną, do trzydziestu, pięćdziesięciu, siedemdziesięciu pensów i aż do funta czterdzieści grałem dalej. Robot zatrzymał się, zaniemówił, i wypułł dziesięć pensów. Nieźle już narąbany, wrzuciłem przez pomyłkę monetę w otwór na żetony. Cholera się zacięła i, jak zwykle, wywalili mnie na pysk za gwałt na maszynie... Moglibyście pomyśleć, że moja forsa bezrobotnego jest dla mnie szczególnie bezcenna, że czuć się mogłem, jak gdybym stracił ostatnią monetę w życiu. Otóż nie. Tę forszę traktowałem jak gówno, była dla mnie śmieciem, cuchnącym powietrzem. Nie znaczy dla mnie nic.

Bo forsa – forsa cuchnie. Naprawdę. Jakże to gówno śmierdzi! Weźcie no jakiś pliczek dobrze zużytych banknotów i powachlujcie tym przed nosem. Spróbujcie tylko. Skarpetki małałatów i smród pornografii w akcji, stare drożdże, rozkładający się kot w spizami, zasyfione, wilgotne ręczniki, szlam ze szwów portmonetek, przepocone dłonie i brud z za paznokci ludzików, obracających, obracających tą forszą przez dzień cały. Jezu, co za czad.

Udałem się do pani doktor McGilchrist w sprawie mojego od dawna bolącego zęba. Usiadłem w ołowiowej kamizelce, a ona prześwietliła mi twarz. Określiła ząb jako martwy, lecz wciąż rokujący nadzieję. Znam dobrze to odczucie. A potem borowała, odsącała i uwijała się z tą swoją jazgotliwą robótką. Wystawiła mi na koniec rachunek, lecz ja zaripostowałem nową, zręczną zagrywką: po prostu nie zapłaciłem. Co może mi zrobić? Co? Już przecież mnie nie boli. Ząb wydaje się pusty, lekki, pozbawiony substancji. Tymczasem przedwczoraj rano nagryzłem nim skorupę grzanki, i okazało się, że ząbek ma jeszcze co nieco w repertuarze. W ubiegłym miesiącu straciłem już inną sztukę i to w dodatku jedynekę, w samym sercu midtownu przy samej Central Park South. Wyłuskany został przez pewnego Araba w „Podrzucie Przegubem”, tym nowym koktajl-barze na Queensway. Któż śmiałby mi powiedzieć, że Arabowie nie potrafią się bić? Kurde, niech no tylko gościa dopadnę... Muszę wszak przyznać, że owa przykrość dała mi do myślenia. Po tym zdarzeniu stoczyłem jeszcze jedną bójkę. Przypuszczam, że pozostała mi już tylko jedna walka, najwyżej, i wtedy będzie szlus. Zamierzam dać bójkom dobrego kopa w dupę, zanim bójka przydupi mnie. Któregoś dnia, ogłupiony wódą i szałem, próbowałem przyłożyć Georginie. Pomysł niefortunny. Bo widzicie, moja Georgina to duża dziewczynka. Ona nie jest z tych zgrabnych, delikatniutkich cipeczek, co to piszczą o litość, gdy tylko zobaczą pięść. Nie, Georgina mi przywalała. Obudziłem się z opuchniętym uchem i kolejnym podczernionym ślipiem. Przyniosła

mi do łóżka herbatę i zapytała, czy jeszcze kiedykolwiek spróbuję takich numerów. Odpowiedziałem: nie, nie, szefowo, w życiu. W moim wieku trzeba dać sobie z tym luz. W moim wieku, gdy wszystko jest jeszcze potrzebne, a nic już się nie odradza. Inie ma już pani doktor McGilchrist, więc teraz muszę polegać, jak mówi Gruby Paul, na dupezpieczalni. Tylny ząb jest już trup, lecz ja jeszcze żyję. Jedyńka też zniknęła, a jakże, lecz ja wciąż tu się jeszcze objam.

Otworzyłem dziś rano oczęta i myślę, kuma, jeszcze nigdy nie czułem się tak staro. A przecież to właściwe odczucie, nie? Przecież to fakt, że jestem dziś starszy, starszy niż kiedykolwiek przedtem. I będzie tak już zawsze, każdego z kolejnych ranków. Aż do samego końca. Dotyczy to i ciebie, bracie. To twoja broszka, siostru. A jak wasze sprawy? Czujecie się okej? Muzyczka gra...? Wiem, że już wkrótce, kiedy zerknę do lustra, okaże się, że mój kinol eksplodował sobie elegancko na mojej szanownej facjacie. Zaś moja pijacka opryszczka rozkrzewi się po całej gębie jak grynszpan. I wtedy wewnętrzne żarna pracować zaczną na moje zatracenie, rozpadną się w kupę złomu. Mój kumpel Gruby Paul kiedyś zauważył, że forsa nie jest nic warta, kiedy straciłeś zdrowie. No dobrze, ale co można powiedzieć, kiedy się nie ma i zdrowia, i forsy? Kiedy straciłeś zdrowie, to właśnie wtedy potrzeba ci na gwałt tych paru groszy.

A jednak nie mogę narzekać. Dzięki Georginie jestem teraz w lepszej formie niż kiedykolwiek przedtem. Odwiedziłem niedawno doktorka: nie tego od paszczy czy kutasów, lecz całkiem ogólnego, omnibusa-internistę – mojego doktora czasu. A więc pikawa miewa się nie najgorzej. Tak, biorąc rzecz do kupy, akcje są nieco chwiejne, ale wciąż się jeszcze trzymają w tej mojej spółce z o.o.: „Kudły, Kałdun & Kły”. Zapytał, jak tam u mnie z piciem, paleniem, i dalej w podobnym stylu. Nakłamałem mu przez świszczący ubytek, a on rozdziawił japę: że tyle już napsulem, że tyle ze mnie zostało.

Późnym popołudniem pokazałem się u Georginy z likierem „Krem Desdemony”. Miał to być zwykły wieczór: spaghetti, wydarzenia dnia, telewizunio, przytulne ciasne łóżeczko. Zjawiłem się wcześniej, bo *fiasco* zapaliło i dojechało, na przekór wszelkim danym. Georgina nie wróciła jeszcze do domu, a ja mam w zwyczaju gubienie kluczy, które od niej dostaję. Ma taką obszerną kawalerkę, nad kantorem, gdzie przyjmują zakłady, przy ambitnej, przyszłościowej ulicy.

Było zimno, lecz nie aż tak zimno. Druga fala śniegu wciąż schludnie zdobila chodniki. Przysiadłem na ławce przy nadpalonym moście, obok otwartej jadaczki zmurszałej stacji metra. Miałem na sobie starą budrysówkę – wyłowilem ją z zapomnianej szafy, i daję głowę, że jest cieplejsza od tego, kaszmirowego paltota, za który, nawiasem mówiąc, dostałem dwieście funtali od starego handlarza ciuchami przy

Portobello.

Czwarty stycznia, 1982. Świat znów zaczął pracować. Z aromatycznej gęby metra (oddech coś pomiędzy gorącym beknięciem kiosku z hamburgerami, a wilgotnym, wełnistym pierdem hinduskiej traktorii), wypływali ludzie w pięciominutowych odstępach, z rysującą się na buźkach determinacją środka zimy, ciągnąc do ciepła i żarcia, na swoją ludzką zmianę. Będzie wśród nich Georgina, wyczekująca tych samych łakoci, wszystkich w jednym pokoju.

Życie jest całkiem fajne, tu, w Anglii, ale to twarda planeta, i nie mówcie, że jest inaczej. Nawet na tych najlepszych, najbogatszych szerokościach, na tych najbardziej wolnych, to wciąż jest twarda planeta. Jeśli kiedykolwiek wybieriecie się na Ziemię – uważajcie, miejcie się na baczności. Słyszeliście też pewnie, że Polakom się nie udało. Zdołowani. Wojskowa junta. Tak, stan wojenny. Interes prowadzi teraz facet o nazwisku jak lekarstwo na kaca. Pierwsza rzecz, jaką zrobił, to potrojenie cen, ten aparacik w cynglach. Nie słyszy się już teraz wiele o Lechu Wałęsie, o wąskich wargach i muskularnej kłacie... Danuta powiła następne dziecię, lecz teraz musi liczyć na siebie, walczyć o chleb dla całej trzódki oraz dla siebie samej.

I gdzie jest ta dziewczyna? Czasami każą Georginie pracować dłużej, nie płacąc za nadgodziny. To skandal, zgoda, lecz z drugiej strony każdego dziś trochę poniewierają przy tej nadchodzącej recesji: szefowie grają na lęku, a przy tym sobie myślą, jakie to z nich równiachy. Lecz oni też się pocą, można się tego spodziewać, mają przecież więcej do stracenia.

Zatęskniłem już do forsy, ale będąc bez grosza czuję się nawet lepiej. Są pewne małe plusy. Niewiele ci mogą zrobić, kiedy jesteś goły. Nie widzą w tym żadnej forsy. Więc nie będą się opierdalać. Byłem bogaty i byłem – jestem – biedny. Być biednym to jednak gorzej, choć bogaty też nie ma lekko. Bo wiecie, w tamtych chwilach prochów i wody, podczas owego samobójczego odlotu, cała moja przyszłość przemknęła mi błyskiem przez łeb. I wiecie? No, domyślcie się tylko. Ujrzałem rzekę gówna. Wszystko warte tyle, co nic. Przeszłość była przynajmniej – jakby tu powiedzieć – bogata... A teraz moje życie straciło całkiem formę. Jest tylko terażniejszością, coraz bardziej terażniejszością, czasem terażniejszym ciągłym.

No cóż, chciałbym się odmeldować paroma słowami mądrości. Jestem z wami bliżej, mam taką nadzieję, niż on kiedykolwiek będzie. Lecz gdybym miał jakąś dobrą radę do zaoferowania, to sam bym z niej wpierv skorzystał. Zachowałbym ją dla siebie. A chcecie się dowiedzieć, jaki jest sens życia? Życie to agregat, agregat wszystkich żywotów, jakie na planecie Ziemi przeżyto. Oto cały sens życia.

O właśnie. I myślę, że wywikłałem się nadto ze swoich zmagania z wiekiem, z moich problemów z czasem – skumałem to wszystko na czucie, intuicją, bo nie ma tu co rozumieć. Produkt lat sześćdziesiątych, nabyłem przekonania, że bycie młodym to prawdziwe osiągnięcie. Wszyscy zdawali się mnie utwierdzać w tym przeświadczeniu, a już zwłaszcza ci starzy. Jako Ikonoklasta nie rozmyślałem o przemijaniu, nie brałem pod uwagę śmierci. Miałem was, staruchy, za nic, mieszałem was wszystkich z błotem – was, pierdoły i zgredy – a wy uśmiechaliście się tylko, kiwaliście z aprobatą głową. Jakbyście chcieli powiedzieć, jaki to jestem wspaniały... Gdy o tym wspomnę, to owszem, nie wyglądałem wcale najgorzej. Kudły miałem kręcone, ale i mocne, sprężyste: przeskakiwały w nich iskry. Kałdun był płaski, a ząbki słodkie i białe. Byłem wówczas lepszy. Byłem. Lecz powiedzieli mi, że jestem pępkiem świata i, kurde, te stare pierdoły kłamały.

Jeszcze jedno. Może nie jest to zbyt interesujące i nie każdemu się przyda, ale to jedyna rzecz, co do której jestem całkiem pewien. Gdybyście kiedykolwiek znaleźli się w jakiejś zagwozdce ojcowskiej czy macierzyńskiej, gdybyście kiedykolwiek mieli dzieciaka, który nie jest tak naprawdę wasz, który nie jest tak naprawdę jego czy jej, powiedzcie o tym dziecku. Pogadajcie z dzieciakiem szybko. Na mur. Więc jeśli jesteś dziewczyną, to jesteś własną mamą, a twoja mama jest tobą. A jeśli jesteś chłopakiem, to jestem własnym tatą, zaś twój tatko to ty. No bo jak możesz żyć na poważnie, skoro nie wiesz, kim jesteś?

Niewielu ojców tak bardzo skrzywdziło swych synów jak Barry Self mnie. Lecz Barry Self nie jest moim ojcem. Moim ojcem jest Gruby Vince. W pewnym więc sensie moje życie było żartem już od samego początku, od pierwszego poruszenia w łonie, od tego pierwszego błysku w oku Grubego Vince'a. Zawsze myślałem, że mam poczucie humoru. Czy z tego żartu też potrafię się śmiać?

Otworzyłem „Krem Desdemony” i zaczerpnąłem radosny łyk. Jest przecież Nowy Rok. Sepleniąc gwizdałem i śpiewałem – i mamrotałem coś o Fieldingu, Łomie, Caducie, o Butch i Spunku, o całej tej karuzeli, hysterii, konspirze... Rozwikłałem też problem motywacji. To ja jej dostarczałem. Ta hochsztaplerska chryja nie przeżyłaby pięciu minut, gdyby nie nasz John Self. To ja byłem kluczem. To ja byłem tym głównym artystą, potrzebującym, wrażliwym. Żądającym i chcącym. Tak bardzo chciałem uwierzyć. Tak bardzo chciałem forsy. Ja, czyli ten, kto nie ufa. „Zaufanie” – to teraz dla mnie stan psychopatyczny.

Zaufanie to tylko krzyk o pomoc. Rozejrzyjcie się – czy to, co czujecie, nie jest zaufaniem?

Odbyliśmy już z Vincem konfrontację. Wypłakaliśmy to wszystko w pokoiku za bilardową salą. „Trzeba mi było powiedzieć, Vince” – robiłem mu wyrzuty. „To nie do mnie należało, synu”. „Lecz kiedy zobaczyłeś, że nikt już tego nie robi, to powinienś powiedzieć”. Wpatrywałem się w jego twarz, w tę jego skołowaconą, snookerową gębę. „Nie zrozum mnie źle – mówiłem, i kończyłem butelkę. – Jestem dumny, że mogę ci mówić ojcze”. To prawda. Bo przecież Gruby Vince jest na swój sposób wielkim człowiekiem. Kochał moją mamę, a to więcej, niż potrafił Barry. Powiedziałbym, że Vince, to dużo, dużo więcej niż Barry. To poważny krok naprzód.

Georgina także mnie kocha. Naprawdę. Sama mi to mówiła. Dziś wieczór chcę jej pokazać, jak bardzo jestem wdzięczny. Bez Georginy byłbym już martwy. Rozpromieni się radością, jeśli to zrobię właściwie. Selina promieniała na sam widok forsy, a Martina, gdy ujrzała obrazki, zwłaszcza kwiaty... Natomiast Georgina uśmiechnęłaby się na widok samych kwiatów – no i pieniędzy chyba też, skoro już o tym mowa. Ale na to mnie nie stać. Lecz kiedy będzie, to Georgina już nie wystarczy. Zniknę wtedy z kimś w typie Martiny. (Nie. NIE, to już się nie powtórzy). Lub Seliny albo jakiejś innej Tiny czy Liny, czy Niny.

Przez całe popołudnie niebo przypominało pustą tackę jajek: być może jajko tu, być może jajko tam. A później doszedł pasemkowy boczek zmierzchu. Na dalekim zachodzie nocne chmury są wychudzone, posępne i rączce, i przypominają klucz wsunięty do drzwi pod kątem albo hiszpańską lokomotywę. Lecz chmury wypełniają jedynie swoje naturalne funkcje i nie wiedzą – w ogóle się tym nie przejmują – jak bardzo są piękne. A co – kto – naprawdę wie, czy – kto – naprawdę się własnym pięknem przejmuje? Tylko piękne kobiety – tak, i artyści, tak mogę przypuszczać, tyle że artyści prawdziwi, a nie artyści wyra, wódy, malin, grandy i kitu, z którymi to gatunkami musiałem się wciąż zadawać. Ja też jestem artystą – artystą ucieczki.

Wtedy, w „Welcome Inn”, w okolicach La Guardii, w tamtejszych ciemnościach, z kurewkami przy sąsiednich stolikach, z umykającymi w górze samolotami, czy wiecie, co powiedziała mi wówczas moja mała Selinka? Powiedziała: „Może to zabrzmi okrutnie, ale zawsze wiedziałam, że nigdy nie zrobisz szmalu. I to od samego początku. Miałeś zawsze zapach, który odpędza forszę. Nieodpowiedni. Nie pachniałeś, jak trzeba...” Jest już chłodniej. Czuję to, i czuję potrzebę schronienia. Użycie go, proszę. A skąd pochodzi ten wiatr? I dlaczego rozwiewa – te wszystkie gwiazdy, mity? Kto mi odpowie? Jeśli pozostanę biedny, to może Georginie będzie sprzyjać szczęście. Szczęście, fart. Czy fart to właściwe słowo? Jestem dla niej dobry. Na nic innego nie mógłbym sobie pozwolić. Kocha mnie. Sama mi powiedziała. Moja Georgina musiała

chyba mieć dość przykrawy przegląd facetów.

Zdejmując miękką czapkę, zasalutowałem jakby łagodnie. Moja czapka, moja czapka z materiału, tak jest pomyślana, żeby nie targały się włosy. Nie mogę sobie przecież pozwolić na te dwudziestofuntowe rewaloryzacje kudłów. Przycina je teraz Georginka, nucąc jak ogrodnik nad moim zamyślonym, okrytym kołdrą kształtem. Oto ja – piję, śpiewam i mamrocę przez mój brakujący ząb. Ludzie gnają z tego odbytu metra, bardzo, bardzo śmiertelni, młodzi w połowie zdrowi, starzy w połowie sprytni – a wszyscy w ćwierci piękni, a w drugiej ćwierci mądrzy. Ludzie pozdrawiam was.

I wtedy poczułem jakiś lekki, niespodziewany plask na luźnym przykryciu lędźwi. Spojrzałem w dół: pośród za tłuszczonych pryzm podszewki dziesięciopensowa moneta uwiła sobie gniazdko w czapce. Spojrzałem w górę: drobna, zręczna damulka minęła mnie właśnie z przelotnym i żywym uśmiechem. No cóż, można się tylko śmiać. Nawet trzeba. Nie mam żadnego wyboru. Nie mam przesadnej dumy. Więc nie krępujcie się z mojego powodu. I proszę, jest już Georgina, nareszcie, oswobadzająca się z tłumy; uśmiech rozczulający i groteskowy, rozradowana, lecz zarazem surowa, ogromnie pewna siebie – gdy tak idzie w moim kierunku na wysokich obcasach.